

PIERWSZE
POLSKIE
WYDANIE

WILKIE
COLLINS

TAJEMNICA
MIRTOWEGO
POKOJU

img

WILKIE
COLLINS

TAJEMNICA
MIRTOWEGO
POKOJU

A decorative graphic element consisting of elegant, swirling lines and curls that wrap around the author's name and the title.

przekład:
Joanna Wadas



Księga I

Rozdział 1.

23 sierpnia 1829

– Ciekawe, czy dożyje jutra?
– Spójrz na zegar, Mathew.
– Dziesięć minut po północy! A więc już dożyła kolejnego dnia. Żyje wystarczająco długo, aby ujrzeć dziesięć minut nowego dnia, Robercie.

Słowa te padły w kuchni dużego dworu położonego na zachodnim wybrzeżu Kornwalii. Wypowiedziało je dwóch mężczyzn wchodzących w skład służby kapitana Trevertona, oficera marynarki i najstarszego męskiego potomka starego kornwalijskiego rodu. Obaj służący porozumiewali się z powściągliwością, ściszonymi głosami, siedząc blisko siebie, i za każdym razem, gdy rozmowa między nimi zamierała, spoglądali wyczekująco na drzwi.

– To okropne – odezwał się starszy z nich – siedzieć tu tylko we dwóch w ciemną noc i odliczać ostatnie minuty życia, jakie zostały naszej pani!

– Robercie – powiedział drugi z mężczyzn – jesteś tu na służbie od czasu, gdy byłeś chłopcem. Czy słyszałeś kiedyś plotkę, że nasza pani, zanim pan się z nią ożenił, była aktorką?

– Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytał ostro starszy ze służących.

– Cicho! – zawołał tamten, zrywając się z krzesła.

W korytarzu odezwał się dzwonek.

– Czy to wzywają kogoś z nas? – zapytał Mathew.

– Nie potrafisz jeszcze rozróżnić dzwonek po dźwięku? –

zawołał wzgardliwie Robert. – To dzwonek na Sarę Leeson. Wyjdź na korytarz i sam zobacz.

Młodszy służący wziął świecę i zrobił, co mu polecono. Kiedy otworzył kuchenne drzwi, napotkał wzrokiem długi rząd dzwonek wiszących na przeciwległej ścianie. Nad każdym starannymi czarnymi literami wypisany był tytuł służącego, którego dzwonek miał wzywać. Rząd zaczynał się od tych przynależnych do gospodyni i kamerdynera, a kończył na podkuchennej i pomocniku lokaja.

Śledząc je wzrokiem, Mathew dostrzegł jeden, który nadal się poruszał. Nad nim widniał napis „pokojówka pani”. Stwierdziwszy to, służący szybko przemierzył korytarz i zapukał do znajdujących się na końcu staromodnych dębowych drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiadał, otworzył je i zajrzał do środka. Było ciemno i pusto.

– Sary nie ma w pokoju gospodyni – powiedział Mathew, wracając do swego

towarzysza w kuchni.

– Widocznie poszła do swojego pokoju – odparł tamten. – Idź na górę i powiedz, że pani ją wzywa.

Dzwonek odezwał się ponownie i Mathew wyszedł.

– Szybko! Szybko! – zawołał za nim Robert. – Powiedz jej, że jest wzywana natychmiast. Wzywana – dokończył ciszej, już sam do siebie – może po raz ostatni!

Mathew wspiał się po trzech kondygnacjach schodów, przemierzył połowę długiej, sklepionej łukowato galerii i zapukał w kolejne staromodne dębowe drzwi. Tym razem otrzymał odpowiedź. Cichy, czysty i słodki głos dochodzący z wnętrza pokoju zapytał, kto czeka za drzwiami. Mathew wyłuszczył swoją sprawę w kilku pośpiesznych słowach. Nim skończył mówić, drzwi otwarły się szybko i bezgłośnie, a w progu stanęła Sara Leeson ze świecą w dłoni.

Niewysoka, niezbyt urodziwa, nie pierwszej młodości, płochliwa i niezdecydowana w sposobie bycia, odziana skromnie do granic możliwości – pomimo wszystkich tych wad pokojówka pani była kobietą, na którą nie sposób było patrzeć inaczej niż z zaciekawieniem, jeśli nie z jawnym zainteresowaniem. Niewielu, widząc ją po raz pierwszy, byłoby w stanie oprzeć się chęci dowiedzenia się, kim jest; niewielu zadowoliliby odpowiedź: „To pokojówka pani Treverton”; niewielu powstrzymałoby się od próby wyczytania jakichś ukrytych informacji z jej twarzy i zachowania i nikt, nawet najcierpliwszy i najwytrawniejszy obserwator, nie zdołałby odgadnąć więcej ponad to, że kiedyś musiała przejść próbę wielkiego cierpienia. Coś w jej sposobie bycia, a jeszcze bardziej w wyrazie twarzy mówiło otwarcie i ze smutkiem: jestem wrakiem czegoś, na co kiedyś mogłeś patrzeć z przyjemnością, wrakiem, którego nigdy już nie da się naprawić, który musi dryfować przez życie niedostrzegany i niesterowany – dryfować, aż dobije do śmiertelnego brzegu i fale czasu pochłoną na zawsze jego pogruchtane szczątki. Taką oto historię opowiadała twarz Sary Leeson, nic więcej.

Żaden człowiek na swój sposób interpretujący jej historię nie zgodziłby się zapewne z innymi ludźmi co do natury cierpienia, jakiego doświadczyła ta kobieta. Już na wstępie trudno było powiedzieć, czy miniony ból, który odcisnął na niej swe niezniszczalne piętno, był bólem ciała, czy duszy. Jednak bez względu na naturę niedoli jej ślady wyryły się głęboko i wyraźnie w każdym zakamarku twarzy.

Policzki utraciły krągłość i naturalną barwę, wargi – elastyczne w ruchach i delikatne w kształcie – wyblakły, oczy – duże, czarne, ocienione niezwykle gęstymi rzęsami – nabrały wystraszonego i niespokojnego wyrazu, który nigdy ich nie opuszczał i który żałośnie wyrażał bolesną delikatność uczuć oraz wrodzoną bojaźliwość usposobienia. Ślady, które odcisnęły na tej twarzy zgryzota lub choroba, były właściwe większości ofiar duchowego bądź fizycznego cierpienia. Jedyńm, czym kobieta wyróżniała się w nienaturalny sposób, był kolor włosów. Były one gęste i miękkie, rosnące z wdziękiem typowym dla młodej dziewczyny,

ale siwe jak włosy staruszki. W najbardziej zdumiewający sposób zdawały się przeczyć każdemu świadectwu młodości, jakie jeszcze pozostało w jej twarzy. Przy całej jej mizerności i bladości nikt, kto na nią spojrział, ani przez chwilę nie przypuszczał, że patrzy na starą kobietę. Jakkolwiek blade, jej policzki były wciąż całkiem gładkie. Oczy, gdyby zniknął z nich wyraz obawy i płochliwości, nadal zachowały ową świetlistą, przejrzystą wilgotność, której próżno szukać w oczach starców. Skóra na skroniach była równie delikatna jak skóra dziecka. Te i inne fizyczne oznaki, które nigdy nie kłamią, wskazywały na to, że jeśli chodzi o metrykę, Sara nadal była w kwiecie wieku. Choć mizerna i pogrążona w smutku, od linii oczu w dół wyglądała na kobietę, która dopiero co skończyła trzydzieści lat. Od linii oczu w górę zaś jej bujne siwe włosy w zestawieniu z twarzą dawały efekt nie tylko pełen sprzeczności, ale zupełnie zdumiewający, tak zdumiewający, że nie byłoby paradoksem twierdzenie, iż wyglądałaby bardziej naturalnie, gdyby ufarbowała włosy. W jej przypadku sztuka wydawałaby się prawdą, ponieważ natura wyglądała na kłamstwo.

Jakiż to wstrząs okrył jej włosy u samego szczytu bujności odcieniem właściwym dla wieku starczego? Czy ciężka choroba, czy straszna zgryzota przyprawiły ją o siwiznę w największym rozkwicie kobiecości? Pytanie to często padało między pozostałymi służącymi, których uderzały osobliwe cechy jej wyglądu i których podejrzliwość potęgował zwyczaj kobiety uporczywego mówienia do siebie. Jednak choćby nie wiadomo jak dociekali, ich ciekawość zawsze napotykała mur. Nie dało się odkryć nic ponad to, że Sara Leeson była, jak to się mówi, drażliwa na punkcie swoich siwych włosów i zwyczaju mówienia do siebie i że jej pani już dawno zabroniła komukolwiek, poczynając od swego męża, mącić spokój pokojówki wścibskimi pytaniami.

Owego pamiętnego poranka dwudziestego trzeciego sierpnia stała oniemiała przed służącym, który wzywał ją do łoża śmierci jej pani. Płomień świecy oświetlał jasno jej wielkie, wystraszone czarne oczy i bujne, nienaturalnie siwe włosy. Stała przez chwilę bez słowa, a dłoń, w której trzymała lichtarz, drżała tak, że leżące na nim gasidło miarowo pobrzękiwało – potem podziękowała służącemu za wezwanie. Troska i strach obecne w jej głosie zdawały się potęgować jego słodycz, wzburzenie w jej sposobie bycia nie ujmowało nic zwyczajnej łagodności, subtelnej, kobiecej powściągliwości. Mathew, który podobnie jak pozostali służący skrycie nie ufał jej i nie lubił jej za to, że odbiegała od utartego wzorca zawodowych pokojówek, tym razem został tak obezwładniony jej zachowaniem i tonem głosu, gdy mu dziękowała, że zaofiarował się ponieść za nią świecę do sypialni pani. Ona jednak potrząsnęła głową, ponownie podziękowała, po czym przemknęła obok niego, śpiesząc do wyjścia z galerii.

Pokój, w którym leżała umierająca pani Treverton, znajdował się piętro niżej. Sara dwukrotnie zawahała się, zanim zapukała do drzwi. Otworzył jej

kapitan Treverton.

W chwili, gdy służąca zobaczyła swego pana, cofnęła się raptownie. Gdyby obwiała się ciosu, nie mogłaby odsunąć się z wyrazem większej trwogi. W twarzy kapitana Trevertona nie było nic, co dawałoby podstawy do podejrzeń o złe traktowanie czy nawet ostre słowa. Oblicze miał życzliwe, serdeczne i szczerze; wciąż jeszcze spływały po nim łzy, jakie wylał u łóża żony.

– Wejdz – powiedział, odwracając twarz. – Nie życzy sobie pomocy opiekunki, chce widzieć tylko ciebie. Zawołaj mnie, jeśli lekarz... – Głos mu się załamał i mężczyzna szybko oddalił się, nie próbując dokończyć zdania.

Sara Leeson stała w miejscu, czujnym wzrokiem odprowadzając pana. Jej blade policzki pokryły się trupa bielą, a w oczach czaiła się ostra, nieufna, badawcza trwoga. Kiedy zniknął za zakrętem galerii, przez moment nasłuchiwała przy drzwiach pokoju chorej, szepnęła do siebie ze strachem: „Czyżby mu powiedziała?”, następnie z wyraźnym wysiłkiem spróbowała odzyskać panowanie nad sobą, po czym otworzyła drzwi i po chwili ociągania na progu weszła do środka.

Za sypialnię pani Treverton służył obszerny, wysoki pokój położony w zachodnim skrzydle domu i co za tym idzie, z oknami wychodzącymi na morze. Świeca płonąca przy łóżku bardziej podkreślała niż rozpraszała mrok w kątach pokoju. Łóżko było z gatunku staroświeckich, obwieszane ciężkimi draperiami i grubymi zasłonami. Co do pozostałych przedmiotów, tylko te największe i najmasywniejsze można było jako tako dostrzec w słabym świetle. Gablotki, szafa, olbrzymie lustro, fotel z wysokim oparciem oraz wielka, bezkształtna masa samego łóżka wyłaniały się z mroku ciężko i posępnie. Wszystkie inne sprzęty zlewały się w jedno. Przez okno, otwarte, aby po duchocie sierpniowej nocy wpuścić do środka rześkie powietrze nowego poranka, monotonnie wlewał się do pokoju stłumiony, odległy huk przyboju uderzającego o piaszczysty brzeg. O tej pierwszej ciemnej godzinie nowego dnia wszystkie głosy z zewnątrz były wyciszone. We wnętrzu pokoju jedynym słyszalnym dźwiękiem był powolny, ciężki oddech umierającej kobiety, wybijający się w swojej śmiertelnej kruchości ponad daleki, grzmiący oddech dobywający się z piersi odwiecznego morza.

– Proszę pani – odezwała się Sara Leeson, stając blisko zasłony, ale nie odchylając jej – pan wyszedł i przysłał na swoje miejsce mnie.

– Światła! Daj mi więcej światła.

W głosie dała się słyszeć wątpliwość śmiertelnej choroby, ale ton mówiącej nadal brzmiał stanowczo, podwójnie stanowczo w zestawieniu z niepewnością, z jaką przemówiła Sara. Nawet w tej krótkiej wymianie zdań poprzez zasłonę śmiertelnego łóża ujawniła się silna natura pani i słaba natura pokojówki.

Sara drżącą dłonią zapaliła dwie świece, z wahaniem postawiła je na stole

obok łóżka, odczekała chwilę, rozglądając się dookoła z nieufną bojaźliwością, po czym odsunęła zasłonę.

Choroba, na którą umierała pani Treverton, była jedną z najstraszniejszych ze wszystkich przypadłości dotykających ludzkość, taką, na którą szczególnie podatne są kobiety i która wysysa życie, jednocześnie w większości przypadków nie dając szczególnych oznak postępującego procesu zniszczenia. Niewtajemniczonej osobie, która spojrzałaby na panią Treverton w momencie, gdy jej pokojówka odsunęła zasłonę przy łóżku, nie przyszłoby do głowy, że kobieta znajduje się na tym etapie, kiedy żadna ludzka siła nie może już pomóc. Dyskretne oznaki choroby widoczne w twarzy, nieuchronne zmiany we wdzięku i krągłości jej obrysu były ledwo zauważalne wobec faktu, że cera zachowała cudowną świetlistość i delikatność właściwą urodzie młodego dziewczęcia. Oto na poduszce spoczywała twarz czule oprawiona w obfite koronki czepka, miękko zwieńczona lśniącymi brązowymi włosami – twarz, zdawałoby się, pięknej kobiety powracającej do zdrowia po lekkiej niedyspozycji albo odpoczywającej po niezwykle trudzie. Nawet Sara Leeson, która obserwowała ją od początku choroby, patrząc teraz na swą panią, z trudem mogła uwierzyć, że oto bramy życia się za nią zamknęły, a śmierć już przyzywa ją zza bram grobu.

Na kapie łóżka leżało kilka książek w papierowych okładkach, z pozaginanymi rogami. Gdy tylko zasłona została odsunięta, pani Treverton gestem dłoni kazała służącej je usunąć. Były to sztuki teatralne, których linijki gdzieś podkreślono atramentem, a marginesy zapisano adnotacjami odnoszącymi się do wejść, wyjść i miejsc na scenie. Służący, którzy rozmawiali na dole o tym, czym parała się ich pani przed wyjściem za mąż, nie padli ofiarą fałszywych pogłosek. Ich pan, mając już za sobą lata młodości, faktycznie zabrał żonę z zapyziałej sceny prowincjonalnego teatru niewiele więcej jak dwa lata po jej pierwszym występie przed publicznością. Stare sztuki z pozaginanymi rogami stanowiły niegdyś jej ukochany dramatyczny księgozbiór. Od zawsze miała do nich słabość ze względu na dawne wspomnienia, a na późniejszym etapie choroby całymi dniami zalegały na jej łóżku.

Odłożywszy sztuki, Sara wróciła do swojej pani i z wyrazem twarzy bardziej przestraszonym i zakłopotanym niż smutnym otworzyła usta, aby coś powiedzieć. Pani Treverton uniosła dłoń na znak, że chce wydać kolejne polecenie.

– Zarygluj drzwi – rzekła tym samym co poprzednio słabym, ale podobnie nieznoszącym sprzeciwu głosem, którym w tak niezwykle sposób odznaczało się jej pierwsze żądanie, aby doświetlić pokój. – Zarygluj drzwi. Nie wpuszczaj nikogo, dopóki ci nie pozwolę.

– Nikogo? – zapytała cicho Sara. – Nawet lekarza? Nawet pana?

– Nawet lekarza... nawet pana – odparła pani Treverton i wskazała na drzwi.

Jej ręka była słaba, ale nawet ten drobny gest nie pozostawiał wątpliwości,

że chodzi o rozkaz.

Sara zaryglowała drzwi, niezdecydowanie powróciła w pobliże łóżka, wyczekująco utkwiała gorejące, zalęknione spojrzenie w twarzy swojej pani i nagle pochylając się nad nią, spytała szeptem:

– Powiedziała mu pani?

– Nie – padła odpowiedź. – Posłałam po niego, aby mu powiedzieć... Walczyłam z sobą, aby wyrzec te słowa... Już sama myśl o tym, jak najlepiej mu to przekazać, dotknęła mnie do głębi... Tak bardzo jest mi bliski! Tak mocno go kocham! Ale przemówiłabym mimo to, gdyby tylko nie mówił o dziecku. Saro! On nie robił nic innego, tylko mówił o dziecku – i to zamknęło mi usta.

Niepomna na swoją pozycję, co nawet w oczach najbardziej pobłażliwej pani mogłoby wydawać się niezwykle, Sara po pierwszych słowach odpowiedzi rzuciła się na krzesło, zakryła drżącymi rękami twarz i wyjęczała do siebie:

– Ach, co teraz będzie? Co teraz będzie?

Gdy pani Treverton mówiła o swojej miłości do męża, jej wzrok złagodniał, a oczy zwilgotniały. Przez kilka minut leżała, milcząc, a działanie jakiejś silnej emocji wyrażało się w szybkim, urywanym, pełnym wysiłku oddechu i bolesnym zmarszczeniu brwi. Niebawem niespokojnie odwróciła głowę w kierunku krzesła, na którym siedziała służąca, i odezwała się ponownie, tym razem głosem zniżonym do szeptu:

– Podaj mi lekarstwo. Potrzebuję go.

Sara drgnęła i idąc za odruchem posłuszeństwa, momentalnie otarła toczące się po policzkach łzy.

– Lekarz – rzekła. – Proszę pozwolić, że zawołam lekarza.

– Nie! Lekarstwo... Poszukaj lekarstwa.

– W której butelce? Opiat...

– Nie. Nie opiat. To drugie.

Sara wzięła ze stołu butelkę i przyjrząwszy się uważnie wskazówkom wypisanym na etykiecie, powiedziała, że jeszcze nie nadszedł czas na kolejną dozę leku.

– Podaj mi butelkę.

– Ach, błagam, nich pani mnie o to nie prosi. Proszę poczekać. Lekarz powiedział, że jeśli przyjmie pani za dużo, będzie to równie szkodliwe jak popijanie alkoholu.

Czyste szare oczy pani Treverton rozbłysły, na jej policzki wystąpił rumieniec, rozkazująca ręka znów podniosła się z wysiłkiem z kapy, na której spoczywała.

– Odkorkuj butelkę – rzekła – i podaj mi. Potrzebuję sił. Nieważne, czy umrę za godzinę, czy za tydzień. Podaj mi butelkę.

– Nie, nie, nie butelkę! – powiedziała Sara, ustępując jednak pod wpływem

spojrzenia swej pani. – Zostały dwie dozy. Błagam, niech pani poczeka, aż podam kieliszek.

Ponownie zwróciła się w kierunku stołu. W tej samej chwili pani Treverton podniosła butelkę do ust, opróżniła jej zawartość i pustą rzuciła na łóżko.

– Zabiła się! – krzyknęła Sara, w przerażeniu rzucając się ku drzwiom.

– Stój! – odezwał się głos z łóżka, teraz brzmiący bardziej stanowczo niż wcześniej. – Stój! Wróć i podnieś mnie wyżej na poduszkach.

Sara położyła rękę na ryglu.

– Wracaj! – powtórzyła pani Treverton. – Dopóki jest we mnie życie, masz się mnie słuchać. Wracaj!

Jej cera nabrała wyraźnie żywszego koloru, a szeroko otwarte oczy zaśniły jaśniejszym blaskiem.

Sara wróciła i drżącymi rękami dołożyła kolejną do stosu poduszek podpierających głowę i ramiona umierającej kobiety. Podczas tej czynności pościel trochę się zburzyła. Pani Treverton drgnęła i przywróciła ją do poprzedniego ułożenia, ściśle otaczającego szyję.

– Odryglowałeś drzwi? – spytała.

– Nie.

– Zabraniam ci się do nich zbliżać. Wyjmij mój przybornik do pisania, pióro i kałamarz z gablotki koło okna.

Sara podeszła do gablotki i otworzyła ją, po czym zatrzymała się, jak gdyby nasunęło się jej jakieś nagłe podejrzenie, i spytała, po co pani przybory do pisania.

– Przynies je, a zobaczysz.

Przybornik z położoną na nim kartką papieru listowego znalazł się na kolanach pani Treverton, pióro zanurzono w atramencie i podano jej. Oczekała, na minutę zamknęła oczy i ciężko westchnęła, a potem zaczęła pisać. W chwili, gdy pióro dotknęło papieru, zwróciła się do pokojówki:

– Patrz.

Sara z niepokojem spojrzała przez ramię pani i zobaczyła, jak pióro wolno i z wysiłkiem kreśli trzy następujące słowa: „Do mojego męża”.

– Och, nie! Nie! Na miłość boską, niech pani tego nie pisze! – zawołała, łapiąc ją za rękę, zaraz jednak puszczając pod wpływem spojrzenia pani Treverton.

Pióro nie ustawało i coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem skreśliło tyle słów, aby zapełnić linijkę, potem zatrzymało się. Litery ostatniej sylaby były zamazane.

– Nie! – powtórzyła Sara, rzucając się na kolana u brzegu łóżka. – Niech pani mu o tym nie pisze, jeśli nie potrafiła mu pani powiedzieć. Proszę pozwolić mi dalej znosić to, co już tak długo znosiłam. Proszę pozwolić, aby ta tajemnica umarła wraz z panią i ze mną i nigdy na tym świecie nie została odkryta – nigdy, przenigdy!

– Tajemnicę trzeba ujawnić – odparła pani Treverton. – Mój mąż powinien ją poznać i pozna ją. Próbowałam mu powiedzieć, ale odwaga mnie zawiodła. Nie mogę powierzyć ci powiedzenia mu, kiedy mnie już nie będzie. Trzeba to napisać. Ty weź do ręki pióro. Mój wzrok się pogarsza, a czucie mnie zawodzi. Weź pióro i pisz, co podyktuję.

Zamiast posłuchać, Sara ukryła twarz w kapie i gorzko zapłakała.

– Byłaś ze mną od początku mojego małżeństwa – ciągnęła pani Treverton. – Byłaś mi bardziej przyjaciółką niż służącą. Odmawiasz mojej ostatniej prośbie? Głupia! Popatrz na mnie i posłuchaj mnie. Odmawiasz wzięcia do ręki pióra na własne ryzyko. Pisz albo nie zaznam spokoju w grobie. Pisz, albo tak jak pewne jest to, że nad nami istnieje niebo, przyjdę do ciebie z zaświatów!

Sara zerwała się na równe nogi z cichym okrzykiem.

– Przez panią przechodzą mnie ciarki! – wyszeptwała, wbijając wzrok w twarz chorej z wyrazem przesądneho przerażenia.

W tej samej chwili nadmierna dawka leku pobudzającego zaczęła działać na mózg pani Treverton. Kobieta niespokojnie rzucała głową na poduszce to w jedną, to w drugą stronę, bezmyślnie powtarzała kilka wersów z jednego ze starych dramatów, a nagle teatralnym gestem wyciągnęła w stronę służącej rękę z piórem, rzucając spojrzenie wyimaginowanej widowni na balkonie.

– Pisz! – zawołała, naśladując swój dawny sceniczny głos. – Pisz!

I słaba ręka ponownie skinęła, żałośnie i nieudolnie imitując dawny teatralny gest.

Machinalnie zaciskając palce na wetkniętym w nie piórze, Sara, nadal z przesądnym przerażeniem w oczach wywołanym słowami umierającej, czekała na dalsze polecenia. Zanim pani Treverton ponownie przemówiła, minęło kilka minut. Wciąż była na tyle przytomna, aby zachować świadomość tego, jak działał na nią lek, i chcieć powstrzymać nasilanie się tego działania, nim zdoła ono całkowicie zmącić jej myśli. Najpierw poprosiła o sole trzeźwiące, a następnie o wodę kolońską.

Ta ostatnia, wylana na chusteczkę i zaaplikowana na czoło, zdawała się skutecznie rozjaśnić umysł chorej. Jej spojrzenie odzyskało zwykły inteligentny wyraz, a kiedy ponownie zwróciła się do pokojówki, powtarzając słowo „pisz”, była w stanie wyegzekwować wykonanie polecenia, zaczynając natychmiast cicho, z rozmysłem i stanowczo dyktować treść. Łzy Sary ciekły obficie, jej wargi szeptały urywki zdań, w których błagania, wyrazy skruchy i wybuchy strachu dziwnie mieszały się jedne z drugimi, ale pisała posłusznie, chwiejnymi linijkami, dopóki nie zapisała niemal całych obu stron kartki. Wtedy to pani Treverton urwała, przejrzała tekst i biorąc pióro w dłoń, podpisała się na końcu. Po tym wysiłku jej zdolność oporu wobec działania leku zdała się znów ją opuszczać. Głęboki rumieniec ponownie oblał jej policzki, a kiedy z powrotem oddawała pióro

pokojówce, przemówiła głosem gorączkowym i chwiejnym.

– Podpisz! – zawołała, bezsilnie uderzając dłonią w pościel. – Podpisz: „Sara Leeson, świadek”. Nie! Napisz: „Wspólniczka”. Weź swoją część na siebie, ja nie pozwolę przerzucić całości na mnie. Podpisz, nalegam! Podpisz, jak mówię.

Sara posłuchała, a pani Treverton, odbierając od niej kartkę, wskazała na nią uroczyście tym samym teatralnym gestem, który wykonała już wcześniej.

– Oddasz to panu – rzekła – kiedy umrę. I odpowiesz na wszystkie jego pytania równie szczerze, jakbyś była na sądzie ostatecznym.

Splatając ściśle dłonie, Sara po raz pierwszy spojrzała na swoją panią spokojnym wzrokiem i po raz pierwszy przemówiła opanowanym głosem.

– Gdybym tylko wiedziała, że potrafię umrzeć – rzekła – ach, jakże chętnie zamieniłabym się z panią!

– Obiecuj mi, że oddasz tę kartkę panu – powtórzyła pani Treverton. – Obiecuj... nie! Nie będę polegać na obietnicy... każe ci przysiąc. Podaj Biblię, tę samą Biblię, której używał pastor, kiedy był tu dziś rano. Podaj ją albo nie zaznam spokoju w grobie. Podaj ją albo przyjdę do ciebie z zaświatów!

Pani zaśmiała się, powtarzając groźbę. Pokojówka zadrżała, wykonując polecenie, które miało na niej wymóc posłuszeństwo.

– Tak, tak – ta sama Biblia, której używał pastor – ciągnęła machinalnie pani Treverton, kiedy podano książkę. – Pastor... biedny, słaby człowiek... Przestraszyłam go, Saro. Zapytał: „Czy jest pani w zgodzie ze światem?”, a ja odparłam: „Ze wszystkimi prócz jednej osoby”. Wiesz, o kim mówiłam.

– O bracie kapitana? Ach, niech pani nie umiera w nieprzyjaźni z nikim. Niech pani nie umiera w nieprzyjaźni z nim – błagała Sara.

– Pastor powiedział to samo – wyszeptła pani Treverton, podczas gdy jej wzrok zaczynał błędzić po pokoju jak wzrok zagubionego dziecka, a ton głosu stracił nagle na stanowczości. – „Musi pani mu wybaczyć”, rzekł pastor. A ja na to: „Nie, wybaczam całemu światu, ale bratu mojego męża nie”. Pastor podniósł się z krzesła przy łóżku przestraszony. Mówił coś o tym, że będzie się za mnie modlił i że jeszcze wróci. Czy wróci?

– Tak, tak – odparła Sara. – To dobry człowiek, wróci i, ach, proszę mu powiedzieć, że wybacza pani bratu kapitana! Któregoś dnia on pożałuje tych podłych słów, które wypowiedział w dniu pani ślubu. Proszę mu wybaczyć, wybaczyć mu przed śmiercią!

Mówiąc to, próbowała dyskretnie usunąć Biblię spoza zasięgu wzroku swej pani. Jednak niezgrabny gest ściągnął uwagę chorej i pobudził jej słabnące władze umysłowe do uważniejszej obserwacji tego, co działo się wokół.

– Stój! – zawołała, a dawna stanowczość jeszcze raz błysnęła w zasnutych przedśmiertną mętnością oczach.

Z wielkim wysiłkiem ujęła rękę Sary, umieściła ją na Biblii i przytrzymała

w miejscu. Jej druga dłoń przesunęła się kawałek po pościeli, aż napotkała zapisaną kartkę adresowaną do męża. Palce zamknęły się na niej, a z ust wyrwało się westchnienie ulgi.

– Już wiem, po co była mi potrzebna Biblia – powiedziała. – Umieram przy zdrowych zmysłach, Saro, nawet teraz nie możesz mnie oszukać.

Ponownie urwała, uśmiechnęła się lekko, wyszeptwała gorączkowo do siebie: „Zaraz, zaraz, zaraz!”, a potem dodała dawnym teatralnym głosem, wykonując dawny teatralny gest:

– Nie! Nie będę polegać na twojej obietnicy. Każę ci przysiąc. Klękniij. To moje ostateczne słowa na tym świecie – sprzeciw się im, jeśli masz odwagę!

Sara upadła na kolana obok łóżka. Bryza, która wzmagająca się wraz z nadchodzącym z wolna porankiem, lekko rozchyliła zasłony i radośnie tchnęła swój słodki powiew do pokoju chorej. Wraz z nią wpadł do środka odległy szum bijących o brzeg fal, niestrudzona muzyka. Potem zasłony znów zawarły się, drżący płomień świecy na powrót się uspokoił, a okropna cisza panująca w pokoju stała się jeszcze głębsza.

– Przysięgnij! – powiedziała pani Treverton.

Kiedy wypowiedziała to jedno słowo, głos ją zawiódł. Jednak po chwili zmagania odzyskała zdolność wymowy i ciągnęła:

– Przysięgnij, że nie zniszczysz tej kartki po mojej śmierci.

Nawet gdy wypowiadała te uroczyste słowa, nawet w chwili jej ostatecznej walki o życie i siły niezatarty teatralny odruch z okropną niestosownością pokazał, jak głęboko był zakorzeniony w jej umyśle. Sara poczuła, że zimna ręka, wciąż spoczywająca na jej dłoni, na chwilę się unosi, zobaczyła, jak z wdziękiem wykonuje skinienie w jej kierunku, poczuła, jak z powrotem opada i zamyka się na jej dłoni w drżącym, niecierpliwym uścisku. Na to ostateczne wezwanie odpowiedziała cicho:

– Przysięgam.

– Przysięgnij, że nie zabierzesz z sobą tej kartki, jeśli opuścisz dom po mojej śmierci.

Sara ponownie zwlekała z odpowiedzią, ponownie poczuła na dłoni drżący uścisk, tym razem słabszy, i ponownie padło z jej ust wypowiedziane z przestrawieniem słowo:

– Przysięgam.

– Przysięgnij! – zaczęła po raz trzeci pani Treverton.

Tym razem głos ją zawiódł i nadaremnie próbowała odzyskać nad nim władzę.

Sara podniosła wzrok i dostrzegła oznaki konwulsji, które zaczęły wykrzywiać bladą twarz, zobaczyła, jak palce delikatnej, białej dłoni zakrzywiają się, sięgając w kierunku stołu, na którym stały lekarstwa.

– Wypiła pani wszystko – zawołała, zrywając się na równe nogi, kiedy pojęła znaczenie tego gestu. – Pani, moja droga pani, wypić pani wszystko – nie zostało nic prócz opiatu. Proszę pozwolić mi pójść... Proszę pozwolić mi pójść i zawołać...

Spojrzenie pani Treverton zatrzymało ją, nim zdążyła wypowiedzieć kolejne słowo. Wargi umierającej poruszały się gwałtownie. Sara zbliżyła do nich ucho. Na początku słyszała tylko zdyszany, szybki oddech, potem beładnie zmieszało się z nim kilka urywanych wyrazów:

– Nie skończyłam... musisz przysiąc... zbliż, zbliż, zbliż się... trzecia sprawa...twój pan... przysięgnij, że oddasz to...

Ostatnie słowa zamarły łagodnie. Wargi, które z takim trudem je artykułowały, nagle się rozchyliły i ponownie zamknęły. Sara rzuciła się do drzwi, otworzyła je i krzyknęła na korytarz z prośbą o pomoc. Potem pędem wróciła do łóżka, złapała kartkę, którą zapisała pod dyktando swej pani, i ukryła ją w zanadrzu. Kiedy to zrobiła, ostatnie spojrzenie pani Treverton spoczęło na niej surowo i z wyrzutem i przez jeden pełen napięcia moment zastygło w tym wyrazie. Moment ten minął, po czym zjawił się cień, który poprzedza nadejście śmierci, i w jednej spokojnej chwili zgasił światło życia na całej twarzy.

Do pokoju wszedł lekarz, za nim pielęgniarka i jedna ze służących. Pośpiesznie zbliżył się do łóżka i już po pierwszym spojrzeniu zobaczył, że czas jego posługi w tym miejscu się skończył. Najpierw odezwał się do służącej, która mu towarzyszyła:

– Idź do swego pana i poproś go, aby zaczekał w swoim pokoju, aż przyjdę i pomówię z nim.

Sara nadal stała obok łóżka – milcząca, nieruchoma, niepomna wszystkich.

Pielęgniarka, która podeszła, aby zaciągnąć zasłony, wzdrzygnęła się na widok jej twarzy i zwróciła się do lekarza.

– Myślę, że ta osoba powinna wyjść z pokoju, prawda, sir? – rzekła z wyrazem lekkiej pogardy w głosie i spojrzeniu. – Wydaje się przesadnie wstrząśnięta i przerażona tym, co się stało.

– Słusznie – zgodził się lekarz. – Najlepiej będzie, jak wyjdzie. Proszę pozwolić, że zalecę opuszczenie nas na chwilę – dodał, dotykając ramienia Sary.

Służąca cofnęła się nieufnie, podniosła jedną dłoń do miejsca, gdzie w zanadrzu ukryty był list, i przycisnęła ją mocno, drugą zaś wyciągnęła w kierunku świecy.

– Powinnaś wypocząć przez chwilę w swoim pokoju – rzekł lekarz, podając jej świecę. – Jednak nie, czekaj – dodał po chwili namysłu. – Mam zamiar obwieścić smutną wiadomość twojemu panu i może się okazać, że chce on usłyszeć ostatnie słowa, jakie pani Treverton wypowiedziała w twojej obecności. Może lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną i zaczekasz, gdy wejdę do pokoju pana

Trevertona.

– Nie! Nie! Och, nie teraz, na miłość boską, nie teraz!

Wyrzucając te słowa pośpiesznie i błagalnym tonem, Sara z przestachem cofała się ku drzwiom. Zniknęła, nie czekając ani chwili dłużej, aż ktoś coś powie.

– Dziwna kobieta! – powiedział lekarz, zwracając się do pielęgniarki. – Idź za nią i zobacz, gdzie pójdzie, na wypadek, gdyby była potrzebna i musielibyśmy po nią posłać. Poczekam tu na ciebie.

Kiedy pielęgniarka wróciła, nie miała do powiedzenia nic ponad to, że poszła za Sarą Leeson i zobaczyła, jak ta wchodzi do swojej sypialni. Nasłuchiwała pod drzwiami i usłyszała klucz przekręcany w zamku.

– Dziwna kobieta! – powtórzył lekarz. – Jedna z tych cichych, skrytych.

– Jedna z tych złych – rzekła pielęgniarka. – Ciągle mamrocze do siebie, a moim zdaniem to zły znak. Nie ufałam jej, sir, od dnia, w którym weszłam do tego domu.

Rozdział 2.

Dziecko

Gdy tylko Sara Leeson przekręciła klucz w drzwiach swojej sypialni, wzdragając się, jak gdyby sam kontakt z papierem wywoływał ból, wyjęła schowaną na piersi kartkę, położyła ją rozłożoną na małej toaletce i skwapliwie utkwiała wzrok w linijkach składających się na wiadomość, którą miała przekazać. Na początku wszystkie litery tańczyły i zlewały się w jedno. Przytknęła dłonie do powiek i trzymała je tak przez kilka chwil, po czym ponownie spojrzała na tekst.

Litery były teraz wyraźne – doskonale wyraźne – i jak się jej wydało, nienaturalnie duże. Najpierw nagłówek: „Do mojego męża”, poniżej pierwsza zatarta linijka napisana charakterem pisma zmarłej pani, dalej linijki skreślone jej własną ręką z podpisem na końcu – najpierw pani Treverton, a potem jej samej. Wszystko to zamykało się w kilku zaledwie zdaniach zapisanych na jednym nietrwałym kawałku papieru, który płomień świecy strawiłby w jednej chwili. A jednak siedziała tam, czytając i czytając wciąż na nowo, ani razu nie dotykając papieru, chyba że było to absolutnie konieczne, aby przewrócić stronę – nie ruszając się, nie odzywając, nie podnosząc wzroku znad kartki. Tak jak skazaniec mógłby odczytywać wyrok śmierci na siebie, tak Sara Leeson czytała teraz te kilka zdań, które ona i jej pani napisały wspólnie przed niespełną półgodziną.

Sekret paraliżującego działania tekstu na jej umysł leżał nie tylko w nim samym, ale w okolicznościach towarzyszących jego sporządzeniu.

Przysięga wymuszona przez panią Treverton pod wpływem czegoś równie błahego jak ostatni kaprys jej zachwianych władz umysłowych, podnieconych bezładnymi wspomnieniami wyimków sztuk i scen teatralnych, została przyjęta przez Sarę Leeson jako najświętsze i najbardziej nienaruszalne zobowiązanie, jakiego mogła się podjąć. Groźba ukarania z za grobu nieposłuszeństwa wobec ostatnich rozkazów, którą pani rzuciła na próbę, chcąc zakpić sobie z zabobonnych obaw pokojówki, wisiała teraz złowieszczo nad słabym umysłem Sary niczym wyrok, który może ją dopaść nieubłaganie w każdym momencie jej przyszłego życia. Kiedy w końcu się otrząsnęła, odsunęła od siebie kartkę i podniosła się z miejsca, stała przez chwilę zupełnie nieruchomo, zanim odważyła się obejrzeć za siebie. Gdy zaś się obejrzała, zrobiła to z wysiłkiem, wzdrygając się i nieufnie lustrując mrok zalegający zakamarki pokoju.

Jej zwyczaj mówienia do siebie znów dał o sobie znać, kiedy przemierzała pokój szybkim krokiem, chodząc to tu, to tam. Bezustannie powtarzała urywki zdań w rodzaju: „Jak mam mu oddać list?... Taki dobry pan, taki uprzejmy dla nas wszystkich... Dlaczego umarła i zrzuciła to na mnie?... Sama tego nie udźwignę, to zbyt wiele”. Powtarzając te zdania, bezwiednie zajmowała się porządkowaniem różnych rzeczy, które już wcześniej znajdowały się w idealnym porządku.

Wszystkie jej spojrzenia, wszystkie czynności zdradzały daremny wysiłek słabego umysłu, aby nie ugiąć się pod ciężarem wielkiej odpowiedzialności. Tuzin razy układała i przekładała tanie porcelanowe ozdoby na gzymsie kominka, położyła igielnik najpierw na półeczce przed lustrem, potem na stojącym obok stoliku, zmieniała położenie małego porcelanowego naczynia i tacy na stojaku do mycia rąk, ustawiając je to po jednej stronie umywalki, to po drugiej. Podczas tych wszystkich błahych czynności naturalna gracia, elegancja i zręczność kobiety towarzyszyły machinalnie najbardziej bezużytecznym i bezcelowym z jej zajęć. Niczego nie przewróciła, niczego nie przekrzywiła, najszybsze z jej kroków były bezszelestne, nawet poły sukni były ułożone w równym porządku i z równą skromnością, jak gdyby był biały dzień, a oczy wszystkich sąsiadów zwrócone były na nią.

Od czasu do czasu sens wypowiedianych bezładnie pod nosem słów zmieniał się. Czasami urywki zdań wyrażały śmielsze i bardziej niezależne myśli. Raz najwyraźniej kazały jej powrócić wbrew niej samej do toaletki i rozłożonego na niej listu. Odczytała na głos nagłówek: „Do mojego męża”, szorstkim ruchem chwyciła list i odezwała się bardziej stanowczym tonem: „Po co w ogóle mu to oddawać? Dlaczego nie pozwolić, by tajemnica umarła wraz z nią i wraz ze mną, tak jak powinna? Po co on ma się dowiedzieć? Nie dowie się!”

Wypowiadając te ostatnie słowa, desperacko zbliżyła list na cal od płomienia świecy. W tej samej chwili biała zasłona w oknie poruszyła się lekko wraz z rześkim powietrzem, które przedarło się do środka poprzez staromodne, nieszczelne ramy okienne. Wzrok Sary padł na zasłonkę, gdy ta delikatnie wydeła się i opadła z powrotem. Kobieta raptownie przycisnęła obiema rękami list do piersi i cofnęła się pod ścianę. W jej wzroku, wciąż utkwionym w zasłonie, znać było to samo ślepe przerażenie, które pojawiło się, gdy pani Treverton zagroziła, że upomni się z zaświatów o posłuszeństwo swojej służącej.

– Coś się rusza – wydusiła teraz stłumionym szeptem. – Coś się rusza w pokoju.

Zasłona wolno wydeła się i opadła po raz drugi. Sara, patrząc na nią badawczo, przesunęła się wzdłuż ściany do drzwi.

– Już do mnie przychodzisz? – rzekła ze wzrokiem utkwionym w zasłonie, podczas gdy ręka macała zamek w poszukiwaniu klucza. – Zanim wykopią ci grób? Zanim zrobią ci trumnę? Zanim twoje ciało ostygnie?

Otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na korytarz, tam zatrzymała się na chwilę i spojrzała z powrotem w głąb pokoju.

– Spocznij, o pani! – powiedziała. – Spocznij, on dostanie list.

Prowadzona światłem lampy na klatce schodowej, przemierzyła korytarz. Pośpiesznie zeszła na dół, jak gdyby bojąc się pozostawić sobie czas do namysłu, i w ciągu minuty czy dwóch dotarła do gabinetu kapitana Trevertona na parterze.

Drzwi były szeroko otwarte, a pokój pusty.

Po chwili namysłu wzięła jeden z lichtarzy stojących na podręcznym stoliku, odpała świecę od lampy w gabinecie i ponownie weszła na górę, kierując się ku sypialni pana. Po tym, jak kilkakrotnie zapukała, nie doczekawszy się odpowiedzi, odważyła się wejść do środka. Łóżko było nienaruszone, a świece niezapalone – wszystko wskazywało na to, że tej nocy pan nawet nie wszedł do swojego pokoju.

Pozostawało tylko jedno miejsce, w którym można było go szukać – pokój, gdzie leżała jego martwa żona. Czy zdoła zebrać się na odwagę i wręczyć mu tam list? Przez chwilę zawahała się, a potem wyszeptała: „Muszę! Muszę!”.

Kierunek, do jakiego obrania teraz zmusiła samą siebie, poprowadził ją z powrotem kawałek w dół. Tym razem schodziła bardzo powoli, ostrożnie trzymając się poręczy i przystając dla zaczerpnięcia powietrza niemal na każdym stopniu. Kiedy odważyła się zapukać do drzwi sypialni pani Treverton, otworzyła jej pielęgniarka, która szorstko i podejrzliwie zapytała, czego Sara chce.

- Porozmawiać z moim panem.
- Szukaj go gdzie indziej. Był tu pół godziny temu. Teraz go nie ma.
- Czy wiesz, dokąd poszedł?
- Nie. Nie wtrącam się w to, gdzie wchodzi i skąd wychodzą inni. Pilnuję własnego nosa.

Po tej niegrzecznej odpowiedzi pielęgniarka ponownie zamknęła drzwi. Właśnie kiedy Sara się od nich odwróciła, jej wzrok padł na drugi koniec korytarza. Znajdowały się tam drzwi do pokoju dziecinnego. Były otwarte, a z wnętrza wydobywał się nikły blask drżącego płomienia świecy.

Natychmiast ruszyła w tamtym kierunku, widząc, że światło dochodzi z głębi pokoju zajmowanego zazwyczaj, jak dobrze wiedziała, przez piastunkę i jedyne dziecko w domu Trevertonów – dziewczynkę imieniem Rosamond, liczącą sobie wtedy prawie pięć lat.

- Czyżby był tam? Ze wszystkich pokoi w domu akurat w tym!

Równie szybko jak myśl ta powstała w jej głowie, Sara uniosła list (który dotąd trzymała w ręce) do gorsu sukni i ukryła go tam po raz drugi, tak samo jak ukryła go, wychodząc z sypialni swej pani.

Następnie zakradła się na palcach przez pokój dziecinnie do położonego w głębi pomieszczenia. Wejście, zgodnie z zachcianką dziecka, sklepienie było na kształt łuku i obramowane pomalowanym jaskrawo trejażem, na wzór wejścia do altany. Dwie ładne perkalowe zasłony zawieszane na trejażu stanowiły jedyną przegrodę pomiędzy pokojem dziennym a sypialnią. Jedna z nich była podwieszona i w kierunku powstałego w ten sposób otworu przysunęła się teraz Sara, zostawiwszy przezornie świecę w korytarzu.

Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła jej uwagę w sypialni dziecka, była postać piastunki wyciągniętej i smacznie śpiącej w głębokim fotelu przy oknie.

Dokonawszy tego odkrycia, Sara odważyła się zajrzeć śmieiej do pokoju i ujrzała swego pana siedzącego plecami do niej przy łóżeczku dziecka. Mała Rosamond nie spała, stała w łóżeczku, obejmując ramionami szyję ojca. Jedną z rączek zarzuconych na jego ramię trzymała lalkę, którą dziewczynka zabrała z sobą do łóżka, palce drugiej delikatnie wplatały się w jego włosy. Dziecko, wyczerpane atakiem gwałtownego płaczu, teraz tylko od czasu do czasu pojękiwało z głową złożoną ociężale na piersi ojca.

Oczy Sary zaszyły łzami, kiedy patrzyła na swego pana i drobne rączki obejmujące go za szyję. Zatrzymała się przy uniesionej zasłonie, niepomma na to, że w każdej chwili może zostać odkryta, i trwała tak, dopóki nie usłyszała, jak kapitan Treverton mówi uspokajająco do dziecka:

– Ciii, kochana Rosie! Ciii, moja miła! Nie płacz już za biedną mamą. Pomyśl o biednym papie i spróbuj go pocieszyć.

Słowa te, choć proste, wypowiedziane cicho i łagodnie, zdały się natychmiast sprawić, że Sara Leeson straciła panowanie nad sobą. Nie dbając o to, czy ją posłyszają, odwróciła się i wybiegła na korytarz, jak gdyby coś ją goniło. Minęła świecę, którą tam zostawiła, nawet na nią nie patrząc, rzuciła się w kierunku schodów i zbiegła po nich na oślep na piętro kuchenne. Jeden z czuwających tam służących zobaczył ją i z wyrazem osłupienia i trwogi na twarzy zapytał, co się stało.

– Jestem chora... Słabo mi... Powietrza! – bełkotała. – Otwórz drzwi do ogrodu i wypuść mnie.

Mężczyzna posłuchał, ale z powątpiewaniem, jak gdyby uważał, że nie można jej ufać.

– Zachowuje się coraz dziwniej – powiedział, powróciwszy do swego towarzysza po tym, jak Sara przemknęła obok niego w drodze na dwór. – Teraz, gdy pani nie żyje, zdaje się, że będzie musiała poszukać sobie innej posady. Jeśli o mnie chodzi, nie będę za nią płakał. A ty?

Rozdział 3.

Ukrycie tajemnicy

W ogrodzie Sarę uderzył w twarz powiew rześkiego, słodkiego powietrza,

który nieco ostudził jej wzburzenie. Skręciła w boczną alejkę prowadzącą na taras; rozciągał się z niej widok na pobliską wieś, której centralny punkt stanowił kościół.

Na zewnątrz było już widno. Mglisty, rdzawy brzask poprzedzający wschód słońca rozlewał się spokojnie i pięknie za brunatnym pasem wrzosowisk po wschodniej stronie nieba. Stary kościół z niewielkim cmentarzem okolonym żywopłotem z mirtu i fuksji, tak bujnym, jakie spotkać można tylko w Kornwalii, jaśniał i nabierał wyrazistości niemal równie szybko jak sam poranny firmament. Sara złożyła ociężałe ramiona na oparciu ławki ogrodowej i zwróciła twarz ku kościołowi. Jej wzrok powędrował z budowli na przyległy do niej cmentarz, zatrzymał się tam i śledził, jak coraz cieplejsze tony światła obejmowały samotne zacisze, gdzie spoczywali zmarli.

– Och, moje serce, moje serce! – rzekła. – Z czegoż musi ono być zrobione, że nie pęka?

Pozostała tam przez chwilę, opierając się o ławkę, spoglądając smutno w kierunku cmentarza i rozmyślając o słowach, które kapitan Treverton wypowiedział do dziecka. Zdawały się one łączyć, podobnie jak wszystko inne w jej umyśle, z listem napisanym na łożu śmierci pani Treverton. Po raz kolejny wyciągnęła go z zanadru i ze złością zmięła w palcach.

– Wciąż w moich rękach! Wciąż nieznanym żadnym oczom prócz moich! – powiedziała, spoglądając na zgniecioną kartkę. – Czy to wyłącznie moja wina? Gdyby teraz żyła, gdyby widziała, co ja widziałam, słyszała, co ja słyszałam w pokoju dzieciennym, czy oczekiwałaby, że oddam mu list?

Zdało się, że refleksja zawarta w tych ostatnich słowach uspokoiła jej umysł. W zamyśleniu oderwała się od ławki, przemierzyła taras, zeszła po kilku drewnianych stopniach i ruszyła obrośniętą krzewami ścieżką wijącą się od wschodu domu w kierunku jego północnego skrzydła.

Ta część budynku od ponad pół wieku pozostawała niezamieszкана i zaniedbana. Za czasów ojca kapitana Trevertona cały ciąg północnych pokoi ogołococono z najlepszych obrazów i najcenniejszych mebli, aby pomóc w urządzeniu pokoi zachodnich, które teraz stanowiły jedyną zamieszkaną część domu i w zupełności wystarczały, aby pomieścić rodzinę oraz odwiedzających gości. Dwór został wzniesiony na planie kwadratu i początkowo miał charakter silnie obronny. Z licznych fortyfikacji pozostała teraz tylko jedna – masywna, niska wieża (której to wraz z pobliską wsią dwór zawdzięczał nazwę Porthgenna Tower) znajdująca się na południowym skraju zachodniej fasady. Południowa strona składała się ze stajni i przybudówek otoczonych niszczącym murem, który biegł na wschód, skręcał pod kątem prostym i łączył się z północnym skrzydłem dworu, zamykając tym samym kwadrat.

Widok z zarośniętego, opuszczonego ogrodu w dole na ciąg pokoi północnej strony nie pozostawiał wątpliwości, że wiele lat minęło od dnia, gdy zamieszkiwała

je jakaś ludzka istota. Szyby w oknach były gdzieś powybijane, a w pozostałych miejscach pokryte grubą warstwą brudu i kurzu. Okienne miejsca były zamknięte, miejscami za ledwie na wpół uchylone. Dziki bluszcz, bujna roślinność rosnąca w rozpadlinach muru, girlandy pajęczyn, gruzowisko drewna, cegieł, gipsu, tłuczonego szkła, szmat i kawałków ubłoconych tkanin zalegających pod oknami – wszystko to świadczyło o zaniedbaniu. Ze względu na zacienione położenie zrujnowane skrzydło domu miało wygląd mroczny, chłodny i zimowy nawet w słoneczny sierpniowy poranek, kiedy to Sara Leeson zapuściła się do opuszczonej części ogrodu. Zagubiona w labiryncie własnych myśli, mijała od dawna nieuprawiane rabaty kwiatowe, posuwając się po zarośniętych chwastami żwirowych alejkach. Jej wzrok błędził w roztargnieniu wokoło, a stopy niosły ją bezwiednie tam, gdzie pojawiał się jakiś zarys ścieżki, nieważne, dokąd ona prowadziła.

Wstrząs, jaki wywarły na jej umyśle słowa pana wypowiedziane w pokoju dziecinnym, przyparł, można powiedzieć, całą jej naturę do muru i nareszcie wzniecił w niej odwagę, aby powziąć ostateczne i rozpaczliwe postanowienie. Snując się po ścieżkach opuszczonego ogrodu, w miarę jak jej myśli odrywały ją coraz bardziej od otaczającego ją świata, Sara nagle zatrzymała się bezwiednie na skrawku otwartej przestrzeni, która była niegdyś zadbanym trawnikiem i z której nadal roztaczał się znakomity widok na długi ciąg niezamieszkałych północnych pokoi.

„Co mi w ogóle każe oddawać list mojemu panu?” – pomyślała jak we śnie, wygładzając pomietą kartkę na wnętrzu dłoni. „Moja pani umarła, nie zdążywszy wymóc na mnie przysięgi, że to zrobię. Czy może wrócić do mnie z zaświatów, jeśli dotrzymam obietnic, których przysięgłam dotrzymać, i nic więcej? Czy mogę nie narazić się na najgorsze, jeśli tylko sumiennie wypełnię wszystko, do czego się zobowiązałam?”

W tym miejscu rozważania Sary urwały się. Na zewnątrz, w jasnym świetle dnia, jej zabobonne lęki nadal miały nad nią władzę, podobnie jak miały nad nią władzę w ciemnościach jej pokoju. Przystanęła, po czym zaczęła ponownie wygładzać list i przypominać sobie warunki uroczystego zobowiązania, do podjęcia którego zmusiła ją pani Treverton.

Co właściwie obiecała? Że nie zniszczy listu ani nie zabierze go z sobą, jeśli opuści dom. Ponadto życzeniem pani Treverton było, aby oddać list jej mężowi. Czy to ostatnie zadanie wiązało osobę, której zostało powierzone? Tak. Wiazało pod przysięgą? Nie.

Doszedłszy do tego wniosku, Sara spojrzała w górę.

Przypadkowo jej wzrok spoczął na samotnej, zaniedbanej północnej fasadzie domu, ale stopniowo zaczął skupiać się na jednym konkretnym oknie położonym dokładnie pośrodku, na pierwszym piętrze – największym i najbardziej ponurym

w całym rzędzie. Nagle oczy Sary rozbłysły, jakby coś pojęła. Drgnęła, na jej policzki wystąpił lekki rumieniec i pośpiesznie podeszła do ściany domu.

Szyby w wielkim oknie były pożółkłe od kurzu i brudu, fantastycznie spowite pajęczynami. Pod oknem znajdowała się kupa rupieci rozrzuconych na skrawku wyschniętej ziemi, który dawniej mógł być grządką kwiatów lub krzewów. Kształt rabatki nadal pozostawał widoczny dzięki podłużnej obwódce z chwastów i wybujałej trawy. Okrążyła ją, co krok rzucając spojrzenie na okno, po czym przystanęła tuż pod nim, zerknęła na list i nagle rzuciła na głos:

– Zaryzykuję!

Po tych słowach pośpieszyła z powrotem do zamieszkałej części domu, przeszła prowadzącym do pokoju gospodyni korytarzem na piętrze kuchennym i zdjęła z gwoźdźca w ścianie pęk kluczy zawieszonych na kółku, do którego przyczepiona była tabliczka z kości słoniowej z napisem „Klucze do północnych pokoi”.

Sara położyła klucze na stojącym opodal biurku, wzięła do ręki pióro i na pustej stronie listu, który napisała pod dyktando swej pani, szybko dodała następujące słowa:

Jeśli ktoś kiedykolwiek znajdzie ten list (o co z całego serca modłę się, aby się nie stało), chciałabym powiedzieć, że postanowiłam go ukryć, ponieważ nie mam odwagi pokazać go memu panu, do którego jest skierowany. Choć robiąc to, co zamierzam zrobić, postępuję wbrew ostatniej woli mej pani, nie łamię uroczystego zobowiązania, do jakiego zmusiła mnie na łożu śmierci. Zobowiązanie to zabrania mi zniszczyć list lub zabrać go ze sobą, jeśli opuszczę dom. Nie zrobię jednego ani drugiego – mam zamiar ukryć list w miejscu, gdzie, jak sądzę, istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek ktoś go odnajdzie. Wszelkie trudy czy nieszczęścia, jakie mogą wyniknąć z tego nieuczciwego postępuku z mojej strony, niech spadną na mnie. Inni, w co wierzę z całego serca, będą szczęśliwsi z powodu ukrycia strasznej tajemnicy, którą ten list zawiera.

Podpisała linijki swoim nazwiskiem, szybko przycisnęła je do bibuły, która leżała na biurku wraz z resztą materiałów piśmienniczych, wzięła list, uprzednio go złożywszy, po czym chwyciła pęk kluczy i oglądając się na boki, jak gdyby bała się, że ktoś obserwuje ją z ukrycia, wyszła z pokoju. Od chwili, gdy się tam znalazła, wszystkie jej ruchy były pośpieszne i gwałtowne – najwyraźniej bała się pozostawić sobie choć jedną chwilę do namysłu.

Wyszędłszy z pokoju gospodyni, skręciła w lewo, wspięła się boczną klatką schodową i przekręciła klucz w drzwiach u jej szczytu. Kiedy delikatnie je otworzyła, wionął na nią tuman wznieconego ruchem kurzu. Chłodne, zatęchłe powietrze sprawiło, że zadrżała, gdy znalazła się w wielkim kamiennym holu, gdzie na ścianach wisiały poczerńiałe od starości portrety rodzinne, których płótna

wybrzuszały się poza ramy. Wspiąwszy się na kolejne schody, dotarła do szeregu drzwi prowadzących do pokoi na pierwszym piętrze północnego skrzydła domu.

Położywszy list na deskach podłogi obok siebie, uklękła na wprost dziurki od klucza w czwartych z kolei drzwiach, przez chwilę zaglądała przez nią niepewnie do środka, a potem zaczęła dopasowywać do zamka różne klucze, dopóki nie znalazła właściwego. Sprawilo jej to niemałą trudność, ponieważ ręce tak się jej trzęsły ze zdenerwowania, że ledwo mogła oddzielić od siebie poszczególne klucze. W końcu udało jej się otworzyć drzwi. Wnętrze pokoju było, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej zakurzone niż poprzednie pomieszczenia. Suche, duszące powietrze chwyciło kobietę za gardło, gdy pochyliła się, aby podnieść z podłogi list. W pierwszej chwili cofnęła się przed nim i zawróciła kilka kroków w kierunku klatki schodowej. Ale zaraz potem odzyskała wcześniejszą stanowczość.

– Nie mogę teraz zawrócić! – powiedziała z desperacją i wkroczyła do pokoju.

Nie pozostała w środku dłużej niż dwie czy trzy minuty. Kiedy wyszła, twarz miała białą ze strachu, a w ręce, w której wchodziła do pokoju, trzymała list, dzierżyła teraz jedynie zardzewiały kluczyk.

Ponownie zamknąwszy drzwi, z większą niż dotychczas uwagą przyjrzała się wielkiemu pękowi kluczy zabranych z pokoju gospodyni. Oprócz tabliczki z kości słoniowej przymocowanej do obręczy łączącej klucze niektóre z nich miały przewleczone przez otwory osobne, mniejsze etykiety z pergaminu, wskazujące pokoje, do których dawały dostęp. Klucz, którego użyła, miał właśnie taką etykietę. Przybliżyła skrawek pergaminu do światła i odczytała rząd wyblakłych liter: „Pokój Mirtowy”.

Pokój, w którym ukryty został list, miał zatem nazwę! Wdzięcznie brzmiała nazwę, która pociągałaby większość ludzi i miło zachowała się w ich pamięci. Nazwę, której ona nie będzie ufać po tym, co zrobiła, z tego właśnie powodu.

Z kieszeni fartucha, gdzie zwykle go nosiła, wyjęła przybornik do szycia i nożyczkami odcięła etykietę od klucza. Czy wystarczyło zniszczyć tę jedną? Pogrążyła się w domysłach, które nie doprowadziły jej donikąd, i w końcu odcięła wszystkie etykiety, nie mając żadnego innego powodu jak instynktowna nieufność.

Starannie zebrawszy kawałki pergaminu z podłogi, włożyła je wraz z zardzewiałym kluczykiem wyniesionym z Pokoju Mirtowego do pustej kieszeni fartucha. Następnie niosąc w dłoni wielki pęk kluczy i dokładnie zamykając drzwi, które otwarła w drodze do północnego skrzydła Porthgenna Tower, wróciła do pokoju gospodyni, weszła do środka, nie spotykając nikogo, i odwiesiła klucze na gwóźdź w ścianie.

Jako że już całkiem dniało, Sara w obawie przed spotkaniem którejś z kobiet będących na służbie pośpieszyła do swojego pokoju. Świeca, którą zostawiła, nadal

płonęła blado w świetle nowego dnia. Gdy zgasiwszy ją, służąca odsunęła zasłonę w oknie, przez jej twarz mimo spływającego na nią jasnego światła przemknął cień lęku. Otworzyła okno i z lubością wdychała rześkie powietrze.

Na dobre czy na złe, nieszczęsna tajemnica była teraz ukryta – stało się. W uzmysłowaniu sobie tego faktu było coś kojącego. Od tej chwili Sara z większym spokojem mogła myśleć o sobie i niepewnej przyszłości, jaka ją czekała.

Teraz, gdy śmierć przecięła jej związek z panią, w żadnym razie nie mogła oczekiwać, że pozostanie na swojej posiadzie. Wiedziała, że w ostatnich dniach choroby pani Treverton usilnie polecała swoją pokojówkę uprzejmości i opiece kapitana Trevertona, i była pewna, że ostatnie prośby żony zarówno w tym, jak i w innych przypadkach będą przez męża uważane za najświętsze obowiązki. Ale czy mogła przyjąć jakiegokolwiek dobrodziejstwa z rąk pana, którego pomogła oszukać i wobec którego właśnie dopuściła się kolejnego oszustwa? Sama myśl o podobnej niegodziwości była tak odrażająca, że niemal z ulgą przyjęła jedyne smutne wyjście, jakie jej pozostało – niezwłoczne opuszczenie domu.

Ale jak miała to zrobić? Dając oficjalne wypowiedzenie i tym samym narażając się na pytania, które z pewnością zmieszają ją i przerażą? Czyż mogła ośmielić się raz jeszcze stanąć twarzą w twarz ze swym panem po tym, co zrobiła, gdy pierwsze pytania, jakie zada, będą dotyczyły pani, gdy z pewnością będzie ją wypytywał o ostatnie smutne szczegóły, o najdrobniejsze słówko wypowiedziane tuż przed śmiercią, której była jedynym świadkiem? Kiedy nieuniknione konsekwencje poddania się tej nieznośnej próbie opadły naraz jej umysł, Sara zerwała się na równe nogi, zdjęła płaszcz z jego stałego miejsca na ścianie i w przypływie podejrzliwości i strachu przytknęła ucho do drzwi. Czyżby słyszała kroki? Czy to pan już po nią posyła?

Nie, na zewnątrz panowała cisza. Kilka łez stoczyło się po policzkach dziewczyny, gdy zakładała czepek, i poczuła, że wykonując tę prostą czynność, mierzy się z ostatnią i może najtrudniejszą z okrutnych konieczności, które sprowadziło na nią ukrycie tajemnicy. Nie było rady. Albo zaryzykuje, że wyda wszystko, albo stawia czoła podwójnej próbie opuszczenia Porthgenna Tower, i to opuszczenia po kryjomu.

Po kryjomu – niczym złodziej? Bez słowa pożegnania z panem? Bez skreślenia choćby jednej linijki, w której podziękuje mu za jego dobroć i poprosi o przebaczenie? Zdażyła otworzyć biurko i wyjąć z niego portmonetkę, jeden czy dwa listy i mały tomik hymnów Wesleya, zanim względy te przyszły jej do głowy. Teraz sprawiły, że wstrzymała się z zamknięciem biurka. „Czy mam napisać – zastanowiła się – i zostawić tu list, który znajdą, gdy wyjadę?”

Po kolejnej chwili namysłu odpowiedziała na to pytanie twierdząco. Tak szybko, jak tylko jej pióro potrafiło uformować litery, skreśliła kilka zdań do

kapitana Trevertona, przyznając się do zachowania przed nim tajemnicy, którą polecono jej wyjawić, i dodając, że jest głęboko przekonana, iż nic złego dla niego ani dla nikogo, kto jest dla niego ważny, nie wyniknie z faktu niewykonania powierzonego jej zadania, kończąc prośbą o wybaczenie opuszczenia przez nią domu po kryjomu i w ramach ostatniej przysługi błagając, aby nigdy jej nie szukano. Zapieczętowała tę krótką wiadomość, opatrzyła ją nazwiskiem pana i zostawiła na biurku, po czym znów nasłuchiwała przy drzwiach, a upewniwszy się, że w całym domu panuje jeszcze cisza, po raz ostatni zeszła schodami Porthgenna Tower.

Przy wejściu do korytarza prowadzącego do pokoju dziecinnego przystanęła. Łzy powstrzymywane od momentu przestąpienia progu znów zaczęły płynąć. Jakkolwiek miała teraz pilne powody, aby wyjść, nie tracąc ani chwili, z niezrozumiałą niekonsekwencją postąpiła kilka kroków w kierunku drzwi do pokoju dziecinnego. Nie uszła daleko, gdy uszu jej dobiegł drobny hałas w dolnej części domu, co sprawiło, że stanęła w pół kroku.

Podczas gdy trwała tak niezdecydowana, żal, który nosiła w sercu – większy od wszystkich, jakie do tej pory okazała – nieprzeparcie podszedł do jej warg i wydarł się z nich w postaci pojedynczego głębokiego, zdławionego szlochu. Zdało się, że dźwięk ten przywrócił jej świadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje, jeśli będzie zwlekać choć chwilę dłużej. Pędem zawróciła na schody, bezpiecznie dotarła na piętro kuchenne i uciekła przez te same drzwi ogrodowe, które służący otworzył dla niej o świcie.

Opuściwszy teren posiadłości, Sara zamiast obrać najkrótszą ścieżkę prowadzącą przez wrzosowisko do gościńca, skręciła w stronę kościoła, ale zanim do niego dotarła, zatrzymała się przy miejscowej publicznej studni wykopanej opodal chat rybaków z Porthgenna. Ostrożnie rozglądając się wokół siebie, wrzuciła do niej zardzewiały kluczyk, który wyniosła z Pokoju Mirtowego, a potem pośpieszyła dalej i weszła na cmentarz. Skierowała się prosto ku jednemu z grobów, położonemu nieco z dala od innych. Na tablicy nagrobnej wyryto następujące słowa:

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

HUGH POLWHEAL

LAT 26

ZGINAŁ ŚMIERCIA TRAGICZNĄ

PRYZGNIECIONY SKAŁĄ

W

KOPALNI W PORTHGENNA

17 GRUDNIA 1823

Sara zerwała z grobu kilka źdźbeł trawy, otworzyła tomik hymnów Wesleya zabrany z sypialni w Porthgenna Tower, po czym ostrożnie umieściła źdźbła między kartami. Gdy to robiła, powiew wiatru otworzył książeczkę na stronie tytułowej i ukazał następujące słowa napisane dużymi, koślawymi literami: „Książka Sary Leeson. Dar Hugh Polwheala”.

Zabezpieczywszy źdźbła między kartami książki, Sara zawróciła w stronę ścieżki prowadzącej do gościńca. Przybywszy na wrzosowisko, wyjęła z kieszeni fartucha pergaminowe etykiety odcięte od kluczy i rozrzuciła je pod krzakami kolcolistu.

– Zniknęły – powiedziała – podobnie jak ja zniknęłam! Niech Bóg pomoże mi i wybaczy: już po wszystkim!

Z tymi słowy odwróciła się od starego dworu oraz widniejącego poniżej morza i ruszyła ścieżką wśród wrzosowisk w stronę gościńca.

Cztery godziny później kapitan Treverton polecił jednemu ze służących w Porthgenna Tower przekazać Sarze Leeson, że chciałby usłyszeć wszystko, co ma mu do powiedzenia na temat ostatnich chwil życia swojej pani. Posłaniec wrócił z wyrazem zdumienia na twarzy oraz listem skreślonym przez Sarę do pana w dłoni.

Gdy tylko kapitan Treverton przeczytał list, zarządził niezwłoczne poszukiwania zbiegłej kobiety. Tak łatwo było ją opisać i rozpoznać dzięki przedwczesnej siwiźnie, dziwnemu, zalęknionemu spojrzeniu i zwyczajowi ciągłego mówienia do siebie, że bardzo szybko udało się odnaleźć jej trop aż do Truro. Jednak w tym dużym mieście ślad się urwał i już nigdy nie odnalazł.

Wyznaczono nagrody, sprawą zainteresowała się administracja okręgu, zrobiono wszystko, co mogły zdziałać władza i pieniądze, aby odnaleźć Sarę – na próżno. Nie natrafiono na żadną wskazówkę pozwalającą domyślić się, gdzie przebywa dawna służąca, lub pomagającą w najmniejszym choćby stopniu wyjaśnić naturę tajemnicy, o której napomknęła w liście. Jej pan nigdy już jej nie zobaczył, nigdy o niej nie usłyszał po poranku 23 sierpnia 1829 roku.

Księga II

Rozdział 1.

Piętnaście lat później

Kościół w Long Beckley (dużej rolniczej wsi w jednym z centralnych hrabstw Anglii), choć jako budynek w żaden sposób nie wyróżnia się swoim rozmiarem, architekturą czy wiekiem, ma jednak pewną zaletę, której kupiecki Londyn barbarzyńsko odmówił imponującej katedrze św. Pawła. Ma on mianowicie mnóstwo miejsca wokół siebie i co za tym idzie, z którejkolwiek strony świata by patrzeć, jest widoczny jak na dłoni.

Na rozległą otwartą przestrzeń wokół kościoła można dotrzeć z trzech różnych stron. Jest droga ze wsi wiodąca prosto do głównego wejścia. Jest szeroka żwirowa ścieżka, która zaczyna się przy bramie plebanii, przecina cmentarz i urywa się, jak na rozkaz, przy drzwiach zakrystii. Jest też dróżka przez pola, którą właściciel majątku oraz ogół szlachty zamieszkującej tę majestatyczną okolicę może dotrzeć do bocznych drzwi budowli za każdym razem, gdy wrodzona pokora skłoni ich do celebrowania dnia świętego udaniem się do kościoła, podobnie jak wierni niższego stanu, na własnych nogach.

Gdyby pewnego pogodnego letniego poranka 1844 roku o godzinie wpół do ósmej jakiś spostrzegawczy nieznajomy przypadkiem znalazł się w ustronnym zakątku cmentarza i bacznie rozejrzał wokół, zapewne stałby się świadkiem wydarzenia mogącego nasunąć mu myśl, że w Long Beckley ma miejsce spisek, którego punktem zbornym jest kościół, a głównymi przywódcami jedni z najbardziej szanowanych mieszkańców. Załóżmy, że w chwili, w której zegar wybijał pół godziny, nieznajomy patrzyłby w stronę plebanii. Zobaczyłby proboszcza miejscowej parafii, czcigodnego doktora Chennery'ego, jak wychodzi z domu nie wiedzieć czemu tylnymi drzwiami, z miną winowajcy ogląda się za siebie, zbliżając się do zakrystii żwirową ścieżką, zatrzymuje się tuż przy wejściu i niespokojnie spogląda na drogę prowadzącą od wsi.

Zakładając, że nasz spostrzegawczy nieznajomy, widząc to, pozostałby poza zasięgiem wzroku, i śladem proboszcza spojrzął na drogę, zobaczyłby następnie zakrystiana – surowego mężczyznę z żółtą twarzą – z wyglądu protestanckiego Loyolę, a z zawodu czynnego szewca, jak zbliża się z tajemniczym wyrazem twarzy i pękiem wielkich kluczy w dłoni. Dostrzegłby, jak proboszcz w roztargnieniu kłania się zakrystianowi i mówi: „Piękny poranek, Thomasie. Czy jesteś już po śniadaniu?”. Usłyszałby, jak Thomas odpowiada z podejrzaną dbałością o najdrobniejsze szczegóły: „Zjadłem kromkę chleba i wypilem filiżankę herbaty, sir”. A potem zobaczyłby, jak ci dwaj miejscowi spiskowcy, spojrzawszy jak na komendę na kościelny zegar, wycofują się razem pod boczne wejście, skąd

rozpościerał się widok na dróżkę przez pola.

Idąc za nimi – czego nasz dociekliwy nieznajomy nie omieszkałby zrobić – odkryłby on kolejnych trzech spiskowców nadchodzących ścieżką. Przywódcą tej zdradzieckiej szajki był starszy mężczyzna z twarzą ogorzałą od słońca oraz wiatru, o bezpośrednim, serdecznym sposobie bycia. Za nim szli ramię w ramię młody dżentelmen i młoda dama, rozmawiając szeptem. Mieli na sobie najzwyczajniejsze poranne stroje. Twarze obojga były nieco pobladłe, a zachowanie damy wskazywało na lekkie zdenerwowanie. Poza tym nie było w nich nic niezwykłego, dopóki nie doszli do furtki prowadzącej na cmentarz. Tu działanie młodego dżentelmena wydało się na pierwszy rzut oka dość niezrozumiałe. Zamiast otworzyć furtkę przed damą, zatrzymał się, pozwolił, aby sama ją otworzyła, poczekał, aż znajdzie się w obrębie cmentarza, a następnie, wyciągając rękę ponad furtką, pozwolił przeprowadzić się przez wejście, jak gdyby nagle zmienił się z dorosłego człowieka w bezradne dziecko.

Zauważywszy to, jak również odnotowawszy, że gdy towarzystwo przybyłe z pól znalazło się na tyle blisko proboszcza, aby się z nim przywitać, i gdy zakrystian otworzył kluczem drzwi kościoła, młody towarzysz damy został wprowadzony do budynku (tym razem przez doktora Chennery'ego), tak jak wcześniej został przeprowadzony przez furtkę, nasz spostrzegawczy nieznajomy musiałby dojść do jedyne go nieuchronnego wniosku – osoba wymagająca podobnej pomocy cierpi z powodu ślepoty. Gdyby, zdumiony nieco tym odkryciem, nieznajomy zajrzał do kościoła, doznałby kolejnego zaskoczenia, widząc niewidomego mężczyznę i młodą damę stojących razem przed ołtarzem w rodzicielskiej asyście starszego dżentelmena. Gdyby miał teraz jakiegokolwiek wątpliwości, że więzi łączące spiskowców o tej wczesnej porannej godzinie są z gatunku ślubnych i że przedmiotem spisku jest zawarcie małżeństwa w największej tajemnicy, zostałyby one rozwiane pięć minut później wyłonieniem się z zakrystii doktora Chennery'ego w szatach liturgicznych i odprawieniem nabożeństwa ślubnego w najbardziej melodyjnych tonach, w jakich czcigodny dżentelmen zwykł był sprawować liturgię. Po zakończeniu ceremonii towarzyszący nieznajomy musiałby być bardziej zdumiony niż dotąd, widząc, że gdy tylko dopełniono właściwych dla tej okazji obowiązków podpisywania, całowania i gratulowania, zaangażowane w całe zajście osoby rozdzieliły się i szybko udały w trzech różnych kierunkach, z których przybyły do kościoła.

Pozostawmy teraz zakrystiana, który powrócił do siebie wiejską drogą, pannę młodą, pana młodego i starszego dżentelmena, którzy wstąpili z powrotem na polną dróżkę, oraz wyimaginowanego nieznajomego z kart tej książki, pozwalając mu zniknąć gdziekolwiek, a podążmy za doktorem Chenneryem do stołu śniadaniowego na plebanii i posłuchajmy, co ma do powiedzenia o swoich porannych zawodowych wysiłkach w familijnej atmosferze własnego kręgu

rodzinnego.

Osobami zgromadzonymi przy śniadaniu były: po pierwsze pan Phippen, gość, po drugie panna Sturch, guwernantka, po trzecie, czwarte i piąte panna Louisa Chennery (lat jedenaście), panna Amelia Chennery (lat dziewięć) oraz panicz Robert Chennery (lat osiem). Brakowało tylko matki, która dopełniłaby domowego obrazka. Doktor Chennery w chwili narodzin swego najmłodszego dziecka został bowiem wdowcem.

Gościem był przyjaciel proboszcza z czasów studenckich, który teraz zatrzymał się w Long Beckley dla podreperowania zdrowia. Większość mężczyzn mających charakter próbuje zyskać opinię, która wyróżniałaby ich w ich kręgu towarzyskim. Pan Phippen w ocenie przyjaciół wyróżniał się opinią Męczennika Niestrawności.

Gdziekolwiek szedł pan Phippen, bolączki jego żołądka szły wraz z nim. Publicznie stosował dietę i publicznie się leczył. Tak był zajęty sobą i swoimi przypadłościami, że w ciągu pięciu minut potrafił wtajemniczyć przypadkowo spotkaną osobę w chorobę swojego języka, będąc równocześnie gotowym rozmawiać o stanie swojego układu trawiennego, tak jak ludzie na ogół są gotowi rozmawiać o pogodzie. Na swój ulubiony temat, podobnie jak na wszystkie inne, mówił z przymilną łagodnością, czasem lekko biadolącym, czasem ospale sentymentalnym tonem. Jego uprzejmość była z rodzaju przytłaczająco serdecznych i zwracając się do innych, nieustannie używał epitetu „drogi”. Jeśli chodzi o powierzchowność, trudno go było nazwać przystojnym mężczyzną. Oczy miał wilgotne, duże, jasnoszare. Bezustannie przewracał nimi z lewa na prawo w wyrazie mokrego podziwu dla kogoś lub czegoś. Nos miał długi, opadający, głęboko melancholijny, jeśli można użyć takiego określenia w odniesieniu do tej części ciała. Co do reszty, jego wargi były skrzywione jak do płaczu, postury był drobnej, głowę miał dużą, łysą i luźno osadzoną na ramionach, nosił się ekscentrycznie, ze skłonnością do elegancji, liczył sobie około czterdziestu pięciu lat i był stanu wolnego. Taki właśnie był pan Phippen, Męczennik Niestrawności i gość proboszcza w Long Beckley.

Pannę Sturch, guwernantkę, można krótko i trafnie opisać jako młodą damę, której od dnia przyjścia na świat nigdy nie trapiła myśl czy uczucie. Była drobną, cichą, białolicą, uśmiechniętą, schludnie ubraną dziewczyną, gotową wypełniać pewne obowiązki o ściśle ustalonych porach i będącą w posiadaniu niewyczerpanego zasobu słów służących wyrażaniu banałów, które w razie potrzeby łagodnie skapywały z jej ust, zawsze w tej samej ilości, zawsze tej samej jakości, o każdej porze dnia i roku. Panna Sturch nigdy się nie śmiała i nigdy nie płakała, ale obierała bezpieczną drogę pośrednią, jaką było bezustanne uśmiechanie się. Uśmiechała się, gdy schodziła na dół w styczniowy poranek i mówiła, że jest bardzo zimno. Uśmiechała się, gdy schodziła na dół w lipcowy poranek i mówiła,

że jest bardzo gorąco. Uśmiechała się, gdy biskup przyjeżdżał raz w roku spotkać się z proboszczem. Uśmiechała się, gdy pomocnik rzeźnika przychodził co rano po zamówienie. Cokolwiek działo się na plebanii, nic nie było w stanie wytrącić panny Sturch z gładkiej koleiny, w której wciąż się poruszała, zawsze w tym samym tempie. Gdyby żyła w rodzinie rojalistów w czasach wojny domowej, zadzwoniłaby na kucharza, aby zarządzić obiad w poranek, w którym święto Karola I. Gdyby Szekspir powrócił do życia i zjawił się którejs soboty na plebanii o szóstej wieczorem, aby dokładnie wyłożyć pannie Sturch poglądy przyświecające mu podczas tworzenia tragedii Hamleta, ta uśmiechałaby się, uznając, że to niezwykle ciekawe, aż do wybicia siódmej, kiedy to pozostawiłaby go wpół zdania i poszła doglądać pokojówki przy praniu. Panna Sturch, bardzo szacowna młoda dama (jak mawiały panie w Long Beckley): taka rozsądna w stosunku do dzieci i taka przywiązana do obowiązków domowych, taki wyważony umysł i taka werwa w grze na fortepianie, ładna w sam raz, ubrana w sam raz, rozmowna w sam raz, być może jeszcze nie w wieku, który byłby w sam raz i mająca nadmierną skłonność do zachęcającej do uścisku pulchności w okolicy talii, ale ogólnie biorąc wielce szacowna młoda osóbka, w istocie.

Nie ma potrzeby rozwodzić się zbytnio nad cechami charakterystycznymi uczniów panny Sturch. Zwykłą słabostką panny Louisy była chroniczna skłonność do przeziębień. Główną wadą panny Amelii był pociąg do dogadzania swojemu podniebieniu spożywaniem dodatkowych obiadów i śniadań o niedozwolonych porach. Najbardziej rzucającymi się w oczy wadami panicza Roberta były żarliwość w darciu ubrań i oporność w nauce tabliczki mnożenia. Zalety wszystkich trojga były z grubsza tej samej natury – byli oni wyrosniętymi, szczerymi dziećmi i szaleli na punkcie panny Sturch.

Aby galeria portretów rodzinnych była kompletna, należy przynajmniej spróbować naszkicować postać samego proboszcza. Pod względem fizycznym doktor Chennery przynosił chlubę instytucji, z którą był związany. W butach myśliwskich liczył sobie sześć stóp i dwa cale wysokości*, ważył dziewięćdziesiąt pięć kilo, był najlepszym serwującym w miejscowym klubie krykieta, zawsze ściśle ortodoksyjny, jeśli chodzi o wino i baraninę, nigdy nie wygłaszał z ambony nieprzyjemnych teorii na temat przyszłych losów ludzkich, nigdy z nikim nie kłócił się z ambony, nigdy nie zamykał kieszeni, gdy potrzeby jego ubogich bliźnich (nie wyłączając innowierców) domagały się, aby je otworzył. Jego pochod przez świat był miarowym marszem wysokim i suchym środkiem bezpiecznej, płatnej drogi. Kręte boczne odnogi sporu mogły się przed nim kusząco otwierać na lewo i prawo, ale on stanowczo trzymał się swojego kursu i nigdy nie brał ich pod uwagę. Młodzi, spragnieni innowacji rekruci w armii Kościoła zwodniczo otwierali mu przed nosem 39 artykułów religii, ale czujne oko weterana nigdy nie spojrzęło o włos dalej niż jego własny podpis na końcu. O teologii wiedział możliwie jak

najmniej, nigdy w życiu nie przysporzył Tajnej Radzie ani krzty kłopotu, był wolny od całego tego zamieszania z czytaniem i pisaniem broszur politycznych i całkowicie niezdolny do wkroczenia na mównicę w Exeter Hall. Jednym zdaniem, był najmniej duchowym z duchownych, ale mimo to drugiej takiej sylwetki do komży można by ze świecą szukać. Dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi w postaci wyprostowanego, umięśnionego ciała, bez jednej zaognionej rany czy bolącego miejsca, ma przynajmniej tę zaletę, że sugeruje stabilność, co jest wielką cnotą filarów wszelkiej maści, a w obecnych czasach stanowi cechę szczególnie cenną w przypadku filaru Kościoła.

Gdy tylko proboszcz wszedł do jadalni, opadł go chór dziecięcych wrzasków. Pan domu był niezwykle rygorystyczny, jeśli chodzi o punktualność w porach posiłków, a teraz zegar uznawał go winnym spóźnienia na śniadanie o cały kwadrans.

– Przepraszam, że kazałem na siebie czekać, panno Sturch – powiedział proboszcz – ale mam dobre usprawiedliwienie dzisiejszego spóźnienia.

– Proszę, niech pan o tym nie wspomina, sir – rzekła panna Sturch, dobrotliwie pocierając swoje drobne, pulchne dłonie jedna o drugą. – Piękny poranek. Obawiam się, że czeka nas kolejny ciepły dzień. Robercie, kochanie, trzymasz łokieć na stole. Piękny poranek, w istocie!

– Żołądek nadal szwankuje, co, Phippen? – zapytał proboszcz, zabierając się za krojenie szynki.

Pan Phippen smętnie potrząsnął swoją dużą głową, przyłożył żółty palec wskazujący ozdobiony okazałym pierścieniem z turkusem do środkowej kratki swojej jasnozielonej letniej kamizelki, spojrzął żałośnie na doktora Chennery'ego i westchnął, po czym cofnął palec i z kieszonki na piersi szlafroka wyciągnął mahoniowe pudełeczko, z którego wyjął zgrabną aptekarską wagę szalkową wraz z odważnikami, kawałek imbiru i tarkę do gałki muszkatołowej z polerowanego srebra.

– Droga panna Sturch wybaczy inwalidzie? – zapytał pan Phippen, jąwszy anemicznie trzecią imbir do najbliższej filiżanki.

– Zgadnijcie, co sprawiło, że spóźniłem się dziś o kwadrans – powiedział proboszcz, tajemniczo wodząc wzrokiem wokół stołu.

– Leżenie w łóżku, papo – zawołało troje dzieci, klaszcząc triumfalnie w dłonie.

– Co pani powie, panno Sturch? – zapytał doktor Chennery.

Panna Sturch uśmiechnęła się jak zwykle, potarła dłonie jak zwykle, jak zwykle cicho odchrząknęła, spojrzała na termos z herbatą i z najwdzięczniejszą uprzejmością poprosiła, aby jej wybaczyć, jeśli nic nie powie.

– Teraz twoja kolej, Phippen – rzekł proboszcz. – Dalej, zgadnij, dlaczego się dziś spóźniłem.

– Drogi przyjacielu – odezwał się pan Phippen, zamykając dłoń doktora w braterskim uścisku – nie proś mnie, bym zgadywał – ja wiem! Widziałem, co wczoraj jadłeś na obiad, widziałem, co piłeś po obiedzie. Żaden żołądek by tego nie wytrzymał, nawet twój. Zgadnąć, dlaczego się dziś spóźniłeś? Phi! Ja wiem. Ty, droga, pocziwa duszo, brałeś medykamenty!

– Nie wziętem nawet kropelki, dzięki Bogu, przez ostatnie dziesięć lat! – powiedział doktor Chennery z wyrazem pobożnej wdzięczności. – Nie, nie, wszyscy się mylicie. Prawda jest taka, że byłem w kościele. A jak myślicie, co tam robiłem? Proszę słuchać, panno Sturch, słuchajcie uważnie, dziewczęta. Biedny młody niewidomy Frankland jest w końcu szczęśliwym mężczyzną, właśnie dziś rano udzieliłem mu ślubu z naszą kochaną Rosamond Treverton!

– I nic nam nie powiedziałaś, papo! – zapiszczały przesywającym chórem obie dziewczynki tonem irytacji i zdziwienia. – Nic nam nie powiedziałaś, chociaż wiesz, jak bardzo chciałybyśmy to zobaczyć!

– Właśnie dlatego wam nie powiedziałem, moje drogie – odparł proboszcz. – Młody Frankland, biedaczek, jeszcze nie oswoił się na tyle ze swoją przypadłością, aby wystawiać się na widok publiczny i narażać na politowanie w charakterze niewidomego pana młodego. Tak się bał wzbudzenia sensacji w dniu swojego ślubu, a Rosamond jako dziewczyna o złotym sercu tak bardzo chciała dogodzić jego najdrobniejszym zachciankom, że ustaliliśmy, iż ślub odbędzie się o wczesnej godzinie porannej, kiedy w pobliżu kościoła nie wałęsa się żaden przechodzień. Zostałem zobowiązany do zachowania daty w największej tajemnicy, podobnie jak mój zakrystian Thomas. Oprócz nas dwóch, pana młodego, panny młodej i jej ojca, kapitana Trevertona, nikt nie wiedział...

– Trevertona! – zawołał Phippen, podając swoją filiżankę z tartym imbirem na dnie do napełnienia pannie Sturch. – Treverton! (Wystarczy już herbaty, panno Sturch). Jakie to niezwykle! Znam to nazwisko. (Proszę dopełnić wodą, jeśli łaska). Powiedz mi, mój drogi (stokrotne dzięki, bez cukru – zakwasza mi żołądek), czy owa panna Treverton, której udzielałeś ślubu (jeszcze raz dziękuję, mleka też nie), pochodzi z kornwalijskich Trevertonów?

– Nie inaczej! – odparł proboszcz. – Jej ojciec, kapitan Treverton, jest głową rodziny. Nie żeby rodzina była liczna. Kapitan, Rosamond i ten stary dziwak, jej wuj, Andrew Treverton, są jedynymi, którzy ostali się z rodu – swego czasu bogatego i wspaniałego, dobrych przyjaciół Kościoła i państwa, rozumiesz, i tak dalej...

– Czy zgadza się pan, sir, aby Amelia dostała dokładkę chleba i marmolady? – spytała panna Sturch, zwracając się do doktora Chennery'ego, zupełnie nieświadoma, że mu przerywa. Nie mając w głowie wolnego miejsca, w które można by włożyć myśli, dopóki nie nadejdzie właściwy moment, aby po nie sięgnąć, panna Sturch zawsze zadawała pytania i wygłaszała uwagi w chwili, gdy

przyszły jej do głowy, nie czekając na początek, środek czy koniec rozmów mogących toczyć się w jej obecności. Jeśli chodzi o wygląd, miała do perfekcji opanowaną rolę słuchacza, ale nigdy jej nie odgrywała – z wyjątkiem przypadków, gdy rozmowa skierowana była wprost do jej uszu.

– Och, proszę dać jej dokładkę, jak najbardziej! – rzekł beztrąsko proboszcz.
– Skoro już musi się objadać, może równie dobrze robić to chlebem i marmoladą.

– Mój dobrodzieju – zawołał pan Phippen – spójrz, jaki ze mnie wrak, i nie pozwalaj w ten karygodnie bezmyślny sposób naszej słodkiej Amelii się objadać. Napychasz żołądek w młodości i co dzieje się z trawieniem w wieku dojrzałym? To, co wulgarni ludzie nazywają wnętrznościami – odwołuję się do troski panny Sturch o jej czarującą uczennicę jako usprawiedliwienia wdawania się w fizjologiczne szczegóły – jest w rzeczywistości aparatem. Pod względem trawienia, panno Sturch, nawet najpiękniejszy i najmłodszy z nas jest aparatem. Naoliwiaj swoje koła, jeśli wola, ale blokuj je na własne ryzyko. Mączne puddingi i kotlety baranie, kotlety baranie i mączne puddingi – oto powinny być hasła rodziców, gdyby to ode mnie zależało, jak Anglia długa i szeroka. Popatrz tutaj, drogie dziecko, popatrz na mnie. Ta mała waga nie jest dla żartów, to śmiertelnie poważna sprawa. Spójrz! Na jednej szali kładę suchy chleb (czerstwy, suchy chleb, Amelio!), a na drugiej kilka uncjowych odważników. „Niech pan je według wagi, panie Phippen! Niech pan je codziennie tę samą ilość, co do grama. Niech no pan tylko spróbuje przekroczyć dzienną rację (choć to tylko czerstwy, suchy chleb), panie Phippen!” Amelio, kochanie, to nie żarty, to właśnie mówią mi lekarze – lekarze, moje dziecko, którzy przez ostatnie trzydzieści lat przetrząsali mój aparat małymi pigułkami wzdłuż i wszerz i jeszcze nie doszli, gdzie moje koła są zablokowane. Pomyśl o tym, Amelio, pomyśl o zablokowanym aparacie pana Phippena i następnym razem powiedz: „Nie, dziękuję”. Panno Sturch, przepraszam najmocniej za to, że wkraczam na teren pani kompetencji, ale moja troska o to kochane dziecko... Chennery, dobrodzieju, o czym to mówiłeś? Ach, panna młoda – zajmująca panna młoda! A więc należy do kornwalijskich Trevertonów? Słyszałem coś o Andrew lata temu. Był kawalerem, podobnie jak ja, panno Sturch. Jego aparat szwankował podobnie jak mój, droga Amelio. Zupełnie inaczej niż jego brat, kapitan, jak sądzę? A więc wyszła za mąż? Czarująca dziewczyna, bez wątplenia. Czarująca dziewczyna!

– Na całym świecie nie ma lepszej, wierniejszej, ładniejszej od niej – rzekł proboszcz.

– Bardzo żywa, energiczna osóbką – zauważyła panna Sturch.

– Jakże będzie mi jej brakować! – zawołała panna Louisa. – Nikt mnie nie potrafił tak rozerwać jak Rosamond, kiedy leżałam w łóżku z moim ostatnim ciężkim przeziębieniem.

– Urządzała dla nas takie miłe podwieczorki – powiedziała panna Amelia.

– Była jedyną dziewczyną, jaką znam, która nadawała się do zabaw z chłopcami – dorzucił panicz Robert. – Potrafiła łapać piłkę jedną ręką, panie Phippen, i zjeżdżać po zjeżdżalni ze złączonymi nogami.

– A niech mnie! – rzekł pan Phippen. – Co za niezwykła żona dla niewidomego mężczyzny! Mówiłeś, że jest niewidomy od urodzenia, drogi doktorze, prawda? Zaraz, jak on się nazywał? Nie będzie pani zbyt surowa dla mojej sklerozy, panno Sturch? Kiedy niestrawność rozprawi się już z ciałem, zaczyna się odbijać na umyśle. Pan Frank Jakiśtam, prawda?

– Nie, nie, Frankland – odparł proboszcz. – Leonard Frankland. I w żadnym razie nie niewidomy od urodzenia. Niewiele ponad rok temu widział niemal tak dobrze jak każdy z nas.

– Wypadek, jak sądzę! – rzekł pan Phippen. – Wybaczysz, że zajmę fotel? Postawa półleżąca bardzo dobrze mi robi po posiłku. A więc stracił wzrok w wyniku wypadku? Ach, co za rozkosznie wygodny fotel!

– Trudno tu mówić o wypadku – powiedział doktor Chennery. – Leonard Frankland nie był dzieckiem, które łatwo było wychować: od początku odznaczał się słabowitością. Wydaje się, że z czasem ją pokonał i wyrósł na cichego, statecznego, spokojnego chłopca, tak różnego od mojego syna, jak to tylko możliwe, bardzo grzecznego i, jak to się mówi, niesprawiającego kłopotów. Cóż, miał smykałkę do majsterkowania (opowiadam to wszystko, abyś zrozumiał, skąd się wzięła jego ślepota) i po tym, jak kilkakrotnie przechodził od jednego zajęcia tego rodzaju do drugiego, zabrał się w końcu za zegarmistrzostwo. Osobliwa rozrywka jak na chłopca, ale jakakolwiek praca wymagająca precyzji oraz mnóstwa cierpliwości i wytrwałości była właśnie tym, co zajmowało i rozrywało Leonarda. Zawsze powtarzałem jego rodzicom: „Zrzućcie go z tego stołka, rozbijcie mu szkła powiększające, przyślijcie go do mnie, a ja nauczę go skakać przez plecy i machać kijem do krykieta”. Ale gdzie tam. Jego rodzice wiedzieli najlepiej, jak sądzę, i mówili, że nie wolno go drażnić. Tak więc wszystko szło przez jakiś czas gładko, dopóki nie zapadł na kolejną przewlekłą chorobę – myślę, że z niedostatku gimnastyki. Gdy tylko zaczął dochodzić do siebie, powrócił do dawnego zajęcia. Ale wkrótce wszystko miało się źle skończyć. Jedną z ostatnich prac, jakie wykonał, biedaczyna, była naprawa mojego zegarka – oto on, chodzi dokładnie jak parowóz. Wkrótce po tym, jak wrócił do mnie na dewizkę, dowiedziałem się, że młodzieniec dostał silnego bólu w tyle głowy i widzi przed oczami ruszające się plamki. „Dajcie mu dużą ilość porto i wsadźcie na trzy godziny dziennie na grzbiet spokojnego kuca” – tak brzmiała moja rada. Zamiast jej posłuchać, posłali do Londynu po lekarzy, postawili mu bańki za uszami i między łopatkami, poili chłopaka rtęcią i trzymali w ciemnym pokoju. Wszystko na nic. Wzrok coraz bardziej się pogarszał, drżał i drżał, i w końcu zgasł jak płomień świecy. Matka chłopca zmarła – na szczęście dla niej, biedaczki – zanim to się stało. Jego ojciec

niemal postradał zmysły, woził go do okulistów w Londynie i Paryżu. Ci tylko nazywali ślepotę długą łacińską nazwą i mówili, że podejmowanie operacji jest beznadziejne i bezcelowe. Niektórzy z nich dodawali, że to skutek długotrwałego osłabienia, na które chłopak cierpiał dwukrotnie po chorobie. Inni twierdzili, że to był apoplektyczny wylew krwi do mózgu. Wszyscy potrząsali głowami, kiedy słyszeli o zegarmistrzostwie. Tak więc zabrano go z powrotem do domu, niewidomego, niewidomy jest teraz i niewidomym pozostanie, biedak, do końca życia.

– Zatrważasz mnie, mój drogi Chennery, zatrważasz mnie niezmiernie – rzekł pan Phippen. – Zwłaszcza kiedy przedstawiasz tę teorię o długotrwałym osłabieniu po chorobie. Wielkie nieba! Bo też i ja cierpiałem na długotrwałe osłabienia, cierpię na nie w tej chwili. Mówisz, że widział plamki przed oczami? Ja widzę plamki, czarne plamki, czarne wirujące plamki, obrzydliwe wirujące czarne plamki. Słowo honoru, Chennery, teraz zaczynam to rozumieć, moje współczucie jest boleśnie głębokie – odczuwam tę historię ślepoty każdym nerwem ciała, tak jest, naprawdę!

– Patrząc na Leonarda, trudno się zorientować, że jest niewidomy – odezwała się panna Louisa, włączając się do rozmowy w celu przywrócenia panu Phippenowi równowagi. – Jeśli nie liczyć tego, że jego oczy są spokojniejsze niż u innych, nie widać w nich teraz żadnej różnicy. Który to sławny człowiek, o którym opowiadała nam pani, panno Sturch, był niewidomy i nie było tego po nim widać bardziej niż po Leonardzie Franklandzie?

– Milton, kochanie. Prosiłam, abys sobie zapamiętała, że był on najśłynniejszym brytyjskim poetą epickim – odparła uprzejmie panna Sturch. – Poetycko pisze o swojej ślepotce, że spowodowało ją „bielmo nieprzebyte”**. Przeczytasz o tym, Louiso. Poczujemy się dziś trochę francuskiego, a potem poczytamy Milтона. Ciii, kochana, twój papa mówi.

– Biedny młody Frankland! – rzekł ciepło proboszcz. – To dobre, czułe, szlachetne stworzenie, z którym udzieliłem mu dziś ślubu, wydaje się pociechą zesłaną mu w jego nieszczęściu. Jeśli jakakolwiek ludzka istota może go uszczęśliwić na resztę życia, jest nią właśnie Rosamond Treverton.

– Poświęciła się – powiedział pan Phippen – ale lubię ją za to, jako że sam poświęciłem się, pozostając kawalerem. W istocie, w imię humanitaryzmu wydaje się to konieczne. Jak mógłbym świadomie narzucać taką przypadłość jak moja niestrawność piękniejszej połowie stworzenia? Nie, sam w sobie jestem poświęceniem i mam sympatię do innych podobnych sobie ludzi. Czy bardzo płakała, kiedy udzielałeś jej ślubu, Chennery?

– Płakała! – zawołał wzdrgliwie proboszcz. – Chcę ci powiedzieć, że Rosamond Treverton nie należy do płaczliwych, sentymentalnych dziewcząt. Piękna, dorodna, serdeczna, gorącochrwista dziewczyna, która mówi, co myśli,

kiedy oświadcza mężczyźnie, że go poślubi. Poza tym pamiętaj, że przeszła próbę. Gdyby nie kochała go z całego serca, trzy miesiące temu mogła swobodnie poślubić, kogo tylko chciała. Byli zaręczeni na długo, zanim młodego Franklanda spotkał ten straszny los, jako że ojcowie obojga przez lata mieszkali w tych stronach po sąsiedzku. Cóż, kiedy spotkało go to nieszczęście, Leonard z miejsca zaproponował Rosamond, że zwolni ją z zaręczyn. Szkoda, że nie widziałeś listu, jaki z tej okazji do niego napisała, Phippen. Nie wstydę się wyznać, że chlifałem jak dziecko, kiedy mi go pokazali. Udzieliłbym im ślubu zaraz po przeczytaniu listu, ale stary Frankland to człowiek czepliwy, drobiazgowy i obstawał przy półrocznym okresie próbnym, aby była pewna swojej decyzji. Zmarł przed upływem tego okresu i to spowodowało ponowne przełożenie ślubu. Ale żadna zwłoka nie mogła odmienić Rosamond – nie odmieniłoby jej nawet, gdyby zamiast sześciu miesięcy musiała czekać sześć lat. Dziś rano była tak zakochana w tym niewidomym biedaku jak w dniu zaręczyn. „Zrobię wszystko, żebyś nie doznał ani chwili smutku, Lenny, jak długo będziesz żył” – oto pierwsze słowa, jakie do niego powiedziała, gdy wszyscy wyszliśmy z kościoła. „Słyszę cie, Rosamond” – rzekłem. „I pan też mnie osądzi” – odpowiedziała szybko jak błyskawica. „Wrócimy do Long Beckley i zapyta pan Lenny’ego, czy dotrzymałam słowa”. Mówiąc to, obdarowała mnie pocałunkiem, który można było usłyszeć tutaj, na plebanii, niech ją Bóg błogosławi! Wypijemy jej zdrowie po obiedzie, panno Sturch, wypijemy zdrowie ich obojga, Phippen, wznosząc toast butelką najlepszego wina, jakie mam w piwnicy.

– Pozwolisz, że szklanką wody z tostem***, jeśli o mnie chodzi – powiedział smętnie pan Phippen. – Ale, mój drogi Chennery, kiedy mówiłeś o ojcach tej interesującej młodej pary, wspominałeś, że mieszkali po sąsiedzku tutaj, w Long Beckley. Moja pamięć niedomaga, czego mam bolesną świadomość, ale myślałem, że kapitan Treverton jest starszym z dwóch braci i że przebywając na łodzi, zawsze mieszkał w rodzinnym gnieździe w Kornwalii?

– Tak było – odparł proboszcz – za życia jego żony. Ale od czasu jej śmierci, która nastąpiła dawno temu, w roku dwudziestym dziewiątym... niech pomyślę, teraz jest rok czterdziesty czwarty, czyli było to...

Proboszcz urwał na chwilę, aby dokonać obliczeń, i spojrzał na pannę Sturch.

– Piętnaście lat temu, sir – powiedziała panna Sturch, ze swoim najuprzejmiejszym uśmiechem podsuwając proboszczowi ułatwienie w postaci prostego odejmowania.

– Oczywiście – ciągnął doktor Chennery. – No więc, odkąd pani Treverton zmarła piętnaście lat temu, kapitan Treverton ani razu nie zbliżył się do Porthgenna Tower. Co więcej, Phippen, przy pierwszej nadarzającej się okazji sprzedał majątek. Sprzedał absolutnie wszystko – kopalnię, przetwórnice ryb i resztę za

czterdzieści tysięcy funtów.

– Coś takiego! – wykrzyknął pan Phippen. – Czyżby powietrze mu nie służyło? Domyślam się, że lokalne plony, mam na myśli żywność, muszą być teraz liche w tych prymitywnych regionach? Kto kupił majątek?

– Ojciec Leonarda Franklanda – powiedział proboszcz. – Sprzedaż Porthgenna Tower ma dość długą historię, towarzyszą jej pewne dziwne okoliczności. Może przejdziemy się po ogrodzie, Phippen? Opowiem ci wszystko przy porannym cygarze. Panno Sturch, jeśli będzie mnie pani potrzebować, znajdzie mnie pani gdzieś na trawniku. Dziewczęta! Uczcie się pilnie. Bob! Pamiętaj, że w holu mam kij, a w garderobie brzozową różgę. Chodź, Phippen, rusz się z tego fotela. Co powiesz na przechadzkę po ogrodzie?

– Drogi przyjacielu, powiem „tak”, jeśli tylko łaskawie użyczysz mi parasola i pozwolisz mi nieść w ręce rozkładany stołek – rzekł pan Phippen. – Jestem zbyt słaby, by wystawiać się na słońce, i nie mogę daleko chodzić, nie przysiadając. Gdy tylko poczuję zmęczenie, panno Sturch, rozkładam stołek i przysiadam, gdzie popadnie, nie dbając ani trochę o pozory. Jestem gotów, Chennery, zawsze wtedy, gdy ty jesteś gotów, gotów zarówno, drogi przyjacielu, na ogród, jak i na opowieść o sprzedaży Porthgenna Tower. Wspominałeś, że to dziwna historia, nieprawdaż?

– Wspomniałem, że towarzyszą jej pewne dziwne okoliczności – odparł proboszcz. – I kiedy o nich usłyszysz, myślę, że się ze mną zgodzisz. Chodźmy! W holu znajdziesz swój rozkładany stołek i cały asortyment parasoli, jaki mam w domu.

Z tymi słowy doktor Chennery otworzył cygarniczkę i wyszedł pierwszy z jadalni.

* 1 stopa = 30,48 cm; doktor Chennery miał więc niemal 190 cm wzrostu.

** Fragment Raju utraconego w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

*** W XIX wieku w Anglii popularny był napój zrobiony z wody, w której wcześniej namaczano tost. Woda przejmowała smak podpieczonego pieczywa.

Rozdział 2.

Sprzedaż Porthgenna Tower

– Jak uroczo! Jak sielsko! Jak cudownie kojąco! – powiedział pan Phippen, rozmarzonym wzrokiem ogarniając trawnik na tyłach plebanii i kryjąc się w cieniu najbliższego parasola, jaki znalazł w holu. – Trzy lata minęły, Chennery, odkąd ostatnim razem stałem na tym trawniku. Tam jest okno twojego dawnego gabinetu, gdzie ostatnio, w sezonie truskawkowym, miałem atak zgagi, pamiętasz? Ach! Jest i klasa. Czyż kiedykolwiek mógłbym zapomnieć, jak przyszła z niej do mnie droga panna Sturch – usłużny anioł przynoszący wodę sodową z imbirem – tak podnoszący na duchu, tak słodko dbały, aby ją przygotować, tak szczerze zasmucony, że w domu nie było soli trzeźwiących! Jakże cenię sobie te miłe wspomnienia, Chennery. Są dla mnie równie wielką rozkoszą jak dla ciebie cygaro. Czy mógłbyś iść po drugiej stronie, mój drogi? Podoba mi się zapach, ale dym to dla mnie nieco zbyt wiele. Dziękuję. A teraz – opowieść. Jak nazywał się ten stary dwór – tak jestem go ciekaw – zaczynał się chyba na literę P?

– Porthgenna Tower – rzekł proboszcz.

– Właśnie – odparł pan Phippen, delikatnie przekładając parasol z jednego ramienia na drugie. – A cóż takiego sprawiło, że kapitan Treverton sprzedał Porthgenna Tower?

– Myślę, że nie mógł znieść tego miejsca po śmierci żony – odpowiedział doktor Chennery. – Majątek, rozumiesz, nigdy nie podlegał ordynacji rodowej, więc kapitan nie miał trudności z pożegnaniem się z nim. Oczywiście jedynym kłopotem okazało się znalezienie nabywcy.

– Dlaczego nie brat? – zapytał pan Phippen. – Dlaczego nie nasz ekscentryczny przyjaciel, Andrew Treverton?

– Nie nazywaj go moim przyjacielem – rzekł proboszcz. – Podły, płaszczący się, cyniczny, samolubny stary łajdak! Nie ma co potrząsać głową, Phippen, i udawać wstrząśniętego. Znam początki Andrew

Trevertona równie dobrze jak ty. Wiem, że został potraktowany z najpodlejszą niegodziwością przez przyjaciela ze studiów, który wziął, co było do wzięcia, a na koniec oszukał go w najordynarniejszy sposób. Wszystko to wiem. Ale jeden przypadek niewdzięczności nie usprawiedliwia odcięcia się od świata i pomstowania na całą ludzkość jako hańbę dla noszącej ją ziemi. Na własne uszy słyszałem, jak ten stary drań mówi, że największym dobroczyńcą naszego pokolenia byłby drugi Herod, który uniemożliwiłby następnemu pokoleniu zastąpienie nas. Czy człowiek, który wygłasza takie rzeczy, winien być przyjacielem jakiegokolwiek ludzkiej istoty mającej choćby odrobinę szacunku dla swojego rodzaju i siebie?

– Przyjacielu! – powiedział pan Phippen, łapiąc proboszcza za ramię

i tajemniczo zniżając głos. – Drogi i czcigodny przyjacielu! Podziwiam twoje szczere oburzenie wobec głosiciela tej nad wyraz mizantropijnej opinii, ale – wyznaję ci to, Chennery, w największej tajemnicy – bywają chwile, zwłaszcza rano, kiedy moje trawienie jest w tak złym stanie, iż zgadzam się z poglądami Andrew Trevertona! Budzę się z językiem jak kołek, czołgam się do lustra, patrząc na samego siebie i mówię: „Niech już lepiej nastanie koniec rodzaju ludzkiego, niż żeby dalej miało trwać coś takiego!”.

– Phi, phi! – zawołał proboszcz, kwitując wyznanie pana Phippena wybuchem lekceważącego śmiechu. – Następnym razem, kiedy twój język będzie w takim stanie, wypij szklaneczkę chłodnego piwa, a będziesz się modlił, aby dalej trwała przynajmniej ta część rodzaju ludzkiego, która para się browarnictwem. Wróćmy do Porthgenna Tower, bo nigdy nie opowiem tej historii. Skoro już kapitan Treverton powziął zamiar sprzedania majątku, nie ma wątpliwości, że w zwykłych okolicznościach pomyślałby, aby zaproponować go swojemu bratu, mając na uwadze, rzecz jasna, zatrzymanie posiadłości w rękach rodziny. Andrew miał dość pieniędzy, aby ją kupić, bowiem, choć po śmierci ojca nie dostał nic z wyjątkiem unikatowego księgozbioru staruszka, jako drugi syn odziedziczył majątek matki. Jednak przy ówczesnym stanie rzeczy (i, co z przykrością stwierdzam, obecnym) kapitan nie mógł składać bratu żadnych osobistych propozycji, ponieważ obaj nie odzywali się do siebie, a nawet nie pisali. To zatrwające, ale najgorsza kłótnia tego rodzaju, o jakiej kiedykolwiek słyszałem, to kłótnia pomiędzy tymi dwoma braćmi.

– Wybacz, drogi przyjacielu – rzekł pan Phippen, rozkładając stołek, dotychczas zwisający na jedwabnym chwoście z wygiętej rączki parasola. – Czy mogę usiąść, zanim będziesz kontynuował? Czuję się trochę podniecony tą częścią opowieści i boję się nadwyręzać. Proszę, mów dalej. Nie sądzę, żeby nóżki stołka zrobiły dziury w trawniku. Taki jestem lekki – istna skóra i kości. Mów dalej!

– Musiałeś słyszeć – ciągnął proboszcz – że kapitan Treverton, już w dojrzałym wieku, ożenił się z aktorką, osobą dość krewką, jak sądzę, ale o nieposzlakowanej opinii i tak zakochanej w mężu, jak tylko kobieta potrafi, w związku z czym, moim zdaniem, będącej bardzo dobrym materiałem na towarzyszkę życia. Jednakże przyjaciele kapitana podnieśli zwykły w takich sytuacjach, choć bezsensowny krzyk oburzenia, a brat kapitana jako jedyny bliski krewny wziął na siebie próbę rozbicia małżeństwa w najobraźliwiej grubiański sposób. Kiedy mu się nie udało, opuścił dom brata, nienawidząc biednej kobiety z całego serca i wygłaszając różne grubiańskie wypowiedzi, w tym mówiąc pewną haniebną rzecz o pannie młodej, której... której, na mój honor, Phippen, nawet wstydzę się powtarzać. Jakkolwiek brzmiały te słowa, nieszczęśliwie dotarły one do uszu pani Treverton, a były z rodzaju tych, których żadna kobieta, a już na pewno tak porywcza kobieta jak żona kapitana, nigdy nie wybacza. Dwaj bracia

odbyli rozmowę, która, jak łatwo możesz się domyślić, była brzemienna w skutkach. Rozstali się w godny ubolewania sposób. Kapitan w przyływie furii oświadczył, że Andrew, odkąd się narodził, nie miał w sercu ani jednego wielkodusznego odruchu i że umrze bez jednego ciepłego uczucia w stosunku do drugiego człowieka. Andrew odparł, że nawet jeśli nie ma serca, ma pamięć, i że zapamięta te słowa pożegnania do końca życia. Tak się rozstali. Potem kapitan dwukrotnie wyciągał rękę do zgody: za pierwszym razem, gdy urodziła mu się córka, za drugim, gdy zmarła pani Treverton. Za każdym razem starszy brat pisał, że jeśli młodszy cofnie okropne słowa, którymi wyraził się o szwagierce, zostanie mu zaoferowane wszelkie możliwe zadośćuczynienie za ostrą wypowiedź, jaka w przyływie gniewu padła z ust kapitana przy ostatnim spotkaniu. Żaden z listów nie doczekał się odpowiedzi i rozłam między dwoma braćmi trwa po dziś dzień. Teraz rozumiesz, dlaczego kapitan Treverton nie mógł po cichu wybadać preferencji Andrew, zanim ogłosił publicznie zamiar pozbycia się Porthgenna Tower.

Choć w odpowiedzi na ten apel pan Phippen oświadczył, że rozumie doskonale, i choć najuprzejmiej, jak potrafił, prosił proboszcza, aby ten kontynuował, jego uwagę zdawały się w tej chwili całkowicie pochłaniać oględziny nóg stołka oraz sprawdzanie, jaki ślad pozostawiły one na trawniku probostwa. Jednak zainteresowanie samego doktora Chennery'ego relacjonowanymi okolicznościami wydawało się wystarczająco silne, aby zrekompensować chwilową nieuwagę ze strony gościa. Po kilku energicznych pociągnięciach cygara (które podczas wypowiedzi proboszcza kilka razy omal nie zgasło) podjął on swoją opowieść tymi słowy:

– Tak więc dom, ziemia, kopalnia i przetwórnice w Porthgenna zostały publicznie wystawione na sprzedaż kilka miesięcy po śmierci pani Treverton, ale nie zgłoszono ofert kupna, które byłyby do przyjęcia. Zły stan domu, niewłaściwa uprawa roli, problemy prawne związane z kopalnią, kwartalne trudności z poborem czynszu – wszystko to sprawiło, że Porthgenna okazała się czymś, co licytatorzy nazywają trudno zbywalnym towarem. Po tym, jak nie udało mu się sprzedać majątku, kapitan Treverton nie dał się przekonać do zmiany zadnia i dalszego zamieszkiwania posiadłości. Śmierć żony niemal złamała mu serce, bowiem jak skądinąd wiadomo, kochał ją równie mocno jak ona jego, i obrzydł mu sam widok miejsca kojarzonego z największym nieszczęściem jego życia. Wraz z córeczką oraz krewną pani Treverton, a zarazem guwernantką dziecka, przeprowadził się w nasze strony i wynajął ładny domek po drugiej stronie kościelnych pól. Najbliższy dom zamieszkiwali w owym czasie rodzice Leonarda Franklanda. Nowi sąsiedzi wkrótce się zaprzyjaźnili i w ten oto sposób para, której dziś rano udzieliłem ślubu, dorastała razem od dzieciństwa; zakochali się w sobie nawzajem niemal zanim wyrosli z fartuszków.

– Chennery, drogi przyjacielu, nie wydaje ci się, że siedzę całym ciałem na jednej stronie? – zawołał pan Phippen, niespodziewanie przerywając opowieść proboszcza z wyrazem zaniepokojenia. – Przerywam ci niechętnie, ale w tej części kraju macie niespotykane miękką trawę. Jedna z nóg stołka skraca się z każdą chwilą. Wiercę dziurę! Wywracam się! Wielkie nieba! Czuję, że się zsuwam... Zaraz spadnę, Chennery, na mą duszę, zaraz spadnę!

– Bzdura! – zawołał proboszcz, ciągnąc do góry najpierw pana Phippena, a potem jego stołek, który jedną stroną jakby wrósł w murawę. – Chodź, zejdziemy na żwirową alejkę: tam nie da się wywiercić dziury. O co chodzi tym razem?

– Palpitacje – rzekł pan Phippen, upuszczając parasol i przykładając rękę do serca – i żółć. Znowu widzę czarne plamki, te piekielne czarne plamki wirujące przed oczami. Chennery, może byś tak poradził się jakiegoś znajomego obeznanego w rolnictwie w kwestii jakości swojej trawy. Słowo daję, twój trawnik jest miększy, niż powinien. Trawniki! – powtórzył pogardliwie pod nosem, kiedy odwrócił się, aby podnieść parasol. – Toż to nie trawnik, to istne bagno!

– Proszę, usiądź – powiedział proboszcz – i nie rób ukłonu w stronę palpitanji oraz czarnych plamek, poświęcając im choćby odrobinę uwagi. Chcesz coś do picia? Medykament, piwo czy coś innego?

– Nie, nie! Nie chciałbym sprawiać kłopotu – odrzekł pan Phippen. – Już wolę cierpieć... o wiele bardziej wolę. Myślę, że gdybyś opowiadał dalej, Chennery, uspokoiłoby mnie to. Nie mam pojęcia, jak do tego doszedłeś, ale zdaje mi się, że mówiłeś coś ciekawego na temat fartuszków!

– Nonsens! – powiedział doktor Chennery. – Wspominałem ci tylko o miłości pomiędzy dwojgiem dzieci, które teraz stały się mężem i żoną. I miałem ci powiedzieć, że wkrótce po tym, jak kapitan Treverton osiadł w naszej okolicy, powrócił do czynnego uprawiania swojej profesji. Najwyraźniej nic innego nie mogło wypełnić pustki w jego życiu po stracie pani Treverton. Będąc w dobrych stosunkach z Admiralicją, zawsze dostaje statek, gdy o niego zawnioskuje, i jak dotąd, nie licząc krótkich okresów na lądzie, uparcie trzyma się morza, choć zdaniem córki i przyjaciół jest już na to trochę za stary. Nie rób takiej zdziwionej miny, Phippen, nie odchodź aż tak bardzo od tematu, jak ci się wydaje. To są pewne niezbędne szczegóły, które należy wyjaśnić na wstępie. A teraz, skoro już się z nimi szczęśliwie uporaliśmy, mogę wreszcie przejść do sedna mojej opowieści – sprzedaży Porthgenna Tower. O co chodzi tym razem? Znowu chcesz wstać?

Tak, pan Phippen faktycznie chciał wstać, mając nadzieję na uspokojenie palpitanji i rozproszenie czarnych plamek odrobiną łagodnej gimnastyki. W żadnym wypadku nie chciałby sprawiać kłopotu, ale czy jego zacny przyjaciel Chennery mógłby mu podać ramię, ponieść stołek i przejść się powoli w kierunku okna klasy, tak aby panna Sturch znajdowała się w zasięgu głosu na wypadek,

gdyby zaszła ostateczność zażycia mikstury na uspokojenie? Proboszcz, którego niestrudzenie dobra natura odporna była na wszelkie próby, jakim mogły ją poddać dolegliwości żołądkowe pana Phippena, posłuchał wszystkich próśb i kontynuował opowieść, nieświadomie przybierając ton i sposób bycia dobrodusznego rodzica robiącego, co w jego mocy, aby udobruchać rozkapryszone dziecko.

– Powiedziałem ci – rzekł – że starszy pan Frankland i kapitan Treverton byli bliskimi sąsiadami. Jeszcze na początku tej znajomości jeden dowiedział się od drugiego, że Porthgenna Tower jest na sprzedaż. Usłyszawszy o tym, stary Frankland zadał kilka pytań o posiadłość, ale nie wspomniał ani słowem o zamiarze kupienia jej. Wkrótce potem kapitan otrzymał statek i wypłynął w morze. Pod jego nieobecność stary Frankland po kryjomu udał się do Kornwalii, aby obejrzeć majątek i dowiedzieć się wszystkiego o jego zaletach i wadach od osób sprawujących pieczę nad domem i gruntami. Wróciwszy, nie powiedział nic, dopóki kapitan Treverton nie wrócił ze swojego pierwszego rejsu. Wtedy to starszy dżentelmen odezwał się pewnego ranka swoim spokojnym, zdecydowanym tonem. „Treverton – powiada – jeśli jesteś skłonny sprzedać Porthgenna Tower za cenę, której zażądałeś, wystawiając majątek na licytację, napisz do swojego prawnika, niech zaniesie dowód własności mojemu adwokatowi i poprosi o pieniądze”. Kapitan Treverton był, rzecz jasna, nieco zaskoczony gotowością, z jaką wysunięto tę propozycję, ale osoby takie jak ja, znające historię starego Franklanda, nie były zdziwione. Zdobył on swój majątek handlem i był na tyle głupi, by zawsze trochę się wstydzić tego prostego i chlubnego faktu. Prawda jest taka, że jego przodkowie należeli przed wojną domową do liczącego się ziemiaństwa i wielką ambicją starszego dżentelmena było ukryć kupca pod szlacheckim splendorem, pozwalając synowi zastąpić go w roli dziedzica wielkiego majątku ziemskiego i osoby liczącej się w całym hrabstwie. Był skłonny poświęcić pół fortuny, aby osiągnąć swój cel, ale pół fortuny nie pozwoliłoby mu na zakup majątku, jakiego pragnął, położonego w ważnym rolniczym hrabstwie takim jak nasze. Czyny za dzierżawę są tu wysokie, a ziemię wykorzystuje się jak najlepiej. Posiadłość równie rozległa jak ta w Porthgenna kosztowałaby ponad dwa razy więcej, niż kapitan Treverton odważył się za nią zażądać, gdyby tylko znajdowała się w tych stronach. Stary Frankland doskonale zdawał sobie z tego sprawę i przywiązywał do tego wielką wagę. Poza tym w feudalnym wyglądzie Porthgenna Tower i prawie do kopalni oraz łowisk, które pociągał za sobą zakup majątku, było coś, co schlebiało jego marzeniom o powrocie do rodowej świetności. Oto stąd, jak mu się zdawało, on, a po nim jego syn będą mogli roztaczać swoją lordowską władzę na wielką skalę i zgodnie z własną suwerenną wolą i upodobaniem dysponować mrozem setek biedaków rozrzuconych wzdłuż wybrzeża albo stłoczonych w wioskach w głębi łądu. Była to kusząca wizja i można ją było zrealizować za czterdzieści tysięcy funtów, czyli dokładnie dziesięć tysięcy mniej, niż zdecydował się dać, kiedy po raz pierwszy

postanowił przedzierzgnąć się z niepozornego kupca we wspaniałego obywatela ziemskiego. Jak powiedziałem, osoby znające te fakty nie były zbyt zaskoczone gotowością pana Franklanda do nabycia Porthgenna Tower, a sam kapitan Treverton, o czym chyba nie muszę wspominać, nie ościągł się z dobieciem targu. Majątek zmienił właściciela i stary Frankland wyjechał, a w ślad za nim cała świta sprowadzonych z Londynu ważniaków, aby eksploatować kopalnię i przetwórnice według nowych uczonych zasad i upiększyć stary dwór z góry na dół nowiutkimi średniowiecznymi wykończeniami pod kierunkiem dżentelmena, który podobno był architektem, ale który na moje oko wyglądał na typowego papistycznego księdza w przebraniu. Wspaniałe plany, nieprawdaż? Jak myślisz, czy się powiodły?

– Powiedz mi, drogi przyjacielu! – Taka oto odpowiedź padła z ust pana Phippena. W tej samej chwili przyszło mu do głowy pytanie: „Ciekawe, czy panna Sturch trzyma w domowej apteczce butelkę olejku kamforowego?”

– Powiedzieć ci! – zawołał proboszcz. – Ależ! Wszystkie jego plany okazały się, rzecz jasna, kompletną porażką. Kornwalijscy dzierżawcy przyjęli go jak intruza. Długa historia jego rodu nie zrobiła na nich żadnego wrażenia. Może i był to stary ród, ale nie kornwalijski i dlatego nie liczył się w ich oczach. Za Trevertonami poszliby na koniec świata, ale nikt nie zboczyłby choć o krok ze swojej drogi dla Franklandów. Co do kopalni, zdawało się, że wstąpił w nią ten sam buntowniczy duch, który opanował dzierżawców. Ważniacy z Londynu wysadzali skały w powietrze we wszystkich kierunkach zgodnie z najuczestszymi zasadami i kosztem pięciu funtów wydobywali na powierzchnię rudę wartą około sześciu pensów. Niewiele lepiej było z przetwórniami rybnymi. Nowy system wędzenia sardynek, który w teorii miał być cudem oszczędności, okazał się w praktyce idealnym przykładem marnotrawstwa. Jedyna szczęśliwa rzecz w długim ciągu niepowodzeń starego Franklanda wynikała z jego skłócenia się zawczasu ze średniowiecznym architektem, który wyglądał jak papistyczny ksiądz w przebraniu. Ta fortunna okoliczność oszczędziła nowemu właścicielowi Porthgenna wielkich pieniędzy, jakie inaczej wydałby na odrestaurowanie i odnowienie całej amfilady pokoi w północnym skrzydle domu, które popadały w ruinę przez ostatnie pięćdziesiąt lat i które nadal pozostają zaniedbane. Mówiąc krótko, wyrzuciwszy w Porthgenna w błoto więcej tysięcy funtów, niż podejmując się podliczyć, stary Frankland dał wreszcie za wygraną, zde gustowany pozostawił majątek pod opieką zarządcy, który miał przykazane nie wydać już na niego złamanego szeląga, po czym powrócił w nasze strony. Wróciwszy, zastał kapitana Trevertona na łądzie, a że był wściekły, zaczął rzucać przy nim obelgi na Porthgenna i wszystkich ludzi wokół niej nieco zbyt gwałtownie. To doprowadziło do ochłodzenia stosunków między sąsiadami, co mogło skończyć się całkowitym ich zerwaniem, gdyby nie dzieci obu stron, które spotykały się równie często jak

wcześniej i które w końcu dzięki umyślnej wytrwałości położyły kres separacji pomiędzy ojcami, po prostu ją ośmieszając. Tutaj, moim zdaniem, docieramy do najdziwniejszej części tej historii. Od zakochania się w sobie tych dwojga zależało dobro rodzin i, co z radością donoszę, właśnie to (jak wiesz już z mojego wyznania przy śniadaniu) się stało. Oto przykład najromantyczniejszej miłości zwieńczonej małżeństwem ze wszystkich, które w doczesnym interesie rodziców obu stron należało popierać. Szekspir niech mówi co chce, strumień wiernej miłości czasami jednak płynie spokojnie. Jeszcze nigdy nabożeństwo ślubne nie zostało odprawione w słuszniejszej sprawie niż dziś rano. Jako że posiadłość na mocy ordynacji rodowej przechodzi na Leonarda, córka kapitana Trevertona powraca teraz jako pani do domu i dóbr, które sprzedał jej ojciec. Ponieważ Rosamond jest jedynaczką, pieniądze pochodzące ze sprzedaży Porth-genna, które niegdyś stary Frankland opłakiwał jako wyrzucone w błoto, staną się po śmierci kapitana posagiem żony młodego Franklanda. Nie wiem, co sądzisz o początku i środku mojej opowieści, Phippen, ale zakończenie powinno cię w każdym razie zadowalać. Słyszałeś kiedyś, żeby państwo młodzi startowali w życie z lepszymi widokami niż nasza dzisiejsza młoda para?

Zanim pan Phippen zdążył odpowiedzieć, panna Sturch wytknęła głowę przez okno klasy i widząc dwóch zbliżających się dżentelmenów, obdarzyła ich swoim niezmiennym uśmiechem. Potem, zwracając się do proboszcza, odezwała się łagodnym głosem:

– Najmocniej przepraszam, że pana niepokoję, sir, ale Robert jest dziś bardzo oporny, jeśli chodzi o tabliczkę mnożenia.

– Na czym stanął? – zapytał doktor Chennery.

– Na siedem razy osiem, sir – odparła panna Sturch.

– Bob! – zawołał proboszcz przez okno. – Siedem razy osiem?

– Czterdzieści trzy – odpowiedział płaczący głos niewidzialnego Boba.

– Masz jeszcze jedną szansę, zanim dobędę kija – powiedział doktor Chennery. – A więc uważaj! Siedem razy...

– Mój drogi, dobry przyjacielu – wtrącił pan Phippen – jeśli obijesz tego nieszczęsnego chłopca, będzie krzyczał. Moje nerwy już raz zostały dziś wystawione na próbę przez stołek. Będę całkowicie roztrzęsiony, jeśli posłyszę krzyki. Daj mi czas, aby się oddalić, i pozwól, że oszczędzę drogiej pannie Sturch smutnego widoku karcenia (tak wstrząsającego dla jej wrażliwości), prosząc ją o olejek kamforowy i w ten sposób dając jej pretekst do oddalenia się podobnie jak ja. Myślę, że w każdych innych okolicznościach obyłbym się bez olejku kamforowego, ale teraz poproszę o niego bez wahania, zarówno ze względu na pannę Sturch, jak i na moje biedne nerwy. Czy ma pani olejek kamforowy, panno Sturch? Proszę powiedzieć „tak”, błagam, i dać mi możliwość wyprowadzenia pani poza zasięg krzyków.

Podczas gdy jak zwykle uśmiechnięta i opanowana panna Sturch, której zaprawiona wrażliwość odporna była na najdłuższe ojcowskie bicie i najgłośniejsze synowskie potwierdzanie go w postaci krzyków, pośpieszyła na górę po olejek kamforowy, panicz Bob, znalazłszy się w klasie sam z siostrami, przysunął się chyłkiem do młodszej z nich, wyjął z kieszeni spodni trzy zapyziałe, skwaśniałe drosy, które skutkiem długiego noszenia miały mało zachęcający wygląd, i wykorzystując słabą czy też łapczywą naturę panny Amelii, chytrze zaoferował drosy w zamian za informację na temat siedem razy osiem.

– Lubisz je? – szepnął Bob.

– Och, jeszcze jak! – odparła Amelia.

– Siedem razy osiem? – zapytał Bob.

– Pięćdziesiąt sześć – odpowiedziała Amelia.

– Na pewno? – zapytał Bob.

– Oczywiście – powiedziała Amelia.

Drosy zmieniły właściciela, a wraz z zamianą oddaliła się wizja domowej katastrofy. Właśnie gdy panna Sturch pojawiła się z olejkiem kamforowym na ogrodowym sądzie w roli medycznej Hebe posługującej panu Phippenowi, jej oporny uczeń pokazał się ojcu przez okno w roli zreformowanego pod względem arytmetycznym syna. Kij udał się tego dnia na spoczynek, a pan Phippen wychylił swój kieliszek kropli miętowych uspokojony, jeśli chodzi o pokrewne tematy wrażliwości panny Sturch i krzyków panicza Boba.

– Nadzwyczaj przyjemne pod każdym względem – rzekł Męczennik Niestrawności, oblizując wargi z wielką przyjemnością po tym, jak opróżnił kieliszek do dna. – Moje nerwy zostały oszczędzone, uczucia panny Sturch zostały oszczędzone i plecy drogiego chłopca zostały oszczędzone. Nie masz pojęcia, jak wielką czuję ulgę, Chennery. W którym miejscu twojej rozkosznej opowieści byliśmy, kiedy zaszedł ów drobny domowy incydent?

– Na końcu, to pewne – powiedział proboszcz. – Państwo młodzi ujechali już kilka mil w drodze do St. Swithin's-on-Sea, gdzie spędzą miesiąc miodowy. Kapitan Treverton zostaje tylko do jutra. W poniedziałek otrzymał polecenie wypłynięcia w morze i rano wyjeżdża do Portsmouth, aby objąć dowodzenie nad statkiem. Choć nie przyzna tego otwarcie, wiem skądinąd, że Rosamond przekonała go, aby był to jego ostatni rejs. Ma zamiar sprowadzić ojca z powrotem do Porthgenna, gdzie zamieszka z mężem, co mam nadzieję i ufam, że się powiedzie. Pokoje w zachodniej części starego domu, w jednym z których zmarła pani Treverton, mają nie być w ogóle używane przez małżonków. Zaangażowali majstra, tym razem bardzo rozsądnego, praktycznego człowieka, aby obejrzał zaniedbane północne pomieszczenia pod kątem odnowienia i gruntownego remontu. Ta część domu nie może się w umyśle kapitana Trevertona łączyć z żadnymi smutnymi wspomnieniami, jako że ani on, ani nikt inny nie wchodził do

niej podczas jego pobytu w Porthgenna. Biorąc pod uwagę zmianę wyglądu domu, którą z pewnością pociągnie za sobą projekt remontu północnych pokoi, oraz łagodzący wpływ, jaki czas wywiera na wszystkie bolesne wspomnienia, powiedziałbym, że istnieje poważna możliwość, iż kapitan Treverton wróci dokonać swoich dni pośród dawnych dzierżawców. Jeśli tak się stanie, będzie to wielka szansa dla Leonarda Franklanda, ponieważ teść z pewnością przysposobi mieszkańców Porthgenna przyjaźnie do ich nowego pana. Wprowadzony w krąg kornwalijskich dzierżawców pod skrzydłami kapitana Trevertona, Leonard z pewnością będzie z nimi w dobrych stosunkach pod warunkiem, że powstrzyma się od okazywania zbyt dużej rodowej dumy odziedziczonej po ojcu. Ma pewną skłonność do przeceniania zalet wysokiego urodzenia i znaczenia rangi, ale to naprawdę jedyna widoczna skaza na jego charakterze. Pod każdym innym względem mogę szczerze powiedzieć, że zasługuje na to, co dostał – najlepszą żonę pod słońcem. Cóż za szczęśliwe życie, Phippen, zdaje się czekać tych dwoje młodych ludzi! Może w odniesieniu do istot śmiertelnych jest to śmiała teza, ale jakkolwiek daleko by patrzeć, na całej ich przyszłości nie widzę ani jednej chmurki.

– Ty wspomniała istoto! – zawołał pan Phippen, czule ściskając dłoń proboszcza. – Jak miło się ciebie słucha! Delektuję się twoim optymistycznym poglądem na życie!

– A czyż nie jest to pogląd prawdziwy, zwłaszcza w przypadku młodego Franklanda i jego żony? – zapytał proboszcz.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie – rzekł pan Phippen z ponurym uśmiechem i spokojem godnym filozofa – mogę jedynie powiedzieć, że kierunek opartych na przypuszczeniach poglądów człowieka zależy, mówiąc wprost, od stanu jego wydzielin. Twoje wydzieliny żółciowe, drogi przyjacielu, są prawidłowe, i przybierasz optymistyczne poglądy. Moje wydzieliny żółciowe są w złym stanie i przybieram pesymistyczne poglądy. Patrzysz na przyszłość tego młodego małżeństwa i twierdzisz, że nie ma nad nim jednej chmurki. Nie dyskutuję z tym twierdzeniem, jako że nie miałem przyjemności poznać ani pana młodego, ani panny młodej. Ale spoglądam na niebo nad nami i pamiętam, że kiedy weszliśmy do ogrodu, nie było na nim ani jednej chmurki, a teraz, wprost nad tymi dwoma drzewami rosnącymi tuż obok siebie, widzę chmurkę, która pojawiła się niespodziewanie nie wiadomo skąd... i wyciągam swoje własne wnioski. Oto – rzekł pan Phippen, wchodząc na ogrodowe stopnie w drodze powrotnej do domu – moja filozofia. Może jest ona skażona żółcią, ale mimo wszystko to filozofia.

– Cała filozofia świata – powiedział proboszcz, wchodząc za gościem na stopnie – nie zachwieje moim przekonaniem, że Leonard Frankland i jego żona mają przed sobą świetlaną przyszłość.

Pan Phippen zaśmiał się i poczekawszy na schodach, aż przyjaciel do niego

dołączy, przyjaźnie ujął doktora Chennery'ego pod ramię.

– Opowiedziałeś uroczą historię, Chennery – rzekł – i zakończyłeś ją czarującym sentymentem. Ale, drogi przyjacielu, choć twój zdrowy umysł (działający pod wpływem godnego pozazdroszczenia trawienia) gardzi moją żółciową filozofią, nie zapominaj całkiem o chmurce nad dwoma drzewami. Spójrz na nią – już teraz ciemnieje i rośnie.

Rozdział 3.

Państwo młodzi

Panna Mowlem wiodła skromne życie pod dachem owdowiałej matki w St. Swithin's-on-Sea. Wiosną 1844 roku serce owdowiałej matki panny Mowlem uradował mały spadek. Rozważywszy różne sposoby spożytkowania pieniędzy, roztropna starsza dama zdecydowała w końcu, że zainwestuje w meble, urządzi pierwsze oraz drugie piętro domu w jak najlepszym guście i w oknie salonu wywiesi kartkę z informacją, że ma umeblowane pokoje na wynajem. Przed nadejściem lata pokoje były gotowe, a kartka wywieszona. Nie upłynął jeszcze tydzień, gdy zgłosił się dystyngowany jegomość w czerni, aby obejrzyć pokoje, wyraził swoje zadowolenie z ich wyglądu i zamówił je, co pewne, na miesiąc dla nowo zaślubionych damy i dżentelmena, których można było spodziewać się za kilka dni. Dystyngowanym jegomościem w czerni był służący kapitana Trevertona, a damą i dżentelmenem, którzy przybyli w stosownym czasie, pan i pani Franklandowie.

Naturalna ciekawość, jaką pani Mowlem odczuwała wobec swoich młodych pierwszych lokatorów, była z konieczności wyraźna, ale w porównaniu z czułościwą ciekawością, z jaką jej córka obserwowała zachowanie i zwyczaje damy i dżentelmena w roli nowożeńców, stanowiła czystą obojętność. Od chwili, gdy państwo Franklandowie przekroczyli próg domu, panna Mowlem zaczęła ich studiować z żarliwością skrupulatnego badacza zgłębiającego nową dziedzinę nauki. W każdej wolnej chwili ta skrętna młoda dama oddawała się zakradaniu na piętro w celu zebrania spostrzeżeń, a potem zbieganiu na dół, aby zakomunikować je matce. Nim małżonkowie zdążyli spędzić w ich domu tydzień, panna Mowlem zrobiła tak dobry użytek ze swoich oczu, uszu i możliwości, że mogłaby napisać siedmiodniowy dziennik życia państwa Franklandów ze szczerością i drobiazgowością samego Samuela Pepysa.

Ale ilekolwiek by się człowiek uczył, im dłużej żyje, tym więcej informacji może sobie przyswoić. Siedem dni wytrwałego zbierania danych związanych z miesiącem miodowym nie oznaczało, że panna Mowlem nie mogła dokonać kolejnych odkryć. Rankiem ósmego dnia, odniósłszy na dół tacę śniadaniową, spostrzegawcza stara panna zakradła się swoim zwyczajem z powrotem na piętro, by pić ze źródła wiedzy przez kanał dziurki od klucza w drzwiach bawialni. Pięć minut później, ledwo dysząc z podniecenia, zeszła do kuchni, aby oznajmić swej czcigodnej matce nowe odkrycie dotyczące państwa Franklandów.

– Jak myślisz, co ona teraz robi? – zawołała panna Mowlem, wybałuszając oczy i wznosząc wysoko ręce.

– Nic pożytecznego – odparowała sarkastycznie pani Mowlem.

– Siedzi mu na kolanach! Matko, czy ty kiedyś siedziałas ojcu na kolanach,

gdy byliście małżeństwem?

– Oczywiście, że nie, moja droga. Kiedy ja i twój biedny ojciec wzięliśmy ślub, nie byliśmy płochą młodzieżą i nie głupoty były nam w głowach.

– Trzyma mu głowę na ramieniu – ciągnęła panna Mowlem z coraz większym zapałem – a rękami obejmuje go za szyję. Obiema rękami, matko, z całej siły.

– Nie wierzę – zawołała z oburzeniem pani Mowlem. – Żeby taka dama, majątna, dobrze wychowana i tak dalej, poniżała się jak pokojówka z kochasiem. Nie mów mi, nie wierzę!

Mimo wszystko była to prawda. W bawialni pani Mowlem było pod dostatkiem krzeseł, na stoliku pembroke pani Mowlem leżały trzy pięknie oprawione książki (*Zabytki St. Swithin's*, kazania Smallridge'a i prozatorska wersja *Mesjady* Klopstocka po angielsku). Pani Frankland mogła usiąść na fioletowej marokańskiej skórze wypchanej najlepszym końskim włosiem, mogła doksztalcić i ukoić umysł archeologicznymi ciekawostkami, ortodoksyjną rodzimą teologią oraz nabożną poezją obcego pochodzenia, a jednak – jakże płocha jest kobieca natura – była na tyle przewrotna, aby wybrać nicnierobienie i niewygodne przycupnięcie na kolanach męża!

Przez jakiś czas siedziała w niegodnej pozycji, którą to panna Mowlem z taką dokładnością opisała matce. Następnie odsunęła się lekko, uniosła głowę i z powagą spojrzała w spokojną, zamyśloną twarz niewidomego mężczyzny.

– Lenny, jesteś dziś bardzo milczący – rzekła. – O czym myślisz? Jeśli powierysz mi wszystkie swoje myśli, ja powierzę ci wszystkie swoje.

– Naprawdę chciałabyś poznać wszystkie moje myśli? – zapytał Leonard.

– Tak, wszystkie. Będę zazdrosna o każdą myśl, jaką zatrzymasz dla siebie. Powiedz mi, o czym przed chwilą myślałeś. O mnie?

– Niezupełnie.

– To nieładnie. Po ośmiu dniach już się mną znudziłeś? Ja, odkąd tu przyjechaliśmy, nie myślę o nikim oprócz ciebie. Ach! Możesz się śmiać, Lenny. Tak cię kocham: jak mogłabym myśleć o kimś innym? Nie! Nie pocałuję cię. Najpierw chcę wiedzieć, o czym myślałeś.

– O śnie, który miałem wczoraj, Rosamond. Od początku mojej ślepoty... Cóż to, myślałem, że mnie nie pocałujesz, dopóki nie powiem ci, o czym myślałem!

– Nie mogę nie całować cię, Lenny, gdy mówisz o stracie swojego wzroku. Powiedz mi, moje kochane biedactwo, czy przyczyniam się do zrekompensowania tej straty? Czy jesteś szczęśliwszy niż dawniej? I czy mam swój udział w tworzeniu tego szczęścia, choć tak bardzo mizerny?

Mówiąc, odwróciła głowę, ale Leonard był szybszy. Jego palce pytająco dotknęły jej policzka.

– Rosamond, ty płaczesz – rzekł.

– Ja miałabym płakać! – odpowiedziała z nagłą wesołością. – Nie – podjęła po chwili przerwy. – Nigdy cię nie okłamię, kochany, nawet gdyby chodziło o najmniejszą błahostkę. Moje oczy służą teraz nam obojgu, prawda? Polegasz na mnie we wszystkim, czego nie mówi ci twój dotyk, a ja nie mogę okazać się niegodna twojego zaufania, czyż nie? Faktycznie, płakałam, Lenny, ale tylko troszeczkę. Nie wiem, jak to się stało, ale zdaje mi się, że nigdy w całym moim życiu nie współczułam ci tak bardzo jak właśnie przed chwilą. Nieważne, już mi przeszło. Mów dalej, proszę, mów dalej to, co miałeś powiedzieć.

– Miałem powiedzieć, Rosamond, że zauważyłem jedną dziwną rzecz, odkąd straciłem wzrok. Dużo śnię, ale w swoich snach nigdy nie występuję jako niewidomy. Często odwiedzam miejsca, które widziałem, i ludzi, których znałem, kiedy widziałem, i chociaż w sennych wizjach czuję się tak samo sobą jak teraz, na jawie, nigdy nie czuję się niewidomy. Wędruję po różnych dawnych ścieżkach i nigdy nie idę po omacku. Rozmawiam z dawnymi przyjaciółmi i widzę wyraz ich twarzy, którego obudziwszy się, nigdy już nie zobaczę. Straciłem wzrok już ponad rok temu, a mimo to chwila, w której obudziłem się ostatniej nocy i nagle przypomniałem sobie, że jestem niewidomy, wstrząsnęła mną, jakbym dokonał nowego odkrycia.

– Co to był za sen, Lenny?

– Śniło mi się tylko miejsce, w którym pierwszy raz cię spotkałem, gdy byliśmy dziećmi. Widziałem dolinę, taką jak przed laty, z wielkimi, powykręcanyimi korzeniami drzew i krzewami ostrężyn oplatającymi je w przytłumionym świetle padającym przez gęste listowie z zasnutego chmurami nieba. Widziałem błoto na ścieżce biegnącej dnem doliny, w którym miejscami odcisnięte były kopyta krów, a gdzie indziej koliste ślady – tam, gdzie niedawno wlokły się wieśniaczki obute w chodaki. Widziałem mętną wodę płynącą po obu stronach ścieżki po deszczu i widziałem ciebie, Rosamond, niegrzeczną dziewczynkę, całą ubłoconą i mokrą, tak jak to było naprawdę, jak brudzisz swoją błękitną pelisę i pulchne rączki, budując tamę mającą zatrzymać strugi wody, i śmiejesz się z oburzenia opiekunki, która próbuje cię odciągnąć i zabrać do domu. Widziałem to wszystko tak wyraźnie, jak było swego czasu na jawie, ale, co dziwne, nie widziałem się jako chłopca, którym wtedy byłem. Ty byłaś małą dziewczynką i dolina była po dawnemu zaniedbana, a jednak, choć aż dotąd przebywałem w przeszłości, jeśli chodzi o mnie samego, byłem taki jak teraz. Przez cały sen towarzyszyło mi niepokojące poczucie, że jestem dorosłym mężczyzną, że jestem, krótko mówiąc, dokładnie taki jak teraz, tyle że nie niewidomy.

– Jaką musisz mieć pamięć, kochany, że potrafisz sobie przypomnieć wszystkie szczegóły po tylu latach od owego mokrego dnia w dolinie! Jak dobrze pamiętasz, jaka byłam jako dziecko! Czy pamiętasz równie wyraźnie, jak

wyglądałam rok temu, kiedy widziałeś mnie... Och, Lenny, serce mi się kraje, gdy o tym myślę... kiedy widziałeś mnie po raz ostatni?

– Czy pamiętam, Rosamond! Moje ostatnie spojrzenie na twoją twarz odmalowało w mej pamięci twój portret farbami, które nigdy nie zblakną. Mam w głowie wiele obrazów, ale twój jest najwyraźniejszy i najżywszy ze wszystkich.

– I przedstawia mnie w największym rozkwicie, młodą, mój miły, gdy moja twarz zawsze zdradzała, jak bardzo cię kocham, choć moje usta milczały. W tej myśli jest coś pocieszającego. Gdy miną lata, Lenny, i czas zacznie odciskać na mnie swe piętno, nie powiesz sobie: „Moja Rosamond zaczyna przekwitać. Staje się coraz mniej podobna do dziewczyny, którą poślubiłem”. Ja się dla ciebie nigdy nie zestarzeję, kochany! Żywy, młodzieńczy obraz w twojej głowie będzie nadal obrazem mnie, gdy moje policzki pokryją zmarszczki, a włosy posiwieją.

– Nadal będzie obrazem ciebie, zawsze tym samym, bez względu na to, jak bardzo się zestarzeję.

– Ale czy jesteś pewien, że jest on wyraźny w każdym miejscu? Czy nigdzie nie ma niepewnych kresek, niedokończonych fragmentów? Od czasu, gdy mnie widziałeś, jeszcze się nie zmieniłam, jestem dokładnie taka jak przed rokiem. A gdybym tak spytała cię, jak teraz wyglądam, czy potrafiłbyś powiedzieć, nie myląc się?

– Spróbuj.

– Mogę? Odpytam cię jak z katechizmu! Nie męczę cię, siedząc ci na kolanach, prawda? A więc, po pierwsze, jak wysoka jestem, kiedy stoimy obok siebie?

– Sięgasz mi do ucha.

– Dobrze jak na początek. Teraz następne pytanie. Jak na twoim portrecie wyglądają moje włosy?

– Są ciemnobrązowe, jest ich dużo i zdaniem niektórych ich linia schodzi zbyt nisko na czoło...

– Zostawmy „niektórych”. Czy ich linia schodzi zbyt nisko twoim zdaniem?

– Oczywiście, że nie. Podoba mi się tak, jak jest. Podobają mi się te wszystkie drobne, naturalne fale, które włosy tworzą na czole. Podoba mi się, jak je nosisz: zaczesane do tyłu w prostych pasmach odsłaniających uszy i policzki, i nade wszystko podoba mi się ten duży, lśniący węzeł, w który zebrane są z tyłu głowy.

– Och, Lenny, jak dobrze mnie pamiętasz! Teraz zejź trochę niżej.

– Trochę niżej, to znaczy do brwi. Na moim obrazie są to bardzo ładnie wygięte brwi...

– Tak, ale mają pewną skazę. Dalej! Powiedz, co to za skaza.

– Mogłyby być odrobinę mocniej zaznaczone.

– Znowu dobrze! A czy?

– Brązowe oczy, duże, czujne, ciągle rozglądające się wokół. Oczy, które potrafią być w jednej chwili bardzo łagodne, a w następnej bardzo żywe. Oczy, które teraz są czułe i czyste, ale pod wpływem najbliższej zaczepki potrafią otworzyć się nieco zbyt szeroko i patrzeć nieco zbyt stanowczo.

– Uważaj, żebyś nie sprawił, że będą tak patrzeć. Co jest poniżej oczu?

– Nos, który jest nie dość duży, aby tworzyć z nimi właściwe proporcje. Nos, który ma drobną tendencję do...

– Nie wypowiadaj tego wstrętnego angielskiego słowa. Oszczędź mnie, wyrażając to po francusku. Powiedz *retroussé** i zostaw mój nos w spokoju tak szybko, jak się da.

– Muszę zatem zatrzymać się przy ustach i przyznać, że są tak bliskie doskonałości, jak to możliwe. Wargi mają śliczny kształt, soczysty kolor i nieodparty wyraz. Na moim portrecie uśmiechają się i jestem pewien, że i teraz śmieją się do mnie.

– Cóż mogłyby robić innego, kiedy zbierają takie pochwały? Moja próżność podpowiada mi, że powinnam w tym miejscu zakończyć odpytywanie. Jeśli spytam o cerę, usłyszę tylko, że jest śniada i że nigdy nie ma w niej dość czerwieni, chyba że idę, jestem zmieszana albo zła. Jeśli spytam o sylwetkę, padnie straszna odpowiedź: „Masz niebezpieczną tendencję do tycia”. Jeśli spytam: „Jak się ubieram?”, usłyszę: „Nie dość statecznie, kochasz jaskrawe kolory jak dziecko”. Nie! Nie poważę się zadać więcej pytań. Ale odkładając na bok próżność, Lenny, tak się cieszę, taka jestem dumna i taka szczęśliwa, widząc, że zachowałeś w głowie wierny obraz mnie. Będę teraz dokładać starań, aby wyglądać i ubierać się tak jak twoje ostatnie wspomnienie o mnie. Moja miłości największa! Przyniosę ci chlubę, spróbuję, aby wszyscy zazdrościli ci żony. Zasługujesz na sto tysięcy pocałunków za to, że tak dobrze zdałeś swój katechizm. A oto one!

Podczas gdy pani Frankland przyznawała mężowi nagrodę za zasługi, z rogu pokoju nieśmiało dobiegło ciche, nieznaczne, uprzejmie znaczące kasznięcie. Ze żwawością cechującą wszystkie jej ruchy pani Frankland w tej samej chwili obróciła się i ku swemu przerażeniu i oburzeniu ujrzała pannę Mowlem stojącą w drzwiach z listem w ręku i rumieńcem ckliwego podniecenia na głupkowato uśmiechniętej twarzy.

– Ty nikczemnico! Jak śmiesz wchodzić bez pukania? – zawołała Rosamond, zrywając się na równe nogi z głośnym tupnięciem i w jednej chwili przechodząc z wyżyn czułości na wyżyny oburzenia.

Panna Mowlem wzdygnęła się z miną winowajcy pod pałającym, karcącym wzrokiem, który zdawał się na wskroś ją przeszywać, zbladła, przepaszając podał list i najpotulniej, jak umiała, powiedziała, że jest jej bardzo przykro.

– Przykro! – zawołała Rosamond, jeszcze bardziej rozdrażniona przeprosinami niż samym wtargnięciem i okazując to kolejnym tupnięciem. – Kogo

obchodzi, czy jest ci przykro? Nie potrzeba mi twojej przykrości, nie chcę jej. Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie obraził – nigdy, ty podłe, wścibskie stworzenie!

– Rosamond! Rosamond! Błagam, nie zapominaj się! – Jej tyradę zmałcił cichy głos pana Franklanda.

– Lenny, kochanie, nic nie poradzę! To stworzenie świętego wyprowadziłoby z równowagi. Śledzi nas, odkąd tu przyjechaliśmy – nie zaprzeczysz, ty źle wychowana, prostacka kobieto! Już wcześniej to podejrzewałam, teraz jestem pewna! Czy musimy zamykać się przed tobą na klucz? Nie będziemy zamykać się na klucz! Przynies rachunek! Składamy wypowiedzenie. Pan Frankland składa wypowiedzenie, prawda, Lenny? Spakuję wszystkie twoje rzeczy, kochany, ona niczego nie dotknie. Idź na dół, wypisz rachunek i przekaż swojej matce wypowiedzenie. Pan Frankland mówi, że nie pozwoli, aby ktoś wpadał do jego pokoju i podsłuchiwał pod drzwiami, i ja też tak mówię. Połóż list na stole, chyba że chcesz go otworzyć i przeczytać, połóż list, ty bezczelna kobieto, przynies rachunek i powiedz swojej matce, że zaraz się wyprowadzamy!

Usłyszawszy tę straszną groźbę, panna Mowlem, z natury będąc nie tylko ciekawską, lecz również łagodną i bojaźliwą, załamała dłonie w geście rozpacz i załża się łzami.

– Och, dobry, łaskawy Boże! – zawołała, zwracając się w roztargnieniu do sufitu. – Co powie matka? Co teraz ze mną będzie? Och, proszę pani, zdawało mi się, że pukałam – w istocie tak było! Och, proszę pani! Pokornie błagam o przebaczenie, już nigdy nie wtargnę do pokoju. Och, proszę pani! Moja matka jest wdową, to pierwszy raz, kiedy wynajmujemy pokoje, i wszystkie pieniądze wydałyśmy na meble, i och, proszę pani! Proszę pani! Jak się one zwrócą, jeśli państwo wyjadą?

W tym miejscu język zawiódł pannę Mowlem, a miejsce słów zajęły histeryczne łkania.

– Rosamond! – odezwał się pan Frankland.

W jego głosie brzmiała tym razem nuta żalu, a także wyrzutu. Czujne ucho Rosamond w mig uchwyciło zmianę tonu. Gdy obejrzała się i spojrzała na męża, zarumieniała się, lekko spuściła głowę, a całe jej zachowanie w jednej chwili się odmieniło. Wzrok złagodniał i posmutniał, delikatnie przysunęła się do boku męża i pieszczotliwie zbliżyła wargi do jego ucha.

– Lenny – szepnęła – rozzłościłam cię?

– Nie potrafię się na ciebie złościć, Rosamond – padła cicha odpowiedź. – Wolałbym tylko, moja miła, abyś potrafiła zawczasu się opanować.

– Tak mi przykro, tak bardzo, bardzo przykro! – Świeże, miękkie wargi przysunęły się jeszcze bliżej jego ucha, szepcząc te pełne skruchy słowa, a sprytna rączka owinęła się z drżeniem wokół szyi i zaczęła bawić się włosami. – Tak mi

przykro i tak mi wstyd! Ale coś takiego rozniewałoby prawie każdego, przynajmniej na początku, prawda, kochanie? I wybaczysz mi, Lenny, prawda, jeśli obiecuję, że już nigdy tak źle się nie zachowam? Zostawmy tę nieszczęsną skamlącą idiotkę pod drzwiami – powiedziała Rosamond, oglądając się za siebie i na chwilę przypominając sobie o pannie Mowlem, która skruszona stała nieruchomo pod ścianą z twarzą ukrytą w poślódkiej chusteczce. – Pogodzę się z nią. Sprawię, że przestanie płakać. Wyprowadzę ją z pokoju. Zrobię wszystko, żeby sprawić jej przyjemność, jeśli tylko mi wybaczysz.

– Wystarczy jedno lub dwa uprzejme słowa, nic więcej – powiedział pan Frankland nieco chłodno i sztywno.

– Na miłość boską, przestań już płakać! – powiedziała Rosamond, podchodząc prosto do panny Mowlem i bez najmniejszej ceremonii odrywając jej od twarzy poślódką chusteczkę. – No już, przestań, dobrze? Przepraszam, że się uniosłam – chociaż nie miałaś powodu, aby wchodzić bez pukania – nie chciałam sprawić ci przykrości i nigdy już nie powiem ci złego słowa, jeśli tylko na przyszłość będziesz pukać, a teraz przestaniesz płakać. Przestańże płakać, uprzykrzone stworzenie! Nie wyjeżdżamy. Nie potrzebujemy twojej matki ani rachunku, ani nic. Poczekaj! Mam tu dla ciebie prezent, jeśli przestaniesz płakać. Oto moja aksamitka. Widziałam, jak przymierzałaś ją wczoraj po południu, kiedy leżałam na kanapie w salonie i myślałaś, że śpię. Mniejsza o to, nie gniewam się. Weź tę aksamitkę, przyjmij ją na znak zgody, jeśli nie chcesz prezentu. Masz ją wziąć!... Nie, nie to miałam na myśli... Chciałam powiedzieć: proszę, weź ją! Już, przypięte. A teraz uściśnijmy sobie ręce na zgodę, idź na górę i przejrzyj się w lustrze.

Z tymi słowy pani Frankland otworzyła drzwi, pod pozorem poklepania po ramieniu wymierzyła zdumionej i speszonej pannie Mowlem przyjacielskie pchnięcie, zamknęła za nią drzwi i w jednej chwili zajęła swoje miejsce na kolanach męża.

– Pogodziłam się z nią, kochany. Odesłałam ją z moją jasnozieloną aksamitką, w której wydaje się żółta jak gwinea i brzydka jak... – Rosamond urwała i z niepokojem spojrzała w twarz pana Franklanda. – Lenny! – rzekła smutnym głosem, przytulając policzek do jego policzka. – Nadal się na mnie gniewasz?

– Miła moja, nigdy się na ciebie nie gniewałem. Nie potrafię.

– Na przyszłość będę już zawsze trzymać swoje nerwy na wodzy, Lenny!

– Nie mam wątpliwości, że będziesz, Rosamond. Ale mniejsza z tym. Nie myślę teraz o twoich nerwach.

– A o czym?

– O tym, jak przeprosiłaś pannę Mowlem.

– Czyżbym powiedziała za mało? Zawołam ją, jeśli chcesz... Wygłoszę

kolejną pełną skruchy mowę... Zrobię wszystko oprócz całowania jej. Tego zrobić naprawdę nie mogę. Nie mogę całować nikogo prócz ciebie.

– Moja droga, kochana Rosamond, czasami nadal zachowujesz się jak dziecko! Powiedziałaś pannie Mowlem więcej, niż było konieczne – dużo więcej. I jeśli wybaczysz mi tę uwagę, myślę, że w swojej hojności i dobroduszości względem tej młodej kobiety nieco się zapomniałaś. Nie mam na myśli podarowania jej aksamitki, choć można to było zrobić mniej poufale, ale z tego, co słyszałem, wnoszę, że posunęłaś się do uściśnięcia jej ręki.

– Czy to źle? Myślałam, że to najuprzejmiejszy sposób na pogodzenie się.

– Moja droga, to doskonały sposób na pogodzenie się pomiędzy równymi sobie. Ale weź pod uwagę różnicę stanów pomiędzy tobą a panną Mowlem.

– Spróbuję wziąć to pod uwagę, jeśli sobie tego życzysz, kochany. Myślę jednak, że mam to po ojcu, który nigdy (kochany staruszek!) nie zaprzęta sobie głowy różnicą stanów. Nic na to nie poradzę, że lubię ludzi, którzy są dla mnie mili, nie zastawiając się, czy są ode mnie wyżsi stanem, czy niżsi. A kiedy ochłonęłam, muszę wyznać, że byłam na siebie tak zła o to, że przestraszyłam i zmartwiłam tę nieszczęsną pannę Mowlem, jak gdyby była mi równa stanem. Postaram się myśleć podobnie jak ty, Lenny, ale mam poważne obawy, że stałam się, nie wiedząc dokładnie jak, tym, co gazety określają mianem radykała.

– Moja droga Rosamond! Nie mów o sobie w ten sposób, nawet żartem. Powinnaś być ostatnią osobą na świecie mieszącą różnice w pozycji, na których opiera się całe dobro społeczeństwa.

– Naprawdę? A jednak, mój drogi, nie wydaje się, abyśmy zostali stworzeni tak bardzo różnymi. Wszyscy mamy tyle samo rąk i nóg, wszyscy odczuwamy pragnienie i głód, jest nam gorąco latem, a marzniemy zimą, wszyscy śmiejemy się, kiedy jesteśmy zadowoleni, a płaczemy, gdy jesteśmy smutni, i z pewnością wszyscy przeżywamy podobne uczucia, niezależnie od tego, czy jesteśmy wysoko, czy nisko urodzeni. Nie mogłabym kochać cię bardziej niż teraz, Lenny, gdybym była księżną, ani mniej niż teraz, gdybym była dziewczką służebną.

– Nie jesteś dziewczką służebną, kochana. A co do księżnej, pozwól, że ci przypomnę, iż nie stoisz aż tak dużo niżej niż księżna, jak ci się wydaje. Niejedna arystokratka nie może się pochwalić taką linią rodową jak ty. Rodzina twojego ojca, Rosamond, należy do najstarszych w całej Anglii: nawet rodzina mojego ojca nie jest tak stara, a byliśmy ziemiaństwem w czasach, gdy o wielu nazwiskach dzisiejszych parów nawet się nie słyszało. Doprawdy, to niemal niedorzeczne słyszeć, jak nazywasz siebie radykałem.

– Już tak siebie nie nazwę, Lenny, tylko nie rób takiej poważnej miny. Będę torysem, kochany, jeśli mnie pocałujesz i pozwolisz jeszcze chwilę posiedzieć ci na kolanach.

Powaga pana Franklanda nie pozostała nieczuła wobec zmiany poglądów

politycznych jego żony i warunków, jakie jej towarzyszyły. Twarz mu się rozchmurzyła i zaśmiał się niemal równie wesoło jak sama Rosamond.

– À propos – odezwał się po tym, jak chwila ciszy pozwoliła mu zebrać myśli – czy dobrze słyszałem, że kazałaś pannie Mowlem położyć na stole list? Czy to list do ciebie, czy do mnie?

– Ach! Zupełnie zapomniałam o liście – powiedziała Rosamond, zrywając się do stołu. – To do ciebie, Lenny... O Boże! Tu jest stempel pocztowy Porthgenna.

– To musi być od majstra, którego wysłałem do starego dworu w sprawie napraw. Użycz mi swoich oczu, kochanie, i posłuchajmy, co pisze.

Rosamond otwarła list, przysunęła taboret do stóp Leonarda i usiadłszy z ramionami opartymi na kolanach męża, przeczytała, co następuje:

Do Leonarda Franklanda

Wielce Szanowny Panie!

Zgodnie ze wskazówkami, których był Pan łaskaw mi udzielić, zaczęłam oględziny Porthgenna Tower celem stwierdzenia, jakich napraw może wymagać dom w ogóle, a północne skrzydło w szczególności.

Jeśli chodzi o elewację, budynek wymaga jedynie drobnego oczyszczenia i uzupełnienia zaprawy w szczelinach muru. Ściany i fundamenty zdają się niezniszczalne. Nigdy jeszcze nie widziałem tak mocnej, solidnej roboty.

Co do wnętrza domu, wieści nie są równie pomyślne. Pokoje leżące po zachodniej stronie, zamieszkane podczas bytności kapitana Trevertona i będące od tego czasu pod staranną opieką, są we względnie dobrym stanie. Oceniam, że dwieście funtów pokryje koszty wszystkich robót z mojej strony, jakich będą wymagać. Suma ta nie uwzględnia odnowienia zachodniej klatki schodowej, która miejscami trochę podupała i której balustrady między pierwszym a drugim podestem są zdecydowanie niepewne. Jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu funtów wystarczy, aby to naprawić.

Pokoje leżące w północnej stronie domu są w stanie kompletnej ruiny z góry na dół. O ile wiem, nikt nie zbliżał się do nich za czasów kapitana Trevertona ani nie wchodził tam później. Ludzie zamieszkujący obecnie dom okazują zabobonny lęk przed otwieraniem którejkolwiek z północnych drzwi z powodu czasu, jaki minął od chwili, gdy przeszła przez nie jakaś żywa dusza. Nikt nie chciał dobrowolnie towarzyszyć mi w inspekcji i nikt nie potrafił powiedzieć, które klucze pasują do których drzwi w jakiegokolwiek części północnego skrzydła. Nie znalazłem

żadnego planu zawierającego nazwy czy numery pokoi. Ku mojemu zdziwieniu nie było też żadnych etykiet przyczepionych do poszczególnych kluczy. Dostałem je zawieszane na dużym kółku z przyczepioną do niego tabliczką z kości słoniowej, na której napisano tylko „Klucze do północnych pokoi”. Pozwalam sobie napomykać o tych szczegółach, aby wyjaśnić, jak się Pan domyśla, mój przedłużony pobyt w Porthgenna Tower. Straciłem niemal cały dzień na zdejmowanie kluczy z kółka i dopasowywanie ich na chybił trafił do właściwych drzwi. Kolejnego zaś dnia kilka godzin zajęło mi oznaczanie każdych drzwi numerem od strony korytarza i przyczepianie odpowiednich etykiet do każdego z kluczy, zanim zawiesiłem je z powrotem na kółku w celu uniknięcia przyszłych pomyłek i opóźnień.

Jako że mam nadzieję za kilka dni dostarczyć Panu szczegółowy kosztorys napraw, jakich wymaga północna strona domu od piwnicy aż po dach, wystarczy, jeśli teraz powiem, że zajmą one trochę czasu i będą szeroko zakrojone. Belki klatki schodowej i podłogi na pierwszym piętrze spróchniały. W niektórych pokojach wilgoć, a w innych szczury niemal doszczętnie zniszczyły boazerie. Cztery gzymsy kominków wypadły ze ścian, a wszystkie sufity są poplamione, popękane albo odchodzą wielkimi płatami. Posadzki są na ogół w lepszym stanie, niż się spodziewałem, ale okiennice i ramy okienne uległy takiemu odkształceniu, że nie nadają się do użytku. Trzeba uczciwie stwierdzić, że koszt doprowadzenia tego wszystkiego do porządku – to jest sprawienia, że pokoje staną się bezpieczne i będą nadawały się do zamieszkania oraz przygotowania ich do robót tapicerskich – okaże się znaczny. Na wypadek, gdyby był Pan zaskoczony lub niezadowolony z wysokości mojego kosztorysu, ośmielam się zasugerować, aby wyznaczył Pan zaufanego przyjaciela, który przeszedłby ze mną po północnych pokojach z kosztorysem w rękę. Podejmę się uzasadnić, jeśli zajdzie taka potrzeba, konieczność każdej jednej naprawy i każdego jednego wydatku z nią związanego w sposób zadowalający każdą kompetentną i bezstronną osobę, którą będzie Pan łaskaw wyznaczyć.

Ufając, że wyślę Panu kosztorys za kilka dni,

Pozostaję Pana uniżonym sługą

Thomas Horlock

- Bardzo uczciwy, bezpośredni list – odezwał się pan Frankland.
- Szkoda, że nie dołączył do niego kosztorysu – rzekła Rosamond. – Dlaczego ten irytujący człowiek nie podał wprost sumy, jaką pochłona naprawy?

– Zapewne, moja droga, bał się, iż doznalibyśmy wstrząsu, gdyby podał sumę wprost.

– Te wstrętne pieniądze! Zawsze stają na drodze i niweczą czyjeś plany. Jeśli nie mamy dość pieniędzy, pożyczmy je od kogoś, kto ma. Czy masz zamiar wysłać jakiegoś przyjaciela do Porthgenna, aby przeszedł się po domu z panem Horlockiem? Jeśli tak, wiem, kogo chciałabym, żebyś wysłał.

– Kogo?

– Mnie, jeśli łaska, pod twoją opieką, rzecz jasna. Nie śmieję się, Lenny, byłabym bardzo surowa dla pana Horlocka. Sprzeciwiałabym się każdemu z jego kosztów i zbijałabym je bez litości. Widziałam raz, jak przez dom przechodzi rzeczoznawca, i dokładnie wiem, jak postępować. Tupie się w podłogę, puka w ściany, skrobie w cegły, zagląda do kominów i wygląda przez wszystkie okna. Czasami pisze się w małym notesiku, czasami przykłada miarkę, czasami siada się nagle i głęboko zamyśla, a finał jest taki, że mówi się, iż dom będzie w najlepszym porządku, jeśli właściciel dobędzie portfela i sfinansuje porządny remont.

– Brawo, Rosamond! Masz kolejną umiejętność, o której nie wiedziałem, i wydaje mi się, że nie pozostaje mi teraz nic innego, jak dać ci sposobność zademonstrowania jej. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moja droga, aby zostać fachową asystentką w ważnej sprawie, jaką jest sprawdzenie kosztorysu pana Horlocka, ja nie mam nic przeciwko złożeniu krótkiej wizyty w Porthgenna, kiedy tylko zechcesz, zwłaszcza teraz, wiedząc, że zachodnie pokoje wciąż nadają się do zamieszkania.

– Och, jak to miło z twojej strony! Jaka będę szczęśliwa! Jak bardzo ucieszy mnie widok starego domu, zanim zostaną zaprowadzone zmiany! Miałam zaledwie pięć lat, Lenny, gdyśmy wyjechali z Porthgenna, i jestem taka ciekawa, co udało mi się zapamiętać po tak długiej nieobecności. Czy wiesz, że nigdy nie widziałam tej zrujnowanej północnej części domu? A ja tak uwielbiam stare pokoje! Przejdziemy przez wszystkie, Lenny. Będziesz mnie trzymał za rękę, patrzył moimi oczami i dokonywał równie wielu odkryć jak ja. Prorokuję, że zobaczymy duchy, znajdziemy ukryte skarby i usłyszymy tajemnicze odgłosy... I, och, mój Boże! Przez jakie tumany kurzu będziemy musieli przejść. Uch! Krztuszę się na samą myśl o nich!

– Skoro już jesteśmy przy temacie Porthgenna, Rosamond, pomówmy przez chwilę poważnie. Jest dla mnie jasne, że naprawy w północnych pokojach będą kosztowały krocie. Posłuchaj, moja miła, nie uważam żadnej sumy za zmarnowaną, nieważne, jak wielka by ona była, jeśli ma ci to sprawić przyjemność. Jestem z tobą całym sercem...

Urwał. Pieszczotliwe ręce jego żony ponownie oplotły jego szyję, a jej policzek delikatnie przytulała się do jego policzka.

– Mów dalej, Lenny – powiedziała z wyrazem tak wielkiej czułości

zawartym w tych trzech prostych słowach, że język chwilowo go zawiódł, a wszystkie uczucia wydawały się pochłonięte rozkoszą słuchania.

– Rosamond – wyszeptał – nie ma na świecie muzyki, która poruszałaby mnie tak bardzo, jak porusza mnie teraz twój głos! Czuję go całym sobą, tak jak czasem czułem nocne niebo w czasach, gdy widziałem.

Gdy mówił, pieszczotliwe ręce zacisnęły się wokół jego szyi, a gorące wargi łagodnie zajęły miejsce, które wcześniej zajmował policzek.

– Mów dalej, Lenny – powtórzyły teraz z radością i czułością. – Powiedziałeś, że jesteś ze mną całym sercem. Jeśli chodzi o co?

– O twój plan, kochana, skłonięcia twojego ojca, aby wycofał się ze swej profesji po tym ostatnim rejsie, i twoją nadzieję na namówienie go, by szczęśliwie spędził jesień życia z nami w Porthgenna. Jeśli pieniądze wyłożone na odnowienie północnych pokoi tak, aby dało się w nich w przyszłości zamieszkać, faktycznie odmienią ich wygląd w jego oczach do tego stopnia, aby odpędzić dawne, smutne wspomnienia i sprawić, że zamieszkanie tam znów będzie dla niego radością, nie zaś bólem, będę je uważał za pieniądze dobrze zainwestowane. Ale, Rosamond, czy jesteś pewna powodzenia swojego planu, zanim go podejmiemy? Czy już wspominałaś coś ojcu o Porthgenna?

– Powiedziałam mu, Lenny, że nigdy nie będę w pełni szczęśliwa, jeśli nie porzuci morza i nie zamieszka z nami, i odparł, że tak robi. Nie wspomniałam ani słowem o Porthgenna i on też nie, ale wie, że zamieszkamy tam na stałe i nie stawiał warunków, obiecując, że nasz dom będzie jego domem.

– Czy strata twojej matki jest jedynym smutnym wspomnieniem związanym z owym miejscem?

– Niezupełnie. Jest jeszcze jedno wspomnienie, o którym nigdy nie było mowy, ale które mogę ci wyjawić, ponieważ nie mamy przed sobą tajemnic. Moja matka miała ulubioną pokojówkę, która mieszkała z nią od czasu zamążpójścia i która przez przypadek była jedyną osobą obecną w jej pokoju, kiedy umarła. Pamiętam, że kobieta ta miała opinię dziwnej z wyglądu i zachowania i że nikt z wyjątkiem jej pani jej specjalnie nie lubił. No więc tego ranka, kiedy zmarła moja matka, kobieta ta zniknęła z domu w niewyjaśnionych okolicznościach, zostawiając niezmiernie osobliwy i tajemniczy list do mego ojca. Pisała w nim, że w ostatnich chwilach życia matki został jej powierzony sekret, który miała wyjawić swemu panu, kiedy pani już nie będzie, i dodawała, iż bojąc się zdradzić ów sekret oraz w celu uniknięcia pytań postanowiła na zawsze opuścić dom. Kiedy otwarto list, nie było jej już od kilku godzin i od tamtego czasu wszelki ślad po niej zaginął. Zdaje się, że sprawa ta odcisnęła na umyśle ojca niemal równie mocne piętno jak śmierć żony. Wszyscy nasi sąsiedzi i służący myśleli, jak sądzę, że kobieta była niespełna rozumu, ale on nigdy nie podzielał tej opinii i wiem, że od tamtej pory aż do dziś nie zniszczył listu ani o nim nie zapomniał.

– Dziwne zdarzenie, Rosamond, bardzo dziwne zdarzenie. Nie dziwię się, że odcisnęło na nim trwałe piętno.

– Uwierz mi, Lenny, służący i sąsiedzi mieli rację – ta kobieta była niespełna rozumu. Tak czy owak, zdarzenie było z pewnością osobliwe. Wszystkie stare domy mają swoje tajemnice i to jest tajemnica naszego domu. Ale od tamtej pory minęły całe lata i biorąc pod uwagę upływ czasu oraz zmiany, jakie mamy zamiar zaprowadzić, nie boję się, że mój dobry, drogi ojciec zniweczy nasze plany. Daj mu nowy północny ogród w Porthgenna, gdzie będzie mógł przemierzać pokład, jak ja to nazywam, daj mu nowe północne pokoje na mieszkanie, a rękę za wynik. Ale to wszystko przyszłość, powróćmy do chwili obecnej. Kiedy złożymy przelotną wizytę w Porthgenna, Lenny, i oddamy się ważnej sprawie sprawdzenia kosztorysu robót pana Horlocka?

– Tutaj zostały nam jeszcze trzy tygodnie pobytu, Rosamond.

– Tak, a potem musimy wrócić do Long Beckley. Obiecałam najlepszemu i najpoczciwшему z ludzi, proboszczowi, że złożymy mu naszą pierwszą wizytę. Z pewnością nie wypuści nas przed upływem trzech tygodni lub miesiąca.

– W takim razie napiszmy lepiej, że odwiedzimy Porthgenna za dwa miesiące od teraz. Masz pod ręką przybornik do pisania, Rosamond?

– Tak, tuż obok, na stole.

– Napisz zatem do pana Horlocka, kochanie, i wyznacz spotkanie za dwa miesiące w starym dworze. Powiedz mu też, jako że nie możemy zdawać się na niepewne schody, zwłaszcza biorąc pod uwagę moją zależność od poręczy, aby niezwłocznie zlecił naprawę zachodniej klatki schodowej. A skoro masz już w ręce pióro, może oszczędź sobie na przyszłość kłopotu i napisz od razu drugi list do gospodyni w Porthgenna, donosząc, kiedy może nas oczekiwać.

Rosamond radośnie usiadła przy stole i zanurzyła pióro w kałamarzu gestem lekkiego tryumfu.

– Za dwa miesiące – zawołała wesoło – zobaczę ukochany stary dom! Za dwa miesiące, Lenny, nasze niegodne stopy będą wzniecać kurz w głuszcy północnych pokoi.

* *retroussé* (fr.) – zadarty

Księga III

Rozdział 1.

Tymon Londyńczyk

Tymon Ateńczyk* wycofał się z niewdzięcznego świata do nadmorskiej jaskini; dawał upust swojej mizantropii, tworząc znakomitą poezję, i dostępował zaszczytu bycia tytułowanym „szanownym panem”. Tymon Londyńczyk schronił się przed przedstawicielami swojego gatunku w wolno stojącym domu w Bayswater, dawał wyraz własnym przemyśleniom, tworząc podrzędną prozę, i był nazywany jedynie „panem Trevertonem”. Jedyne podobieństwo, jakie można by przeciwstawić trzem powyższym różnicom pomiędzy dwoma Tymonami, zasadza się na fakcie, że ich mizantropia była przynajmniej szczerą. Obaj byli zagorzałymi wrogami ludzkości.

Nie ma chyba lepszego dowodu na trafność owej definicji człowieka określającej go jako zwierzę naśladowcze niż fakt, że ludzki osąd zawsze jest przeciwny jednostce ośmielającej się odbiegać od reszty. Człowiek jest częścią stada i jego węża musi mieć kolor ogólnie przyjęty. Musi pić wtedy, gdy pije reszta, i paść się tam, gdzie pasie się reszta. Niech no się tylko przejdzie w południe dostojnym krokiem z wyrazem idealnego spokoju na twarzy, bez najmniejszych oznak obłądzenia w oczach czy dzikości w zachowaniu z jednego końca Oxford Street na drugi bez kapelusza i niech ktoś zapyta każdego z tysięcy mijających go przechodniów w kapeluszach, co o nim sądzą: ilu z nich powstrzyma się od natychmiastowego stwierdzenia, opartego wyłącznie na fakcie, iż obiekt eksperymentu szedł z gołą głową, że ma do czynienia z wariatem? Mało tego. Niech no tylko człowiek ów grzecznie zatrzyma każdego z przechodniów i w najprostszym słowach, w najbardziej zrozumiałym sposobie wyjaśni, że czuje się swobodniej i wygodniej bez kapelusza: jak wielu jego współpracowników, którzy przy pierwszym zapytaniu orzekli, że jest wariatem, zmieni zdanie, usłyszawszy jego wyjaśnienia? W zdecydowanej większości przypadków samo wyjaśnienie zostałoby odebrane jako dodatkowy dowód na to, iż człowiek z gołą głową postradał zmysły.

Rozpocząwszy marsz życia od innej nogi niż reszta zastępu śmiertelników, Andrew Treverton od najmłodszych lat ponosił karę za swoje uchybienie. Był fenomenem jako brzdąc, przedmiotem żartów w szkole i ofiarą na studiach. Prymitywna niania twierdziła, że jest dziwnym dzieckiem, uczony nauczyciel elegancko przeformułował to wyrażenie i określił go mianem oryginała, zaś profesor na studiach, powtarzając tę samą śpiewkę, żartobliwie porównał jego głowę do dachu, zauważając, że obluźowała się w nim dachówka. Gdy dachówka się obluźuje i nikt nie naprawi jej w porę, odpada. Jeśli chodzi o dach domu,

postrzegamy tę okoliczność jako nieunikniony skutek zaniedbania. W przypadku dachu, jakim jest ludzka głowa, jesteśmy na ogół nad wyraz wstrząśnięci i zdziwieni.

Pod pewnymi względami zaniedbany, pod innymi niewłaściwie ukierunkowany, nieudolny potencjał Andrew do czynienia dobra beznadziejnie próbował się ukształtować. Lepsza część jego oryginalności znalazła wyraz w przyjaźni. Zapalał gwałtowną i niezrozumiałą sympatią do jednego ze szkolnych kolegów – chłopaka, który nie robił mu specjalnych względów na podwórku i nie udzielał szczególnej pomocy w klasie. Nikt nie widział po temu najmniejszego powodu, niemniej było faktem powszechnie znanym, że kieszonkowe Andrew zawsze pozostawało do dyspozycji owego chłopaka, że Andrew chodził za nim jak pies i że raz po raz brał na swoje barki winę i karę, które powinny spaść na jego przyjaciela. Kiedy kilka lat później przyjaciel ów poszedł na studia, nasz młodzieniec poprosił, aby i jego wysłać na ten sam kierunek, i jeszcze bardziej niż dotąd przywiązał się do dziwnie dobranego towarzysza ze szkolnej ławy. Podobne oddanie musiałoby ująć każdego, kto odznaczałby się przeciętną wielkoduszością. Na z natury niczemnym charakterze przyjaciela Andrew nie zrobiło ono wrażenia. Po trzech latach kontaktów na uniwersytecie – kontaktów, które po jednej stronie były czystym egoizmem, a po drugiej czystym samopoświęceniem – nastąpił koniec i Andrew boleśnie przejrzał na oczy. Kiedy jego portmonetka zaczęła świecić pustkami, nieustannie używana przez przyjaciela, a weksle tegoż zapełniły się jego własnymi akceptami, obiekt szczerego przywiązania, bohater prostego podziwu porzucił go na pastwę wstydu, drwin i samotności, nie okazując najmniejszej skruchy, nie żegnając się nawet słowem.

Andrew wrócił do domu ojca jako zgorzkniały mężczyzna na progu życia; wrócił, aby zostać skarconym za długi zaciągnięte dla człowieka, który okrutnie go znieważył i bezwstydnie oszukał. Opuścił dom w niełasce, by podróżować, żyjąc ze skromnej zapomogi. Podróże przedłużały się i skończyły, jak to zwykle bywa, osiedleniem się na obczyźnie. Życie, jakie prowadził, i towarzystwo, w jakim przebywał podczas długiego pobytu za granicą, wyrządziły mu trwałą i fatalną w skutkach krzywdę. Gdy wreszcie powrócił do Anglii, objawił się w najbardziej opłakanej ze wszystkich ról – człowieka, który nie wierzy w nic. W tym okresie życia jego jedyna szansa na przyszłość zależała od zbawiennego wpływu brata. Ledwo jednak odnowili dawne stosunki, gdy kłótnia spowodowana małżeństwem kapitana Trevertona przerwała je na zawsze. Od tego czasu Andrew stał się człowiekiem straconym dla wszelkich interesów i celów towarzyskich. Od tego czasu odpowiadał na ostatnie napomnienia ostatnich przyjaciół, którzy jeszcze interesowali się jego losem, tą samą gorzką i pełną rezygnacji repliką: „Mój najdroższy przyjaciel oszukał mnie i zostawił. Mój jedyny brat poróżnił się ze mną dla aktorki. Czego mam się spodziewać po reszcie ludzkości? Dwa razy cierpiełem

z powodu mojej wiary w innych – trzeciego razu nie będzie. Mądry człowiek to taki, który nie przeszkadza swemu sercu w jego naturalnym zajęciu, jakim jest pompowanie krwi. Zbierałem doświadczenie w kraju i za granicą i nauczyłem się na tyle dużo, aby rozpoznawać życiowe złudzenia, które innym wydają się rzeczywistością. Moje zadanie na tym świecie to jeść, pić, spać i umrzeć. Wszystko inne to zbytek i ja z nim skończyłem”.

Te kilka osób, które niezrażone podobną deklaracją jeszcze się o niego dowiadywały, usłyszało w trzy czy cztery lata po ślubie jego brata, że mieszka w okolicy Bayswater. Według miejscowych relacji nabył on pierwszy lepszy dom, jaki się trafił, odcięty od innych domów okalającym go murem. Mówiono także, że prowadzi żywot skąpca, że ma starego sługę nazwiskiem Shrowl, który jest jeszcze większym wrogiem ludzkości niż on sam, że nie wpuszcza do domu żadnej żywej duszy, choćby od czasu do czasu sprzątaczkę, że zapuścił brodę i rozkazał swojemu słudze zrobić to samo. W roku 1844 fakt niegolenia się był postrzegany przez oświeconą większość angielskiego społeczeństwa jako dowód na bycie niespełna rozumu. W obecnych czasach broda pana Trevertona kolidowałaby jedynie z opinią o byciu powszechnie poważanym; siedemnaście lat temu była przyjmowana jako zdecydowany argument na poparcie teorii, że jego umysł szwankował. Był on wtedy, jak przyznałby jego makler, jednym z najbystrzejszych ludzi interesu w Londynie, potrafił bronić tezy nie do obronienia na każdy temat z przenikliwością sofisty i sarkazmem, jakiego mógłby mu pozazdrościć sam doktor Johnson, domowy budżet kontrolował co do szeląga, ale na cóż w oczach sąsiadów mogły zdać się te zalety, skoro ośmiewał się żyć według innych zasad niż oni i na dolnej części twarzy nosił włochate świadectwo obłądu? Od tamtego czasu zrobiliśmy pewne postępy w kwestii częściowej tolerancji dla bród, ale nadal długa droga przed nami. Na obecnym etapie postępu, w roku 1861, czy możliwym jest, aby jakkolwiek godny zaufania urzędnik bankowy w całej metropolii miał najmniejsze szanse na utrzymanie posady, gdyby zarzucił golenie podbródka?

Plotki, które oczerniały pana Trevertona jako szaleńca, zawierały jeszcze jeden błąd, nazywając go skąpcem. Oszczędzał ponad dwie trzecie dochodu pochodzącego z jego pokaźnego majątku nie dlatego, że lubił gromadzić pieniądze, lecz dlatego, że nie znajdował upodobania w wygodach i zbytkach, jakich mogą one dostarczać. Aby oddać mu sprawiedliwość, należy powiedzieć, że pogarda dla własnego bogactwa była równie szczerą jak pogarda dla bogactwa jego sąsiadów. Tak więc relacje na jego temat, błędne, jeśli chodzi o próby charakterystyki, okazały się przynajmniej, co nieczęste, trafne pod względem opisu trybu życia. Prawdą było, że kupił pierwszy lepszy odgrodzony murem dom, jaki mu się trafił, prawdą było, że nikt pod żadnym pozorem nie miał wstępu na jego pokoje, prawdą było również, że znalazł sobie sługę w osobie pana Shrowla, który wydawał się jeszcze bardziej zaciętym wrogiem całej ludzkości niż on sam.

Życie, jakie wiedli ci dwaj, było tak zbliżone do egzystencji ludzi pierwotnych (albo barbarzyńców), jak tylko pozwalały na to otaczające ich warunki cywilizacyjne. Uznając konieczność jedzenia i picia, za swoją główną ambicję pan Treverton uważał utrzymanie się przy życiu przy jak najmniejszej zależności od gatunku ludzi, którzy parali się zaopatrywaniem jego sąsiadów w artykuły pierwszej potrzeby i którzy, jak sobie wyobrażał, bezpiecznie ich oszukiwali.

Mając za domem ogród, w którym uprawiał jarzyny, Tymon Londyńczyk obywatel był bez sprzedawcy warzyw. Nie było miejsca na uprawę pszenicy, w przeciwnym razie sam stałby się również rolnikiem, ale za to przechytrył młynarza i piekarza, kupując worek zboża, mieląc go na własnych żarnach i przekazując mąkę Shrowlowi, aby ten upiekł chleb. Na tej samej zasadzie mięso było kupowane hurtowo u miejskiego sprzedawcy – pan i sługa jedli je, ile wlezie, póki było świeże, a resztę solili, okpiwając tym samym rzeźników. Co do napojów, ani piwowar, ani szynkarz nie mieli okazji wydrzeć ani jednego szeląga z kieszeni pana Trevertona. Zarówno on, jak i Shrowl zadowalali się piwem – i warzyli swoje. Mając chleb, warzywa, mięso i piwo, ci dwaj współcześni pustelnicy osiągnęli dwa wielkie cele, czyli utrzymanie się przy życiu i trzymanie handlarzy na dystans.

Jadali jak ludzie pierwotni i pod wszystkimi innymi względami tak również żyli. Mieli rondle, patelnie i garnuszki, dwa proste stoły, dwa krzesła, dwie stare kanapy, dwie krótkie fajki i dwie długie peleryny. Nie mieli stałych pór posiłków, dywanów ani łóżek, szafek, regałów ani żadnych ozdobnych bibelotów, sprzętaczki ani praczki. Gdy któryś z nich chciał jeść i pić, odcinał sobie pajdę chleba, gotował kawałek mięsa i nalewał kapkę piwa, nie oglądając się na drugiego. Gdy któryś z nich uważał, że potrzebuje czystej koszuli, co zdarzało się niezmiernie rzadko, sam ją sobie prał. Gdy któryś odkrywał, że jakieś miejsce w domu robi się naprawdę brudne, brał wiadro z wodą i brzoźową miotłą i sprzątał je jak psią budę. I wreszcie gdy któryś z nich chciał iść spać, owijał się peleryną, kładł na jednej z kanap i odpoczywał wedle potrzeby, udając się na spoczynek czy to wczesnym wieczorem, czy późnym rankiem, zgodnie z własnym widzimisię.

Gdy nie było nic do zrobienia, żadnego pieczenia, warzenia piwa, pracy w ogrodzie czy sprzątnięcia, zasiadali naprzeciw siebie i godzinami palili fajki, przeważnie nie zamieniając ani słowa. Gdy już się odzywali, kłócili się. Ich zwykły dialog był rodzajem konwersacyjnej walki wręcz, począwszy od sarkastycznego udawania dobrej woli po każdej ze stron, a skończywszy na gwałtownej wymianie ciosów, podobnie jak bokserzy przechodzą przez nieprzekonujący rytuał podania sobie rąk, nim przystąpią do poważnej sprawy, jaką jest okładanie się nawzajem po twarzach, aż te przestają przypominać ludzkie oblicza. Nie mając tak wielu przeszkód w postaci nabytej za młodu ogłady i wykształcenia, z którymi musiałby się zmagać jak jego pan, Shrowl na ogół odnosił zwycięstwo w językowych potyczkach. Co więcej, choć teoretycznie sługa, to on faktycznie rządził domem,

mając nad swym panem nieograniczoną przewagę dzięki temu, że prześcigał go na wielu polach. Shrowl miał bardziej szorstki głos, Shrowl miał zjadliwsze powiedzonka i Shrowl miał dłuższą brodę. Najpewniejszą ze wszystkich kar jest kara czekająca pyszałka. Pan Treverton przedwcześnie zaczął pysnić się swoją niezależnością i kiedy dosięgła go kara, przybrała ona ludzką postać, a zwała się Shrowl.

Pewnego ranka mniej więcej trzy tygodnie po tym, jak pani Frank-land napisała list do gospodyni w Porthgenna Tower, zawiadamiając ją, kiedy to można spodziewać się przyjazdu jej samej i jej męża, pan Treverton z kwaśną miną i w ponurym nastroju zszedł z górnych rejonów domu do jednego z pokoi na parterze, który cywilizowani lokatorzy zapewne określiliby mianem salonu. Podobnie jak starszy brat, był on mężczyzną wysokim i dobrze zbudowanym, jednak jego koścista, wynędzniała, ziemista twarz w niczym nie przypominała przystojnej, szczerzej, ogorzałej twarzy kapitana. Nikt, widząc ich razem, nie odgadłby, że są braćmi – tak bardzo różnili się rysami i wyrazem twarzy. Cierpienia, jakich Andrew doznał w młodości, lekkomyślne, tułacze, hulaszce życie, jakie prowadził w dorosłości, rozdrażnienie, rozczarowanie i wyczerpanie fizyczne późniejszych czasów tak go zmizerowały, że wyglądał na starszego od brata o lat bez mała dwadzieścia. Ze zmierzwioną czupryną i nieumytą twarzą, splątaną siwą brodą i w starym, połatanym, brudnym szlafroku, który wisiał na nim jak worek, ten potomek starego i możnego rodu wyglądał tak, jak gdyby przyszedł na świat w przytułku, a jego sposobem na życie była sprzedaż używanej odzieży.

Dla pana Trevertona przyszła właśnie pora śniadania, to znaczy pora, w której czuł się na tyle głodny, aby pomyśleć o zjedzeniu czegoś. W miejscu nad kominkiem, gdzie w domu urządzonym z przeciętną wytwornością znajdowałyby się lustro, u Tymona Londyńczyka wisiała poćć boczk. Na stole przy palenisku leżało pół bochenka ciężkiego, ciemnego chleba, w rogu pokoju stała beczka z piwem, nad którą na gwoździach wbitych w ścianę zahaczono dwa poobijane cynowe kufle, a pod kratą kominka tkwił stary, osmalony ruszt – dokładnie w tym samym miejscu, gdzie został porzucony po ostatnim użyciu. Pan Treverton wyciągnął z kieszeni szlafroka otłuszczony scyzoryk, odciął plaster boczk, wrzucił ruszt na ogień i zabrał się za przyrządzanie śniadania. Właśnie odwrócił plaster, gdy drzwi się otwały i do pokoju wszedł Shrowl z fajką w ustach, wiedziony tą samą co jego pan chęcią zjedzenia śniadania.

Jeśli chodzi o wygląd, Shrowl był niski, gruby, obwisły i całkiem łysy, nie licząc tyłu głowy, gdzie pierścień najeżonych, stalowo siwych włosów sterczał jak wysunięty ze swego miejsca kołnierzyk. Aby zrekompensować niedostatek włosów, broda, którą zapuścił zgodnie z życzeniem pana, zarastała mu wysoko policzki i opadała na piersi w dwóch poszarpanych szpicach. Nosił wysłużony frak o długich połach, który nabył okazji na Petticoat Lane, wyblakłą żółtą koszulę

z wielkim postrzępionym żabotem, welwetowe spodnie zawinięte powyżej kostek i długie buty typu Blucher, które nie były czernione od dnia, w którym opuściły stragan szewca. Na twarzy miał niezdrowy rumieniec, grube wargi wykrzywiały mu się w złośliwym uśmiechu, a kształt i wyraz oczu był najbardziej zbliżony do oczu bulteriera umieszczonych w ludzkiej twarzy. Malarz, który chciałby wyrazić siłę, zuchwałość, brzydotę, wulgarność i chytrość w twarzy i postaci jednej i tej samej osoby, jak świat długi i szeroki nie mógłby znaleźć w tym celu lepszego modelu niż pan Shrowl.

Pan i sługa nie zamienili z sobą ani słowa i nie zwrócili na siebie najmniejszej uwagi przy pierwszym tego dnia spotkaniu. Shrowl stał w beznamiętnie zamysłonej pozie, z rękami w kieszeniach, czekając na swoją kolej przy ruszcie. Pan Treverton zakończył pieczenie, zabrał kawałek boczku na stół i odcinając pajdę chleba, wziął się za jedzenie. Kiedy przełknął pierwszy kęs, raczył spojrzeć na Shrowla, który właśnie otwierał szczyryk i szedł w stronę boczku niedbałym krokiem, z sennie łakomym spojrzeniem.

– Co to ma znaczyć? – zapytał pan Treverton, z oburzonym zdziwieniem wskazując na pierś służącego. – Ty parszywy draniu, założyłeś czystą koszulę!

– Dziękuję, sir, że pan zauważył – rzekł Shrowl z drwiącą uniżonością. – To radosna okazja, nie inaczej. Nie mogłem zrobić nic innego, jak założyć czystą koszulę, kiedy mój pan ma urodziny. Sto lat, sir. Może myślał pan, że zapomnę, że dziś są pana urodziny? Niech Bóg błogosławi pańską słodką twarz, nie mogłem o tym zapomnieć pod żadnym pozorem. Ile kończy pan dziś lat? Wiele lat minęło od czasu, sir, gdy był pan pulchnym, uśmiechniętym maluchem z falbanką wokół szyi i kulkami w kieszeni, gdy nosił pan spodnie i kamizelkę w jednym i dostawał na urodziny całusy i prezenty od papy i mamy, wujka i cioci. Niech się pan nie martwi, że zniszczę tę koszulę zbyt częstym praniem. Zamierzam zachować ją w suszonej lawendzie na pańskie następne urodziny albo na pogrzeb, co jest równie prawdopodobne w pana wieku, czyż nie, sir?

– Nie marnuj czystej koszuli na mój pogrzeb – odparł pan Treverton. – Nie zapisałem ci żadnych pieniędzy w testamencie, Shrowl. Znajdziesz się w drodze do przytułku, gdy ja będę w drodze do grobu.

– Naprawdę spisał pan w końcu testament, sir? – zapytał Shrowl z wyrazem najwyższego zainteresowania, przerywając odkrawanie swojego plastra boczku. – Pokornie błagam o wybaczenie, ale zawsze myślałem, że boi się pan to zrobić.

Służący najwyraźniej dotknął niechcący jednego z czułych punktów swojego pana. Pan Treverton cisnął pajdę chleba na stół i podniósł na Shrowla gniewny wzrok.

– Bać się spisać testament, ty głupcze! – powiedział. – Nie spisuję go i nie spiszę dla zasady.

Shrowl wolno odciął plaster boczku i zaczął pogwizdywać.

– Dla zasady – powtórzył pan Treverton. – Bogacze, którzy zostawiają po sobie pieniądze, to rolnicy, którzy sieją ziarno ludzkiej nikczemności. Jeśli chcesz zdusić w człowieku ostatnią iskierkę wielkoduszności, zostaw mu spadek. Jeśli chcesz, aby ktoś zły stał się jeszcze gorszy, zostaw mu spadek. Jeśli chcesz zebrać razem kilku ludzi w celu utrwalania zepsucia i ucisku na wielką skalę, zostaw im spadek w postaci ufundowania organizacji dobroczynnej. Jeśli chcesz sprawić, aby kobieta miała najlepsze szanse znaleźć złego męża, zostaw jej spadek. Spisać testament! Mam dość silną awersję do swojego rodzaju, Shrowl, ale jeszcze nie nienawidzę ludzkości na tyle mocno, aby robić jej podobną krzywdę!

Kończąc swoją diatrybę tymi słowy, pan Treverton zdjął jeden z poobijanych cynowych kufli i jął się orzeźwiać^{**} piwa.

Shrowl poprawił ruszt na palenisku i zachichotał szydlerczo.

– Komu, u diabła, chciałbyś, abym zostawił pieniądze? – zawołał pan Treverton, usłyszawszy go. – Mojemu bratu, który ma mnie teraz za brutala, a który dawniej uważał mnie za głupca i który tak czy inaczej przyczyniałby się do niegodziwości, wydając wszystkie moje pieniądze na nierządnicę i komediantki? Dziecku tej aktorki, na które nigdy nie spojrzałem, które zostało wychowane w nienawiści do mnie i które natychmiast zmieniłoby się w obłudnika, udając dla zachowania pozorów, że jest mu przykro z powodu mojej śmierci? Tobie, ty ludzki pawianie? Tobie, który od razu założyłbyś firmę lichwiarską i na całym świecie żerował na wdowach, sierotach i nieszczęśnikach w ogóle? Twoje zdrowie, Shrowl! Mogę śmiać się równie dobrze jak ty, zwłaszcza gdy wiem, że nie zostawię ci ani sześciopensówki.

Shrowl zaczął popadać w lekkie rozdrażnienie. Drwiąca uprzejmość, którą przybrał, wchodząc do pokoju, ustąpiła w sposobie bycia zwykłej gburowatości i naturalnemu warczącemu tonowi głosu.

– Niech mnie pan zostawi w spokoju, dobrze? – rzekł, zasiadając do śniadania z nadąsaną miną. – Skończyłem z żartami na dziś, może pan robi to samo? Jaki sens ma plecenie bzdur o pieniądzach? Musi je pan komuś zostawić.

– Owszem, zostawię – powiedział pan Treverton. – Zostawię je, jak już ci wiele razy powtarzałem, pierwszej osobie, jaką znajdę, która szczerze gardzi pieniędzmi i której przez to nie zepsuje posiadanie ich.

– To znaczy nikomu – burknął Shrowl.

– Wiem – odciął się jego pan.

Zanim Shrowl zdążył odpowiedzieć choć słowem, odezwał się dzwonek u furtki.

– Wyjdź i zobacz kto to – powiedział pan Treverton. – Jeśli to kobieta, pokaż, jakie z ciebie straszdyło, i odstrasza ją. Jeśli to mężczyzna...

– Jeśli to mężczyzna – wtrącił Shrowl – walnę go w głowę za to, że przerywa mi śniadanie.

Pod nieobecność służącego pan Treverton nabił i zapalił fajkę. Tytoń nie zdążył się jeszcze dobrze rozpalić, gdy wrócił Shrowl i obwieścił przybycie mężczyzny.

– Walnąłeś go w głowę? – zapytał pan Treverton.

– Nie – powiedział Shrowl. – Podniosłem list, który zostawił. Wsunął go pod furtkę i odszedł. Oto on.

List został napisany na papierze kancelaryjnym, skreślony okrągłym pismem prawnika. Gdy pan Treverton go otworzył, ze środka wypadły dwa wycinki z gazet. Jeden spadł na blat stołu, przy którym siedział gospodarz, drugi na podłogę. Ten to wycinek podniósł Shrowl i przejrzał jego treść, nie zadając sobie trudu zapytania najpierw o pozwolenie.

Zaciągnąwszy się wolno dymem tytoniowym i wypuściwszy go, pan Treverton zaczął czytać list. Gdy jego wzrok padł na pierwsze linijki, wargi zaczęły mu się poruszać wokół ustnika fajki w sposób bardzo dla niego nietypowy. List nie był na tyle długi, aby wymagać odwrócenia kartki – kończył się na dole pierwszej strony. Pan Treverton przeczytał go aż do podpisu, potem spojrzął na adres i zaczął czytać od początku. Jego wargi nadal poruszały się wokół ustnika, chociaż już nie palił. Skończywszy powtórne czytanie, bardzo delikatnie położył list na stole, spojrzął na sługę z kompletną pustką w oczach i wyjął fajkę z ust lekko drżącą ręką.

– Shrowl – odezwał się cicho – mój brat, kapitan, utonął.

– Wiem – odrzekł Shrowl, nie podnosząc wzroku znad wycinka z gazety. – Czytam o tym tutaj.

– Ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie mój brat, kiedy pokłóciliśmy się z powodu tej aktorki – ciągnął pan Treverton, mówiąc zarówno do sługi, jak i do samego siebie – były takie, że umrę, nie mając w sercu jednego ciepłego uczucia w stosunku do drugiego człowieka.

– I tak będzie – wymamrotał Shrowl, odwracając wycinek, aby sprawdzić, czy na odwrocie jest coś wartego przeczytania.

– Ciekawe, co o mnie myślał, kiedy sam umierał? – zapytał retorycznie pan Treverton, ponownie sięgając po list.

– Nie tracił myśli na pana czy kogokolwiek innego – zauważył Shrowl. – Jeśli w ogóle myślał, to o tym, jak ocalić życie. Gdy skończył o tym myśleć, zakończył również życie.

Wygłosiwszy tę opinię, pan Shrowl podszedł do beczki i nalał sobie poranną porcję piwa.

– Przekłeta aktorka! – wymamrotał pan Treverton.

Gdy wyrzekł te słowa, twarz mu pociemniała, a wargi zacisnęły się. Wygładził list leżący na stole. Zdawało się, że w jego umyśle powstała wątpliwość, czy przyswoił już sobie całą jego treść – myśl, że powinno być w nim więcej, niż

dotąd odkrył. Ponownie wracając do listu, przeczytał go sobie bardzo wolno na głos, jak gdyby chciał wyryć w pamięci każde słowo. Oto jego treść:

Szanowny Panie!

Jako doradca prawny i wierny przyjaciel pańskiej rodziny zostałem poproszony przez panią Frankland, dawniej pannę Treverton, abym przekazał Panu smutną wiadomość o śmierci pańskiego brata. To godne ubolewania wydarzenie miało miejsce na pokładzie statku, którego był kapitanem, podczas sztormu, gdy jednostka rozbiła się o podwodne skały u wybrzeży Antigua. Załączam szczegółową relację z katastrofy wyciętą z „Timesa”, z której przekona się Pan, iż pański brat zginął godnie, pełniąc obowiązki wobec oficerów i dowodzonych przez siebie ludzi. Przesyłam również wycinek z lokalnej kornwalijskiej gazety zawierający wspomnienie o zmarłym dżentelmenie.

Zanim zakończę list, zobowiązany jestem dodać, że mimo najbardziej drobiazgowych poszukiwań wśród dokumentów świętej pamięci kapitana Trevertona nie znaleziono testamentu. Po tym jak pozbył się, jak Panu wiadomo, Porthgenna, jedyną posiadaną przez niego własnością była pochodząca ze sprzedaży majątku, która w wyniku faktu, że umarł, nie pozostawiwszy testamentu, przypadła zgodnie z prawem jego córce jako najbliższej krewnej.

Pozostaję, sir, pańskim oddanym sługą

Alexander Nixon

Wycinek z gazety, który upadł na stół, zawierał akapit z „Timesa”. Wycinek z kornwalijskiej gazety, który trafił na podłogę, Shrowl w przypływie chwilowej uprzejmości podsunął pod nos panu, gdy tylko sam zakończył lekturę. Pan Treverton nie zwrócił najmniejszej uwagi na żaden z wycinków. Nawet przeczytawszy go po raz trzeci, nadal siedział, patrząc na list.

– Dlaczego nie spojrzy pan na zadrukowaną karteczkę, tak jak spojrział pan na zapisaną stronę? – zapytał Shrowl. – Dlaczego nie przeczyta pan, jak wielkim człowiekiem był pański brat i jakie dobre życie prowadził, i jaką wspaniałą, piękną córkę zostawił, i jakie znakomite małżeństwo zawarła z mężczyzną, który jest właścicielem pańskiej starej rodzinnej posiadłości? Ona w każdym razie nie potrzebuje teraz pańskich pieniędzy. Nieprzychylny wiatr, który rzucił statek jej ojca na skały, jej wrzucił na podolek czterdzieści tysięcy funtów. Dlaczego pan o tym nie poczyta? Ona i jej mąż mają w Kornwalii lepszy dom niż pan tutaj. Nie cieszy się pan? Mieli naprawić dwór od piwnicy po dach, aby pański brat mógł

zamieszkać z nimi i opływać w dostatki, gdy wróci z rejsu. Któż kiedyś naprawi ten dom dla pana? Ciekaw jestem, czy pańska bratanica wyszykowałaby stary dwór dla pana, gdyby pan się doprowadził do porządku i poszedł ją poprosić?

Po tym ostatnim pytaniu Shrowl zamilkł, nie z braku słów, ale z braku zachęty do ich wypowiedziania. Po raz pierwszy od czasu, gdy zamieszkali razem, próba sprowokowania pryncypała nie powiodła się. Pan Treverton słuchał lub udawał, że słucha, bez jednego drgnienia mięśnia, bez cienia gniewu w twarzy. Gdy Shrowl skończył, wypowiedział tylko jedno słowo:

– Wyjdź!

Shrowl nie był człowiekiem, którego łatwo było poruszyć, ale gdy usłyszał nagle, że każe mu się wyjść z pokoju, jego twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

– Wyjdź! – powtórzył pan Treverton. – I żebyś mi więcej nie wspominał o moim bracie i jego córce. Nigdy nie spojrzałem na córkę tej aktorki i nigdy nie spojrzę. Nie mów nic, zostaw mnie, wyjdź!

„Jeszcze mi za to zapłaci” – pomyślał Shrowl, wolno wychodząc z pokoju.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, przyłożył do nich ucho i posłyszał, jak pan Treverton odsunął krzesło i chodził po pokoju, mówiąc do siebie. Sądząc po bezładnych słowach, które mu się wyrывały, Shrowl wywnioskował, że myśli pana nadal krążyły wokół „aktorki”, która poróżniła go z bratem. Zdawało się, iż usłyszawszy o śmierci kapitana Trevertona, Andrew odczuwał barbarzyńską ulgę, wyładowując swe niezadowolenie z samego siebie na pamięci o kobiecie, której tak zaciekle nienawidził, i dziecku, które po sobie zostawiła.

Po chwili ściszone, lecz bez wątpienia pełen złości głos zamilkł całkowicie. Shrowl zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył, że jego pan czyta wycinki z gazet zawierające relację z katastrofy i wspomnienie o bracie. Ten ostatni nawiązywał do niektórych z owych szczegółów rodzinnych, o których proboszcz Long Beckley wspominał swemu gościowi. Autor wspomnienia kończył wyrażeniem nadziei, że strata poniesiona przez państwa Franklandów nie przeszkodzi im w planie naprawy Porthgenna Tower po tym, jak wysłali już majstra, aby obejrzał budynek. Coś w sformułowaniu tego ustępu zdawało się przenieść myśli pana Trevertona do czasów młodości, gdy stare gniazdo rodzinne było jego domem. Wymruczał kilka posępnych słów odnoszących się do minionych dni, podniósł się niecierpliwie, wrzucił oba wycinki w ogień, przyglądał się, jak płoną, i westchnął, gdy czarny, cienki niczym pajęczyna popiół uniósł się z prądem powietrza i znikł w kominie.

Odgłos tego westchnienia poderwał Shrowla tak, jak kogoś innego mógłby poderwać wystrzał z pistoletu. Służący w osłupieniu rozwarł szeroko swoje oczka bulteriera i złowieszczo potrząsnął głową, odstępując od drzwi.

* Tytułowy bohater jednej z tragedii Szekspira.

** 1 pinta = ok. 0,5 l

Rozdział 2.

Czy przyjadą?

Gospodyni w Porthgenna Tower właśnie zakończyła niezbędne przygotowania na przyjęcie swoich państwa w terminie wymienionym w liście pani Frankland wysłanym z St. Swithin's-on-Sea, kiedy zaskoczyła ją wiadomość opatrzona pieczęcią z czarnego wosku, obramowana grubą żałobną obwódką. Informowała ona pokrótce o śmierci kapitana Trevertona oraz o tym, że wizyta państwa Franklandów w Porthgenna zostaje odroczone na czas nieokreślony.

Tą samą pocztą majster doglądający remontu zachodniej klatki schodowej otrzymał list, w którym proszono go, by wysłał rachunek, gdy tylko zakończą się rozpoczęte naprawy, ponadto informowano, że pan Frankland nie może na razie poświęcić dalszej uwagi projektowi przywrócenia północnych pokoi do stanu używalności. Po otrzymaniu tej wiadomości majster i jego ludzie wycofali się, gdy tylko zabezpieczyli zachodnie schody i balustrady, a dwór Porthgenna Tower wrócił pod opiekę gospodyni oraz jej pomocnicy, bez pani lub pana, przyjaciół czy nieznajomych, którzy mogliby przemierzać samotne korytarze lub ożywić puste pokoje.

Od tego czasu minęło osiem miesięcy, podczas których gospodyni nie miała wiadomości o swoim panu ani pani, wyjąwszy wzmianki w lokalnej gazecie, które z powątpiewaniem wyrażały się o możliwości zajęcia przez nich starego dworu i zainteresowania się w niedalekiej przyszłości sprawami dzierżawców. Od czasu do czasu, kiedy interes zawiódł go do miasta pocztowego, zarządca dowiadywał się co nieco o swoich pracodawcach od dawnych przyjaciół i służących Trevertonów.

Z tych informacji gospodyni wywnioskowała, że otrzymawszy wiadomość o śmierci kapitana Trevertona, państwo Franklandowie wrócili do Long Beckley i pozostawali tam przez kilka miesięcy w ścisłym odosobnieniu. Opuściwszy miejscowość, przenieśli się (jeśli wierzyć doniesieniom prasy) w okolice Londynu i zajęli dom jakichś przyjaciół, którzy akurat podróżowali po Europie. Najwyraźniej pozostali tam jakiś czas, ponieważ nadszedł nowy rok i nie przyniósł żadnych pogłosek o zmianie ich miejsca zamieszkania. Styczeń i luty minęły bez wieści. Na początku marca zarządca miał okazję wybrać się do miasta pocztowego. Kiedy wrócił do Porthgenna, przyniósł nowiny na temat państwa Franklandów, które wzbudziły nadzwyczajne zainteresowanie gospodyni. Z dwóch różnych wysoce poważanych źródeł zarządca usłyszał wyrażone żartobliwym tonem uwagi, że pod koniec wiosny lub na początku lata jego państwu ma przybyć obowiązków domowych wymagających zatrudnienia opiekunki i kupna kołyski. Mówiąc wprost, wśród wielu dzieci, których można spodziewać się na świecie w czasie najbliższych trzech miesięcy, jest jedno, które odziedziczy nazwisko Frankland i które (jeśli szczęśliwie okaże się chłopcem) wywoła sensację w zachodniej

Kornwalii jako dziedzic majątku Porthgenna.

W następnym miesiącu, to jest w kwietniu, zanim jeszcze gospodyni i zarządca skończyli rozprawiać o ostatniej i najważniejszej nowinie, w Porthgenna Tower zjawiał się mile widziany listonosz, przynosząc kolejną wiadomość od pani Frankland. Gdy tylko gospodyni przeczytała pierwszą linijkę, jej twarz rozpromieniła się rzadko goszczącą na niej radością i zdziwieniem. List donosił, że długo odkładany przyjazd państwa do starego domu nastąpi na początku maja i że można się ich spodziewać w każdej chwili między pierwszym a dziesiątym dniem miesiąca.

Powody, które skłoniły wreszcie właścicieli Porthgenna do wyznaczenia konkretnej daty odwiedzenia wiejskiej posiadłości, wiązały się z pewnymi szczegółami, w które pani Frankland wolała nie wdawać się w liście. Prawda była taka, że między małżonkami wywiązała się mała dyskusja w związku z koniecznością decyzji, gdzie powinni zamieszkać po powrocie przyjaciół, których dom zajmowali, z Europy. Pan Frankland bardzo rozsądnie zaproponował powrót do Long Beckley, nie tylko ze względu na to, iż w okolicy mieszkali wszyscy starzy znajomi, lecz również dlatego (a sytuacja czyniła ten wzgląd ważnym), że na miejscu pracował znakomity lekarz. Niestety druga z tych zalet nie tylko nie miała w opinii pani Frankland żadnego znaczenia, ale wręcz nastawiła Rosamond nieprzychylnie do pomysłu powrotu do Long Beckley. Zawsze, jak przyznała, odczuwała niezrozumiałą niechęć do tamtejszego lekarza. Może i jest on bardzo kompetentnym, niezwykle uprzejmym i niezaprzeczalnie godnym szacunku człowiekiem, ale ona nigdy go nie lubiła i była zdecydowana sprzeciwić się pomysłowi zamieszkania w Long Beckley z tej prostej przyczyny, że to zmusiłoby ją do powierzenia się opiece doktora.

Następnie padły propozycje dwóch innych miejsc zamieszkania, ale pani Frankland wysunęła wobec obu ten sam zarzut – miejscowy lekarz będzie jej nieznany, a ona nie chciała, aby zajmował się nią ktoś obcy. W końcu, jak przez cały czas przewidywała, wybór przyszłego miejsca pobytu został pozostawiony całkowicie jej własnym preferencjom, i wtedy, ku zdumieniu męża i przyjaciół, z miejsca postanowiła o wyjeździe do Porthgenna. Powzięła ten dziwny plan i teraz była zdecydowana go zrealizować po części dlatego, że bardziej niż kiedykolwiek była ciekawa dawnego domu, a po części z powodu faktu, że lekarz, który towarzyszył w ostatniej chorobie jej matce i który opiekował się nią samą podczas drobnych dolegliwości w dzieciństwie, nadal mieszkał i pracował w okolicy Porthgenna. Jej ojciec i lekarz byli starymi kompanami i przez wiele lat w każdy sobotni wieczór spotykali się przy partyjce szachów. Gdy okoliczności ich rozdzieliły, podtrzymywali przyjaźń poprzez coroczną wymianę bożonarodzeniowych prezentów, a gdy do Kornwalii dotarły smutne wieści o śmierci kapitana, doktor przysłał Rosamond list z kondolencjami i wyrazami

współczucia, wyrażając się o dawnym przyjacielu i kliencie słowami, które nie sposób było zapomnieć. Teraz musiał być miłym staruszkim w typie ojcowskim, człowiekiem pod każdym względem najzdatniejszym, aby się nią zajmować. Mówiąc krótko, pani Frankland była równie mocno przychylna zatrudnieniu lekarza z Porthgenna, jak mocno była nieprzychylna zatrudnieniu lekarza z Long Beckley, i jak to zawsze bywa w przypadku młodych mężatek mających kochających mężów, finał był taki, że postawiła na swoim.

Pierwszego maja wszystkie zachodnie pokoje były gotowe na przyjęcie pani i pana domu. Pościel została wywietrzona, dywany wyczyszczone, a krzesła odkryte. Gospodyni założyła atlasową suknię i broszkę z granatem, pokojówka, zachowując pełen szacunku dystans, poszła za jej przykładem, zakładając brązową wełnianą suknię oraz różową wstążkę, zarządca zaś, aby nie ustępować kobietom, wystroił się w czarną ozdobioną brokatem kamizelkę, która posępnością i wystawnością niemal dorównywała atlasowej sukni gospodyni. Dzień minął, przeszedł wieczór, nadeszła pora snu, a państwa Franklandów nie było ani śladu.

Ale był to dopiero pierwszy dzień zapowiadanego okresu, w którym można się było ich spodziewać. Tak uważał zarządca, a gospodyni dodała, że głupotą byłoby odczuwać rozczarowanie, nawet jeśli nie przyjadą do piątego. Nadszedł piąty i nadal nic się nie wydarzyło. Minęły kolejno szósty, siódmy, ósmy i dziewiąty, a w pobliżu samotnego domu nie zabrzmiał wyczekiwany stukot kół powozu.

Dziesiątego i ostatniego dnia gospodyni, zarządca i pokojówka wstali wcześniej niż zwykle. Wszyscy troje otwierali i zamykali drzwi, chodzili schodami w górę i w dół częściej, niż było trzeba, i wciąż spoglądali w kierunku wrzosowiska i gościńca, uważając, że widok jest bardziej monotony, puściejszy i nudniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Dzień zgasł, nadszedł zachód słońca, ciemność zmieniła bezustanne wypatrywanie zarządcy, gospodyni i pokojówki w bezustanne nasłuchiwanie, wybiła dziesiąta i gdy podchodzili do otwartego okna, nadal nie dało się słyszeć nic poza nużącym biciem fal o piaszczysty brzeg.

Gospodyni zaczęła obliczać czas, jaki zajęłaby podróż koleją z Londynu do Exeter i następnie dylizansem pocztowym przez Kornwalię do Porthgenna. Kiedy państwo Franklandowie wyjechali z Exeter? – oto było podstawowe pytanie. I na jakie opóźnienia natrafili później, szukając koni? – oto drugie. Gospodyni i zarządca różnili się, dyskutując o tych kwestiach, jednak zgadzali się, że koniecznym jest czuwać do północy na wypadek, gdyby państwo się jednak spóźnili. Pokojówka, słysząc wyrok wygnania z łóżka przez następne dwie godziny, wydany przez władze wyższe, ziewnęła i żałośnie westchnęła, po czym została zganiona przez zarządcę i wyposażona przez gospodynię w modlitewnik w celu podtrzymującej na duchu lektury.

Wybiła północ i nadal jedynymi słyszalnymi dźwiękami były owe głośnie,

tajemnicze trzaski, które słycać nocą w starym domu, oraz monotonne bicie fal. Zarządca drzemał, pokojówka spała smacznie pod kojącym wpływem modlitw, gospodyni czuwała ze wzrokiem wbitym w okno, od czasu do czasu potrząsając głową, jakby dla wyrażenia złych przeczuć. Po ostatnim wybiciu zegara wstała w z krzesła, uważnie nadstawiła uszu i nadal nic nie słysząc, z irytacją potrząsnęła pokojówkę za ramię i tupnęła w podłogę, aby obudzić zarządcę.

– Możemy iść spać – rzekła. – Nie jada. To już drugi raz, kiedy nas zawiedli. Za pierwszym razem na drodze stanęła im śmierć kapitana. Co zatrzymało ich teraz? Kolejna śmierć? Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było.

– Teraz, gdy o tym myślę, ja też bym się nie zdziwił – powiedział zarządca, złowieszczo ściągając brwi.

– Kolejna śmierć! – powtórzyła zabobonnie gospodyni. – Jeśli to kolejna śmierć, na ich miejscu potraktowałabym ją jako przestrożę, by trzymać się z dala od tego domu.

Rozdział 3.

Pani Jazeph

Gdyby zamiast ryzykować domysł, że na drodze do przyjazdu państwa Franklandów stanęła kolejna śmierć, gospodyni dla odmiany założyłaby, iż tym razem to narodziny stały się przeszkodą, która ich wstrzymała, mogłaby ugruntować swoją renomę mądrej kobiety, przypadkowo odgadując prawdę. Jej pan i pani wyruszyli z Londynu dziewiątego maja i przebyli już większą część drogi koleją, gdy ze względu na panią Frankland niespodziewanie zostali zmuszeni zatrzymać się na stacji małego miasteczka w hrabstwie Somerset. Mały gość, który miał pomnożyć obowiązki domowe młodych małżonków, postanowił wkroczyć na scenę w postaci zdrowego i silnego chłopca o miesiąc wcześniej, niż się spodziewano. Wolał przy tym pojawić się po raz pierwszy w małej gospodzie w Somerset, niż czekać na uroczyste przyjęcie w wielkim dworze w Porthgenna, który pewnego dnia miał odziedziczyć.

Niewiele wydarzeń wzbudziło kiedykolwiek większą sensację w miasteczku West Winston niż jeden drobny incydent, jakim było niespodziewane zatrzymanie się państwa Franklandów w owym miejscu. Od ostatnich wyborów gospodarz i gospodyni hotelu Tiger's Head jeszcze ani razu nie uwijali się po domu w tak gorączkowym podnieceniu jak to, które ogarnęło ich, gdy służący pana Franklanda i pokojówka pani Frankland zajechali pod drzwi jednokonną bryczką, aby donieść, że jadą za nimi pan i pani i że w związku z nieprzewidzianą sytuacją niezwłocznie potrzebne będą największe i najspokojniejsze z hotelowych pokoi. Od czasu triumfalnego zdania egzaminu nowy lekarz, pan Orridge, który zaczął karierę od kupna praktyki w West Winston, ani razu jeszcze nie czuł takiego dreszczyku przyjemnego podniecenia przesywającego całe jego ciało jak wtedy, gdy usłyszał, że żona niezwykle majątnego niewidomego dżentelmena poczuła się niedysponowana podczas podróży koleją z Londynu do hrabstwa Devon i bez chwili zwłoki potrzebuje jego zdolności i opieki jako lekarza. Od czasu zawodów łuczniczych i kiermaszu dobroczynnym miejscowym damom jeszcze ani razu nie nadarzył się tak zajmujący temat rozmów jak ten, którego teraz dostarczył im nieszczęśliwy przypadek pani Frankland. Fantastyczne relacje o urodzie żony i fortunie męża wypływały ze źródła w hotelu Tiger's Head i sączyły się głównymi oraz bocznymi ulicami miasteczka. Tuzin różnych pogłosek, jedna wymyślniej fałszywa od drugiej, krążyło na temat ślepoty pana Franklanda i jej przyczyn, oplakanego stanu, w jakim jego żona dotarła do hotelu, oraz bolesnego poczucia obowiązku, jaki wytrącił z równowagi niedoświadczonego pana Orridge'a, gdy ten tylko spojrział na pacjentkę. Dopiero o ósmej wieczorem opinia publiczna została wreszcie uwolniona od wszelkiego napięcia zawiadomieniem, że dziecko się urodziło, i to krzyżąc donośnie, że matka ma się wyśmienicie, biorąc pod uwagę

okoliczności, i że pan Orridge okrył się chwałą z powodu zręczności, delikatności i troski, z jakimi wykonał swoje obowiązki.

Następnego dnia, kolejnego i jeszcze przez tydzień wieści nadal były pomyślne. Ale dziesiątego dnia doniesiono o katastrofie. Opiekunka zajmująca się panią Frankland zachorowała nagle i okazała się zupełnie niezdolna do pełnienia jakiegokolwiek służby co najmniej przez następnny tydzień, a może znacznie dłużej.

W dużym mieście podobnemu nieszczęściu można było bez trudu zaradzić, ale w miejscu takim jak West Winston nie tak łatwo znaleźć w kilka godzin zastępstwo za doświadczoną opiekunkę. Pan Orridge, którego poradzono się w tej nowej nagłej potrzebie, otwarcie przyznał, że potrzebuje trochę czasu do namysłu, nim podejmie się znaleźć inną fachową pomoc mającą odpowiednie referencje i doświadczenie, aby usługiwać takiej damie jak pani Frankland. Pan Frankland zaproponował zatelegrafowanie do znajomego lekarza w Londynie z prośbą o przysłanie opiekunki, ale doktor z wielu względów niechętny był temu pomysłowi, chyba że w ostateczności. Znalezienie odpowiedniej osoby i przysłanie jej do West Winston zajęłoby trochę czasu, a poza tym o wiele bardziej wolał zatrudnić kobietę, której opinię i kompetencje znałby osobiście. Zaproponował zatem, aby na kilka godzin powierzyć panią Frankland opiece jej pokojówki pod okiem gospodyni hotelu, podczas gdy on zasięgnie języka w okolicy. Gdyby jego poszukiwania nie przyniosły zadowalającego rezultatu, będzie gotów, gdy przyjedzie na wieczorną wizytę, przyjąć pomysł pana Franklanda i zatelegrafować po odpowiednią osobę do Londynu.

Gdy pan Orridge przystąpił do zaproponowanych przez siebie poszukiwań, mimo że nie szczędził trudu, nie odniósł sukcesu. Co prawda znalazł mnóstwo kandydatek na stanowisko opiekunki, ale wszystko to były głośne, niezręczne, ociężałe wieśniaczki, życzliwe i chętne, ale niestety zbyt niezdarne i nieudolne, aby postawić je przy łóżku takiej damy jak pani Frankland. Godziny poranne minęły, nadeszło popołudnie, a pan Orridge nadal nie znalazł zastępczyni chorej opiekunki, którą ośmieliłby się zatrudnić.

O drugiej wybierał się w półgodzinną podróż do wiejskiej posiadłości, gdzie miał odwiedzić małą pacjentkę. „Może w drodze tam lub z powrotem przypomnę sobie o kimś, kto by się nadawał” – pomyślał, wsiadając do gigu. „Mam jeszcze kilka godzin, zanim nadejdzie pora mojej wieczornej wizyty w gospodzie”.

Pan Orridge przez całą drogę głowił się, jak rozwiązać nietypowy problem, dotarł jednak do celu, nie dochodząc do żadnego innego wniosku poza tym, że równie dobrze może przedstawić swoje zmartwienie pani Norbury, damie, której dziecku miał przepisać lek. To jej złożył pierwszą wizytę, gdy nabył praktykę w West Winston, i przekonał się, że jest to jedna z owych szczerych, dobroduszných kobiet w średnim wieku, które zwykle opisuje się epitetem „matczyna”. Jej mąż był ziemianinem słynącym ze swych konserwatywnych

przekonań politycznych, snucia opowieści z dawnych lat i starego wina. Wtórował żonie w serdecznym przyjęciu nowego lekarza żartami o tym, jak to nigdy nie da mu zarobić i nigdy nie przyjmie pod swój dach żadnych butelek z wyjątkiem tych, które pójdą do piwnicy. Mąż rozbawił pana Orridge'a, a żona go ujęła, doktor pomyślał więc, że zanim porzuci wszelką nadzieję znalezienia opiekunki, warto może poprosić panią Norbury, która od dawna mieszkała w okolicy West Winston, o radę.

Tak więc zbadawszy dziecko i orzekłszy, że mała pacjentka nie zdradza żadnych niepokojących objawów, pan Orridge przygotował grunt pod przedstawienie dręczącego go problemu, pytając panią Norbury, czy słyszała o „interesującym wydarzeniu”, jakie miało miejsce w hotelu Tiger's Head.

– Chodzi panu o to – odparła pani Norbury, która była kobietą prostolinijną i zwykła mówić bez ogródek – czy słyszałam o tej nieszczęsnej damie, która zasłała w podróży i urodziła dziecko w gospodzie? Słyszeliśmy tylko tyle i nic więcej, jako że żyjemy (dzięki Bogu!) poza zasięgiem plotek z West Winston. Jak się czuje ta dama? Kto to taki? Czy dziecko ma się dobrze? Czy matka przebywa w znośnych warunkach? Czy mogę jej coś posłać albo coś dla niej zrobić?

– Wyświadczyłaby jej pani wielką przysługę, a mnie bardzo pomogła – rzekł pan Orridge – gdyby wskazała mi pani w okolicy jakąś poważaną kobietę, która nadawałaby się w zaistniałej sytuacji na opiekunkę dla niej.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że ta biedaczka nie ma opiekunki! – zawołała pani Norbury.

– Miała najlepszą opiekunkę w West Winston – odparł pan Orridge. – Ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że kobieta ta dziś rano zachorowała i musiała odjechać do domu. Teraz zachodzę w głowę, kto mógłby ją zastąpić. Pani Frankland przywykła do luksusu bycia dobrze obsługiwaną i znalezienie pomocnicy, która by ją zadowolila, wydaje się ponad moje siły.

– Wspomniał pan, że nosi nazwisko Frankland? – zapytała pani Norbury.

– Tak. To, jak rozumiem, córka tego kapitana Trevertona, który rok temu zatonął na swoim statku w Indiach Zachodnich. Może pamięta pani relację z katastrofy, pisały o tym gazety?

– Oczywiście, że pamiętam! Pamiętam też samego kapitana. Znałam go jako młoda kobieta, w Portsmouth. Jego córka i ja nie powinnyśmy być sobie obce, zwłaszcza w takiej sytuacji, w jakiej znalazła się teraz ta biedaczka. Złożę wizytę w gospodzie, panie Orridge, gdy tylko pozwoli mi pan się jej przedstawić. Ale tymczasem jak zaradzić tej biedzie z piastunką? Kto jest teraz z panią Frankland?

– Jej pokojówka. Ale to bardzo młoda kobieta i nie wie, jak zajmować się małym dzieckiem. Gospodyni hotelu gotowa jest pomagać, kiedy może, ale z kolei jej uwagę i czas stale zaprzęta coś innego. Pewnie będziemy musieli zatelegrafować do Londynu, aby przysłano nam kogoś koleją.

– A to, rzecz jasna, potrwa. A kiedy już ją sprowadzicie, nowa niania może okazać się pijaczką, złodziejką albo jednym i drugim – powiedziała bezpośrednio pani Norbury. – Jejku! Nie możemy wymyślić nic lepszego? Z pewnością jestem gotowa podjąć każdy trud i dokonać każdej ofiary, jeśli może się to przysłużyć pani Frankland. Wie pan co, panie Orridge? Myślę, że dobrym pomysłem byłoby poradzić się mojej gospodyni, pani Jazeph. To dziwna kobieta o dziwnym nazwisku, powie pan, ale mieszka ze mną w tym domu od pięciu lat i może wie o kimś z sąsiedztwa, kto by się nadał, chociaż mnie nikt taki nie przychodzi do głowy.

Po tych słowach pani Norbury zadzwoniła dzwonkiem i kazała służącej przekazać pani Jazeph, że ta jest natychmiast proszona na górę.

Po upływie około minuty dało się słyszeć ciche stuknięcie w drzwi i do pokoju weszła gospodyni.

Gdy tylko się pojawiła, pan Orridge spojrzał na nią z ciekawością, którą trudno było mu wyjaśnić. Oceniał przybyłą na kobietę mniej więcej pięćdziesięcioletnią. Jego oko lekarza od razu uchwyciło, że jakaś część złożonej maszynerii systemu nerwowego pani Jazeph popsowała się. Zauważył bolesne skurcze mięśni twarzy i nerwowy rumieniec, który oblał jej policzki, gdy wchodząc do pokoju, zastała w nim gościa. Nie umknęło mu dziwnie spłoszone spojrzenie, które nie ustąpiło, mimo że reszta twarzy stopniowo się uspokoiła. „Ta kobieta doświadczyła jakiegoś strasznego nieszczęścia, jakiejś wielkiej zgryzoty, albo przeszła wyniszczającą chorobę” – pomyślał. „Ciekawe, co jest przyczyną jej stanu?”

– To pan Orridge, lekarz, który niedawno osiadł w West Winston – powiedziała pani Norbury, zwracając się do gospodyni. – Opiekuje się damą, która została zmuszona zatrzymać się na naszej stacji podczas podróży na zachód i która teraz przebywa w hotelu Tiger’s Head. Słyszała pani coś niecoś na ten temat, prawda, pani Jazeph?

Pani Jazeph, stojąc w drzwiach, spojrzała z szacunkiem na doktora i odpowiedziała twierdząco. Choć wyrzekła tylko trzy pospolite słowa: „Tak, proszę pani” – cicho i bez zainteresowania, pana Orridge’a zdumiała słodycz i delikatność jej głosu. Gdyby na nią nie patrzył, mógłby pomyśleć, że jest to głos młodej kobiety. Jego wzrok pozostał utkwiony w niej po tym, jak przemówiła, chociaż doktor czuł, że powinien raczej patrzeć na jej panią. On, najmniej uważny obserwator, jeśli idzie o takie rzeczy, złapał się na tym, że zwrócił uwagę na ubranie gospodyni, tak że na długo zapamiętał kształt nieskazitelnego muślinowego czepka starannie okrywającego jej gładkie siwe włosy, i stonowany brązowy odcień jedwabnej sukni, która leżała na niej tak wspaniale i której fałdy otaczały jej sylwetkę tak oszczędnie i z takim zdyscyplinowaniem. Najmniejszą niezręcznością gestu czy zachowania nie zdradziła drobnego zmieszania, jakie najwyraźniej

poczuła, zdając sobie sprawę, że jest obiektem zainteresowania doktora. Jeśli, fizycznie rzecz ujmując, istnieje coś takiego jak gracia powściągliwości, ta właśnie gracia zdawała się powodować najdrobniejszymi ruchami pani Jazeph. To ona poprowadziła kobietę gładko przez dywan, gdy ta zbliżyła się do swej pani. To ona powiodła bladą prawą dłoń, gdy ta spoczęła lekko na stole obok, podczas gdy właścicielka przystanęła, aby wysłuchać kolejnego pytania.

– A więc – ciągnęła pani Norbury – ta biedna dama dochodziła już do siebie, gdy piastunka, która się nią zajmowała, zachorowała dziś rano, i oto pani Frankland znalazła się w nieznanym miejscu, z pierwszym dzieckiem i bez właściwej opieki, nie mając żadnej kobiety w odpowiednim wieku i z doświadczeniem, która pomogłaby jej, jak należy. Szukamy kogoś, kto nadawałaby się do usługiwania delikatnej kobiecie, której całkowicie obca jest ludzka ordynarność. Pan Orridge nie potrafi znaleźć nikogo w przeciągu jednego dnia, a ja nie mam mu kogo podsunąć. Czy może nam pani pomóc, pani Jazeph? Czy we wsi albo wśród dzierżawców pana Norbury’ego są jakieś kobiety, które znają się na pielęgowaniu kobiet w połogu i mają na tyle taktu i wrażliwości, że można by je polecić do tego zadania?

Pani Jazeph namyślała się przez krótką chwilę, a potem bardzo grzecznie, lecz zwięźle i nadal nie okazując swoim zachowaniem zainteresowania, odrzekła, że nie zna nikogo, kogo mogłaby polecić.

– Niech pani nie odpowiada pochopnie, zanim nie namyśli się chwilę dłużej – rzekła pani Norbury. – Szczególnie zależy mi na pomocy tej damie, ponieważ zaraz przed pani przyjściem pan Orridge powiedział mi, że jest to córka kapitana Trevertona, o którego katastrofie morskiej...

Gdy tylko padły te słowa, pani Jazeph obróciła się gwałtownie i spojrzała na doktora. Najwyraźniej zapominając, że jej prawa dłoń spoczywa na stole, poruszyła ją tak nagle, że uderzyła w brązową figurkę psa umieszczoną na jakichś papierach. Figurka upadła na podłogę, a pani Jazeph natychmiast schyliła się, aby ją podnieść, z okrzykiem trwogi, który wydawał się dziwnie przesadny w zestawieniu z błahością wypadku.

– Niech Bóg ma w opiece tę kobietę! Czegóż ona się boi? – zawołała pani Norbury. – Psu nic się nie stało, proszę odłożyć go na miejsce. Pierwszy raz się zdarza, pani Jazeph, że widzę, jak robi pani coś niezręcznego. Myślę, że może to pani uznać za komplement. Więc, jak mówiłam, dama ta jest córką kapitana Trevertona, o którego śmierci podczas strasznej katastrofy morskiej wszyscy czytaliśmy w gazetach. Znałam jej ojca w młodości i z tego względu szczególnie chciałabym jej teraz pomóc. Proszę, niech pani jeszcze pomyśli. Czy nie ma w okolicy nikogo, komu można by powierzyć opiekę nad nią?

Doktor, który nadal przyglądał się pani Jazeph z ukrytą zawodową ciekawością, dostrzegł tak śmiertelną bladość na jej twarzy, gdy obróciła się i na

niego spojrzała, że nie zdziwiłby się, gdyby zemdląca na miejscu. Gdy jej pani przestała mówić, oblicze gospodyni znów zmieniło kolor. Nerwowy rumieniec na powrót wykwitł na jej policzkach dwiema jaskrawymi plamami. Jej zalękniony wzrok krążył niespokojnie po pokoju, palce złożonych dłoni przeplatały się machinalnie. „Ciekawie byłoby leczyć ten przypadek”, pomyślał doktor, baczny wzrokiem śledząc każdy nerwowy ruch dłoni gospodyni.

– Niech pani jeszcze pomyśli – powtórzyła pani Norbury. – Tak bym chciała pomóc tej biedaczce w jej kłopotach, jeśli to tylko możliwe.

– Bardzo mi przykro – odezwała się pani Jazeph cichym, drżącym, ale nadal równie słodkim głosem – bardzo przykro, że nie przychodzi mi do głowy nikt, kto by się nadawał, jak tylko...

Urwała. Nieśmiałe dziecko, stając po raz pierwszy przed nieznanym towarzystwem, nie mogłoby wyglądać na bardziej zakłopotane niż ona teraz. Wzrok miała wbity w podłogę, rumieniec na jej twarzy pogłębiał się, palce jej złożonych dłoni z każdą chwilą poruszały się coraz szybciej.

– Jak tylko co? – zapytała pani Norbury.

– Miałam powiedzieć, proszę pani – odparła pani Jazeph, mówiąc z największą trudnością i niepokojem i ani razu nie podnosząc wzroku na twarz pani – że gdyby damie tej miało brakować opiekunki, ja bym mogła... zważywszy na życzliwość, jaką pani ją darzy... Ja bym mogła, jeśli myśli pani, że mogłaby mnie odstąpić...

– Co, opiekować się nią sama?! – zawołała pani Norbury. – Słowo daję, choć zrobiła to pani dość okreśną drogą, wreszcie doszła do sedna w sposób, który jak najlepiej świadczy o jej dobroci serca i chęci przysłużenia się. Co do odstąpienia pani, rzecz jasna, nie jestem aż tak samolubna, by biorąc pod uwagę okoliczności, zastanawiać się dwa razy nad niedogodnością utraty gospodyni. Pytanie jednak brzmi: czy jest pani równie kompetentna, co chętna? Ma pani jakieś doświadczenie w pielęgnowaniu chorych?

– Tak, proszę pani – odparła pani Jazeph, nadal nie podnosząc wzroku z podłogi. – Wkrótce po ślubie (rumieniec zniknął, a jej twarz ponownie zbladła przy tych słowach) miałam pewne doświadczenie w pielęgnowaniu chorych i kontynuowałam je z przerwami do czasu śmierci męża. Ośmielam się jedynie zaoferować siebie, sir... – ciągnęła, zwracając się do doktora, podczas gdy w zachowaniu jej wracały powaga i opanowanie. – Ośmielam się jedynie zaoferować siebie za pozwoleniem mojej pani w zastępstwie opiekunki do czasu, aż znajdzie się bardziej wykwalifikowana osoba.

– Co pan na to, panie Orridge? – zapytała pani Norbury.

Kiedy lekarz usłyszał, że pani Jazeph oferuje się na stanowisko niani, to na niego przyszła kolej, by się odezwać. Zawahał się, nim odpowiedział na pytanie pani Norbury, a potem rzekł:

– Mogę mieć tylko jedną wątpliwość co do stosowności przyjęcia tej oferty, pani Jazeph.

Kiedy przemówił, bojaźliwe oczy pani Jazeph spojrzały na niego z niepokojem i zakłopotaniem. Pani Norbury, swoim zwyczajem otwarcie i bezpośrednio, zapytała z miejsca, o jaką wątpliwość chodzi.

– Odczuwam niepewność – odrzekł pan Orridge – czy pani Jazeph (wybaczy mi ona, że jako lekarz o tym wspominam), czy pani Jazeph jest na tyle silna i wystarczająco panuje nad nerwami, aby pełnić obowiązki, które tak łaskawie gotowa jest podjąć.

Mimo uprzejmości wyjaśnienia pani Jazeph była wyraźnie zmieszana i przygnębiona. Jakiś cichy, nieuskarżający się smutek, którego widok głęboko poruszał, rozlał się na jej twarzy, gdy bez słowa odwróciła się i wolno podeszła do drzwi.

– Proszę jeszcze nie odchodzić! – zawołała łagodnie pani Norbury. – Albo jeśli pani odejdzie, proszę wrócić za pięć minut. Jestem pewna, że będziemy mieli wtedy pani coś jeszcze do powiedzenia.

Oczy pani Jazeph wyraziły podziękowanie jednym spojrzeniem. Wydawały się dużo bardziej świetliste niż zazwyczaj, tak że pani Norbury zastanawiała się, czy właśnie nie zachodzą łzami. Zanim zdążyła popatrzeć w nie raz jeszcze, pani Jazeph skłoniła się doktorowi i bezszelestnie wyszła z pokoju.

– Teraz, gdy zostaliśmy sami, panie Orridge – rzekła pani Norbury – mogę panu powiedzieć, z całym szacunkiem dla pańskiego fachowego osądu, że nieco pan wyolbrzymia nerwową słabość pani Jazeph. Wygląda dość mizernie, ale po pięciu latach znajomości mogę powiedzieć, że jest silniejsza, niż się wydaje, i szczerze uważam, iż dobrze się pan przysłuży pani Frankland, jeśli wypróbuje naszą ochotniczą nianię, przynajmniej przez dzień lub dwa. To najdelikatniejsza, najczulsza istota, jaką w życiu spotkałam, a przy tym sumienna aż do przesady w wypełnianiu każdego obowiązku, jakiego się podejmie. Proszę nie mieć skrupułów, zabierając ją stąd. W zeszłym tygodniu wydałam przyjęcie i przez jakiś czas nie wydam następnego. Nigdy nie mogłabym odstąpić mojej gospodyni z równą łatwością jak teraz.

– Jestem pewien, że mogę pani podziękować zarówno w imieniu pani Frankland, jak i własnym – rzekł pan Orridge. – Po tym, co pani powiedziała, byłoby to niegrzeczne i niewdzięczne z mojej strony, gdybym nie skorzystał z pani rady. Ale wybaczy pani, że zadam jedno pytanie? Czy słyszała pani kiedyś, żeby pani Jazeph miała jakieś napady?

– Nigdy.

– Nawet ataków hysterii od czasu do czasu?

– Nigdy, odkąd przebywa w tym domu.

– Zdziwiła mnie pani, w jej spojrzeniu i zachowaniu jest coś takiego...

– Tak, każdy to na początku zauważa. Ale to znaczy tylko tyle, że jest delikatnego zdrowia i że w młodości nie miała zbyt szczęśliwego życia (jak się domyślam). Dama, od której ją przejęłam (z doskonałymi referencjami), mówiła mi, że pani Jazeph nieszczęśliwie wyszła za mąż, będąc ubogą i bez opieki. Ona sama nigdy nic nie mówi o swoich małżeńskich niedolach, ale domyślam się, że mąż źle ją traktował. Jednak nie wydaje mi się, aby to była nasza sprawa. Mogę tylko powtórzyć, że przez pięć lat była tutaj wzorową służącą i że na pana miejscu, jakkolwiek mizernie może ona wyglądać, uważałabym ją za najlepszą opiekunkę, jaką w obecnej sytuacji mogłaby wymarzyć sobie pani Frankland. Nie ma potrzeby mówić nic więcej. Niech pan przyjmie panią Jazeph albo zatelegrafuje do Londynu po nieznajomą, decyzja oczywiście należy do pana.

Panu Orridge'owi zdawało się, że w ostatnim zdaniu pani Norbury wyczuł delikatną irytację. Był człowiekiem rozsądnym i wolał zdławić ostatnie wątpliwości, jakie mógł jeszcze żywić wobec fizycznych zdolności pani Jazeph do podjęcia obowiązków opiekuńczych, niż ryzykować obrażenie najważniejszej damy w okolicy i to na początku swojej kariery lekarza w West Winston.

– Po tym, co była pani łaskawa mi powiedzieć, nie mogę wahać się ani chwili dłużej – rzekł. – Proszę wierzyć, że z wdzięcznością przyjmuję pani uprzejmość i ofertę pani gospodyni.

Pani Norbury zadzwoniła dzwonkiem. Na wezwanie błyskawicznie odpowiedziała sama gospodyni.

Doktor zastanawiał się, czy podsłuchiwała pod drzwiami, i pomyślał, że jeśli tak było w istocie, to dość dziwne wydaje się, iż tak jej zależy na poznaniu jego decyzji.

– Pan Orridge z wdzięcznością przyjmuje pani ofertę – powiedziała pani Norbury, dając pani Jazeph znak ręką, aby weszła do pokoju. – Przekonałam go, że nie jest pani tak słaba i chora, na jaką wygląda.

W twarzy gospodyni rozbłysła iskierka radosnego zdziwienia. Naraz wydała się młodsza o całe lata, gdy uśmiechem wyrażała swoją wdzięczność za zaufanie, jakim ją obdarzono. Po raz pierwszy też od czasu, gdy doktor ją zobaczył, ośmieliła się odezwać jako pierwsza.

– Kiedy będzie potrzebna moja opieka, sir? – zapytała.

– Tak szybko, jak to możliwe – odrzekł pan Orridge.

Jak jasno rozbłysły jej oczy, gdy usłyszała tę odpowiedź! O ileż zwawszy niż wcześniej był ruch, z którym teraz odwróciła się i spojrzała błagalnie na swą panią!

– Proszę jechać, gdy tylko pan Orridge będzie pani potrzebował – oświadczyła pani Norbury. – Wiem, że pani rachunki zawsze są w porządku, a klucze na właściwych miejscach. Nigdy nie wprowadza pani nieładu i nie zostawia nieładu. Jak najbardziej, proszę jechać, gdy tylko doktor będzie tego oczekiwał.

– Zapewne musi pani poczynić pewne przygotowania? – zapytał pan Orridge.

– Żadnych, które zatrzymałyby mnie na dłużej niż pół godziny, sir – odpowiedziała pani Jazeph.

– Wystarczy dziś wieczorem – rzekł doktor, biorąc do ręki kapelusz i posyłając ukłon pani Norbury. – Proszę przyjść do hotelu Tiger's Head i zapytać o mnie. Będę tam między siódmą a ósmą. Jeszcze raz stokrotne dzięki, pani Norbury.

– Moje najlepsze życzenia i pozdrowienia dla pańskiej pacjentki, doktorze.

– Hotel Tiger's Head, dziś wieczorem między siódmą a ósmą – przypomniał pan Orridge, gdy gospodyni otworzyła przed nim drzwi.

– Między siódmą a ósmą, sir – powtórzył cichy, słodki głos brzmiący teraz, gdy dźwięczała w nim nuta zadowolenia, młodziej niż podczas całej rozmowy.

Rozdział 4.

Nowa opiekunka

Z wybiciem siódmej pan Orridge założył kapelusz, aby udać się do hotelu Tiger's Head. Właśnie otworzył drzwi własnego domu, kiedy na progu spotkał się z posłańcem, który wzywał go niezwłocznie do nagłego przypadku w biednej dzielnicy miasteczka. Po kilku pytaniach doktor upewnił się, że wezwanie jest faktycznie pilne i że nie ma innej rady, jak nieco opóźnić swoją wizytę w gospodzie. Dotarłszy do łóżka pacjenta, wykrył pewne objawy, które wymusiły natychmiastowy zabieg. Wykonanie tego zawodowego obowiązku zajęło dłuższą chwilę. Była za kwadrans ósma, kiedy doktor po raz drugi wyszedł z domu do hotelu.

Gdy wszedł do środka, powiedziano mu, że nowa opiekunka przybyła już o siódmej i od tamtej pory czeka na niego w pustym pokoju. Nie otrzymawszy wskazówek od pana Orridge'a, gospodyni zdecydowała, że najbezpieczniej będzie nie przedstawiać nieznanym pani Frankland, dopóki nie zjawi się lekarz.

– Czy chciała iść na górę do pokoju pani Frankland? – zapytał pan Orridge.

– Tak, sir – odparła gospodyni. – I wydała mi się nieco urażona, kiedy powiedziałam, że muszę poprosić ją, aby poczekała na pana przyjazd. Pozwoli pan tędy i spotka się z nią od razu, sir? Jest w moim saloniku.

Gospodyni zaprowadziła pana Orridge'a do małego pokoju na tyłach domu, gdzie w najbardziej oddalonym od okna kącie siedziała samotnie pani Jazeph. Zdziwił się nieco, widząc, że w chwili, gdy otwarto drzwi, opuściła na twarz woalkę.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – rzekł – ale wezwano mnie do pacjenta. Poza tym, jak pani pamięta, powiedziałem jej, aby przyszła między siódmą a ósmą, a jeszcze nie ma ósmej.

– Bałam się spóźnić, sir – powiedziała pani Jazeph.

W cichym tonie jej głosu brzmiała nuta powściągliwości, która uderzyła i lekko zdumiała pana Orridge'a. Najwyraźniej kobieta nie tylko obawiała się, że jej twarz może coś zdradzić, ale również tego, iż jej głos może powiedzieć mu więcej, niż zdołają wyrazić słowa. Jakie uczucie chciała ukryć? Czy chodziło o irytację, że kazano jej tak długo czekać samej w pokoju gospodyni?

– Jeśli pozwoli pani za mną – powiedział pan Orridge – zabiorę panią od razu do pani Frankland.

Pani Jazeph wolno się podniosła i kiedy stanęła, na moment oparła rękę na stole obok. Gest ten, jakkolwiek przelotny, pomógł doktorowi utwierdzić się w przekonaniu o jej fizycznej niezdolności do objęcia stanowiska, na które się zgłosiła.

– Wydaje się pani zmęczona – powiedział, wychodząc przodem z pokoju. –

Chyba nie przyszła tu pani na piechotę?

– Nie, proszę pana. Moja pani była tak dobra, że pozwoliła, aby jeden ze służących przywiózł mnie bryczką.

W jej głosie była ta sama powściągliwość co poprzednio i kobieta nadal nie podniosła woalki. Wchodząc po schodach, pan Orridge postanowił w myślach, że od początku będzie bacznie przyglądał się jej poczynaniom w pokoju pani Frankland i że jednak pośle po nianię do Londynu, chyba że pani Jazeph wykaże się niezwykłą zdolnością w pełnieniu swoich nowych obowiązków.

Pokój zajmowany przez panią Frankland znajdował się na tyłach domu. Położenie to zostało wybrane w celu odseparowania jej, na ile to możliwe, od zgiełku i wrzawy panujących przy wejściu do gospody. Światła dziennego dostarczało jedno okno z widokiem na kilka domów, za którymi rozpościerały się żyzne pastwiska zachodniego hrabstwa Somerset zamknięte długą, monotonną linią gęsto zalesionych wzgórz. Łóżko było z rodzaju staromodnych, wyposażone w zwyczajowe cztery filary i nieodłączne adamaszkowe zasłony. Zajmowało część pokoju od ściany ku środkowi pomieszczenia w taki sposób, że leżący miał po prawej stronie drzwi, po lewej okno, a kominek na wprost nóg. Zasłony przy łóżku od strony okna były rozsunięte, podczas gdy w nogach i od strony drzwi szczelnie zasunięte. Dzięki temu wnętrze łóżka pozostawało siłą rzeczy zakryte przed oczami osoby wchodzącej do pokoju.

– Jak się pani czuje dziś wieczorem, pani Frankland? – zapytał pan Orridge, sięgając ręką, aby odsunąć zasłony. – Myśli pani, że nieco swobodniejszy przepływ powietrza może pani zaszkodzić?

– Wręcz przeciwnie, doktorze, dobrze mi robi – padła odpowiedź. – Ale obawiam się, w razie jeśli kiedykolwiek był pan skłonny uważać mnie za rozsądną kobietę, że moja reputacja zostanie nieco nadszarpnięta w pana oczach, gdy zobaczy pan, czym się zajmowałam przez ostatnią godzinę.

Pan Orridge rozsunął zasłony i wybuchnął śmiechem, gdy spojrzał na matkę i dziecko.

Pani Frankland zabawiała się, ulegając swemu upodobaniu do jaskrawych kolorów, strojąc śpiącego synka w niebieskie wstążki. Miał na sobie naszyjnik, epolety i bransoletki – wszystko z niebieskiej wstążki – a uroczej wytworności stroju dopełniał mały, elegancki czepek matki komicznie nałożony na bakier. Sama Rosamond, jak gdyby zdecydowana konkurować z dzieckiem wesołością stroju, ubrana była w jasnoróżową koszulkę zdobną wzdłuż gorsu i na rękawach kokardkami z białej atlasowej wstążki. Na białej kapie leżały porozrzucane kwiaty złotokapu zebrane tego ranka; mieszały się z konwaliami powiązаныmi w dwa bukietiki za pomocą kawałków wiśniowej wstążki. Na tę mozaikę kolorów, na łagodnie zaokrąglone policzki i ramiona dziecka, na szczęśliwą, młodzieńczą twarz matki splotywały spokojnie i ciepło miękkie światło majowego wieczora.

Podziwiając urok obrazka, który odkrył, rozchylając zasłony, doktor stał wpatrzony w niego przez kilka chwil, zupełnie zapominając o tym, co sprowadziło go do pokoju. Dopiero pytanie skierowane do niego przez panią Frankland przypomniało mu o nowej opiekunce.

– Nic na to nie poradzę, doktorze – powiedziała Rosamond z przepaszającym spojrzeniem. – Naprawdę nic nie poradzę na to, że teraz, będąc dorosłą kobietą, traktuję moje dziecko dokładnie tak, jak zwykłam traktować moją lalkę, będąc małą dziewczynką. Czy ktoś wszedł z panem do pokoju? Lenny, to ty? Czy zjadłeś obiad, kochanie, i wypiliśmy moje zdrowie, gdy zostałeś całkiem sam przy deserze?

– Pan Frankland wciąż jeszcze je obiad – powiedział doktor. – Ale ja z pewnością przyprowadziłem z sobą kogoś. Gdzie, u licha, ona poszła? Pani Jazeph!

Gospodyni prześlizgnęła się do części pokoju znajdującej się pomiędzy nogami łóżka a kominkiem, gdzie skrywały ją nadal zaciągnięte zasłony. Kiedy pan Orridge ją zawołał, zamiast podejść do miejsca, w którym stał, naprzeciw okna, pojawiła się po drugiej stronie łóżka, mając okno za plecami. Jej cień nasunął się ciemną plamą na jasny obrazek, który podziwiał doktor. Rozciągnął się ukośnie w poprzek kapy, a jego mroczne krawędzie dotknęły postaci matki i dziecka.

– Wielki Boże! Kim pani jest? – zawołała Rosamond. – Kobieta czy zjawą?

Woalka pani Jazeph nareszcie była uniesiona. Chociaż w położeniu, jakie zajęła, twarz gospodyni siłą rzeczy znajdowała się w cieniu, doktor dostrzegł zmianę, jaka zaszła w niej na dźwięk słów pani Frankland. Wargi opadły i lekko zadrżały, bruzdy wokół ust spowodowane wiekiem i troskami pogłębiły się, a brwi gwałtownie się ściągnęły. Pan Orridge nie mógł dostrzec oczu: pani Jazeph spuściła wzrok na kapę, gdy tylko Rosamond wypowiedziała pierwsze słowo. Wiedziony światłem swojego medycznego doświadczenia doktor doszedł do wniosku, że kobieta doświadczała bólu i próbowała stłumić wszelkie jego zewnętrzne objawy. „Najprawdopodobniej to choroba serca” – pomyślał. „Ukryła ją przed swoją panią, ale nie ukryje przede mną”.

– Kim pani jest? – powtórzyła Rosamond. – I po co, u licha, stoi pani tam, pomiędzy nami a światłem?

Pani Jazeph nie odpowiedziała ani nie podniosła wzroku. Cofnęła się tylko nieśmiało w najdalszy kąt okiennej wnęki.

– Nie dostała pani dziś po południu wiadomości ode mnie? – zapytał doktor, zwracając się do pani Frankland.

– A jakże, dostałam – odparła Rosamond. – Bardzo uprzejmą, pochlebnią wiadomość o nowej opiekunce.

– Oto ona – powiedział pan Orridge, wskazując ponad łóżkiem na panią Jazeph.

– Co też pan mówi! – zawołała Rosamond. – Choć oczywiście to musi być ona. Któż inny mógłby wejść z panem? Powinam była się domyślić. Proszę podejść bliżej. (Jak się ona nazywa, doktorze? Powiedział pan, że Joseph? Nie? Jazeph?) Proszę podejść bliżej, pani Jazeph, i pozwolić, że przeproszę za obcesowe słowa. Nie potrafię wyrazić, jak jestem zobowiązana, że była pani uprzejma tu przyjść i że pani chlebodawczyni była tak dobra, iż rezygnowała z pani na moją rzecz. Mam nadzieję, że nie sprawię pani dużo kłopotu, i jestem pewna, że dzieckiem łatwo będzie się zająć. To istny anioł, a śpi jak suseł. Ojej! Teraz, gdy się pani przyglądam, widzę, że pani sama jest delikatnego zdrowia. Doktorze, gdyby pani Jazeph się na mnie nie obraziła, byłabym niemal skłonna stwierdzić, że sama wygląda na osobę wymagającą pielęgnacji.

Pani Jazeph pochyliła się nad kwiatami złotokapu rozrzuconymi na łóżku i zaczęła pośpiesznie i beładnie je zbierać.

– Myślałem tak samo, pani Frankland – powiedział pan Orridge. – Ale zapewniono mnie, że wygląd pani Jazeph daje o niej mylne wyobrażenie i że jej zdolności jako opiekunki dorównują zapałowi.

– Czy ma pani zamiar zebrać cały ten złotokap w bukiet? – zapytała pani Frankland, dostrzegając, czym zajmuje się nowa pielęgniarzka. – Jak to rozsądnie z pani strony! I jak wspaniały będzie efekt! Obawiam się, że pokój wyda się pani w wielkim nieładzie. Zadzwońię po pokojówkę, żeby doprowadziła go do porządku.

– Jeśli pozwoli mi go pani uporządkować, będę szczęśliwa móc zacząć od przysłużenia się pani w ten sposób – rzekła pani Jazeph.

Składając propozycję, podniosła wzrok i jej oczy spotkały się z oczami pani Frankland. Rosamond natychmiast cofnęła się na poduszce i lekko się zarumieniła.

– Jak pani dziwnie na mnie patrzy! – rzekła.

Na te słowa pani Jazeph drgnęła, jak gdyby coś ją poraziło, i nagle odsunęła się pod okno.

– Nie uraziłam pani, mam nadzieję? – powiedziała Rosamond, zauważając jej ruch. – Mam przykry zwyczaj mówienia wszystkiego, co ciśnie mi się na usta. Ale naprawdę wydało mi się, że przed chwilą dostrzegła pani we mnie coś, co ją przestraszyło albo zasmuciło. Proszę uporządkować pokój, jeśli jest pani tak dobra, żeby zadać sobie ten trud. I proszę nie zwracać uwagi na to, co mówię. Wkrótce przywyknie pani do moich zwyczajów i będzie nam tak dobrze i miło...

Gdy tylko pani Frankland wypowiedziała słowa „dobrze i miło”, nowa pielęgniarzka odeszła od okna i powróciła do części pokoju, w której była skryta – pomiędzy kominkiem a zaciągniętymi zasłonami w nogach łóżka. Rosamond obejrzała się na doktora, aby dać wyraz swojemu zdziwieniu, ale ten w tej samej chwili odwrócił się, aby zająć stanowisko, które pozwoliłoby mu obserwować, co pani Jazeph robi po drugiej stronie zasłon.

Gdy na nią spojrział, obie dłonie miała wzniesione do twarzy. Zanim zdążył orzec, czy zastał ją w momencie zakrywania nimi oczu, zmieniły położenie i zajęły się ściąganiem czepka. Złożywszy tę część garderoby wraz z szalem i rękawiczkami na krześle w kącie pokoju, podeszła do toaletki i zaczęła ustawiać różne porozrzucane tam przedmioty użytkowe i dekoracyjne. Porządkowała je z niebywałą zręcznością i schludnością, zdradzając dobry gust w rozmieszczaniu i zdolność odróżniania rzeczy, które zapewne będą potrzebne, od tych, które nie będą, co zrobiło bardzo korzystne wrażenie na panu Orridge'u. Zauważył zwłaszcza staranność, z jaką obeszła się z lekarstwami, czytając etykiety na każdej buteleczce i ustawiając leki mogące się przydać w nocy po jednej stronie blatu, a te, które mogą przydać się w dzień, po drugiej. Kiedy odeszła od toaletki i zajęła się ustawianiem sprzętów oraz składaniem rozrzuconych części garderoby na jedno miejsce, zdawało się, że żaden ruch jej szczupłych, zniszczonych dłoni nie jest wykonywany przypadkowo lub na próżno. Poruszała się po pokoju bezszelestnie, dyskretnie i uważnie, a gdziekolwiek się udała, w ślad za nią wkraczały schludność i porządek. Gdy pan Orridge powrócił na swoje miejsce przy łóżku pani Frankland, co do jednego był spokojny – było jasne, że nowa pielęgniarka nie popełni błędu.

– Jaka to dziwna kobieta – wyszeptała Rosamond.

– Dziwna, w istocie – odparł pan Orridge – i rozpaczliwie podupadła na zdrowiu, chociaż może się do tego nie przyznawać. Jednak jest cudownie zręczna i staranna i nic nie zaszkodzi wypróbować ją na jedną noc, to znaczy o ile pani nie widzi przeszkód.

– Wręcz przeciwnie – rzekła Rosamond – ona mnie dość ciekawi. W jej twarzy i zachowaniu jest coś, co sprawia, że chciałabym się o niej dowiedzieć więcej. Muszę nakłonić ją do mówienia i sprawdzić, czy uda mi się wyciągnąć na światło dzienne jej wszystkie dziwactwa. Proszę, niech pan się nie martwi, że będę się podniecać; nie zatrzymuję pana w tym nudnym pokoju ze względu na mnie. O wiele bardziej wolę, aby zszedł pan na dół i dotrzymał towarzystwa mojemu mężowi przy winie. Proszę, niech pan do niego idzie i porozmawia z nim, zabawi go trochę. Strasznie musi się nudzić, biedaczek, gdy ja jestem tutaj, a przy tym on pana lubi, panie Orridge, i to bardzo. Proszę poczekać jeszcze chwilę i spojrzeć na dziecko. Nie śpi niebezpiecznie dużo, prawda? I jeszcze słówko, panie Orridge: kiedy wypije pan wino, obiecuje pan, że użyczy mojemu mężowi swoich oczu i przyprowadzi go na górę, aby życzył mi dobrej nocy?

Zgodziwszy się chętnie spełnić prośbę pani Frankland, pan Orridge odszedł od łóżka.

Otworzył drzwi pokoju i przystanął, aby powiedzieć pani Jazeph, że gdyby go potrzebowała, będzie na dole, i że przekaże jej wszelkie potrzebne wskazówki później, nim na noc opuści gospodę. Gdy przechodził obok nowej pielęgniarki, ta klęczała nad jednym z otwartych kufrów pani Frankland, porządkując jakies

ubrania, które zostały dość niedbale złożone. Zaraz przed tym, jak do niej przemówił, zauważył w jej ręku szmizetkę*, której falbanka przepleciona była wstążką.

Wydało mu się, że miała właśnie wyciągnąć jeden koniec tej wstążki, gdy powstrzymał ją odgłos jego kroków. W chwili, gdy zdała sobie sprawę, że doktor nadchodzi, wrzuciła raptownie szmizetkę do kufra i zakryła ją chusteczkami. Choć zachowanie to dość zdziwiło doktora, wstrzymał się od okazania, że je zauważył. Chlebodawczyni pani Jazeph ręczyła za jej reputację, a kawałek wstążki był sam w sobie bezwartościowy. Z obu tych względów niepodobnym było podejrzewać ją o próbę skradzenia go, a jednak wychodząc z pokoju, pan Orridge nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zachowanie kobiety w momencie, gdy zaskoczył ją nad kufrem, było wypisz wymaluj zachowaniem kogoś, kto ma za chwilę dokonać kradzieży.

– Proszę nie fatygować się porządkowaniem mojego bagażu – powiedziała Rosamond, gdy tylko doktor zniknął, zauważywszy, czym zajmuje się pani Jazeph. – To robota mojej leniwej pokojówki i jeśli będzie ją pani w tym wyręczać, stanie się jeszcze bardziej niedbała. Jestem pewna, że pokój jest doprowadzony do idealnego porządku. Niech pani podejdzie, usiądzie i odpocznie. Musi być z pani bardzo bezinteresowna, uczynna kobieta, jeśli zadaje sobie pani tyle trudu dla nieznajomej. Doktor napisał mi dziś, że pani chlebodawczyni była znajomą mojego kochanego, biednego ojca. Chyba musiała go znać, zanim się urodziłam. W każdym razie jestem jej podwójnie wdzięczna za to, że zainteresowała się mną przez wzgląd na mego ojca. Ale pani nie może żywić podobnych uczuć. Musiała pani przyjść tu jedynie z dobrego serca i chęci pomocy innym. Proszę nie podchodzić do okna. Niech pani siądzie przy mnie.

Pani Jazeph podniosła się znad kufra i zbliżała się do łóżka, gdy nagle skręciła w kierunku kominka, właśnie w chwili, gdy pani Frank-land zaczęła mówić o swoim ojcu.

– Niech pani siądzie tutaj – powtórzyła Rosamond, niecierpliwiąc się brakiem odpowiedzi. – Co, u licha, robi pani w nogach łóżka?

Zanim padła odpowiedź, postać nowej pielęgniarki ponownie pojawiła się pomiędzy łóżkiem a gasnącym światłem wieczora wlewającym się przez okno.

– Wieczór zapada – rzekła pani Jazeph – a okno nie jest domknięte. Pomyślałam, że je zamknę i spuszczę roletę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Och, jeszcze nie teraz! Proszę z łaski swojej zamknąć okno, żeby dziecko się nie zaziębiło, ale nie spuszczać rolety. Proszę pozwolić mi spoglądać na świat, dopóki jeszcze go widać. Ten rozległy, płaski pas pastwisk zaczyna właśnie o tej szarej godzinie przypominać kornwalijskie wrzosowisko z moich dziecięcych wspomnień. Czy zna pani Kornwalię, pani Jazeph?

– Słyszałam...

Po tym jednym słowie opiekunka urwała. Była właśnie zajęta zamykaniem

okna i zdawała się mieć pewne trudności z przekręceniem zamka.

– Co pani słyszała? – zapytała Rosamond.

– Słyszałam, że Kornwalia to dzika, ponura kraina – powiedziała pani Jazeph, nadal zajęta zamykaniem okna i w efekcie wciąż odwrócona plecami do pani Frankland.

– Jeszcze nie dała pani rady zamknąć okna? – powiedziała Rosamond. – Moja pokojówka zawsze robi to z łatwością. Proszę zostawić to jej, zaraz po nią zadzwonię. Chcę, żeby wyszczotkowała mi włosy i odświeżyła twarz odrobiną wody z dodatkiem wody kolońskiej.

– Już je zamknęłam, proszę pani – rzekła pani Jazeph, nagle dając radę przekręcić zamek. – I jeśli pani pozwoli, z przyjemnością przygotuję panią na noc i oszczędzę pani fatygi wzywania pokojówki.

Pani Frankland przyjęła propozycję, myśląc jednocześnie, że nowa niania to najdziwniejsza kobieta, jaką dotąd spotkała. Gdy pani Jazeph przygotowywała wodę z wodą kolońską, nad krajobrazem na zewnątrz zapadał miękko zmierzch i pokój zaczynał pogrążyć się w mroku.

– Nie lepiej by było zapalić świecę? – podsunęła Rosamond.

– Nie sądzę, proszę pani – odrzekła dość pośpiesznie pani Jazeph. – Dobrze widzę bez niej.

Powiedziawszy to, zaczęła szczotkować włosy pani Frankland i jednocześnie zadała pytanie odnoszące się do kilku słów na temat Kornwalii, jakie padły między nimi. Zadowolona z tego, że nowa opiekunka nareszcie oswoiła się z nią na tyle, aby odezwać się jako pierwsza, Rosamond nie chciała nic więcej, jak opowiadać o rodzinnych stronach. Jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny dotyk pani Jazeph, jakkolwiek czuły i delikatny, działał na nią tak niepokojąco, że chwilowo nie była w stanie zebrać myśli na tyle, aby udzielić odpowiedzi innej niż najbardziej zdawkowa. Zręczne dłonie pielęgniarki dłużej niż było to konieczne zatrzymywały się z ukradkową delikatnością wśród jej pukli, a blada, zmizerowana twarz nowej niani raz po raz zbliżała się do jej własnej bardziej, niż wydawało się to potrzebne. Niejasne uczucie niepokoju, którego nie potrafiła dokładnie zlokalizować, o którym nie mogła nawet powiedzieć, że je w ogóle odczuwa w sensie fizycznym, zdawało się unosić wokół niej, wisieć nad nią i obok niej niczym powietrze, którym oddychała. Chciała się poruszyć na łóżku, ale nie mogła; nie mogła przechylić głowy, aby poddać się ruchom szczotki; nie mogła się obejrzeć, nie mogła przerwać krępującej ciszy, którą spowodowała jej własna krótka, zniechęcająca odpowiedź. Wreszcie poczucie opresji – czy to urojonej, czy rzeczywistej – tak ją pobudziło, że wyrwała szczotkę z ręki pani Jazeph. W chwili, gdy to zrobiła, poczuła wstyd z powodu niegrzecznej nagłości gestu oraz zmieszanie wobec przestachu i zdziwienia widocznych na twarzy opiekunki. Dojmująco czując absurdalność własnego zachowania, a jednak nie mając siły

zapanować nad sobą, wybuchnęła śmiechem i cisnęła szczotkę w nogi łóżka.

– Proszę nie robić zdziwionej miny, pani Jazeph – powiedziała, nadal śmiejąc się nie wiadomo dlaczego i nie czując się w najmniejszym stopniu rozbawioną. – Jestem bardzo niegrzeczna i dziwna, wiem. Szczotkowała mi pani włosy cudownie, ale, nie potrafię wyjaśnić dlaczego, cały czas zdawało mi się, że wczesuje mi pani do głowy najdziwniejsze pomysły. Wie pani, raz czy dwa, kiedy zbliżyła pani swoją twarz do mojej, wydawało mi się, że chce mnie pani pocałować! Słyszała pani kiedyś coś równie niedorzecznego? Słowo daję, w niektórych kwestiach jestem większym dzieckiem niż ten kochany szkrab, który leży obok mnie!

Pani Jazeph nie odpowiedziała. Odeszła od łóżka, gdy Rosamond mówiła, i po chwili przedłużającej się zwłoki wróciła z mieszaniną wody i wody kolońskiej. Trzymając miednicę, podczas gdy pani Frankland przemywała twarz, stała w odległości wyciągniętego ramienia i nie zbliżyła się, gdy nadszedł czas podać ręcznik. Rosamond zaczęła się obawiać, że poważnie uraziła panią Jazeph, i próbowała ją uspokoić oraz zjednać, zadając pytania o pielęgnację dziecka. Gdy nowa niania odpowiadała prosto i cicho, w jej słodkim głosie dało się słyszeć lekkie drżenie, ale ani śladu nadąsania czy złości. Cały czas kierując temat rozmowy na dziecko, pani Frankland udało się stopniowo zwabić opiekunkę w pobliże łóżka, skłonić ją, by nachyliła się z podziwem nad maleństwem, i w końcu ośmielić ją, aby czule pocałowała je w policzek. Złożyła tylko jeden pocałunek. Potem odwróciła się od łóżka i ciężko westchnęła.

Odgłos tego westchnienia zasiał smutek w sercu Rosamond. Do tej pory krótkie życie jej dziecka zawsze łączyło się z uśmiechniętymi twarzami i miłymi słowami. Myśl, że ktoś mógłby je pieścić, a potem wzdychać, wprowadziła ją w zakłopotanie.

– Jestem pewna, że musi pani lubić dzieci – rzekła, wahając się lekko z powodu wrodzonej delikatności. – Ale proszę wybaczyć, wydało mi się, że ta sympatia skażona jest jakimś smutkiem? Proszę... proszę, niech pani nie odpowiada, jeśli to bolesne... jeśli oplakuje pani jakąś stratę, ale... ale chciałabym spytać, czy miała pani kiedyś własne dziecko?

Gdy wybrzmiało to pytanie, pani Jazeph stała obok krzesła. Mocno uchwyciła się oparcia i ścisnęła je z taką siłą, czy też oparła się na nim z takim naciskiem, że aż zatrzeszczało. Głowa opadła jej nisko na piersi. Nie wyrzekła ani nawet nie próbowała wyrzec ani jednego słowa.

Bojąc się, że musiała stracić własne dziecko, i nie chcąc niepotrzebnie sprawiać opiekunce bólu zadawaniem kolejnych pytań, Rosamond nie powiedziała nic, tylko pochyliła się nad maluszkiem, aby sama z kolei go pocałować. Jej wargi spoczęły na policzku nieco powyżej miejsca, w którym przed chwilą spoczęły wargi pani Jazeph, i dotknęły wilgotnej plamki na gładkiej, ciepłej skórze. Bojąc

się, że odrobina wody, którą przemywała twarz, mogła na niego spaść, Rosamond delikatnie przesunęła palcami po główce, szyi i klatce piersiowej syna i nigdzie nie znalazła innych wilgotnych plamek. Jediną kroplą, która na niego spadła, była kropla, która zwilżyła policzek pocałowany przez nową pielęgniarkę.

Za oknem zapadał zmierzch, pokój pogrążał się w mroku, a jednak pani Jazeph, choć siedziała teraz blisko stołu, na którym znajdowały się świece i zapalniczki, nie ruszała się, aby zapalić światło. Rosamond czuła się nieswojo na myśl o leżeniu w ciemności, gdy nie była wcale senna, nie mając w pokoju nikogo prócz osoby, która była jej niemal całkowicie obca, postanowiła więc, że każde niezwłocznie zapalić świece.

– Pani Jazeph – rzekła, patrząc w kierunku gęstniejącej ciemności za oknem – będę bardzo zobowiązana, jeśli zapali pani świece i spuści roletę. Nie mogę już znaleźć podobieństw z kornwalijskim krajobrazem, widok zniknął całkowicie.

– Bardzo lubi pani Kornwalię? – zapytała pani Jazeph, podnosząc się dość opieszale, aby wykonać polecenie.

– Rzeczywiście, lubię – rzekła Rosamond. – Tam się urodziłam. Byliśmy z mężem w drodze do Kornwalii, gdy z mojego powodu zostaliśmy zmuszeni zatrzymać się tutaj. Coś długo zabiera pani zapalenie świec. Nie może pani znaleźć zapalek?

Zadziwiająco niezdarnie jak na osobę, która wykazała się taką zręcznością, porządkując pokój, pani Jazeph złamała pierwszą zapalniczkę, a drugiej pozwoliła zgasnąć, gdy tylko wznieciła płomień. Za trzecim razem jej się udało, ale zapaliła tylko jedną świecę i tę przeniosła ze stołu, który widziała pani Frankland, na toaletkę skrytą za zasłonami w nogach łóżka.

– Dlaczego przenosi pani świecę? – spytała Rosamond.

– Pomyślałam, że będzie lepiej dla pani oczu, jeśli światło nie znajdzie się zbyt blisko nich – odparła pani Jazeph, a zaraz potem dodała, jak gdyby nie chcąc dać pani Frankland czasu na zgłoszenie sprzeciwu. – A więc jechała pani do Kornwalii, kiedy zatrzymała się tutaj? Pewnie chciała pani trochę po niej popodróżować?

Po tych słowach wzięła drugą świecę i zniknęła z oczu, zanosząc ją na toaletkę.

Rosamond pomyślała, że mimo swej łagodnej fizjonomii i takiegoż sposobu bycia opiekunka jest niezwykle upartą kobietą. Młoda kobieta była jednak zbyt dobroduszną, aby egzekwować swoje prawo do umieszczenia świec, gdzie by się jej podobało, i gdy odpowiadała na pytanie pani Jazeph, nadal mówiła do niej radośnie i poufale jak wcześniej.

– Och, nie, moja droga! Nie podróżować – rzekła – ale jechać prosto do starego dworu, w którym się urodziłam. Teraz należy on do mego męża, pani Jazeph. Nie byłam tam od czasu, gdy miałam pięć lat. Taki zniszczony, rozległy,

stary dom! Pani, która mówi o ponurości i dzikości Kornwalii, przeraziłaby się na myśl o mieszkaniu w Porthgenna Tower.

Przez cały czas, gdy Rosamond mówiła, dawał się słyszeć dyskretny szelest jedwabnej sukni pani Jazeph krzątającej się koło toaletki. Ustał, gdy tylko padły słowa „Porthgenna Tower”, i przez chwilę w pokoju panowała grobowa cisza.

– Pani, która całe życie, jak sędzę, mieszkała w ładnie wyremontowanych domach, nie wyobraża sobie, gdzie się udamy, gdy poczuję się na tyle dobrze, aby znów podróżować – ciągnęła Rosamond. – Co pani myśli, pani Jazeph, o domu, którego całe jedno skrzydło nie było zamieszkane przez ostatnie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat? To daje pani pewne wyobrażenie o rozmiarach Porthgenna Tower. Jest tam zachodnie skrzydło, w którym mamy zamieszkać po przyjeździe, i północne, gdzie znajdują się stare pokoje, które, mam nadzieję, będziemy w stanie wyremontować. Proszę tylko pomyśleć o tej masie dziwnych, staromodnych rzeczy, które można będzie znaleźć w niezamieszkałych pokojach! Mam zamiar założyć fartuch kuchenny i rękawice ogrodnicze i przetrząsnąć te pomieszczenia z góry na dół. Jakże się zdziwi gospodyni, gdy przyjadę do Porthgenna i poproszę ją o klucze do widmowych północnych pokoi!

Gdy skończyła mówić, dał się słyszeć stłumiony krzyk i dźwięk, jakby coś uderzyło w toaletkę. Poderwała się na łóżku i niecierpliwie spytała, co się stało.

– Nic – odparła pani Jazeph, mówiąc tak wymuszenie, że jej głos zniżył się do szeptu. – Nic, proszę pani... zapewniam, że nic. Przypadkiem uderzyłam bokiem o toaletkę. Proszę się nie martwić! To niewarte uwagi.

– Ale w głosie pani brzmi ból – rzekła Rosamond.

– Nie, nie... nic mnie nie boli. Nic mi się nie stało, naprawdę nic.

W chwili, gdy pani Jazeph twierdziła, że nic jej się nie stało, drzwi pokoju otwały się i wszedł doktor, prowadząc pana Franklanda.

– Przychodzimy wcześniej, pani Frankland, ale damy pani mnóstwo czasu na wyciszenie się przed snem – powiedział pan Orridge. Przerwał i zauważył, że Rosamond poczerwieniała. – Boję się, że trochę za dużo pani mówiła i podniecała się – ciągnął. – Jeśli wybaczy pan, że osmielę się coś zasugerować, panie Frankland, myślę, że im szybciej powiecie sobie państwo dobranoc, tym lepiej. Gdzie jest opiekunka?

Pani Jazeph siedziała zwrócona plecami do płonącej świecy, gdy usłyszała, że o nią pytają. Przedtem patrzyła na pana Franklanda z żywą, nieskrywaną ciekawością, która, gdyby ktoś ją zauważył, musiałaby wydać się dziwnie nielicująca z jej zwykłą dyskrecją i wytwornością manier.

– Obawiam się, że opiekunka przypadkiem stłukła sobie bok mocniej, niż jest skłonna przyznać – powiedziała Rosamond do doktora, wyciągając jedną rękę w stronę miejsca, gdzie siedziała pani Jazeph, a drugą ku szyi męża, który nachylił się nad jej poduszką.

Zapytawszy, co się stało, pan Orridge nie potrafił skłonić nowej niani, by przyznała, że wypadek miał jakiegokolwiek znaczenie. Podejrzał jednak, że cierpi, a przynajmniej, że zdarzyło się coś, co wyprowadziło ją z równowagi, ponieważ miała ogromne trudności ze skupieniem uwagi, gdy podawał jej kilka niezbędnych wskazówek na wypadek, gdyby jej pomoc była potrzebna w nocy. Przez cały czas, gdy mówił, jej wzrok kierował się w tę część pokoju, gdzie rozmawiali ze sobą państwo Franklandowie. Pani Jazeph wyglądała na ostatnią w świecie osobę, która byłaby winna bezczelnej ciekawości, a jednak gdy pan Frankland stał obok łóżka żony, otwarcie zdradzała wszystkie cechy wścibskiej kobiety. Doktor był zmuszony przybrać swój najbardziej stanowczy ton, aby w ogóle zwrócić jej uwagę.

– A teraz, pani Frankland – odezwał się pan Orridge, odwracając się od pielęgniarki – skoro udzieliłem już pani Jazeph wszystkich potrzebnych wskazówek, dam przykład, mówiąc dobranoc i zostawiając panią w spokoju.

Rozumiejąc zawartą w tych słowach aluzję, pan Frankland również próbował się pożegnać, ale jego żona schwyciła go mocno za obie ręce i oświadczyła, że nierozsądnym jest oczekiwać, iż pozwoli mu odejść przynajmniej przez następne pół godziny. Pan Orridge potrząsnął głową i zaczął rozwodzić się nad przekleństwem nadmiernej ekscytacji oraz dobrodziejstwem spokoju i snu. Na niewiele zdałyby się jednak jego protesty, nawet gdyby Rosamond pozwoliła mu je kontynuować, gdyby nie interwencja dziecka, które właśnie wtedy obudziło się i okazało się potężnym sprzymierzeńcem doktora, z miejsca skupiając całą uwagę matki. Korzystając z okazji, pan Orridge po cichu wyprowadził pana Franklanda z pokoju w chwili, gdy Rosamond brała dziecko w ramiona. Nim zamknął drzwi, zatrzymał się, aby szepnąć ostatnie słówko pani Jazeph.

– Jeśli pani Frankland będzie chciała rozmawiać, nie może jej pani zachęcać – rzekł. – Gdy tylko uciszy dziecko, powinna pójść spać. W rogu stoi rozkładany fotel, którego może pani użyć, jeśli będzie się pani chciała położyć. Proszę trzymać świecę tu, gdzie jest, za zasłoną. Im mniej światła będzie widzieć pani Frankland, tym szybciej nastroi się do snu.

Pani Jazeph nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na doktora i skłoniła się. Ten dziwny przestach w jej oczach, który pan Orridge zauważył przy pierwszym spotkaniu, był bardziej niż kiedykolwiek widoczny, kiedy zostawiał ją samą na noc z matką i dzieckiem. „Ona nigdy się nie nada” – pomyślał, sprowadzając pana Franklanda po schodach. „Będziemy jednak musieli posłać do Londynu po pielęgniarkę”.

Nieco rozdrażniona z powodu pośpiechu, z jakim zabrano od niej męża, Rosamond opryskliwie odrzuciła propozycję pomocy złożoną przez panią Jazeph, gdy tylko zniknął doktor. Opiekunka nie odezwała się ani słowem, gdy odrzucano jej usługi, a jednak, sądząc po zachowaniu, zdawała się chcieć przemówić. Dwa

razy podeszła do łóżka, otworzyła usta, zatrzymała się i z powrotem wycofała, zmieszana, nim wreszcie usadowiła się na swoim dawnym miejscu przy toalecie. Milcząca i niewidoczna, pozostała tu do czasu, aż dziecko się uspokoiło i zasnęło w ramionach matki z jedną różową, na wpół zamkniętą piąstką złożoną na jej piersi. Rosamond nie mogła oprzeć się pokusie podniesienia piąstki do ust, choć robiąc to, ryzykowała, że znów obudzi dziecko. Po odgłosie pocałunku nastąpił cichy, stłumiony szloch dochodzący z drugiej strony zasłony w nogach łóżka.

– Co to? – zawołała.

– Nic, proszę pani – powiedziała pani Jazeph tym samym wymuszonym, ściszonej tonem, którym odpowiedziała na poprzednie pytanie pani Frankland. – Chyba właśnie zasypiałam w fotelu i może powinnam była pani powiedzieć, że jako osoba, która swoje przeszła i choruje na serce, mam zwyczaj wzdychania we śnie. To nic nie znaczy, proszę pani, i mam nadzieję, że będzie pani tak dobra, iż to wybaczy.

W Rosamond z miejsca obudziło się współczucie.

– Wybaczy! – rzekła. – Myślę, że mogę zrobić coś więcej, pani Jazeph, i przyczynić się do ulżenia pani. Gdy jutro przyjdzie pan Orridge, poradzi się go pani, a ja zadbam o to, żeby nie zabrakło pani niczego, co może zalecić. Nie! Nie! Proszę nie dziękować, zanim nie przyczynię się do poprawy pani zdrowia, i proszę zostać tam, gdzie pani jest, jeśli tylko fotel okazał się wygodny. Dziecko znowu zasnęło i chciałabym mieć pół godzinki spokoju, zanim przebiorę się na noc. Proszę na razie zostać tam, gdzie pani siedzi: zawołam panią, gdy tylko będzie pani potrzebna.

Te wypowiedziane w dobrej wierze słowa nie tylko nie uspokoiły pani Jazeph, ale wywołały efekt wręcz odwrotny: sprawiły, że stała się niespokojna. Zerwała się na równe nogi, próbując nieskładnie wytłumaczyć zmianę zachowania stwierdzeniem, że musiała upewnić się, czy wszystko jest gotowe na noc. Po kilku minutach wbrew zakazowi doktora zaczęła wciągać panią Frankland do rozmowy pytaniami o Porthgenna Tower oraz nawiązaniami do tego, na ile pewne jest wybranie tego miejsca przez młodych małżonków na stałą siedzibę.

– Być może, proszę pani – odezwała się nagle z gorliwością w głosie, która dziwnie nie licowała z pozorną obojętnością jej zachowania – być może, kiedy zobaczy pani Porthgenna Tower, dom ten nie spodoba się pani tak bardzo, jak teraz pani myśli. Kto wie, czy nie znuży się pani i nie wyjedzie z powrotem po kilku dniach, zwłaszcza jeśli wejdzie do pustych pokoi? Myślałam – wybaczy pani, że to powiem – ale myślałam, że taka dama jak pani chciałaby się trzymać jak najdalej od brudu, kurzu i nieprzyjemnych zapachów.

– Tam, gdzie w grę wchodzi moja ciekawość, mogę znosić większe niedogodności – powiedziała Rosamond. – A niezamieszkałych pokoi w Porthgenna Tower jestem ciekawa bardziej niż siedmiu cudów świata. Nawet

jeśli nie osiadziemy na stałe w starym dworze, jestem pewna, że zatrzymamy się w nim przez jakiś czas.

Usłyszawszy tę odpowiedź, pani Jazeph gwałtownie się odwróciła i nie zadawała już więcej pytań. Wycofała się w róg pokoju w pobliżu drzwi, gdzie stał wskazany przez doktora rozkładany fotel, przez kilka minut zajmowała się przygotowaniem go na noc, po czym porzuciła go równie nagle, jak się do niego zbliżyła, i ponownie zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. Ten niewytłumaczalny niepokój, który już raz zdziwił Rosamond, teraz sprawił, że poczuła się nieswojo, zwłaszcza gdy raz czy drugi usłyszała, że pani Jazeph mówi do siebie. Wnosząc ze słów i urywków zdań, które docierały do niej raz po raz, myśli opiekunki z zupełnie niewytłumaczalnym uporem nadal krążyły wokół tematu Porthgenna Tower. Gdy mijały kolejne minuty, a ona ciągle chodziła tam i z powrotem i nie przestawała mówić, zaniepokojenie Rosamond zaczęło przeradzać się w przestrah. Postanowiła w możliwie najmniej napastliwy sposób uzmysłowić pani Jazeph dziwaczność jej zachowania, uświadamiając jej, że mówi, zdając się nie rozumieć, że mówi do siebie.

– Co pani powiedziała? – zapytała Rosamond w chwili, gdy głos pielęgniarki najwyraźniej zdradził jej myślenie na głos.

Pani Jazeph przystanęła i uniosła głowę z tępym wyrazem twarzy, jak gdyby obudzona z głębokiego snu.

– Zdawało mi się, że mówiła pani coś jeszcze o naszym starym dworze – ciągnęła Rosamond. – Zdawało mi się, że mówiła pani, iż nie powinnam jechać do Porthgenna, czy też że pani nie pojechałaby tam na moim miejscu, czy coś podobnego.

Pani Jazeph zarumieniła się jak panienka.

– Chyba musiało się pani coś pomylić – rzekła i ponownie pochyliła się nad rozkładanym fotelem.

Obserwując ją trwożnie, Rosamond zauważyła, że choć pielęgniarka stwarzała pozory rozkładania fotela, nie robiła zupełnie nic, aby przygotować go do nocnego spoczynku. Co to miało znaczyć? Co miało znaczyć całe jej zachowanie przez ostatnie pół godziny? Gdy pani Frankland zadała sobie te pytania, potworne podejrzenie przeszło jej całe ciało zimnym dreszczem. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy, ale teraz nagle z siłą głębokiego przeświadczenia uderzyła ją myśl, że nowa pielęgniarka nie jest przy zdrowych zmysłach.

Wszystko, co było w jej zachowaniu niewytłumaczalne – dziwne znikanie za zasłoną w nogach łóżka, jej przedłużające się, ukradkowe, nadmiernie poufale ruchy przy szczytkowaniu włosów, milczenie, to znowu gadatliwość, niepokój, szeptanie do siebie, stwarzanie pozorów, że jest pilnie zajęta robieniem czegoś, czego tak naprawdę wcale nie robiła – każde z jej dziwnych zachowań (w inny sposób niepojętych) stawało się w jednej chwili zrozumiałe przy strasznym

założeniu, że kobieta jest szalona.

Rosamond, jakkolwiek przerażona, zachowała przytomność umysłu. Jednym ramieniem odruchowo otoczyła dziecko. Drugie uniosła w pół drogi do sznura dzwonka zwieszającego się nad wezglowiem, gdy spostrzegła, że pani Jazeph odwróciła się i na nią patrzy.

Ktoś obdarzony przeciętną odwagą w tym momencie zapewne pociągnąłby za sznur w bezmyślnym odruchu czystej desperacji. Rosamond miała na tyle zimnej krwi, aby rozważyć konsekwencje i przypomnieć sobie, że jeśli zdradzi się ze swoimi podejrzeniami, dzwoniąc dzwonkiem, nie wymyśliwszy wpieryw ku temu jakiegoś wiarygodnego powodu, pani Jazeph zdąży zamknąć drzwi na klucz, nim nadejdzie pomoc. Wolno przymknęła powieki, częściowo, aby sprawić wrażenie, że sposobi się do snu, częściowo, aby zdobyć czas na wymyślenie jakiegoś pretekstu do wezwania pokojówki. Jednak wzburzenie umysłowe przeszkadzało jej w wykazaniu się pomysłowością. Minuty ciągnęły się wolno jedna za drugą, a ona wciąż nie potrafiła wymyślić przekonującego powodu pociągnięcia za dzwonek.

Zastanawiała się właśnie, czy nie byłoby najbezpieczniej odesłać panią Jazeph z pokoju z jakąś wiadomością do męża, zamknąć drzwi na klucz, gdy tylko zostanie sama, a potem zadzwonić – rozważała, czy ma dość odwagi, by podjąć takie działanie, gdy usłyszała szelest jedwabnej sukni pielęgniarki zbliżającej się do łóżka.

W pierwszym odruchu chciała chwycić za sznur, ale strach sparaliżował jej rękę i nie mogła unieść jej z poduszki.

Szelest jedwabiu ustał. Spod uchylonych powiek zobaczyła, że pielęgniarka zatrzymuje się w pół drogi do łóżka. W jej wyglądzie nie było nic dzikiego ani gniewnego. Stała, składając i rozkładając dłonie – obraz zakłopotania i rozpacz – stała tak przez blisko minutę, potem podeszła kilka kroków i wyszeptala pytajaco:

– Nie śpi? Wciąż jeszcze nie śpi?

Rosamond chciała coś powiedzieć, ale przyspieszone bicie jej serca zdawało się podchodzić do warg i tłumić na nich słowa.

Opiekunka, nadal z tym samym zmieszaniem i rozpaczą w wyrazie twarzy, zbliżyła się na odległość stopy od łóżka, uklękła przy wezglowiu, spojrzała poważnie na Rosamond, zadrżała lekko i rozejrzała się wokół, jak gdyby upewniając się, że pokój jest pusty, nachyliła się, zawahała, nachyliła się bliżej i wyszeptala jej do ucha następujące słowa:

– Gdy przyjedzie pani do Porthgenna, niech się pani trzyma z daleka od Pokoju Mirtowego!

Gorący oddech kobiety owionął policzek Rosamond i zdawał się przeszywać każdą żyłę w jej ciele gorączkowym pulsowaniem. Wstrząs spowodowany tym niewysłowionym doznaniem rozerwał więzy przerażenia, które dotąd krępowały ruchy i mowę młodej kobiety. Poderwała się z krzykiem na łóżku, chwyciła sznur

od dzwonka i gwałtownie go pociągnęła.

– Och, cicho, cicho! – zawołała pani Jazeph, opadając z powrotem na kolana i uderzając z rozpaczą w dłonie gestem bezradnego dziecka.

Rosamond dzwoniła raz po raz. Na schodach dały się słyszeć szybkie kroki i podniesione głosy. Nie było jeszcze dziesiątej – nikt nie poszedł spać, a gwałtowne dzwonienie zdążyło postawić na nogi cały dom.

Opiekunka podniosła się, chwiejnym krokiem odeszła od łóżka i wsparła się o ścianę, gdy kroki i głosy dotarły pod drzwi. Nie wyrzekła już ani słowa. Dłonie, którymi tak gwałtownie uderzała zaledwie chwilę wcześniej, zwiślały bezwładnie wzdłuż ciała. Jej twarz jakby stężała, nie malowało się na niej żadne uczucie.

Pierwszą osobą, która weszła do pokoju, była pokojówka pani Frankland, a za nią gospodyni.

– Przyrowadź pana Franklanda – rzekła słabo Rosamond, zwracając się do gospodyni. – Chcę z nim natychmiast mówić. – Ty – ciągnęła, gestem dłoni przyzywając pokojówkę – siedź tu ze mną, dopóki nie przyjdzie twój pan. Śmiertelnie mnie przestraszono. Nie zadawaj pytań, tylko zostań tutaj.

Pokojówka w osłupieniu patrzyła na swą panią. Potem obejrzała się na pielęgniarkę, pogardliwie marszcząc brwi. Zanim gospodyni wyszła z pokoju po pana Franklanda, pani Jazeph odsunęła się nieco od ściany, aby mieć widok na całe łóżko. Jej wzrok utkwiony był w twarzy Rosamond z wyrazem niewysłowionego napięcia, wszechogarniającej trwogi. Reszta ciała wydawała się wyzuta ze wszelkiej ekspresji. Kobieta nic nie mówiła, niczego nie zauważała. Nie drgnęła, nie odsunęła się ani o cal, gdy gospodyni wróciła, przyprawiając pana Franklanda.

– Lenny! Nie pozwól, żeby nowa opiekunka została tu na noc, proszę, proszę, nie pozwól! – wyszeptała Rosamond, rozpaczliwie łapiąc męża za ramię.

Zaalarmowany drżeniem jej dłoni, pan Frankland delikatnie położył palce na jej skroniach i sercu.

– Wielkie nieba, Rosamond! Co się stało? Zostawiłem cię cichą i spokojną, a teraz...

– Zostałam przestraszona, kochany... śmiertelnie przestraszona przez tę kobietę. Nie bądź dla niej zły, biedaczka nie jest przy zdrowych zmysłach... jestem pewna, że nie jest. Tylko spokojnie się jej pozbadź... odeślij ją zaraz tam, skąd przybyła. Umrę ze strachu, jeśli tu zostanie. Tak dziwnie się zachowywała... mówiła mi takie dziwne rzeczy... Lenny! Lenny! Nie puszczaj mojej dłoni. Zakradała się do mnie, była właśnie w tym miejscu, gdzie ty teraz jesteś, uklękła mi przy uchu i wyszeptała... och, takie słowa!

– Cicho, cicho, kochana! – powiedział pan Frankland, coraz bardziej zaniepokojony gwałtownością wzburzenia Rosamond. – Nie musisz mi teraz powtarzać tych słów, poczekaj, aż ochłoniesz... Błagam i proszę, poczekaj, aż

ochłoniesz. Zrobię wszystko, co zechcesz, jeśli tylko położysz się, będziesz cicho i spróbujesz uspokoić się, zanim wypowiesz następne słowo. Zupełnie wystarczy mi wiedzieć, że ta kobieta cię przestraszyła i że chcesz, aby ją odesłać, obchodząc się z nią jak najmniej surowo. Wszystkie dalsze wyjaśnienia odłożymy do rana. Teraz bardzo żałuję, że nie upierałem się przy wprowadzeniu w życie mojego pomysłu sprowadzenia z Londynu opiekunki z prawdziwego zdarzenia. Gdzie jest gospodyni?

W tej chwili gospodyni znalazła się koło pana Franklanda.

– Czy jest późno? – zapytał Leonard.

– Och, nie, sir. Nie ma jeszcze dziesiątej.

– Proszę z łaski swojej kazać podstawić pod drzwi bryczkę tak szybko, jak to możliwe. Gdzie jest opiekunka?

– Stoi za panem, sir, pod ścianą – rzekła pokojówka.

Gdy pan Frankland obracał się w tym kierunku, Rosamond szepnęła mu:

– Nie bądź dla niej surowy, Lenny.

Pokojówka, spoglądając na panią Jazeph z pogardliwą ciekawością, zobaczyła, jak na te słowa zmienia się wyraz jej twarzy. Oczy jej zasły łzami, które następnie zaczęły spływać po policzkach. Urok martwoty obejmującej jej twarz zniknął w mgnieniu oka. Ponownie wycofała się pod ścianę i oparła o nią jak przedtem.

Pokojówka usłyszała, jak kobieta powtarza do siebie ściszym, płaczliwym głosem:

– Nie bądź dla niej surowy! Nie bądź dla niej surowy! Och, Boże! Powiedziała to życzliwie... przynajmniej powiedziała to życzliwie!

– Nie zmiierzam mówić do pani ani traktować jej nieżyczliwie – powiedział pan Frankland, niedokładnie usławszy jej słowa. – Nic nie wiem o tym, co tu się stało, i nie wysuwam pochopnych oskarżeń. Widzę, że pani Frankland jest gwałtownie wzburzona i przestraszona, słyszę, że łączy ona to wzburzenie z panią, nie gniewnie, lecz współczująco, i zamiast używać ostrych słów, wołę pozostawić panią w poczuciu, że pani opieka w tym miejscu powinna się natychmiast zakończyć. Zapewniłem środek transportu, który panią stąd zabierze, i sugerowałbym, aby przeprosiła pani swoją chlebodawczynię w naszym imieniu i nie mówiła nic ponad to, iż zaistniały okoliczności, które zmusiły nas do rezygnacji z pani usług.

– Jest pan bardzo taktowny, sir – rzekła pani Jazeph cicho i z jakąś delikatną godnością w zachowaniu – i nie okażę się niegodna pańskiej wyrozumiałości, mówiąc to, co mogłabym powiedzieć w swojej obronie.

Wystąpiła na środek pokoju i zatrzymała się w miejscu, z którego mogła wyraźnie widzieć Rosamond. Dwukrotnie próbowała przemówić i dwukrotnie głos odmówił jej posłuszeństwa. Za trzecim razem zdołała nad sobą zapanować.

– Zanim wyjdę, proszę pani – powiedziała – mam nadzieję, że uwierzy pani, iż nie mam do niej żalu za odesłanie mnie. Nie gniewam się – proszę zawsze pamiętać, że się nie gniewałam i nigdy się nie skarżyłam.

W jej twarzy była taka żalność, a w brzmieniu jej głosu taka ujmująca, bolesna rezygnacja, gdy wypowiadała tych kilka słów, że Rosamond ścisnęło się serce.

– Dlaczego mnie pani przestraszyła? – zapytała, na poły łagodniejąc.

– Przestraszyć panią? Jak mogłabym panią przestraszyć? Na Boga! Jak ja, ze wszystkich ludzi na ziemi, mogłabym panią przestraszyć?

Wypowiedziawszy z żalem te słowa, pielęgniarka podeszła do krzesła, na którym leżały jej czepek i szal, i założyła je. Gospodyni i pokojówka, śledząc ją ciekawym wzrokiem, dostrzegły, że znów gorzko płacze, i w zdumieniu zauważyły, jak starannie w tym samym czasie się ubiera. Wynędzniałe dłonie poruszały się mechanicznie i drżały, a mimo to nieugięty instynkt stosowności nie przestawał kierować jej najbłahszymi czynnościami.

W drodze do wyjścia przystanęła raz jeszcze obok łóżka, spojrzała przez łyż na Rosamond i dziecko, przez chwilę zmagając się z sobą, a potem powiedziała na pożegnanie:

– Niech Bóg ma panią i dziecko w swojej opiece i zachowa was w szczęściu i pomyślności. Nie gniewam się, że się mnie odsyła. Jeśli kiedyś pani o mnie pomyśli, proszę pamiętać, że się nie gniewałam i że nigdy się nie skarżyłam.

Stała jeszcze przez chwilę, wciąż płacząc i patrząc przez łyż na matkę i dziecko, po czym odwróciła się i podeszła do drzwi. W ostatnich nutach jej głosu zabrzmiało coś, co sprawiło, że w pokoju zaległa cisza. Z czterech obecnych osób żadna nie mogła wydobyć słowa, gdy pielęgniarka delikatnie zamknęła drzwi i samotnie wyszła.

* Gors z kołnierzykiem.

Rozdział 5.

Narada

Następnego ranka po wyjeździe pani Jazeph wieść, że została ona odesłana przez pana Franklanda z hotelu Tiger's Head, dotarła do uszu doktora właśnie w chwili, gdy siadał do śniadania. Ponieważ pogłoskom o zwolnieniu pielęgniarki nie towarzyszyły żadne zadowalające wytłumaczenia ich przyczyny, pan Orridge nie chciał uwierzyć, iż opieka nad panią Frankland naprawdę ustała. Jednak choć odmówił dania wiary wieściom, tak go one zaintrygowały, że pośpiesznie zakończył śniadanie i wybrał się z poranną wizytą do Tiger's Head prawie dwie godziny wcześniej niż zwykle.

W drodze do gospody spotkał go i zatrzymał jedyny lokaj pracujący w gospodzie.

– Właśnie niosłem dla pana wiadomość od pana Franklanda, sir – powiedział. – Chce się z panem widzieć najszybciej, jak to możliwe.

– Czy to prawda, że pielęgniarka pani Frankland została wczoraj w nocy odesłana na rozkaz pana Franklanda? – spytał pan Orridge.

– Prawda, sir – odparł lokaj.

Doktor zmieszał się i poczerwieniał. Jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie mamy, zwłaszcza jeśli przypadkiem należymy do przedstawicieli profesji medycznej, jest nasza godność. Pan Orridge pomyślał, że powinno się było z nim skonsultować, zanim poleconą przez niego pielęgniarkę zwolniono ze stanowiska bez uprzedzenia. Czyżby pan Frankland nadużywał swojej pozycji człowieka majątnego? Sile pieniądza dużo może uchodzić bezkarnie, ale nie ma ona przywileju przeciwstawiania się czyjemuś dobremu mniemaniu o sobie samym. Jeszcze nigdy doktor nie myślał bardziej lekceważąco o pozycji i bogactwie, nigdy świadomie nie rozważał zasad republikańskich z tak wielką obiektywnością jak teraz, gdy nadąsany i milczący podązał za lokajem do pokoju pana Franklanda.

– Kto tam? – zapytał Leonard, gdy usłyszał, że drzwi się otwały.

– Pan Orridge, sir – odparł lokaj.

– Dzień dobry – powiedział pan Orridge z bezceremonialną i poufałą pewnością siebie.

Pan Frankland siedział w fotelu z nogą założoną na nogę. Pan Orridge starannie wybrał inny fotel i gdy tylko usiadł, założył nogi podobnie jak pan Frankland. Pan Frankland trzymał ręce w kieszeniach szlafroka. Pan Orridge nie miał kieszeni, z wyjątkiem tych w połach surduta, do których nie mógł wygodnie sięgnąć, ale włożył kciuki w pachy kamizelki i w ten sposób zademonstrował swoją stanowczość wobec swobodnego zuchwalstwa bogacza. Tak dziwnie zawężona jest percepcja człowieka, gdy upiera się przy własnej ważności, że nie robił mu różnicy fakt, iż pan Frankland był niewidomy i tym samym niezdolny docenić niezależność

jego postawy. Godność pana Orridge'a znajdowała potwierdzenie w jego własnych oczach i to wystarczyło.

– Cieszę się, że tak wcześniej pan przyszedł, doktorze – powiedział pan Frankland. – Ubiegłej nocy zdarzyło się tu coś bardzo nieprzyjemnego. Byłem zmuszony odesłać nową pielęgniarkę bez uprzedzenia.

– Doprawdy! – powiedział pan Orridge, asekuracyjnie przyjmując wyraz zupełnej obojętności i tym samym dorównując opanowaniu pana Franklanda. – Aha! Doprawdy?

– Gdyby był czas na to, by po pana posłać i się go poradzić, oczywiście zrobiłbym to z przyjemnością – ciągnął Leonard – ale nie można się było wahać. Wszystkich nas zaniepokoiło głośne dzwonięcie dzwonka mojej żony. Zaprowadzono mnie do jej pokoju, gdzie zastałem ją w stanie najgwałtowniejszego wzburzenia i trwogi. Powiedziała mi, że nowa pielęgniarka śmiertelnie ją przestraszyła, wyraziła swoje przekonanie, że kobieta ta nie jest przy zdrowych zmysłach, i błagała, abym zabrał nową opiekunkę z domu najszybciej, jak to możliwe, i obchodząc się z nią jak najmniej surowo. Co miałem zrobić w tej sytuacji? Może się wydawać, że nie okazałem panu względu, postępując wyłącznie na własną odpowiedzialność, ale pani Frankland była tak podniecona, że nie potrafię powiedzieć, czym mogłoby się skończyć sprzeciwianie się jej czy też ryzykowanie zwłoki, a kiedy problem został przewyciężony, nie chciała słyszeć o kłopotaniu pana wezwaniem do gospody. Jestem pewien, że przyjmie pan te wyjaśnienia, doktorze, w duchu, w jakim je przedstawiam.

Pan Orridge wyglądał na nieco zbitego z tropu. Solidna podbudowa niezależności kruszała i osuwała się pod nim. Nagle złapał się na rozmyślaniiu o wytwornych manierach zamożnych klas. Palce wyslizgnęły mu się machinalnie z pach kamizelki i nim zdołał dobrze obmyśleć, co ma powiedzieć, wybąkiwał wszystkie najwyszukańsze zawilości pochlebnej i grzecznej odpowiedzi.

– Będzie pan, rzecz jasna, chciał wiedzieć, co też takiego powiedziała lub zrobiła pielęgniarka, że tak przestraszyła moją żonę – ciągnął pan Frankland. – Nie potrafię powtórzyć nic dokładnie, ponieważ pani Frankland była wczoraj w nocy tak przerażona, że bałem się prosić o wyjaśnienia i celowo czekałem z pytaniami do czasu, aż pan przyjdzie i pójdzie ze mną na górę. Był pan uprzejmy zadać sobie tyle trudu, aby pozyskać opiekę tej nieszczęsnej kobiety, że teraz, gdy została odesłana, ma pan prawo usłyszeć wszystko, co można jej zarzucić. Biorąc pod uwagę okoliczności, pani Frankland nie jest dziś rano tak chora, jak obawiałem się, że będzie. Oczekuje spotkania z panem w moim towarzystwie i jeśli będzie pan tak dobry i poda mi ramię, pójdziemy do niej od razu.

Gdy doktor wszedł do pokoju pani Frankland, rzut oka wystarczył mu, aby stwierdzić, że jej stan pogorszył się pod wpływem wypadków poprzedniego wieczora. Zauważył, że uśmiech, którym powitała męża, był najbledszym

i najsmutniejszym z uśmiechów, jakie widział na jej twarzy. Wzrok miała przygaszony i zmęczony, skórę suchą, a tętno nierówne. Było jasne, że spędziła bezsenłą noc i że jej umysł nie zaznał spokoju. Zbyła pytania swojego opiekuna medycznego najkrótszymi możliwie odpowiedziami i z własnej inicjatywy natychmiast skierowała rozmowę na temat pani Jazeph.

– Domyślam się, że słyszał już pan, co się stało – rzekła, zwracając się do pana Orridge’a. – Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z tego powodu. Moje zachowanie musi wydawać się w pana oczach, podobnie jak w oczach tej biednej, nieszczęsnej opiekunki zachowaniem rozkapryszonej, nieczulej kobiety. Jestem gotowa płakać z żalu i złości na samą myśl o tym, jak byłam bezmyślna i jak mało odwagi wykazałam. Och, Lenny, okropnie jest ranić uczucia każdego człowieka, ale zranić tę nieszczęśliwą, bezradną kobietę, tak jak my ją zraniliśmy, sprawić, że tak gorzko płakała, sprowadzić na nią takie upokorzenie i niedolę...

– Moja droga Rosamond – przerwał pan Frankland – opłakujesz skutki, a zapominasz całkowicie o przyczynach. Przypomnij sobie, w stanie jakiego przerażenia cię zastałem. Musiał być jakiś jego powód. Przypomnij sobie również, jak silnie byłaś przekonana, że opiekunka postradała zmysły. Z pewnością nie zmieniłaś jeszcze zdania w tej sprawie?

– To właśnie, kochany, nie dawało mi spokoju przez całą noc. Nie potrafię zmienić mojej opinii. Jestem pewniejsza niż kiedykolwiek, że coś musiało być nie tak z umysłem tej biedaczki, a jednak gdy pomyślę, jak z dobrego serca przyszła mi pomoc i jak zdawała się chcieć być użyteczną, nie mogę nie wstydzić się moich podejrzeń. Ani przestać robić sobie wyrzutów za to, że stałam się przyczyną jej oddalenia wczorajszej nocy. Panie Orridge, czy zauważył pan coś w twarzy lub zachowaniu pani Jazeph, co pozwoliłoby panu wątpić w jej zdrowie umysłowe?

– Oczywiście, że nie, pani Frankland, inaczej bym jej tu nie sprowadził. Nie zdziwiłbym się, słysząc, że nagle zachorowała albo że miała jakiś napad, albo że wydarzył się drobny incydent, który na nikim innym by nie zrobił wrażenia, a ją poważnie przestraszył, ale stwierdzenie, że w jej władzach umysłowych jest coś zbliżonego do obłądzenia, przyznaję, dość mnie zadziwia.

– Czyżbym się myliła? – zawołała Rosamond, przenosząc zażenowany i niepewny wzrok z pana Orridge’a na męża. – Lenny! Lenny! Jeśli się pomyliłam, nigdy sobie nie wybaczę.

– Może byś nam powiedziała, moja droga, co podsunęło ci podejrzenie, że jest szalona? – zasugerował pan Frankland.

Rosamond zawahała się.

– Rzeczy, które są wielkie w czyjejś głowie – rzekła – wydają się takie małe, gdy ubierze się je w słowa. Niemal tracę nadzieję, że uda mi się wam wyjaśnić, iż miałam powód do strachu, a poza tym obawiam się, że próbując oddać

sprawiedliwość sobie, nie oddam jej opiekunce.

– Opowiedz swoją historię, kochana, na swój sposób, a z pewnością opowiesz ją właściwie – powiedział pan Frankland.

– I proszę pamiętać – dodał pan Orridge – że nie przywiązuję wielkiej wagi do swojej opinii o pani Jazeph. Nie miałem dość czasu, aby ją sobie wyrobić. Pani miała dużo więcej okazji, aby się przyjrzeć tej kobiecie.

Zachęcona w ten sposób, Rosamond jasno i prosto zdała relację ze wszystkiego, co zaszło w jej pokoju poprzedniego wieczora aż do chwili, gdy zamknęła oczy i posłyszała, jak pielęgniarka podchodzi do jej łóżka. Zanim powtórzyła niezwykle słowa, które pani Jazeph wyszeptała jej do ucha, urwała i z powagą spojrzała w twarz męża.

– Dlaczego przerywasz? – zapytał pan Frankland.

– Wciąż jeszcze jestem zdenerwowana i poruszona, Lenny, gdy pomyślę o słowach, które powiedziała mi tuż przed tym, jak złapałam za dzwonek.

– Co powiedziała? Czy to coś, czego wolałabyś nie powtarzać?

– Nie, nie! Jak najbardziej chciałabym to powtórzyć i dowiedzieć się, co według ciebie to może znaczyć. Jak ci mówiłam, Lenny, rozmawialiśmy o Porthgenna i moim pomysłe zbadania północnych pokoi, gdy tylko tam przyjadę, a ona zadawała wiele pytań o stary dwór, okazując, muszę powiedzieć, niezrozumiałe jak na osobę nieznajomą zainteresowanie.

– Tak?

– No więc gdy podeszła do łóżka, uklękła tuż przy moim uchu i ni stąd ni zowąd wyszeptała: „Gdy przyjedzie pani do Porthgenna, niech się pani trzyma z daleka od Pokoju Mirtowego!”.

Pan Frankland drgnął.

– Czy jest taki pokój w Porthgenna? – zapytał żywo.

– Nigdy o nim nie słyszałam – rzekła Rosamond.

– Jest pani pewna? – zapytał pan Orridge.

Aż dotąd doktor skrycie podejrzewał, że pani Frankland musiała zasnąć wkrótce po tym, jak ją zostawił poprzedniego wieczora, i że opowieść, jaką teraz przedstawiała, święcie przekonana o jej prawdziwości, wzięła się tak naprawdę z niczego innego jak serii sugestywnych wrażeń będących efektem snu.

– Jestem pewna, że nigdy nie słyszałam o takim pokoju – powiedziała Rosamond. – Wyjechałam z Porthgenna, mając pięć lat, ale choć mój ojciec często wspominał dom w późniejszych latach, jestem pewna, że nigdy nie wymieniał nazw poszczególnych pokoi, i to samo mogę powiedzieć o twoim ojcu, Lenny, ile razy byłam w jego towarzystwie po tym, jak kupił dom. Poza tym czy nie pamiętasz, że gdy majster, którego wysłaliśmy, aby dokonał przeglądu, napisał do ciebie list, skarżył się, że na kluczach nie ma nazw pokoi, które pomogłyby mu otworzyć drzwi, i że od nikogo w Porthgenna nie mógł wydobyć informacji na ten

temat? Jak mogłam kiedykolwiek słyszeć o Pokoju Mirtowym? Kto miałby mi powiedzieć?

Na twarzy pana Orridge'a pojawił się skonfundowany wyraz. Już nie wydawało się tak pewnym, że pani Frankland śniła.

– O niczym innym nie myślałam – powiedziała Rosamond do męża ściszym głosem. – Nie mogę uwolnić się od tych tajemniczych słów. Połóż mi rękę na sercu, Lenny: bije szybciej niż zwykle tylko dlatego, że ci wszystko powtórzyłam. To takie dziwne, zastanawiające słowa. Jak myślisz, co one znaczą?

– Kim jest kobieta, która je wyrzekła? Oto najważniejsze pytanie – powiedział pan Frankland.

– Ale dlaczego mi to powiedziała? Oto, co chcę wiedzieć – oto, co muszę wiedzieć, jeśli kiedykolwiek mam odzyskać spokój myśli!

– Pani Frankland, proszę spróbować się opanować! – powiedział pan Orridge. – Dla dobra dziecka, jak również własnego, proszę spróbować spojrzeć na to bardzo tajemnicze wydarzenie z takim spokojem, jak to możliwe. Jeśli jakieś moje wysiłki mogą rzucić światło na tę dziwną kobietę i jej jeszcze dziwniejsze zachowanie, nie będę ich szczędził. Dziś jadę do domu jej pani zobaczyć jedno z dzieci i proszę mi wierzyć, jakoś zdołam skłonić panią Jazeph do wytłumaczenia się. Jej chlebodawczyni usłyszy każde słowo, które mi pani powiedziała, a zapewniam, że to kobieta szcera i stanowcza; będzie chciała natychmiast wyjaśnić całą tajemnicę.

Zmęczone oczy Rosamond rozpromieniły się na propozycję doktora.

– Och, niech pan jedzie natychmiast, panie Orridge! – wykrzyknęła. – Niech pan jedzie natychmiast!

– Mam najpierw dużo pracy w miasteczku – powiedział doktor, uśmiechając się z powodu niecierpliwości pani Frankland.

– Proszę zatem zabrać się do niej, nie tracąc ani chwili – rzekła Rosamond. – Dziecko ma się całkiem dobrze i ja też, nie potrzebujemy zatrzymywać pana dłużej. I panie Orridge, proszę, niech pan będzie dla biedaczki tak łagodny i wyrozumiały, jak to możliwe, i powie jej, że nigdy by mi nie przyszło na myśl odesłać ją, gdybym nie była zbyt wystraszona, by wiedzieć, co się dzieje. I niech pan powie, jak przykro mi jest dziś rano, i powie...

– Moja droga, jeśli pani Jazeph faktycznie nie jest przy zdrowych zmysłach, jaki sens miałoby zasypywanie jej tymi wszystkimi usprawiedliwieniami? – przerwał pan Frankland. – Bardziej celowe będzie, jeśli pan Orridge uprzejmie złoży w naszym imieniu wyjaśnienia i przeprosiny jej pani.

– Niech pan idzie! Niech pan się już nie zatrzymuje! Proszę, niech pan idzie natychmiast! – zawołała Rosamond, gdy doktor próbował odpowiedzieć panu Franklandowi.

– Niech się pani nie boi, nie będę tracić czasu – rzekł pan Orridge, otwierając

drzwi. – Ale proszę pamiętać, pani Frankland, oczekuję, że nagrodzi pani swojego wysłannika po powrocie z misji, pokazując, że jest pani trochę spokojniejsza niż dziś rano.

Po tej pożegnalnej uwadze doktor wyszedł.

– Gdy przyjedzie pani do Porthgenna, niech się pani trzyma z daleka od Pokoju Mirtowego – powtórzył w zamyśleniu pan Frankland. – To bardzo dziwne słowa, Rosamond. Kim naprawdę może być ta kobieta? Jest dla nas obojga zupełnie nieznaną, zetknęliśmy się z nią całkowicie przypadkowo i oto dowiadujemy się, że wie o naszym domu coś, o czym żadne z nas nie miało pojęcia!

– Ale ostrzeżenie, Lenny, ostrzeżenie, tak dobitnie i tajemniczo skierowane do mnie? Och, gdybym tylko mogła zaraz zasnąć i nie obudzić się, póki nie wróci doktor!

– Moja kochana, nie licz zbyt na to, że nawet wtedy zostaniemy oświeceni. Ta kobieta może nie chcieć się komukolwiek tłumaczyć.

– Nawet nie wspominaj o podobnym rozczarowaniu, Lenny, albo sama wstanę i pojadę ją wypytać!

– Nawet gdybyś mogła wstać i ją wypytać, Rosamond, mogłoby okazać się niemożliwym zmuszenie jej do odpowiedzi. Może obawia się pewnych konsekwencji, których nie potrafimy przewidzieć. W takim razie powtórzę tylko, że jest więcej niż prawdopodobne, iż nie powie nic, albo, co nawet bardziej możliwe, spokojnie wyprze się własnych słów.

– Wtedy sprawdzimy je sami, Lenny.

– Jakim sposobem?

– Kontynuując naszą podróż do Porthgenna, gdy tylko będę mogła stąd wyjechać, i poruszając niebo i ziemię, gdy tam dotrzemy, dopóki nie dowiemy się, czy w starym domu znajduje się pokój, który kiedykolwiek w swojej historii był znany pod nazwą Pokoju Mirtowego.

– A co, jeśli okaże się, że jest taki pokój? – zapytał pan Frankland, któremu zaczął się udzielać entuzjazm żony.

– Jeśli naprawdę tak będzie – rzekła Rosamond podniesionym głosem, podczas gdy jej twarz rozpromieniała się niezwykłym ożywieniem – jak możesz wątpić, co stanie się potem? Czyż nie jestem kobietą? I czy nie zabroniono mi wchodzić do Pokoju Mirtowego? Lenny! Lenny! Czyżbyś tak mało znał połowę ludzkości, do której należę, aby nawet przez chwilę zastanawiać się, co zrobię, gdy tylko odkryję taki pokój? Ma się rozumieć, kochanie, że zaraz do niego wejść.

Rozdział 6.

Kolejna niespodzianka

Przy całym pośpiechu, na jaki pan Orridge był w stanie się zdobyć, wybiła trzynasta, nim jego obowiązki służbowe pozwoliły mu wyruszyć w gigu do domu pani Norbury. Jechał tam tak ochoczo, że odbył półgodzinną podróż w dwadzieścia minut. Usłyszawszy szybki turkot kół, lokaj otworzył drzwi w chwili, gdy koń się przed nimi zatrzymał, i powitał doktora uśmiechem wyrażającym złośliwą satysfakcję.

– Cóż – powiedział pan Orridge, wpadając do holu – chyba wszyscy zdziwiliście się wczorajszej nocy, kiedy gospodyni powróciła?

– Tak, sir, oczywiście, że się zdziwiliśmy, gdy powróciła wczorajszej nocy – odparł lokaj – ale jeszcze bardziej zaskoczyło nas, gdy dziś rano znowu wyjechała.

– Wyjechała! Nie chcesz chyba powiedzieć, że jej nie ma?

– To właśnie chcę powiedzieć, sir: straciła posadę i nie ma jej na dobre.

Udzielwszy tej odpowiedzi, lokaj ponownie się uśmiechnął, podobnie jak pokojówka, która, gdy mówił te słowa, akurat schodziła po schodach i słyszała, co powiedział. Pani Jazeph najwyraźniej nie była ulubienicą służby.

Zdumienie nie pozwoliło panu Orridge'owi wymówić kolejnego słowa. Nie usłyszawszy więcej pytań, lokaj otworzył drzwi bawialni i wprowadził doktora do środka. Pani Norbury siedziała blisko okna w sztywno wyprostowanej pozycji, nieugięcie obserwując poczynania swojego chorego dziecka nad miską bulionu z wołowiny.

– Wiem, o czym ma pan zamiar rozmawiać, zanim otworzy pan usta – rzekła ta bezpośrednia dama. – Ale niech pan najpierw obejrzy dziecko i powie, co ma o nim do powiedzenia, jeśli łaska, zanim przejdzie pan do następnego tematu.

Dziecko zostało zbadane, zdiagnozowane jako szybko wracające do zdrowia i wyprowadzone przez opiekunkę, aby położyło się i nieco odpoczęło. Gdy tylko drzwi pokoju się zamknęły, pani Norbury bez ceregieli zwróciła się do doktora, po raz drugi przerywając mu właśnie w chwili, gdy miał przemówić.

– A teraz, panie Orridge – rzekła – chcę panu coś powiedzieć na wstępie. Jestem niezwykle sprawiedliwą kobietą i nie szukam z panem zwady. Stał się pan przyczyną potraktowania mnie z najbezczelniejszą zuchwałością przez trzy osoby, ale jest to przyczyna mimowolna i dlatego nie oskarżam pana.

– Naprawdę nie mam pojęcia – zaczął pan Orridge – zapewniam, że zupełnie nie mam pojęcia...

– O co mi chodzi? – zapytała pani Norbury. – Zaraz powiem. Czy to nie z pana przyczyny wysłałam swoją gospodynię do pani Frankland?

– Tak. – Pan Orridge musiał przyznać to bez wahania.

– No więc – ciągnęła pani Norbury – w wyniku tego, że ją wysłałam,

zostałam, jak już mówiłam, potraktowana z niesłychaną zuchwałością przez nie mniej niż trzy osoby. Pani Frankland coś sobie zuchwale ubzdurała i udaje, że moja gospodyni ją przestraszyła. Pan Frankland jest zuchwale gotowy wziąć sobie do serca tę bzdurę i zwraca mi moją gospodynię jak wadliwy towar, a na koniec, co najgorsze, moja gospodyni we własnej osobie obraża mnie twarzą w twarz, gdy tylko wraca – obraża mnie, panie Orridge, do tego stopnia, że daję jej dwanaście godzin na opuszczenie domu. Niech pan nie próbuje się bronić! Wiem wszystko, wiem, że nie miał pan nic wspólnego z odesłaniem jej, nigdy nie powiedziałam, że pan ma. Całe zło, jakie pan wyrządził, zostało wyrządzone mimochodem. Nie oskarżam pana – cokolwiek pan zrobi, panie Orridge, proszę o tym pamiętać!

– Nie miałem zamiaru się bronić – powiedział doktor – bowiem nie mam po temu powodu. Ale zadziwia mnie pani w sposób niewysłowiony, mówiąc, że pani Jazeph potraktowała panią niegrzecznie.

– Niegrzecznie! – zawołała pani Norbury. – Proszę nie mówić o niegrzeczności: to niewłaściwe słowo. Należałoby raczej powiedzieć: impertynencja – bezwstydna impertynencja. Jedyna miłosierna rzecz, jaką można powiedzieć o pani Jazeph, to że nie jest zdrowa na umyśle. Ja sama nigdy nie zauważyłam w niej nic dziwnego, ale służący wyśmiewali się z niej, gdyż w ciemności była bojaźliwa jak dziecko i niejednokrotnie wybiegała do swojego pokoju, kiedy nie chcieli zapalać lamp, póki się porządnie nie ściemniło. Nigdy wcześniej nie zawracałam sobie tym głowy, ale mówię panu, przyszło mi to na myśl wczoraj w nocy, gdy zobaczyłam, jak zaciekle patrzy mi prosto w oczy i kategorycznie mi się sprzeciwia, kiedy tylko się do niej odezwałam.

– Pomyślałbym, że to ostatnia kobieta na świecie, która mogłaby się tak źle zachować – odparł doktor.

– Znakomicie. Teraz niech pan posłucha, co się zdarzyło, kiedy wczoraj wróciła – powiedziała pani Norbury. – Przyjechała właśnie w chwili, gdy szliśmy spać. Oczywiście byłam zdumiona i oczywiście zawołałam ją do salonu, oczekując wyjaśnień. W postępowaniu tym nie było chyba nic bardzo niezwykłego, prawda? A więc zauważyłam, że oczy ma podpuchnięte i czerwone, a spojrzenie niezwykle dzikie, ale nie powiedziałam nic i czekałam na wyjaśnienia. Miała mi do powiedzenia tylko tyle, że niechcący powiedziała lub zrobiła coś, co przestraszyło panią Frankland, i że mąż pani Frankland z miejsca ją odesłał. Na początku jej nie uwierzyłam, co, jak myślę, jest zrozumiałe, ale ona obstawała przy swojej historii i na wszystkie moje pytania odpowiadała oświadczeniem, że nic więcej nie może mi powiedzieć. „A więc – rzekłam – mam uwierzyć, że po tym, jak naraziłam się na niewygody, odstępując panią, i jak pani naraziła się na niewygody, podejmując obowiązki opiekunki, mam zostać znieważona i pani ma zostać znieważona faktem, że pani Frankland odsyła panią tego samego dnia, którego pani przybyła, bo coś sobie ubzdurała?” „Nie oskarżyłam pani Frankland o ubzduranie sobie

czegoś” – powiada pani Jazeph i patrzy mi prosto w twarz takim wzrokiem, jakiego podczas całej pięcioletniej znajomości nigdy wcześniej u niej nie widziałam. „Co ma pani na myśli?” – zapytałam i mówię panu, odwzajemniłam to spojrzenie. „Czy znika się pani do tego, aby widzieć w sposobie, w jaki panią potraktowano, wyraz przychylności?” „Jestem na tyle sprawiedliwa – odparowała natychmiast pani Jazeph, nadal patrząc mi prosto w oczy – jestem na tyle sprawiedliwa, aby nie winić pani Frankland”. „Och, doprawdy?” – rzekłam. „W takim razie mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli nie pani, to ja odczuwam zniewagę, i uważam zachowanie pani Frankland za zachowanie kobiety prostackiej, bezczelnej, kapryśnej i bezdusznej”. Pani Jazeph postąpiła krok w moim kierunku – daję słowo honoru, postąpiła krok ku mnie – i powiedziała zdecydowanie ni mniej, ni więcej: „Pani Frankland nie jest ani prostacka, ani bezczelna, ani kapryśna, ani bezduszna”. „Ma pani zamiar się mi sprzeciwić, pani Jazeph?” – zapytałam. „Mam zamiar bronić pani Frankland przed niesprawiedliwymi oszczerstwami” – powiada. Oto jej słowa, panie Orridge – na mój szlachecki honor, oto dokładnie jej słowa.

Twarz doktora wyrażała najwyższe zdumienie. Pani Norbury ciągnęła:

– Wpadłam we wściekłość, powiem szczerze, panie Orridge, ale opanowałam się. „Pani Jazeph – rzekłam – to jest język, do którego nie nawykłam i którego z pewnością nigdy nie spodziewałam się usłyszeć z pani ust. Dlaczego podejmuje się pani bronić pani Frankland za to, że potraktowała nas obie wzgardliwie, tego nie wiem i nie obchodzi mnie to. Ale powiem pani wprost, że każda osoba, którą zatrudniam, od gospodyni po pomywaczkę, będzie się do mnie odzywać z szacunkiem. Każdemu innemu służącemu w tym domu, który zachowałby się w stosunku do mnie podobnie jak pani, z miejsca dałabym wypowiedzenie”. W tym momencie próbowała mi przerwać, ale jej nie pozwoliłam. „Nie – powiedziałam – jeszcze nie pozwalam pani mówić, ma pani mnie wysłuchać. Każdy inny służący, powtarzam, opuściłby ten dom jutro rano, ale ja będę dla pani więcej niż sprawiedliwa. Pójdę dla pani na ustępstwo przez wzgląd na pięć lat dobrego sprawowania u mnie na służbie. Dam pani resztę nocy na ochłonięcie i przemyślenie tego, co między nami zaszło, i nie będę oczekiwać od pani przeprosin aż do jutra rana”. Sam pan widzi, panie Orridge, że byłam zdecydowana postępować sprawiedliwie i łaskawie, że byłam gotowa pójść na ustępstwa – i jak pan myśli, co ona na to? „Jestem skłonna przeprosić panią za to, że ją obraziłam – rzekła – nie zwlekając ani minuty, ale czy to będzie dziś w nocy, czy jutro rano, nie mogę milczeć, gdy słyszę, że oskarża się panią Frankland o nieuprzejme, niegrzeczne czy niewłaściwe zachowanie w stosunku do mnie lub kogokolwiek innego”. „Mówi mi to pani rozmyślnie, pani Jazeph?” – zapytałam. „Mówię to szczerze, proszę pani – odparła – i jest mi bardzo przykro, że zostałam do tego zmuszona”. „Proszę nie sprawiać sobie przykrości – rzekłam – bo może pani uważać się za osobę niebędącą już u mnie na służbie. Jutro z samego rana

każę zarządcy wręczyć pani należne miesięczne wynagrodzenie zamiast miesięcznego wypowiedzenia i proszę, aby potem opuściła pani dom tak szybko, jak będzie pani dogodnie”. „Wyjadę jutro, proszę pani

– powiada – ale nie kłopotząc zarządcy. Z szacunkiem i serdecznym podziękowaniem za pani przesłaną uprzejmość proszę, aby wolno mi było odmówić przyjęcia miesięcznego wynagrodzenia, którego nie zarobiłam miesięczną pracą”. A potem kłania się i wychodzi. Oto słowo w słowo, co między nami zaszło, panie Orridge. Niech pan teraz wyjaśni zachowanie tej kobiety, jeśli potrafi. Ja twierdzę, że jest ono całkowicie niezrozumiałe, chyba że zgodzi się pan ze mną, iż nie była przy zdrowych zmysłach, gdy wróciła wczoraj w nocy.

Po tym, co doktor przed chwilą usłyszał, nasunęła mu się myśl, że podejrzenia pani Frankland odnośnie do nowej pielęgniarki nie były jednak tak bezpodstawne, za jakie początkowo był skłonny je uważać. Jednakże rozsądnie powstrzymał się od wyrażania swoich myśli i tym samym jeszcze większego zagmatwania sprawy i odpowiedziawszy pani Norbury kilkoma uprzejmymi ogólnikami, spróbował złagodzić jej złość na państwa Franklandów zapewnieniem, że przynosi przeprosiny zarówno od męża, jak i żony za oczywisty brak grzeczności i delikatności w ich zachowaniu, wymuszony przez okoliczności. Obrażona dama była jednak nieprzejednana. Wstała i skinęła ręką z wyrazem wielkiego dostojęstwa.

– Nie chcę słyszeć od pana już ani słowa więcej, panie Orridge – rzekła. – Nie mogę przyjąć żadnych przeprosin składanych pośrednio. Jeśli pan Frankland zechce przyjechać z wizytą, a pani Frankland raczy do mnie napisać, chętnie puszcze tę sprawę w niepamięć. W każdym innym przypadku musi mi być wolno podtrzymać moją obecną opinię zarówno o damie, jak i o dżentelmenie. Niech pan już nic nie mówi i będzie tak dobry, że pozwoli, iż pana opuszczę i pójdę do pokoju dziecinnego zobaczyć, jak się miewa córka. Jestem uszczęśliwiona, słysząc, że widzi pan u niej tak znaczną poprawę. Proszę odwiedzić nas jutro albo pojutrze, jeśli to nie sprawi kłopotu. Do widzenia!

Na wpół rozbawiony panią Norbury, na wpół dotknięty cierpkim tonem, jaki przybrała w stosunku do niego, pan Orridge przez minutę czy dwie pozostał sam w bawialni, nie wiedząc, co powinien w tej sytuacji zrobić. W tym momencie był już niemal tak samo zainteresowany rozwikłaniem zagadki niezwyklego zachowania pani Jazeph jak sama pani Frankland i nie miał ochoty wracać do hotelu i powtarzać jedynie tego, co usłyszał od pani Norbury, nie mogąc uzupełnić relacji informacją o kierunku, w którym udała się gospodyni po odejściu z posady. Po chwili namysłu postanowił wypytać lokaja pod pretekstem chęci dowiedzenia się, czy jego gig stoi pod drzwiami. Gdy mężczyzna zjawił się na dźwięk dzwonka i zgłosił, że gig jest gotów, pan Orridge, przechodząc przez hol, zapytał go mimochodem, czy wie, o której godzinie pani Jazeph wyjechała.

– Około dziesiątej, sir – odparł lokaj – kiedy przewoźnik przyjechał ze wsi w drodze na stację na pociąg o jedenastej.

– O! Domyślam się, że zabrał jej kufry? – powiedział pan Orridge.

– I ją też, sir – odparł lokaj, szczerząc zęby w uśmiechu. – Choć raz w życiu musiała jechać furmanką przewoźnika.

Wróciwszy do West Winston, doktor zatrzymał się na stacji, aby poznać dalsze szczegóły, nim wróci do hotelu. O tej porze nie spodziewano się żadnych pociągów jadących w jedną czy drugą stronę. Naczelnik stacji czytał gazetę, zaś woźny był zajęty pracami ogrodniczymi na zboczach nasypu.

– Czy pociąg o jedenastej rano jedzie do Londynu, czy z Londynu? – zapytał pan Orridge, zwracając się do woźnego.

– Z Londynu.

– Czy wsiadło do niego wielu ludzi?

Woźny wymienił nazwiska kilku mieszkańców West Winston.

– Czy nie było innych pasażerów poza pasażerami z miasteczka? – dopytywał doktor.

– Tak, sir. Zdaje się, że była jedna nieznaną dama.

– Czy naczelnik stacji wydał bilety na ten pociąg?

– Tak, sir.

Pan Orridge udał się do naczelnika.

– Czy pamięta pan, żeby wydawał dziś rano bilet na pociąg o jedenastej samotnie podróżującej damie?

Naczelnik zamyślił się.

– Wydałem dziś bilety na pociągi jadące w obie strony pół tuzinowi dam – odparł z wahaniem.

– Tak, ale mówię tylko o pociągu o jedenastej – powiedział pan Orridge. – Proszę postarać się sobie przypomnieć...

– Przypomnieć? Stop! Ależ przypominam sobie. Wiem, o kogo panu chodzi. O damę, która wydawała się nieco zdenerwowana i zadała mi pytanie, z którym nieczęsto stykam się na tej stacji. Przypominam sobie, że miała spuszczonej woalkę i przyjechała tu na pociąg o jedenastej. Crouch, przewoźnik, przyniósł jej kufer.

– To ta kobieta. Dokąd kupiła bilet?

– Do Exeter.

– Wspominał pan, że zadała mu pytanie?

– Tak: pytała o dylizanse przyjeżdżające na dworzec w Exeter, aby zabrać podróżnych do Kornwalii. Powiedziałem jej, że jesteśmy za daleko, aby mieć właściwy rozkład jazdy, i poleciłem zapytać się ludzi z Devonshire, gdy przyjedzie na miejsce. Coś nie tak w związku z nią, sir?

– Och, nie! Nic – powiedział pan Orridge, pozostawiając naczelnika i śpiesząc z powrotem do gigu.

Gdy w kilka minut później zajechał pod drzwi hotelu Tiger's Head, wyskoczył z powozu z pewnością siebie człowieka, który zrobił wszystko, czego można było od niego oczekiwać. Łatwo było stanąć przed panią Frankland z niezadowolającą wiadomością o wyjeździe pani Jazeph, mogąc, powołując się na najpewniejsze źródło, uzupełnić ją o ważny szczegół, że udała się do Kornwalii.

Księga IV

Rozdział 1.

Spisek przeciwko tajemnicy

Pod wieczór następnego dnia po rozmowie pana Orridge'a z panią Norbury pośpieszny powóz pocztowy jadący przez Kornwalię aż do Truro, dotarłszy na miejsce pod drzwi stacji postojowej, wypuścił ze swego wnętrza troje pasażerów. Dwojgiem z nich byli starszy dżentelmen i jego córka, trzecią zaś pani Jazeph.

Ojciec i córka zabrali swój bagaż i weszli do hotelu, pasażerowie podróżujący na zewnątrz pojazdu rozpiechli się w różnych kierunkach, jedynie pani Jazeph stała niezdecydowana na chodniku, jak gdyby nie wiedząc, co ma dalej począć. Gdy woźnica z życzliwości próbował pomóc jej w podjęciu decyzji, pytając, dokąd się wybiera, drgnęła i rzuciła mu nieufne spojrzenie. Następnie, jak gdyby się opamiętawszy, podziękowała mu za uprzejmość i zapytała, czy wolno jej będzie zostawić na jakiś czas kufer w budynku stacji, przy czym język tak jej się poplątał, a postawa wyrażała takie wahanie, że kobieta zrobiła na woźnicy bardzo dziwne wrażenie.

Otrzymawszy pozwolenie na pozostawienie kufra tak długo, jak będzie chciała, pani Jazeph przecięła główną ulicę miasta, weszła na trotuar po drugiej stronie i skręciła w pierwszą przecznicę, do której doszła. Gdy znalazła się w bocznej uliczce, obejrzała się, a upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi, pośpiesznie przemierzyła kilka jardów* i wreszcie zatrzymała się przy małym sklepiku, w którym sprzedawano regały, gabloty, biurka i przyborniki na robótki. Najpierw spojrzała na rząd liter wymalowany nad drzwiami – BUSCHMANN, STOLARZ MEBLOWY – po czym zajrzała do środka przez okno wystawowe. Za ladą siedział mężczyzna w średnim wieku, z wesołą miną szlifując palisandrową podpórkę i w regularnych odstępach czasu energicznie kiwając głową, jak gdyby nucił jakąś melodię i ruchami wyznaczał jej rytm. Widząc, że w sklepie nie ma klientów, pani Jazeph otworzyła drzwi i weszła do środka.

Gdy tylko się tam znalazła, przekonała się, że wesoły mężczyzna za ladą wyznacza rytm nie nuconej przez siebie melodii, ale melodii granej przez pozytywkę. Czyste, dźwięczne tony dobiegały z kantorka za sklepem, a melodią, którą wygrywała pozytywka, była śliczna aria *Batti, Batti* Mozarta.

– Czy jest pan Buschmann? – spytała pani Jazeph.

– Tak, proszę pani – rzekł wesoły człowiek, z uśmiechem wskazując na drzwi prowadzące do kantorka. – Muzyka odpowiada za niego. Za każdym razem, gdy gra pozytywka pana Buschmanna, sam pan Buschmann również jest w pobliżu. Chce się pani z nim widzieć?

– Jeśli nikogo nie przyjmuje.

– Och, nie, jest zupełnie sam. Mam podać jakieś nazwisko?

Pani Jazeph otworzyła usta, aby odpowiedzieć, zawahała się i nie powiedziała nic. Subiekt wykazał się większą domyślnością, niż można się było po nim spodziewać, sądząc po pozorach. Nie powtórzył pytania, tylko natychmiast otworzył drzwi i wpuścił gościa przed oblicze pana Buschmanna.

Kantorek był niewielkim pomieszczeniem o staromodnym kształcie trójkąta. Ściany obłożone były jasnozieloną tapetą, w szklanej gablocie na kominku znajdowała się duża zasuszona ryba, na przeciwległej ścianie wisały dwie fajki z pianki morskiej, a tak dokładnie na środku pokoju, jak to tylko możliwe, umieszczono ładny okrągły stolik. Na stoliku znajdował się serwis do herbaty, chleb, masło, słoik dżemu i pozytywka w osobliwym, staromodnym pokrowcu, zaś przy stoliku siedział drobny staruszek o rumianej twarzy, białych włosach i niepozornym wyglądzie. Kiedy drzwi się otworzyły, mężczyzna drgnął z wyrazem najwyższego zmieszania i dotknął wierzchu pozytywki, aby przestała grać, gdy dojdzie do końca arii.

– Jakaś dama chce z panem mówić, sir – powiedział wesoły subiekt. – Oto pan Buschmann, proszę pani – dodał ciszej, widząc, że pani Jazeph zatrzymuje się niepewnie przed wejściem do kantorka.

– Zechce pani usiąść? – zapytał pan Buschmann, gdy subiekt zamknął drzwi i wrócił za ladę. – Wybacz pani, że gra muzyka, zaraz przestanie.

Wypowiedział te słowa z obcym akcentem, ale idealnie płynnie.

Pani Jazeph spojrzała na niego poważnie, gdy się do niej zwrócił, i podeszła o krok, zanim otworzyła usta.

– Aż tak się zmieniłam? – zapytała cicho. – Tak beznadziejnie się zmieniłam, wuju Josephie?

– *Gott im Himmel!* Ten głos – toż to Sara Leeson! – zawołał staruszek, podbiegając do gościa tak zwinnie, jak gdyby znowu był chłopcem, łapiąc kobietę za ręce i całując w policzek z dziwną, pełną werwy czułością. Choć jego siostrzenica nie odznaczała się ponadprzeciętnym wzrostem, wuj Joseph był tak niski, że musiał wspiąć się na palce, aby dokonać ceremonii uściśnięcia jej.

– Pomyśleć tylko, że Sara wreszcie przyszła! – rzekł, sadzając ją na krzesło. – Pomyśleć, że po tylu, tylu latach Sara Leeson znowu przyszła odwiedzić wuja Josepha!

– Sara tak, ale nie Sara Leeson – powiedziała pani Jazeph, ściskając mocno swoje szczupłe, drżące dłonie i spuszczając wzrok na podłogę.

– Ach! Wyszłaś za męża? – powiedział wesoło pan Buschmann. – Ma się rozumieć, że tak. Powiedz mi wszystko o swoim mężu, Saro.

– Nie żyje. Nie żyje i wybaczyłam mu.

Ostatnie pięć słów wyszeptała sama do siebie.

– Ach! Tak mi przykro! Niepotrzebnie się pośpieszyłem, prawda, moje

dziecko? – rzekł staruszek. – Mniejsza z tym! Nie, nie. Nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć – pomówmy o czymś innym. Zjesz trochę chleba z dżemem, prawda, Saro? Wyborny dżem malinowy, który rozpływa się w ustach. Nie? Może zatem herbaty? No, no, oczywiście, że napije się herbaty. I nie będziemy rozmawiali o naszych problemach, przynajmniej nie teraz. Jesteś bardzo błada, Saro, wyglądasz na dużo starszą, niż powinnaś – nie, tego też nie chciałem powiedzieć, nie chcę być niegrzeczny. To po głosie cię poznałem, moje dziecko – głosie, o którym twój biedny wuj Max zawsze mówił, że przyniósłby ci majątek, gdybyś tylko nauczyła się śpiewać. Oto jego śliczna pozytywka milknie. Nie rób takiej przygnębionej miny, proszę. Posłuchaj trochę muzyki – pamiętasz tę pozytywkę? Pozytywkę mojego brata Maxa? Cóż to! Zapomniałaś pozytywkę, którą boski Mozart własnoręcznie dał memu bratu, gdy Max chodził w Wiedniu do szkoły muzycznej? Posłuchaj! Znów ją nastawiłem. To piosenka, którą zwa *Batti, Batti*, piosenka z opery Mozarta. Ach, piękna, piękna! Twój wuj Max mawiał, że cała muzyka zawiera się w tej jednej piosence. Nie znam się na muzyce, ale mam serce i uszy, a one podpowiadają mi, że Max miał rację.

Wypowiadając te słowa z żywą gestykulacją i niezwykłą swadą, pan Buschmann nalał filiżankę herbaty swojemu gościowi, starannie w niej zamieszał, po czym poklepał swoją siostrzenicę po ramieniu i zapewnił, że ucieszy go, jeśli ta wszystko od razu wypije. Gdy zbliżył się do niej, aby wymóc spełnienie prośby, zauważył, że w jej oczach lśnią łzy, a ona próbuje ukradkiem wyjąć z kieszeni chusteczkę.

– Proszę na mnie nie zwracać uwagi – powiedziała, widząc, jak twarz staruszka zasepia się na jej widok – i nie myśleć, że jestem roztargniona i niewdzięczna, wuju Josephie. Pamiętam pozytywkę, pamiętam wszystko, czym się interesowałam, gdy byłam młodsza i szczęśliwsza niż teraz. Gdy ostatni raz cię widziałam, przyszłam do ciebie ze swoją troską i teraz znowu przychodzę z troską. Może wydawać się lekceważące, że przez tyle czasu do ciebie nie pisałam, ale moje życie było bardzo smutne i myślałam sobie, że nie mam prawa obarczać swoim smutkiem kogokolwiek prócz siebie samej.

Na te słowa wuj Joseph potrząsnął głową i zatrzymał pozytywkę.

– Mozart może chwilę poczekać – powiedział z powagą – aż coś ci powiem. Saro, posłuchaj mnie, wypij herbatę i powiedz, czy mówię prawdę, czy nie. Co ja, Joseph Buschmann, oświadczyłem ci, kiedy po raz pierwszy przyszłaś do mnie ze swoją troską czternaście, piętnaście, ach, więcej lat temu! Raczej chyba szesnaście, w tym oto mieście i w tym samym domu? Powiedziałem wtedy to, co powtarzam teraz: „Smutek Sary jest moim smutkiem, a radość Sary moją radością”, a jeśli ktoś zapyta mnie o powód, mogę mu podać trzy.

Urwał, aby po raz drugi zamieszać herbatę siostrzenicy i skierować na nią uwagę kobiety, stukając łyżeczką w brzeg filiżanki.

– Trzy powody – podjął. – Po pierwsze, jesteś dzieckiem mojej siostry, płynie w tobie jej krew, a więc również i moja. Po drugie, moja siostra, mój brat i w końcu ja sam zawdzięczamy twojemu dobremu ojcu, Anglikowi – wszystko. Drobne słówko, które wiele znaczy i można je powtarzać na okrągło – wszystko. Znajomi twojego ojca krzyczą: phi! Agatha Buschmann jest biedna! Agatha Buschmann jest cudzoziemką! Ale twój ojciec kocha biedną niemiecką dziewczynę i żeni się z nią na przekór ich phi, phi! Znajomi twojego ojca ponownie krzyczą: phi! Agatha Buschmann ma muzycznego brata, który bełkocze do nas o Mozarcie i który nie potrafi zarobić na sól do owsianki. Twój ojciec mówi: dobrze! Ja lubię jego bełkot, lubię jego grę, znajdę mu uczniów, a skoro mam w kuchni szczyptę soli, on również będzie miał szczyptę soli do swojej owsianki. Znajomi twojego ojca po raz trzeci krzyczą: phi! Agatha Buschmann ma jeszcze jednego brata, małego głupka, którego bełkotu inni mogą tylko słuchać i mówić amen. Pogoń go, na miłość boską, zamknij wszystkie drzwi i pogoń wreszcie głupka. Twój ojciec mówi: nie! Głupek ma swój rozum w rękach, potrafi ciąć, rzeźbić i szlifować. Wystarczy pomóc mu trochę na początku, a potem on sam będzie sobie pomagał. Wszyscy oni odeszli oprócz mnie! Twój ojciec, matka i wuj Max – wszyscy odeszli. Tylko ten ostatni głupek został, aby pamiętać i być wdzięcznym – uważać smutek Sary za swój smutek, a radość Sary za swoją radość.

Urwał ponownie, aby zdmuchnąć pyłek z pozytywki. Jego siostrzenica próbowała się odezwać, ale uniósł dłoń i pogroził jej palcem.

– Nie – powiedział. – Teraz to moim zadaniem jest mówić, a twoim pić herbatę. Czyż nie mam jeszcze trzeciego powodu? Ach! Odwracasz ode mnie wzrok, znasz mój trzeci powód, zanim jeszcze powiem choć słowo. Kiedy z kolei ja się żenię i moja żona umiera i zostawia mnie samego z małym Josephem, i kiedy chłopiec choruje, kto się wtedy zjawia, taki cichy, taki ładny, taki staranny, kto ma takie promienne młode oczy i takie czułe, lekkie dłonie? Kto pomaga mi przy małym Josephie dzień i noc? Kto robi mu poduszkę ze swego ramienia, kiedy jest zmęczony? Kto cierpliwie trzyma mu przy uchu tę oto pozytywkę? Tak! Tę pozytywkę, której dotykała ręka Mozarta; kto przybliży ją coraz bardziej, kiedy zmysły małego Josepha ulegają przytępieniu i płacze za miłą muzyką, którą zna od kołyski, miłą muzyką, którą teraz ledwo słyszy? Kto klęka przy wuju Josephie, gdy pęka mu serce, i mówi: „Och, cicho, cicho! Chłopiec poszedł tam, gdzie gra piękniejsza muzyka, gdzie nie dotknie go już żadna choroba ani smutek”? Kto? Ach, Saro! Nie możesz zapomnieć tych dni, nie możesz zapomnieć dawnych lat! Gdy troska dokucza, a ciężar jest wielki, okrucieństwem wobec wuja Josepha jest trzymać się z daleka, przysługą zaś przyjść tutaj.

Wspomnienia przywołane przez staruszkę poruszyły czułą strunę w sercu Sary. Nie mogła odpowiedzieć, mogła tylko wyciągnąć ku niemu dłoń. Wuj Joseph skłonił się z wyszukaną, tkliwą galanterią i złożył na niej pocałunek, a potem

wrócił na miejsce koło pozytywki.

– Chodź! – rzekł, poklepując ją wesoło. – Przez chwilę nie powiemy nic więcej. Pozytywko Mozarta, pozytywko Maxa, pozytywko małego Josepha, znów do nas przemówisz!

Wprawivszy w ruch malutką maszynę, usiadł przy stole i milczał, dopóki aria nie została odegrana dwukrotnie. Potem, widząc, że jego siostrzenica zdaje się spokojniejsza, odezwał się do niej ponownie.

– Masz kłopot, Saro – powiedział cicho. – Mówisz mi to, a ja widzę w twojej twarzy, że to prawda. Czy opłakujesz męża?

– Opłakuję fakt, że w ogóle go spotkałam – odparła. – Opłakuję fakt, że go kiedykolwiek poślubiłam. Teraz, kiedy nie żyje, nie mogę płakać – mogę mu tylko wybaczyć.

– Wybaczyć? Jak ty wyglądasz, Saro, kiedy to mówisz! Powiedz mi...

– Wuju Josephie! Powiedziałam ci, że mój mąż nie żyje i że mu wybaczyłam.

– Wybaczyłaś mu? A zatem był dla ciebie surowy i okrutny? Rozumiem, rozumiem. To jest koniec, Saro, ale co z początkiem? Czy na początku go kochałaś?

Jej blade policzki oblały się rumieńcem i odwróciła głowę.

– To trudne i poniżające wyznanie – wymamrotała, nie podnosząc oczu – ale zmuszasz mnie do powiedzenia prawdy, wuju. Nie mogłam obdarzyć mojego męża miłością, żadnego mężczyzny nie mogłam nią obdarzyć.

– A jednak go poślubiłaś! Chwileczkę! Nie moją rzeczą jest oskarżać. Moją rzeczą jest dowiedzieć się nie tego, co złe, ale tego, co dobre. Tak, tak, powiem sobie: poślubiła go, będąc biedną i bezradną, poślubiła go, podczas gdy powinna była przyjść do wuja Josepha. Tak sobie powiem i będę cię żałował, ale nie spytam o nic więcej.

Sara ponownie wyciągnęła rękę w pół drogi do staruszka, a potem nagle odsunęła krzesło i zmieniła pozycję, w której siedziała.

– To prawda, że byłam biedna – rzekła, oglądając się ze zmieszaniem na boki i z trudem wypowiadając słowa. – Ale jesteś taki miły i dobry, że nie mogę przyjąć usprawiedliwienia, jakie podsuwa mi twoja pobłażliwość. Nie poślubiłam go, ponieważ byłam biedna, ale...

Urwała, złożyła razem dłonie i jeszcze dalej odsunęła krzesło od stolika.

– Już dobrze! – powiedział staruszek, dostrzegając jej zmieszanie. – Nie mówmy o tym więcej.

– Nie mam na swoje usprawiedliwienie miłości, nie mam na swoje usprawiedliwienie biedy – wybuchła z goryczą i rozpaczą w głosie. – Wuju Josephie, poślubiłam go, ponieważ byłam zbyt słaba, by dłużej mu odmawiać! Przekleństwo słabości i strachu wisi nade mną przez całe życie! Odmówiłam mu

raz, odmówiłam drugi raz. Och, wuju, gdybym tylko potrafiła odmówić trzeci! Ale on za mną chodził, groził mi, odebrał mi resztki mojej własnej woli. Sprawiał, że mówiłam to, co chciał usłyszeć, i szłam tam, gdzie chciał, abym poszła. Nie, nie, nie – nie podchodź do mnie, wuju, nie mów nic. Jego już nie ma, umarł. Uwolniłam się od niego, przebaczyłam mu! Och, gdybym tylko mogła wyjechać i gdzieś się schować! Oczy wszystkich zdają się mnie przeszywać na wskroś, słowa wszystkich zdają się mi grozić. Moje serce jest zmęczone od czasu, gdy byłam młodą kobietą, i przez wszystkie te długie lata nie zaznało spokoju. Ciii! Człowiek w sklepie – zapomniałam o człowieku w sklepie. Usłysz nas, mówmy szeptem. Co sprawiło, że tak wybuchłam? Zawsze coś robię źle. Ojej! Robię źle, kiedy się odzywam, robię źle, kiedy milczę, gdziekolwiek pójdę i cokolwiek zrobię, nie jestem taka jak inni. Wydaje się, że od czasów dzieciństwa mój umysł nie dorósł. Posłuchaj! Człowiek w sklepie porusza się – czy on mnie usłyszał? Och, wuju Josephie! Czy myślisz, że mnie usłyszał?

Wuj Joseph, który wyglądał na nie mniej przestraszonego niż jego siostrzenica, zapewnił ją, że drzwi są solidne, a mężczyzna w sklepie zajmuje miejsce nieco oddalone od nich i niepodobnym jest, nawet gdyby słyszał głosy w kantorku, aby mógł rozróżnić poszczególne słowa.

– Jesteś tego pewien? – wyszeptała pośpiesznie. – Tak, tak, jesteś tego pewien, inaczej byś tak nie mówił, prawda? Możemy rozmawiać dalej. Nie o moim małżeństwie, to już przeszłość. Powiedzmy, że mam za sobą lata smutku i cierpienia, na które sobie zasłużyłam, powiedzmy, że mam za sobą inne lata, pełne spokoju, kiedy byłam na służbie u panów i pań, którzy byli dla mnie często dobrzy, podczas gdy inni służący nie byli. Powiedzmy o moim życiu tylko tyle i to wystarczy. Kłopot, w jakim się teraz znalazłam, troska, która sprowadza mnie do ciebie, sięga dalej wstecz niż lata, o których rozmawialiśmy, sięga wstecz, wstecz, wstecz, wuju Josephie, do tego odległego dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni.

– Sięga wstecz całe szesnaście lat! – zawołał z niedowierzaniem staruszek. – Sięga wstecz, Saro, aż do dawnych lat!

– Aż do nich. Wuju, pamiętasz, gdzie mieszkałam i co mi się przytrafiło, gdy...

– Gdy przyszłaś tu potajemnie? Gdy poprosiłaś, abym cię ukrył? To było tego samego tygodnia, Saro, gdy zmarła twoja pani, twoja pani, która mieszkała na zachód stąd w starym dworze. Byłaś wtedy wystraszona – błada i wystraszona, taka sama, jaką widzę cię teraz.

– Jaką każdy mnie widzi! Ludzie ciągle mi się przyglądają, ciągle myślą, że jestem zalekniona, ciągle litują się nade mną, sądząc, że choruję.

Wypowiedziawszy te słowa z nagłą płaczliwością, podniosła do ust stojącą obok filiżankę, jednym haustem ją opróżniła i podsunęła wujowi, aby ponownie ją

napełnił.

– Przyszłam tu cała zgrzana i spragniona – wyszeptała. – Więcej herbaty, wuju Josephie, więcej herbaty.

– Jest zimna – powiedział staruszek. – Poczekaj, aż poproszę o wrzątek.

– Nie! – zawołała, zatrzymując go w chwili, gdy miał się podnieść. – Daj mi zimną. Lubię zimną. Nie wpuszczaj tu nikogo, nie będę mogła mówić, gdy ktoś tu wejdzie.

Przysunęła krzesło bliżej wuja i ciągnęła:

– Nie zapomniałeś, jaka byłam przestraszona wtedy, dawno temu. Czy pamiętasz, dlaczego byłam przestraszona?

– Bałaś się pościgu, otóż to, Saro. Starzeję się, ale moja pamięć jest wiecznie młoda. Bałaś się swojego pana, tego, że pośle za tobą sługi. Uciekłaś, nie mówiąc nikomu ani słowa, i nawet wujowi Josephowi, nawet mnie powiedziałaś mało, ach, jak bardzo, bardzo mało.

– Powiedziałam ci – rzekła Sara, zniżając głos do tak cichego szeptu, że staruszek ledwo ją słyszał – powiedziałam ci, że moja pani pozostawiła mi na łożu śmierci tajemnicę – tajemnicę zawartą w liście, który miałam oddać memu panu. Powiedziałam ci, że ukryłam list, ponieważ nie mogłam się zdobyć na doręczenie go, ponieważ wolałabym umrzeć tysiąc razy, niż być wypytywaną, co o nim wiem. Tyle ci powiedziałam, wiem. Czy nie mówiłam nic więcej? Czy nie wspomniałam, że pani kazała mi przysiąc na Biblię? Wuju! Czy masz tu świece? Czy są świece, które możemy zapalić tak, aby nikogo nie niepokoić, nikogo tutaj nie ściągać?

– Mam świece i zapalki w kredensie – odparł wuj Joseph. – Ale wyjrzyj za okno, Saro. Dopiero zmierzcha, jeszcze nie jest ciemno.

– Na zewnątrz nie, ale tutaj tak.

– Gdzie?

– W tamtym kącie. Zapalmy świece. Nie lubię, jak ciemność zbiera się w kątach i pełza wzdłuż ścian.

Wuj Joseph rozejrzał się badawczo po pokoju i uśmiechnął się pod nosem, wyjmując z kredensu dwie świece i zapalając je.

– Jesteś jak dziecko – powiedział żartobliwie, spuszczać roletę w oknie. – Boisz się ciemności.

Sara zdawała się go nie słyszeć. Jej wzrok utkwiony był w kącie pokoju, który przed chwilą wskazała. Gdy wuj wrócił na swoje miejsce obok niej, nie obejrzała się, tylko położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała nagle:

– Wuju! Czy wierzysz, że zmarli mogą powrócić na ten świat, śledzić żyjących, dokądkolwiek pójdą, i widzieć, co robią?

Staruszek drgnął.

– Saro! Dlaczego tak mówisz? Dlaczego zadajesz mi takie pytanie?

– Czy są takie samotne godziny – ciągnęła, nadal nie odrywając wzroku od

kąta, nadal zdając się nie słyszeć mężczyzny – gdy bez powodu przeszywa cię strach – w jednym momencie, od stóp do głów? Powiedz mi, wuju, czy kiedyś czułeś, jak zimno ukradkiem ogarnia nasadę włosów i pełźnie wolno wzdłuż pleców? Ja czułam to nawet w lecie. Znajdowałam się na zewnątrz, sama na bezkresnym wrzosowisku, w upale i świetle południa, i czułam się tak, jak gdyby dotykały mnie lodowate palce – lodowate, wilgotne, miękko skradające się palce. W Nowym Testamencie jest napisane, że zmarli raz wyszli z grobów i weszli do świętego miasta. Zmarli! Czy od tamtego czasu spoczywają, spoczywają cały czas, spoczywają na wieki?

Prostoduszna natura wuja Josepha wzdrygnęła się w zdumieniu przed mrocznymi i śmiałymi podejrzeniami, do których prowadziły pytania siostrzenicy. Nie mówiąc ani słowa, próbował odsunąć ramię, które nadal trzymała, ale skutek był taki, że tylko wzmocniła uścisk i pochyliła się do przodu, aby jeszcze bliżej przyjrzeć się zakamarkowi pokoju.

– Moja pani umierała – rzekła – moja pani stała nad grobem, kiedy kazała mi przysięgać na Biblię. Kazała mi przysiąc, że nigdy nie zniszczę listu, i nie zniszczyłam go. Kazała mi przysiąc, że nie zabiorę go z sobą, jeśli opuszczę dom, i nie zabrałam go. Kazałyby mi przysiąc po raz trzeci, że oddam go swojemu panu, ale tym razem śmierć była szybsza od niej – śmierć nie pozwoliła jej narzucić memu sumieniu trzeciej przysięgi. Ale zagroziła mi, wuju, mając czoło zroszone śmiertelnym potem, a policzki okryte śmiertelną bladością, zagroziła mi, że przyjdzie do mnie z zaświatów, jeśli się jej sprzeniewierzę, a ja się jej sprzeniewierzyłam!

Urwała, nagle zabrała rękę z ramienia staruszka i wykonała nią dziwny gest w kierunku tej części pokoju, w której miała utkwiony wzrok.

– Spocznij, o pani, spocznij – wyszeptła bez tchu. – Czy mój pan teraz żyje? Spocznij, dopóki nie powstaną umarli. Powierz mu tajemnicę, kiedy morze wyda swoich zmarłych.

– Saro! Saro! Jesteś zmieniona... jesteś chora... przerażasz mnie! – zawołał wuj Joseph, zrywając się na równe nogi.

Sara wolno się obróciła i spojrzała na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu, wzrokiem, który zdawał się przeszywać go na wskroś i patrzeć na coś poza nim.

– *Gott im Himmel!* Co ona widzi?

Po tym, jak wyrwał mu się ten okrzyk, obejrzał się za siebie.

– Saro! O co chodzi? Jest ci słabo? Jesteś chora? Śniesz na jawie?

Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią. W chwili, gdy poczuła jego dotyk, gwałtownie poderwała się i zadrżała. Jej wzrok z szybkością błyskawicy odzyskał swój zwykły wyraz. Nie odzywając się już ani słowem, pośpiesznie wróciła na miejsce i zaczęła mieszać zimną herbatę w filiżance tak szybko, że płyn wylał się

na spodek.

– Wraca do siebie – powiedział wuj Joseph, przyglądając się jej.

– Wraca do siebie? – powtórzyła bezwiednie.

– No, no! – powiedział staruszek, próbując ją uspokoić. – Jesteś chora, Anglik powiedziała: „rozstrojona”. Są tu dobrzy lekarze. Poczekaj do jutra, a będziesz miała najlepszych.

– Nie chcę lekarzy. Nie wspominaj mi o lekarzach. Nie znoszę ich. Patrzą na mnie z takim zaciekawieniem, nieustannie węższą, jakby chcieli się czegoś dowiedzieć. Dlaczego przerwaliśmy? Miałam tyle do powiedzenia, a my przerwaliśmy właśnie wtedy, gdy powinniśmy mówić dalej. Dręczy mnie smutek i przerażenie, wuju Josephie, ponownie smutek i przerażenie z powodu tajemnicy...

– Ani słowa więcej! – poprosił staruszek. – Przynajmniej nie dzisiaj!

– Dlaczego?

– Bo od mówienia o tym znowu zachorujesz. Będziesz patrzeć w tamten kąt i śnić na jawie. Jesteś zbyt chora, Saro, zbyt chora.

– Nie jestem chora! Och, dlaczego wszyscy ciągle mówią mi, że jestem chora? Porozmawiajmy o tym, wuju. Przyszłam tu, żeby o tym porozmawiać. Nie znajdę spokoju, dopóki ci nie powiem.

Gdy mówiła, na jej policzki wypłynął rumieniec, a sposób bycia zdradzał skrępowanie. Najwyraźniej po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że wyrwały jej się słowa i gesty, które rozsądniej było powściągnąć.

– Nie zwracaj na mnie więcej uwagi – powiedziała prosząco swoim łagodnym głosem. – Nie zwracaj na mnie uwagi, jeśli będę mówiła coś, czego nie powinnam mówić, albo wyglądała, jak nie powinnam wyglądać. Czasami się zapominam i myślę, że właśnie teraz się zapomniałam. To nic nie znaczy, wuju Josephie, naprawdę nic.

Próbując w ten sposób pokrzepić staruszkę, ponownie zmieniła położenie krzesła tak, aby siedzieć plecami do tej części pokoju, w kierunku której dotąd zwracała twarz.

– No, no, dobrze to słyszeć – odezwał się wuj Joseph – ale nie wracaj już do przeszłości, bo jeszcze znów się zapomnisz. Posłuchajmy o tym, co jest teraz. Posłuchaj mnie. Zostaw dawne lata mnie, a ty weź teraźniejszość. Mogę sięgnąć pamięcią szesnaście lat wstecz równie łatwo jak ty. Ach! Nie wierzysz? Posłuchaj, a powiem ci, co się zdarzyło, gdyśmy się ostatnim razem spotkali. Pozwól mi w dwóch słowach udowodnić ci, że mam rację: odchodzisz z posady w starym dworze, uciekasz tutaj, ukrywasz się u mnie, podczas gdy twój pan i jego służby cię szukają, wyjeżdżasz, gdy droga jest wolna, pracować na swój chleb tak daleko od Kornwalii, jak tylko się da, ja błagam i proszę, abys ze mną została, ale ty boisz się swego pana i odchodzisz. Proszę! Oto cała historia twoich kłopotów, kiedy

ostatnim razem zapukałaś do tego domu. Zostaw ją taką, jaka jest, i powiedz mi, co teraz stało się przyczyną twoich trosk.

– Dawna przyczyna moich trosk, wuju Josephie, i obecna przyczyna moich trosk jest ta sama. Tajemnica...

– Cóż to! Znów do tego wracasz?

– Muszę do tego wrócić.

– A to dlaczego?

– Ponieważ tajemnica jest zapisana w liście...

– Owszem, i cóż z tego?

– A listowi grozi odkrycie. Tak jest, wuju! Szesnaście lat przeleżał w ukryciu, a teraz, po tylu latach, straszna możliwość, że zostanie wyciągnięty na światło dzienne, nadeszła jak dzień sądu. Jedyna osoba na świecie, która nigdy nie powinna ujrzeć listu, ma właśnie największe szanse go znaleźć!

– No, no! Jesteś pewna, Saro? Skąd wiesz?

– Usłyszałam to z jej własnych ust. Przypadek sprawił, że się spotkałyśmy...

– My? Co masz na myśli, mówiąc „my”?

– Wuju, pamiętasz, że kiedy mieszkałam w Porthgenna Tower, moim panem był kapitan Treverton?

– Zapomniałem, jak się nazywał. Ale mniejsza z tym, mów dalej.

– Kiedy opuszczałam posadę, panią Treverton była pięcioletnią dziewczynką. Teraz jest zameźną kobietą – piękną, mądrą, obdarzoną taką słodką, młodą, radosną twarzą! I ma dziecko równie śliczne jak ona. Och, wuju, gdybyś mógł ją zobaczyć! Tyle bym dała, żebyś tylko mógł ją zobaczyć!

Wuj Joseph pocałował się w rękę i wzruszył ramionami, pierwszym z tych gestów wyrażając hołd złożony urodzie damy, a drugim rezygnację wobec nieszczęścia, jakim była niemożność zobaczenia jej.

– No cóż – powiedział filozoficznie – odłóż na bok tę godną podziwu kobietę i przejdźmy dalej.

– Teraz nazywa się Frankland – rzekła Sara. – To ładniejsze nazwisko niż Treverton, według mnie dużo ładniejsze. Jej mąż ją kocha, jestem pewna, że tak. Jak mógłby mieć w ogóle jakieś serce i jej nie kochać?

– No, no! – zawołał wuj Joseph, wyglądając na bardzo zbitego z tropu. – Dobrze, jeśli ją kocha, to bardzo dobrze. Ale w jaki labirynt się teraz zapuszczamy? Skąd ta cała opowieść o mężu i żonie? Słowo honoru, Saro, twoje wyjaśnienia nic nie wyjaśniają, tylko wprowadzają mi mętlik w głowie.

– Muszę powiedzieć o niej i o panu Franklandzie, wuju. Porthgenna Tower należy teraz do jej męża i oboje mają tam zamieszkać.

– Ach! Wreszcie wracamy na prostą drogę.

– Mają zamieszkać w tym samym dworze, który skrywa tajemnicę. Mają wyremontować właśnie tę część, gdzie jest ukryty list. Wejdzie do starych pokoi –

sama słyszałam, jak to mówi – będzie je przeszukiwać, aby zaspokoić swoją ciekawość, robotnicy opróżnią je, a ona w chwilach beczynności będzie tam stała i przyglądała się.

– Ale nie domyśla się istnienia tajemnicy?

– Niech Bóg broni, aby kiedykolwiek się domyśliła!

– A we dworze jest wiele pokoi? I list, który zawiera tajemnicę, jest skryty w jednym z wielu? Dlaczego miałyby trafić akurat do tego jednego?

– Ponieważ zawsze mówię nie to, co trzeba! Ponieważ zawsze panikuję i tracę głowę w niewłaściwym momencie! List jest ukryty w pokoju zwanym Pokojem Mirtowym, a ja byłam na tyle głupia, na tyle słaba, na tyle oszalała, aby przestrzec ją przed wchodzeniem do tego właśnie pokoju.

– Ach, Saro! Saro! Fakt, to był błąd.

– Nie potrafię powiedzieć, co mnie opętało. Odchodziłam od zmysłów, słysząc, jak naiwnie mówi o zabawianiu się w penetrowanie starych pokoi, i gdy pomyślałam, co może tam znaleźć. Poza tym zbliżała się noc. Okropny zmrok zbierał się w kątach i pełznął wzdłuż ścian. Chciałam zapalić świece, a mimo to nie miałam odwagi, bo bałam się, że wyczyta prawdę w mojej twarzy. A kiedy już je zapaliłam, było jeszcze gorzej. Och, nie wiem, jak to zrobiłam! Nie wiem, dlaczego to zrobiłam! Dałabym sobie wyrwać język, żeby nie wypowiedzieć tych słów, a jednak je wypowiedziałam. Inni potrafią myśleć, jak należy, potrafią działać, jak należy, ich umysły przygniata wielki ciężar, a oni się pod nim nie uginają, tak jak ja się ugięłam. Pomóż mi, wuju, przez wzgląd na dawne czasy, kiedy byliśmy szczęśliwi, pomóż mi dobrą radą.

– Pomogę ci. Żyję po to, aby ci pomagać, Saro! Nie, nie, nie, nie wolno ci robić takiej beznadziejnej miny, nie wolno ci patrzeć na mnie zapłakanymi oczami. Chodź! Doradzę ci w tej chwili, ale powiedz w czym, powiedz tylko w czym.

– Czy ci nie powiedziałam?

– Nie, nie powiedziałaś mi jeszcze ani słowa.

– Powiem ci teraz.

Urwała, spojrzała ostrożnie w stronę drzwi prowadzących do sklepu, przez chwilę nasłuchiwała i podjęła:

– Nie jestem jeszcze u kresu podróży, wuju Josephie. Jestem tu w drodze do Porthgenna Tower, w drodze do Pokoju Mirtowego, w drodze, krok za krokiem, do miejsca, gdzie jest ukryty list. Nie ośmielę się go zniszczyć, nie ośmielę się go zabrać, ale bez względu na ryzyko muszę wynieść go z Pokoju Mirtowego.

Wuj Joseph nie powiedział nic, ale w przygnębieniu potrząsnął głową.

– Muszę – powtórzyła – zanim pani Frankland dotrze do Porthgenna, muszę wynieść ten list z Pokoju Mirtowego. W starym dworze są miejsca, gdzie będę go mogła znowu ukryć, miejsca, o których nigdy by nie pomyślała, których nigdy by nie zauważyła. Niech tylko wyniosę go z pokoju, w którym na pewno będzie

szukać, a będę wiedziała, gdzie ukryć go na zawsze przed nią i przed całym światem.

Wuj Joseph zamyślił się i ponownie potrząsnął głową. Potem powiedział:

– Jedno słówko, Saro; czy pani Frankland wie, który pokój to Pokój Mirtowy?

– Zrobiłam, co mogłam, aby zniszczyć wszelkie ślady tej nazwy, kiedy ukryłam list. Mam nadzieję i wierzę, że nie wie. Ale może się dowiedzieć. Przypomnij sobie słowa, które, oszalała, wypowiedziałam. Sprawiają, że zaczniesz szukać Pokoju Mirtowego, sprawią to niezawodnie.

– A jeśli się dowie? A jeśli znajdzie list?

– Sprowadzi to nieszczęście na niewinnych ludzi, a mnie przyprawi o śmierć. Nie odsuwaj się ode mnie, wuju! Nie mówię o haniebnej śmierci. Największą krzywdę wyrządziłam sobie samej, a najgorszą śmiercią, jaka mi grozi, jest śmierć, która wyzwoli uciśnioną duszę i uleczy złamane serce.

– Wystarczy – powiedział staruszek. – Nie pytam o sekrety, które nie należą do ciebie, Saro. To wszystko jest dla mnie niejasne... bardzo niejasne, bardzo zawile. Odwracam od tego wzrok, patrzę tylko na ciebie. Nie z powątpiewaniem, moje dziecko, ale ze współczuciem i ze smutkiem, smutkiem z powodu tego, że w ogóle zbliżyłaś się do dworu w Porthgenna, smutkiem, że teraz znów tam idziesz.

– Nie mam innego wyjścia, wuju, jak tam pójść. Gdyby każdy krok na drodze do Porthgenna zbliżał mnie coraz bardziej do śmierci, muszę iść mimo to. Wiedząc to, co wiem, nie mogę spocząć, nie mogę spać, nie mogę nawet oddychać swobodnie, dopóki nie wyniosę tego listu z Pokoju Mirtowego. Jak to zrobić – och, wuju Josephie, jak to zrobić, aby nikt mnie nie podejrzewał, aby nikt mnie nie odkrył – oto wiedza, za którą gotowa byłabym niemal oddać życie. Jesteś mężczyzną, jesteś starszy i mądrzejszy niż ja. Żadna żyjąca istota nigdy nie prosiła cię o pomoc na darmo. Pomóż mi! Jedyne przyjacielu, jakiego mam na świecie, pomóż mi dobrą radą!

Wuj Joseph wstał, stanowczo skrzyżował ramiona i spojrzał siostrzenicy prosto w twarz.

– Pójdiesz tam? – zapytał. – Pójdiesz tam bez względu na wszystko? Powiedz po raz ostatni, Saro, tak czy nie?

– Tak! Po raz ostatni mówię: tak.

– Dobrze. I zrobisz to wkrótce?

– Muszę iść jutro. Nie odważę się tracić ani dnia. Z tego, co wiem, nawet godziny się liczą.

– Obiecujesz, moje dziecko, że z ukrycia tajemnicy wyniknie dobro, a z wyjawienia jej zło?

– Gdyby nawet miało to być ostatnie słowo, jakie przysłoby mi

wypowiedzieć na tym świecie, powiedziałabym: tak!

– Obiecujesz, że nie chcesz zrobić nic innego, jak wynieść list z Pokoju Mirtowego i ukryć go gdzieś indziej?

– Nic innego.

– I do ciebie należy zabrać go i ukryć? Nikt inny nie ma większego niż ty prawa go dotykać?

– Teraz, gdy mój pan nie żyje, nikt inny.

– Dobrze. Utwierdziłaś mnie w moim przekonaniu. Skończyłem. Siedź tu, Saro, i dziw się, jeśli chcesz, ale nic nie mów.

Po tych słowach wuj Joseph podszedł cicho do drzwi prowadzących do sklepu, otworzył je i zawołał do mężczyzny za ladą:

– Samuelu, mój przyjacielu. Wybieram się jutro na małą wycieczkę na wieś z moją siostrzenicą, tą oto damą. Będziesz doglądał sklepu, odbierał zamówienia i był równie staranny jak zawsze, dopóki nie wrócę. Gdyby ktoś przyszedł i pytał o pana Buschmanna, powiedz, że wybrał się na małą wycieczkę na wieś i wróci za kilka dni. To wszystko. Zamknij sklep na noc, mój przyjacielu, i idź na kolację. Życzę ci smacznego i dobrych snów.

Zanim Samuel zdążył podziękować swojemu chlebodawcy, drzwi ponownie się zamknęły. Zanim Sara zdołała coś powiedzieć, wuj Joseph zakrył jej usta dłonią i zaczął ocierać chusteczką łzy płynące szybko z jej oczu.

– Żadnego gadania i żadnego płaczu – powiedział starszek. – Jestem Niemcem i chlubię się uporem sześciu Anglików w jednej osobie. Dziś się tu prześpisz, a jutro wrócimy do tej rozmowy. Chcesz, abym ci pomógł dobrą radą. Pomogę ci samym sobą, co jest jeszcze lepsze niż rada, i nie powiem nic więcej, nim nie zdejmę ze ściany swojej fajki i nie poproszę jej, aby pobudziła mnie do myślenia. Dziś wieczorem będę palił i rozmyślał, a jutro mówił i działał. A ty – ty idź do łóżka. Weź ze sobą pozytywkę wuja Maxa i pozwól, żeby Mozart zagrał ci kołysankę na dobranoc. Tak, tak, moje dziecko, Mozart zawsze przynosi otuchę – lepszą niż łzy. O co tu płakać albo za co tu dziękować? Czy to takie dziwne, że nie pozwolę dziecku mojej siostry iść samemu i narażać się w ciemno? Powiedziałem, że smutek Sary jest moim smutkiem, a radość Sary moją radością, i teraz, skoro nie ma przed tym uciezki, skoro to naprawdę musi się stać, dodaję: jutrzejsze ryzyko Sary jest również jutrzejszym ryzykiem wuja Josepha! Dobranoc, moje dziecko, dobranoc.

* 1 jard = 0,9144 m

Rozdział 2.

Poza domem

Następny poranek nie zachwiał wuja Josepha w powziętym nocą postanowieniu. Z całego zdumienia i zamętu, jakie w jego umyśle zrodziła deklaracja siostrzenicy dotycząca tego, co sprowadziło ją do Kornwalii, zdołał wysnuć jeden jasny i niewątpliwy wniosek, a mianowicie, że Sara była zdecydowana postawić się w sytuacji niepewnej, jeśli nie zgoła niebezpiecznej. Kiedy już utwierdził się w tym przekonaniu, odezwały się w nim życzliwe odruchy, obok skłonności do poświęceń doszła do głosu wrodzona stanowczość, czego naturalnym następstwem była determinacja, aby nie pozwolić krewnej kontynuować podróży na własną rękę.

Choć w innych kwestiach brakowało mu siły, wuj Joseph był tak silny w ofiarnej wielkoduszności swego zamysłu, że kiedy rankiem spotkał się z siostrzenicą, a ona zaczęła robić sobie wyrzuty z powodu poświęcenia, jakie podejmował, i rozprawiać o poważnych niebezpieczeństwach, na jakie się dla niej narażał, nie chciał jej słuchać równie stanowczo, jak zrobił to poprzedniego wieczora. Jeśli porzuciła zamiar udania się do Porthgenna, wystarczy tylko, że powie. Jeśli nie, szkoda strzepić języka na dalsze rozmowy, jako że pozostaje głuchy na wszelkie protesty, jakie mogła wysunąć pod jego adresem. Wyraziwszy się w tych nieprzejednanych słowach, wuj Joseph niespodziewanie porzucił tę kwestię i próbował skierować rozmowę na pogodny, codzienny temat pytaniem o to, jak się siostrzenicy spało.

– Byłam zbyt niespokojna, aby spać – odparła. – Nie potrafię walczyć z moimi lękami i obawami, jak potrafią niektórzy. Całą noc budziły mnie i zaprzętały moje myśli, jak gdyby to był dzień.

– Myśli o czym? – zapytał wuj Joseph. – O ukrytym liście? O dworze w Porthgenna? O Pokoju Mirtowym?

– O tym, jak dostać się do Pokoju Mirtowego – odparła. – Im więcej planuję, obmyślam i ustalę z góry, co mam zrobić, tym bardziej zdaję się zagubiona i bezradna. Całą noc, wuju, usiłowałam wymyślić jakiś pretekst, aby dostać się do dworu, a mimo to, gdybym teraz znalazła się na progu, nie wiedziałabym, co powiedzieć, stanąwszy oko w oko ze służącym. Jak ich przekonamy, aby nas wpuścili? Jeśli nawet wejdziemy do środka, jak mam niepostrzeżenie zniknąć im z oczu? Czy możesz mi powiedzieć? Spróbujesz, wuju Josephie, jestem pewna, że spróbujesz. Pomóż mi tylko do tego momentu, a myślę, że resztę mogę wziąć na siebie. Jeśli nadal trzymają klucze tam, gdzie trzymali je za moich czasów, dziesięć minut to wszystko, czego potrzebuję – dziesięć minut, tylko dziesięć krótkich minut, aby sprawić, że koniec mego życia będzie dla mnie lżejszy, niż był początek, abym mogła zestarzeć się spokojna i pogodzona, jeśli wola Bożą jest,

bym dożyła starości. Och, jak szczęśliwi muszą być ludzie, którzy mają tyle odwagi, ile chcą, którzy są bystrzy, sprytni i mają głowę na karku! Ty jesteś bystrzejszy niż ja, wuju. Powiedziałeś wczoraj, że pomyślisz, jak najlepiej mi doradzić – jaki jest wynik tych przemyśleń? Będę dużo spokojniejsza, jeśli tylko mi to powiesz.

Wuj Joseph skinął głową twierdząco, przybrał wyraz największej powagi i powoli położył palec wskazujący na skrzydełku nosa.

– Co ci wczoraj obiecałem? – zapytał. – Czy nie to, że wezmę swoją fajkę i poproszę ją, aby pobudziła mnie do myślenia? Dobrze, wypaliłem trzy fajki i przysły mi do głowy trzy myśli. Pierwsza myśl: zaczekaj! Druga myśl: ponownie – zaczekaj! Trzecia myśl tak samo: zaczekaj! Mówisz, że będziesz spokojna, Saro, jeśli zdradzę ci wynik moich przemyśleń. Dobrze, zdradziłem. Oto wynik – jesteś spokojna – jest dobrze.

– Zaczekaj? – powtórzyła Sara z wyrazem oszołomienia w oczach, które mogło sugerować wszystko, ale nie spokój. – Obawiam się, wuju, że nie do końca rozumiem. Zaczekaj na co? Zaczekaj jak długo?

– Zaczekaj, aż dotrzemy do dworu, to jasne! Zaczekaj, aż znajdziemy się pod drzwiami. Potem będzie dość czasu, aby obmyślić, jak wejść do środka – powiedział wuj Joseph pewnym siebie tonem. – Teraz rozumiesz?

– Tak, przynajmniej rozumiem lepiej niż wcześniej. Ale jest jeszcze jedna trudność. Wuju! Muszę powiedzieć ci więcej, niż miałam zamiar powiedzieć komukolwiek: muszę powiedzieć ci, że list jest zamknięty na klucz.

– Zamknięty w pokoju?

– Gorzej, zamknięty w czymś, co znajduje się w pokoju. Klucz do drzwi, nawet jeśli go zdobędę, klucz, który otwiera drzwi pokoju to nie wszystko. Jest jeszcze jeden klucz, mały kluczyk...

Urwała zmieszana i przestraszona.

– Mały kluczyk, który zgubiłaś? – zapytał wuj Joseph.

– Wrzuciłam go do studni we wsi tego dnia, kiedy uciekłam z Porth-genna. Och, gdybym tylko zatrzymała go przy sobie! Gdybym tylko pomyślała, że mogę go jeszcze potrzebować!

– No cóż, na to nie ma teraz rady. Powiedz mi, Saro, czym jest to coś, w czym ukryty jest list?

– Boję się, że ściany mają uszy.

– Co za bzdura! Chodź! Powiedz mi na ucho.

Sara rozejrzała się z wahaniem wokół siebie, po czym zbliżyła usta do ucha staruszka. Wysłuchał jej skwapliwie, a kiedy zamilkła, zaśmiał się.

– Phi! – zawołał. – Jeśli to wszystko, głowa do góry. Jak to mówicie, niktzemni Anglicy, to tak łatwo przecie jak kłamać*. Moje dziecko, możesz go sama otworzyć siłą.

– Otworzyć siłą? Jak?

Wuj Joseph podszedł do niskiego parapetu wykonanego w staromodnym stylu, tak aby służył zarówno jako skrzynia, jak i ławka. Otworzył pokrywę, poszperał wśród narzędzi leżących w pojemniku poniżej i wyciągnął dłuto.

– Spójrz – powiedział, demonstrując na blacie parapetu cel, w jakim miało zostać użyte narzędzie. – Wpychasz go do środka – trach! Potem ciągniesz go do góry – trach! Wystarczy jedna chwila – trach! trach! – i zamek ustępuje. Weź dłuto, zawiń je w kawałek tego grubego papieru, który tam leży, i włóż sobie do kieszeni. Na co czekasz? Chcesz, żebym jeszcze raz ci pokazał, czy myślisz, że teraz sama potrafisz to zrobić?

– Chciałabym, żebyś jeszcze raz mi pokazał, wuju Josephie, ale nie teraz, dopiero gdy dotrzemy do celu podróży.

– Dobrze. W takim razie mogę dokończyć pakowanie i iść zapytać o dylizans. Przed wszystkim Mozart musi założyć swój płaszcz i pojechać z nami.

Wziął pozytywkę i umieścił ją ostrożnie w skórzanym pokrowcu, który przewiesił sobie na pasku przez ramię.

– Dalej fajka, tytoń, aby ją nakarmić, i zapalki, aby ją zapalić. W końcu oto mój stary, niemiecki plecak, który spakowałem wczoraj wieczorem. Popatrz! Jest tu koszula, szlafmyca, grzebień, chusteczka, skarpety. Powiedzmy, że jestem cesarzem: czego mi więcej potrzeba? Dobrze. Mam Mozarta, mam fajkę, mam plecak. Mam... zaraz, zaraz! Stara skórzana portmonetka – nie można o niej zapomnieć. Spójrz! Oto ona. Posłuchaj! Brzdęk, brzdęk, brzdęk! Pobrzękuje – są w środku pieniądze. Aha, przyjaciółko, moja kochana Skórko, będziesz lżejsza i chudsza, gdy wrócisz do domu. No, no – wszystko w komplecie. Teraz jesteśmy gotowi do wymarszu, od stóp do głów. Do zobaczenia, Saro, moje dziecko, za pół godzinki. Poczekasz tu i czymś się zabawisz, podczas gdy ja pójde dowiedzieć się o dylizans.

Gdy wuj Joseph powrócił, przyniósł siostrzenicy wiadomość, że za godzinę przez Truro będzie przejeżdżał dylizans, który dowiezie ich na odległość nie większą niż pięć czy sześć mil** od miasta pocztowego leżącego najbliżej Porthgenna. Jedynym bezpośrednim środkiem transportu do tego miasta był nocny dylizans przewożący pocztę, który zatrzymywał się w Truro, aby zmienić konie o bardzo niedogodnej godzinie, a mianowicie o drugiej w nocy. Wuj Joseph był zdania, że podróżowanie nocą oznacza niepotrzebny trud, i proponował wykupić miejsca w dziennym dylizansie, a potem nając jakikolwiek dostępny środek transportu, który zabierze ich do miasta pocztowego. W ten sposób nie tylko zapewnią sobie komfort podróżowania, ale zyskają dodatkowy atut w postaci nietrwonienia w Truro ani chwili więcej niż to konieczne przed wyruszeniem w drogę do Porthgenna.

Jak postanowiono, tak też zrobiono. Kiedy dylizans zatrzymał się, aby

zmienić konie, wuj Joseph wraz z siostrzenicą już czekali, gotowi zająć w nim miejsca. Te pod dachem prócz jednego wszystkie były wolne. Dwie godziny później wysiedli w punkcie położonym najbliżej celu, do którego się udawali, tam najęli bryczkę i między pierwszą a drugą po południu dotarli do miasta pocztowego.

Na prośbę Sary dla ostrożności odprawili woźnicę pod gospodą i pieszo ruszyli przez wrzosowisko do Porthgenna. Wychodząc z miasta, spotkali listonosza, który wracał po porannym dostarczeniu listów w okolicy. Tego ranka jego torba była dużo cięższa, a marsz dłuższy niż zazwyczaj. Wśród dodatkowych listów, które zmusiły go do zejścia ze zwykłej trasy, był jeden zaadresowany do gospodyni w Porthgenna Tower, a dostarczony z samego rana, zaraz po tym jak listonosz wyruszył na obchód.

Przez całą podróż wuj Joseph nie wspomniał ani słowem o celu, w jakim została podjęta. Prostoduszny jak dziecko, został również obdarzony właściwą dzieciom elastycznością usposobienia. Wątpliwości i złe przeczucia, które dręczyły jego siostrzenicę, sprawiając, że była milcząca, zamyślona i smutna, nie przyćmiły jego wrodzonej pogody. Gdyby podróżował wyłącznie dla przyjemności, nie mógłby bardziej rozkoszować się różnymi widokami i wypadkami doświadczanymi w drodze. Całą radość, jaką mogła mu ofiarować przelotna chwila, przyjmował tak skwapliwie i z taką wdzięcznością, jak gdyby przyszłość nie kryła niepewności, jak gdyby u kresu podróży nie czekały na niego zwątpienie, trudności czy niebezpieczeństwa. Nie był jeszcze pół godziny w dylizansie, gdy zaczął opowiadać trzeciemu pasażerowi – sztywnej starszej damie, która przyglądała mu się w milczącym zdumieniu – całą historię pozytywki, którą na koniec nastawił, by grała na przekór hałasowi toczących się kół. Kiedy opuścili dylizans, był równie przyjacielski w stosunku do woźnicy bryczki, głosząc wyższość niemieckiego piwa nad kornwalijskim cydrem i rzucając uwagi na temat mijanych obiektów z najuprzejmiejszą poufałością i rubaszną uciechą z własnych żartów. Dopiero kiedy on i Sara wyszli daleko poza miasteczko i znaleźli się sami na rozciągającym się tam rozległym wrzosowisku, jego zachowanie uległo zmianie, a rozmowność ustała. Przez chwilę szedł milczący, trzymając siostrzenicę pod ramię, po czym nagle zatrzymał się, spojrzał jej w oczy poważnie i życzliwie i położył swoją dłoń na jej dłoni.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chcę zapytać, moje dziecko – rzekł. – Podróż sprawiła, że wypadło mi to z głowy, ale cały czas było w sercu. Kiedy opuścimy Porthgenna i wrócimy do mego domu, nie odjedziesz? Nie zostawisz znów wuja Josepha? Nadal jesteś na służbie, Saro? Jeszcze nie jesteś panią samej siebie?

– Byłam na służbie kilka dni temu – odparła – ale teraz jestem wolna. Straciłam posadę.

- Aha! Straciłaś posadę. A to czemu?
- Bo nie mogłam słuchać, jak niesprawiedliwie oskarża się niewinną osobę.

Bo...

Zreflektowała się. Jednak te kilka słów wypowiedziała z tak nagłym rumieńcem i tak niezwykłą emfazą i stanowczością w głosie, że staruszek otworzył szeroko oczy i spojrzął na siostrzenicę z nieskrywanym zdumieniem.

– No, no, no! – zawołał. – Pokłóciłaś się, Saro!

– Ciii! Nie pytaj mnie teraz o nic więcej! – powiedziała błagalnie. – Jestem zbyt niespokojna i wystraszona, aby odpowiadać. Wuju! To jest wrzosowisko Porthgenna, to jest droga, którą szłam szesnaście lat temu, gdy do ciebie uciekałam. Och! Chodźmy, proszę, chodźmy dalej! Nie mogę myśleć o niczym innym jak o domu, do którego jest tak blisko, i ryzyku, jakie mamy podjąć.

Szli szybko, w milczeniu. Pół godziny marszu doprowadziło ich na najwyższe wzniesienie na wrzosowisku i pozwoliło ujrzeć widok rozciągający się na zachód w całej okazałości.

Oto pod nimi, w dole, stał zatechły, opuszczony gmach Porthgenna Tower. Promienie słoneczne już skradały się w kierunku okien zachodniej ściany! Oto wąska ścieżka schodziła do dworu, wijąc się osłepiająco białymi zakosami przez brązowe wrzosowisko! Oto jeszcze niżej samotny stary kościół, a obok przytulony do niego cichy cmentarz! Oto jeszcze niżej rozrzucone małe dachy rybackich chat! A tam, za tym wszystkim, niezmienna wspaniałość morza, kipiącego odwiecznymi liniami białej piany, odgradzonego od lądu odwieczną krętą obwódką żółtego wybrzeża!

Szesnaście długich lat – lat pełnych smutku, pełnych cierpienia, pełnych burz, odmierzanych uderzeniami żywego serca minęło nad martwotą Porthgenna, odmieniając ją tak nieznacznie, jak gdyby wszystkie one zostały zamknięte w jednym dniu!

Chwile, w których dusza porusza się w nas do głębi, są niemal niezmiennie chwilami, kiedy zewnętrzne oznaki tych poruszeń najtrudniej jest zauważyć. Nasze własne myśli wznoszą się ponad nas, nasze własne uczucia leżą głębiej, niż jesteśmy w stanie sięgnąć. Jak rzadko słowa przychodzą nam z pomocą, gdy ich pomoc jest właśnie najpotrzebniejsza! Jak często łyzy wysychają, gdy najbardziej chcielibyśmy, aby nam ulżyły! Czy kiedykolwiek było na tym świecie silne uczucie, które potrafiłoby właściwie wyrazić własną siłę? Któż postronny, znalazłszy się twarzą w twarz ze staruszkim i jego siostrzenicą stojącymi teraz razem wśród wrzosowisk, domyśliłby się, patrząc na nich, że jedno z nich kontempluje pejzaż jedynie oczami zaciekawionego przybysza, a drugie patrzy na niego przez pryzmat wspomnień całego życia? Oczy obojga były suche, języki milczące, twarze zwrócone z równą uwagą na widok. Nawet pomiędzy nimi nie było prawdziwego porozumienia, żadnego rozumnego zewu jednej duszy do

drugiej. Kiedy ruszyli dalej i przemówili do siebie, podziw staruszka dla widoku nie został wyrażony zwięźle i bardziej ochoczo niż utarte zwroty wyrażające zgodę, którymi jego siostrzenica odpowiadała na nieliczne uwagi. Jak wiele w tym doczesnym życiu jest chwil, gdy mimo daru wymowy, którym się szczycimy, słowa zdradziecko znikają z naszego słownika i na jego kartach znajdujemy tylko idealną pustkę!

Powoli schodząc po zboczach, wuj i siostrzenica zbliżali się coraz bardziej do Porthgenna Tower. Byli jakiś kwadrans marszu od dworu, gdy Sara zatrzymała się w miejscu, gdzie druga ścieżka przecinała główny szlak, którym podążali. Na lewo od miejsca, gdzie stali, dróżka biegła w dal, aż znikła w bezkresie wrzosowiska. Na prawo prowadziła prosto do kościoła.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zapytał wuj Joseph, spoglądając najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

– Czy mógłbyś tu chwilę na mnie poczekać, wuju? Nie mogę minąć ścieżki do kościoła... – urwała, mając pewne trudności z wyrażeniem się – ... jako że nie wiem, co będzie, kiedy dotrzemy do domu, nie pragnąc zobaczyć... popatrzeć na coś...

Ponownie urwała i tęsknie zwróciła twarz ku kościołowi. Łzy, które nie zwilżyły jej oczu na widok Porthgenna, teraz zaczynały do nich napływać.

– Idź, dokąd chcesz, i zobacz, co chcesz – powiedział staruszek, poklepując ją po ramieniu. – Ja zatrzymam się tu i uraczę fajką, a Mozart wyjdzie ze swojej klatki i pośpiewa trochę w tym wspaniałym rzeńskim powietrzu.

Mówiąc to, zdjął z ramienia skórzany futerał, wyjął pozytywkę i nastawił ją, aby wygrywała swoim cichym dzwonieniem drugą z dwóch arii, do jakich została stworzona – menueta z *Don Giovanniego*. Sara zostawiła go w chwili, gdy rozglądał się bacznie – nie za miejscem do siedzenia, ale za równym kamieniem, na którym mógłby ustawić pozytywkę. Kiedy go znalazł, zapalił fajkę i usiadł do muzyki i palenia niczym smakosz do dobrego obiadu.

– Aha! – powiedział do siebie, spoglądając na otaczający go ze wszystkich stron dziki bezkres równie spokojnie, jak gdyby nadal był w swoim małym kantorku w Truro. – Aha! Oto wspaniała, wielka sala koncertowa, mój przyjacielu Mozarcie, w której możesz śpiewać! Uff, wiatr tutaj jest na tyle mocny, by zanieść twoją śliczną taneczną melodię w stronę morza i pozwolić zakosztować jej marynarzom pływającym na statkach.

W międzyczasie Sara zdążyła szybko w kierunku kościoła i weszła za ogrodzenie małego cmentarzyka. Po upływie szesnastu lat zwróciła się w stronę tej samej jego części, do której skierowała kroki rankiem w dniu śmierci swej pani. Przynajmniej tutaj upływ czasu pozostawił namacalny ślad, a objawiał się on w postaci grobów. Jak wiele mogił i tablic pojawiło się na małym spłachetku ziemi, który ostatnio widziała pustym! Ten jeden grób, który przyszła odwiedzić, grób,

który dawniej stał na uboczu, miał towarzyszy po prawej i po lewej stronie. Nie odróżniłaby go od reszty, gdyby nie zacieki, które deszcze i burze zostawiły na kamiennej tablicy, a którymi nie zdążyły poznać innych grobów. Mogła nadal zachować swój kształt, ale trawa wybujała wysoko i poruszona wiatrem, przywitała Sarę posępnym szelestem. Kobieta uklękła przy tablicy, próbując odczytać inskrypcję. Czarna farba, dawniej podkreślająca wykute litery, teraz złuszczyła się zupełnie. Każde inne oczy miałyby trudność z odczytaniem choćby nazwiska zmarłego. Sara westchnęła ciężko, machinalnie przesuając palcem po kolejnych literach inskrypcji:

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

HUGH POLWHEAL

LAT 26

ZGINĄŁ ŚMIERCIA TRAGICZNĄ

PRZYGNIECIONY SKAŁĄ

W

KOPALNI W PORTHGENNA

17 GRUDNIA 1823

Dłoń Sary dotarła do ostatniej linijki, zatrzymała się na chwilę na literach, a ona sama nachyliła się i przycisnęła wargi do kamienia.

– Tak będzie lepiej! – powiedziała do siebie, podnosząc się z klęczek i po raz ostatni spoglądając na inskrypcję. – Lepiej niech się zatrze! Mniej obcych oczu ją zobaczy, mniej obcych stóp podąży śladem moich, a on będzie spoczywał w większym spokoju!

Otarła łzy z oczu i zerwała kilka źdźbeł trawy z grobu, po czym opuściła cmentarz. Za żywopłotem przystanęła na chwilę i wyciągnęła z zanadru książeczkę z hymnami Wesleya, którą zabrała z biurka w swojej sypialni tego ranka, kiedy uciekła z Porthgenna. Zasuszone resztki trawy zerwanej z grobu szesnaście lat wcześniej nadal znajdowały się między kartkami. Dodała do nich świeżo zebrane źdźbła, schowała książeczkę z powrotem w zanadru i pośpieszyła przez wrzosowisko do miejsca, gdzie czekał na nią staruszek.

Zastała go pakującego pozytywkę z powrotem do pokrowca.

– Dobry wiatr – powiedział, nastawiając otwartą dłoń pod rześką bryzę

wiejącą nad wrzosowiskiem. – Naprawdę, bardzo dobry wiatr, kiedy zażywa się go samemu, ale strasznie zły, kiedy zażywa się go z Mozartem. Zdmuchuje melodię jak kapelusz z głowy. Wracasz, moje dziecko, w samą porę, właśnie w chwili, gdy fajka wypalona, a Mozart jest gotów znów wyruszyć w drogę. Ach, znowu płakałaś, Saro? Co takiego cię spotkało, że płakałaś? No, no! Rozumiem: im mniej pytań będę zadawał, tym bardziej będziesz mnie lubiła. Dobrze. Skończyłem. Nie! Mam jeszcze ostatnie pytanie. Po co tu stoimy? Dlaczego nie idziemy dalej?

– Tak, tak, masz rację, wuju Josephie, chodźmy natychmiast. Stracę resztki odwagi, jeśli będziemy tu dłużej stać i patrzeć na dwór.

Nie zwlekając, ruszyli ścieżką w dół. Kiedy doszli do jej końca, stanęli na wprost wschodniego muru granicznego Porthgenna Tower. Główne wejście do dworu, w ostatnich latach bardzo rzadko używane, było usytuowane od zachodu i wiodła do niego brukowana droga z widokiem na morze. Mniejsze wejście, którego zazwyczaj używano, znajdowało się po południowej stronie budynku i prowadziło przez pomieszczenia dla służby do głównego holu i zachodniej klatki schodowej. Dawna znajomość domu powiodła Sarę instynktownie ku tej właśnie części. Kobieta prowadziła swego towarzysza, aż dotarli do południowego załomu wschodniego muru, po czym przystanęła i rozejrzała się. Odkąd minęli listonosza i weszli na wrzosowisko, nie widzieli żywej duszy, i mimo że byli teraz pod samymi murami dworu Porthgenna, w zasięgu wzroku nie ukazał się żaden mężczyzna, żadna kobieta ani dziecko – nie było nawet zwierzęcia domowego.

– Bardzo tu pusto – powiedziała Sara, rozglądając się niepewnie. – Dużo puściej niż dawniej.

– Czy teraz zatrzymujesz się tylko po to, aby powiedzieć mi to, co sam widzę? – zapytał wuj Joseph, którego niepoprawna wesołość nie opuszczałyby nawet na pustkowiach Sahary.

– Nie, nie! – odpowiedziała pośpiesznym, nerwowym szeptem. – Ale dzwonek, którym musimy zadzwonić, jest tak blisko, tuż za rogiem. Chciałabym wiedzieć, co powiemy, kiedy staniemy oko w oko ze służącym. Powiedziałeś, że będzie dość czasu, aby o tym pomyśleć, kiedy znajdziemy się pod drzwiami. Wuju! Jesteśmy prawie pod drzwiami. Co zrobimy?

– Pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić – rzekł wuj Joseph, wzruszając ramionami – jest oczywiście zadzwonić.

– Tak, ale kiedy zjawi się służący, co mamy powiedzieć?

– Powiedzieć? – powtórzył wuj Joseph, mocno ściągając brwi, jak gdyby pochłonięty myśleniem, i uderzając palcem wskazującym w czoło tuż pod brzegiem kapelusza. – Powiedzieć? Stój, stój, stój, stój! Ach, mam to! Wiem! O nic się nie martw, Saro. W chwili, gdy drzwi się otworzą, cała rozmowa ze służącym spadnie na mnie.

– Och, co za ulga! Co powiesz?

– Powiesz? „Jak się pan miewa? Przyszliśmy obejrzyć dom”.

Kiedy wyjawiał ten nadzwyczajny wybieg mający pozwolić im wejść do dworu, pytająco rozłożył dłonie, odszedł kilka kroków od siostrzenicy i spojrzał na nią z miną zadowolonego z siebie człowieka, który jednym myślowym susem przeskoczył od niewiadomej do odkrycia. Sara wpatrywała się w niego w zdumieniu. Wyraz absolutnej pewności na jego twarzy sprawił ją w osłupienie. Najmarniejszy ze wszystkich marnych pretekstów uzyskania wstępu do dworu, które wymyśliła poprzedniej nocy i odrzuciła, wydawał się majstersztykiem przebiegłości w porównaniu z tak dziecinnie prostym wybiegiem, jaki zaproponował wuj Joseph. A jednak stał tam, najwyraźniej święcie przekonany, że znalazł sposób na usunięcie z ich drogi wszelkich przeszkód. Nie wiedząc, co powiedzieć, nie wierząc wystarczająco w słuszność swoich własnych wątpliwości, aby zaryzykować otwarte wyrażenie opinii za lub przeciw, uciekła się do ostatniej możliwości, jaka jej teraz została – próbowała zyskać na czasie.

– To bardzo, bardzo miło z twojej strony, wuju, że bierzesz na siebie całą trudność rozmawiania ze służącym – rzekła, a skrywane w jej sercu zwątpienie dało o sobie znać wbrew jej woli w słabości głosu i rozpaczliwej konsternacji w oczach. – Ale czy mógłbyś zaczekać chwilę, zanim zadzwonimy do drzwi, i pospacerować kilka minut wzdłuż ściany, gdzie nikt nas nie zobaczy? Potrzebuję jeszcze trochę czasu, aby przygotować się na czekającą mnie próbę, a... a na wypadek, gdyby służący sprawiał jakieś trudności z wpuszczeniem nas do środka... mam na myśli trudności, których nie możemy teraz przewidzieć... nie byłoby dobrze wymyślić coś innego, co powiemy przy drzwiach? Może gdybyś mógł jeszcze raz się zastanowić...

– Nie ma najmniejszej potrzeby – przerwał wuj Joseph. – Wystarczy, że porozmawiam ze służącym, a – trach, trach! – zobaczysz, że wejdziemy do środka. Ale pospaceruję tak długo, jak będziesz chciała. Nie ma powodu, abyś miała wymyślać wszystko w jednej chwili tylko dlatego, że ja wymyśliłem wszystko w jednej chwili. Nie, nie, nie – najmniejszego powodu.

Powiedziawszy te słowa protekcyjnym tonem i z uśmiechem zadowolenia z siebie, które byłyby nieodparcie komiczne w mniej krytycznych okolicznościach, staruszek ponownie podał ramię siostrzenicy i poprowadził ją z powrotem przez nierówny teren leżący pod wschodnim murem dworu.

Podczas gdy targana wątpliwościami Sara czekała na zewnątrz budynku, dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się, że inna osoba, piastująca wysokie stanowisko w domowej hierarchii, również czekała pełna wątpliwości w jego wnętrzu. Osobą tą był nikt inny jak gospodyni we dworze Porthgenna Tower, a przyczyną jej konsternacji był list doręczony przez listonosza tego ranka.

Był to list od pani Frankland, napisany po odbyciu przez nią długiej rozmowy z mężem i panem Orridge'em i otrzymaniu ostatnich informacji, jakie

doktor był w stanie przekazać w związku z panią Jazeph.

Gospodyni przeczytała list parokrotnie, za każdym razem coraz bardziej zaintrygowana i zdumiona. Czekala teraz na powrót pana Mundera, zarządcy, chwilowo zajętego obowiązkami poza domem, z zamiarem zasięgnięcia jego opinii w sprawie osobliwego listu, jaki otrzymała od swojej pani.

Gdy Sara i jej wuj nadal spacerowali wzdłuż wschodniego muru, pan Munder wszedł do pokoju gospodyni. Był to jeden z tych wysokich, poważnych mężczyzn o życzliwej powierzchowności, stożkowatej głowie, niskim głose, wolnym kroku i ociężałych ruchach, którym udaje się wyrobić sobie opinię mędrca, nie zadając sobie żadnego trudu, aby zasłużyć na nią mową lub czynem. W całej okolicy zarządca słynął jako niezwykle logiczny, rozsądny człowiek, a gospodyni, choć w innych kwestiach kobieta bystra, w tym jednym wypadku w dużej mierze ulegała zbiorowej iluzji.

– Dzień dobry, pani Pentreath – rzekł pan Munder. – Czy są dziś jakieś wieści?

Jak wielką wagę i znaczenie nadały tym dwóm nieistotnym zdaniom niski głos zarządcy oraz imponująco powolny sposób używania go!

– Wieści, które pana zadziwią, panie Munder – odparła gospodyni. – Dostałam dziś rano list od pani Frankland, będący bez wątpienia najbardziej zagadkową wiadomością, z jaką się spotkałam. Mam przekazać panu treść listu i czekałam cały ranek, aby usłyszeć pana zdanie na jego temat. Proszę usiąść i skupić całą uwagę, bo zapewniam, że list jej wymaga.

Pan Munder usiadł i z miejsca stał się uosobieniem uwagi – nie zwyczajnej uwagi, która może osłabnąć, ale sędziowskiej uwagi, która nie wie, co to zmęczenie, i wznosi się zarówno ponad potęgę nudy, jak i potęgę czasu. Gospodyni, nie tracąc cennych minut – minut pana Mundera, które w skali ważności stały się równe minutom premiera! – otworzyła list od swej pani i opierając się naturalnej pokusie wygłoszenia kilku wstępnych uwag, niezwłocznie uraczyła zarządcę pierwszym akapitem, który brzmiał następująco:

Pani Pentreath!

Musi Pani mieć dość otrzymywania ode mnie listów wyznaczających dzień przyjazdu pana Franklanda i mojego. Tym razem, to jest za trzecim razem, kiedy piszę Pani o naszych planach, najlepiej będzie, jak sądzę, zawiadomić jedynie, że wyjedziemy z West Winston do Porthgenna, gdy tylko lekarze pozwolą mi podróżować.

– Jak dotąd – zauważyła pani Pentreath, kładąc sobie list na kolanach i wygładzając go z niejaką irytacją – jak dotąd nie ma nic bardzo ważnego. List wydaje mi się (mówiąc między nami) napisany dość kiepskim stylem, zbyt

przypominającym zwykłą mowę zgodnie z moim pojęciem o tym, jak powinien wyglądać styl pisania damy, ale to kwestia gustu. Nie mogę powiedzieć i jestem ostatnią osobą, która chciałaby powiedzieć, że początek listu pani Frankland nie jest, ogólnie biorąc, zupełnie jasny. Natomiast chciałabym się pana poradzić co do zasadniczej części i zakończenia listu.

– Otóż to – rzekł pan Munder.

Zaledwie dwa słowa, ale więcej w nich treści niż w dwustu w ustach zwykłego człowieka! Gospodyni niezwykle głośno i dokładnie odchrząknęła i czytała dalej:

Głównym powodem, dla którego piszę te słowa, jest poprosić, zgodnie z życzeniem pana Franklanda, aby Pani wraz z panem Munderem spróbowali możliwie dyskretnie ustalić, czy osoba podróżująca obecnie po Kornwalii, która bardzo nas interesuje, była widziana w pobliżu Porthgenna. Osoba ta jest nam znana jako pani Jazeph. To starsza kobieta, spokojna i dystygowana, wyglądająca na trwożliwą i delikatnego zdrowia. Z tego, co wiemy, ubiera się nad wyraz stosownie i schludnie, w ciemne kolory. W jej spojrzeniu widać dziwną nieśmiałość, głos ma niezwykle łagodny i cichy, a jej sposób bycia często cechuje skrajne niezdecydowanie. Opisuję ją tak szczegółowo na wypadek, gdyby nie podróżowała pod tym samym nazwiskiem, pod którym ją znamy.

Z pewnych względów, których nie ma konieczności podawać, zarówno ja jak i mój mąż uważamy za prawdopodobne, że kiedyś w swoim życiu pani Jazeph mogła być związana z okolicą Porthgenna. Bez względu na to, czy jest to prawda, czy nie, wiadomo ponad wszelką wątpliwość, iż zna wnętrze dworu Porthgenna Tower i że z jakiegoś niezrozumiałego dla nas powodu interesuje się domem. Połączywszy te fakty z wiedzą, że obecnie przebywa w Kornwalii, mamy podstawy, aby sądzić, że Pani, pan Munder albo też inna zatrudniana przez Panią osoba może ją spotkać. Gdyby przypadkiem poprosiła, aby wolno jej było obejrzeć dom, bardzo zależy nam na tym, aby nie tylko oprowadziła ją Pani z największą chęcią i uprzejmością, ale także dyskretnie i uważnie śledziła jej poczynania od chwili, gdy wejdzie do budynku, do chwili, gdy z niego wyjdzie. Proszę nawet na chwilę nie spuszczać jej z oczu i jeśli to możliwe, proszę się postarać, aby jakaś zaufana osoba śledziła ją niezauważona i upewniła się, gdzie pójdzie po wyjściu z domu. Jest sprawą najwyższej wagi, aby niniejsze polecenia (jakkolwiek mogą się one Pani wydawać dziwne) zostały bezwarunkowo wypełnione co do joty.

Starcza mi na tyle tylko miejsca i czasu, aby dodać, że nie wiemy nic kompromitującego o tej osobie i że pragnęlibyśmy, aby pokierowała Pani tą sprawą z odpowiednią rozważą (w razie gdyby spotkała Pani tę kobietę) tak, aby nie nabrała ona podejrzeń, że działa Pani na czyjeś polecenie albo że zależy Pani

na obserwowaniu jej posunięć. Będzie Pani tak dobra przekazać treść listu zarządcy. Może Pani również, o ile zajdzie konieczność, powtórzyć polecenia każdej innej zaufanej osobie.

Z poważaniem

Rosamond Frankland

PS Opuściłam już swój pokój, a dziecko ma się znakomicie.

– Proszę! – rzekła gospodyni. – O co w tym wszystkim chodzi, chciałabym się dowiedzieć! Czy kiedykolwiek w całym swoim życiu spotkał się pan z podobnym listem, panie Munder? Oto kładzie się nam na barki bardzo dużą odpowiedzialność bez słowa wyjaśnienia. Przez cały ranek zachodziłam w głowę, dlaczego interesują się tą tajemniczą kobietą, i im więcej myślę, tym mniej z tego wynika. Jakie jest pana zadanie, panie Munder? Powinniśmy niezwłocznie coś zrobić. Czy jest jakiś tryb postępowania, który byłby pan skłonny wskazać?

Pan Munder zakaszał powątpiewająco, założył prawą nogę na lewą, krytycznie przechylił głowę na bok, zakaszał po raz drugi i spojrzał na gospodynię. Gdyby głowa ta należała do jakiegokolwiek innego człowieka na świecie, pani Pentreath uważałaby, że twarz znajdująca się teraz naprzeciw jej twarzy wyraża jedynie najgłębsze i najbardziej bezmyślne zakłopotanie. Ale była to twarz pana Mundera i należało na nią patrzeć z wyrazem pełnego szacunku oczekiwania.

– Zdaje mi się... – zaczął pan Munder.

– Tak? – podchwyciła gospodyni.

Zanim mężczyzna zdołał wypowiedzieć kolejne słowo, weszła pokojówka, aby nakryć pani Pentreath do obiadu.

– No, już! Nie teraz, Betsey – rzekła niecierpliwie gospodyni. – Nie nakrywaj, póki po ciebie nie zadzwonię. Pan Munder i ja mamy coś bardzo ważnego do omówienia i nie można nam na razie przeszkadzać.

Ledwo skończyła mówić, gdy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Zadzwonił dzwonek u drzwi. W Porthgenna Tower było to bardzo niecodzienne zdarzenie. Nieliczne osoby, które przychodziły do dworu w zwykłych sprawach, zawsze wchodziły przez boczną furtkę, którą w ciągu dnia zamykano jedynie na klamkę.

– Któż to może być!?! – zawołała pani Pentreath, śpiesząc do okna, z którego miała widok na niższe stopnie wejściowych schodów.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, była dama stojąca na najniższym stopniu – dama ubrana bardzo schludnie w spokojne, ciemne kolory.

– Wielkie nieba, panie Munder! – zawołała gospodyni, podbiegając z powrotem do stołu i porywając pozostawiony tam list pani Frankland. – Przy drzwiach czeka właśnie nieznajoma osoba! Dama, a przynajmniej kobieta, i to ubrana schludnie, w ciemne kolory! Proszę mnie uszczypnąć, bo nie uwierzę, panie Munder! Stój, Betsey, stój, gdzie stoisz!

– Chciałam tylko otworzyć drzwi, proszę pani – wyjąkała zdumiona Betsey.

– Stój, gdzie stoisz – powtórzyła pani Pentreath, opanowując się z wielkim wysiłkiem. – Mam pewne powody, aby w tym szczególnym przypadku ustąpić ze swego stanowiska i zająć twoje. Nie wchodź mi w drogę, ty zagapiony głuptasie! Idę osobiście otworzyć drzwi.

* Cytat z *Hamleta* w przekładzie J. Paszkowskiego.

** 1 mila = ok. 1,6 km

Rozdział 3.

W domu

Zdumienie pani Pentreath na widok damy za oknem jeszcze wzrosło, gdy otworzywszy drzwi, ujrzała dżentelmena. Wuj Joseph, który po zadzwonieniu do drzwi stał blisko dzwonka, zamiast dołączyć do siostrzenicy na schodach, był na tyle blisko domu, aby pozostać niewidocznym z okna gospodyni. Wyobraźnia pani Pentreath była tak pobudzona, iż zdawało się kobiecie, że pojawił się na progu równie niespodziewanie jak zjawa – zjawa niskiego, rumianego starszego dżentelmena, który uśmiechał się, kłaniał i zdejmował kapelusz zwinnym, zamaszystym ruchem wyrażającym wybitną uprzejmość i mającym w sobie coś nadludzkiego.

– Jak się droga pani miewa? Przyszliśmy obejrzyć dom – odezwał się wuj Joseph, gdy tylko drzwi się otwarły, wypróbując swój niezawodny wybieg mający zagwarantować wstęp do posiadłości.

Pani Pentreath oniemiała. Kim był ten bezceremonialny staruszek z obcym akcentem i fantastycznym ukłonem? I dlaczego odzywał się do niej, jak gdyby był jej bliskim przyjacielem? List pani Frankland w żadnym miejscu nie wspominał o nim ani słowem.

– Jak się droga pani miewa? Przyszliśmy obejrzyć dom – powtórzył wuj Joseph, dając swojemu nieodpartemu pozdrowieniu szansę w postaci drugiej próby.

– Przed chwilą już pan to powiedział, sir – zauważyła pani Pentreath, odzyskując panowanie nad sobą na tyle, aby użyć języka w swojej obronie. – Czy dama – ciągnęła, spoglądając przez ramię staruszka na schody, gdzie stała jego siostrzenica – czy dama również chciałaby obejrzyć dom?

Wyrażona przez Sarę łagodnym tonem odpowiedź twierdząca, jakkolwiek bardzo zwięzła, przekonała gospodynię, że oto naprawdę ma przed sobą damę opisaną w liście pani Frankland. Schludnej, skromnej sukni towarzyszył łagodny ton głosu, a kiedy kobieta na chwilę podniosła wzrok, było i charakterystyczne nieśmiałe spojrzenie! Bez względu na to, jak wzburzona i zdziwiona była pani Pentreath, nie mogła dłużej odczuwać niepewności co do tego, jak powinna postąpić w odniesieniu do jednego z dwojga nieznanym. Jednak jeśli chodzi o drugiego gościa, zagadkowego cudzoziemskiego staruszka, targały nią potężne wątpliwości. Czy nie byłoby najbezpieczniej trzymać się poleceń wydanych w liście pani Frankland i poprosić go, by poczekał na zewnątrz, podczas gdy dama będzie oprowadzana po domu? Czy może najlepiej byłoby działać na własną odpowiedzialność i zaryzykować wpuszczenie go do środka wraz z towarzyszką? Trudno było rozstrzygnąć ten problem i dlatego należało go przedłożyć lepszemu osądowi pana Mundera.

– Zechce pani wstąpić na chwilę i poczekać tu, podczas gdy ja porozmawiam

z zarządcą? – spytała pani Pentreath, celowo ignorując bezceremonialnego cudzoziemskiego staruszka i zwracając się wprost ponad nim do damy na schodach.

– Bardzo dziękuję – powiedział wuj Joseph z uśmiechem i ukłonem, nieczuły na zniewagę. – A nie mówiłem? – wyszeptał triumfalnie do siostrzenicy, kiedy ta mijała go, wchodząc do domu.

W pierwszej chwili pani Pentreath chciała od razu zejść na dół i rozmówić się z panem Munderem. W porę jednak przypomniała sobie ten fragment listu pani Frankland, który nakazywał jej nie spuszczać z oka skromnie ubranej damy, i stanęła. To konkretne napomnienie przypomniało jej się tym bardziej, że w zachowaniu nieznanym zaszła dziwna zmiana. Zdawało się, że w chwili, kiedy kobieta przekroczyła próg, straciła całą swoją rezerwę i nie mogła doczekać się, aż będzie jej wolno wejść w głąb domu.

– Betsey! – zawołała pani Pentreath, ostrożnie przyzywając służącą, oddaliwszy się zaledwie kilka kroków od gości. – Betsey! Poproś pana Mundera, aby był tak dobry i podszedł tu.

Pan Munder zjawił się z wielkim namaszczeniem i jakimś ponurym dostojeństwem w wyrazie twarzy. Przywykł do tego, że traktuje się go z szacunkiem, i nie podobało mu się, że gospodyni bezceremonialnie opuściła go, gdy tylko postłyszwała dzwonek, nie pozostawiając mu czasu na wydanie opinii w sprawie listu pani Frankland. W związku z tym, gdy wielce podniecona pani Pentreath odciągnęła go na bok i szeptem przekazała zdumiewającą wiadomość, że dama będąca tajemniczym przedmiotem zainteresowania pani Frankland stoi oto przed nimi, przyjął wiadomość z najbardziej irytującą obojętnością. Jeszcze gorzej było, gdy zaczęła przedstawiać swoje dylematy, przez cały czas czujnie obserwując oboje nieznanym. Bez względu na to, z jak wielkim szacunkiem odwoływała się do wyższej mądrości pana Mundera, on cały czas słuchał z lekceważącym grymasem, a na koniec z irytacją sprzeciwił się, gdy próbowała dodać, że jej własne przemyślenia podpowiadają, aby nie brać na siebie odpowiedzialności i raczej poprosić, by cudzoziemski dżentelmen zaczekał na zewnątrz, podczas gdy dama będzie oprowadzana po domu zgodnie ze wskazówkami pani Frankland.

– Takie może być pani zdanie – rzekł oschle pan Munder. – Ale nie moje. Gospodyni osłupiała.

– Zapewne – zasugerowała z szacunkiem – uważa pan, że cudzoziemski dżentelmen może upierać się przy zwiedzaniu domu wraz z damą?

– Oczywiście, że tak uważam – rzekł pan Munder. (Nie uważał nic podobnego. W tym momencie myślał tylko o tym, jak zaznaczyć swoją dominację, ustawiając się w opozycji do powziętych z góry planów pani Pentreath).

– A zatem wzięłyby pan na siebie odpowiedzialność oprowadzenia ich obojga po domu, widząc, że przyszli razem? – zapytała gospodyni.

– Oczywiście, że tak – odparł zarządca z błyskawicznym zdecydowaniem, będącym cechą wszystkich nieprzeciętnych ludzi.

– Cóż, panie Munder, zawsze z przyjemnością kieruję się pana zdaniem i teraz też tak postąpię – rzekła pani Pentreath. – Ale, jako że trzeba będzie mieć baczenie na dwie osoby, bo pod żadnym pozorem nie spuszczałabym z oka cudzoziemca, muszę poprosić pana, aby podzielił ze mną trud oprowadzenia ich po domu. Taka jestem podekscytowana i roztrzęsiona, że zdaje mi się, że odchodzę od zmysłów... nigdy wcześniej nie byłam w takiej sytuacji... otaczają mnie zagadki, których nie rozumiem... i mówiąc krótko, jeśli nie wolno mi liczyć na pańską pomoc, nie ręczę, że nie popełnię jakiegoś błędu. Byłoby mi bardzo przykro popełnić jakiś błąd, nie tylko ze względu na mnie, ale...

W tym miejscu gospodyni urwała i twardo spojrzała na pana Mundera.

– Proszę mówić dalej – powiedział pan Munder z bezlitosnym opanowaniem.

– Nie tylko ze względu na mnie – podjęła z fałszywą skromnością pani Pentreath – ale i na pana, ponieważ list pani Frankland bez wątpienia składa odpowiedzialność za załatwienie tej delikatnej sprawy zarówno na barki pana, jak i moje.

Pan Munder cofnął się o kilka kroków, spurpurowiał, otworzył usta w oburzeniu, zawahał się i znów je zamknął. Słusznie wpadł we własne sidła. Nie mógł wycofać się z odpowiedzialności za kierowanie posunięciami gospodyni zaraz po tym, jak dobrowolnie podjął w jej imieniu decyzję. Nie mógł też zaprzeczyć, że list pani Frankland wyraźnie i wielokrotnie odnosił się do niego imiennie. Był tylko jeden sposób na wyjście z trudnej sytuacji z twarzą i pan Munder bezczelnie uciekł się do niego, gdy tylko odzyskał panowanie nad sobą na tyle, że mógł zebrać siły na ten wyczyn.

– Jestem w najwyższym stopniu zdumiony, pani Pentreath – zaczął z godnością. – Tak, powtarzam, jestem w najwyższym stopniu zdumiony, że uważa pani, iż byłbym zdolny pozwolić pani oprowadzać gości po domu samej w tak niezwykłych okolicznościach, w jakich się obecnie znajdujemy. Nie, proszę pani! Bez względu na inne moje wady, unikanie mojej części odpowiedzialności nie jest jedną z nich. Nie potrzebuję, aby mi przypominano o liście pani Frankland i – nie! nie potrzebuję żadnych przeprosin. Jestem najzupełniej gotów, proszę pani – najzupełniej gotów poprowadzić gości na górę, kiedy tylko pani będzie gotowa.

– Im szybciej, tym lepiej, panie Munder, bo oto ten bezczelny cudzoziemski staruszek ucina sobie pogawędkę z Betsey, jak gdyby znał ją całe życie!

Stwierdzenie to było prawdziwe. Wuj Joseph wykorzystywał swój dar łatwego nawiązywania kontaktów w stosunku do pokojówki (która zamiast wracać do kuchni, zatrzymała się, aby popatrzeć na nieznanomych), tak jak wcześniej wykorzystywał go w stosunku do staruszki podróżującej dyliżansem i woźnicy bryczki, którą on i jego siostrzenica dojechali do miasta pocztowego w pobliżu

Porthgenna. Podczas gdy gospodyni i zarządca uczestniczyli w poufnej naradzie, on przyprawiał Betsey o salwy tłumionego chichotu dziwacznymi pytaniami o dwór i o to, jak się jej w nim pracuje. Jego dociekania naturalnie rozpoczynały się od południowej części budynku, przez którą weszli on i jego towarzyszką, następnie przechodziły do zachodniej części, którą za chwilę mieli zwiedzić, a stamtąd do części północnej, do której nikt z domowników nie miał wstępu. Kiedy pani Pentreath zbliżyła się wraz z zarządcą, pochwyciła następującą wymianę zdań pomiędzy obcokrajowcem a pokojówką:

– Ale powiedz mi, droga Betzee, dlaczego nikt nigdy nie wchodzi do tych zatęchłych starych pokoi?

– Bo tam mieszka duch – odparła Betsey, wybuchając śmiechem, jakby ciągnawiedzonych pokoi i ciągnawybornych żartów były jednym i tym samym.

– W tej chwili zamilcz i wracaj do kuchni – zawołała z oburzeniem pani Pentreath. – Ciemni ludzie w okolicy – ciągnęła, nadal celowo ignorując wuja Josepha i zwracając się tylko do Sary – opowiadają niedorzeczne historie o starych pokojach w niewyremontowanej części dworu, niezamieszkałych przez ponad pół wieku – niedorzeczne historie o duchu, a moja służąca jest na tyle głupia, aby im wierzyć.

– Nieprawda – rzekła Betsey, wycofując się w niższe rejony domu. – Nie wierzę w ani jedno słowo o duchu, w każdym razie nie w dzień.

Dorzuciwszy szeptem to istotne zastrzeżenie, Betsey niechętnie usunęła się ze sceny.

Pani Pentreath zauważyła z niejakim zdziwieniem, że tajemnicza dama w skromnej sukni pobladała na wspomnienie historii o duchu i w żaden sposób jej nie skomentowała. Wciąż jeszcze zastanawiała się, co to miało znaczyć, kiedy pan Munder dostojnie zaznaczył swoją obecność, wyniosłe zwracając się nie do wuja Josepha i nie do Sary, ale do pustej przestrzeni między nimi.

– Jeśli chcą państwo zobaczyć dom – rzekł – pozwolą państwo za mną.

Po tych słowach pan Munder skierował się uroczyście w stronę korytarza prowadzącego do podnóża zachodniej klatki schodowej, poruszając się owym szczególnym, powolnym krokiem, w którym lubują się wszyscy poważnie myślący Anglicy, gdy wychodzą w niedzielę zażyć nieco ruchu. Gospodyni z kobiecą uległością dostosowała swoje tempo do tempa zarządcy i ruszyła u jego boku w rytmie narodowego niedzielnego poloneza, tak jakby wychodziła zażyć świeżego powietrza pomiędzy nabożeństwami.

– Jakem grzesznik, to zwiedzanie domu jest niczym chodzenie za trumną! – wyszeptał wuj Joseph do siostrzenicy.

Ujął ją za ramię i poczuł, jak drży.

– O co chodzi? – zapytał prawie niedosłyszalnie.

– Wuju! W tej gotowości do pokazania nam domu jest coś nienaturalnego –

padła cicha odpowiedź. – O czym oni przed chwilą mówili, tak żebyśmy nie słyszeli? Dlaczego ta kobieta stale się na mnie patrzyła?

Zanim staruszek zdołał odpowiedzieć, gospodyni obejrzała się i z ogromnym naciskiem poprosiła, aby byli tak dobrzy i poszli za nimi. W niecałą minutę potem wszyscy stanęli u podnóża zachodniej klatki schodowej.

– Aha! – wykrzyknął wuj Joseph, który nawet w obecności pana Mundera był równie swobodny i rozmowny jak zwykle. – Wspaniały, wielki dom i bardzo dobra klatka schodowa.

– Nie zwykliśmy słyszeć, aby o domu albo o klatce schodowej wyrażano się w ten sposób, sir – powiedział pan Munder, postanawiając zdusić w zarodku poufałość obcokrajowca. – Przewodnik po zachodniej Kornwalii, z którym powinni się państwo byli zaznajomić, zanim tu przyjechali, opisuje Porthgenna Tower jako dwór i używa słowa „przestronna” w odniesieniu do zachodniej klatki schodowej. Z przykrością stwierdzam, sir, że nie zajrzał pan do przewodnika po zachodniej Kornwalii.

– A czemuż to? – odparł niespeszony Niemiec. – Na co mi książka, kiedy mam pana za przewodnika? Ach, drogi panie, nie docenia pan siebie! Czyż żywy przewodnik taki jak pan, który mówi i chodzi, nie jest dla mnie lepszy niż martwe karty zadrukowanego papieru? Ach, nie, nie – nie chcę słyszeć ani słowa więcej – nie chcę słyszeć, jak pan jest wobec siebie niesprawiedliwy.

W tym miejscu wuj Joseph złożył kolejny fantastyczny ukłon, spojrzął z uśmiechem w twarz zarządcy i kilka razy potrząsnął głową z przyjacielskim wyrzutem.

Pan Munder oniemiał. Nie mógłby zostać potraktowany z większą beztrąską i zblazowaną poufałością, gdyby ten podejrzany cudzoziemiec był angielskim księciem. Często słyszał o szczycie bezczelności i oto miał go przed sobą w postaci jednego drobnego starszego osobnika, który nie wznosił się nawet pięć stóp ponad podłogę!

Podczas gdy w zarządcy wzbierała uraza zbyt wielka, aby słowa mogły ją wyrazić, gospodyni, za którą zdążyła Sara, powoli wchodziła po schodach. Wuj Joseph widząc, że idą na górę, pośpieszył, aby dołączyć do siostrzenicy, a pan Munder, odczekawszy chwilę na podeście, aby dojść do siebie, poszedł za bezczelnym cudzoziemcem z zamiarem baczego śledzenia jego poczynań i utemperowania jego zuchwałości uszczypliwą naganą przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Utworzonego w ten sposób orszaku wstępującego na schody nie zamykał jednak zarządca. Zamykała go i zdobyła Betsey, pokojówka, która wymknęła się z kuchni, aby możliwie blisko, ale nie zwracając uwagi pani Pentreath, podążać śladem dziwnych gości w głąb domu. Betsey nieobca była zwykła ludzka ciekawość i pragnienie odmiany. Jeszcze nigdy za jej bytności we dworze żadne

wydarzenie w rodzaju przybycia nieznanym nie ożywiło ponurej monotonii Porthgenna Tower i była zdecydowana nie pozostawać sama w kuchni, dopóki istniała szansa na pochwycenie strzępu rozmowy albo podpatrzenie poczynąń towarzystwa na górze.

W międzyczasie gospodyni wyprowadziła ich aż na podest pierwszego piętra, po obu stronach którego znajdowały się najważniejsze pokoje zachodniego skrzydła. Wzrok Sary, wyostrzony strachem i podejrzliwością, natychmiast wykrył ślady napraw przeprowadzonych na balustradach i schodach prowadzących na drugie piętro.

– Mielicie tu robotników? – spytała szybko panią Pentreath.

– Ma pani na myśli schody? – odparła gospodyni. – Tak, mieliśmy robotników.

– I nigdzie indziej?

– Nie. Ale w innych miejscach są bardzo potrzebni. Nawet tutaj, w najlepszej części domu połowa sypialni na górze ledwo nadaje się do spania. Słyszałam, że nie były zbyt wygodne nawet za czasów świętej pamięci pani Treverton, a od czasu, gdy zmarła...

Gospodyni przystanęła ze zmarszczonymi brwiami i zdziwieniem na twarzy. Dama w skromnej sukni, zamiast podtrzymywać reputację osoby dobrze wychowanej, jak charakteryzowała ją w liście pani Frank-land, zgrzeszyła niewybaczalnym nietaktem, jakim było odwrócenie się od pani Pentreath, zanim ta skończyła mówić. Gospodyni, zdecydowana nie pozwolić, aby impertynencko zamykano jej w ten sposób usta, chłodno i dobitnie powtórzyła ostatnie słowa:

– A od czasu, gdy pani Treverton zmarła...

Przerwano jej po raz drugi. Dziwna dama, odwracając się gwałtownie z powrotem, zmierzyła się z nią z pobladałą twarzą i ożywionym spojrzeniem i w najbardziej obcesowy sposób zadała całkowicie niezwiązane z tematem pytanie:

– Niech mi pani opowie tę historię o duchu. Wiadomo, czy to duch mężczyzny, czy kobiety?

– Mówiłam o świętej pamięci pani Treverton – rzekła gospodyni tonem surowej przygany – a nie o duchu z północnych pokoi. Wiedziałyby to pani, gdyby zaszczyliła mnie słuchaniem tego, co mówię.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam za to, że mogła pani odnieść wrażenie, że panią lekceważę! Ale właśnie wtedy przyszło mi do głowy... a przynajmniej chciałam się dowiedzieć...

– Jeśli przyszła tu pani po to, aby dowiedzieć się czegoś równie niedorzecznego – rzekła pani Pentreath, udobruchana szczerością przeprosin – duch, jak mówi historia, jest duchem kobiety.

Dziwna dama pobladała jeszcze bardziej i ponownie odwróciła się w kierunku otwartego okna na podeście.

– Jak gorąco! – rzekła, wystawiając głowę na zewnątrz.

– Gorąco, przy północno-wschodnim wietrze? – zawołała zdumiona pani Pentreath.

W tym momencie zbliżył się wuj Joseph z uprzejmym pytaniem, kiedy obejrzą pokoje. Przez ostatnich kilka minut zadawał panu Munderowi rozmaite pytania, a nie otrzymawszy innych odpowiedzi jak tylko najbardziej zdawkowe i niegrzeczne, zrozpaczony porzucił rozmowę z zarządcą.

Pani Pentreath skierowała się w stronę wejścia do jadalni, biblioteki i salonu. Pokoje ustawione były w amfiladzie, a każdy z nich miał drugie drzwi wychodzące na długi korytarz, do którego skręcało się na prawo z podestu pierwszego piętra. Zanim gospodyni poprowadziła gości do tych pokoi, dotknęła ramienia Sary na znak, że czas przejść dalej.

– Co zaś do historii o duchu – podjęła pani Pentreath, otworzywszy drzwi do jadalni – jeśli chce pani usłyszeć całą, musi zwrócić się do ciemnych ludzi, którzy w nią wierzą. Ja nie jestem w stanie powiedzieć, czy duch jest stary, czy nowy, ani dlaczego miałby straszyć.

Pomimo udawanej obojętności wobec znanego zabobonu gospodyni słyszała na tyle dużo o duchu, aby się go bać, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Ani we dworze, ani poza nim nie było nikogo mniej chętnego, żeby zapuścić się samotnie do północnych pokoi, niż właśnie pani Pentreath.

Podczas gdy gospodyni podnosiła rolety w jadalni, a pan Munder otwierał drzwi prowadzące z niej do biblioteki, wuj Joseph przysunął się do siostrzenicy i życzliwie, jak to miał w zwyczaju, szepnął jej kilka słów zachęty:

– Odwagi! Bądź czujna, Saro, i kiedy będziesz mogła, skorzystaj z okazji.

– Moje myśli! Moje myśli! – odpowiedziała równie cicho. – Ten dom podburza je przeciwko mnie. Ach, dlaczego w ogóle odważyłam się do niego powrócić!

– Radzę spojrzeć teraz na widok z okna – rzekła pani Pentreath, podniósłszy roletę. – Wzbudza powszechny zachwyt.

Podczas gdy tak miał się rozwój wypadków na pierwszym piętrze, Betsey, która jak dotąd skradała się z holu po jednym stopniu i w przerwach nadstawiała obojga uszu, stwierdziwszy, że nie dobiega jej żaden głos, pomyślała, że lepiej zrobi, wracając do kuchni i pilnując obiadu gospodyni, który grzał się na ogniu. Zeszła na dół, zastanawiając się, którą część domu nieznanymi będą chcieli następnie obejrzeć, i łamiąc sobie głowę nad wymyśleniem wymówki, która pozwoliłaby jej dołączyć do wycieczki.

Po tym, jak zgodnie z planem obejrzano widok z okna, towarzystwo przeszło do biblioteki. W pokoju tym pani Pentreath, która miała chwilę, aby rozejrzeć się dookoła, i poświęciła ją przyglądaniu się zachowaniu zarządcy, doszła do nieprzyjemnego przekonania, że na panu Munderze w żadnym wypadku nie można

polegać, jeśli chodzi o pomoc w ważnym zadaniu śledzenia poczynąń dwojga nieznanym. Jedyną ambicją pana Mundera, którego lekceważąc swobodny sposób, w jaki został potraktowany przez wuja Josepha, w dwójnasób zdopingował do zaznaczenia swojej rangi, zdawało się całkowite porzucenie roli przewodnika, którą pozbawiony skrupułów cudzoziemiec usiłował mu narzucić. Przechadzał się ciężkim krokiem po pokojach, zachowując się jak przypadkowy gość: wyglądał przez okna, zerkał do książek na stołach, stroił do siebie miny w kloszach lamp, krótko mówiąc, patrzył wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinien. Rozzłoszczona tą udawaną obojętnością gospodyni syknęła mu do ucha, aby miał oko na cudzoziemca, ponieważ ona całą swą uwagę musi skupić na damie w skromnej sukni.

– Znakomicie, znakomicie – rzekł pan Munder z nadąsaną nonszalancją. – A gdzie się pani udaje po tym, jak wyjdziemy z salonu? Z powrotem przez bibliotekę do jadalni? Czy od razu na korytarz? Niech pani będzie łaskawa ustalić, skoro ustala wszystko.

– Na korytarz, rzecz jasna – odparła pani Pentreath – pokazać następne trzy pokoje.

Pan Munder wyszedł z biblioteki do salonu przez łączące je drzwi, otworzył drzwi prowadzące stamtąd na korytarz, po czym, ku zgorszeniu gospodyni, podszedł do kominka i przejrzał się w wiszącym nad nim lustrze równie uważnie, jak przed zaledwie minutą przeglądał się w lustrze w bibliotece.

– Oto zachodni salon – rzekła pani Pentreath, zwracając się do gości. – Kamienną rzeźbę kominka – dodała, złośliwie próbując zwabić ich jak najbliższej zarządcy – uważa się za najpiękniejszą rzecz w całym apartamencie.

Pan Munder, oderwany tym posunięciem od lustra, jak na złość przedelfilował do okna i wyjrzał na zewnątrz. Sara, nadal blada i milcząca, ale z pewnym niezwykłym zdecydowaniem, które zdawało się zaznaczać w liniach wokół ust, przystanąła w zamyśleniu obok wskazanego przez gospodynię kominka. Wuj Joseph, który cały czas chaotycznie rozglądał się po pokoju, wyszedł w najbardziej oddalonym od drzwi na korytarz kącie piękny stolik i gablotkę z drewna klonowego, bardzo osobliwe w formie. Natychmiast obudziło to w nim zawodowy entuzjizm i rzucił się w tamtą stronę, aby przyjrzeć się z bliska wykonaniu gablotki. Stolik poniżej wystawał nieco przed jej front, a cóż to spoczywało na płaskim blacie występu, jeśli nie wspaniała pozytywka przynajmniej trzy razy większa od jego własnej!

– Aj! Aj! Aj! – zawołał wuj Joseph, wznosząc głos na skali podziwu, która kończyła się krzykiem, ile tchu w piersiach. – Otwórzcie ją! Nastawcie ją! Pozwólcie mi posłuchać, co ona gra!

Urwał, nie znajdując więcej słów na wyrażenie swojej niecierpliwości, i w przypiływie niekontrolowanego entuzjizmu zabębnił obiema rękami w pokrywę

pozytywki.

– Panie Munder! – zawołała gospodyni, śpiesząc w oburzeniu przez pokój. – Dlaczego pan nie patrzy? Dlaczego go pan nie powstrzyma? On na siłę otwiera pozytywkę. Proszę o ciszę, sir! Jak pan śmie mnie dotykać?

– Nastawcie ją! Nastawcie ją! – powtórzył wuj Joseph, wypuszczając ramię pani Pentreath, które złapał w podnieceniu. – Proszę spojrzeć! To, co mam u boku, to również jest pozytywka! Nastawcie ją! Czy gra Mozarta? Jest trzy razy większa niż pozytywki, które kiedykolwiek widziałem! Proszę spojrzeć! Moja pozytywka, ta maleńka pozytywka, która przy waszej wydaje się niczym, została podarowana mojemu bratu przez króla wszystkich kompozytorów wszech czasów, samego boskiego Mozarta. Niech pani nastawi dużą pozytywkę, a usłyszysz, jak malutka jej wtóruje! Ach, droga i dobra pani, jeśli mnie kochasz...

– Sir! – wykrzyknęła gospodyni, czerwieniąc się w świętym oburzeniu aż po nasadę włosów.

– Co ma pan na myśli, sir, używając takiego skandalicznego języka w odniesieniu do szacownej niewiasty? – zapytał pan Munder, przybywając na pomoc. – Myśli pan, że chcemy tu pańskich cudzoziemskich hałasów, cudzoziemskich obyczajów i cudzoziemskiej bezbożności? Każdy, kto nazywa istotę ludzką, nieważne, czy muzykalną, czy nie, „boską”, jest bezbożnikiem. Kim pan jest, potwornie bezczelny człowieku? Jest pan niewiernym?

Zanim wuj Joseph zdołał powiedzieć słowo w obronie swoich zasad, a pan Munder dać dalszy upust swemu oburzeniu, obaj zamilkli zmrożeni okrzykiem grozy gospodyni.

– Gdzie ona jest? – zawołała pani Pentreath, stojąc pośrodku pokoju i rozglądając się na wszystkie strony zdumionym wzrokiem.

Dama w skromnej sukni zniknęła.

Nie było jej w bibliotece, w jadalni ani w korytarzu. Sprawdziwszy te trzy miejsca, gospodyni powróciła do pana Mundera ze szczerym przerażeniem na twarzy i przez chwilę patrzyła na niego w zupełnej bezradności i całkowitym milczeniu. Gdy tylko oprzytomniała, zwróciła się wściekle do wuja Josepha.

– Gdzie ona jest? Chcę wiedzieć, co się z nią stało! Ty chytry, nikczemny, zuchwały staruszk! Gdzie ona jest? – zawołała pani Pentreath blada jak płótno z bezlitosnym wyrazem w oczach.

– Chyba sama zwiedza dom – rzekł wuj Joseph. – Na pewno ją znajdziemy, przechodząc przez pozostałe pokoje.

Staruszek, jakkolwiek prosty, miał na tyle bystrości umysłu, aby spostrzec, że przypadkowo oddał swojej siostrzenicy przysługę, której potrzebowała. Gdyby był najprzebiegłym z ludzi, nie wymyśliłby lepszego sposobu na odwrócenie uwagi pani Pentreath od Sary i skierowanie jej na siebie niż ten, którego właśnie użył zupełnie niewinnie, w chwili, gdy jego myśli były jak najdalsze od

prawdziwego celu, w którym on i siostrzenica weszli do domu. „No, no! – pomyślał wuj Joseph – podczas gdy tych dwoje gniewnych ludzi łąjało mnie za nic, Sara wymknęła się do pokoju, w którym ukryty został list. Dobrze! Muszę tylko poczekać, aż wróci, i pozwolić tym dwojgu gniewnym ludziom łąjać mnie tak długo, jak im się będzie podobało”.

– Co mamy teraz zrobić? Panie Munder! Co, na Boga, mamy teraz zrobić? – zapytała gospodyni. – Nie możemy tracić cennych minut, gapiąc się na siebie nawzajem. Trzeba odnaleźć tę kobietę. Stój! Pytała o schody: spojrzęła w stronę drugiego piętra, gdy tylko dotarliśmy na podest. Panie Munder! Niech pan zaczeka tutaj i ani na chwilę nie spuszcza z oczu tego cudzoziemca. Niech pan zaczeka, a ja pobiegnę na górę i sprawdzę w korytarzu na drugim piętrze. Wszystkie drzwi do sypialni są zamknięte na klucz – niech no tylko spróbuje się tam schować, jeśli poszła na górę.

Po tych słowach gospodyni wybiegła z salonu i co tchu wdrapała się na drugą kondygnację schodów.

Podczas gdy pani Pentreath przeszukiwała zachodnie skrzydło dworu, Sara ile sił w nogach gnała przez samotne korytarze prowadzące do północnych pokoi.

Przynaglona do zdecydowanego działania swoim rozpaczliwym położeniem, wymknęła się z salonu na korytarz, gdy tylko pani Pentreath odwróciła się do niej plecami. Nie przystając, aby się zastanowić, nie próbując się uspokoić, zbiegła po schodach i skierowała się prosto do pokoju gospodyni. Nie miała gotowych wykrętów na wypadek, gdyby kogoś tam zastała albo gdyby spotkała kogoś po drodze. Nie miała planu, gdzie szukać kluczy do północnych pokoi, gdyby nie wisały one na dawnym miejscu. Jej umysł pogrążony był w chaosie, skronie pulsowały, jak gdyby gorączka panująca w głowie miała je rozerwać. Popychał ją jedynie ślepy, dziki, karkołomny cel, jakim była chęć dostania się do Pokoju Mirtowego, dając jej drżącym stopom nienaturalną zwinność, jej trzęsącym się dłońmi nienaturalną siłę i wlewając nienaturalną odwagę w truchlejące serce.

Wpadła do pokoju gospodyni, nie stosując nawet zwykłego środka ostrożności, jakim było przyłożenie ucha do drzwi. W środku nie zastała nikogo. Rzut oka na dobrze znany gwóźdź w ścianie upewnił ją, że pęk kluczy nadal na nim wisi, tak jak wisił za dawno minionych czasów. W jednej chwili miała go w posiadaniu i znów wypadła na zewnątrz. Śpieszyła pustymi korytarzami prowadzącymi do północnych pokoi, przemierzając zakręty i zakamarki, jak gdyby opuściła je poprzedniego dnia, a przy tym ani razu nie przystanąła, aby nasłuchiwać albo obejrzeć się za siebie, ani na chwilę nie zwolniła, póki nie znalazła się u szczytu tylnej klatki schodowej i nie położyła ręki na zamkniętych na klucz drzwiach prowadzących do północnego holu.

Odwracając pęk, aby odnaleźć pierwszy potrzebny klucz, odkryła coś, czego dotąd w pośpiechu nie zauważyła: ponumerowane etykiety, które majster

metodycznie poprzyczepiał do wszystkich kluczy, kiedy na polecenie pana Franklanda dokonywał inspekcji domu. Na ich widok jej ręce natychmiast zaprzestały pracy i całe jej ciało przeszedł zimny dreszcz.

Gdyby nie gwałtowne wzburzenie, odkrycie nowych etykiet i niepewność, jaką z miejsca zrodził ich widok, zapewne powstrzymałyby ją od dalszego działania. Ale zamęt panujący w jej umyśle był zbyt wielki, aby pozwolić na zebranie choćby najmniejszych strzępów myśli. Niejasno świadoma nowej grozy, wzmożonej nieufności, podwajającej i potrajającej ślepą niecierpliwość gnającą ją do tej pory, rozpaczliwie podjęła przeszukiwanie pęku kluczy.

Jeden z nich nie miał etykiety i był większy od reszty. Był to klucz, który pasował do drzwi wejściowych, przed którymi stała. Z siłą, do której zupełnie nie byłaby zdolna innym razem, przekręciła klucz w zardzewiałym zamku i jednym pchnięciem ręki otworzyła drzwi, które odskoczyły od przywartych do nich ościeży. Zdyszana, przebiegła opuszczony północny hol, nie zatrzymując się nawet na sekundę, aby zamknąć za sobą drzwi. Pełzające stworzenia, odpychające gady domowe, które opanowały to miejsce, czmychały jak cienie ku ścianom po obu jej stronach. Nie zwracała na nie uwagi, nie spoglądała w ich kierunku. Biegła przez hol i schody na jego końcu, aż dotarła na otwarty podest u szczytu i tam nagle zatrzymała się przed drzwiami.

Były to pierwsze z drzwi w długim ciągu pokoi wychodzących na podest, drzwi, które znajdowały się dokładnie na wprost schodów. Przystanąła, spojrzała na nie: nie były to drzwi, które przyszła otworzyć, a jednak nie mogła od nich oderwać wzroku. Na skrzydle widniała nabazgrana białą kredą cyfra „I”, a gdy Sara przeniosła wzrok na pęk kluczy w dłoniach, ujrzała odpowiadającą jej cyfrę „I” na jednej z etykiet.

Próbowała myśleć, podążyć za którymkolwiek z cisnących się jej do głowy podejrzeń. Wysilek ten okazał się nadaremny: jej rozum przestał działać. Cielesne zmysły wzroku i słuchu – zmysły, które teraz boleśnie i niepojęcie się wyostrzyły – zdawały się jedynymi resztkami inteligencji, którymi mogła się kierować. Zakryła dłońią oczy i chwilę tak stała, po czym wolno ruszyła wzdłuż podestu, patrząc na drzwi.

Numer II, numer III i numer IV zaznaczone były na drzwiach tą samą białą kredą i odpowiadały ponumerowanym etykietom na kluczach, na których cyfry napisano atramentem. Numer IV był środkowym z ośmiu pokoi na pierwszym piętrze. Tutaj ponownie przystanąła, drząc od stóp do głów. Były to drzwi do Pokoju Mirtowego.

Czy tutaj napisane kredą cyfry się urywały? Spojrzała w głąb korytarza. Nie. Czworo pozostałych drzwi było jedne po drugich ponumerowane do VIII.

Wróciła pod drzwi Pokoju Mirtowego, odnalazła klucz oznaczony cyfrą IV, zawahała się i rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę opuszczonego holu.

Płótna starych portretów rodzinnych, które dawniej, kiedy ukrywała list, wyrzuszały się poza ramy, teraz w większości zgniły i wypadły, zalegając wielkimi, czarnymi, potarganymi strzępami posadzkę holu. Wyspy i kontynenty wilgoci rozciągały się na wyniosłym suficie niczym mapa jakichś nieznanych lądów. Ciężkie od kurzu pajęczyny zwisały girlandami z pokruszonych gzymsów. Kamienną posadzkę pokrywały brudne plamy, stanowiąc ohydne odbicie plam wilgoci na sklepieniu. Balustrada, która odgradzała krawędź podestu, zionęła poszarpanymi lukami. W północnym holu nawet światło dnia było zmaćcone, oddech nieba wstrzymany, a odgłosy ziemi stłumione.

Stłumione? Czy naprawdę wszystkie odgłosy były stłumione? Czy też odzywało się coś ledwie uchwytnego dla ucha, coś, co tylko pogłębiało posępną ciszę, nic więcej?

Sara nasłuchiwała z twarzą nadal zwróconą w kierunku holu – nasłuchiwała i pochwycała cichy dźwięk za swoimi plecami. Czy rozbrzmiewał on na zewnątrz, czy też w środku – w Pokoju Mirtowym?

W środku. Kiedy to sobie uzmysłowiła, opuściła ją wszelka myśl i wszelkie czucie. Zapomniała o podejrzanym ponumerowaniu drzwi, stała się obojętna na upływ czasu, nieświadoma groźby odkrycia. Całe działanie jej władz umysłowych skupiło się teraz w zmysle słuchu.

Był to cichy, niewyraźny, ukradkowy szelest, a jego źródło przemieszczało się tam i z powrotem w krótkich odstępach czasu, miękko tam i z powrotem, tak że dźwięk dobiegał to z jednego, to z drugiego końca Pokoju Mirtowego. Były chwile, kiedy nagle stawał się wyraźny, i chwile, gdy stopniowo przechodził w tony tak subtelne, że nieuchwytnie dla ucha. Czasami zdawał się jednym susem przemykać po podłodze, to znowu skradał się z powolnym, ciągłym szmerem balansującym na granicy zupełnej ciszy.

Sara, której stopy były jak wrośnięte w miejsce, gdzie stała, wolno, cal po calu, obróciła głowę w stronę drzwi Pokoju Mirtowego. Chwilę wcześniej, kiedy jeszcze nieświadoma była nikłego dźwięku dochodzącego z wewnątrz, oddychała ciężko i szybko. Teraz jej pierś była tak nieruchoma, a oddech tak bezszelestny, że mogłaby uchodzić za nieżywą. W jej twarzy zaszła ta sama tajemnicza zmiana, która przekształciła ją, gdy w kantorku w Truro zaczął gęstnieć mrok. W jej oczach, które wolno odwróciły się ku drzwiom, pojawiło się to samo trwożliwe, pytające spojrzenie co wtedy, gdy utkwiała je w pustym kącie pokoju.

– O, pani! – wyszeptwała. – Czy przychodzę za późno? Przybyłaś tu przede mną?

Ukradkowy szelest w środku ucichł, po chwili wznowił się, a potem odezwał się raz jeszcze w drugim końcu pokoju.

Oczy Sary pozostawały utkwione w drzwiach Pokoju Mirtowego – coraz szerzej otwarte – otwarte tak, jak gdyby chciały przeniknąć do środka, jak gdyby

czekały na to, że solidne drzwi staną się przezroczyste i pokażą, co kryje się za nimi.

– Po opuszczonej podłodze, po opuszczonej podłodze – jak lekko się to porusza! – szepnęła znowu. – O, pani! Czy czarna suknia, którą dla ciebie uszyłam, nie szeleści głośniej?

Dźwięk ponownie ucichł, a potem nagle zabrzmiał jednym ukradkowym ruchem u samych drzwi.

Gdyby tylko mogła się w tym momencie poruszyć! Gdyby mogła spojrzeć w dół na szczelinę pomiędzy dolną krawędzią drzwi a deskami podłogi, gdy nikły szelest zbliżył się do niej najbardziej, dostrzegłaby jego prozaiczną przyczynę. Był nią kawałek spłowiałej czerwonej tapety ze ściany Pokoju Mirtowego, który częściowo wystawał spod drzwi. Czas i wilgoć sprawiły, że papier zaczął odchodzić w całym pokoju. Podczas oględzin ścian majster oderwał w sumie dwa czy trzy jardy tapety – czasami w dużych kawałkach, czasami w małych, zależy, jak odchodziła – i rzucił na nagie deski podłogi na pastwę wiatru, gdy ten wpadał do środka przez wybitą szybę w oknie. Gdyby Sara tylko się poruszyła! Gdyby tylko na sekundę spojrzała w dół!

Nie była jednak zdolna poruszyć się ani spojrzeć: napad zabobonnego przerażenia, które ją opanowało, paraliżował jej kończyny, rysy twarzy stężały niczym maska. Kiedy szelest zbliżył się najbardziej, nawet nie drgnęła ani nie wydała krzyku. Jediną oznaką zdradzającą, że paniczny strach wstrząsnął nią aż do głębi, był zmieniony ruch prawej dłoni, w której nadal trzymała klucze. W chwili, gdy wiatr przywiał strzep tapety tuż pod drzwiami, jej palce straciły zdolność zaciskania się, stały się bezwładne i bezsilne. Ciężki pęk kluczy wysunął się z jej zwolnionego nagle uścisku, upadł obok na zewnętrzną krawędź podestu, przetoczył się przez wyrwę w balustradzie i zleciał na kamienną posadzkę w dole, wydając przy tym łomot, który sprawił, że uśpione echa znów wrzasnęły, jak gdyby były to istoty rozumne zwijające się pod wpływem tortury dźwięku!

Huk spadających kluczy raz po raz przeszywający ciszę jakby wytrącił Sarę z letargu i przywrócił jej świadomość bieżących spraw i zagrożeń. Drgnęła, zatoczyła się o krok do tyłu i gwałtownie uniosła obie dłonie do głowy. Trwała tak przez kilka sekund, po czym rzuciła się w stronę schodów z zamiarem zejścia do holu po klucze.

Nie zdążyła jeszcze postąpić trzech kroków, gdy od drzwi wejściowych po drugiej stronie holu dobiegł ją przeraźliwy kobiecy krzyk. Krzyk dwukrotnie powtórzył się w większej odległości, a po nim nastąpiła beładna wrzawa szybko zbliżających się głosów i kroków.

Sara rozpaczliwie postąpiła jeszcze kilka kroków i dotarła do pierwszych z rzędu drzwi wychodzących na podest. Tam natura dała za wygraną: kolana się pod nią ugięły, oddech, wzrok, słuch – wszystko zdawało się zawieść ją w jednym

momencie; padła nieprzytomna na podłogę u szczytu schodów.

Rozdział 4.

Pan Munder na tronie sądu

Szmer głosów i tupot stóp zbliżał się coraz bardziej, a potem całkiem umilkł. Przez chwilę panowała cisza, po czym jeden głos zawołał donośnie:

– Saro! Saro! Gdzie jesteś?

W następnym momencie wuj Joseph pojawił się sam przy wejściu do północnego holu, bacznie rozglądając się na wszystkie strony.

Z początku postać leżąca na podeście u szczytu schodów umknęła jego uwadze. Ale za drugim razem, gdy popatrzył w tamtym kierunku, jego wzrok wychwyił ciemną suknię i ramię wystające nieco zza najwyższego stopnia. Z głośnym okrzykiem przerażenia przebiegł hol i wspiął się po schodach. Klękał właśnie u boku Sary i podkładał ramię pod jej głowę, gdy wszyscy troje: zarządca, gospodyni i pokojówka zaczęli tłoczyć się do wejścia.

– Wody! – zawołał staruszek, dając im gwałtowne znaki wolną ręką. – Tutaj jest... upadła... jest nieprzytomna! Wody! Wody!

Pan Munder spojrzał na panią Pentreath, pani Pentreath spojrzała na Betsey, Betsey zaś spojrzała na podłogę. Wszyscy troje stali jak skamieniali. Wszyscy troje zdawali się równie niezdolni do przemierzenia holu. O ile nauka zwana fizjonomiką nie jest całkowitą iluzją, przyczyna tej zdumiewającej jednomyślności była wyraźnie wypisana na ich twarzach. Innymi słowy, wszyscy troje wyglądali tak, jakby w równym stopniu bali się ducha.

– Wody, mówię! Wody! – powtórzył wuj Joseph, wygrażając im pięścią. – Ona jest nieprzytomna! Jest tam was troje przy drzwiach, a między wami nie ma jednej miłosiernej duszy? Wody! Wody! Wody! Czy muszę zedrzeć sobie gardło, zanim mnie usłyszycie?

– Przyniosę wodę, proszę pani – odezwała się Betsey – jeśli pani albo pan Munder zaniesie ją stąd na szczyt schodów.

Pobiegła do kuchni i wróciła ze szklanką wody, którą z pełnym szacunku dygnięciem wyciągnęła najpierw w kierunku gospodyni, a potem zarządcy.

– Jak śmiesz nas prosić, abyśmy nosili za ciebie rzeczy? – rzekła pani Pentreath, usuwając się z przejścia.

– Tak! Jak śmiesz nas prosić? – dodał pan Munder, usuwając się w ślad za panią Pentreath.

– Wody! – zawołał staruszek po raz trzeci.

Odsunął siostrzenicę nieco w tył, aby móc ją oprzeć o ścianę.

– Wody! Albo stratuję to zamczysko i zwałę wam na głowy! – zawołał, tupiąc nogą z furii i zniecierpliwienia.

– Przepraszam, sir, czy jest pan pewien, że to dama jest na górze? – spytała Betsey, niepewnie zbliżając się o kilka kroków ze szklanką wody.

– Czy jestem pewien? – zawołał wuj Joseph, schodząc po schodach. – Cóż to za głupie pytanie? A kto ma być?

– Duch, sir – powiedziała Betsey, zbliżając się coraz wolniej. – Duch północnych pokoi.

Wuj Joseph wyszedł jej na spotkanie kilka jardów u podnóża schodów, odebrał od niej szklankę z wyrazem pogardy na twarzy i pośpieszył z powrotem do siostrzenicy. Kiedy Betsey odwróciła się, aby salwować się ucieczką, jej wzrok padł na pęk kluczy leżący na posadzce pod podestem. Po chwili wahania zebrała się na odwagę i podniosła go, po czym wybiegła z nim z holu ile sił w nogach.

W międzyczasie wuj Joseph zwilżał wargi siostrzenicy wodą i rozpryskiwał ją na jej czole. Po chwili Sara z westchnieniem zaczerpnęła powietrza, mięśnie jej twarzy poruszyły się lekko i powoli otwarła oczy. Utkwiła je z przestachem w staruszku, nie dając żadnego znaku, że go rozpoznaje. Zmusił ją, aby napiła się trochę wody, przemawiał do niej łagodnie i w końcu zdołał przywrócić jej przytomność. Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Nie opuszczaj mnie.

Pierwsze, co zrobiła, kiedy mogła się poruszać, to skuliła się bliżej niego.

– Bez obaw, moje dziecko – powiedział kojąco. – Zostanę przy tobie. Powiedz mi, Saro, dlaczego zemdlałaś? Co cię tak wystraszyło?

– Och, nie pytaj! Na miłość boską, nie pytaj!

– No, już, w takim razie nic nie powiem. Jeszcze łyk wody? Mały łyceczek?

– Pomóż mi, wuju. Pomóż mi sprawdzić, czy dam radę wstać.

– Jeszcze nie, nie teraz. Jeszcze chwila cierpliwości.

– Och, pomóż mi! Pomóż mi! Chcę uciec od widoku tych drzwi. Jeśli tylko dam radę zejść ze schodów, poczuję się lepiej.

– No, no – rzekł wuj Joseph, pomagając jej wstać. – Teraz zaczekaj i poczuj grunt pod stopami. Oprzyj się o mnie, mocno, ciężko. Choć jestem tylko lekkim i drobnym człowieczkiem, okażę się solidny jak skała. Byłaś w pokoju? – dodał szeptem. – Masz list?

Westchnęła gorzko i wsparła mu głowę na ramieniu w geście rozpacz.

– Cóż to, Saro! – zawołał. – Tak długo cię nie było i nie weszłaś nawet do pokoju?

Podniosła głowę równie nagle, jak ją położyła, zadrżała i słabo próbowała pociągnąć go w kierunku schodów.

– Nigdy już nie zobaczę Pokoju Mirtowego, nigdy, nigdy więcej! – rzekła. – Chodźmy, mogę iść, już odzyskałam siły. Wuju Josephie, jeśli mnie kochasz, zabierz mnie z tego domu. Gdziekolwiek, gdzie tylko będzie świeże powietrze i światło dzienne, gdziekolwiek, byle z dala od Porthenna Tower.

Wuj Joseph uniósł ze zdziwienia brwi, ale taktownie powstrzymał się od zadawania pytań i pomógł siostrzenicy zejść po schodach. Nadal była tak

osłabiona, że dotarłszy do ich podnóża, musiała przystanąć. Widząc to, jak również czując później, kiedy prowadził ją przez hol, że z każdym krokiem opiera się coraz ciężiej na jego ramieniu, staruszek, zbliżywszy się do pana Mundera i pani Pentreath, zapytał gospodynię, czy ma jakieś krople wzmacniające, które pozwoliłaby mu podać siostrzenicy.

Twierdzącej odpowiedzi pani Pentreath, jakkolwiek niezbyt uprzejmie wyrażonej, towarzyszyło niezwłoczne podjęcie działania, które wskazywało, że z radością skorzystała z pierwszej okazji, aby wrócić do zamieszkałej części domu. Mamrocząc coś o zaprowadzeniu ich do miejsca, w którym znajdowała się domowa apteczka, natychmiast wróciła korytarzem do swojego pokoju, podczas gdy wuj Joseph, niepomny na wszystkie wyrażone szeptem zapewnienia Sary, że czuje się na tyle dobrze, aby odejść bez chwili zwłoki, milcząco podążył w ślad za nią, prowadząc siostrzenicę.

Pan Munder, potrząsając głową z miną wyrażającą pełne frasunku zakłopotanie, został z tyłu, aby zamknąć drzwi na klucz. Uczyniwszy to i oddawszy klucze Betsey, aby zaniósła je na miejsce, on z kolei zszedł ze sceny w tempie dość nieelegancko zbliżonym do biegu. Oddaliwszy się jednak na znaczną odległość od holu, w cudowny sposób odzyskał panowanie nad sobą. Nagle zwolnił chód, doszedł do siebie i przez chwilę się namyślał. Efekty najwyraźniej bardzo go zadowoliły, bowiem kiedy wszedł do pokoju gospodyni, widać było, że odzyskał swoją zwykłą powagę wyglądu i zachowania. Podobnie jak większość głupców, czerpał wielką przyjemność z przysłuchiwania się własnym przemowom i teraz dostrzegł tak znakomitą sposobność oddania się tej rozkoszy, jaka rzadko się trafia. Istnieje tylko jeden rodzaj mówcy, który ma pewność, że nigdy nie ugnie się pod naporem okoliczności, a mianowicie człowiek, którego zdolność wymowy nie idzie w parze z niebezpieczną, ukrytą zdolnością rozumienia, o co mu chodzi. Pan Munder zajmował wysoką pozycję pośród tej uprzywilejowanej klasy urodzonych mówców, a teraz mściwie zdecydował, że użyje swoich zdolności przeciwko dwojgu nieznanym pod pretekstem tego, że poprosi ich o wyjaśnienie ich zachowania, zanim pozwoli im się oddalić.

Wszedłszy do pokoju, zastał na jednym jego końcu wuja Josepha siedzącego z siostrzenicą i zajętego dodawaniem soli trzeźwiących do szklanki wody. Po drugiej stronie stała gospodyni, mając przed sobą na stole otwartą apteczkę. Do tej to części pokoju zbliżył się wolno pan Munder z uroczystym wyrazem twarzy, przysunął do stołu fotel i usadowił się w nim z najwyższym namaszczeniem i starannością, jeśli chodzi o ułożenie pół surduta. Ktoś patrzący z boku mógłby uznać, że oto ma przed sobą wzorzec sędziego sądu najwyższego w cywilnym ubraniu.

Pani Pentreath, domyślając się po tych przygotowaniach, że zaraz wydarzy się coś niezwykłego, usiadła nieco z tyłu za zarządcą. Betsey odwiesiła klucze na

ich miejsce na gwoździu i miała właśnie grzecznie wycofać się w przynależną jej strefę kuchni, gdy zatrzymał ją pan Munder.

– Zaczekaj, proszę – rzekł zarządca. – Niebawem będę miał okazję wezwać cię, młoda kobieto, do złożenia oświadczenia.

Betsey posłusznie czekała przy drzwiach, przerażona myślą, że musiała zrobić coś złego i że zarządca jest wyposażony w tajemniczą władzę, dzięki której może ją natychmiast osądzić, skazać i ukarać za przewinienie.

– A teraz, sir – rzekł pan Munder, zwracając się do wuja Josepha, jak gdyby był spikerem w Izbie Gmin – jeśli skończył pan już z solami trzeźwiącymi i jeśli osoba obok oprzytomniała na tyle, że może słuchać, chciałbym wygłosić słówko lub dwa do was obojga.

Po tym wstępie Sara próbowała trwożliwie wstać z miejsca, ale wuj złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem na krzesło.

– Zaczekaj i odpocznij – szepnął. – Wezmę całą połajankę na siebie i podejmuję się całego mówienia. Gdy tylko będziesz w stanie znowu chodzić, obiecuję, że bez względu na to, czy ten bufon zdąży wygłosić swoje słówko lub dwa, czy nie, spokojnie wstaniemy i wyjdziemy z domu.

– Aż dotąd – powiedział pan Munder – wstrzymywałem się z wyrażeniem swojego zdania. Teraz jednak nadszedł czas, gdy, jako że zajmuję w tym przybytku ważne stanowisko i odpowiadam, a nawet ręczę za to, co się w nim dzieje, oraz czuję, że nie można dopuścić do pozostawienia spraw samym sobie ani na ich pozostawienie zezwolić, moim obowiązkiem jest powiedzieć, że pani zachowanie uważam za bardzo niezwykle.

Skierowawszy owo dobitne zakończenie zdania wprost do Sary, pan Munder, pełen słów, ale pozbawiony sensu, opadł na oparcie fotela, aby w dogodnych warunkach przygotować się na następny wysiłek.

– Moim wyłącznym pragnieniem – podjął z melancholijną obiektywnością – jest postąpić sprawiedliwie wobec wszystkich stron. Nie chcę nikogo straszyć ani nikogo trwożyć, ani nawet nikogo przerażać. Chciałbym wyjaśnić, albo, jeśli państwo pozwolą, zrozumieć to, co z absolutną stosownością mogę nazwać wypadkami. A kiedy już to zrobię, chciałbym zapytać panią i pana – powtarzam, chciałbym zapytać was oboje chłodno, obiektywnie i uprzejmie, otwarcie i bezproblemowo, a mówiąc: bezproblemowo, mam na myśli: spokojnie – czy nie są państwo oboje zobowiązani wytłumaczyć się.

Pan Munder przerwał, pozwalając, aby ostatni nieodparty apel mógł trafić do sumień osób, do których był skierowany. Gospodyni wykorzystała chwilę ciszy, aby odkaszląć, podobnie jak wierni kaszlą zaraz przed kazaniem, kierując się zapewne zasadą, że cielesnych ułomności należy pozbyć się zawczasu, aby umysł mógł swobodnie i bez przeszkód oddawać się intelektualnym uciechom. Betsey, idąc za przykładem pani Pentreath, pozwoliła sobie na własne ciche i nieśmiałe

kaszlnięcie. Wuj Joseph siedział najzupełniej spokojny i niezrażony, nadal trzymając dłoń siostrzenicy i ściskając ją lekko od czasu do czasu, w chwilach, gdy krasomówstwo zarządcy stawało się szczególnie zawile i imponujące. Sara ani razu się nie poruszyła, ani razu nie podniosła wzroku, z jej twarzy ani na chwilę nie zniknął wyraz trwożnej powściągliwości, który towarzyszył jej w chwili, gdy weszła do pokoju gospodyni.

– A zatem jakie są fakty, okoliczności i wypadki? – ciągnął pan Munder, opierając się w fotelu i spokojnie upajając się dźwiękiem własnego głosu. – Pani i pan, sir, dzwonicie do drzwi tego dworu – tutaj spojrział surowo na wuja Josepha, jakby chcąc powiedzieć: „Jak pan widzi, nie rezygnuję z tego szczegółu, że dom jest dworem, nawet zasiadając na tronie sądu” – zostajecie wpuszczeni, czy raczej przyjęci. Pan, sir, stwierdza, że chciałby zbadać dwór (mówi pan „obejrzeć dom”, ale ponieważ jest pan cudzoziemcem, nie dziwi nas ten drobny błąd). Pani z kolei przystaje na tę prośbę, a nawet się z nią zgadza. Co następuje dalej? Zostajecie oprowadzeni po dworze. Zwykle nie oprowadzamy po nim nieznajomych, ale mamy pewne powody...

Sara drgnęła.

– Jakie powody? – zapytała, szybko podnosząc wzrok.

Wuj Joseph poczuł, jak jej dłoń robi się zimna i drży w jego dłoni.

– Ciii! Ciii! – powiedział – Zostaw mówienie mnie.

W tej samej chwili pani Pentreath ostrożnie pociągnęła pana Mundera za połą surduta i szepnęła mu do ucha, aby uważał.

– List pani Frankland wyraźnie każe nam nie wzbudzać podejrzeń, że działamy na czyjeś polecenie.

– Niech się pani nie zdaje, pani Pentreath, że zapomniałem o tym, o czym powinienem pamiętać – odparł pan Munder, który jednak zapomniał. – I niech sobie pani nie wyobraża, że zamierzam zajmować stanowisko (właśnie to miał zrobić). Proszę zostawić tę sprawę w moich rękach, jeśli pani pozwoli. Pytała pani, jakie powody? – dodał głośno, zwracając się do Sary. – Mniejsza o powody, nie zajmujemy się teraz nimi, zajmujemy się faktami, okolicznościami i wypadkami. Zauważyłem, czy też odnotowałem, że pan, sir, i pani zostaliście oprowadzeni po dworze. Zostaliście skierowani, zaiste, zaprowadzeni do zachodniej klatki schodowej – przestronnej zachodniej klatki schodowej, sir! Zostaliście oprowadzeni z uprzejmością, a nawet kurtuazją po jadalni, bibliotece i salonie. W tymże salonie pozwala pan sobie na skandaliczny, powiem więcej: ordynarny język. W tym samym salonie pani przepada, a raczej znika z pola widzenia. Podobne zachowanie, tak zupełnie niesłychane, tak całkowicie bezprecedensowe i tak bardzo niezwykle sprawia, że pani Pentreath i ja czujemy się...

Tutaj pan Munder urwał, po raz pierwszy nie znajdując słów.

– Zaskoczeni – podsunęła pani Pentreath po długiej chwili ciszy.

– Nie, proszę pani! – odparł pan Munder. – Nic podobnego. Wcale nie byliśmy zaskoczeni, byliśmy... zdziwieni. Co było potem i nastąpiło później? Co pan i ja usłyszeliśmy na pierwszym piętrze, sir? – Tu zarządca spojrział twardo na wuja Josepha. – I co pani usłyszała, pani Pentreath, kiedy szukała pani brakującego i nieobecnego uczestnika na drugim piętrze? No co?

Gospodyni, do której zwrócono się tak wprost, odpowiedziała krótko:

– Krzyk.

– Nie! Nie! Nie! – rzekł pan Munder, z irytacją bębniąc dłonią w stół. – Pisk, pani Pentreath, pisk. A jaki jest sens, wymowa i wynik tego pisku? Młoda kobieto! – Tu pan Munder obrócił się nagle do

Betsey. – Odtworzyliśmy te niezwykle fakty i okoliczności aż do miejsca, w którym pojawia się ty. Bądź tak dobra, aby wystąpić, i powiedz nam w obecności tych dwóch osób, jak doszło do tego, że wydałaś czy też wydobyłaś z siebie to, co pani Pentreath nazywa krzykiem, ja jednak nazywam piskiem. Proste oświadczenie wystarczy, moja dobra panno, zwykłe, proste oświadczenie, jeśli łaska. I jeszcze słówko, młoda kobieto: mów głośno. Rozumiesz? Mów głośno!

Zmieszana publicznym i uroczystym charakterem tej odezwy, Betsey, przystępując do wygłoszenia swojego oświadczenia, nieświadomie poszła za oratorskim przykładem samego pana Mundera, to znaczy mówiła zgodnie z zasadą zalania jak najmniejszej esencji myśli jak największym potokiem słów. Oswobodzone z płątaniny słownego zagmatwania, w które upatrzyła sobie je ująć, jej oświadczenie nie zostanie wypaczone, jeśli powie się, że składało się po prostu z następujących faktów:

Po pierwsze Betsey zrelacjonowała, że właśnie unosiła pokrywkę z rondla stojącego na ogniu, gdy z okolic pokoju gospodyni dobiegł ją odgłos pośpiesznych kroków (potocznie określony przez świadka jako „tupot czyichś stóp”). Po drugie, kiedy Betsey wyszła z kuchni, aby sprawdzić, co znaczy ten odgłos, usłyszała, jak kroki oddalają się szybko korytarzem prowadzącym do północnego skrzydła domu i wiedzioną ciekawością, ruszyła w pewnej odległości za tym odgłosem. Po trzecie na ostrym zakręcie korytarza Betsey nagle stanęła, tracąc nadzieję na dogonienie osoby, której kroki słyszała, oraz zdjęta strachem (określonym przez świadka jako „ciarki na ciele”) na myśl o zapuszczeniu się samej, nawet w biały dzień, do nawiedzanej części domu. Po czwarte, nadal stojąc niezdecydowanie na zakręcie korytarza, Betsey usłyszała, jak „puszcza zamek u drzwi”, i na nowo wiedzioną ciekawością postąpiła kilka kroków naprzód, a potem znowu przystanęła, roztrząsając w duchu trudną i straszną kwestię, czy duchy, przemieszczając się z jednego miejsca na drugie, mają w zwyczaju otwierać zamknięte drzwi, które staną im na drodze, czy też oszczędzają sobie kłopotu i po prostu przez nie przenikają. Zrywami, po długim namyśle i wielu falstartach – to postępując w kierunku

północnego holu, to cofając się w stronę kuchni – Betsey zdecydowała, że odwiecznym zwyczajem wszystkich duchów jest przenikać przez drzwi, a nie je otwierać. Po piąte, umocniona tym przekonaniem, Betsey śmiało podeszła do drzwi, gdy nagle usłyszała głośny huk, jak gdyby odgłos upadku ciężkiego ciała (obrazowo określony przez świadka jako „dudniący łoskot”). Po szóste, hałas sprawił, że Betsey struchlała z przerażenia, serce podskoczyło jej do gardła, a oddech zamarł. Po siódme i ostatnie, kiedy oddech wrócił jej na tyle, że mogła krzyczeć (albo piszczeć), Betsey faktycznie krzyknęła (albo zapiszczała) z całej siły i pobiegła z powrotem do kuchni ile sił w nogach, z włosami „stojącymi dęba na głowie” i z „ciarkami” na całym ciele, od czubka głowy po podeszwy stóp.

– Otóż to! Otóż to! – powiedział pan Munder, kiedy oświadczenie dobiegło końca, tak jakby widok młodej kobiety z włosami stojącymi dęba i ciarkami na całym ciele należał do jego codziennych doświadczeń z płcią piękną. – Otóż to! Możesz się teraz wycofać, moja dobra dziewczyno, możesz się wycofać. Nie ma się z czego śmiać, sir – ciągnął surowo, zwracając się do wuja Josepha, którego nad wyraz rozbawił sposób, w jaki Betsey złożyła zeznanie. – Lepiej pan zrobi, wracając czy raczej sięgając pamięcią do tego, co było i nastąpiło po pisku tej młodej kobiety. Co wszyscy zrobiliśmy, sir? Natychmiast ruszyliśmy biegiem na miejsce. I co wszyscy ujrzeliśmy, sir? Ujrzeliśmy panią leżącą plackiem na szczycie podestu nad pierwszą kondygnacją północnych schodów i ujrzeliśmy te oto klucze, które teraz wiszą tam, zabrane i przywłaszczone sobie, niejako wykradzione ze swojego miejsca w tym pokoju, również leżące na posadzce holu. Oto są fakty, okoliczności i wypadki przedstawione, czy raczej przedłożone wam. Co macie do powiedzenia na ich temat? Zwracam się do was obojga uroczyście i dodam: poważnie! W imieniu swoim, w imieniu pani Pentreath, w imieniu naszych chlebodawców, w imieniu przyzwoitości: co to wszystko ma znaczyć?

Po tej konkluzji pan Munder walnął pięścią w stół i z wyrazem bezlitosnej niecierpliwości w oczach czekał na jakąkolwiek odpowiedź, wyjaśnienie lub obronę, którą winowajcy na drugim końcu pokoju byliby skłonni zaoferować.

– Powiedz mu cokolwiek – szepnęła Sara do staruszka. – Cokolwiek, co zamknie mu usta, cokolwiek, co sprawi, że nas wypuści! Po tym, co przeszłam, ci ludzie doprowadzą mnie do szaleństwa!

Wuj Joseph, który nigdy nie potrafił wymyślić na poczekaniu wymówki, a ponadto nie miał pojęcia, co tak naprawdę przydarzyło się jego siostrzenicy, gdy była sama w północnym holu, choć bardzo chciał sprostać sytuacji, miał sporą trudność w podjęciu decyzji, co powinien powiedzieć lub zrobić. Zdecydowany jednak za wszelką cenę oszczędzić Sarze niepotrzebnego cierpienia i wyprowadzić ją z tego domu tak szybko, jak to możliwe, wstał, aby wziąć na siebie obowiązek mówienia, i zanim otworzył usta, spojrzał twardo na pana Mundera, który natychmiast pochylił się do przodu, przykładając dłoń do ucha. Wuj Joseph przyjął

tę uprzejmą oznakę uwagi jednym ze swoich fantastycznych ukłonów, po czym odpowiedział na całą tyradę zarządcy czterema niezbitymi słowami:

– Życzę dobrego dnia, sir!

– Jak pan śmie życzyć mi coś takiego! – zawołał pan Munder, zrywając się z fotela w przypływie gwałtownego wzburzenia. – Jak pan śmie żartować sobie w ten sposób z poważnej sprawy i poważnego pytania? Życzyć mi dobrego dnia, doprawdy! Czy myśli pan, że wypuszczę was z tego domu, nie otrzymawszy jakiegoś wyjaśnienia zabrania, wykradzenia i przywłaszczenia sobie kluczy do północnych pokoi?

– Ach! To chce pan wiedzieć? – powiedział wuj Joseph, na oślep rzucając się, aby podać wymówkę, z powodu rosnącego niepokoju i przerażenia siostrzenicy. – Proszę uważać! Zaraz wyjaśnię. Co powiedzieliśmy, mój drogi i dobry panie, kiedy weszliśmy do domu? To: „Przyszliśmy obejrzyć dom”. W domu jest skrzydło północne i skrzydło zachodnie. Znakomicie! Są więc dwa skrzydła, a ja i moja siostrzenica to dwie osoby, zatem rozdzielamy się na pół, aby obejrzyć dwa skrzydła. Ja stanowią połówkę, która idzie na zachód z panem i siedzącą za nim dobrodziejką. Moja siostrzenica stanowi drugą połówkę, która idzie na północ zupełnie sama, upuszcza klucze i traci przytomność, jako że w starej części domu trąci stęchlizną, kryptą i pajakami. Oto cała tajemnica i tyle. Życzę dobrego dnia, sir.

– Do diabła, jeśli kiedyś spotkałem kogoś takiego jak pan! – zaryczał pan Munder, w przypływie irytacji zupełnie zapominając o swoim dostojeniu, poważaniu i długich słowach. – Chcesz, żeby wyszło na twoje, panie cudzoziemcze? Wyjdzie pan stąd, kiedy się panu spodoba, prawda, panie cudzoziemcze? Zobaczmy, co na to powie sędzia pokoju tutejszego okręgu – zawołał, odzyskując uroczysty sposób bycia i podniosłe słownictwo. – Własność w tym domu jest powierzona mojej pieczy i o ile nie usłyszę zadowalającego wyjaśnienia przywłaszczenia sobie tych oto kluczy, sir, wiszących tam na ścianie, sir, na pana oczach, sir, będę uważał za swój obowiązek zatrzymać pana i osobę towarzyszącą panu do czasu, aż uzyskam poradę prawną i poradę prawowitą, i poradę sędziowską. Słysz pan, sir?

Rumiane policzki wuja Josepha nagle poczerwieniały jeszcze bardziej, a jego twarz przybrała wyraz, który sprawił, że gospodyni poczuła się dość nieswojo, i który nieco ostudził gniew pana Mundera.

– Zatrzyma nas pan tu? Pan? – powiedział starszek cicho, patrząc prosto na zarządcę. – A teraz niech pan patrzy. Zabieram tę damę (odwagi, moje dziecko, odwagi! Nie ma co drżeć)... zabieram z sobą tę damę, otwieram te drzwi... tak! Staję przed nimi i czekam, i mówię panu: „Niech pan zamknie przed nami te drzwi, jeśli ma odwagę”.

Napotkawszy ten sprzeciw, pan Munder postąpił kilka kroków, a potem się

zatrzymał. Gdyby wymierzony w niego nieugięty wzrok wuja Josepha zachwiał się choć na chwilę, zamknąłby drzwi.

– Mówię raz jeszcze – powtórzył staruszek – niech pan zamknie przede mną te drzwi, jeśli ma odwagę. Prawa i obyczaje pańskiego kraju, sir, uczyniły ze mnie Anglika. Jeśli może pan mówić do jednego ucha sędziego pokoju, ja mogę mówić do drugiego. Jeśli musi on wysłuchać pana, obywatela tego kraju, musi wysłuchać i mnie, również obywatela tego kraju. Niech pan powie słowo, jeśli łaska. Oskarża pan, grozi pan, czy może zamyka drzwi?

Zanim pan Munder zdążył odpowiedzieć na którekolwiek z tych bezpośrednich pytań, gospodyni poprosiła go, aby usiadł i porozmawiał z nią. Kiedy wrócił na swoje miejsce, wyszeptwała ostrzegawczym tonem:

– Proszę pamiętać o liście pani Frankland!

W tej samej chwili wuj Joseph, uznając, że czeka już wystarczająco długo, zrobił krok w kierunku drzwi. W pójsciu dalej przeszkodziła mu siostrzenica, która nagle schwyciła go za ramię i rzekła mu do ucha:

– Patrz! Znow o nas szepczą!

– Cóż! – powiedział pan Munder, odpowiadając gospodyni. – Ależ pamiętam o liście pani Frankland, i co z tego?

– Psst! Nie tak głośno – szepnęła pani Pentreath. – Nie ośmielam się mieć innego zdania niż pan, panie Munder, ale chciałabym zapytać o jedną czy drugą rzecz. Myśli pan, że mamy jakiś zarzut wobec tych ludzi, którego sędziego pokoju by wysłuchał?

Na twarzy pana Mundera pojawiło się zdziwienie i zdawał się, co było rzadkością, nie wiedzieć, co odrzec.

– Czy to, co pamięta pan z listu pani Frankland – ciągnęła gospodyni – skłania pana, aby sądzić, że byłaby rada nagłośnieniu tego, co zaszło we dworze? Każę nam ona dyskretnie obserwować poczynania tej kobiety i śledzić ją niezauważenie, kiedy odejdzie. Nie ośmielam się panu doradzać, panie Munder, ale jeśli o mnie chodzi, umyvam ręce od wszelkiej odpowiedzialności, jeśli zrobimy coś innego niż wypełnienie poleceń pani Frankland (jak sama każe) co do joty.

Pan Munder zawahał się. Wuj Joseph, który zatrzymał się na minutę, kiedy Sara zwróciła jego uwagę na szepty w drugim końcu pokoju, teraz pociągnął ją wolno w kierunku drzwi.

– Betzee, moja droga – rzekł, zwracając się do pokojówki z idealnym spokojem i zimną krwią – jesteśmy tu obcy. Będziesz tak dobra i pokażesz nam drogę do wyjścia?

Betsey spojrzała na gospodynię, która ruchem ręki dała jej znać, że ma zwrócić się po wskazówki do zarządcy. Pana Mundera bardzo kusiło, aby dla dobra własnego znaczenia obstawać przy natychmiastowym zastosowaniu środków przymusu, którymi groził, ale zastrzeżenia pani Pentreath kazały mu wstrzymać się

wbrew sobie.

– Betzee, moja droga – powtórzył wuj Joseph – czy całe to gadanie to było zbyt wiele dla twoich uszu? Ogluchłaś?

– Proszę zaczekać! – zawołał niecierpliwie pan Munder. – Domagam się, aby pan czekał, sir!

– Domaga się pan? No, no, fakt, że jest pan nieuprzejmy, to nie powód, dla którego ja również miałbym być nieuprzejmy. Zczekamy chwilę, sir, jeśli ma pan coś więcej do powiedzenia.

Uczyniwszy to ustępstwo wobec wymogów grzeczności, wuj Joseph zaczął powoli przechadzać się pod rękę z siostrzenicą korytarzem na zewnątrz.

– Saro, moje dziecko, wystraszyłem tego człowieka, który używa wielkich słów – szepnął. – Postaraj się nie drżeć tak bardzo, niedługo znów wyjdziemy na świeże powietrze.

Tymczasem pan Munder kontynuował szeptaną konwersację z gospodynią, próbując mimo zakłopotania zachować swoją zwykłą protekcyjność i poczucie wyższości.

– Jest wiele prawdy, proszę pani – zaczął łagodnie – z pewnością wiele prawdy w tym, co pani mówi. Ale mówi pani o kobiecie, podczas gdy ja mówię o mężczyźnie. Czy chce pani powiedzieć, że po tym, co się stało, mam pozwolić mu odejść, nie żądając przynajmniej podania mi nazwiska i adresu?

– Czy wierzy pan cudzoziemcowi na tyle, aby myśleć, że podałyby panu swoje prawdziwe nazwisko i adres? – zapytała pani Pentreath. – Z szacunkiem dla pana lepszego osądu, muszę przyznać, że ja nie wierzę. Ale powiedzmy, że zatrzymały go pan i postawił przed sędzią pokoju, a doprawdy nie wiem, jak by pan to zrobił, skoro dom sędziego znajduje się o kilka godzin drogi stąd. Bez wątplenia naraziłby się pan pani Frankland, przetrzymując i stawiając przed sądem również kobietę, bo w końcu, panie Munder, choć myślę, że cudzoziemiec jest zdolny do wszystkiego, to kobieta zabrała klucze, czyż nie?

– Otóż to! Otóż to! – powiedział pan Munder, którego ospałe oczy dopiero teraz otwarły się na ten jasny i prosty punkt widzenia sprawy. – Ciekawe, właśnie o tym myślałem, pani Pentreath, kiedy pani to powiedziała. Otóż to! Otóż to!

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu – ciągnęła tajemniczym szeptem gospodyni – że najlepszym rozwiązaniem, a także rozwiązaniem najwierniejszym danym nam poleceniom, będzie pozwolić odejść im obojgu, tak jakbyśmy nie chcieli już zniżać się do kłótni czy sprzeczki z nimi, i kazać ich śledzić do następnego miejsca, w którym się zatrzymają. Jacob, pomocnik ogrodnika, plewi dziś chodnik w zachodnim ogrodzie. Ci ludzie nie widzieli go koło dworu i nie zobaczą, jeśli wypuścimy ich południowymi drzwiami. Jacob to bystry chłopak, jak pan wie, i jeśli właściwie się go pouczy, doprawdy nie widzę...

– To zdumiewające, pani Pentreath – wtrącił pan Munder z powagą

oznaczającą zupełną pewność – ale kiedy zasiadałem przy tym stole, przyszła mi do głowy myśl o Jacobie. W trudzie związanym z mówieniem i ferworze sporu umknęła mi ona w niewyjaśniony sposób...

W tym miejscu wuj Joseph, którego pokłady cierpliwości i grzeczności zaczynały się wyczerpywać, wetknął głowę do pokoju.

– Za chwilę będę miał panu do powiedzenia ostatnie słowo, sir – powiedział pan Munder, zanim staruszek zdołał otworzyć usta. – Niech pan nie myśli, że pańskie odgrażanie się i zastraszanie coś mnie obeszło. Może to działa w przypadku cudzoziemców, ale nie w przypadku Anglika, mówię panu.

Wuj Joseph wzruszył ramionami, uśmiechnął się i dołączył do swojej siostrzenicy w korytarzu. Podczas gdy gospodyni i zarządca naradzali się, Sara usilnie próbowała przekonać wuja, aby skorzystali z jej znajomości korytarzy prowadzących do południowych drzwi i wymknęli się niepostrzeżenie. Ale staruszek stanowczo przeciwstawił się pójściu za jej radą.

– Nie wyjdę stąd z poczuciem winy – rzekł – kiedy nie zrobiłem nic złego. Nic nie skłoni mnie, aby postawić siebie lub ciebie w niekorzystnym świetle. Nie jestem mędrce, ale dopóki idę za głosem sumienia, idę w dobrym kierunku. Wpuścili nas tu, Saro, z własnej woli, i również z własnej woli nas wypuszczą.

– Panie Munder! Panie Munder! – wyszeptała gospodyni, aby powstrzymać nowy wybuch oburzenia zarządcy, grożący z powodu zniewagi zasugerowanej wzruszeniem ramion wuja Josepha. – Kiedy będzie pan rozmawiał z tym zuchwałym człowiekiem, czy mam wymknąć się do ogrodu i przekazać Jacobowi instrukcje?

Pan Munder zawahał się z odpowiedzią. Próbował znaleźć godniejsze wyjście z trudnej sytuacji, w jakiej się postawił, niż to podsunięte przez gospodynię, ponieważ jednak nie zdołał nic takiego wymyślić, przełknął oburzenie jednym heroicznym haustem i odparł z naciskiem w trzech słowach:

– Niech pani idzie.

– Co to znaczy? Po co ona tam poszła? – powiedziała Sara do wuja szybkim, nieufnym szeptem, kiedy gospodyni minęła ich pośpiesznie w drodze do zachodniego ogrodu.

Zanim był czas odpowiedzieć na to pytanie, padło inne, zadane przez pana Mundera:

– A teraz proszę posłuchać! – odezwał się zarządca, stając w drzwiach z rękami skrytymi w połach surduta i wysoko zadartą głową. – A teraz, proszę pana i proszę pani, moje ostatnie słowa. Czy otrzymam stosowne wyjaśnienie zabrania i przywłaszczenia sobie kluczy, czy też nie?

– Ma się rozumieć, sir, otrzyma pan wyjaśnienie – odparł wuj Joseph. – Jest to, jeśli pan pozwoli, to samo wyjaśnienie, którego miałem zaszczyt udzielić panu przed chwilą. Chce pan usłyszeć je raz jeszcze? To jedyne wyjaśnienie, jakie

mamy.

– Och, doprawdy? – rzekł pan Munder. – W takim razie jedyne, co mam wam obojgu do powiedzenia, to: proszę w tej chwili opuścić dom! W tej chwili! – dodał swoim najbardziej szorstkim tonem, szukając w zuchwalstwie władzy ratunku przed niejasnym poczuciem absurdalności własnego położenia, towarzyszącym mu nawet wtedy, gdy mówił. – Tak, sir! – ciągnął, coraz bardziej rozzłoszczony spokojem, z jakim wuj Joseph się mu przysłuchiwał. – Tak, sir! Może pan się kłaniać, szurać nogami i bełkotać swoją łamaną angielszczyzną gdzie indziej. Ja nie będę tu pana tolerował. Zastanawiałem się, zachodziłem w głowę i spokojnie zadawałem sobie pytanie, jak to zawsze czynią Anglicy, czy warto się panem przejmować, i doszedłem do pewnego wniosku, a wniosek ten brzmi: nie, nie warto! Niech pan nie odchodzi w poczuciu, że pańskie odgrażanie się i zastraszenie coś mnie obeszło. (Wyprowadź ich, Betsey!) Uważam pana za niewartego – tak! i niegodnego – mojej uwagi. Język nie zdoła, sir, wyrazić mojej pogardy. Proszę opuścić dom!

– Ja zaś, sir – odparł z najnieznośniejszą uprzejmością obiekt wszystkich tych miażdżących drwin – zasłużywszy na pańską pogardę, powiem to, czego w żadnym razie nie mógłbym powiedzieć, zasłużywszy na pański szacunek, to jest, jednym słowem – dziękuję. Ja, mały cudzoziemiec, odbieram pogardę pana, wielkiego Anglika, jako największy komplement, jaki człowiek pańskiego usposobienia może złożyć człowiekowi mojego usposobienia.

To powiedziawszy, wuj Joseph złożył ostatni fantastyczny ukłon, ujął siostrzenicę pod ramię i ruszył śladem Betsey korytarzami prowadzącymi do południowych drzwi, pozwalając panu Munderowi bez pośpiechu układać stosowną ripostę.

Dziesięć minut później gospodyni wróciła zdyszana do pokoju i zastała zarządcę chodzącego tam i z powrotem w stanie znacznego rozdrażnienia.

– Proszę się o nic nie martwić, panie Munder – rzekła. – Nareszcie oboje są daleko od domu, a Jacob ma ich na oku na ścieżce wiodącej przez wrzosowisko.

Rozdział 5.

Mozart gra na pożegnanie

Poza tym, że bardzo serdecznie pożegnał się z Betsey, pokojówką, po ostatniej riposie panu Munderowi wuj Joseph nie wyrzekł już ani słowa, dopóki on i jego siostrzenica nie znaleźli się ponownie sami pod wschodnią ścianą dworu. Tam przystanął, spojrzął na dom, potem na swoją towarzyszkę, następnie znów na dom, a w końcu utworzył usta, aby przemówić.

– Przykro mi, moje dziecko – powiedział. – Przykro mi z całego serca. Coś takiego nazywacie w Anglii przykrością.

Sądząc, że staruszek ma na myśli scenę, która zaszła przed chwilą w pokoju gospodyni, Sara przeprosiła go za to, że mimowolnie stała się powodem jego agresywnej konfrontacji z kimś takim jak pan Munder.

– Nie! Nie! Nie! – zawołał. – Nie miałem na myśli człowieka o wielkim ciele i wielkich słowach. Zdenerwował mnie, nie da się zaprzeczyć, ale było, minęło. Odsuwam od siebie jego i jego wielkie słowa, tak jak kopnięciem posyłam ten kamyczek ze ścieżki na drogę. Nie mówię teraz o twoich Munderach, gospodyniach czy pokojówkach, ale o czymś, co jest bliższe tobie, a tym samym mnie, ponieważ twoją sprawę uważam za własną. Opowiem ci o tym, jak będziemy szli, ponieważ widzę z twojej twarzy, Saro, że jesteś niespokojna i pełna obaw, dopóki znajdujemy się w pobliżu tego zamczyska. Chodźmy! Jestem gotów na marsz. Oto i ścieżka. Wróćmy nią i odbierzmy nasze małe bagaże w gospodzie, w której je zostawiliśmy, po drugiej stronie tego wietrznego pustkowia.

– Tak, tak, wuju! Nie traćmy czasu. Chodźmy szybko. Nie bój się, że się zmęczone. Jestem już dużo silniejsza.

Weszli na tę samą ścieżkę, którą dotarli do dworu po południu. Nie uszli wiele ponad kilkaset jardów, gdy Jacob, pomocnik ogrodnika, wychynął z motyką w ręku zza zrujnowanego ogrodzenia po północnej stronie domu. Słońce właśnie zaszło, ale nad rozległą, otwartą połacią wrzosowiska nadal było jasno i Jacob przystanął, pozwalając staruszkowi i jego siostrzenicy oddalić się od dworu, nim ruszył ich śladem. Gospodyni poleciła mu jedynie nie tracić ich z pola widzenia, nic więcej. Gdyby zauważył, że zatrzymują się i obracają za siebie, miał również się zatrzymać i udawać, że wykopuje coś motyką, jak gdyby był zajęty pracą na wrzosowisku. Skuszony obietnicą sześciopensówki, jeśli wypełni wszystko, jak należy, Jacob wziął sobie do serca polecenie, nie spuszczał obojga nieznanym z oka i obiecywał sobie tak solennie, że zasłuży na czekającą go nagrodę, jak tylko mały chłopiec potrafi.

– A teraz, moje dziecko, powiem ci, dlaczego jest mi przykro – podjął wuj Joseph, kiedy maszerowali ścieżką. – Przykro mi, że wyruszyliśmy w tę podróż, podjęliśmy nasze drobne ryzyko, przyjęliśmy naszą drobną połajankę i nic nie

zyskaliśmy. Słowo, które szepnęłaś mi na ucho, Saro, kiedy przywracałem ci przytomność (a stałoby się to wcześniej, gdyby te półgłówki z zamczyska szybciej przyniosły wodę), słowo, które szepnęłaś mi na ucho nie odkryło wiele, ale wystarczyło, abym zrozumiał, że podjęliśmy tę podróż na próżno. Mogę nabrać wody w usta, mogę robić dobrą minę do złej gry, mogę zgodzić się na chodzenie z oczami zawiązanymi zagadką, która nie dopuszcza światła do moich oczu, ale wszystko to nie zmienia faktu, że rzecz, na której najbardziej ci zależało, kiedy wyruszyliśmy w tę podróż, jest również rzeczą, której nie udało ci się dokonać. Tyle wiem i powtarzam: to przykrość. Tak, tak, na me życie, nie ma co owijać w bawełnę; mówiąc wprost, to wielka przykrość.

W chwili, gdy zakończył swoje wyrazy współczucia tymi oryginalnymi słowami, strach, nieufność i czujna trwoga mącąca wrodzoną łagodność wzroku Sary rozplynęły się w spojrzeniu pełnym smutnej czułości, które zdawało się przywracać im całe dawne piękno.

– Nie żałuj mnie, wuju – rzekła, przystając i delikatnie strącając drobiny kurzu z kołnierza jego surduta. – Cierpiałam tak bardzo i tak długo, że najcięższe rozczarowania nie robią już na mnie wrażenia.

– Nie chcę tego słuchać! – zawołał wuj Joseph. – Mówiąc w ten sposób, sprawiasz mi ból, którego nie zniosę. Nie doświadczysz więcej rozczarowań – nie ma mowy! Mówię to ja, uparty, twardogłowy Joseph Buschmann!

– Dzień, w którym nie doświadczę już rozczarowań, nie jest odległy. Pozwól mi jeszcze trochę zaczekać i nieco znieść: nauczyłam się cierpliwości i nie liczę na nic. Strach i porażka, strach i porażka – oto, czym było moje życie od czasów młodości – życie, do którego zdążyłam przywyknąć. Jeśli dziwisz się, a na pewno tak jest, że nie zdobyłam listu, gdy miałam w ręku klucz do Pokoju Mirtowego, a wokół nie było nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać, przypomnij sobie historię mego życia i uznaj ją za wyjaśnienie. Strach i porażka, strach i porażka – gdybym powiedziała ci całą prawdę, nie mogłabym powiedzieć więcej. Chodźmy dalej, wuju.

Rezygnacja w głosie i postawie, kiedy Sara mówiła te słowa, była rezygnacją pełną rozpacz. Jej efektem był nienaturalny spokój, który w oczach wuja Josepha zmienił siostrzenicę niemal nie do poznania. Spojrzał na nią z nieukrywanym niepokojem.

– Nie! – powiedział. – Nie pójdziemy dalej. Wrócimy do zamczyska, obmyślimy inny plan, spróbujemy dostać się do tego diabelnego listu w jakiś inny sposób. Nie obchodzą mnie Munderowie, gospodynie ani pokojówki! Nie obchodzi mnie nic poza tym, żeby zdobyć dla ciebie tę jedną rzecz, której pragniesz, i zabrać cię z powrotem do domu tak spokojną, jaki jestem ja sam. Chodź! Wracajmy.

– Za późno już, aby wrócić.

– Jak to za późno? Ach, ty posępne, obskurne, diabelne zamczysko – jak ja cię nienawidzę! – zawołał wuj Joseph, obracając się w stronę dworu i wygrażając w powietrzu pięściami.

– Za późno, wuju – powtórzyła. – Za późno, bo okazja przepadła. Za późno, bo gdyby nawet pojawiła się druga, nie odważę się już zbliżyć do Pokoju Mirtowego. Ostatnią moją nadzieją było zmienić miejsce ukrycia listu i tę nadzieję porzuciłam. Został mi w życiu już tylko jeden cel. Możesz mi w nim pomóc, ale nie mogę ci powiedzieć jak, o ile natychmiast nie pójdziesz ze mną, o ile wspomnisz jeszcze słowem o powrocie do Porthenna Tower.

Wuj Joseph zaczął oponować. Siostrzenica przerwała mu w pół zdania, dotykając jego ramienia i wskazując na pewien punkt na ciemniejącym zboczu wrzosowiska w dole.

– Patrz! – rzekła. – Za nami na ścieżce jest jakiś człowiek. Czy to chłopiec, czy mężczyzna?

Wuj Joseph wyteżył wzrok w gasnącym świetle i w pewnej odległości dostrzegł ludzką sylwetkę. Wyglądała na sylwetkę chłopca, który najwyraźniej zajęty był kopaniem na wrzosowisku.

– Ruszajmy natychmiast – poprosiła Sara, zanim staruszek zdążył odpowiedzieć. – Nie mogę powiedzieć ci tego, co chcę powiedzieć, wuju, dopóki nie znajdziemy bezpiecznego schronienia w gospodzie.

Szli, aż osiągnęli najwyższy punkt na wrzosowisku. Tam przystanęli i obejrzeni się po raz drugi. Dalsza część drogi biegła w dół i miejsce, na którym stali, było ostatnim punktem, z którego rozciągał się widok na dwór Porthenna Tower.

– Straciliśmy chłopca z oczu – rzekł wuj Joseph, spoglądając z góry na stok wzniesienia.

Młodsze i bystrzejsze oczy Sary potwierdziły słowa wuja – perspektywa wrzosowiska była teraz we wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć, bezludna. Zanim kobieta ruszyła w dalszą drogę, odsunęła się nieco od staruszka i spojrzała na wieżę starego dworu, która odcinała się masywną czarną sylwetką od ciemnego morza rozciągającego się za nią niby mur.

– Nigdy więcej! – szepnęła do siebie. – Nigdy, nigdy, nigdy więcej!

Jej wzrok powędrował ku kościołowi i przytulonemu do niego cmentarzowi, teraz ledwo widocznemu w mrokach nadciągającej nocy.

– Poczekaj na mnie jeszcze trochę – rzekła, spoglądając w kierunku cmentarza tęsknym wzrokiem i przyciskając rękę do piersi, gdzie ukryty był tomik hymnów. – Moja tułaczka już prawie dobiegła końca. Dzień, w którym wrócę do domu, jest bliski!

Łzy napłynęły jej do oczu i przesłoniły widok. Dołączyła do wuja i biorąc go z powrotem pod ramię, pociągnęła pośpiesznie kilka kroków w dół ścieżki, po

czym zatrzymała się, jakby ogarnięta nagłym podejrzeniem, i cofnęła na wierzchołek wzniesienia.

– Nie jestem pewna – powiedziała, odpowiadając na pytające spojrzenie towarzysza – czy już zupełnie straciliśmy z oczu tego chłopca, który kopał na wrzosowisku.

Kiedy słowa te padły z jej ust, zza dużego granitowego głazu, jakimi usiane było całe pustkowie, wynurzyła się ludzka sylwetka. Była to ponownie sylwetka chłopca, który znów, bez żadnego wyraźnego powodu, zaczął kopać w jałowej ziemi u swoich stóp.

– Tak, tak, widzę – rzekł wuj Joseph, kiedy siostrzenica skwapliwie zwróciła jego uwagę na podejrzaną postać. – To ten sam chłopiec i nadal kopie, ale pozwolisz, że spytam: co z tego?

Sara nie próbowała odpowiedzieć.

– Chodźmy – rzekła pośpiesznie. – Chodźmy do gospody tak szybko, jak możemy.

Ponownie odwrócili się i zaczęli schodzić ścieżką. Nie minęła minuta, a stracili z oczu dwór, stary kościół i całą zachodnią perspektywę. Choć teraz za plecami nie mieli już nic poza ciemniejącym wrzosowiskiem, Sara uparcie przystawała co jakiś czas i dopóki było choć trochę widno, oglądała się za siebie. W żaden sposób nie skomentowała ani nie wyjaśniła, dlaczego opóźnia w ten sposób powrót do gospody. Dopiero gdy w oddali zamajaczyły światła miasta, przestała się oglądać i odezwała się do swego towarzysza. Te kilka słów, które do niego skierowała, ograniczało się do prośby o zamówienie osobnego salonu, gdy tylko dotrą na miejsce noclegu.

Zamówili łóżka w gospodzie i wprowadzono ich do najlepszego salonu, gdzie mieli czekać na kolację. Gdy tylko znaleźli się sami, Sara przysunęła krzesło blisko staruszka i szepnęła mu do ucha:

– Wuju! Byliśmy śledzeni przez całą drogę od dworu aż tutaj.

– No, no! A skądże to wiesz? – zapytał wuj Joseph.

– Ciii! Ktoś może podsłuchiwać pod drzwiami, ktoś może zakradać się pod okno. Zauważyłeś tego chłopca, który kopał na wrzosowisku?

– Fe! Cóż to, Saro? Straszysz samą siebie i próbujesz przestraszyć mnie z powodu chłopca?

– Och, nie tak głośno, nie tak głośno! Zastawili na nas pułapkę. Wuju! Podejrzałam to, gdy tylko przekroczyliśmy próg Porthgenna Tower, a teraz jestem tego pewna. Co miały znaczyć te wszystkie szepty pomiędzy gospodynią a zarządcą, kiedy weszliśmy do holu? Obserwowałam ich twarze i wiem, że mówili o nas. Nie byli zbyt zdziwieni naszym widokiem ani niespecjalnie zdziwili się, słysząc, czego chcemy. Nie śmieję się ze mnie, wuju! To nie jest mój wymysł: istnieje realne niebezpieczeństwo. Klucze – zbliż się – klucze

do północnych pokoi mają nowe etykiety, wszystkie drzwi zostały ponumerowane. Tylko pomyśl! Pomyśl o szeptach, kiedyśmy weszli do domu, i szeptach potem, w pokoju gospodyni, kiedy wstałeś do wyjścia. Zauważyłeś, jak nagle zmienił się ten człowiek, gdy gospodyni coś mu powiedziała – musiałeś zauważyć? Za łatwo nas wpuścili i za łatwo nas wypuścili. Nie, nie! Nie zdaje mi się. Był jakiś ukryty cel we wpuszczeniu nas do domu i jakiś ukryty cel w wypuszczeniu nas z niego. Świadczy o tym chociażby ten chłopiec na wrzosowisku. Widziałam, jak idzie za nami aż tutaj, tak wyraźnie, jak widzę ciebie. Tym razem nie jestem wystraszona bez powodu. Ludzie z Porthgenna Tower zastawili na nas pułapkę, to równie pewne jak to, że siedzimy razem w tym pokoju.

– Pułapkę? Jaką pułapkę? Jak? Dlaczego? Po cóż by? – dopytywał wuj Joseph, szybko machając dłońmi przed oczami na znak zdumienia.

– Chcą zmusić mnie do mówienia, chcą mnie śledzić, chcą dowiedzieć się, dokąd pójde, chcą mnie wypytać – odparła, drżąc gwałtownie. – Wuju! Pamiętasz, co ci mówiłam o tych szalonych słowach, które powiedziałam do pani Frankland? Powinnam sobie była raczej odciąć język, niż je wypowiedzieć! Wyrządziły straszne zło, jestem tego pewna, już zdążyły wyrządzić straszne zło. Stałam się podejrzana! Będę przesłuchiwana, jeśli pani Frankland mnie odnajdzie. Będzie próbowała mnie odnaleźć... będą tu o nas pytać... musimy zatrzeć za sobą wszelki ślad tego, dokąd się udamy... musimy się upewnić, że ludzie w gospodzie nie będą potrafili odpowiedzieć na żadne pytania... Och, wuju Josephie! Cokolwiek zrobimy, upewnijmy się co do tego!

– Dobrze – powiedział staruszek, kiwając z zadowoleniem głową. – O nic się nie martw, moje dziecko, i zostaw upewnianie się mnie. Kiedy pójdziesz się położyć, ja poślę po gospodarza i powiem mu: „Proszę przygotować dla nas mały powóz, sir, z którego przesiądziemy się potem na dyliżans do Truro”.

– Nie, nie, nie! Nie wolno nam wynajmować tu powozu.

– A ja powiadam: tak, tak, tak! Wynajmiemy tu powóz, ponieważ w pierwszej kolejności upewnię się co do gospodarza. Posłuchaj. Powiem mu: „Jeśli przyjdą za nami ludzie, którzy będą rzucać ciekawskie spojrzenia i zadawać niewygodne pytania, niech pan będzie tak dobry i nabierze wody w usta”. Potem mrugnę okiem, przyłożę palec o tak, do skrzydełka nosa, zaśmieję się znacząco i trach, trach! Już upewniłem się co do gospodarza! I na tym koniec!

– Nie możemy ufać gospodarzowi, wuju, nikomu nie możemy ufać. Gdy jutro opuścimy to miejsce, musimy zrobić to piechotą i postarać się, aby nikt nas nie śledził. Spójrz! Na ścianie wisi mapa zachodniej Kornwalii z zaznaczonymi głównymi i bocznymi drogami. Możemy zawczasu ustalić, w którym kierunku powinniśmy pójść. Jedna przespana noc przywróci mi siły, nie mamy też bagaży, których nie moglibyśmy nieść. Ty masz tylko swój plecak, a ja jedynie mały kuferek, który mi pożyczyłeś. Możemy iść sześć, siedem, nawet dziesięć mil,

odpoczywając po drodze. Podejź tu i popatrz na mapę, proszę, proszę, podejź i popatrz na mapę!

Protestując przeciw zarzuceniu jego własnego planu, który, jak twierdził i w co szczerze wierzył, idealnie nadawał się do wyjścia z trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, wuj Joseph zabrał się wraz z siostrzenicą za oglądanie mapy. Nieco za miastem pocztowym zaznaczona była boczna droga biegnąca pod kątem prostym na północ od gościńca prowadzącego do Truro i łącząca się z inną drogą, która wyglądała na dość szeroką, aby kursowały nią dyliżanse, a która wiodła przez miasto na tyle ważne, że jego nazwę wypisano wielkimi literami. Odkrywszy ten fakt, Sara zaproponowała, aby poszli boczną drogą (która, sądząc z mapy, nie miała więcej jak pięć czy sześć mil) pieszo, wstrzymując się od skorzystania z jakiegokolwiek środka transportu, dopóki nie dotrą do miasta zaznaczonego wielkimi literami. Postępując w ten sposób, zatrą za sobą wszelki ślad po opuszczeniu miasta pocztowego, o ile, rzecz jasna, nie będą śledzeni przez jakiegoś piechura, tak jak miało to miejsce na wrzosowisku. W razie pojawienia się jakiegokolwiek nowej trudności tego typu Sara nie mogła zaproponować nic innego, jak przeczekać na drodze do zmroku i pozwolić, aby ciemność zmyliła czujność potencjalnego obserwatora.

Kiedy siostrzenica wyłuszczyła swoje powody chęci kontynuowania podróży pieszo, wuj Joseph z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Oznacza to wleczenie się w kurzu, ciągłe oglądanie się za siebie, szpiegowanie, zerkanie, podejrzewanie i chodzenie naokoło – rzekł. – Nie jest to ani w części tak łatwe, moje dziecko, jak upewnienie się co do gospodarza i siedzenie wygodnie na kanapach dyliżansu. Ale skoro tego chcesz, niech tak będzie. Wedle życzenia, Saro, wedle życzenia – oto moje zdanie, jedyne, na które sobie pozwalam, zanim znajdziemy się z powrotem w Truro i nasza podróż zakończy się na dobre.

– Zanim zakończy się twoja podróż, wuju. Nie ośmielam się mówić, że zakończy się moja.

Te kilka słów w jednej chwili odmieniło twarz staruszka. Wzrok utkwiał z wyrzutem w siostrzenicy, jego rumiane policzki pobladły, a niespokojne ręce nagle opadły wzdłuż ciała.

– Saro! – przemówił niskim, cichym głosem, zdającym się nie mieć nic wspólnego z tym, którym mówił w zwykłych razach. – Saro! Masz serce znów mnie opuszczać?

– A czy mam odwagę, aby pozostać w Kornwalii? Oto pytanie, które należy mi zadać, wuju. Gdyby chodziło tylko o moje serce, och, z jaką radością zamieszkałabym pod twoim dachem – zamieszkałabym, gdybyś mi pozwolił, do końca mych dni! Ale podobny spokój i szczęście nie są mi pisane. Strach przed pytaniami pani Frankland każe mi umykać z Porthgenna, umykać z Kornwalii,

umykać od ciebie. Nawet mój strach przed odkryciem listu nie jest teraz tak wielki jak strach przed tym, że mnie wyśledzą i będą wypytywać. Już powiedziałam to, czego nie powinnam była mówić. Jeśli ponownie znajdę się w obecności pani Frankland, nie będzie nic, czego nie zdoła ze mnie wyciągnąć. Och, Boże! Tylko pomyśleć, że ta dobra, śliczna młoda kobieta, która gdziekolwiek się uda, niesie ze sobą szczęście, mnie przynosi przerażenie! Przerażenie, gdy patrzy na mnie współczującym wzrokiem, przerażenie, gdy mówi do mnie przyjaznym głosem, przerażenie, gdy dotyka mnie delikatną dłonią! Wuju! Gdy pani Frankland przyjedzie do Porthgenna, nawet dzieci będą do niej lgnęły – każde stworzenie w tej biednej wiosce będzie przyciągane blaskiem jej urody i dobroci, tak jakby była słońcem na firmamencie, a ja – ze wszystkich ludzi właśnie ja – będę musiała unikać jej jak zarazy! Dzień, w którym przybędzie do Kornwalii, będzie również dniem, w którym ja będę musiała stąd wyjechać, dniem, w którym będziemy musieli się pożegnać. Proszę, nie pogłębiaj mojej niedoli pytaniami, czy mam serce cię opuszczać! Przez wzgląd na moją zmarłą matkę, wuju Josephie, uwierz, że jestem wdzięczna, uwierz, że to nie moja własna wola mnie powiedzie, gdy znów cię opuszczę.

Opadła na stojącą opodal kanapę. Z jednym długim, głębokim westchnieniem ociężale złożyła głowę na poduszce i zamilkła.

Oczy wuja Josepha zaszły gęstymi łzami, gdy siadał obok niej. Wziął jedną z jej dłoni i zaczął poklepywać ją i głaskać, jak gdyby uciskał małe dziecko.

– Zniosę to tak mężnie, jak potrafię, Saro – szepnął cicho – i nic więcej nie powiem. Będziesz do mnie czasami pisać, gdy zostanę sam jak palec? Znajdziesz chwilę dla wuja Josepha, przez wzgląd na twoją biedną zmarłą matkę?

Odwróciła się ku niemu nagle i zarzuciła mu na szyję obie ręce z żarliwością, która dziwnie nie licowała z jej naturalnie spokojnym i powściągliwym charakterem.

– Będę pisać często, kochany, będę pisać ciągle – wyszeptała z głową opartą na jego piersi. – Jeśli kiedykolwiek będę w tarapatkach lub niebezpieczeństwie, dowiesz się o tym.

Urwała, zmieszana, jak gdyby przerażona swobodą swych własnych słów i gestów, zwolniła uścisk i odwracając się gwałtownie od staruszka, skryła twarz w dłoniach. Tyrania opanowania, która rządziła całym jej życiem, znalazła wyraz – jakże smutny, jakże wymowny! – w tym jednym drobnym geście.

Wuj Joseph wstał z kanapy i zaczął przechadzać się wolno tam i z powrotem po pomieszczeniu, patrząc z niepokojem na siostrzenicę, ale nie odzywając się do niej. Po chwili weszła służąca, aby nakryć stół do kolacji. Był to mile widziany przerywnik, jako że zmusił Sarę do wysiłku opanowania się. Zaraz po posiłku wuj i siostrzenica rozeszli się do swoich sypialni, nie ośmielając się zamienić ani słowa na temat czekającego ich rozstania.

Staruszek nie odzyskał humoru, kiedy spotkali się następnego ranka. Choć starał się mówić równie wesoło jak zwykle, w jego głosie, spojrzeniu i sposobie bycia znać było dziwną melancholię i wyciszenie. Sarze ścisnęło się serce, gdy zobaczyła, jak smutną zmianę wywołała w nim wizja rozstania. Wyrzekła kilka słów pociechy i nadziei, ale on tylko przecząco machnął ręką na swój oryginalny, cudzoziemski sposób i wyszedł z pokoju, aby znaleźć gospodarza i poprosić o rachunek.

Wkrótce po śniadaniu, ku zdumieniu zebranych w gospodzie, wyruszyli w dalszą podróż pieszo. Wuj Joseph niósł na plecach swój plecak, a w dłoni kuferek siostrzenicy. Kiedy dotarli do skrzyżowania w boczną drogę, oboje zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Tym razem nie zobaczyli nic niepokojącego. Na szerokim gościńcu, którym szli przez ostatni kwadrans po opuszczeniu gospody, nie było widać żywej duszy.

– Droga wolna – rzekł wuj Joseph, kiedy skręcali w boczną ścieżkę. – Cokolwiek mogło się zdarzyć wczoraj, teraz nikt za nami nie idzie.

– Nikt, kogo widzimy – odparła Sara. – Ale ja nie ufam nawet przydrożnym kamieniom. Oglądajmy się często za siebie, wuju, zanim pozwolimy sobie czuć się bezpiecznie. Im więcej o tym rozmyślam, tym bardziej boję się sidła zastawionego na nas przez ludzi z Porthgenna Tower.

– Powiedziałaś „nas”, Saro. Dlaczego by mieli zastawiać sidła na mnie?

– Bo widzieli cię w moim towarzystwie. Będziesz bezpieczniejszy, kiedy się rozstaniemy, i to kolejny powód, wuju Josephie, dla którego powinniśmy znosić niedolę naszego rozstania tak pokornie, jak potrafimy.

– Pojedziesz daleko, bardzo daleko, Saro, kiedy mnie opuścisz?

– Nie odważę się przystanąć, dopóki nie poczuję, że przepadłam w wielkim świecie Londynu. Nie patrz na mnie tak smutno! Nigdy nie zapomnę mojej obietnicy, nigdy nie zapomnę, aby pisać. Mam przyjaciół – nie takich jak ty, ale zawsze przyjaciół – do których mogę pójść. Tylko w Londynie nie będę obawiać się odkrycia. Niebezpieczeństwo, w jakim się znalazłam, jest wielkie – tak, w istocie! Z tego, co widziałam w Porthgenna, wiem, że pani Frankland już się mną interesuje, i jestem pewna, że kiedy usłyszysz (a na pewno usłyszysz) o tym, co zaszło wczoraj we dworze, jej zainteresowanie zwiększy się dziesięciokrotnie. Jeśli wyśledzą cię w Truro, och, uważaj, wuju! Uważaj, jak ich potraktujesz, uważaj, jak będziesz odpowiadał na ich pytania!

– Na nic nie będę odpowiadał, moje dziecko. Ale powiedz mi, ponieważ chcę wiedzieć o wszystkich nawet nikłych szansach, że wrócisz, powiedz mi – jeśli pani Frankland znajdzie list, co wtedy zrobisz?

Po tym pytaniu dłoń Sary, spoczywająca luźno na ramieniu wuja, nagle się na nim zacisnęła.

– Nawet jeśli pani Frankland wejdzie do Pokoju Mirtowego –

rzekła, przystając i trwożnie rozglądając się wokół – może nie znaleźć listu. Jest złożony w taki mały zwitek i ukryty w takim nietypowym miejscu...

– A jeśli jednak go znajdzie?

– Jeśli go znajdzie, będzie jeszcze więcej powodów, abym była wiele mil stąd.

Powiedziawszy to, wzniosła obie ręce na wysokość serca i mocno do niego przycisnęła. Rysy jej twarzy uległy nagle drobnej deformacji. Powieki opadły, całe oblicze splonęło rumieńcem, a potem zbladło jeszcze bardziej niż zwykle. Z kieszonki wyciągnęła chusteczkę i kilkakrotnie przetarła nią twarz, na której zebrał się obfity pot. Staruszek, który – gdy jego siostrzenica się zatrzymała – obejrzał się za siebie, w przekonaniu, że zauważyła kogoś, kto ich śledzi, zauważył ten gest i zapytał, czy jest jej zbyt gorąco. Potrząsnęła głową i ponownie ujęła go pod ramię, aby iść dalej, przy czym, jak mu się wydało, oddychała z niejakim trudem. zaproponował, aby usiedli przy drodze i trochę odpoczęli, ale ona odparła tylko: „Jeszcze nie teraz”. Szli zatem przez kolejne pół godziny, potem ponownie obejrzel się za siebie i nadal nie widząc nikogo, usiedli na chwilę na skraju drogi.

Po dwóch kolejnych przystankach w dogodnych do odpoczynku miejscach dotarli do końca bocznej drogi. Doprowadziła ich ona do gościńca, na którym dogonił ich mężczyzna powożący pustym wozem i zaproponował podwiezienie do najbliższego miasta. Z wdzięcznością przyjęli propozycję i kiedy pół godziny później dotarli do miasta, wysiedli przed drzwiami głównej gospody. Dowiedziawszy się tam, że spóźnili się na dyliżans, wynajęli prywatny powóz, który późnym popołudniem dowiózł ich do Truro. Przez całą podróż, od chwili, gdy wyjechali z miasta pocztowego w pobliżu Porthgenna, aż do chwili, gdy zgodnie z życzeniem Sary zatrzymali się przed stacją postojową w Truro, nie zobaczyli nic, co wzbudziłoby najmniejsze podejrzenie, że są obserwowani. Żadna z osób, które widzieli w zamieszkałych miejscach lub minęli na drodze, nie zdawała się zwracać na nich szczególnej uwagi.

Była piąta po południu, gdy weszli do biura w Turo, aby zapytać o transport w kierunku Exeter. Poinformowano ich, że za godzinę wyjeżdża dyliżans, a następny będzie przejeżdżał przez miasto następnego ranka o ósmej.

– Nie pojedziesz chyba dziś wieczorem? – poprosił wuj Joseph.

– Zaczekasz, moje dziecko, i odpoczniesz u mnie do jutra?

– Lepiej pojedę, póki została mi jeszcze odrobina zdecydowania – brzmiała smutna odpowiedź.

– Ale jesteś taka blada, taka zmęczona, taka słaba.

– Nigdy nie będę silniejsza niż teraz. Nie podburzaj mojego serca przeciwko mnie! I bez tego jest mi już ciężko wyjeżdżać.

Wuj Joseph westchnął i nic więcej nie powiedział. Ruszył przodem przez ulicę i zaułek w kierunku domu. Wesoly człowiek w sklepie polerował kawałek

drewna za ladą, siedząc w tej samej pozycji, w której po raz pierwszy ujrzała go Sara, gdy zajrzała przez okno po przyjeździe do Truro. Miał on dla swego pana dobre wieści na temat złożonych zamówień, ale wuj Joseph wysłuchał tego, co miał do powiedzenia subiekt, nieobecny myślami, i pośpieszył do kantorka bez śladu swojego zwyczajnego uśmiechu na twarzy.

– Gdyby nie sklep i zamówienia, mógłbym pojechać z tobą, Saro – powiedział, gdy znalazł się sam na sam z siostrzenicą. – Aj! Aj!

Wyruszenie w tę podróż było jedyną radosną jej częścią. Usiądź i odpocznij, moje dziecko. Muszę robić minę, jak gdyby nic się nie stało, i postarać się dla ciebie o herbatę.

Gdy taca z herbatą znalazła się na stole, wuj Joseph wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z koszykiem w dłoni. Kiedy zjawił się tragarz, aby zabrać bagaż na stację postojową, wuj nie pozwolił mu wziąć również koszyka, tylko usiadł i postawił go sobie między stopami, a sam zajął się nalewaniem herbaty.

Pozytywka w skórzanym pokrowcu nadal wisiała u jego boku. Gdy tylko nalał siostrzenicy filiżankę herbaty, rozpiął pasek, wyjął pozytywkę z pokrowca i postawił obok siebie na stole. Wzrokiem powędrował z wahaniem w kierunku Sary, pochylił się do przodu i lekko drżącymi wargami, z dłonią zabawiającą się nerwowo pustym pokrowcem leżącym mu na kolanach, powiedział do niej cicho i niepewnie:

– Posłuchasz krótkiej melodii Mozarta na pożegnanie? Może upłynąć dużo czasu, Saro, zanim znów będzie mógł ci zagrać. Krótka melodia na pożegnanie, zanim odjedziesz, moje dziecko?

Jego dłoń przesunęła się łagodnie z pokrowca na stół i nastawiła pozytywkę, aby grała tę samą arię, którą Sara usłyszała owego wieczora, gdy weszła do kantorka po podróży z hrabstwa Somerset i zastała wuja siedzącego samotnie i słuchającego muzyki. Jak wielki smutek brzmiał teraz w tych kilku prostych nutach! Jak żalosne wspomnienia z przeszłości wzbierały w sercu na dźwięk tej jednej tęsknej melodii! Sara nie mogła zdobyć się na odwagę, aby podnieść wzrok na twarz staruszka. Mogłaby w ten sposób zdradzić, że rozmyślała o dniach, gdy tak droga mu pozytywka grała tę samą arię przy łóżku jego umierającego dziecka.

Przycisk przerywający grę nie został naciśnięty i melodia, dobiegłszy końca, zabrzmiała od nowa. Tym razem jednak po kilku pierwszych taktach nuty zaczęły następować po sobie coraz wolniej, aria stawała się coraz mniej rozpoznawalna, a w końcu, po trzech ostatnich dźwiękach następujących po sobie w długich odstępach, zamilkła całkiem. Łańcuch, który wprowadził w ruch mechanizm, wytarł się. Pożegnalna melodia Mozarta umilkła nagle, jak głos, który się załamał.

Staruszek drgnął, spojrział z powagą na siostrzenicę i zarzucił pokrowiec na pozytywkę, jak gdyby chcąc zakryć jej widok.

– Muzyka urwała się tak samo – wyszeptał do siebie w swoim języku – gdy

umarł mały Joseph! Nie odjeżdżaj! – dodał szybko po angielsku, niemal zanim Sara zdążyła zdziwić się osobliwą zmianą, jaka zaszła w jego głosie i zachowaniu. – Nie odjeżdżaj! Zastanów się jeszcze i zostań ze mną.

– Nie mam innego wyboru, jak cię opuścić, wuju. Naprawdę, naprawdę nie mam! Nie myślisz, że jestem niewdzięczna? Pociesz mnie na koniec, mówiąc to!

W milczeniu uściskał jej dłoń i ucałował ją w oba policzki.

– Moje serce jest bardzo ciężkie z twojego powodu, Saro – rzekł. – Naszła mnie obawa, że to niedobrze dla ciebie wyjeżdżać teraz od wuja Josepha!

– Nie mam innego wyboru – powtórzyła ze smutkiem – jak cię opuścić.

– W takim razie nadszedł czas, aby mieć pożegnanie za sobą.

Cień zwątpienia i strachu, który padł na jego twarz w chwili, gdy muzyka przedwcześnie zamilkła, zdawał się pogłębić, kiedy wymówił te słowa. Podniósł koszyk, który trzymał tak ostrożnie między stopami, i ruszył przodem w milczeniu.

Ledwo zdążyli. Gdy dotarli do stacji postojowej, woźnica właśnie wsiadał na kozła.

– Niech Bóg cię zachowa, moje dziecko, i wkrótce przyśle z powrotem do mnie całą i zdrową. Weź koszyk na kolana, jest tam kilka drobiazków na podróż.

Przy ostatnim słowie głos mu się załamał i Sara poczuła dotyk jego warg na dłoni. W następnej chwili drzwiczki się zamknęły i przez łyzy zobaczyła go niewyraźnie, jak stoi na trotuarze wśród gapiów chcących zobaczyć odjeżdżający dylizans.

Zanim oddalili się od miasta, Sara zdołała osuszyć oczy i zajrzeć do koszyka. Był tam słoik dżemu i rogowa łyżka, mały intarsjowany przybornik na robótki z magazynu sklepowego, kawałek sera, który wyglądał na zagraniczny, bułka paryska oraz pakiecik z pieniędzmi opatrzony napisem „Nie gniewaj się” skreślonym ręką wuja Josepha. Sara zamknęła pokrywę koszyka i spuściła woalkę. Dopiero teraz poczuła całą gorycz rozstania. Och, jak ciężko było znosić wygnanie z bezpiecznej przystani zaoferowanej przez jedyne przyjaciela, jaki został jej na świecie!

W chwili, gdy o tym myślała, starszek właśnie zamykał drzwi opustoszałego kantorka. Jego wzrok powędrował w kierunku leżącej na stole tacy oraz pustej filiżanki Sary i mężczyzna raz jeszcze wyszeptał do siebie w swoim języku:

– Muzyka urwała się tak samo, gdy umarł mały Joseph!

Księga V

Rozdział 1.

Stary przyjaciel i nowy plan

Wyrażając przekonanie, że chłopiec, którego widziała kopiącego na wrzosowisku, śledził wuja i ją samą aż do miasta pocztowego w pobliżu Porthgenna, Sara stwierdziła najprawdziwszą prawdę. Jacob poszedł ich tropem do gospody, odczekał chwilę przy drzwiach, aby sprawdzić, czy są szanse, że tego samego dnia będą kontynuować podróż, a potem powrócił do dworu zdać raport i odebrać obiecaną nagrodę.

Tego samego wieczora gospodyni i zarządca oddali się wspólnemu tworzeniu listu do pani Frankland, w którym donosili jej o wszystkim, co zaszło od momentu pojawienia się gości do chwili, kiedy pomocnik ogrodnika poszedł za nimi pod drzwi gospody. Kompozycja była obficie okraszona retorycznymi kwiatkami pana Mundera, w wyniku czego powstała przesadnie długa i zagmatwana opowieść.

Nie trzeba dodawać, że mimo wszystkich swoich wad i niedorzeczności list został przyjęty przez panią Frankland z najwyższym zainteresowaniem. Jej mąż i pan Orridge, którym przekazała jego treść, byli równie zdumieni i skonsternowani jak ona sama. Chociaż odkrycie faktu, że pani Jazeph wyjechała do Kornwalii, kazało im przypuszczać, iż może ona pojawić się w Porthgenna, i chociaż Rosamond wiedziona tą właśnie myślą napisała list do gospodyni, ani ona, ani jej mąż nie spodziewali się tak szybkiego potwierdzenia tych podejrzeń. Jednak ich zdumienie po początkowym upewnieniu się co do sensu listu było niczym w porównaniu ze zdumieniem, jakiego doznali, gdy doszli do ustępów odnoszących się do wuja Josepha. Nowy element układanki, który skomplikował gęstniejącą tajemnicę pani Jazeph i Pokoju Mirtowego wraz z pojawieniem się na scenie nieznanego cudzoziemca i jego niezwykłym zachowaniem we dworze, zupełnie zbił ich z tropu. List był czytany ciągle od nowa, poddany krytycznej analizie akapit po akapicie, starannie opatrzone komentarzami przez doktora w celu uwolnienia wszystkich zawartych w nim faktów z plątaniny nic nieznaczących słów, w które pan Munder przemyślnie je uwikłał, i w końcu, po wielu trudach podjętych po to, aby stał się zrozumiały, został okrzyknięty najbardziej zagadkowym i zdumiewającym dokumentem, jaki kiedykolwiek skreśliła ręka śmiertelnika.

Pierwsza praktyczna propozycja po tym, jak odłożono w desperacji list, wyszła od Rosamond. Zasugerowała ona, że wraz z mężem (i dzieckiem, rzecz jasna) powinni niezwłocznie wyruszyć do Porthgenna, aby dokładnie wypytać

służbę o poczynania pani Jazeph i towarzyszącego jej nieznanego cudzoziemca oraz zbadać pomieszczenia w północnej części domu, mając na uwadze odkrycie jakiejś wskazówki co do lokalizacji Pokoju Mirtowego, dopóki świadkowie mają jeszcze świeżo w pamięci wydarzenia. Projekt ten, choć sam w sobie doskonały, spotkał się ze sprzeciwem pana Orridge'a ze względów zdrowotnych. Pani Frankland nabawiła się bowiem przeziębienia, nieostrożnie wystawiając się na świeże powietrze zaraz po opuszczeniu swojego pokoju, i doktor nie pozwolił jej podróżować przez co najmniej tydzień, o ile nie dłużej.

Kolejna propozycja pochodziła od pana Franklanda. Oświadczył on, że w jego przekonaniu jedyna szansa zgłębienia tajemnicy Pokoju Mirtowego zależy wyłącznie od wynalezienia jakiegoś sposobu skontaktowania się z panią Jazeph. Był zdania, że nie powinni zawracać sobie głowy czymkolwiek, co nie służy osiągnięciu tego celu, i zaproponował, że służącego towarzyszącego mu w West Winston – człowieka, który był u niego na służbie od lat i na którego gorliwości, energii oraz inteligencji można było w zupełności polegać – należy niezwłocznie wysłać do Porthgenna, aby zasięgnął języka i dokładnie zbadał pomieszczenia w północnej części dworu.

Pomysł ten został natychmiast wprowadzony w życie. W przeciągu godziny służący, dokładnie poinstruowany, co ma robić, i sownie zaopatrzone w pieniądze na wypadek, gdyby musiał zaangażować w poszukiwania wiele osób, wyruszył do Kornwalii. Po jakimś czasie przysłał swojemu panu sprawozdanie z podjętych działań. Jego treść okazała się w najwyższym stopniu zniechęcająca.

Wszelki ślad pani Jazeph i jej towarzysza urywał się w mieście pocztowym w pobliżu Porthgenna. Poszukiwania prowadzono we wszystkich kierunkach, ale nie udało się ustalić nic pewnego. Ludzie w zupełnie różnych częściach okolicy dość ochoczo twierdzili, że widzieli dwie osoby odpowiadające opisowi damy w ciemnej sukni i starego cudzoziemca, ale kiedy mieli podać kierunek, w jakim podróżowało dwoje nieznanymi, ich odpowiedzi okazywały się niezwykle zagadkowe i wzajemnie sprzeczne. Nie szczędzono trudu ani koniecznych wydatków, ale jak dotąd nie przyniosły one najmniejszych efektów. Na obecnym etapie postępowania służący pana Franklanda nie potrafił powiedzieć, czy dama i cudzoziemiec udali się na wschód, zachód, północ, czy też południe.

Raport z oględzin północnych pokoi nie był pomyślniejszy. Tutaj również nie udało się odkryć nic istotnego. Służący ustalili, że w niezamieszkałej części domu były dwadzieścia dwa pokoje – sześć na parterze, wychodzących na zapuszczony ogród, osiem na pierwszym piętrze i osiem na drugim. Obejrzał dokładnie wszystkie drzwi z góry na dół i doszedł do wniosku, że żadne z nich nie zostały otwarte. Materiał dowodowy, jakiego dostarczyły działania samej damy, do niczego nie prowadził. Jeśli wierzyć zeznaniom służącego, upuściła klucze na posadzkę holu. Znaleziono kobietę, jak twierdzili gospodyni i zarządca,

nieprzytomną u szczytu schodów prowadzących na pierwsze piętro. Drzwi znajdujące się w tym układzie naprzeciwko niej nie wykazały więcej śladów świeżego otwarcia niż drzwi pozostałych dwudziestu jeden pokoi. Nie sposób było określić, czy chciała się dostać do jednego z ośmiu pokoi na pierwszym piętrze, czy też zemdląła w drodze do położonego wyżej szeregu pomieszczeń.

Jedyne wnioski, jakie dało się wysnuć z wypadków zaszłych we dworze, wydawały się dwojakie. Po pierwsze można było mieć pewność, że damie przeszkodzono, zanim zdołała użyć kluczy, aby dostać się do Pokoju Mirtowego. Po drugie, wnosząc z położenia, w jakim znaleziono ją na schodach, i dowodu związanego z upuszczeniem kluczy, można było przyjąć, że Pokój Mirtowy nie znajdował się na parterze, ale był jednym z szesnastu pokoi ulokowanych na pierwszym i drugim piętrze. Poza tym autor raportu nie miał nic do zakomunikowania, jedynie to, że pozwala sobie zaczekać w Porthgenna na wypadek, gdyby jego pan miał mu jeszcze do przekazania jakieś polecenia.

Co robić dalej? To pytanie nasuwało się po doniesieniach służącego o jego bezowocnych poszukiwaniach w Porthgenna. Niełatwo było znaleźć odpowiedź. Pani Frankland nie miała nic do zaproponowania, podobnie jak pan Frankland oraz doktor. Im bardziej wytężali umysły w poszukiwaniu nowego pomysłu, tym mniejsze wydawały się szanse na znalezienie go. W końcu zrezygnowana Rosamond zasugerowała, że powinni poradzić się jakiejś czwartej osoby, na której mogli polegać, i poprosiła męża, aby wolno jej było napisać poufny list przedstawiający ich problem proboszczowi w Long Beckley. Doktor Chennery był ich wieloletnim przyjacielem i powiernikiem, znał ich oboje od dziecka, dobrze poznał historie ich rodzin, po ojcowsku interesował się ich losami, a ponadto miał bezcenną zaletę w postaci jasnego, trzeźwego umysłu, czyniącą zeń człowieka, który najpewniej, jak również najchętniej im pomoże.

Pan Frankland ochoczo przystał na propozycję żony i Rosamond natychmiast napisała do doktora Chennery'ego, informując go o wszystkim, co zaszło od chwili, gdy przedstawiono jej panią Jazeph, oraz prosząc o radę, jak najlepiej postąpić w trudnej sytuacji, w jakiej ona i jej mąż się znaleźli. Poczta zwrotną nadeszła odpowiedź, która w zupełności uzasadniła zaufanie małżonków pokładane w starym przyjacielem. Doktor Chennery nie tylko wykazywał serdeczne zrozumienie dla ciekawości, jaką słowa i zachowanie pani Jazeph wzbudziły w umyśle jego korespondentki, ale przedstawił również własny plan ustalenia położenia Pokoju Mirtowego.

We wstępie do swojej propozycji proboszcz zdecydowanie opowiedział się przeciwko podejmowaniu jakichkolwiek dalszych poszukiwań pani Jazeph. Wnosząc z okoliczności, jak zostały mu przedstawione, uważał, że próby odnalezienia jej byłyby zwykłą stratą czasu. Z miejsca porzucił zatem tę część tematu i zajął się rozważaniem ważniejszej kwestii – co państwo Franklandowie

mają robić w celu samodzielnego odkrycia tajemnicy Pokoju Mirtowego?

W tej materii doktor Chennery żywił niezwykle wyrazisty pogląd i z góry ostrzegł Rosamond, że bardzo się ona zdziwi, kiedy dotrze do miejsca, w którym zostanie przedstawiony. Przyjmując jako pewnik, że pani Frankland i jej mąż nie mają co marzyć o znalezieniu pokoju, o ile nie pomoże im ktoś lepiej obeznany z dawnym układem wnętrza dworu, proboszcz stwierdzał, że jego zdaniem żyje tylko jeden człowiek, który może udzielić im potrzebnej informacji, i że człowiekiem tym jest nie kto inny jak uciążliwy krewny Rosamond, Andrew Treverton.

Doktor Chennery poparł ten zaskakujący pogląd dwoma argumentami. Po pierwsze, Andrew Treverton był jedynym żyjącym przedstawicielem starszego pokolenia, mieszkającego w Porthgenna Tower w czasach, kiedy tradycje związane z północnymi pokojami nadal żyły w pamięci mieszkańców dworu. Ci, którzy przebywali w nim teraz, byli obcymi ludźmi przyjętymi na służbę przez ojca pana Franklanda, zaś osoby zatrudnione dawniej przez kapitana Trevertona nie żyły już albo rozpierchły się. Jediną zatem dostępną osobą, której wspomnienia mogłyby się przydać państwu Franklandom, był bezspornie brat dawnego właściciela Porthgenna Tower.

Po drugie istniała szansa, że nawet jeśli nie da się polegać na pamięci Andrew Trevertona, może on dysponować pisanymi lub drukowanymi informacjami odnośnie do położenia Pokoju Mirtowego. Zgodnie z testamentem ojca, który został sporządzony, kiedy Andrew był zaledwie młodzieńcem idącym na studia, i który nie został zmieniony w czasie jego wyjazdu z Anglii ani nigdy potem, odziedziczył on cenny stary księgozbiór biblioteki w Porthgenna. O ile zachował pamiątki rodowe, było wielce prawdopodobne, że między nimi może znajdować się jakiś plan albo opis domu takim, jakim był w dawnych czasach, który dostarczyłby wszystkich potrzebnych informacji. Był to zatem kolejny uzasadniony powód, aby sądzić, że jeśli gdzieś istnieje wskazówka co do położenia Pokoju Mirtowego, człowiekiem, który pomoże ją zdobyć, jest Andrew Treverton.

Jeśli przyjąć za pewnik, że stary opryskliwy mizantrop jest jedyną osobą, do której można by się z powodzeniem zwrócić o konieczną informację, kolejne pytanie brzmiało: jak się z nim skontaktować? Proboszcz doskonale rozumiał, że po niewybaczalnie bezdusznym zachowaniu Andrew wobec jej ojca i matki niepodobnym było, aby Rosamond zwróciła się do niego bezpośrednio. Przeszkodę tę jednak można by było ominąć, gdyby kontakt wyszedł od doktora Chennery'ego. Proboszcz, jakkolwiek osobiście serdecznie nie lubił Andrew Trevertona i nie pochwalał zasad starego mizantropa, był skłonny odłożyć na bok własne antypatie i obiekcje dla dobra swoich młodych przyjaciół. Wyrażał gotowość napisania listu i przypomnienia się Andrew oraz poproszenia, tak jakby chodziło o ciekawość antykwariusza, o informacje na temat północnego skrzydła

dworu Porthgenna Tower, załączając, oczywiście, wyraźną prośbę o zaznajomienie piszącego z nazwami, pod którymi znane były w dawnych latach poszczególne pokoje.

Przedstawiając tę propozycję, proboszcz otwarcie przyznawał, iż według niego szanse na doczekanie się jakiegokolwiek odpowiedzi na jego prośbę są znikome, bez względu na to, jak ostrożnie by ją sformułował, mając na względzie prostackie dziwactwa adresata. Jednak biorąc pod uwagę, że przy obecnym stanie rzeczy nikła nadzieja była lepsza niż żadna, uważał, że warto przynajmniej wypróbować plan, który niniejszym zaproponował. Gdyby państwo Franklandowie wynaleźli jakiś lepszy sposób skontaktowania się z Andrew Trevertonem albo gdyby odkryli nowy sposób uzyskania potrzebnej informacji, doktor Chennery był najzupełniej gotów odłożyć na bok swoje pomysły i zdać się na nich.

Chwila namysłu nad przyjaznym listem proboszcza doprowadziła Rosamond i jej męża do przekonania, że nie mają innego wyboru jak z wdzięcznością przyjąć zawartą w nim propozycję. Szanse na pozytywne rozpatrzenie prośby były z pewnością niewielkie, ale czy były one mniejsze niż szanse na powodzenie prowadzonych na oślep poszukiwań we dworze? Istniał przynajmniej cień nadziei, że prośba doktora Chennery'ego odniesie jakiś skutek, a zdawało się, że nie ma żadnej nadziei na zgłębienie tajemnicy dotyczącej tylko jednego pokoju wskutek przemierzenia w ciemno ciągów pokoi, których łączna liczba sięgała szesnastu. Pod wpływem tych rozważań Rosamond odpisała proboszczowi, dziękując mu za jego uprzejmość i prosząc, aby skontaktował się z Andrew Trevertonem, tak jak zaproponował, nie tracąc ani chwili.

Doktor Chennery z miejsca zajął się układaniem jakże ważnego listu, uważając, aby uzasadnić prośbę czysto hobbistycznymi względami oraz wyjaśnić swoje rzekome zainteresowanie wnętrzem dworu Porthgenna Tower wzmiankami o dawnej znajomości z rodziną Trevertonów i naturalną ciekawością starego domu, z którym ich nazwisko i losy tak ściśle się łączyły. Odwoławszy się do dawnych wspomnień Andrew Trevertona, poszedł o krok dalej i wspomniał o starym księgozbiorze, nadmieniając, że być może zawiera on jakiś plan lub słowny opis domu mogący okazać się niezwykle pomocnym w razie, gdyby jakieś szczegóły związane z nazwami i położeniem północnych pokoi umknęły pamięci pana Trevertona. Na zakończenie pozwalał sobie zauważyć, że wypożyczenie dokumentu, o którym mowa, lub też pozwolenie na sporządzenie z niego wyciągu zostaną z wdzięcznością przyjęte i poczytane za wielką przysługę. W postscriptum dodawał, że w celu oszczędzenia panu Trevertonowi fatygi nazajutrz po dostarczeniu listu zjawi się posłaniec, aby odebrać ewentualną odpowiedź, której pan Treverton byłby skłonny udzielić. Zakończywszy swoją prośbę w ten sposób, proboszcz załączył ją w kopercie do swojego przedstawiciela w Londynie z poleceniem, że ma być dostarczona przez zaufaną osobę i że posłaniec ma zgłosić

się ponownie następnego ranka, aby dowiedzieć się, czy jest jakaś odpowiedź.

Trzy dni po tym, jak list został wysłany do miejsca swojego przeznaczenia, w którym to czasie nie nadeszły żadne wieści od doktora Chennery'ego, Rosamond nareszcie otrzymała pozwolenie swojego lekarza na udanie się w podróż. Po pożegnaniu z panem Orridge'em oraz wielokrotnych zapewnieniach, że poinformują go o postępie poszukiwań Pokoju Mirtowego, państwo Franklandowie opuścili West Winston i po raz trzeci wyruszyli w podróż do Porthgenna Tower.

Rozdział 2.

Początek końca

W przybytku pana Andrew Trevertona nastał właśnie dzień pieczenia chleba, gdy posłaniec z listem doktora Chennery'ego dotarł do furtki domu w Bayswater. Zadzwoił trzy razy, nim zza muru dobiegł go szorstki głos grzmiący, aby zostawił dzwonek w spokoju, oraz pytający kim jest i czego, u diabła, chce.

– List do pana Trevertona – rzekł posłaniec, nerwowo odsuwając się od furtki.

– Przerzuć go przez mur i jazda stąd! – odpowiedział szorstki głos.

Posłaniec posłuchał obu poleceń. Był to potulny, skromny starszy mężczyzna i kiedy natura mieszała składniki jego usposobienia, nie dodała do nich zdolności odczuwania urazy.

Człowiek o szorstkim głosie czy też, mówiąc krócej, Shrowl, podniósł list, zważył go w dłoni, spojrział na adres z wyrazem pogardliwej ciekawości w oczkach bulteriera, włożył go do kieszeni kamizelki i nieśpiesznie ruszył w kierunku kuchennych drzwi.

W pomieszczeniu, które zapewne byłoby zwane spiżarnią, gdyby dom należał do cywilizowanych lokatorów, ustawiono żarna i w chwili, gdy Shrowl wszedł do środka, pan Treverton był właśnie zajęty udowadnianiem swojej niezależności od wszystkich młynarzy w Anglii poprzez własnoręczne mielenie zboża. Kiedy jego sługa stanął w drzwiach, pan z irytacją przerwał obracanie rączką żaren.

– Po co tu przychodzisz? – zapytał. – Zawołam cię, kiedy mąka będzie gotowa. Nie patrzmy na siebie częściej, niż to konieczne! Nie mogę na ciebie spojrzeć, Shrowl, żeby nie zadać sobie pytania, czy pośród całego stworzenia istnieje druga istota równie brzydka jak człowiek? Dziś rano widziałem kota na ogrodowym murze i nie ma ani jednej cechy, w której wytrzymałbyś porównanie z nim. Oczy kota były przejrzyste – twoje są mętne. Nos kota był prosty – twój jest garbaty. Wąsy kota były czyste – twoje są brudne. Okrycie kota dobrze na nim leżało – twoje wisi na tobie jak worek. Powtarzam raz jeszcze, Shrowl, gatunek, do którego należysz (i ja także), jest najbrzydszy z całego stworzenia. Nie budźmy w sobie nawzajem odraży, przestając w swoim towarzystwie. Wyjdź, ty ostatni, najpodlejszy, najułomniejszy wybryku natury. Wyjdź!

Shrowl przysłuchiwał się tej pochlebnej przemowie z wyrazem gburowatego spokoju. Kiedy się zakończyła, wyjął list z kieszeni kamizelki, nie racząc nic odpowiedzieć. Na tym etapie był już zbyt świadomy własnej władzy nad swoim pracodawcą, aby przywiązywać najmniejszą wagę do czegokolwiek, co mówił do niego pan Treverton.

– A teraz, gdy już skończył pan mówić, może rzuciłby pan okiem na to – powiedział Shrowl, niedbale kładąc list na stoliku obok pana. – Nieczęsto się zdarza, żeby ludzie trudzili się wysyłaniem do pana korespondencji, prawda? Ciekawe, czy to pańska bratanica miała taki kaprys? Pisali w gazetach, że ma syna i dziedzica. Niech pan otworzy list i sprawdzi, czy to czasem nie zaproszenie na chrzciny. Towarzystwo na pewno ucieszyłoby się na widok pana uśmiechniętej twarzy przy stole. Niech pan mi tylko pozwoli zająć się żarnami, a sam idzie i poszuka srebrnego kubka. Syn i dziedzic oczekuje przecież, że dostanie kubek, jego piastunka oczekuje, że dostanie pół gwinei, a matka, że dostanie cały pana majątek. Cóż to będzie za radość uszczęśliwić te trzy niewinne istoty! To okropne, widzieć, jak robi pan takie grymasy nad listem. Panie! Panie! Gdzie się podziały wszystkie pańskie wrodzone uczucia?

– Gdybym tylko miał pod ręką knebel, wepchnąłbym ci go w tę piekielną gębę! – zawołał pan Treverton. – Jak śmiesz wspominać o mojej bratanicy? Ty łajdaku! Wiesz, że nienawidzę jej ze względu na matkę. Co masz na myśli, gędząc bezustannie o moim majątku? Prędzej niż zostawiać go córce aktorki, zostawiłbym go tobie, a prędzej niż zostawiać go tobie, załadowałbym wszystko co do szeląga do łodzi i pogrzebał na wieki na dnie morza!

Dawszy upust swojej złości w tych mocnych słowach, pan Treverton pochwylił list doktora Chennery'ego i rozerwał kopertę w nastroju, który w żadnym razie nie wróżył dobrze prośbie proboszcza.

Przeczytał list ze złowróżbnym grymasem niezadowolenia na twarzy, pogłębiającym się w miarę zbliżania się Andrew do końca. Gdy dotarł do podpisu, nastrój mu się zmienił i roześmiał się szyderczo.

– Z poważaniem, Robert Chennery – powtórzył sam do siebie. – Tak! Poważasz mnie, jeśli spełnię twoją zachciankę. A co, jeśli nie, proboszczu?

Zamilkł i ponownie spojrzął na list, a na jego twarzy ponownie ukazał się grymas niezadowolenia.

– Pod tymi ładnymi słówkami kryje się jakieś oszustwo – wymamrotał. – Ja nie należę do jego parafii: prawo nie daje mu przywileju narzucania się mi. Po co więc podejmuje próbę?

Znowu zamilkł, przez chwilę się zastanawiał, po czym nagle spojrzął na Shrowla i zwrócił się do niego:

– Rozpaliłeś już w piecu?

– Jeszcze nie – odparł Shrowl.

Pan Treverton przestudiował list po raz trzeci, zawahał się, a potem wolno przedarł go na pół i z pogardą rzucił oba kawałki pod nogi służącemu.

– Rozpal ogień natychmiast – rzekł. – A jeśli potrzebujesz papieru, oto on. Stój! – dodał, kiedy Shrowl podniósł przedarty list. – Gdyby jutro ktoś przyszedł i zapytał o odpowiedź, powiedz mu, że dałem ci list na rozpałkę i że to jest cała

moja odpowiedź.

Po tych słowach pan Treverton powrócił do żaren i ze złośliwym uśmiechem na wynędzniałej twarzy zajął się mieleniem.

Shrowl wycofał się do kuchni, zamknął drzwi i złożony oba kawałki kartki razem na kredensie, oddał się czytaniu z pełnym spokojem namaszczeniem. Kiedy wolno i dokładnie przeczytał list od adresu na początku do podpisu na końcu, przez chwilę w zamyśleniu drapał się w poszarpaną brodę, po czym starannie go złożył i schował do kieszeni.

„Zerknę na niego jeszcze raz później” – pomyślał, odrywając skrawek starej gazety na rozpałkę. „Na razie przychodzi mi do głowy, że można by użyć tego listu w lepszym celu niż na rozpałkę”.

Konsekwentnie powstrzymując się od wyjęcia listu z kieszeni, dopóki wszystkie domowe obowiązki przewidziane na ten dzień nie zostaną wypełnione, Shrowl rozpałił ogień, spędził poranek na wyrabianiu i pieczeniu chleba, a potem cierpliwie wykonał swoją część pracy w ogródku warzywnym. Była czwarta po południu, kiedy uznał, że wolno mu pomyśleć o własnych sprawach i udać się w ustronne miejsce w celu potajemnego przeczytania listu po raz drugi.

Ponowne przestudiowanie nieszczęsnej prośby doktora Chen-nery’ego skierowanej do pana Trevertona utwierdziło Shrowla w postanowieniu, aby nie niszczyć listu. Z wielkim mozolem i wytrwałością, wielokrotnie drapiąc się mimochodem w brodę, zdołał pojąć trzy odrębne kwestie, które w jego mniemaniu wylaniały się na plan pierwszy z powodu swojej wagi.

Pierwszą kwestią, którą zdołał sobie jasno uświadomić, było to, że osoba podpisująca się jako Robert Chennery chciała zbadać plan lub drukowany opis wnętrza północnego skrzydła pewnego starego dworu w Kornwalii zwanego Porthgenna Tower. Druga kwestia zdawała się sprowadzać do tego, że Robert Chennery uważał, iż plan lub opis tego rodzaju może się znajdować w księgozbiornym należącym do pana Trevertona. Trzecia kwestia dotyczyła tego, że tenże Robert Chennery poczyta sobie wypożyczenie planu lub opisu za jedną z największych przysług, jakie można mu wyświadczyć. Rozmyślając nad tym ostatnim faktem i mając na uwadze wyłącznie własny interes, Shrowl doszedł do wniosku, że warto by było ze względów finansowych spróbować wyświadczyć przysługę Robertowi Chennery’emu, potajemnie przeszukując książki pana. „Jeśli dobrze się sprawię, mogę zarobić pięć funtów” – pomyślał Shrowl, odkładając list z powrotem do kieszeni i w zamyśleniu wchodząc po schodach prowadzących do rupieciarni na poddaszu.

Były tam dwa nieumeblowane pokoje, których podłogi w całości pokrywała unikatowa kolekcja książek, dawniej będąca ozdobą biblioteki w Porthgenna Tower. Zakurzone i rozrzucone po podłodze we wszystkich możliwych kierunkach i położeniach, leżały setki tomów wyrzuconych ze skrzyń tak jak węgiel wyrzuca

się z worków do piwnicy. Stare książki, które studenci uważaliby za bezcenne, mieszały się w zaniedbaniu ze współczesnymi publikacjami, których główną zaletę stanowiła piękna oprawa. W tę to gęstwinę rozrzuconych tomów wkroczył teraz Shrowl uzbrojony w zupełny spokój ignoranta, zdecydowany poszukać jednej konkretnej książki, nie mając za przewodnika innego światła jak nikły blask dwóch naprowadzających słów – Porthgenna Tower. Wbiwszy je sobie mocno do głowy, miał następnie zamiar szukać, dopóki nie znajdzie ich wydrukowanych na pierwszej stronie jednej z setek książek leżących wokół niego. Było to w tym momencie zadanie jego życia i oto stał w większym z dwóch pomieszczeń zdeterminowany, aby je wykonać.

Stopami oczyścił wokół siebie tyle miejsca, aby móc wygodnie usiąść na podłodze, po czym zaczął przeglądać wszystkie leżące w zasięgu ręki książki. Przypadkowe tomy unikatowych wydań klasyków, przypadkowe tomy autorstwa angielskich historyków, przypadkowe tomy dramatów elżbietańskich, książki podróżnicze, zbiory kazań, książki humorystyczne, książki przyrodnicze, książki o sporcie objawiały się szybko jedno po drugim, ale w ciągu pierwszych dziesięciu minut od usadowienia się na podłodze poszukiwawcza pracowitość Shrowla nie została nagrodzona żadną książką zawierającą na stronie tytułowej słowa „Porthgenna Tower”.

Nim przesiadł się na inne miejsce i podjął walkę z kolejną stertą literackiego żywiołu, przystanął i zastanawiał się przez chwilę, czy nie znalazłby się jakiś łatwiejszy i bardziej metodyczny sposób przedarcia się przez bezładne zbiorowisko tomów, które pozostały do sprawdzenia. Efektem tych refleksji była myśl, że byłoby dla niego mniej mylącem, gdyby szukał we wszystkich częściach pokoju naraz, kierując się wyłącznie rozmiarem książek, rozprawiając się naprzód z największymi, potem, kiedy już zostaną złożone razem, przechodząc do mniejszych i tak dalej, aż w końcu dojdzie do tomików formatu kieszonkowego. W związku z tym oczyścił kolejny skrawek wolnej przestrzeni pod ścianą, po czym, deptając po książkach równie obojętnie, jak gdyby były to grudy ziemi na zaoranym polu, wziął do ręki największy ze wszystkich tomów leżących na podłodze.

Był to atlas. Shrowl przejrzał mapy, namyślił się, potrząsnął głową i odłożył tom na puste miejsce przy ścianie.

Drugą co do wielkości książką był okazale oprawiony zbiór portretów wybitnych osobistości. Shrowl pozdrowił wybitne osobistości pomrukiem prostackiej dezaprobaty i odniósł je pod ścianę, aby dotrzymywały towarzystwa atlasowi.

Trzecia co wielkości książka leżała pod kilkoma innymi. Z jednej strony wystawała nieco, oprawiona w szkarłatny safian. W innym położeniu lub z okładką w bardziej stonowanym kolorze zapewne nie rzuciłaby się w oczy. Shrowl

wyciągnął ją z jakimś trudem, otworzył z grymasem niedowierzania, który nie wróżył nic dobrego, spojrzął na stronę tytułową i naraz uderzył się w udo z okrzykiem triumfu. Wprost przed nosem, wypisane wyraźnie wielkimi literami, miał bowiem ni mniej, ni więcej, jak owe dwa słowa, których szukał.

Postąpił krok w kierunku drzwi, aby sprawdzić, czy jego pan nie chodzi po domu, ale zaraz zreflektował się i wrócił. „Co mnie to obchodzi – pomyślał – czy mnie zobaczy, czy nie? Jeśli dojdzie między nami do sprzeczki o to, kto ma postawić na swoim, zdążyłem się już przekonać, kto w tym domu jest panem, a kto sługą”. Uspokojony tą myślą, wrócił do książki, mając zamiar przejrzeć ją dokładnie, strona po stronie, od początku do końca.

Pierwsza strona była pusta. U góry drugiej widniały skreślone odręcznym pismem wyblakłe słowa i inicjały: „Unikat. Wydrukowano tylko sześć egzemplarzy. J. A. T.”. Poniżej na środku strony znajdowała się drukowana dedykacja: „Johnowi Arthurowi Trevertonowi, Wielmożnemu Panu, Dziedzicowi Dworu Porthgenna, jednemu z Sędziów Pokoju Jego Królewskiej Mości, Członkowi Towarzystwa Królewskiego, etc., etc., etc., to dzieło, w którym podejmuje się próbę opisanie starego i zasłużonego dworu jego przodków...”. Było dużo więcej wersów, które aż pękały od najwznioślejszych i najbardziej czołobitnych słów, jakie można znaleźć w słowniku, ale Shrowl rozsądnie oszczędził sobie trudu czytania ich i od razu przeszedł do strony tytułowej.

Widniały tam najwyższej wagi słowa: „Historia i zabytki dworu PORTHGENNA TOWER. Od chwili jego powstania do czasów obecnych, zawierająca interesujące szczegóły genealogiczne związane z rodem Trevertonów, zarys genezy architektury gotyckiej oraz kilka rozważań na temat teorii fortyfikacji po okresie podboju normandzkiego. Pióra czcigodnego Joba Darka, doktora teologii, proboszcza w Porthgenna. Całość ozdobiona portretami, widokami i planami najwyższej artystycznej klasy. Niepublikowane. Druk Spadlock i Grimes, Truro 1734”.

Tak wyglądała strona tytułowa. Kolejna zawierała rycinę przedstawiającą widok na Porthgenna Tower od zachodu. Po niej następowało kilka stron poświęconych genezie architektury gotyckiej. Kolejne objaśniały normañską teorię fortyfikacji. Następnie widniała rycina – dwór Porthgenna Tower od wschodu. Potem kolejna partia tekstu, pod tytułem *Ród Trevertonów*, a później trzecia rycina – dwór od północy. W tym miejscu Shrowl się zatrzymał i z ciekawością spojrzął na stronę obok ilustracji. Zapowiadała ona jedynie dalszy ciąg tekstu – o powstaniu dworu – po którym zamieszczono ryciny wzorowane na portretach rodzinnych z galerii w Porthgenna. Shrowl włożył lewy kciuk pomiędzy strony dla zaznaczenia miejsca, po czym niecierpliwie zajrzał na koniec książki, aby sprawdzić, co się tam kryje. Ostatnia strona zawierała plan stajni, strona poprzednia przedstawiała plan północnego ogrodu, a na kolejnej, idąc od końca, było dokładnie to, o co prosił

w liście Robert Chennery – układ pomieszczeń w północnym skrzydle dworu!

W pierwszym odruchu Shrowl chciał zabrać książkę do najbezpieczniejszej kryjówki, jaką zdoła znaleźć, a następnie potajemnie zaoferować ją na sprzedaż, kiedy posłaniec zgłosi się rankiem po odpowiedź na list. Jednak po chwili namysłu doszedł do przekonania, że podobne działanie niebezpiecznie przypomina kradzież i może przysporzyć mu kłopotów, jeśli osoba, z którą miał zamiar dobić targu, zapyta go na wstępie o jego prawo do tomu będącego przedmiotem sprzedaży. Innym wyjściem było sporządzenie możliwie najlepszej kopii planu, a następnie handlowanie nią jako dokumentem, którego największy skrupulant nie miałby oporów nabyć.

Po namyśle Shrowl postanowił, że woli zadać sobie trud sporządzenia kopii niż narażać się z powodu przywłaszczenia sobie książki. Zszedł do kuchni, z jednej z szuflad kredensu dobył stary kikut pióra, kałamarz i pół pomiętej kartki papieru listowego, po czym wrócił na poddasze, aby najlepiej jak potrafił skopiować plan. Był on z rodzaju najprostszych i zajmował tylko małą część strony, jednak przy powtórnych oględzinach objawił się oczom mężczyzny jako beznadziejnie zawiły i skomplikowany.

Pokoje przedstawione były za pomocą małych kwadracików, w obrębie których starannie wydrukowano ich nazwy, zaś położenie drzwi, klatek schodowych i korytarzy wyrażały równoległe linie różnych długości i szerokości. Po długich rozmyślaniach, którym towarzyszyły grymasy twarzy i szarpanie brody, Shrowl wpadł na pomysł, że najprostszym sposobem skopiowania planu byłoby położenie na nim papieru listowego, który, choć wielkości zaledwie pół stronicy, był na tyle duży, aby pokryć rycinę, a następnie możliwie dokładne odrysowanie linii widocznych przez papier za pomocą pióra i atramentu. Sapał, prychał i gderał, a przy tym poczerwieniał na twarzy nad swoim zadaniem, ale w końcu wykonał je dość przyzwoicie, pomijając pewne usterki w postaci kleksów i smug. Następnie zrobił przerwę, pozwalając atramentowi wyschnąć, a sobie odetchnąć swobodnie, nim zabrał się do kolejnych działań.

Przeszkodą, którą teraz musiał pokonać, było przepisanie nazw pokoi wydrukowanych w obrębie kwadracików. Szczęściem dla Shrowla, który należał do ludzi najniezdarniej posługujących się piórem, żadna z nich nie była zbyt długa. Największą trudnością okazało się napisanie ich na tyle drobnym pismem, aby zmieściły się w kwadracikach. Zwłaszcza jedna nazwa – Pokój Mirtowy – przedstawiała kombinację liter w słowie „Mirtowy”, która wystawiła cierpliwość i palce piszącego na ciężką próbę. W istocie, mimo że Shrowl robił, co mógł, efekt, nawet na jego oko, był w tym wypadku na tyle nieczytelny, że mężczyzna napisał słowa powtórnie większymi literami na górze strony i połączył chwiejną linią z kwadracikiem symbolizującym Pokój Mirtowy. Ta sama trudność pojawiła się w dwóch innych przypadkach i Shrowl zaradził jej w ten sam sposób. Jednak

z resztą nazw poradził sobie lepiej i kiedy wreszcie zakończył przepisywanie, opatrując swoją kopię nagłówkiem „Plan północnego skrzydła”, przedstawiała się ona w sumie przyzwoiciej, niż można się było spodziewać. Upewniwszy się co do jej wierności poprzez dokładne porównanie z oryginałem, złożył ją wraz z listem doktora Chennery’ego i z chrapliwym westchnieniem ulgi oraz ponurym uśmiechem zadowolenia schował do kieszeni.

Następnego ranka furka prowadząca do ogrodu objawiła się przechodniom w zupełnie nowej perspektywie, gościnnie otwarta na oścież, zaś jeden z nagich słupów przyozdabiała sylwetka Shrowla wspartego na nim niedbale, z nogami skrzyżowanymi, rękami w kieszeniach i fajką w zębach, wypatrującego posłańca, który poprzedniego dnia doręczył list doktora Chennery’ego.

Rozdział 3.

Coraz bliżej krawędzi

W drodze z Londynu do Porthgenna państwo Franklandowie wysiedli dziewiątego maja na stacji w West Winston. Opuścili ją jedenastego czerwca, aby kontynuować swą podróż do Kornwalii. Trzynastego, po dwukrotnym postoju na nocleg, dotarli pod wieczór do Porthgenna Tower.

Cały ranek szalały burza i deszcz. Po południu uspokoiło się, a w porze, kiedy podróżni przybyli do domu, wiatr ustał, gęsta, biała mgła spowijała morze, a przemoczoną ziemię smagał od czasu do czasu przelotny deszcz. Nawet jeden samotny próżniak ze wsi nie wałęsał się po zachodnim dziedzińcu, kiedy powóz z państwem Franklandami, dzieckiem i dwiema służącymi zajechał pod dwór.

Nikt nie czekał, aby otworzyć podróżnym drzwi. Porzucono wszelką nadzieję, że przyjadą tego dnia, a nieustanny huk fal, którymi wzburzone morze waliło o plażę poniżej, zagłuszył turkot kół powozu na drodze. Woźnica musiał zejść z kozła i zadzwonić. Minęła kolejna minuta lub dwie, nim drzwi się otworzyły. Wśród deszczu bębniącego miarowo i posępnie w dach powozu, w przenikliwej wilgoci, przed którą nie chroniły żadne okrycia ani bariery, wśród grzmotu fal, który w szczelnej zasłonie mgły zdawał się brzmieć niebezpiecznie blisko, młoda para czekała na wpuszczenie do własnego domu, tak jak mogliby czekać nieznajomi, którzy zjawili się nie w porę.

Kiedy drzwi się wreszcie otwarły, pan i pani, których innym razem służba powitałaby należnymi gratulacjami, zostali zamiast tego przyjęci z należnymi przeprosinami. Pan Munder, pani Pentreath, Betsey i służący pana Franklanda – wszyscy zgromadzili się w holu i jeden przez drugiego prosili o wybaczenie, że nie czekali przy drzwiach, kiedy zajechał powóz. Pojawienie się dziecka zmieniło zwyczajowe usprawiedliwienia gospodyni i pokojówki w zwyczajowe zachwyty, ale mężczyźni pozostali poważni i posępni i przepraszająco mówili o kiepskiej pogodzie, tak jakby deszcz i mgła były ich dziełem.

Powód, dla którego tak uparcie trzymali się tego ponurego tematu, wyszedł na jaw, kiedy prowadzono państwa Franklandów na górę zachodnimi schodami. Poranny sztorm okazał się tragiczny w skutkach dla trzech rybaków z Porthgenna, którzy wraz z łodzią zaginęli na morzu i których śmierć pogrążyła całą wioskę w żałobie. Od czasu, gdy wiadomość o katastrofie doszła ich uszu wczesnym popołudniem, służący nie mówili o niczym innym, zaś pan Munder uważał teraz za swój obowiązek wyjaśnić, że nieobecność mieszkańców wsi przy okazji przyjazdu ich państwa była spowodowana wyłącznie wrażeniem, jakie na małej społeczności zrobiło zatonięcie łodzi rybackiej. W każdych mniej bolesnych okolicznościach zachodni dziedziniec byłby zatłoczony, a pojawienie się powozu zostałoby przyjęte wiwatami.

– Lenny, niemal żałuję, że nie poczekałiśmy jeszcze trochę z przyjazdem tutaj – wyszeptała Rosamond, nerwowo ściskając ramię męża.

– To bardzo przygnębiające, wracać do mojego pierwszego domu w taki dzień jak dziś. Smutna historia nieszczęsnych rybaków, kochany, która wita mnie w miejscu moich narodzin. Jutro z samego rana pošlijmy kogoś do wioski i zobaczymy, co możemy zrobić dla tych biednych, bezradnych kobiet i dzieci. Po usłyszeniu tej historii nie zaznam spokoju, dopóki nie zrobimy czegoś, aby ich pocieszyć.

– Ufam, że zaaprobuje pani wykonany remont – rzekła gospodyni, wskazując na klatkę schodową prowadzącą na drugie piętro.

– Remont? – spytała w roztargnieniu Rosamond. – Remont! Teraz zawsze, kiedy słyszę to słowo, myślę o północnych pokojach i planach sprowadzenia tam mojego drogiego, biednego ojca. Pani Pentreath, mam mnóstwo pytań do pani i pana Mundera na temat tych wszystkich niezwykłych rzeczy, jakie wydarzyły się, kiedy zjawili się tu owa tajemnicza dama i niepojęty cudzoziemiec. Ale najpierw niech mi pani powie: to zachodnie skrzydło, jak się domyślam? Jak daleko jesteśmy od północnych pokoi? To znaczy, ile by nam zajęło dotarcie do nich, gdybyśmy chcieli teraz udać się do tej części domu?

– Och, mniej niż pięć minut, proszę pani! – odparła pani Pentreath.

– Mniej niż pięć minut! – powtórzyła Rosamond, ponownie szepcząc do ucha męża. – Słyszysz, Lenny? Za pięć minut moglibyśmy być w Pokoju Mirtowym!

– Ale – odrzekł pan Frankland z uśmiechem – przy naszej obecnej niewiedzy jesteśmy od niego równie odlegli, jakbyśmy nadal byli w West Winston.

– Ja tak nie myślę, Lenny. Może to tylko mój wymysł, ale teraz, kiedy jesteśmy na miejscu, czuję, jakbyśmy przyparli sekret do muru. Znaleźliśmy się ni mniej, ni więcej, jak w domu, który skrywa tajemnicę, i nic mnie nie przekona, że nie znajdujemy się w pół drogi do jej odkrycia. Ale nie zatrzymujmy się na tym zimnym podeście. Którędy mamy iść dalej?

– Tędy, proszę pani – odezwał się pan Munder, korzystając z pierwszej okazji, aby wysunąć się na pierwszy plan. – W salonie rozpalono ogień. Czy mogę mieć zaszczyt poprowadzić i pokierować pana, sir, do rzezonego pokoju? – dodał, natrętnie wyciągając rękę w kierunku pana Franklanda.

– W żadnym razie! – wtrąciła ostro Rosamond.

Dzięki wrodzonej bystrości zauważyła, że panu Munderowi brakowało delikatności, która powinna go była powstrzymać od ciekawskiego przyglądania się w jej obecności niewidomemu panu, i w konsekwencji nastawiła się do niego negatywnie.

– Gdziekolwiek znajduje się rzezony pokój – ciągnęła z prześmiewczym naciskiem – ja zaprowadzę do niego pana Franklanda, jeśli pan pozwoli. Jeśli chce pan się na coś przydać, proszę pójść przed nami i otworzyć drzwi.

Pan Munder, na zewnątrz strapiony, a wewnątrz urażony, poprowadził państwa do salonu. Ogień płonął jasno, staromodne meble przedstawiały się nadzwyczaj malowniczo, tapeta na ścianach robiła przyjemne, nastrojowe wrażenie, dywan, choć spłowiwały, układał się miękko i ciepło pod stopami. Rosamond zaprowadziła męża do głębokiego fotela przy kominku i po raz pierwszy poczuła się jak w domu.

– To wygląda naprawdę wygodnie – rzekła. – Kiedy zasłonimy okno, by nie widzieć tej posępnej białej mgły, zapłoną świece, a na stole pojawi się herbata, nie będziemy mieć najmniejszych powodów do narzekań. Podoba ci się ta miła, ciepła atmosfera, prawda, Lenny? W pokoju stoi fortepian, mój drogi. Mogę grać ci wieczorami, tak jak robiłam to w Londynie. Nianiu, rozsiądź się z dzieckiem i niech wam będzie tak wygodnie, jak się da. Zanim zdejmemy czepki, muszę pójść z panią Pentreath i obejrzeć sypialnie. Jak masz na imię, rumiana, poczciwie wyglądająca dziewczyno? Betsey, tak? A więc, Betsey, może byś tak zeszła na dół i przyniosła herbatę, a polubimy cię jeszcze bardziej, jeśli dasz radę przynieść nam do tego trochę pieczeni na zimno.

Wydawszy polecenia w tych oto dobrodusznym słowach i nie zauważywszy, że jej mąż wydawał się nieco skrępowany, gdy tak poufale rozmawiała ze służącą, Rosamond wyszła z pokoju w towarzystwie pani Pentreath.

Kiedy wróciła, jej wygląd i sposób bycia zmieniły się. Z twarzy i głosu były powaga i spokój.

– Mam nadzieję, że wszystko urządziłam jak najlepiej, Lenny – powiedziała. – Najprzestronniejszy i najwidniejszy pokój, jak mówi pani Pentreath, to ten, w którym umarła moja matka. Ale pomyślałam, że nie będziemy go używać. Na sam jego widok przenika mnie chłód i ogarnia przygnębienie. Dalej, w głębi korytarza, znajduje się pokój, który dawniej był moim pokojem dziecięcym. Kiedy pani Pentreath powiedziała mi, że podobno tam właśnie spałam, zdało mi się niemal, iż pamiętam śliczne, ozdobione łukiem przejście prowadzące do drugiego pokoju – nocnego pokoju dziecięcego, jak to się kiedyś mówiło. Kazałam rozpalić tam ogień i pościelić łóżka. Jest jeszcze trzeci pokój, który łączy się z dziennym pokojem dziecięcym. Myślę, że moglibyśmy urządzić się bardzo wygodnie w tych trzech pokojach, o ile nie masz nic przeciwko temu, choć nie są tak duże ani tak wspaniale wyposażone jak przyległe sypialnie. Zrobię przemeblowanie, jeśli chcesz, ale dom wydaje się na razie dość ponury i opuszczony, a na myśl o dawnym pokoju dziecięcym robi mi się ciepło na sercu i pomyślałam, że moglibyśmy przynajmniej go wypróbować. Co ty na to, Lenny?

Pan Frankland podzielał zdanie żony i był skłonny przystać na każde zmiany w wystroju, jakie uzna ona za stosowne. Podczas gdy ją o tym zapewniał, przyniesiono herbatę, widok której pomógł Rosamond odzyskać zwykły dobry humor. Po posiłku pani Frankland zajęła się doglądaniem układania dziecka do snu

w pokoju, który łączył się z dziennym pokojem dzieciennym. Wypełniwszy ten matczyzny obowiązek, wróciła do męża w salonie i rozmowa między nimi zesła – jak ostatnio prawie zawsze, gdy byli sami – na dwa kłopotliwe tematy: pani Jazeph i Pokoju Mirtowego.

– Szkoda, że jest noc – powiedziała Rosamond. – Chciałabym natychmiast rozpocząć poszukiwania. Pamiętaj, Lenny, musisz być ze mną we wszystkich moich dochodzeniach. Ja użyję ci moich oczu, a ty będziesz mi doradzał. Nigdy nie wolno ci stracić cierpliwości ani mówić, że nie ma z ciebie pożytku. Jakże bym chciała, byśmy mogli w tej chwili wyruszyć na naszą wyprawę odkrywczą! Ale możemy w każdym razie zasięgnąć języka – ciągnęła, dzwoniąc na służbę.

– Zawołajmy gospodynię i zarządcę i przekonajmy się, czy nie zdołamy wyciągnąć z nich czegoś więcej, niż napisali w liście.

Na dzwonek odpowiedziała Betsey. Rosamond zażyczyła sobie, aby pan Munder i pani Pentreath przyszli na górę. Usłyszawszy, że pani Frankland wyraża zamiar przesłuchania gospodyni i zarządcy, Betsey odgadła, po co są proszeni, i uśmiechnęła się tajemniczo.

– Widziałas tych dziwnych gości, którzy tak osobliwie się zachowywali? – zagadnęła Rosamond, zauważając uśmiech. – Oczywiście, jestem pewna, że tak. Powiedz nam, co widziałas. Chcemy usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło – o wszystkim, nawet o najdrobniejszych szczegółach.

Po tym, jak zwrócono się do niej w tak bezpośredni sposób, Betsey w wielu słowach i chaotycznie, ale zdołała zrelacjonować swoje naoczne doświadczenia poczyniła pani Jazeph i jej cudzoziemskiego towarzysza. Gdy skończyła, Rosamond zatrzymała ją w drodze do drzwi pytaniem:

– Twierdzisz, że damę znaleziono nieprzytomną u szczytu schodów. Wiesz może, dlaczego zemdląca, Betsey?

Służąca zawahała się.

– Dalej! Śmiało! – rzekła Rosamond. – Widzę, że coś wiesz. Powiedz nam co.

– Boję się, że pani się będzie na mnie gniewać – powiedziała Betsey, której zakłopotanie wyrażało się wolnym kreśleniem linii palcem wskazującym na stojącym obok stole.

– Bzdura! Będę się gniewać tylko wtedy, jeśli nic nie powiesz. Jak myślisz, dlaczego ta dama zemdląca?

Betsey narysowała palcem wyjątkowo długą linię, wytarła go w fartuch i odrzekła:

– Myślę, że zemdląca, proszę pani, ponieważ zobaczyła ducha.

– Ducha! Jak to? Czy w domu jest duch? Lenny, oto niesamowita zagadka, której nigdy się nie spodziewaliśmy. Co to za duch? Chcemy usłyszeć całą historię.

Cała historia opowiedziana ustami Betsey nie dostarczyła jej słuchaczom

żadnych sensacji ani nie trzymała ich długo w napięciu. Duch należał do damy, która niegdyś była żoną jednego z właścicieli dworu i która dopuściła się jakiegoś nieznanego bliżej oszustwa wobec męża. W konsekwencji została skazana na krążenie po północnych pokojach tak długo, jak długo będą stać ich ściany. Miała długie jasnobrązowe kręcone włosy, śnieżnobiałe zęby, dołki w policzkach i w ogóle była „straszna-piękna”. Nieszczęśnikowi, który stanął jej na drodze, nadejście ducha zwiastował zimny powiew wiatru i nikt, kto raz poczuł ten wiatr, nie miał najmniejszych szans, aby kiedyś jeszcze było mu ciepło. Oto wszystko, co Betsey wiedziała o duchu, i w jej mniemaniu wystarczyło to, aby na samą myśl ścinało krew w żyłach.

Rosamond uśmiechnęła się i znów spoważniała.

– Szkoda, że nie możesz powiedzieć nam nieco więcej – rzekła. – Ale skoro nie możesz, musimy spróbować porozmawiać z panią Pentreath i panem Munderem. Przyślij ich tutaj, proszę, jak tylko zejdiesz na dół.

Badanie gospodyni i zarządcy nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Z żadnego z nich nie udało się wyciągnąć nic ponad to, co przekazali już w liście. Pan Munder najbardziej skłaniał się ku przekonaniu, że cudzoziemiec wszedł w progi dworu, żywiąc rabunkowe zamiary wobec rodowych sreber. Pani Pentreath podzielała tę opinię i w nawiązaniu do niej wspomniała, że osobiście odniosła wrażenie, iż dama w skromnej sukni była nieszczęsnym zbiegiem z zakładu dla umyślowo chorych. Jeśli chodzi o udzielenie rady albo podsuniecie sposobu rozwiązania zagadki, ani gospodyni, ani zarządca nie uważali, aby udzielenie pomocy tego rodzaju wchodziło w zakres ich kompetencji. Mieli własny racjonalny pogląd na podejrzane zachowanie dwojga nieznanym i żadna siła nie była w stanie ich zmusić, aby poza niego wyszli.

– Och, ta irytująca, zatwardziała, pretensjonalna głupota przykładowych angielskich służących! – zawołała Rosamond, kiedy ponownie znalazła się sam na sam z mężem. – Żadnej nadziei na pomoc ze strony któregośkolwiek z tych dwojga. Nic nam już nie zostało, jak tylko przeszukiwanie domu, a i to może nas zawieść jak wszystko inne. Co się stało z doktorem Chennerym? Dlaczego nie dostaliśmy od niego wiadomości przed wyjazdem z West Winston?

– Cierpliwości, Rosamond, cierpliwości. Zobaczymy, co przyniesie jutrzejsza poczta.

– Błagam, nie mów mi o cierpliwości, kochany! Nigdy nie miałam pod dostatkiem tej cnoty, a to, co miałam, wyczerpało się dziesięć dni temu, jeśli nie wcześniej. Och, całe tygodnie na próżno zadawałam sobie pytanie: dlaczego pani Jazeph przestrzegła mnie przed wchodzeniem do Pokoju Mirtowego? Czy boi się, że odkryję jakąś zbrodnię? Czy też że podłoga się pode mną zawali? Co chciała zrobić w pokoju, kiedy próbowała się do niego dostać? Skąd, na miłość boską, miałyby wiedzieć o tym domu coś, czego nigdy nie wiedziałam ja, czego nigdy nie

wiedział mój ojciec, czego nigdy nie wiedział...

– Rosamond! – zawołał pan Frankland, nagle drżąc i czerwieniąc się. – Chyba wiem, kim jest pani Jazeph!

– Boże jedyny, Lenny! Co masz na myśli?

– W twoich ostatnich słowach było coś, co nasunęło mi pewną myśl. Pamiętasz, jak będąc w St. Swithin's-on-Sea rozmawialiśmy o tym, czy uda nam się nakłonić twojego ojca, aby tu z nami zamieszkał? Pamiętasz, Rosamond, jak powiedziałaś mi wtedy o pewnych niemiłych wspomnieniach, które wiązał z tym domem, i napomknęłaś między innymi o tajemniczym zniknięciu służącej w poranek, kiedy umarła twoja matka?

Na to pytanie Rosamond zbladła.

– Jak to się stało, że nigdy wcześniej na to nie wpadliśmy? – rzekła.

– Powiedziałaś mi – ciągnął pan Frankland – że owa służąca zostawiła dziwny list, w którym wyznawała, iż twoja matka powierzyła jej przekazanie twojemu ojcu pewnej tajemnicy – tajemnicy, którą bała się wyjawić i na temat której bała się pytać. Czy mam rację, że to właśnie wymieniła jako powody swojego zniknięcia?

– Nie mylisz się.

– A twój ojciec nigdy więcej o niej nie usłyszał?

– Nigdy!

– To śmiały domysł, Rosamond, ale mam silne wrażenie, że kiedy pani Jazeph weszła do twojego pokoju w West Winston, ty i ta służąca spotkałyście się i ona o tym wiedziała!

– A tajemnica, kochany, tajemnica, którą bała się zdradzić memu ojcu?

– Musi się jakoś wiązać z Pokojem Mirtowym.

Rosamond nie odpowiedziała. Podniosła się z krzesła i zaczęła we wzburzeniu przechadzać się po pokoju. Słyszając szelest sukni, Leonard przywołał żonę do siebie i ujmując ją za rękę, położył palce na przegubie dłoni, a potem podniósł na chwilę do jej policzka.

– Żałuję, że nie poczekałem do jutra rana z powiedzeniem ci o moim domysle na temat pani Jazeph – powiedział. – Zupełnie niepotrzebnie cię wzburzyłem i zaprzepąciłem twoje szanse na spokojny sen.

– Nie, nie! Nic podobnego. Och, Lenny, jakże ten twój domysł potęguje moje pragnienie, trwożne, przemożne pragnienie odnalezienia tej kobiety i Pokoju Mirtowego. Czy myślisz...

– Skończyłem już z myśleniem na dziś, moja droga, i ty musisz zrobić to samo. I tak już za dużo powiedzieliśmy na temat pani Jazeph. Zmień temat, na jaki chcesz, a ja chętnie włączę się w rozmowę.

– Niełatwo jest zmienić temat – odrzekła Rosamond, wydymając wargi i odsuwając się, aby z powrotem przechadzać się po pokoju.

– W takim razie ułatwimy to sobie, zmieniając miejsce. Wiem, że masz mnie za najbardziej irytującego upartego człowieka na świecie, ale mam powody, aby być upartym, i docenisz to jutro rano, kiedy obudzisz się pokrzepiona dobrym snem. Chodź, dajmy naszym lękom wolne. Zaprowadź mnie do innego pokoju i pozwól mi sprawdzić, czy odgadnę, jaki jest, dotykając mebli.

Aluzja do jego ślepoty zawarta w ostatnich słowach sprawiła, że Rosamond w jednej chwili znalazła się u jego boku.

– Zawsze wiesz najlepiej – rzekła, obejmując go za szyję i całując. – Minutę temu miałam rozgniewaną minę, kochany, ale już się rozchmurzyłam. Zmienimy otoczenie i zbadamy jakiś inny pokój, tak jak proponujesz.

Zamilkła, w jej oczach pojawił się nagły błysk, policzki nabrały żywszego koloru i uśmiechnęła się do siebie, jak gdyby właśnie przyszedł jej do głowy jakiś nowy pomysł.

– Lenny, zabiorę cię do miejsca, w którym dotkniesz naprawdę niezwykłego mebla – podjęła, prowadząc go w kierunku drzwi. – Przekonamy się, czy będziesz potrafił od razu powiedzieć, co to jest. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci się niecierpliwić, i obiecaj, że nie będziesz dotykał niczego, dopóki nie poprowadzę twojej dłoni.

Pociągnęła go za sobą przez korytarz, otworzyła drzwi pokoju, w którym leżało dziecko, dała znak opiekunce, aby była cicho i zaprowadziwszy Leonarda do kołyski, delikatnie poprowadziła jego dłoń w ten sposób, aby końce palców dotknęły policzka dziecka.

– Proszę, sir! – zawołała, promieniejąc ze szczęścia na widok nagłego zdumienia i radości, które w jednej chwili odmieniły zazwyczaj spokojną, powściągliwą twarz męża. – Co powiesz na ten mebel? Czy to krzesło, czy stół? Czy też może jest to najcenniejsza rzecz w całym domu, w całej Kornwalii, w całej Anglii, w całym świecie? Pocałuj i przekonaj się, co to – popiersie dziecka dłuta rzeźbiarza czy żywy cherubin będący dziełem twojej żony!

Zwróciła się ze śmiechem do pokojówki:

– Hanno, wyglądasz tak poważnie, że na pewno musisz być głodna. Jadłś już kolację?

Kobieta odparła z uśmiechem, że zejdzie na dół, gdy tylko ktoś ze służących zwolni ją z obowiązku pilnowania dziecka.

– Idź zaraz – rzekła Rosamond. – Zostanę tu i przypilnuję go. Zjedz kolację i wróć za pół godziny.

Kiedy opiekunka wyszła, Rosamond ustawiła krzesło dla męża obok kołyski, a sama usiadła na niskim stołeczku u jego kolan. Kiedy to zrobiła, zdawało się, że jej zmienne usposobienie znów przeszło metamorfozę. Twarz jej przybrała zamyślony wyraz, a wzrok złagodniał, przenosząc się to na męża, to na łóżeczko, w którym spało dziecko. Po chwili ciszy wzięła jedną z jego rąk, ułożyła ją na jego

kolanie i delikatnie położyła na niej policzek.

– Lenny – odezwała się z nutą smutku w głosie – ciekawe, czy którekolwiek z nas jest w stanie doświadczyć skończonego szczęścia na tym świecie?

– Czemu zadajesz takie pytanie, moja droga?

– Wydaje mi się, że mogłabym doświadczyć skończonego szczęścia, a jednak...

– A jednak co?

– A jednak zdaje się, że przy wszystkich darach, które otrzymałam, ten jeden dar nigdy nie będzie mi dany. Byłabym teraz skończenie szczęśliwa, gdyby nie jedna mała rzecz. Pewnie nie domyślasz się, o jaką rzecz chodzi?

– Wolałbym, żebyś ty mi to powiedziała, Rosamond.

– Od chwili, gdy urodziło się nam dziecko, kochany, czuję w sercu mały ból, zwłaszcza gdy jesteśmy wszyscy troje razem, tak jak teraz – mały smutek, którego ze względu na ciebie nie mogę się do końca pozbyć.

– Ze względu na mnie? Podnieś głowę, Rosamond, i zbliż się. Czuję na swojej dłoni coś, co mówi mi, że płaczesz.

Podniosła się natychmiast i przyłgnęła twarzą do jego twarzy.

– Mój jedyny – rzekła, zarzucając na niego ramiona w mocnym uścisku. – Mój ukochany, nigdy nie widziałeś swojego dziecka.

– Owszem, Rosamond, widzę je twoimi oczami.

– Och, Lenny! Mówię ci wszystko, co mogę powiedzieć. Staram się, jak mogę, rozświetlić okrutną ciemność, która odgradza cię od tej ślicznej twarzyczki leżącej tak blisko ciebie! Ale czy będę potrafiła powiedzieć ci, jak wygląda, kiedy zacznie rozumieć, co się dzieje dookoła? Czy będę potrafiła przekazać ci tysiąc pięknych rzeczy, które będzie robił, kiedy zacznie próbować mówić? Bóg był dla nas bardzo łaskawy, ale och, jak bardzo ciąży mi świadomość twojej niedoli teraz, gdy jestem czymś więcej niż twoją żoną: teraz, gdy jestem matką twojego dziecka!

– A jednak ta niedola powinna być dla ciebie lekka, Rosamond, ponieważ ty sprawiłaś, że jest lekka dla mnie.

– Naprawdę to sprawiłam? Oto coś szlachetnego, dla czego warto żyć, Lenny! Jest pewną pociechą słyszeć, tak jak przed chwilą, że widzisz moimi oczami. Zawsze będą ci służyć – och, zawsze, zawsze, tak wiernie, jak gdyby były twoimi własnymi. Najmniejszy widzialny drobiazg, na który spojrzę z zainteresowaniem, ty na dobrą sprawę będziesz widział także. Mogłabym mieć swoje niewinne tajemnice, kochany, przed innym mężem, ale przed tobą zatajać choćby myśl to jakby w najnikczemniejszy, najokrutniejszy sposób wykorzystywać twoją ślepotę. Tak bardzo cię kocham, Lenny! Kocham cię o wiele bardziej, niż kiedy się pobraliśmy. Nigdy nie myślałam, że tak będzie, ale tak jest. Jesteś dla mnie o wiele przystojniejszy, o wiele mądrzejszy, o wiele droższy pod każdym względem. Ależ ja ci to ciągle powtarzam, prawda? Nie masz dość słuchania mnie?

Nie? Jesteś tego pewien? Zupełnie, najzupełniej pewien?

Urwała i spojrzała na niego poważnie, choć z uśmiechem na ustach i oczami wciąż błyszczącymi od łez. W tym samym momencie dziecko poruszyło się w łóżeczku i odwróciło jej uwagę. Poprawiła mu kołderkę, przez chwilę przyglądała się mu w milczeniu, a potem usiadła z powrotem na stołeczku u stóp Leonarda.

– Dziecko obróciło twarz w twoim kierunku – rzekła. – Mam ci dokładnie opisać, jak wygląda, jakie ma łóżeczko i jak urządzony jest pokój?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła opisywać wygląd i ułożenie dziecka z fenomenalną szczegółowością kobiecej spostrzegawczości. Kiedy to robiła, powrócił jej niestrudzony dobry nastrój, a twarz znowu się rozpromieniła. Zanim opiekunka wróciła na stanowisko, Rosamond szczebiotała ze zwykłym ożywieniem i jak zwykle skutecznie zabawiała męża.

Kiedy wrócili do salonu, otworzyła fortepian i zasiadła do gry.

– Muszę zagrać ci cowieczorny koncert, Lenny – odezwała się – albo znów powrócę do zakazanego tematu Pokoju Mirtowego.

Zagrała kilka ulubionych arii pana Franklanda z harmonią uczucia i fantazji zdającą się łączyć czar jej własnego usposobienia z czarem melodii, które powstawały do życia pod dotknięciem jej palców. Zagrawszy te, które najlepiej pamiętała, zakończyła recital *Ostatnim Walcem* Webera. Był to ulubiony utwór Leonarda i z tego też względu zawsze zamykał wieczorny występ.

Rosamond dłużej niż zwykle przeciągnęła ostatnie tęskne nuty walca, po czym nagle wstała od fortepianu i pośpieszyła przez pokój w stronę kominka.

– Jakąś minutę czy dwie temu zrobiło się dużo zimniej – powiedziała, klękając na dywaniku i pochylając twarz i dłonie nad ogniem.

– Czyżby? – odparł Leonard. – Nie czuję żadnej zmiany.

– Może złapałam przeziębienie – rzekła Rosamond. – A może – dodała, śmiejąc się nerwowo – owiał mnie wiatr, który poprzedza upiorną damę z północnych pokoi. Z całą pewnością poczułam coś jakby nagły dreszcz, Lenny, kiedy grałam ostatnie nuty Webera.

– Bzdura, Rosamond. Jesteś przemęczona i nadmiernie podniecona. Każ pokojówce przygotować ci trochę gorącego wina z wodą i nie zwlekaj z pójściem do łóżka.

Rosamond skuliła się bliżej ognia.

– Jakie to szczęście, że nie jestem przesądna – rzekła – inaczej mogłabym pomyśleć, że dane mi będzie zobaczyć ducha.

Rozdział 4.

O krok od odkrycia

Pierwsza noc w Porthgenna minęła bez najmniejszego hałasu czy innych zakłóceń. Żaden duch ani sen o duchu nie zmącił snu Rosamond. Obudziła się w swoim zwykłym dobrym humorze i dobrym zdrowiu, a przed śniadaniem była już w zachodnim ogrodzie.

Niebo było zachmurzone, a wiatr raptownie zmieniał kierunek, wiejąc ze wszystkich stron świata. W trakcie spaceru Rosamond napotkała ogrodnika i zagadnęła go, co sądzi o pogodzie. Mężczyzna odparł, że może jeszcze popadać przed południem, ale o ile się nie myli, w ciągu następnej doby zrobi się upał.

– Czy słyszałeś kiedyś o pokoju w północnym skrzydle naszego starego dworu zwanym Pokojem Mirtowym? – spytała Rosamond.

Wstawszy rano z łóżka postanowiła, że aby nie zaprzepaścić szansy na dokonanie jakże ważnego odkrycia, wypyta wszystkie osoby w okolicy, i zaczęła od ogrodnika.

– Nigdy o nim nie słyszałem, proszę pani – odrzekł mężczyzna. – Ale to dość prawdopodobna nazwa, zważywszy na to, jak bujnie rosą w tych stronach mirty.

– Czy jakieś mirty rosą od północnej części domu? – zapytała Rosamond, której nagle przyszło do głowy, że można odnaleźć tajemniczy pokój, szukając go na zewnątrz budynku zamiast w jego środku. – Mam na myśli blisko ściany – dodała, widząc zdumienie na twarzy mężczyzny – pod oknami, rozumiesz?

– Za moich czasów nigdy nie widziałem pod oknami nic jak tylko chwasty i śmieci – odparł ogrodnik.

W tej samej chwili zadzwieczał dzwon wzywający na śniadanie. Rosamond wróciła do domu, postanawiając w duchu, że przeszuka północny ogród i jeśli znajdzie jakąś pozostałość krzewów mirtowych znaczących znajdujące się powyżej okno, każe natychmiast otworzyć pokój przez to okno oświetlany. Zwierzyła się z nowego projektu swojemu mężowi. Ten pochwalił ją za pomysłowość, przyznał jednak, że po tym, co ogrodnik powiedział na temat chwastów i śmieci, nie ma wielkiej nadziei na dokonanie odkryć na zewnątrz dworu.

Zaraz po śniadaniu Rosamond zadzwoniła na służbę, aby powiedzieć, że ogrodnik ma być w pogotowiu i że potrzebne będą klucze do północnych pokoi. Na wezwanie odpowiedział służący pana Franklanda, który przyniósł z sobą poranną pocztę świeżo dostarczoną przez listonosza. Rosamond ochoczo ją przeglądała, gdy nagle rzuciła się na jeden list z okrzykiem zachwyty i rzekła do męża:

– Stempel z Long Beckley! Nareszcie wieści od proboszcza!

Otworzyła list i przebiegła go wzrokiem, po czym z rozpaloną twarzą opuściła go na kolana.

– Lenny! – wykrzyknęła. – Są tu wieści, od których może się zakręcić w głowie. List proboszcza zaparł mi dech w piersi!

– Przeczytaj go – powiedział pan Frankland. – Proszę, przeczytaj go natychmiast.

Rosamond spełniła polecenie łamiącym się, chwiejnym głosem. Doktor Chennery zaczął list od stwierdzenia, że jego prośba do Andrew Trevertona pozostała bez odpowiedzi, dodał jednak, że mimo to przyniosła ona skutki, o których nikomu nawet się nie śniło. W celu zapoznania się z owymi skutkami odsyłał państwa Franklandów do załączonej kopii korespondencji oznaczonej jako prywatna, a otrzymanej od jego przedstawiciela w Londynie.

Korespondencja zawierała szczegółową relację z przebiegu rozmowy pomiędzy służącym pana Trevertona a posłańcem przybyłym po odpowiedź na list doktora Chennery’ego. Jak się okazuje, Shrowl zaczął rozmowę od przekazania wiadomości od swego pana, potem wyciągnął podarty list proboszcza oraz kopię planu i wyraził swoją gotowość rozstania się z tym drugim w zamian za banknot pięćofuntowy. Posłaniec wyjaśnił, że nie ma mocy pertraktować w sprawie dokumentu, i poradził służącemu pana Trevertona odwiedzić agenta doktora Chennery’ego. Po niejakim wahaniu Shrowl zdecydował się wyjść z domu pod pozorem załatwienia jakiejś sprawy, spotkał się z agentem, został wypytany o to, jak zdobył kopię, i widząc, że nie ma szans na zbycie jej, dopóki nie odpowie na wszystkie pytania, zrelacjonował okoliczności, w których powstała. Wysłuchawszy jego zeznań, agent natychmiast zwrócił się do doktora Chennery’ego z prośbą o wskazówki. Napisał stosowny list, wspominając w postscriptum, że widział przepisany plan i upewnił się, iż faktycznie ukazuje on położenie drzwi, klatek schodowych i pokoi opisanych nazwami.

Powracając do własnego listu, doktor Chennery donosił, że musi teraz zostawić decyzję co do dalszego sposobu działania wyłącznie w rękach państwa Franklandów. On sam, kierując swoją prośbę do Andrew Trevertona, zdążył się już trochę skompromitować we własnych oczach, występując w charakterze, który nie był jego własnym, i czuł, że teraz, kiedy sprawa przybrała zupełnie nowy obrót, osobiście nie ośmiela się dalej w nią angażować, czy to wyrażając opinię, czy udzielając rady. Był pewien, że jego młodzi przyjaciele podejmą mądrą i właściwą decyzję po tym, jak w sposób dojrzały rozważą problem we wszystkich jego aspektach. W tym przekonaniu polecił swojemu przedstawicielowi nie mieszać się w sprawę, dopóki ten nie dostanie wiadomości od pana Franklanda, i zastosować się do wszelkich poleceń, jakie może wydać ów dżentelmen.

– Poleceń! – wykrzyknęła Rosamond, mnąc w podnieceniu list, gdy tylko skończyła czytać. – Wszystkie polecenia, jakie mamy do wydania, można napisać w minutę, a przeczytać w sekundę! Co też ma na myśli proboszcz, pisząc o rozważeniu w sposób dojrzały? Oczywiście – zawołała, patrząc po kobiecemu

prosto na cel i nie zaprzatając sobie głowy tym, jakimi środkami należy go osiągnąć – oczywiście, że damy temu człowiekowi banknot pięciofuntowy i dostaniemy plan pocztą zwrotną!

Pan Frankland z powagą potrząsnął głową.

– To zupełnie niemożliwe – rzekł. – Jeśli zastanowisz się nad tym przez chwilę, moja droga, z pewnością zrozumiesz, że wykluczone jest płacić służącemu za informację, która została potajemnie uzyskana z biblioteki jego pana.

– Och, kochany! Nie mów tak! – błagała Rosamond, oszołomiona stanowiskiem męża w tej sprawie. – Co będzie złego w tym, że damy temu człowiekowi jego pięć funtów? On tylko zrobił kopię planu, nic nie ukradł.

– Moim zdaniem ukradł informację – powiedział Leonard.

– Dobrze, a jeśli nawet – nie ustępowała Rosamond – co na tym traci jego pan? Moim zdaniem pan zasłużył na wykradzenie mu informacji za to, że nie miał krzty uprzejmości, aby przesłać ją proboszczowi. Musimy mieć plan, och, Lenny, proszę, nie potrząsaj głową! Musimy go mieć, wiesz, że musimy! Jaki jest sens przejawiać skrupuły wobec starego łajdaka (muszę go tak nazywać, choć to mój stryj), który nie chce dostosować się do najbardziej elementarnych zasad społecznych? Nie możesz traktować go tak – jestem pewna, że proboszcz tak by powiedział, gdyby tu był – jak potraktowałbyś cywilizowanych ludzi albo ludzi będących przy zdrowych zmysłach, do których on, jak twierdzą wszyscy, nie należy. Na cóż zda mu się plan północnych pokoi? A poza tym, jeśli na coś miałby się zdać, ma przecież oryginał, a zatem informacja nie została jednak ukradziona, ponieważ on cały czas ją ma, nieprawdaż, kochanie?

– Rosamond! Rosamond! – powiedział Leonard, uśmiechem kwitując jawne sofizmaty żony. – Próbujesz rozumować jak jezuita.

– Nie obchodzi mnie, jak rozumuję, kochanie, byle tylko zdobyć plan.

Pan Frankland nadal potrząsał głową. Widząc, że jej argumenty na nic się nie zdają, Rosamond sprytnie uciekła się do odwiecznego oręża swojej płci – perswazji – używając go w tak bliskim kontakcie i z takim skutkiem, że w końcu zdobyła niechętną zgodę męża na rodzaj kompromisu, który dawał jej pozwolenie na wydanie poleceń odnośnie do nabycia kopii planu pod jednym warunkiem.

Warunek był taki, że gdy tylko plan spełni swoje zadanie, odeślą go panu Trevertonowi, otwarcie przyznając, w jaki sposób weszli w jego posiadanie, i jako usprawiedliwienie podając jego własny brak grzeczności przejawiający się w odmówieniu udzielenia informacji, która sama w sobie była bez znaczenia, a której przekazanie każdy inny na jego miejscu uważałaby za rzecz naturalną. Rosamond robiła, co mogła, aby warunek ten został cofnięty lub zmieniony, ale w tym względzie czuły na punkcie swojej dumy mąż nie ugiął się nawet pod dotknięciem jej lekkiej ręki.

– Dość już zadałem gwałtu własnym przekonaniom – rzekł – i więcej nie

zadam. Jeśli mamy zniżyć się do robienia interesów ze służącym, nie pozwólmy mu przynajmniej podawać nas za swoich współników. Napisz w moim imieniu do przedstawiciela doktora Chennery'ego, Rosamond, i przekaż mu, że jesteśmy chętni nabyć przepisany plan pod warunkiem, który podałem, a który to warunek przedstawi oczywiście służącemu jasno i wyraźnie.

– Przypuśćmy, że służący nie zechce ryzykować utraty posady, co siłą rzeczy się stanie, jeśli przyjmie twój warunek? – zapytała Rosamond, bez większego entuzjazmu podchodząc do sekretarzyka.

– Nie zamartwiajmy się przypuszczaniem czegokolwiek, kochana. Poczekajmy na rozwój wypadków i działajmy stosownie do niego. Gdy będziesz gotowa, aby pisać, powiedz, a ja podyktuję twój list. Chciałbym, żeby przedstawiciel proboszcza zrozumiał, że postępujemy tak a nie inaczej, wiedząc, po pierwsze, iż z panem Andrew Trevertonem nie da się postępować w zgodzie z przyjętymi zasadami społecznymi, a po drugie, że informacja oferowana nam przez służącego pochodzi z drukowanej książki i nie ma żadnego związku, czy to bezpośredniego, czy pośredniego, z prywatnymi sprawami pana Trevertona. Skoro już zmusiłaś mnie do pójścia na ten kompromis, Rosamond, muszę możliwie wyczerpująco uzasadnić go w oczach innych, jak również swoich.

Widząc, że jej mąż trwa niezłomnie w swoim postanowieniu, Rosamond miała na tyle taktu, aby nic więcej nie mówić. List został napisany dokładnie tak, jak podyktował go Leonard. Kiedy trafił do torby pocztowej wraz z odpowiedziami na inne poranne listy, pan Frankland przypomniał żonie o zamiarze odwiedzenia północnego ogrodu, który wyraziła przy śniadaniu, i zażądał, aby zabrała go tam z sobą. Szczerze wyznał, że odkąd zapoznał się z listem doktora Chennery'ego, oddałby sumę pięć razy większą niż ta, jakiej zażądał Shrowl w zamian za plan, gdyby można było bez niczyjej pomocy odnaleźć Pokój Mirtowy, zanim list do przedstawiciela proboszcza trafi na pocztę. Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności, stwierdził, niż możliwość wrzucenia pisma do ognia i wysłania w zamian jednoznacznej odmowy nabycia planu.

Poszli do północnego ogrodu, gdzie Rosamond na własne oczy przekonała się, że nie ma najmniejszych szans na odnalezienie pozostałości kępy krzewów mirtowych pod którymkolwiek z okien. Od razu po powrocie do domu kazali otworzyć drzwi prowadzące do północnego holu.

Pokazano im miejsce na posadźce, w którym znaleziono klucze, i miejsce u szczytu pierwszej kondygnacji schodów, gdzie znaleziono panią Jazeph, kiedy wszczęto alarm. Zgodnie z sugestią pana Franklanda otworzono drzwi pokoju znajdujące się dokładnie naprzeciw tego miejsca. Za nimi ukazał się przynębiający widok, na który składały się kurz, brud i mrok. O jedną ze ścian oparty był stos starych obrazów, na środku podłogi leżała sterta obdartych krzesel, na gzymsie kominka leżały skorupy potłuczonej porcelany, a w jednym rogu tkwiła

zbutwiała serwantka pęknięta z góry na dół. Owe nieliczne pozostałości wyposażenia pokoju zostały poddane dokładnym oględzinom, ale nie znaleziono nic, co miałyby jakieś znaczenie – nic, co w najmniejszym choćby stopniu mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki Pokoju Mirtowego.

– Każemy otworzyć pozostałe drzwi? – zapytała Rosamond, kiedy znów znaleźli się na podeście.

– Myślę, że to bezcelowe – odparł jej mąż. – Jedyłą naszą nadzieją odkrycia zagadki Pokoju Mirtowego, o ile jest ukryta tak głęboko, jak mi się zdaje, jest szukanie jej w tym konkretnym pokoju, żadnym innym. Aby były skuteczne, poszukiwania muszą w razie konieczności objąć zrywanie podłogi i boazerii, a może nawet rozbieranie ścian. Możemy tak postąpić z jednym pokojem, kiedy będziemy wiedzieli, który to jest, ale bez rozebrania całego skrzydła domu nie damy rady zrobić tego w przypadku szesnastu pokoi, po których przy naszej obecnej ignorancji jesteśmy skazani krążyć bez żadnej wskazówki. Wystarczająco beznadziejną sprawą jest już samo szukanie nie wiadomo czego, więc jeśli możemy, dowiedzmy się, gdzie znajdują się owe cztery ściany, w których muszą zawrzeć się mało obiecujące poszukiwania. Podłoga na podeście jest chyba zakurzona. Czy po wizycie pani Jazeph nie zostały na niej jakieś ślady stóp mogące doprowadzić nas do właściwych drzwi?

W następstwie tej sugestii odbyły się poszukiwania śladów stóp na zakurzonej podłodze korytarza, ale nic nie znaleziono.

W przeszłości na podłodze położono chodnik, którego powierzchnia – podarta, poszarpana i przegniła ze starości – była zbyt nierówna, aby pozwolić gładko osiadać kurzowi. Tu i ówdzie, tam, gdzie dziura odsłaniała deski podłogi, służącemu pana Franklanda zdawało się, że dostrzega ślady w kurzu, które mógł pozostawić czubek buta lub obcas, jednak te nikłe i wątpliwe znaki leżały w odległości wielu jardów od siebie, co uniemożliwiało wyciąganie wniosków mających jakiegokolwiek znaczenie. Spędziwszy ponad godzinę w północnym skrzydle domu, Rosamond musiała przyznać, że służący mieli rację, kiedy otwierając drzwi do holu, przepowiedzieli, że nic nie znajdzie.

– Musimy wysłać list, Lenny – powiedziała, kiedy wrócili do salonu.

– Nie ma rady – odrzekł jej mąż. – Wyślij korespondencję i nie mówmy o tym więcej.

List poszedł pocztą tego samego dnia. Biorąc pod uwagę ustronne położenie Porthgenna i niedokończony stan linii kolejowej w owych czasach, musiały minąć dwa dni, nim można było liczyć na odpowiedź z Londynu. Czując, że dla Rosamond lepiej będzie spędzić okres niepewności poza domem, pan Frankland zaproponował, aby dla zabicia czasu odbyli krótką wycieczkę wzdłuż wybrzeża i odwiedzili kilka słynących z widoków miejsc, które mogłyby zainteresować jego żonę i których opisywanie na bieżąco mężowi byłoby dla niej miłą rozrywką.

Pomysł ten został natychmiast zrealizowany. Młoda para wyjechała z Porthgenna i wróciła dopiero wieczorem następnego dnia.

Kiedy rankiem trzeciego dnia Leonard i Rosamond weszli do jadalni, na stole leżał upragniony list od przedstawiciela proboszcza. Shrowl przyjął warunek pana Franklanda – po pierwsze dlatego, że uważał, iż trzeba być niespełna rozumu, aby odmówić przyjęcia pięćofuntowego banknotu, kiedy ktoś go podsuwa, po drugie dlatego, że uważał, iż jego pan jest zbyt zależny od niego, aby wydalać go z jakiegokolwiek powodu, wreszcie dlatego, że gdyby nawet pan Treverton faktycznie się z nim rozstał, nie był aż tak przywiązany do swojej posady, aby robić sobie cokolwiek z jej utraty. W związku z tym targu dobito w pięć minut, o czym zaświadczał dołączony do listu wyjaśniającego plan!

Rosamond drżącymi rękami rozłożyła na stole jakże ważny dokument, przez chwilę przyglądała mu się z przejęciem, po czym położyła palec na kwadraciku wyznaczającym położenie Pokoju Mirtowego.

– Oto on! – zawołała. – Och, Lenny, jak mi bije serce! Raz, dwa, trzy, cztery: czwarte drzwi na pierwszym piętrze są drzwiami do Pokoju Mirtowego!

Byłaby od razu zażądała kluczy do północnych pokoi, ale jej mąż nalegał, aby poczekała, aż nieco się uspokoi i zje choć odrobinę śniadania. Mimo jego perswazji posiłek odbył się w takim tempie, że w dziesięć minut później żona trzymała go pod ramię i prowadziła w kierunku klatki schodowej.

Prognoza ogrodnika sprawdziła się: nadszedł upał – ciężki, mglisty, parny, duszny upał. Drżący biały obłok mgły pokrył cienką warstewką całe niebo, zszedł ku morzu aż do linii horyzontu i zatarł ostre kontury odległego wrzosowiska. Słońce stało blade i migotliwe, najłżejsze, najwyższe płatki kwiatów w otwartych oknach były nieruchome, zwierzęta domowe leżały senne w zacienionych kątach. Pojedyncze odgłosy domu brzmiały ciężko i głośno w leniwej, bezwietrznej ciszy, którą upał zdawał się roztaczać nad ziemią. Na dole, w pokoju dla służby, ustała zwykła poranna krzątanina. Kiedy Rosamond zajrzała po drodze po klucze do pokoju gospodyni, kobiety wachlowały się, a mężczyźni siedzieli, zdjąwszy surduty. Wszyscy z irytacją rozmawiali o upale i wszyscy byli zgodni, że takiego dnia jak ten w czerwcu nigdy jeszcze nie widzieli ani o takim nie słyszeli.

Rosamond wzięła klucze, odrzuciła propozycję towarzystwa gospodyni i poprowadziwszy męża przez korytarze, otworzyła drzwi do północnego holu.

– Jak tu nienaturalnie chłodno! – powiedziała, gdy weszli do opuszczonego zakątka domu.

U stóp schodów stanęła i mocniej ścisnęła ramię męża.

– Czy coś się stało? – spytał Leonard. – Czy wejście w wilgotny chłód tego miejsca źle na ciebie działa?

– Nie, nie – odrzekła pośpiesznie. – Jestem zbyt podniecona, by czuć gorąco albo wilgoć, które czułabym innym razem. Ale Lenny, przypuśćmy, że twoje

podejrzenia dotyczące pani Jazeph są słuszne...

– Tak?

– I przypuścimy, że odkryjemy tajemnicę Pokoju Mirtowego. Może okazać się, że jest to coś, co dotyczy mojego ojca lub matki, czego nie powinniśmy wiedzieć? Pomyślałam o tym, kiedy pani Pentreath zaproponowała, że będzie nam towarzyszyć, i to zdecydowało, że przyszedłam tu sama z tobą.

– Równie dobrze tajemnicą może być coś, o czym powinniśmy wiedzieć – odparł pan Frankland po chwili namysłu. – Tak czy owak, mój pomysł dotyczący pani Jazeph to w końcu tylko strzał w ciemno. Jednakże, Rosamond, jeśli się wahasz...

– Nie! Niech się dzieje, co chce, Lenny, nie możemy się teraz wycofać. Podaj mi znowu rękę. Doszliśmy razem tropem zagadki aż dotąd i razem ją rozwiążemy.

Mówiąc to, weszła po schodach, prowadząc go za sobą. Na podeście ponownie spojrzała na plan i upewniła się, że pierwsze wrażenie dotyczące Pokoju Mirtowego, jakie odniosła ze szkicu, było słuszne. Odliczyła kolejne drzwi aż do czwartych, odnalazła w pęknięciu klucz z numerem IV i włożyła go do zamka.

Zanim go przekręciła, zatrzymała się i obejrzała na męża.

Stał tuż obok niej, swoją cierpliwą twarzą zwrócony wyczekująco w kierunku drzwi. Rosamond ujęła prawą dłońią klucz, przekręciła go wolno w zamku, lewą ręką pociągnęła męża bliżej siebie i znów się zatrzymała.

– Nie wiem, co się ze mną stało – wyszeptała słabym głosem. – Czuję, jakbym bała się otworzyć drzwi.

– Masz zimną rękę, Rosamond. Zaczekaj... zamknij drzwi z powrotem na klucz... przełóż to na inny dzień.

Kiedy to mówił, czuł, jak palce żony zaciskają się coraz mocniej na jego dłoni. Potem nastąpiła chwila – jedna pamiętna, zapierająca dech w piersiach chwila, której nie sposób zapomnieć – zupełnej ciszy. Następnie rozległ się ostry trzask otwieranych drzwi, Leonard poczuł, jak nagle zostaje pociągnięty w odmienną atmosferę, i poznał, że on i Rosamond znaleźli się w Pokoju Mirtowym.

Rozdział 5.

Pokój Mirtowy

Szerokie kwadratowe okno o wąskich futrynach i ciemnych ramach, posępne żółte światło przenikające przez szybki pokryte skorupą nawarstwionego przez pół wieku brudu, jaśniejsze promienie przecinające półmrok, wpadające przez szczeliny w rozbitym szkle, kurz to unoszący się, to sypiący się w dół, lekko wirujący w zastygłym powietrzu, wysokie nagie ściany w kolorze wyblakłej czerwieni, krzesła w nieładzie, stoły ustawione krzywo, wysoka czarna biblioteczka, której otwarte drzwiczki na wpół wypadły z zawiasów, cokół z leżącym u stóp roztrzaskanym popiersiem, sufit pociemniały od plam, podłoga pobielona kurzem – tak oto przedstawiał się Pokój Mirtowy, kiedy Rosamond po raz pierwszy do niego weszła, prowadząc męża za rękę.

Minąwszy futrynę, powoli postąpiła kilka kroków naprzód, po czym stanęła i czekała, mając każdy zmysł napięty do granic możliwości. W złowrogiej ciszy, w rozpaczliwym odosobnieniu czekała na bliżej nieokreślone coś, co może kryć pokój, co może ukazać się jej oczom, czego dźwięk może dobiec jej uszu zza pleców, co może nagle dotknąć ją z góry, z dołu, z prawej lub lewej strony. Czekała z zapartym tchem minutę lub dłużej i nic się nie ukazało, nic nie zabrzmiało, nic jej nie dotknęło. Cisza i samotność miały swoją tajemnicę i dochowywały jej.

Rosamond obejrzała się na męża. Jego twarz, zazwyczaj tak spokojna i opanowana, teraz wyrażała niepewność i niepokój. Wolną rękę miał wyciągniętą i poruszał nią to w tył i w przód, to w górę, to w dół w daremnej próbie dotknięcia czegoś, co pomogłoby mu odgadnąć położenie, w jakim się znalazł. Jego wygląd i gesty, kiedy tak stał w tym nowym i nieznanym otoczeniu, nieme wezwanie, które tak żałośnie i nieświadomie kierował do czulej pomocy żony, przywróciły jej panowanie nad sobą, zwracając jej serce ku najdroższej ze wszystkich spraw, ku najświętszej ze wszystkich trosk. Jej wzrok, jeszcze chwilę temu tak niespokojnie utkwiony w otaczającym ich ponurym obrazie zaniedbania i ruiny, zwrócił się z czułością ku twarzy męża, promieniejąc niezgłębionym blaskiem współczucia i miłości. Nachyliła się szybko, złapała jego wyciągnięte ramię i przycisnęła mu do boku.

– Nie rób tak, kochanie – powiedziała łagodnie. – Nie chcę na to patrzeć. Wygląda to, jakbyś zapomniał, że jestem z tobą, jakbyś był bezradny i pozostawiony sam sobie. Po co ci zmysł dotyku, kiedy masz mnie? Słyszałeś, jak otwierałam drzwi, Lenny? Wiesz, że jesteśmy w Pokoju Mirtowym?

– Co zobaczyłaś, kiedy otwierałaś drzwi, Rosamond? Co widzisz teraz? – zapytał gorączkowym szeptem.

– Nic, tylko kurz, brud i ruinę. Najbardziej opuszczone wrzosowisko

w Kornwalii nie wygląda na tak opuszczone jak ten pokój, ale nie ma w nim nic, czego należy się bać, nic (poza naszą wyobraźnią), co nasuwałoby myśl o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

– Dlaczego tak długo się do mnie nie odzywałaś, Rosamond?

– Przestraszyłam się, kochany, kiedy weszłam do środka – nie tego, co zobaczyłam, ale moich własnych wyobrażeń o tym, co mogę zobaczyć. Byłam na tyle dziecinna, aby bać się czegoś, co może wystąpić ze ścian albo podnieść się z podłogi, krótko mówiąc, sama nie wiem czego. Pokonałam te lęki, Lenny, ale pewna nieufność w stosunku do pokoju nadal pozostała. Czujesz to?

– Czuję coś podobnego – odparł niepewnie. – Czuję, jakby noc, którą zawsze mam przed oczami, była w tym miejscu ciemniejsza niż gdzie indziej. Gdzie teraz stoimy?

– W drzwiach.

– Czy można bezpiecznie stąpać po podłodze?

Mówiąc to, podejrzliwie zbadał ją stopą.

– Zupełnie bezpiecznie – odparła Rosamond. – Nigdy nie utrzymałaby mebli, które na niej stoją, gdyby była tak przegniła, aby stanowić niebezpieczeństwo. Przejdź ze mną przez pokój i przekonaj się.

Po tych słowach poprowadziła go wolno w kierunku okna.

– Czuję powiew świeżego powietrza – powiedział, nachylając twarz ku najniższej z rozbitych szybek. – Co jest teraz przed nami?

Opowiedziała mu, opisując szczegółowo rozmiar i wygląd okna. Odwrócił się od niego lekceważąco, jak gdyby ta część pokoju nie przedstawiała dla niego nic interesującego. Rosamond nadal pozostała w pobliżu okna, aby sprawdzić, czy zdoła poczuć powiew powietrza z zewnątrz. Na moment zapadła cisza, którą przerwał pan Frankland.

– Co teraz robisz? – zapytał z niepokojem.

– Wyglądam przez jedną z rozbitych szybek i próbuję zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza – odparła Rosamond. – Pode mną widzę cień domu spoczywający na opuszczonym ogrodzie, ale nie bije z niego chłód. Widzę chwasty, których nieruchome łodygi strzelają wysoko w górę, a także splątane dzikie kwiaty tworzące zwarty gąszcz. Niedaleko rośnie drzewo, a jego liście wyglądają tak, jakby zamarły w bezruchu. Dalej, na lewo, dostrzegam strzęp białego morza i złotobrazowy piasek drżący w żółtej spiekocie. Nie ma chmur, nie ma błękitnego nieba. Mgiełka tłumi blask słońca i nie przepuszcza nic prócz jego żaru. W niebie jest coś groźnego i ziemia zdaje się o tym wiedzieć!

– Ale pokój! Pokój! – powiedział Leonard, odciągając ją od okna. – Mniejsza o widok, powiedz mi, jak wygląda pokój, jak dokładnie wygląda. Nie będę o ciebie spokojny, Rosamond, jeśli nie opiszysz mi wszystkiego takim, jakie jest.

– Mój miły! Wiesz, że możesz na mnie polegać. Zastanawiam się tylko, od czego zacząć i jak mieć pewność, że zobaczę za ciebie wszystko, co uznałbyś za najbardziej warte obejrzenia. Jest tu pod ścianą stara otomana – pod tą samą ścianą co okno. Zdejmę fartuch i odkurzę siedzenie, abys mógł usiąść wygodnie i na początek, zanim pomyślimy o czymś innym, wysłuchać, jak opisuję pokój. Przede wszystkim muszę dać ci pojęcie o jego wielkości?

– Tak, to pierwsza rzecz. Spróbuj porównać go z jakimś pokojem, który znałem, zanim straciłem wzrok.

Rosamond rozejrzała się od ściany do ściany, potem podeszła do kominka i zaczęła wolno przemierzać pokój wzdłuż, licząc. Kiedy tak stawiała pełne gracji, miarowe kroki po zakurzonej podłodze i z dziecięcą satysfakcją patrzyła w dół na wesołe różowe rozety przy porannych pantoflach, kiedy unosiła ponad brud podłogi szeleszczącą suknię z jasnego muślinu, ukazując wymyślny haft zdobiący halkę i lśniące pończochy, które otulały jej drobne stopy i kostki jak druga skóra, kiedy poruszała się wśród ponurości, pustkowia, obskurnej ruiny otaczającej ją scenerii, stanowiła najbardziej czarujący żywy kontrast z ponurą martwością, jaki młodość, zdrowie i uroda mogły stworzyć.

Dotarłszy do końca pokoju, namyślała się przez chwilę, po czym rzekła do męża:

– Lenny, pamiętasz niebieski salon w domu twego ojca w Long Beckley? Myślę, że ten pokój jest tej samej wielkości, o ile nie większy.

– Jak wyglądają ściany? – zapytał Leonard, kładąc rękę na ścianie na swoim plecami. – Są pokryte tapetą, prawda?

– Tak, spłowiałą czerwoną tapetą, z wyjątkiem jednej ściany, gdzie zdarto fragmenty i rzucono je na podłogę. Na ścianach jest boazeria. W wielu miejscach popękana i ma poszarpane otwory, które wyglądają na dzieło myszy i szczurów.

– Czy na ścianach są jakieś obrazy?

– Nie. Nad kominkiem wisi pusta rama. A naprzeciwko, to znaczy zaraz nad miejscem, w którym teraz stoję, jest małe, pęknięte przez środek lustro z wyłamanymi wypustkami na świeczniki po obu stronach. Nad nim z kolei wisi głowa jelenia z porożem. Część pyska odpadła, a między rogami rozciąga się istny labirynt pajęczyn. W innych ścianach tkwią duże gwoździe, z których zwieszają się ciężkie od kurzu pajęczyny, ale nigdzie nie ma żadnych obrazów. Teraz wiesz już wszystko o ścianach. Co ma być następne? Podłoga?

– Chyba moje stopy powiedziały mi już, jaka jest podłoga, Rosamond?

– Mogły ci powiedzieć, że jest goła, kochany, ale ja mogę powiedzieć ci więcej. Nachyla się z każdej strony ku środkowi pokoju. Jest pokryta kurzem, zbijanym, jak sądzę, przez wiatr wpadający przez rozbite szybki w dziwne, falujące, pierzaste kształty, które całkiem zakrywają deski. Lenny! A co, jeśli te deski mają być zerwane tak czy owak? Jeśli dziś nic nie odkryjemy, jutro każemy

je pozamiatać. Na razie muszę dalej opowiadać ci o pokoju, prawda? Wiesz już, jakiej jest wielkości, jakie jest okno, jakie są ściany, jaka jest podłoga. Czy jest jeszcze coś, zanim przejdziemy do mebli? Ach, tak! Sufit – bo on dopełnia skorupy pokoju. Nie widzę wiele, jest tak wysoko. Jak długi i szeroki, widnieją na nim wielkie spękania i plamy, a w niektórych miejscach tynk odpada płatami. Ornament na środku zdają się tworzyć naprzemienne rzędy małych stiukowych główek kapusty i dużych rombów. Ze środka zwieszają się dwa kawałki łańcucha, które musiały kiedyś podtrzymywać żyrandol. Gzyms jest tak zniszczony, że trudno określić jego wzór. Jest bardzo szeroki i masywny i w niektórych miejscach wygląda tak, jakby kiedyś był pomalowany, i to wszystko, co da się o nim powiedzieć. Czy czujesz, że teraz masz gruntowne pojęcie o całym pokoju, Lenny?

– Gruntowne, moja miła. Mam w głowie taki sam jasny obraz, jaki zawsze w niej tworzysz, opowiadając o każdej rzeczy, jaką widzisz. Nie musisz tracić już na mnie czasu. Teraz możemy poświęcić się celowi, dla którego tutaj przyszedliśmy.

Przy tych ostatnich słowach uśmiech, który rozkwitał na twarzy Rosamond, kiedy jej mąż się do niej zwrócił, zniknął w jednej chwili. Zakradła się blisko niego i nachylając się nad nim, z ręką na jego ramieniu wyszeptała:

– Kiedy otwarliśmy ten drugi pokój, na wprost schodów, zaczęliśmy od sprawdzania mebli. Myśleliśmy, jeśli sobie przypominasz, że zagadka Pokoju Mirtowego może dotyczyć niegdyś skradzionych ukrytych kosztowności albo ukrytych dokumentów, które powinny być zniszczone, albo też ukrytych plam i śladów jakiejś zbrodni, którą może zdradzić nawet krzesło lub stół. Sprawdzimy meble w tym pokoju?

– Czy jest ich wiele, Rosamond?

– Więcej, niż było w tamtym – odparła.

– Więcej, niż da się sprawdzić w jeden ranek?

– Nie, myślę, że nie.

– W takim razie zabierz się za meble, jeśli nie masz lepszego pomysłu. Kiepski ze mnie doradca w takim kłopotcie. Muszę złożyć na twoje barki odpowiedzialność za podejmowanie decyzji. Do ciebie należą oczy i ręce, które szukają, i jeśli sekret pani Jazeph, z powodu którego ostrzegła cię przed wchodzeniem do tego pokoju, ma być znaleziony tutaj, to ty go znajdziesz...

– A ty, Lenny, dowiesz się, jak tylko zostanie znaleziony. Nie chcę słyszeć, gdy mówisz, jakby między nami istniała jakaś różnica albo przewaga mojego położenia nad twoim, kochany. A teraz zobaczmy. Od czego mam zacząć? Od wysokiej biblioteczki naprzeciw okna? Czy też od starego, zniszczonego sekretarzyka w niszy za kominkiem? To dwa największe meble, które widzę w pokoju.

– Zacznij od biblioteczki, kochana, jako że zauważyłaś ją jako pierwszą.

Rosamond zrobiła kilka kroków w kierunku biblioteczki, przystanęła i nagle

spojrzała w bok na drugi koniec pokoju.

– Lenny, zapomniałam o jednej rzeczy, kiedy opowiadałam ci o ścianach – rzekła. – W pokoju jest jeszcze dwoje drzwi poza tymi, przez które weszliśmy. Znajdują się w ścianie po prawej, patrząc od strony okna. Każde są w takiej samej odległości od rogu pokoju, tej samej wielkości i tak samo wyglądają. Nie uważasz, że powinniśmy je otworzyć i zobaczyć, dokąd prowadzą?

– Naturalnie. Ale czy w zamkach są klucze?

Rosamond podeszła bliżej drzwi i odpowiedziała twierdząco.

– W takim razie otwórz je – powiedział Leonard. – Stój! Nie sama. Weź mnie ze sobą. Nie podoba mi się pomysł, że ja miałbym tu siedzieć, zostawiając otwieranie drzwi tylko tobie.

Rosamond podeszła z powrotem do miejsca, w którym siedział, a potem zaprowadziła go do drzwi znajdujących się dalej od okna.

– A co, jeśli za nimi ukaze się jakiś straszny widok? – powiedziała, lekko drżąc, gdy wyciągała rękę w stronę klucza.

– Spróbuj pomyśleć (co o wiele bardziej prawdopodobne), że prowadzą po prostu do innego pokoju – podsunął Leonard.

Rosamond nagłym ruchem otworzyła drzwi. Jej mąż miał rację. Prowadziły tylko do sąsiedniego pokoju.

Przeszli do drugich drzwi.

– Czyżby służyły w tym samym celu co tamte? – spytała Rosamond, powoli i ostrożnie przekręcając klucz.

Otworzyła je tak, jak otworzyła pierwsze drzwi, na chwilę wetknęła głowę do środka, cofnęła ją, wzdrygając się, i zatrzasnęła je z okrzykiem obrzydzenia.

– Nie bój się, Lenny – powiedziała, odciągając go gwałtownie. – Drzwi otwierają się tylko na wielki pusty kredens. Ale na ścianach w środku jest mnóstwo okropnych, kłębiących się brązowych stworzeń. Zamknęłam je z powrotem w ich ciemności i ukryciu, a teraz zabiorę cię z powrotem na kanapę, zanim sprawdzimy, co jest w biblioteczkę.

Wystarczył rzut oka, aby drzwiczki górnej części biblioteczki, otwarte na oścież i na wpół wypadające z zawiasów, ukazały puste półki po jednej stronie. Analogiczne drzwiczki otwarte przez Rosamond ujawniły tę samą jałowość po stronie drugiej. Każdą z półek pokrywało to samo przygnębiające nagromadzenie kurzu i brudu. Od góry do dołu nie było ani śladu książki ani nawet porzuconego luźnego kawałka papieru, który mógłby przyciągnąć wzrok.

Dolna część biblioteczki była podzielona na trzy szafki. W drzwiczkach jednej z nich tkwił zaśniedziały kluczyk. Rosamond przekręciła go z niejakim trudem i zajrzała do środka. W głębi szafki leżała rozrzucona talia brązowych od brudu kart. Wśród nich leżał strzęp podartego, zmiętego muślinu, który po rozłożeniu okazał się pozostałością befyki* pastora. W jednym kącie natrafiła na

złamany korkociąg i korbę od wędki, w innym na końcówki fajek, kilka starych buteleczek po lekarstwach i wyświechtany śpiewnik, zapewne kupiony od domokrażcy. Były to jedyne przedmioty, jakie kryła ta część mebla. Rosamond dokładnie opisała każdy z nich mężowi, po czym przeszła do drugiej szafki. Okazało się, że drzwiczki nie były zamknięte na klucz. Kiedy zajrzała do środka, odkryła jedynie kawałki poczerńiałej waty i pozostałości szkatułki na biżuterię.

Trzecie drzwiczki były zamknięte, ale otworzył je zardzewiały klucz z pierwszej szafki. W środku znajdowała się tylko jedna rzecz – małe drewniane pudełko owinięte kawałkiem taśmy, której końce łączyła pieczęć. Słabnąca ciekawość Rosamond została natychmiast pobudzona tym odkryciem. Opisała pudełko mężowi i zapytała, czy sądzi, że usprawiedliwione będzie złamanie pieczęci.

– Czy coś jest napisane na wieku? – zapytał.

Rosamond przeniosła pudełko pod okno, zdmuchnęła kurz z wierzchu i przeczytała słowa znajdujące się na pergaminowej etykiecie przybitej do wieku: „Dokumenty. John Arthur Treverton. 1760”.

– Myślę, że możesz poważnie się na złamanie pieczęci – rzekł Leonard. – Jeśli dokumenty te miałyby jakieś znaczenie dla rodziny, twój ojciec i jego wykonawcy raczej nie zostawiliby ich zapomnianych w starej bibliotece.

Rosamond złamała pieczęć, a potem spojrzała z powątpiewaniem na męża, zanim otworzyła pudełko.

– Zagłębienie tutaj to chyba tylko strata czasu – rzekła. – Jak pudełko, które nie było otwierane od 1760 roku, może nam pomóc rozwiązać zagadkę pani Jazeph i Pokoju Mirtowego?

– Ale czy mamy pewność, że nie było otwierane od tamtej pory? – zapytał Leonard. – Czy taśma i pieczęć nie mógł ktoś założyć w mniej odległej przeszłości? Ty możesz ocenić to najlepiej, bo widzisz, czy jest jakiś napis na taśmie lub jakieś znaki na pieczęci, które coś by nam powiedziały.

– Pieczęć jest pusta, Lenny, jeśli nie liczyć kwiatka podobnego do niezapominajki na środku. Nie widzę śladów pióra po żadnej stronie taśmy. Przede mną pudełko mógł otworzyć każdy – ciągnęła, z łatwością podważając pokrywę – ponieważ zamek nie stanowi przeszkody. Drewno wieku jest tak zbutwiałe, że wyrwałam skobel, który teraz sterczy w zamku.

Po zbadaniu pudełka okazało się, że pełno w nim papierów. Na wierzchu pierwszego z brzegu pliku widniały słowa: „Wydatki wyborcze. Wygrałem czterema głosami. Cena: pięćdziesiąt funtów każdy. J. A. Treverton”. Kolejna warstwa papierów nie była opisana. Rosamond rozłożyła je i przeczytała na pierwszej stronie: „Oda urodzinowa. Z uszanowaniem dla Mecenasów współczesnych czasów na jego poetyckiej emeryturze w Porthgenna”. Pod tym dziełem znajdowała się kolekcja starych kwitów, starych zaproszeń, starych recept

i starych kuponów zakładów bukmacherskich związanych razem kawałkiem rzemienia. Jako ostatnia na dnie pudełka leżała cienka kartka papieru, której wierzchnia strona była zupełnie pusta. Rosamond wyciągnęła ją, obróciła na drugą stronę i ujrzała niewyraźne, skreślone atramentem linie przecinające się w różnych kierunkach i opatrzone w niektórych miejscach literami alfabetu. Naturalnie zapoznała męża z treścią wszystkich innych dokumentów i kiedy opisała mu ten ostatni, wyjaśnił jej, że linie i litery przedstawiają zagadkę matematyczną.

– Biblioteczka nic nam nie mówi – powiedziała Rosamond, wolno odkładając papiery z powrotem do pudełka. – Czy sprawdzimy też sekretarzyk przy kominku?

– Jak on wygląda, Rosamond?

– Po obu stronach ma dwa rzędy szuflad, a cały blat jest wykonany w dziwny, staromodny sposób, tak że wznosi się w kierunku tylnej krawędzi, jak w bardzo dużym biurku.

– Czy blat się otwiera?

Rosamond podeszła do sekretarzyka, przyjrzała mu się z bliska, a potem spróbowała podnieść blat.

– Musi dać się otworzyć, bo widzę dziurkę od klucza – rzekła. – Ale jest zamknięty. I wszystkie szuflady – dodała, próbując kolejno – też są zamknięte.

– Czy w żadnej z nich nie ma klucza? – zapytał Leonard.

– Ani śladu. Ale blat jest tak luźny, że na pewno można go otworzyć siłą, tak jak otwarłam przed chwilą pudełko, jeśli tylko przyłożyć parę silniejszych rąk niż te, którymi mogę się pochwalić. Pozwól, że zaprowadzę cię do sekretarzyka, kochany. Może ulec tobie, chociaż nie uległ mnie.

Ostrożnie umieściła ręce męża pod nawisem utworzonym przez wystający blat mebla. Leonard użył całej swojej siły, ale w tym wypadku drewno okazało się mocne, zamek trzymał i wszystkie wysiłki spełzły na niczym.

– Musimy posłać po ślusarza? – spytała Rosamond z wyrazem rozczarowania w twarzy.

– Jeśli sekretarzyk przedstawia jakąś wartość, to tak – odparł jej mąż. – Jeśli nie, śrubokręt i młotek w obojętnie czyich rękach poradzą sobie zarówno z blatem, jak i z szufladami.

– W takim razie, Lenny, żałuję, że nie przynieśliśmy ich z sobą do pokoju, ponieważ wartość sekretarzyka leży w tajemnicach, które może przed nami kryć. Nie będę zadowolona, dopóki ty i ja nie dowiemy się, co jest w środku.

Mówiąc to, ujęła męża za rękę, aby zaprowadzić go z powrotem na otomanę. Kiedy przechodzili obok kominka, Leonard nastąpił na puste kamienne palenisko i czując pod stopami nowe podłoże, instynktownie wyprostował wolną rękę. Napotkała ona marmurową tabliczkę ozdobioną płaskorzeźbą, która została wpuszczona w gzyms kominka. Natychmiast się zatrzymał i zapytał, jakiego

przedmiotu dotknął przypadkiem palcami.

– Rzeźby – powiedziała Rosamond. – Nie zauważyłam jej wcześniej. Nie jest zbyt duża i nieszczególnie ładna jak na mój gust. Z tego, co widzę, zdaje się przedstawiać...

Leonard powstrzymał ją, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

– Pozwól chociaż raz dać mi spróbować, czy zdołam odkryć coś sam – powiedział z pewnym zniecierpliwieniem. – Pozwól mi sprawdzić, czy moje palce powiedzą, co przedstawia rzeźba. Uważnie przesunął rękami po płaskorzeźbie (Rosamond śledziła każdy ich ruch z niemym zaciekawieniem), zastanowił się przez chwilę i wreszcie powiedział:

– Czy to nie postać siedzącego mężczyzny, w prawym rogu? Czy to nie skały i drzewa, bardzo sztywno wycięte, wysoko, po lewej stronie?

Rosamond spojrzała na niego czule i uśmiechnęła się.

– Moje biedactwo! Twój siedzący mężczyzna to w rzeczywistości miniaturowa kopia słynnego antycznego posągu Niobe i jej dziecka, twoje skały to marmurowe imitacje chmur, twoje sztywno wycięte drzewa to strzały, którymi razi jakiś niewidoczny Jowisz czy Apollo, albo inny pogański bóg. Ach, Lenny, Lenny, nie możesz ufać swojemu dotykowi, ale możesz ufać mnie!

Przez twarz Leonarda przemknął cień irytacji, ale zniknął on w chwili, gdy Rosamond ujęła męża ponownie za rękę i zaprowadziła na otomanę. Delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

– Masz rację, Rosamond – rzekł. – Jedynym wiernym przyjacielem w mojej ślepotcie, który nigdy nie zawodzi, jest moja żona.

Widząc, że trochę się zasmucił, i dzięki bystrej intuicji zakochanej kobiety czując, że rozmyśla o czasach, kiedy cieszył się dobrodziejstwem wzroku, Rosamond, skoro tylko z powrotem usiadł na otomanie, wróciła do tematu Pokoju Mirtowego.

– Gdzie mam szukać dalej, kochany? – rzekła. – Biblioteczkę sprawdziliśmy. Biurko musi poczekać na sprawdzenie. Czy jest jeszcze coś, co ma szafkę albo szufladę?

Rozejrzała się wokół siebie w zakłopotaniu, po czym oddaliła się do tej części pokoju, która jako ostatnia zwróciła jej uwagę – do tej, w której znajdował się kominek.

– Zdawało mi się, że zauważyłam coś tutaj, Lenny, kiedy przed chwilą przechodziłam z tobą – powiedziała, podchodząc do drugiej niszy za kominkiem, odpowiadającej wnęce, w której stał sekretarzyk.

Zajrzała uważnie w głąb i w rogu, ledwo widoczny w cieniu masywnego, wystającego gzymsu kominka, dostrzegła wąski, chwiejny stolik zrobiony z najzwyklejszego mahoniu – najbardziej rachityczny, najnędzniejszy, najmniej rzucający się w oczy mebel w całym pokoju. Pchnęła go pogardliwie nogą ku

światłu. Poruszał się na niezgrabnych, staromodnych kółkach i zaskrzypiał ociężale.

– Lenny, znalazłam jeszcze jeden stolik – powiedziała Rosamond. – Nędzny, żałośnie wyglądający mebelek zapomniany w kącie. Właśnie pchnęłam go do światła i odkryłam w nim jedną szufladę.

Urwała i spróbowała ją otworzyć, ale szuflada stawiała opór.

– Kolejny zamek! – zawołała niecierpliwie. – Nawet to nędzne coś jest przed nami zamknięte!

Gwałtownie odepchnęła ręką stolik. Zakołysał się na swoich wątych nóżkach, zatoczył się i upadł na podłogę – upadł tak ciężko jak stolik dwa razy większy od niego, upadł z hukiem, który przetoczył się po pokoju i który powtórzył echa w opuszczonym północnym holu.

Rosamond podbiegła do męża, widząc, że zerwał się zatrwożony z miejsca, i powiedziała mu, co się stało.

– Mówisz, że to mały stolik – odparł w zdumieniu. – Upadł, jakby był jednym z największych mebli w pokoju!

– W szufladzie z pewnością musi być coś ciężkiego! – rzekła Rosamond, zbliżając się do stolika, nadal poruszona jego nienaturalnie ciężkim upadkiem.

Odczekawszy kilka chwil, aby pozwolić opaść kurzowi, który został wzniecony i nadal wisiał nad stolikiem gęstą, ciężką chmurą, schyliła się i przyjrzała się meblowi. Pod wpływem upadku blat pękł na całej długości, a zasuwka wypadła z zamka.

Rosamond ostrożnie postawiła stolik, wyciągnęła szufladę i rzuciwszy okiem na jej zawartość, zwróciła się do męża:

– Wiedziałam. Wiedziałam, że w szufladzie musi być coś ciężkiego. Pełno w niej kawałków rudy miedzi, podobnych do próbek z kopalni w Porthgenna należących do mego ojca, Lenny. Chwila! Chyba czuję coś jeszcze na samym końcu szuflady.

Spomiędzy kawałków rudy w głębi szuflady wyciągnęła małą okrągłą ramkę z czarnego drewna, wielkości mniej więcej zwykłego kieszonkowego lusterka. Przednia część odpadła, odsłaniając cieniutkie drewnienko z rodzaju tych, które wkłada się na tył małych ramek, aby przytrzymały rysunki lub grafiki. Drewnienko to (przymocowane do tyłu ramki tylko jednym gwoździem) wysunęło się z miejsca, prawdopodobnie wskutek upadku stolika, i kiedy Rosamond wyjęła ramkę z szuflady, zauważyła pomiędzy nią a przesuniętym drewnienkiem kawałek papieru, najwyraźniej złożony wiele razy, tak aby zajmował jak najmniej miejsca. Wyciągnęła ów kawałek papieru, odłożyła go na stół bez rozkładania, przywróciła drewnienko na właściwe miejsce, po czym odwróciła ramkę, aby zobaczyć, czy na przodzie jest jakiś obrazek.

Był – obrazek namalowany olejami, poczerniały, ale niezbyt wyblakły ze

starości. Przedstawiał głowę i sylwetkę kobiety aż po gors.

W chwili, gdy padł na niego wzrok Rosamond, dziewczyna zadrżała i pośpieszyła do męża z obrazkiem w dłoni.

– Co znalazłaś tym razem? – zapytał, słysząc jej kroki.

– Obrazek – odparła cicho, ponownie się nad nim pochylając.

Czułe ucho Leonarda wykryło zmianę w jej głosie.

– Czy jest w nim coś, co cię niepokoi? – zapytał pół żartem, pół serio.

– Jest coś, co mnie przeraża, coś, co zdało się na chwilę zmrozić mi krew w żyłach, pomimo że dzień jest upalny – rzekła Rosamond. – Czy pamiętasz, jak służąca opisała nam ducha północnych pokoi w wieczór naszego przyjazdu?

– Tak, pamiętam doskonale.

– Lenny! Opis i ten obrazek są dokładnie takie same! Oto kręcone, jasnobrązowe włosy. Oto dołek w każdym policzku. Oto równe białe zęby. Oto owo natarczywe, nieczne, zgubne piękno, które dziewczyna próbowała opisać i opisała, mówiąc, że jest straszne!

Leonard uśmiechnął się.

– Ta twoja bujna wyobraźnia, moja droga, płata ci czasem dziwne figle – powiedział spokojnie.

– Wyobraźnia! – powtórzyła do siebie Rosamond. – Jakim cudem może to być wyobraźnia, skoro widzę twarz? Jakim cudem może to być wyobraźnia, skoro czuję...

Urwała, ponownie zadrżała i powróciwszy szybko do stolika, położyła na nim obrazek frontem do dołu. Kiedy to robiła, jej uwagę zwrócił kawałek złożonego papieru, który wyjęła z ramki.

– Może tu być jakiś opis obrazka – powiedziała i wyciągnęła rękę.

Zbliżało się południe. Upał przytłaczał bardziej, a martwota wszystkiego wokół była intensywniejsza niż kiedykolwiek, kiedy Rosamond podniosła papier ze stolika.

Kawałek po kawałku rozłożyła go i zobaczyła, że litery napisane są atramentem, który zblakł, przybierając jasny, żółtawy odcień. Starannie rozłożyła kartkę na stoliku, a potem znowu podniosła ją i spojrzała na pierwszą linijkę pisma.

Pierwsza linijka składała się tylko z trzech słów – słów, które powiedziały jej, że zapisany papier nie jest opisem obrazka, ale listem – słów, które sprawiły, że drgnęła i okryła się rumieńcem, gdy tylko padł na nie jej wzrok. Nie czytając dalej, pośpiesznie odwróciła stronę, aby sprawdzić, gdzie kończy się tekst.

Kończył się on na dole trzeciej strony, ale w pobliżu końca drugiej pomiędzy linijkami widniała przerwa i w tej to przerwie znajdowały się dwa podpisy. Spojrzała na pierwszy z nich, ponownie drgnęła i natychmiast powróciła na pierwszą stronę.

Linijka po linijce, słowo po słowie przeczytała tekst. W miarę czytania jej

naturalny kolor cery coraz bardziej bladł, a w jego miejsce na całej twarzy rozlała się mdła, jednolita biel. Kiedy Rosamond dotarła do końca trzeciej strony, dłoń, w której trzymała list, opadła wzdłuż boku, a ona sama wolno obróciła głowę w stronę Leonarda. Stała tak – bez jednej łzy w oku, bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy, bez słowa, bez ruchu – stała tak z pechowym listem zmiętym w zimnych palcach, uporczywie, w oniemieniu, bez tchu patrząc na swego niewidomego męża.

Nadal siedział w tej samej pozycji, w jakiej widziała go kilka minut wcześniej: z nogą założoną na nogę, rękami obejmując kolano, z głową obróconą wyczekująco w kierunku, z którego ostatnio dobiegł go głos żony. Ale już po chwili głęboka cisza panująca w pokoju narzuciła się jego uwadze. Zmienił pozycję, przez moment nasłuchiwał, niespokojnie poruszając głową to w jedną, to w drugą stronę, po czym zawołał:

– Rosamond!

Na dźwięk jego głosu jej wargi poruszyły się, a palce zacisnęły mocniej na kartkach, które trzymała, ale nie postąpiła naprzód ani nie odezwała się.

– Rosamond!

Jej wargi ponownie poruszyły się. Przez białą pustkę twarzy jak cienie zaczęły przebiegać słabe oznaki mimiki, postąpiła krok naprzód, zawahała się, spojrzała na list i stanęła.

Nie słysząc odpowiedzi, Leonard wstał, zdziwiony i zaniepokojony. Błądząc swoimi biednymi, bezradnymi rękami tam i z powrotem przed sobą, postąpił kilka kroków przed siebie w linii prostej od ściany, pod którą siedział. Na jego drodze stało krzesło – zbyt niskie, aby natrafiły na nie jego dłonie – i posuwając się, mocno uderzył w nie kolaniem.

Z ust Rosamond wyrwał się krzyk, jak gdyby ból uderzenia przeszedł z jej męża na nią w tej samej chwili, w której został zadany. W jednej chwili znalazła się u jego boku.

– Nie zraniłeś się, Lenny? – spytała cicho.

– Nie, nie.

Chciał przyłożyć rękę do miejsca, w które się uderzył, ale ona szybko uklękła i zamiast tego przyłożyła tam swoją własną dłoń, wtulając w niego głowę w dziwnie niezdecydowany, bojaźliwy sposób. Delikatnie położył rękę, którą ubiegła, na ramieniu żony. W chwili, gdy jej dotknął, jej oczy zaszklily się i zaszły łzami, które jedna po drugiej zaczęły wolno spływać po policzkach.

– Myślałem, że mnie zostawiłaś – powiedział. – Było tak cicho, że zdawało mi się, iż wyszłaś z pokoju.

– Wyjdiesz z niego ze mną teraz?

Zdało się, że siły zaczęły ją opuszczać, kiedy zadała to pytanie. Głowa opadła jej na piersi, a list wypadł z ręki na podłogę.

– Już się zmęczyłaś, Rosamond? Twój głos podpowiada mi, że tak.

– Chcę wyjść z tego pokoju – rzekła nadal tym samym cichym, słabym, powściągliwym tonem. – Czy z twoim kolanem już lepiej, kochany? Możesz iść?

– Oczywiście. Mojemu kolanu absolutnie nic nie dolega. Jeśli jesteś zmęczona, Rosamond, a wiem, że jesteś, choć możesz się do tego nie przyznawać, im szybciej wyjdziemy z pokoju, tym lepiej.

Zdawała się nie słyszeć jego ostatnich słów. Jej palce przesuwały się gorączkowo po szyi i dekolcie, na białych policzkach wykwitły dwie czerwone plamy, nieobecny wzrok był utkwiony w liście leżącym u jej boku, jej ręce zadrżały nad nim, zanim go podniosła. Przez kilka sekund czekała na klęczkach, patrząc w skupieniu na kartki, z głową odwróconą od męża, po czym wstała i podeszła do kominka. Pośród kurzu, popiołu i innych śmieci w głębi paleniska leżały rozrzucone jakieś stare skrawki papieru. Przyciągnęły jej wzrok i przykuły go na dłużej. Patrzyła i patrzyła, wolno pochylając się coraz bardziej. Przez chwilę trzymała oburącz list nad kupką śmieci. W następnym momencie cofnęła się, drżąc gwałtownie, i obróciła się z powrotem do męża. Na jego widok z jej piersi wyrwał się cichy, nieartykułowany okrzyk, na wpół westchnienie, na wpół szloch.

– Och, nie, nie! – wyszeptała do siebie, gwałtownie załamując dłonie i patrząc na niego czułym, pełnym smutku wzrokiem. – Nigdy, nigdy, Lenny – niech się dzieje, co chce!

– Mówiłaś do mnie, Rosamond?

– Tak, kochany. Mówiłam...

Urwała i drżącymi rękami z powrotem złożyła kartki, dokładnie w taki sam kształt, w jakim je znalazła.

– Gdzie jesteś? – zapytał. – Twój głos znowu dobiega z drugiego końca pokoju. Gdzie jesteś?

Rozpalona, drżąca i zapłakana podbiegła do niego, ujęła go za ramię i bez chwili wahania, bez najmniejszej oznaki niezdecydowania w twarzy śmiało włożyła mu w dłoń złożone kartki.

– Zatrzymaj to, Lenny – rzekła, pokrywając się trupią bladością, ale nadal nie tracąc stanowczości. – Zatrzymaj to i poproś, żebym ci przeczytała, gdy tylko wyjdziemy z Pokoju Mirtowego.

– Co to jest? – zapytał.

– Ostatnia rzecz, jaką znalazłam, kochany – odparła, patrząc na niego z powagą i wydając głębokie westchnienie ulgi.

– Czy to coś ważnego?

Zamiast odpowiedzieć, gwałtownie przyciągnęła go do piersi, przywarła do niego z całą żarliwością swojej porywczej natury i zaczęła obsypywać jego twarz namiętными pocałunkami.

– Spokojnie! Spokojnie! – powiedział Leonard, śmiejąc się.

– Zapierasz mi dech.

Odsunęła się i stała, patrząc na niego w milczeniu, położywszy mu obie ręce na ramionach.

– Och, mój ty aniele! – wyszeptała czule. – Oddałabym wszystko, co mam na tym świecie, byle tylko się dowiedzieć, jak bardzo mnie kochasz!

– Chyba – odparł, wciąż się śmiejąc – chyba do tej pory powinnaś już wiedzieć, Rosamond!

– Dowiem się wkrótce.

Wypowiedziała te słowa głosem tak cichym i słabym, że ledwo dały się słyszeć. Biorąc zmianę za objaw zmęczenia, Leonard wyciągnął rękę, prosząc w ten sposób żonę, aby wyprowadziła go z pokoju. Ujęła jego dłoń w milczeniu i wolno zaprowadziła go do wyjścia.

* Krawat będący częścią szat liturgicznych.

Rozdział 6.

Wyjawienie tajemnicy

W drodze powrotnej do zamieszkałej części domu Rosamond nie wspominała już o kartkach, które włożyła w ręce męża.

Całą jej uwagę zdawało się pochłaniać czujne przyglądanie się każdemu calowi podłoża, po którym stąpał Leonard, aby mogła się upewnić, że jest ono bezpieczne i gładkie, zanim pozwoli mu postawić na nim stopę. Choć od pierwszego dnia małżeństwa za każdym razem, gdy prowadziła go z miejsca na miejsce, zawsze była ostrożna i troskliwa, tym razem przesadnie, niemal aż do absurdu dbała o to, aby uchronić go przed najmniejszą groźbą wypadku. Widząc, że po wyjściu z Pokoju Mirtowego Leonard znalazł się po stronie otwartego podestu, zażądała, aby zamienili się miejscami, tak aby był blisko ściany. Kiedy schodzili po schodach, zatrzymała go na środku, aby spytać, czy nie boli go kolano, którym uderzył w krzesło. Na ostatnim stopniu zatrzymała go raz jeszcze i usunęła z drogi podarte i splątane strzępy starego chodnika w obawie, by nie zawadził o nie stopą. Kiedy przemierzali północny hol, poleciła mu wziąć się pod ramię i mocno się na niej oprzeć, ponieważ była pewna, że jego kolano nie uwolniło się jeszcze całkiem od sztywności. Nawet na tych kilku schodach łączących wejście do holu z korytarzami prowadzącymi do zachodniego skrzydła domu zatrzymała go dwukrotnie, aby umieścić jego stopę w bezpiecznym punkcie stopni, które przedstawiła jako niebezpiecznie zniszczone w wielu miejscach. Leonard zaśmiał się dobrodusznie z jej przesadnej troski, aby uchronić go przed potknięciem, i zapytał, czy przy tych licznych przystankach istnieje jakaś szansa, że dotrą do zachodniego skrzydła domu przed obiadem. Inaczej niż zazwyczaj, nie miała gotowej riposty. Jego śmiech nie zabrzmiał miło w jej uszach. Odrzekła tylko, że niemożliwym jest za bardzo się o niego troszczyć, a potem szła w milczeniu, dopóki nie znaleźli się pod drzwiami pokoju gospodyni.

Zostawiwszy go na chwilę na zewnątrz, weszła do środka, aby oddać klucze pani Pentreath.

– Ojej, proszę pani! – zawołała gospodyni. – Zdaje się, że upał i zatechłe powietrze tych starych pokoi dało się pani we znaki. Czy mogę przynieść pani szklankę wody albo podać moje sole trzeźwiące?

Rosamond odrzuciła obie propozycje.

– Wolno mi spytać, proszę pani, czy tym razem udało się coś znaleźć w północnych pokojach? – spytała pani Pentreath, odwieszając pęk kluczy.

– Tylko trochę starych dokumentów – odparła Rosamond, odwracając się.

– Proszę powtórnie wybaczyć – podjęła gospodyni – ale gdyby ktoś z okolicznej szlachty wpadł dzisiaj z wizytą?

– Jesteśmy zajęci. Nieważne, o co by chodziło, oboje jesteśmy zajęci.

Udzielwszy tej lakonicznej odpowiedzi, Rosamond opuściła panią Pentreath i wróciła do męża.

Z tym samym nadmiarem uwagi i troski, jaki okazała w drodze do pokoju gospodyni, powiodła go teraz w górę zachodnich schodów. Jako że drzwi do biblioteki były otwarte, przeszli przez nią, zmierzając do salonu, który był większym i chłodniejszym z dwóch pokoi. Zaprowadziwszy Leonarda na fotel, Rosamond powróciła do biblioteki i zabrała ze stołu tacę z karafką wody i szklanką, które zauważyła, przechodząc.

– Prócz strachu mogę poczuć również słabość – rzekła szybko sama do siebie, odwracając się z tacą w rękę w stronę salonu.

Postawiwszy wodę na stole w kącie, bezszelestnie zamknęła na klucz drzwi do biblioteki, a potem drzwi na korytarz. Leonard, słysząc, że chodzi, poradził jej, aby spoczęła na kanapie. Poklepała go delikatnie po policzku i miała właśnie udzielić jakiejś stosownej odpowiedzi, gdy przypadkiem zauważyła odbicie swej twarzy w lustrze, pod którym siedział. Widok własnych bladych policzków i przestraszonych oczu sprawił, że słowa zastygły jej na wargach. Pośpieszyła do okna, licząc, że złapie podmuch powietrza przywiany znad morza.

Mgiełka upału nadal spowijała horyzont. Bliżej ledwo widoczne oleiste, bezbarwne lustro wody wzbierało wolno od czasu do czasu jedną ogromną, jednostajną falą, która toczyła się gładko i bez końca, aż ginęła w białym obłoku mgły. Blisko wybrzeża odgłos przyboju ulegał stłumieniu. Z plaży nie dochodził żaden dźwięk, jedynie w długich, ociężale długich odstępach czasu szybkie uderzenie i cichy plusk, ledwo słyszalne, oznajmiały uderzenia drobnej fali o wysuszony piasek. Na tarasie od frontu domu jedyną oznaką życia było miarowe bzyczenie letnich owadów. Na brzegu nie widać było ani jednej ludzkiej sylwetki, żaden ślad żagla nie majaczył w upale na morzu, żaden powiew wiatru nie poruszał wiotkimi wężami pnączy, które pięły się po ścianie domu, ani nie orzeźwiał omdlewających kwiatów ustawionych w oknach. Po chwili leniwej kontemplacji Rosamond odwróciła się od widoku za oknem. Kiedy ponownie spojrzała na pokój, odezwał się do niej mąż.

– Jakąż to cenną rzecz skrywa ten papier? – zapytał, wyjmując list i uśmiechając się podczas rozkładania go. – Z pewnością w tych fałdach musi być coś poza tekstem, jakiś bezcenny proszek albo banknot o ogromnej wartości.

Rosamond ścisnęło się serce, kiedy rozłożył list i przesunął palcem po tekście z udawanym niepokojem i niewinnym żartem na temat potencjalnych skarbów znalezionych w Porthgenna przez żonę.

– Zaraz ci go przeczytam, Lenny – rzekła, opadając na najbliższe krzesło i ospałym ruchem odgarniając włosy ze skroni. – Ale odłóż go teraz na kilka minut i porozmawiajmy o czymkolwiek chcesz, co nie będzie nam przypominało o Pokoju Mirtowym. Muszę być bardzo kapryśna, że nagle sprzykrzył mi się temat,

na który najchętniej rozmawiałam przez tyle ostatnich tygodni, prawda? Powiedz mi, kochany – dodała, wstając nieoczekiwanie i podchodząc do oparcia jego fotela – czy jest coraz gorzej, jeśli chodzi o moje zachcianki, fantazje i wady, czy też jest lepiej od czasu, gdy zostaliśmy małżeństwem?

Leonard rzucił niedbale list na stół, który zawsze stawiano przy poręczy jego fotela, i pogroził jej palcem z grymasem żartobliwej nagany.

– A fe, Rosamond! Chcesz mnie zmusić do prawienia ci komplementów?

Lekki ton, który uparcie przyjmował, zdawał się ją przerażać. Odsunęła się od jego fotela i ponownie usiadła w pewnej odległości od niego.

– Pamiętam, że dawniej cię obrażałam – ciągnęła prędko i bezładnie. – Nie, nie, nie obrażałam, tylko trochę drażniłam zbyt poufałym zwracaniem się do służby. Gdybyś nie znał mnie tak dobrze, na początku mogłoby ci się nawet zdawać, że mam taki nawyk, bo kiedyś sama byłam służącą. Przypuśćmy, że byłam służącą – służącą, która pomagała pielęgnować cię w twojej chorobie, służącą, która prowadziła cię w twojej ślepotcie ostrożniej niż ktokolwiek inny – czy wtedy robiłbyś sobie wiele z różnicy pomiędzy nami? Czy...

Urwała. Leonard lekko odwrócił się od niej i uśmiech znikł z jego twarzy.

– Jaki jest sens zakładania zdarzeń, które nigdy nie mogły mieć miejsca, Rosamond? – zapytał z pewnym zniecierpliwieniem.

Rosamond podeszła do stołu, nalała sobie trochę wody przyniesionej z biblioteki i wypila ją łączywie. Potem podeszła do okna i zerwała kilka kwiatów, które tam stały. W następnej chwili wyrzuciła część z nich, ale pozostałe zatrzymała, z namysłem układając je tak, aby zestawić je kolorystycznie dla jak najlepszego efektu. Zrobiwszy to, ozdobiła nimi swój dekolt, spojrzała na nie w roztargnieniu, wyjęła je i powracając do męża, umieściła bukiet w butonierce jego surduta.

– Coś, co sprawi, że będziesz wyglądał radośnie i promiennie, kochany, tak, jak zawsze chciałam cię widzieć – rzekła, sadowiąc się w swojej ulubionej pozycji u jego stóp, opierając mu ręce o kolana i podnosząc na niego smutny wzrok.

– O czym myślisz, Rosamond? – zapytał po chwili milczenia.

– Zastanawiałam się, Lenny, czy jakaś kobieta na świecie mogłaby kochać cię równie mocno jak ja. Niemal się boję, że są także inne, które nie chciałyby nic ponad to, by móc dla ciebie żyć i umrzeć. Jest coś takiego w twojej twarzy, twoim głose, we wszystkim... coś interesującego poza twoją smutną przypadłością, co, jak myślę, zwróciłoby ku tobie serce każdej kobiety. Gdybym miała umrzeć...

– Gdybyś miała umrzeć!

Drgnął, powtarzając za nią te słowa i pochylając się, niespokojnie przyłożył jej dłoń do czoła.

– Bardzo dziwnie dziś myślisz i mówisz, Rosamond! Źle się czujesz?

Podniosła się na kolanach i przyjrzała mu się uważniej. Jej twarz lekko się rozpromieniła, a nikły uśmiech zaczął igrać na wargach.

– Ciekawe, czy zawsze będziesz o mnie tak zatroskany, tak kochający jak teraz? – wyszeptała, całując go w rękę, którą zdjęła sobie z czoła.

Leonard opadł z powrotem na oparcie fotela i powiedział żartobliwie, aby nie wybiegała zbyt daleko w przyszłość. Słowa, choć wypowiedziane beztrasko, dotknęły ją głęboko.

– Są takie chwile, Lenny – rzekła – gdy całe obecne szczęście zależy od pewności co do przyszłości.

Mówiąc to, spojrzała na list, który jej mąż zostawił rozłożony na stole obok, i po chwili zmagania się z sobą wzięła go do ręki, aby przeczytać. Przy pierwszym słowie głos ją zawiódł, twarz ponownie pokryła się trupią bladością, Rosamond rzuciła list z powrotem na stół i odeszła na drugi koniec pokoju.

– Przyszłość? – zapytał Leonard. – Jakąż to przyszłość masz na myśli, Rosamond?

– Powiedzmy, że naszą przyszłość w Porthgenna – odparła, zwilżając suche wargi kilkoma kroplami wody. – Czy mamy zatrzymać się tu tak długo, jak myśleliśmy, i być tak szczęśliwi, jak byliśmy gdzie indziej? Powiedziałeś mi w trakcie podróży, że miejsce to wyda mi się nudne i że będę się imać najróżniejszych niecodziennych zajęć, aby się rozerwać. Powiedziałeś, że spodziewasz się, iż zacznę od ogrodnictwa, a skończę na pisaniu powieści. Powieści!

Ponownie podeszła do męża i uważnie śledząc jego twarz, ciągnęła:

– Czemu nie? W dzisiejszych czasach powieści pisze więcej kobiet niż mężczyzn. Co mi szkodzi spróbować? Pierwszym i najważniejszym warunkiem, jak sądzę, jest mieć pomysł na fabułę, a to mam.

Przeszła jeszcze kilka kroków, zbliżyła się do stołu, na którym leżał list, i położyła na nim rękę, wzrok nadal mając badawczo utkwiony w Leonardzie.

– A jaki to pomysł, Rosamond? – zapytał.

– Opowiem ci – odparła. – Chcę, aby cała opowieść koncentrowała się na dwojgu młodych małżonków. Będą bardzo w sobie zakochani, tak jak my, Lenny, i będą ludźmi należącymi do naszej klasy. Po jakimś czasie szczęśliwego pożycia i po tym, jak urodzi im się dziecko, dzięki któremu będą się kochać jeszcze bardziej niż wcześniej, jak grom z jasnego nieba spadnie na nich straszne odkrycie. Mąż wybierze sobie za żonę młodą damę noszącą równie stare nazwisko jak...

– Jak twoje? – podsunął Leonard.

– Jak nazwisko rodziny Trevertonów – ciągnęła po chwili przerwy, podczas której jej dłoń nerwowo przesuwiała list tam i z powrotem po blacie stołu. – Mąż będzie dobrze urodzony, równie dobrze jak ty, Lenny, a straszne odkrycie będzie polegało na tym, że jego żona nie ma prawa do starego nazwiska, które nosiła,

kiedy się z nią żenił.

– Nie mogę powiedzieć, moja miła, abym pochwalał twój pomysł. Twoja opowieść skłoni czytelnika do zainteresowania się kobietą, która była zwykłą oszustką.

– Nie! – zawołała z pasją Rosamond. – Kobieta prawą, kobietą, która nigdy nie zniżyła się do oszustwa, kobietą pełną wad i słabości, ale prawdomówną za cenę wszelkich niebezpieczeństw i poświęceń. Wysłuchaj mnie, Lenny, zanim ocenisz.

Do oczu nabiegły jej gorące łzy, ale otarła je gwałtownie i ciągnęła:

– Żona będzie dorastała i poślubi swego męża w całkowitej niewiedzy – pamiętaj! – w całkowitej niewiedzy na temat swojej prawdziwej historii. Nagłe odkrycie prawdy okaże się dla niej ciosem – poczuje się dotknięta nieszczęściem, którego na siebie nie sprowadziła. Jej umysł zmąci odkrycie, które spadnie na nią w chwili, gdy nie będzie miała nikogo, na kim mogłaby polegać, oprócz samej siebie. Będzie w jej mocy utrzymać odkrycie w tajemnicy przed mężem zupełnie bezkarnie, będzie poddana próbie, zostanie zachwiana w swojej moralnej słabości przez jedną chwilę straszliwej pokusy, zwalczy ją i z własnej woli powie mężowi wszystko to, co sama wie. A teraz, Lenny, jak nazwałbyś tę kobietę? Oszustką?

– Nie: ofiarą.

– Która z własnej woli wybiera poświęcenie? I która ma zostać poświęcona?

– Tego nie powiedziałem.

– Co ty byś z nią zrobił, Lenny, gdybyś pisał powieść? To znaczy, jak kazałbyś zachować się w stosunku do niej jej mężowi? To kwestia dotycząca męskiej natury i kobieta nie jest kompetentna, aby o niej rozstrzygać. Nie wiem, jak zakończyć historię. Jak ty byś ją zakończył, kochanie?

Kiedy kończyła, jej głos przybrał łagodny, błagalny ton. Podeszła do niego i czule wplotła mu palce we włosy.

– Jak ty byś ją zakończył, kochanie? – powtórzyła, nachylając się tak nisko, że jej drżące wargi lekko musnęły czoło męża.

Poruszył się niespokojnie w fotelu i odparł:

– Nie jestem powieściopisarzem, Rosamond.

– Ale jak byś postąpił, gdybyś był tym mężem, Lenny?

– Trudno mi powiedzieć – odrzekł. – Nie mam twojej bujnej wyobraźni, moja droga. Nie potrafię postawić się *ad hoc* w położeniu innym niż moje i wiedzieć, jak powinienem się wtedy zachować.

– Ale założmy, że twoja żona byłaby ci bliska, tak bliska jak ja teraz? Założmy, że właśnie powierzyła ci swoją straszną tajemnicę i stoi przed tobą, tak jak ja teraz stoję, gdy całe jej przyszłe szczęście zależy od jednego życzliwego słowa z twoich ust? Och, Lenny, nie pozwoliłbyś, aby upadła zrozpaczona u twoich stóp? Wiedziałbyś, bez względu na jej pochodzenie, że jest to to samo wierne

stworzenie, które kochało cię, służyło ci, ufało ci i wielbiło cię od dnia ślubu i które nie prosi o nic w zamian, jak tylko móc położyć głowę na twojej piersi i usłyszeć, że je kochasz? Wiedziałybyś, że zdobyła się, by wyjawić ci nieszczęsną tajemnicę, ponieważ przy swojej lojalności i miłości do męża wolałaby umrzeć porzucona i wzgardzona, niż żyć, oszukując go? Wiedziałybyś to wszystko i otworzył ramiona przed matką twego dziecka, żoną, która jest twoją pierwszą miłością, pomimo że w oczach świata jest ona najniższą ze wszystkich nisko urodzonych kobiet? Och, wiem, że tak byś zrobił, Lenny, wiem, że tak!

– Rosamond! Jakie masz drżące ręce, jaki zmieniony głos! Podniecasz się tą swoją wymyśloną historią, jak gdybyś opowiadała o rzeczywistych wydarzeniach.

– Przygarnąłbyś ją do serca, Lenny? Otworzyłybyś przed nią ramiona bez chwili niegodnego wahania?

– Ciii! Ciii! Mam nadzieję, że tak.

– Nadzieję? Tylko nadzieję? Och, zastanów się, kochany, zastanów się i powiedz, że wiesz, że tak!

– Czy muszę, Rosamond? W takim razie mówię, że tak.

W chwili, gdy słowa te padły z jego ust, odsunęła się i wzięła list ze stołu.

– Nie poprosiłeś mnie jeszcze, Lenny, żebym przeczytała ci list, który znalazłam w Pokoju Mirtowym. Teraz z własnej woli proponuję, że go przeczytam.

Zadrżała lekko, wypowiadając te decydujące słowa, ale wypowiedziała je dobitnie i pewnie, jak gdyby świadomość nieodwracalnej deklaracji ujawnienia prawdy nareszcie umocniła ją, aby odważyć się na wszelkie ryzyko i położyć kres wszelkiej niepewności.

Kiedy jej mąż zwrócił się w stronę miejsca, z którego dobiegł go jej głos, na jego twarzy malowała się mieszanina konsternacji i zdziwienia.

– Tak nagle przechodzisz od jednego tematu do drugiego – rzekł – że ledwo nadążam. Co też takiego sprawia, Rosamond, że jednym susem przeskakujesz od romantycznego wywodu o sytuacji w powieści do pospolitego, praktycznego zajęcia, jakim jest czytanie starego listu?

– Być może między jednym a drugim związek jest bliższy, niż myślisz – odparła.

– Bliższy związek? Jaki związek? Nie rozumiem.

– List to wyjaśni.

– Dlaczego list? Dlaczego nie możesz wyjaśnić ty?

Rzuciła jedno niespokojne spojrzenie na jego twarz i dostrzegła, że po raz pierwszy przecucie czegoś poważnego, co ma się wydarzyć, rzuciło cię na jego umysł.

– Rosamond! – wykrzyknął. – Jest jakaś tajemnica...

– Między nami nie ma tajemnic – wtrąciła szybko. – Nigdy żadnych nie było, kochany, i nigdy nie będzie.

Podeszła trochę bliżej, aby zająć swoje ulubione miejsce na jego kolanach, ale zaraz zreflektowała się i odsunęła w pobliże stołu. Ostrzegawcze łzy w oczach kazały jej nie dowierzać własnej stanowczości i przeczytać list tam, gdzie nie mogła czuć bicia jego serca.

– Czy mówiłam ci – podjęła, odczekawszy chwilę, aby się uspokoić – gdzie znalazłam złożony kawałek papieru, który włożyłam ci do ręki w Pokoju Mirtowym?

– Nie – odparł – chyba nie.

– Znalazłam go za ramką obrazka, portretu tej upiornej kobiety o złej twarzy. Otworzyłam go od razu i zobaczyłam, że to list. Zwrot do adresata, pierwsza linijka i jeden z dwóch podpisów, jakie zawierał, były napisane charakterem pisma, który znam.

– Czyim!

– Świętej pamięci pani Treverton.

– Twojej matki?

– Świętej pamięci pani Treverton.

– Dobry Boże, Rosamond! Dlaczego mówisz o niej w ten sposób?

– Pozwól mi przeczytać, a dowiesz się. Moimi oczami zobaczyłeś, jak wygląda Pokój Mirtowy, moimi oczami zobaczyłeś każdy przedmiot, jaki został wydobyty na światło dzienne w trakcie poszukiwań, teraz moimi oczami musisz zobaczyć, co znajduje się w liście. To jest tajemnica Pokoju Mirtowego.

Pochyliła się nisko nad niewyraźnym, wyblakłym tekstem i przeczytała następujące słowa:

Do mojego męża.

Rozstaliśmy się na zawsze, Arthurze, i nie miałam odwagi zatruć naszego pożegnania wyznaniem, że Cię oszukałam – okrutnie i nikczemnie oszukałam. Jeszcze kilka minut temu płakałeś u mego łóża i mówiłeś o naszym dziecku. Mój skrzywdzony, mój ukochany mąż, córeczka, którą kochasz, nie jest Twoja, nie jest moja. To nieślubne dziecko, które narzuciłam Ci jako swoje. Jej ojciec był górnikiem w Porthgenna, jej matką jest moja pokojówka, Sara Leeson.

Rosamond przerwała, ale nie podniosła głowy znad listu. Słyszała, jak jej mąż nagle kładzie rękę na stole, słyszała, jak zrywa się na równe nogi, słyszała, jak jednym ciężkim oddechem szybko wciąga powietrze, słyszała, jak w następnym momencie szepcze do siebie: „Nieślubne dziecko!”. Te dwa słowa dotarły do jej uszu z okropną, bolesną wyrazistością. Ton, jakim zostały wypowiedziane, zmroził ją. Ale ani o cal się nie poruszyła, zostało bowiem coś jeszcze do przeczytania, a dopóki zostało coś jeszcze, nie mogła podnieść wzroku, choćby zależało od tego jej życie.

Po chwili zaczęła czytać dalej:

>Mam na sumieniu wiele ciężkich grzechów, ale ten jeden grzech musisz mi wybaczyć, Arthurze, ponieważ popełniłam go z miłości do Ciebie. Ta miłość powiedziała mi, że Twoja bezpłodna żona nigdy nie zdobędzie w pełni Twego serca, dopóki nie urodzi Ci dziecka, i Twoje usta to potwierdziły. Pierwsze Twoje słowa, gdy wróciłeś z morza i gdy dziecko znalazło się w Twoich ramionach, brzmiały: „Nigdy nie kochałem cię tak jak teraz, Rosamond”. Gdybyś tego nie powiedział, nigdy nie zachowałabym mojej grzesznej tajemnicy.

Nie mogę dodać nic więcej, bo śmierć stoi nade mną. O tym, w jaki sposób dokonano oszustwa, i jakie były inne moje motywy, musisz dowiedzieć się od matki dziecka, która pisze list pod moje dyktando i która jest zobowiązana oddać Ci go, gdy mnie już nie będzie. Będziesz łaskawy dla małej, biednej istotki, która nosi moje imię. Bądź również łaskawy dla jej nieszczęsnej matki: jest winna jedynie tego, że zbyt ślepo mnie słuchała. Jeśli istnieje coś, co łagodzi gorycz moich wyrzutów sumienia, to myśl o tym, że moje oszustwo uchroniło najwierniejszą i najczulszą z kobiet przed wstydem, na który sobie nie zasłużyła. Pamiętaj o mnie wyrozumiale, Arthurze – słowa mogą powiedzieć, jak przeciw Tobie zgrzeszyłam, ale żadne słowa nie wypowiedzą, jak bardzo Cię kochałam!

Dotrwała aż dotąd i doszła do ostatniej linijki na drugiej stronie listu, gdzie ponownie urwała, a potem próbowała przeczytać pierwszy z dwóch podpisów: „Rosamond Treverton”. Cicho powtórzyła dwie pierwsze sylaby tego znajomego imienia – imienia, które było na ustach jej męża w każdej godzinie dnia! – i próbowała wypowiedzieć trzecią, ale głos ją zawiódł. Wszystkie święte wspomnienia z rodzinnego domu, które na zawsze zbeczcześcił ów bezlitosny list, zdały się w tej samej chwili wyrywać z jej serca. Z głębokim jękiem opuściła ramiona na stół, złożyła na nich głowę i ukryła twarz.

Nie słyszała nic, niczego nie była świadoma do czasu, aż poczuła na ramieniu lekkie dotknięcie – lekkie dotknięcie ręki, która drżała. Tętno w jej ciele podskoczyło w odpowiedzi na ten dotyk i podniosła wzrok.

Jej mąż wymacał drogę do niej wzdłuż stołu. W jego matowych, niewidzących oczach błyszczały łzy. Kiedy wstała i dotknęła go, jego ramiona się rozwarły i zamknęły ciasno wokół niej.

– Moja jedyna Rosamond! – powiedział. – Chodź do mnie, niech cię pocieszę!

Księga VI

Rozdział 1.

Wuj Joseph

Minęły dzień i noc i nadszedł nowy poranek, nim małżonkowie potrafili zdobyć się na to, aby rozmawiać spokojnie o tajemnicy i z rezygnacją stawić czoła obowiązkom i ofiarom, jakie jej odkrycie na nich wymuszało.

Pierwsze pytanie Leonarda dotyczyło tych linijek listu, o których Rosamond powiedziała, że były napisane znanym jej charakterem pisma. Widząc, że mąż nie pojmuje, w jaki sposób mogła sobie wyrobić zdanie na ten temat, wyjaśniła, że po śmierci kapitana Trevertona wiele listów napisanych przez panią Treverton do męża w naturalny sposób weszło w jej posiadanie. Traktowały one o zwyczajnych sprawach domowych i czytała je na tyle często, aby dokładnie zaznajomić się z charakterem pisma pani Treverton. Było ono nadzwyczaj duże, zdecydowane i męskie w wyrazie, a zwrot do adresata, pierwsza linijka pod nim i pierwszy z dwóch podpisów w liście znalezionym w Pokoju Mirtowym przypominały je w każdym szczególe.

Kolejne pytanie dotyczyło zasadniczej części listu. Charakter pisma w tym wypadku, a także w wypadku drugiego z podpisów („Sara Leeson”) i dodatkowych linijek na trzeciej stronie, również podpisanych przez Sarę Leeson, wskazywał na to, że są one dziełem tej samej osoby. Przekazując ten fakt mężowi, Rosamond nie omieszkła wyjaśnić, że kiedy poprzedniego dnia czytała list, siły i odwaga opuściły ją, nim dojrzała do końca. Dodała, że postscriptum, którego tym samym nie przeczytała, również było ważne, ponieważ traktowało o okolicznościach, w których tajemnica została ukryta, i poprosiła, aby bez dalszej zwłoki wolno jej było zapoznać go z jego treścią.

Siedząc tak blisko niego, jak gdyby na nowo przeżywali swój miesiąc miodowy, odczytała ostatnie linijki listu – linijki, które jej matka napisała szesnaście lat wcześniej, rankiem tego dnia, którego uciekła z Porthgenna Tower:

Jeśli ktoś kiedykolwiek znajdzie ten list (o co z całego serca modłę się, aby się nie stało), chciałabym powiedzieć, że postanowiłam go ukryć, ponieważ nie mam odwagi pokazać go memu panu, do którego jest skierowany. Choć robiąc to, co zamierzam zrobić, postępuję wbrew ostatniej woli mej pani, nie łamię uroczystego zobowiązania, do jakiego zmusiła mnie na łóżu śmierci. Zobowiązanie to zabrania mi zniszczyć list lub zabrać go ze sobą, jeśli opuszczę dom. Nie zrobię jednego ani drugiego – mam zamiar ukryć list w miejscu, gdzie, jak sądzę, istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek ktoś go odnajdzie. Wszelkie trudy czy nieszczęścia, jakie mogą wyniknąć z tego nieuczciwego postępuku z mojej strony, niech spadną na mnie. Inni, w co wierzę z całego serca, będą szczęśliwsi

z powodu ukrycia strasznej tajemnicy, którą ten list zawiera.

– Nie ma teraz wątpliwości – odezwał się Leonard, kiedy jego żona skończyła czytać – że pani Jazeph, Sara Leeson i służąca, która zniknęła z Porthgenna Tower, to jedna i ta sama osoba.

– Biedactwo! – rzekła Rosamond, z westchnieniem odkładając list. – Teraz wiemy, dlaczego tak mnie ostrzegła przed wejściem do Pokoju Mirtowego. Któż wie, co musiała przeżywać, kiedy przyszła jako nieznajoma do mego pokoju? Ach, co bym dała, żeby zachować się wtedy wobec niej mniej pochopnie! Straszna jest myśl, że zwracałam się do niej jak do służącej, która miała mnie słuchać. Jeszcze gorzej jest czuć, że nawet teraz nie potrafię myśleć o niej, jak dziecko powinno myśleć o matce. Jak mam jej kiedykolwiek powiedzieć, że znam tajemnicę? Jak...

Urwała, zdjęta bolesną świadomością hańby, jaka okryła cieniem jej narodziny, i wzdygnęła się na myśl o nazwisku, które dał jej mąż, oraz o swym własnym pochodzeniu, którego zasady społeczne nie raczyły uznać.

– Dlaczego przerywasz? – zapytał Leonard.

– Bałam się... – zaczęła i ponownie urwała.

– Bałaś się – powiedział, kończąc za nią zdanie – że słowa litości dla tej nieszczęsnej kobiety mogą zranić moją dumę, przypominając mi o okolicznościach twoich narodzin? Rosamond! Byłbym niegodny twojej niezrównanej prawdomówności w stosunku do mnie, gdybym ze swej strony nie przyznał, że to odkrycie zraniło mnie tak, jak tylko można zranić dumnego człowieka. Moja duma została mi wszczepiona od urodzenia i wzrastała wraz ze mną. Moja duma, nawet teraz, gdy z tobą rozmawiam, wykorzystuje moje pierwsze chwile spokoju i zwodzi mnie, aby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wątpić, czy słowa, które mi przeczytałaś, mogą być faktycznie słowami prawdy. Ale jakkolwiek silne jest to wrodzone i wzmacniane we mnie uczucie, jakkolwiek trudno mi jest je opanować – a powinno być, musi być i zostanie opanowane – w moim sercu jest też inne, jeszcze silniejsze uczucie.

Poszukał jej dłoni, ujął ją w swoją, a potem dodał:

– Od chwili, gdy poświęciłaś swoje życie niewidomemu mężowi, od chwili, gdy zdobyłaś jego najgłębszą wdzięczność, tak jak już wcześniej zdobyłaś jego najtkliwszą miłość, zajęłaś miejsce w jego sercu, Rosamond, którego nic, nawet taki wstrząs jak ten, który nas teraz spotkał, nie może cię pozbawić! Choć zawsze wysoko sobie ceniłem pozycję społeczną, jeszcze wyżej nauczyłem się cenić, nawet przed wczorajszym wydarzeniem, wartość mojej żony, bez względu na jej pochodzenie.

– Och, Lenny, Lenny, nie mogę słuchać, kiedy mnie chwalisz, jeśli jednym tchem wyrażasz się tak, jak gdybym dokonała poświęcenia, poślubiając cię! Gdyby nie mój niewidomy mąż, nigdy bym nie zasłużyła na słowa, które przed chwilą

o mnie wypowiedziałeś. Kiedy po raz pierwszy przeczytałam ten straszny list, przeżyłam chwilę wstrętnego, niewdzięcznego zwątpienia, czy twoja miłość do mnie przetrwa odkrycie tajemnicy. Miałam moment okropnej pokusy, która odwiodła mnie od ciebie, podczas gdy powinnam była włożyć ci list do ręki. To widok ciebie czekającego, abym się odezwała, całkowicie nieświadomego tego, co wydarzyło się tuż obok, przywołał mnie do rzeczywistości i podpowiedział, co powinnam zrobić. To widok mojego niewidomego męża sprawił, że przewyciężyłam pokusę zniszczenia listu w tej samej godzinie, w której go znalazłam. Och, gdybym okazała się najbardziej nieczułą z kobiet, czy kiedykolwiek jeszcze mogłabym wziąć cię za rękę? Czy czując, że nadużyłam twojego ślepego zaufania dla własnych samolubnych interesów, mogłabym cię pocałować albo położyć się przy tobie i słyszeć, jak zasypiasz, noc w noc? Wiedząc, że moje oszustwo powiodło się tylko dlatego, że twoja choroba uniemożliwiła ci podejrzenie go? Nie, nie. Nie chce mi się wierzyć, że najniegodziwsza z kobiet mogłaby być winna podobnej podłości, i nie mam prawa do żadnej innej chluby jak chluba z tego, że okazałam się wierna pokładanemu we mnie zaufaniu. Wczoraj w Pokoju Mirtowym powiedziałaś, kochany, że jedynym wiernym przyjacielem w twojej ślepotcie, który nigdy nie zawiódł, jest twoja żona. Teraz, gdy najgorsze już za nami, za całą nagrodę i pocieszenie wystarczy mi świadomość, że nadal możesz tak powiedzieć.

– Tak, Rosamond, najgorsze za nami, ale nie możemy zapominać, że mogą nas czekać jeszcze ciężkie próby.

– Ciężkie próby, kochany? O jakich próbach mówisz?

– Być może przeceniam odwagę, której wymaga to poświęcenie, Rosamond, ale, przynajmniej dla mnie, ogromnym poświęceniem własnych uczuć będzie dopuszczenie obcych osób do wiedzy, którą zdobyliśmy.

Rosamond w osłupieniu spojrzała na męża.

– Dlaczego mielibyśmy komukolwiek wyjawiać tajemnicę? – spytała.

– Zakładając, że możemy upewnić się co do autentyczności tego listu – odparł – nie będziemy mieli innego wyjścia, jak wyjawić ją obcym. Nie zapominaj o okolicznościach, w jakich twój ojciec... w jakich kapitan Treverton...

– Nazywaj go moim ojcem – rzekła smutno Rosamond. – Pamiętaj, jak bardzo mnie kochał i jak ja go kochałam i nadal nazywaj go „moim ojcem”.

– Obawiam się, że muszę go teraz nazywać „kapitanem Trevertonem” – odparł Leonard. – Inaczej trudno mi będzie prosto i jasno wyjaśnić to, co koniecznie powinnaś wiedzieć. Kapitan Treverton zmarł, nie zostawiając testamentu. Jego jedyną własność stanowiły pieniądze pochodzące z zakupu tego dworu i majątku, i ty je odziedziczyłaś jako najbliższa krewna...

Rosamond podskoczyła na krześle i w przerażeniu złożyła dłonie.

– Och, Lenny – powiedziała z prostotą – tak wiele myślałam o tobie, odkąd

znalazłam list, że ani razu nie pomyślałam o tym!

– Czas o tym pomyśleć, moja miła. Jeśli nie jesteś córką kapitana Trevertona, nie masz prawa do ani jednego szeląga z majątku i musi on natychmiast wrócić do osoby, która jest najbliższym krewnym kapitana Trevertona, czyli, innymi słowy, jego brata.

– Tego człowieka! – zawołała Rosamond. – Tego człowieka, który jest nam obcy, który gardzi samym naszym nazwiskiem! Czy mamy stać się biedni, aby on stał się bogaty?

– Mamy zrobić to, co jest honorowe i sprawiedliwe, choćby wymagało to wyrzeczenia się naszych interesów i nas samych – powiedział twardo Leonard. – Myślę, Rosamond, że zgodnie z prawem konieczna jest moja zgoda jako twojego męża, aby dokonać tej restytucji. Nawet gdyby pan Andrew Treverton był moim najzacieklejszym wrogiem i gdyby zwrot tych pieniędzy całkowicie nas zrujnował, zwróciłbym je z własnej woli co do szeląga i ty tak samo!

Krew napłynęła mu do policzków, kiedy mówił. Rosamond przyglądała mu się z podziwem bez słowa. „Kto chciałby, aby był mniej dumny – pomyślała z czułością – kiedy jego duma przemawia takimi słowy!”

– Teraz rozumiesz – ciągnął Leonard – że mamy do wypełnienia obowiązki, które zmuszą nas do szukania pomocy u innych osób i które w związku z tym uniemożliwią zachowanie całej sprawy w tajemnicy? Nawet gdybyśmy mieli przetrząsnąć całą Anglię, musimy odnaleźć Sarę Leeson. Dalsze działania zależą od jej odpowiedzi na nasze pytania, od jej poświadczenia autentyczności listu. Choć jestem z góry zdecydowany nie zasłaniać się żadnymi technicznymi wykrętami i opóźnieniami i nie chcę nic ponad niezbity dowód pod względem moralnym, jakkolwiek niedoskonały może on być pod względem prawnym, niemożliwym jest podjąć jakiegokolwiek kroki, nie szukając natychmiast porady. Adwokat, który zawsze zajmował się sprawami pana Trevertona i który teraz zajmuje się naszymi, jest właściwą osobą, aby pokierować prowadzeniem poszukiwań i pomóc nam, jeśli to konieczne, w restytucji.

– Jak spokojnie i rzeczowo o tym mówisz, Lenny! Czy zrzeczenie się mojego majątku będzie dla nas dotkliwą stratą?

– Musimy o tym myśleć jako o korzyści dla naszych sumień, Rosamond, i z rezygnacją zmienić nasz sposób życia tak, aby dopasować go do naszych uszczuplonych środków. Ale nie ma potrzeby wracać do tego tematu, dopóki nie upewnimy się co do konieczności zwrotu pieniędzy. Moja bieżąca uwaga i twoja bieżąca uwaga powinny się teraz skupić na odnalezieniu Sary Leeson. Nie! Na odnalezieniu twojej matki. Muszę nauczyć się ją tak nazywać, inaczej nie nauczę się jej żałować i nie będę mógł jej przebaczyć.

Rosamond przytuliła się do męża.

– Każde twoje słowo cieszy moje serce – wyszeptała, kładąc mu głowę na

ramieniu. – Pomożesz mi i umocnisz mnie, kiedy przyjdzie czas, abym przywitała moją matkę tak, jak powinnam? Och, jaka była blada, zmizerowana i znużona, kiedy stała u mego łóża i patrzyła na mnie i moje dziecko! Czy długo potrwa, zanim ją znajdziemy? Ciekawe, czy jest daleko od nas? Czy może bliżej, dużo bliżej niż myślimy?

Nim Leonard zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi i Rosamond zaskoczyło pojawienie się pokojówki. Betsey była rozgorączkowana, podniecona i zdyszana, ale zdołała zrozumiale przekazać krótką wiadomość od zarządcy, pana Mundera, który prosił o pozwolenie na rozmowę z panem Franklandem lub panią Frankland w ważnej sprawie.

– O co chodzi? Czego on chce? – zapytała Rosamond.

– Chyba chce się dowiedzieć, czy powinien posłać po konstabla, czy też nie, proszę pani – odparła Betsey.

– Posłać po konstabla! – powtórzyła Rosamond. – Czyżby w domu w biały dzień grasowali złodzieje?

– Pan Munder mówi, że nie wie, ale to może być gorsze niż złodzieje – odpowiedziała Betsey. – To znowu ten cudzoziemiec, proszę pani. Miał tupet przyjsć i zadzwonić do drzwi i zapytał, czy może zobaczyć się z panią Frankland.

– Cudzoziemiec! – zawołała Rosamond, z przejęciem kładąc rękę na ramieniu męża.

– Tak, proszę pani – rzekła Betsey. – Ten sam, który przyszedł tu z damą oglądać dom...

Rosamond z właściwą sobie impulsywnością zerwała się na równe nogi.

– Pozwól mi zejść na dół! – zaczęła.

– Zaczekaj! – przerwał Leonard, łapiąc ją za rękę. – Nie ma najmniejszej potrzeby, abyś schodziła na dół. Poproś tu cudzoziemca – ciągnął, zwracając się do Betsey – i powiedz panu Munderowi, że weźmiemy załatwienie tej sprawy we własne ręce.

Rosamond z powrotem usiadła obok męża.

– To bardzo dziwny przypadek – rzekła tonem cichym i poważnym. – Musi być w tym coś więcej niż ślepy los, skoro dostajemy do rąk wskazówkę w chwili, w której najmniej spodziewaliśmy się ją znaleźć.

Drzwi otworzyły się po raz drugi i w progu pojawił się drobny staruszek o rumianych policzkach i długich białych włosach. U jego boku na pasku wisiał mały skórzany pokrowiec, a z kieszeni na piersi surduta wystawał ustnik fajki. Mężczyzna zrobił jeden krok w głąb pokoju, zatrzymał się, podniósł do serca obie ręce, w których trzymał zmiętoszony filcowy kapelusz, po czym wykonał jeden po drugim pięć fantastycznych ukłonów – dwa w stronę pani Frankland, dwa w kierunku jej męża i jeden znów w stronę pani Frankland jako wyraz osobnego i szczególnego hołdu dla damy. Rosamond nigdy jeszcze nie widziała pełniejszego

uosobienia idealnej niewinności i idealnej nieszkodliwości niż cudzoziemiec, który w liście gospodyni został opisany jako bezczelny włóczęga, a którego pan Munder bał się bardziej niż złodzieja!

– Proszę pani i dobrego pana – odezwał się staruszek, podchodząc nieco bliżej na zaproszenie pani Frankland. – Wybaczcie mi najście. Nazywam się Joseph Buschmann. Mieszkam w Truro, gdzie zajmuję się wyrobem gablotek i skrzyneczek na herbatę, a także innych przedmiotów z polerowanego drewna. Jestem również, proszę państwa, tym samym małym cudzoziemcem, którego złajał wielki majordomus, kiedy przyszedłem do dworu. Jedyne, o co proszę, to abyście państwo pozwolili mi powiedzieć w moim imieniu i w imieniu innej osoby, która jest bardzo bliska memu sercu, jedno słówko. To zajmie tylko kilka minut, proszę pani i dobrego pana, a potem pójdę z powrotem swoją drogą z najlepszymi życzeniami i podziękowaniami.

– Proszę uważać nasz czas za swój czas, panie Buschmann – rzekł Leonard. – Nie mamy żadnych zobowiązań, które zmusiłyby pana do skrócenia wizyty. Muszę panu powiedzieć z góry, aby uniknąć niezręczności po obu stronach, że mam nieszczęście być niewidomy. Mogę jednak obiecać całą moją uwagę, jeśli chodzi o słuchanie. Rosamond, czy pan Buschmann siedzi?

Pan Buschmann nadal stał przy drzwiach i wyrażał szacunek, ponownie kłaniając się pani Frankland i ponownie miętosząc na piersi swój filcowy kapelusz.

– Proszę podejść bliżej i usiąść – powiedziała Rosamond. – I proszę ani przez chwilę nie myśleć, że jakakolwiek opinia zarządcy ma na nas choćby najmniejszy wpływ albo że uważamy za konieczne, aby przeproszał pan za to, co zdarzyło się podczas pana ostatniej wizyty we dworze. Z chęcią, z wielką chęcią – dodała z właściwą sobie szczerością – wysłuchamy wszystkiego, co ma nam pan do powiedzenia. Jest pan właśnie tą osobą, którą akurat w tym momencie jesteśmy...

Urwała, czując trącenie stopy męża i słusznie odczytując ten gest jako przestrożę przed zbyt otwartym zwracaniem się do gościa, zanim ten wyjaśni cel swojej wizyty.

Wuj Joseph wyglądał na bardzo zadowolonego, choć również nieco zaskoczonego, kiedy usłyszał ostatnie słowa Rosamond. Przyniósł krzesło bliżej stołu, przy którym siedzieli państwo Franklandowie, zmiął swój filcowy kapelusz ciaśniej niż wcześniej i włożył go sobie do bocznej kieszeni, z drugiej kieszeni wyciągnął cienki plik listów, położył go sobie na kolanach, siadając, poklepał go delikatnie obiema rękami, i zaczął wyjaśnienia tymi słowami:

– Proszę pani i dobrego pana, zanim będę mógł swobodnie powiedzieć moje słówko, muszę, za państwa pozwoleniem, cofnąć się w czasie do ostatniego razu, kiedy przyszedłem do tego domu w towarzystwie mojej siostrzenicy.

– Pana siostrzenicy! – zawołali jednocześnie Rosamond i Leonard.

– Mojej siostrzenicy, Sary – rzekł wuj Joseph – jedyne dziecko mojej

siostry Agathy. To właśnie miłość do Sary, jeśli państwo pozwolą, sprowadza mnie tutaj. Jest ona ostatnią cząstką mojego ciała i mojej krwi, jaka została mi na tym świecie. Cała reszta odeszła! Moja żona, mój mały Joseph, mój brat Max, moja siostra Agatha i mężczyzna, którego poślubiła, dobry i szlachetny Anglik Leeson – wszyscy odeszli!

– Leeson – powiedziała Rosamond, znacząco ściskając pod stołem rękę męża.

– Pańska siostrzenica nazywa się Sara Leeson?

Wuj Joseph westchnął i potrząsnął głową.

– Pewnego dnia – rzekł – najgorszego dla Sary ze wszystkich dni w roku, zmieniła to nazwisko. O człowieku, którego poślubiła, a który już nie żyje, proszę pani, wiem niewiele lub zgoła tylko jedno: nazywał się Jazeph i źle ją traktował, za co uważam go za pierwszorzędnego łajdaka! Tak – wykrzyknął wuj Joseph, bliski gniewu i rozgoryczenia na tyle, na ile mogła mu na to pozwolić jego natura, i przekonany, że używa jednego z najmocniejszych słów w angielszczyźnie. – Tak! Gdyby miał w tej chwili powrócić do życia, powiedziałbym mu prosto w twarz: Angliku Jazephie, pierwszorzędny z ciebie łajdak!

Rosamond po raz drugi ścisnęła rękę męża. Gdyby nawet ich własne przeświadczenie nie pozwoliło im utożsamić pani Jazeph z Sarą Leeson, ostatnie słowa staruszka musiały dostatecznie ich upewnić, że oba nazwiska nosiła ta sama osoba.

– Teraz zatem powrócę do czasu, kiedy byłem tu z moją siostrzenicą Sarą – podjął wuj Joseph. – Muszę, jeśli państwo pozwolą, mówić w tej kwestii prawdę, inaczej utknę w miejscu, w którym jestem, i nie ruszę się z niego do końca życia, a i tak już jestem spóźniony w stosunku do miejsca, w którym chciałbym być. Panie i dobra pani, będziecie tak uprzejmi i wybaczą mi mojej siostrzenicy Sarze i mnie, jeśli wyznam, że nie po to tu przyszliśmy, zadzwoniliśmy do drzwi, zawracaliśmy głowę i nie po to wielki majordomus strzepił sobie język, łajac nas, aby obejrzeć wasz dom. Przyszliśmy tu tylko po to, aby zrobić jedną małą, dziwną rzecz... albo nie, chodziło tylko o tajemnicę Sary, która nadal jest dla mnie ciemna i niezgłębiona niczym środek najciemniejszej nocy, jaka kiedykolwiek panowała na świecie... i ponieważ nie wiedziałem o niej nic poza tym, że nie wynikało z niej nic złego dla kogokolwiek lub czegokolwiek, i że Sara była zdecydowana iść, a ja nie mogłem puścić jej samej, jak również z tego powodu, że powiedziała mi, iż ma największe ze wszystkich prawo zabrać list i ponownie go schować, widząc, że boi się, że ktoś go znajdzie, jeśli pozwoli mu dłużej pozostać w tym pokoju, to jest w tym, w którym ukryła go poprzednio... no cóż, tak się złożyło, że ja... nie, że ona... nie, nie, że ja... Ach *Gott!* – zawołał wuj Joseph, uderzając się w rozpacz w czoło i przynosząc sobie ulgę wezwaniem w ojczystym języku. – Zabrąłem tak, że jakem grzesznik, nie wiem, gdzie jest właściwe miejsce i jak do niego wrócić!

– Nie ma najmniejszej potrzeby, aby powracał pan do swojej relacji – rzekła Rosamond, w swojej chęci przywrócenia staruszkowi pewności siebie i spokoju zapominając całkiem o ostrożności i samokontroli. – Proszę nie próbować powtórzyć wyjaśnień. Już wiemy...

– Przyjmiemy – odezwał się Leonard, wtrącając się gwałtownie, zanim jego żona zdążyła wypowiedzieć następne słowo – że wiemy już wszystko, co chciałaby nam pan powiedzieć w związku z tajemnicą pańskiej siostrzenicy i motywami, dla których pragnął pan obejrzeć dom.

– Przyjmiecie to! – zawołał wuj Joseph z wyrazem wielkiej ulgi na twarzy. – Ach, stokrotne dzięki panu, sir, i dobrej pani za to, że pomogliście mi wypłatać się z mojego zagmatwania słowem „przyjmiemy”. Od stóp do głów cały pogrążony jestem w chaosie, ale myślę, że mogę już mówić dalej i więcej się nie pogubię. A więc! Ujmijmy to tak: ja i moja siostrzenica Sara jesteśmy w domu – oto pierwsze „przyjmiemy”. Ja i moja siostrzenica Sara jesteśmy poza domem – oto drugie „przyjmiemy”. Znakomicie! W takim razie idźmy dalej. W drodze powrotnej do mojego domu w Truro boję się o Sarę z powodu omdlenia, w jakie popadła tutaj na schodach, i z powodu wyrazu jej twarzy, który sprawia, że jest mi ciężko na sercu. Jest mi jej również żal, ponieważ nie zrobiła tej jednej małej, dziwnej rzeczy, po którą przyszła. Martwię się tym wszystkim, ale jednocześnie się pocieszam, a otuchy dodaje mi myśl, że Sara zatrzyma się u mnie w Truro i że gdy tylko rozpocznemy wspólne życie, sprawię, że znów będzie zdrowa i szczęśliwa. Proszę w takim razie ocenić, sir, jaki cios na mnie spada, kiedy dowiaduję się, że nie uczyni mojego domu swoim domem. Proszę, niech pani również oceni, dobra pani, jakie musi być moje zdumienie, kiedy pytam o powód, a ona mówi mi, że musi opuścić wuja Josepha, ponieważ boi się, że pani ją znajdzie.

Urwał i spojrzawszy na twarz Rosamond, zobaczył, że ta zasępiła się i po ostatnich słowach odwraca od niego.

– Czy żałuje pani mojej siostrzenicy Sary? Czy współczuje jej pani? – zapytał z lekkim wahaniem i drżeniem w głosie.

– Współczuję jej z całego serca – rzekła gorąco Rosamond.

– A ja z całego serca dziękuję pani za to współczucie! – odparł wuj Joseph. – Ach, proszę pani, pani dobroć dodaje mi odwagi, aby mówić dalej i aby powiedzieć, że rozstaliśmy się w tym samym dniu, w którym wróciliśmy do Truro! Zanim tym razem do mnie przyjechała, minęło wiele, wiele lat, długich, samotnych lat od czasu, gdy się uprzednio widzieliśmy. Bałem się, że minie wiele kolejnych lat, i do samego końca próbowałem zatrzymać ją u siebie. Ale ją gnał cały czas ten sam strach – strach przed tym, że pani ją odnajdzie i będzie wypytywać. Tak więc ze łzami w oczach (podobnie jak ja) i ściśniętym sercem (podobnie jak ja) wyjechała, aby ukryć się w bezmiarze wielkiego miasta Londynu, który pochłania wszystkich napływających do niego ludzi i przedmioty i który teraz razem z innymi

pochłonał moją siostrzenicę Sarę. „Moje dziecko, będziesz czasem pisać do wuja Josepha” – rzekłem, a ona odpowiedziała: „Będę pisać często”. Od tego czasu minęły trzy tygodnie i oto na kolanach mam cztery listy, które do mnie napisała. Pozwoli pani, że położę je otwarte przed panią, ponieważ pomogą mi one kontynuować to, co muszę powiedzieć, i ponieważ widzę w pani twarzy, że naprawdę żałuje pani z całego serca mojej siostrzenicy Sary.

Rozwiązał plik listów, otworzył je, pocałował jeden za drugim i położył rzędem na stole, wygładzając przy tym dokładnie i dokładając wszelkich starań, aby znajdowały się idealnie w jednej linii. Rzut oka na pierwszy z krótkiej serii listów przekonał Rosamond, że charakter pisma, jakim był napisany, był taki sam jak w zasadniczej treści listu znalezionej w Pokoju Mirtowym.

– Nie ma wiele do czytania – rzekł wuj Joseph. – Ale jeśli najpierw spojrzysz pani na nie, będę mógł potem wyjaśnić, dlaczego je pokazuję.

Staruszek miał rację. W listach niewiele było do czytania, a każdy kolejny był coraz to krótszy. Wszystkie cztery napisane zostały formalnym, konwencjonalnie poprawnym stylem osoby, która bierze do ręki pióro, bojąc się popełnić błędy gramatyczne i ortograficzne, i równie wyzute z jakichkolwiek osobistych szczegółów odnoszących się do osoby autorki. We wszystkich czterech padały usilne prośby, aby wuj Joseph się nie niepokoił, pytania o zdrowie oraz wyrazy wdzięczności i miłości do niego w tak ciepłych słowach, na jakie pozwalał ich powściągliwy styl. Wszystkie cztery zawierały następujące dwa pytania odnośnie do Rosamond: po pierwsze, czy pani Frankland przyjechała już do Porthgenna Tower? Po drugie, jeśli przyjechała, co słyszał wuj Joseph na jej temat? I wreszcie wszystkie cztery podawały te same wskazówki co do adresowania odpowiedzi: „Proszę kierować do mnie, «S. J., Urząd pocztowy, Smith Street, Londyn»”, po czym następowało to samo usprawiedliwienie: „Wybacz, że na wszelki wypadek nie podaję swojego adresu, ale nawet w Londynie boję się, że mnie wyśledzą i znajdą. Każdego ranka posyłam po listy, więc na pewno dostanę Twoją odpowiedź”.

– Powiedziałem pani – rzekł staruszek, kiedy Rosamond podniosła głowę znad listów – że bałem się o Sarę i było mi jej żal, kiedy mnie opuszczała. Teraz widzi pani, dlaczego jeszcze bardziej się przestraszyłem i jeszcze bardziej zrobiło mi się jej żal, kiedy dostałem kolejno te cztery listy. Zaczynają się tutaj, od pierwszego z mojej lewej strony, i stają się coraz krótsze, krótsze i krótsze, w miarę jak zbliżają się do mojej prawej, aż ostatni ma tylko osiem krótkich linijek. I znowu, proszę zobaczyć. Pismo w pierwszym liście, tutaj, po mojej lewej, jest bardzo ładne, to znaczy jest bardzo ładne dla mnie, ponieważ kocham Sarę i ponieważ sam piszę bardzo brzydko, ale nie jest równie ładne w drugim liście – gdzie jest nieco chwiejne, pojawia się kilka kleksów, w ostatnich linijkach trochę się zakrzywia. W trzecim liście jest jeszcze gorzej – chwiejniej, krzywiej, więcej

kleksów. W czwartym, gdzie jest najmniej do zrobienia, jest jeszcze chwiejniej, jeszcze więcej kleksów, jeszcze krzywiej niż we wszystkich poprzednich listach razem wziętych. Widzę to, pamiętam, że kiedy mnie opuszczała, była słaba, wynędzniała i znużona. Powiadam do siebie: „Jest chora, chociaż tego nie przyzna, ale zdradza ją jej pismo!”.

Rosamond spojrzała ponownie na listy i linijka po linijce prześledziła wzrokiem znamienne zmiany na gorsze, tak jak wskazał je staruszek.

– Powiadam do siebie – ciągnął – poczekam i zastanowię się trochę, i słyszę, jak własne serce szepce do mnie: „Jedź do Londynu, wuju Josephie, i póki czas zabierz ją z powrotem, aby wyleczyła się, zaznała pocieszenia i szczęścia w twoim domu!”. Potem czekam i znów zastanawiam się trochę – nie nad zostawieniem swojego interesu, wolałbym zostawić go na zawsze, niż żeby Sarze miała stać się krzywda, ale nad tym, co mam zrobić, aby sprowadzić ją z powrotem. Myśl ta sprawia, że wracam do listów, listy ciągle pokazują mi te same pytania o panią Frankland, widzę równie wyraźnie jak własną rękę przed sobą, że nigdy nie odzyskam mojej siostrzenicy Sary, dopóki nie uspokoję jej co do tych pytań o panią Frankland, których boi się tak, jak gdyby za każdym z nich czała się dla niej śmierć. Widzę to! To sprawia, że fajka mi gaśnie, to podrywa mnie z krzesła, to wkłada mi kapelusz na głowę, to sprowadza mnie tutaj, gdzie raz już się wprosiłem i gdzie nie mam prawa, wiem, wpraszać się po raz kolejny. To sprawia, że teraz proszę i błagam, przez wzgląd na pani współczucie dla mojej siostrzenicy i dobroć dla mnie, by nie odmówiła mi pani pomocy w sprowadzeniu Sary z powrotem. Jeśli tylko będę mógł powiedzieć Sarze: widziałem się z panią Frankland i usłyszałem z jej własnych ust, że nie zada żadnego z tych pytań, których tak strasznie się boisz – jeśli tylko będę mógł to powiedzieć, Sara ze mną wróci i do końca moich dni będę pani dziękował, że mnie pani uszczęśliwiła!

Prosta wymowa jego słów, niewinna szczerłość sposobu bycia chwyciły Rosamond za serce.

– Zrobię wszystko, obiecuję wszystko – odparła żarliwie – aby pomóc panu ją odzyskać! Jeśli tylko pozwoli mi się z sobą spotkać, obiecuję, że nie powiem ani jednego słowa, którego nie chciałaby ode mnie usłyszeć, obiecuję, że nie zadam ani jednego pytania, nie, ani jednego, na które odpowiedź byłaby dla niej bolesna. Och, jaką dodającą otuchy wiadomość mogę jeszcze przekazać? Co mogę powiedzieć?

Urwała zmieszana, czując, że mąż ponownie trąca ją stopą.

– Ach, proszę nic więcej nie mówić! Proszę nic więcej nie mówić! – zawołał wuj Joseph, z błyszczącymi oczami i rozpaloną twarzą związując swój niewielki plik listów. – Powiedziano już wystarczająco dużo, aby Sara wróciła! Wystarczająco dużo, abym był wdzięczny do końca życia! Och, taki jestem szczęśliwy, taki szczęśliwy – ze szczęścia nie mieszcę się we własnej skórze!

Podrzucił plik listów, złapał go, pocałował i włożył z powrotem do kieszeni,

wszystko w mgnieniu oka.

– Ale nie odchodzi pan jeszcze? – spytała Rosamond. – Chyba pan jeszcze nie odchodzi?

– Odejście stąd jest dla mnie stratą, którą muszę znieść, ponieważ jest dla mnie również korzyścią dotrzeć wcześniej do Sary – odparł wuj Joseph. – Tylko z tego powodu poproszę państwa o wybaczenie, jeśli odejdę z sercem pełnym wdzięczności i udam się z powrotem do domu.

– Kiedy planuje pan wyruszyć do Londynu, panie Buschmann? – zapytał Leonard.

– Jutro wczesnym rankiem, sir – odparł wuj Joseph. – Skończę pracę, którą mam do wykonania, dziś wieczorem i zostawię resztę Samuelowi (który jest moim bardzo dobrym przyjacielem, jak również subiektem), a potem pojedę do Sary pierwszym dylizansem.

– Czy mogę spytać o adres pańskiej siostrzenicy w Londynie, na wypadek gdybyśmy chcieli do pana napisać?

– Nie podaje adresu, sir, tylko pocztę, bo nawet w odległym Londynie nie opuszcza jej ten sam strach, który towarzyszył jej przez całą drogę od tego domu. Ale oto miejsce, w którym sam będę nocował – ciągnął staruszek, wyjmując mały firmowy bilecik. – To dom mojego rodaka, piekarza, który wypieka znakomite bułeczki, sir, i jest naprawdę bardzo zacnym człowiekiem.

– Czy obmyślił pan jakiś plan znalezienia adresu swojej siostrzenicy? – zapytała Rosamond, jednocześnie przepisując dane widniejące na bileciku.

– Ach, tak, zawsze szybko wszystko planuję – rzekł wuj Joseph. – Zgłoszę się do naczelnika poczty i powiem mu tylko tyle, nic więcej: „Dzień dobry, sir. Jestem osobą, która pisze listy do S. J. To moja siostrzenica, proszę pana, i chcę wiedzieć tylko jedno: gdzie ona mieszka?”. To jest jakiś plan, prawda? Aha!

Rozłożył ręce w pytającym gościu i z uśmiechem zadowolenia z siebie spojrzął na panią Frankland.

– Obawiam się – odrzekła Rosamond, po części rozbawiona, po części ujęta jego prostodusznością – że adres raczej nie został powierzony pracownikom poczty. Myślę, że lepiej byłoby, gdyby wziął pan ze sobą list skierowany do „S. J.”, dostarczył go rano, kiedy przychodzą listy z prowincji, zaczekał przy drzwiach, a potem poszedł za osobą, którą przyśle pańska siostrzenica (jak sama pisze), aby poprosić o listy dla S. J.

– Myśli pani, że tak będzie lepiej? – zapytał wuj Joseph, skrycie przekonany, że z tych dwóch pomysłów jego był bezsprzecznie zmyślniejszy. – Dobrze! Najmniejsze pani słówko jest dla mnie rozkazem, do którego dostosuję się z całego serca.

Wyjął z kieszeni pomięty filcowy kapelusz i podszedł, aby się pożegnać, kiedy pan Frankland odezwał się do niego raz jeszcze:

– Jeśli zastanie pan siostrzenicę w dobrym zdrowiu i skłoną podróżować – powiedział Leonard – sprowadzi pan ją do Truro niezwłocznie? I da nam pan znać, kiedy oboje będziecie już w domu?

– Niezwłocznie, sir – odparł wuj Joseph. – Na oba te pytania odpowiadam: niezwłocznie.

– Jeśli za tydzień od dziś – ciągnął Leonard – nie dostaniemy od pana wiadomości, będziemy zmuszeni zatem uznać, że albo na drodze do waszego powrotu stanęła jakaś nieprzewidziana przeszkoda, albo pańskie obawy o siostrzenicę były aż nazbyt uzasadnione i nie może ona podróżować?

– Tak, sir, niech tak będzie. Ale mam nadzieję, że dostaną państwo ode mnie wiadomość przed upływem tygodnia.

– Och, ja również mam gorącą i szczerą nadzieję, że tak się stanie! – rzekła Rosamond. – Pamiętaj pan moją wiadomość?

– Mam ją tutaj, każde słowo – powiedział wuj Joseph, dotykając serca.

Podniósł do ust rękę, którą podała mu Rosamond.

– Spróbuję podziękować państwu lepiej, kiedy wrócę – rzekł. – Za wszelką dobroć okazaną mnie i mojej siostrzenicy niech was oboje Bóg błogosławi i zachowa w szczęściu aż do następnego spotkania.

Z tymi słowy pośpieszył do drzwi, wesoło pomachał ręką, w której trzymał stary, pomięty kapelusz, i wyszedł.

– Kochany, prostoduszny, życzliwy staruszek! – rzekła Rosamond, kiedy drzwi się zamknęły. – Chciałam powiedzieć mu wszystko, Lenny. Dlaczego mnie powstrzymałeś?

– Moja miła, to właśnie ta prostoduszność, którą podziwiasz i którą ja też podziwiam, każe mi być ostrożnym. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego głos, poczułem do niego równie wielką sympatię jak ty, ale im dłużej się mu przysłuchiwałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że od razu mu zaufać byłoby pochopnym działaniem, ponieważ mógłby zbyt gwałtownie wyjawić twojej matce, że znamy jej sekret. Widzę, że szanse na zdobycie jej zaufania i odbycie rozmowy z nią zależą od naszego własnego wyczucia w postępowaniu z jej wyolbrzymionymi podejrzeniami i lękami. Ten dobry staruszek, mając najlepsze i najszlachetniejsze intencje, mógłby wszystko pogrzebać. Zrobi każdą rzecz, o jakiej możemy marzyć i której możemy sobie życzyć, jeśli tylko uda mu się sprowadzić ją z powrotem do Truro.

– A jeśli mu się nie uda? Jeśli coś się wydarzy? Jeśli jest naprawdę chora?

– Poczekajmy, aż minie tydzień, Rosamond. Będzie potem dość czasu, aby zdecydować, co robić dalej.

Rozdział 2.

Oczekiwane i nadzieja

Minął tydzień oczekiwania, a do Porthgenna Tower nie dotarły żadne wieści od wuja Josepha.

Ósmego dnia pan Frankland wysłał posłańca do Truro z poleceniem, aby odnalazł sklep meblowy prowadzony przez pana Buschmanna i zapytał osobę doglądającą interesu, czy otrzymała jakieś wiadomości od swego pracodawcy. Posłaniec wrócił po południu i powiedział, że od czasu wyjazdu pan Buschmann napisał jedną krótką wiadomość do swego subiekta, donosząc, że pod wieczór dotarł bezpiecznie do Londynu, że został serdecznie przyjęty przez swego rodaka, niemieckiego piekarza, i że odkrył adres swojej siostrzenicy, ale nie spotkał się z nią z powodu przeszkody, która, jak ufał, zostanie usunięta przy następnej wizycie. Od czasu tej wiadomości pan Buschmann nie kontaktował się i dlatego nie wiadomo, kiedy można spodziewać się jego powrotu.

Uzyskana w ten sposób zdawkowa wiadomość nie mogła rozproszyć przygnębienia, w które popadła pani Frankland na skutek wątpliwości i napięcia minionego tygodnia. Mąż próbował podnieść ją na duchu, przypominając, że złowróźbne milczenie wuja Josepha może być równie dobrze spowodowane niechęcią, jak i niezdolnością jego siostrzenicy do powrotu z nim do Truro. Mając w pamięci przeszkodę, o której napomykał w liście staruszek, jak również biorąc pod uwagę nadwrażliwość i irracjonalną bojaźliwość pani Jazeph, uznał za całkiem możliwe, że wiadomość od pani Frankland zamiast ją uspokoić, tylko zaszczerpiła w niej nowe obawy i mogła w konsekwencji umocnić ją w postanowieniu, aby odciąć się od wszelkich kontaktów z Porthgenna Tower.

Rosamond słuchała cierpliwie, gdy przedstawiano jej ten punkt widzenia, i przyznała, że jego zasadność nie ulega kwestii. Jednak uznanie faktu, że jej mąż może mieć rację, a ona się mylić, nijak nie wpłynęło na polepszenie jej nastroju. Przyczyna, której staruszek przypisywał zmianę w charakterze pisma pani Jazeph, zrobiła na niej duże wrażenie, spotęgowane jeszcze wspomnieniem bladej, zmizerowanej twarzy matki, gdy spotkały się w West Winston jako nieznajome. Dlatego jakkolwiek przekonująco by dowodził, pan Frankland nie zdołał zachwiać przekonaniem żony, że przeszkodę wspomnianą w liście wuja Josepha i milczenie, jakie od tamtej pory zachowywał, należy łączyć z chorobą jego siostrzenicy.

Oprócz tego tematu do dyskusji powrót posłańca z Truro podsunął jeszcze jedną, dużo ważniejszą kwestię. Teraz, gdy odczekali jeden dzień po upływie wyznaczonego tygodnia, co powinni następnie zrobić państwo Franklandowie wobec braku wiadomości z Londynu lub Truro, które rozstrzygnęłyby o ich przyszłych poczynaniach?

Pierwszą myślą Leonarda było napisać natychmiast do wuja Josepha na

adres podany przez niego podczas wizyty we dworze. Kiedy przedstawił ten pomysł Rosamond, ta sprzeciwiła mu się, tłumacząc, że zwłoka związana z oczekiwaniem na odpowiedź będzie oznaczała poważną stratę czasu, gdy tymczasem, o ile wiedzą, każdy dzień się liczy. Jeśli to choroba nie pozwoliła pani Jazeph podróżować, należało spotkać się z nią natychmiast, ponieważ choroba ta może postąpić. Jeśli była tylko podejrzliwa wobec ich pobudek, równie ważnym było skontaktować się z nią osobiście, zanim zdoła stworzyć jakąś nową przeszkodę i schronić się ponownie w kryjówce, której nawet wuj Joseph nie zdoła wytropić.

Sensowość tych wniosków była oczywista, ale Leonard wahał się z przyjęciem ich, ponieważ oznaczały konieczność podróży do Londynu. Gdyby pojechał tam bez żony, jego ślepotą zdałaby go na łaskę nieznajomych i służących podczas prowadzenia dochodzenia niezwykle delikatnej i niezwykle poufnej natury. Gdyby Rosamond mu towarzyszyła, konieczne byłoby narażenie się na przeróżne opóźnienia i niedogodności towarzyszące zabraniu dziecka w długą i męczącą podróż na dystansie przeszło dwustu pięćdziesięciu mil.

Rosamond zareagowała na obie te trudności za swoją zwykłą bezpośredniością i zdecydowaniem. Pomysł, aby jej mąż podróżował gdziekolwiek i w jakichkolwiek okolicznościach w swoim bezradnym i zależnym położeniu, nie mając jej do pomocy, odrzuciła z góry jako zbyt niedorzeczny, aby w ogóle go rozważać. Na drugie zastrzeżenie, a mianowicie narażanie dziecka na trudy długiej podróży, zareagowała propozycją, by pojechać do Exeter o dogodnej porze i własnym środkiem transportu oraz by następnie zapewnić sobie pod dostatkiem wygody i miejsca, biorąc osobny wagon, kiedy dotrą na pociąg do Exeter. Usunąwszy w ten sposób trudności, które zdawały się stać na przeszkodzie podróży, powróciła do absolutnej konieczności podjęcia jej. Przypomniała Leonardowi, że w żywotnym interesie ich obojga leży niezwłoczne uzyskanie od pani Jazeph poświadczenia autentyczności listu znalezionej w Pokoju Mirtowym, jak również ustalenie wszystkich szczegółów niezwyklego oszustwa, jakiego pani Treverton dopuściła się wobec swego męża. Powoływała się także na swoją własną naturalną chęć zadośćuczynienia za ból, jaki musiała nieświadomie zadać w sypialni w West Winston właśnie tej osobie, której słabości i smutki winna była najbardziej szanować. Przedstawiwszy w ten sposób motywy, które przynaglały ją i jej męża, aby nie tracąc czasu, skontaktowali się osobiście z panią Jazeph, ponownie wyciągnęła nieuchronny wniosek, że w sytuacji, w jakiej się obecnie znaleźli, nie było innego wyjścia, jak tylko niezwłocznie wyruszyć w podróż do Londynu.

Po krótkim namyśle Leonard upewnił się, że charakter obecnej sytuacji uniemożliwia wszelkie próby zmierzenia się z nią za pomocą półśrodków. Czuł, że jego własne przeświadczenia są zgodne z przeświadczeniami jego żony, i w

związku z tym postanowił działać natychmiast, bez wahania i bez zwłoki. Nim minął wieczór, służących we dworze zaskoczył rozkaz spakowania bagaży i zamówienia koni w mieście pocztowym na wczesny poranek następnego dnia.

Podróżni wyruszyli, gdy tylko powóz był gotów, około południa zrobili postój i stanęli na noc w Liskeard. Drugiego dnia przybyli do Exeter i tam przenocowali. Trzeciego dnia pomiędzy szóstą a siódmą wieczorem dotarli koleją do Londynu.

Kiedy już ulokowali się wygodnie na noc w hotelu i kiedy godzina odpoczynku i spokoju pozwoliła im odzyskać nieco siły po trudach podróży, Rosamond napisała pod dyktando męża dwie wiadomości. Pierwsza z nich zaadresowana była do pana Buschmanna. Pani Frankland informowała go po prostu o ich przybyciu i wyrażała szczerą pragnienie spotkania się z nim w hotelu możliwie jak najwcześniej następnego ranka, na koniec zaś upominała go, aby do czasu spotkania wstrzymał się z zakomunikowaniem siostrzenicy faktu ich obecności w Londynie.

Druga wiadomość była skierowana do adwokata rodziny, pana Nixona. Był to ten sam dżentelmen, który przed z górą rokiem na prośbę pani Frankland napisał list do Andrew Trevertona, informując go o zgonie brata i okolicznościach jego śmierci. Tym razem Rosamond prosiła jedynie w imieniu swoim i męża, aby udając się rano do pracy, pan Nixon spróbował wstąpić do hotelu i wypowiedział się w sprawie wielkiej wagi, która zmusiła ich do przyjazdu do Londynu. Wiadomość ta, podobnie jak wiadomość do wuja Josepha, została wysłana przez posłańca tego samego wieczora.

Pierwszym gościem, który zawitał następnego ranka, był adwokat – trzeźwo myślący, elokwentny, uprzejmy starszy dżentelmen, który znał kapitana Trevertona, a przedtem jego ojca. Przyszedł do hotelu, spodziewając się, że zostanie poproszony o radę w sprawie jakichś trudności związanych z majątkiem w Porthgenna, których miejscowy agent być może nie potrafił rozwiązać, a których natura może być zbyt zawiła i złożona, aby dać się łatwo przedstawić na piśmie. Kiedy usłyszał, jak naprawdę wygląda nagła sytuacja, i kiedy list znaleziony w Pokoju Mirtowym trafił w jego ręce, nie będzie przesadą stwierdzić, że po raz pierwszy w swoim długim życiu i bogatym doświadczeniu zawodowym pan Nixon wpadł w osłupienie, które na długą chwilę odebrało mu mowę.

Skoro jednak pan Frankland przeszedł od ujawnienia prawdy do ogłoszenia swojej decyzji o zwrocie pieniędzy pochodzących z zakupu Porthgenna Tower w razie, gdyby potwierdziła się autentyczność listu, stary prawnik z miejsca odzyskał władzę nad językiem i zaprotestował przeciw zamiarowi klienta ze szczerym zapałem człowieka, który doskonale rozumie zalety bycia bogatym i który wie, co znaczy zyskać i stracić majątek w wysokości czterdziestu tysięcy funtów.

Leonard słuchał cierpliwie, gdy pan Nixon argumentował ze swojego prawniczego punktu widzenia, że nie należy uznawać listu samego w sobie za autentyczny dokument oraz przyjmować towarzyszącego mu zeznania pani Jazeph jako rozstrzygającego o rzeczywistym pochodzeniu pani Frankland. Rozwodził się, jakie to nieprawdopodobne, aby rzekome oszustwo pani Treverton wobec męża odbyło się bez wtajemniczenia innych osób prócz pokojówki. Oświadczył, że ogólna znajomość natury ludzkiej uczy, iż ta lub inna z postronnych osób musiałaby czy to ze złej woli, czy z braku ostrożności rozpowiedzieć o tajemnicy i że wynikłe z tego nagłośnienie prawdy musiałoby w ciągu dwudziestu dwóch lat dotrzeć do uszu wielu mieszkańców zachodniej Anglii oraz Londynu znających osobiście bądź ze słyszenia rodzinę Trevertonów. Od tego zastrzeżenia przeszedł do drugiego: dopuszczał ewentualną autentyczność listu jako dokumentu, ale zakładał możliwość, że został on napisany pod wpływem jakiegoś umysłowego urojenia pani Treverton, które jej pokojówka mogła chcieć w owym czasie zaspokoić, choć po śmierci pani zawahała się, czy warto narażać się na możliwe skutki próby skorzystania na mistyfikacji. Przedstawivszy powyższą teorię jako wyjaśniającą nie tylko powstanie listu, ale również jego ukrycie, pan Nixon zauważył następnie w odniesieniu do pani Jazeph, że jakiegokolwiek zeznanie, które mogłaby przedstawić, było z prawnego punktu widzenia mało przydatne lub zgoła bezużyteczne z powodu trudności czy też, można rzec, niemożliwości zadowalającej identyfikacji wspomnianego w liście dziecka z damą, do której miał teraz zaszczyt zwracać się „pani Frankland” i o której żaden niepotwierdzony dokument nie skłoni go, aby sądzić, że jest kimś innym niż córką jego dawnego przyjaciela i klienta, kapitana Trevertona.

Wysłuchawszy do końca zastrzeżeń prawnika, Leonard uznał ich pomysłowość, ale jednocześnie oświadczył, że nie zmieniły one jego odczuć co do tematu listu ani przekonań co do sposobu postępowania, który czuł się zobowiązany przyjąć. Powiedział, że poczeka na zeznanie pani Jazeph, nim podejmie zdecydowane kroki, ale jeśli zeznanie to będzie miało charakter i zostanie wyrażone w sposób, który przekona go, że jego żona nie ma moralnego prawa do posiadanego majątku, niezwłocznie odda go osobie, która to prawo ma – czyli panu Andrew Trevertonowi. Prawnik z uprzejmą rezygnacją wysłuchał krótkiego przedstawienia pytań, jakie Leonard miał zamiar zadać pani Jazeph, i kiedy przyszła jego kolej, aby się odezwać, powiedział z ledwo uchwytną nutką sarkazmu, że z moralnego punktu widzenia są to znakomite pytania i bez wątpienia przyniosą odpowiedzi, które będą bardzo interesujące i romantyczne.

– Ale – dodał – jako że ma pan już jedno dziecko, panie Frankland, i jako że być może, jeśli wolno mi zasugerować coś takiego, będzie ich pan miał z czasem więcej, i jako że dzieci te, kiedy dorosną, mogą usłyszeć o utracie majątku matki i być może będą chciały dowiedzieć się, dlaczego został on poświęcony,

zalecałbym – pozostając wyłącznie przy względach rodzinnych i nie posuwając się do tego, aby robić z tego również kwestię prawną – aby oprócz ustnego zeznania (przeciwko dopuszczalności którego w tym wypadku ponownie protestuję) wystarał się pan od pani Jazeph o pisemne oświadczenie, które zostanie po pańskiej śmierci i które będzie mogło usprawiedliwić pana w oczach dzieci, o ile w przyszłości zajdzie konieczność takiego usprawiedliwienia.

Rada była cenna w sposób zbyt oczywisty, aby ją zignorować. Na prośbę Leonarda pan Nixon od ręki sporządził formularz oświadczenia potwierdzającego autentyczność listu skierowanego na łożu śmierci przez świętej pamięci panią Treverton do męża, obecnie również nieżyjącego, oraz poświadczającego prawdziwość zawartych w nim stwierdzeń zarówno jeśli idzie o oszustwo dokonane wobec kapitana Trevertona, jak i domniemane pochodzenie dziecka. Informując pana Franklanda, że byłoby wskazane, aby podpis pani Jazeph na dokumencie został poświadczony nazwiskami dwóch kompetentnych świadków, pan Nixon wręczył oświadczenie Rosamond do odczytania mężowi i widząc, że ten nie zgłasza zastrzeżeń co do żadnego jego fragmentu i że na obecnym początkowym etapie postępowania on sam na nic się już nie przyda, wstał, aby wyjść. Leonard ustalił, że jeśli zajdzie potrzeba, skontaktuje się jeszcze z prawnikiem w ciągu dnia, po czym mężczyzna odszedł, do końca powtarzając słowa protestu i twierdząc, że jeszcze nigdy w całej swojej karierze nie spotkał się z tak niezwykłym przypadkiem i tak nieustępliwym klientem.

Od wyjścia adwokata minęła prawie godzina, nim zapowiedziano drugiego gościa. Po upływie tego czasu przy drzwiach rozległ się oczekiwany odgłos kroków i do pokoju wszedł wuj Joseph.

Zmysł obserwacji Rosamond pobudzony dodatkowo niepokojem pozwolił jej wyczuć zmianę w jego wyglądzie i zachowaniu, gdy tylko staruszek się pojawił. Twarz miał zgnębioną i zmęczoną, a jego krok utracił dawną żwawość i energię, która tak uroczo go wyróżniała, kiedy pani Frankland zobaczyła go po raz pierwszy w Porthgenna Tower. Próbował dodać do słów pozdrowienia słowa przeprosin za spóźnienie, ale Rosamond przerwała mu, nie mogąc się doczekać, aby zadać pierwsze ważne pytanie.

– Wiemy, że odkrył pan jej adres – rzekła z niepokojem – ale nie wiemy nic więcej. Czy jest w stanie, w jakim bał się pan ją zastać? Czy jest chora?

Staruszek potrząsnął głową ze smutkiem.

– Co powiedziałem, kiedy pokazałem pani jej list? Jest tak chora, że nie pomoże jej nawet wiadomość, którą była mi pani uprzejma powierzyć.

Te kilka prostych słów sprawiło, że serce Rosamond przeszył dziwny strach, który nie pozwolił jej wydobyć głosu. Wuj Joseph zrozumiał zaniepokojony wzrok, jaki w nim utkwiała, i szybki ruch ręki w kierunku krzesła stojącego najbliżej kanapy, na której siedziała z mężem. Spoczął na nim i zwierzył się im ze

wszystkiego, co miał do powiedzenia.

Poszedł za radą, której Rosamond udzieliła mu w Porthgenna, i następnego ranka po przyjeździe do Londynu zaniósł na pocztę list zaadresowany do „S. J.”. Tak jak przewidywano, zjawił się z zapytaniem posłaniec – pokojówka, która opuściła pocztę z listem w dłoni. Wuj Joseph poszedł za nią do pensjonatu na pobliskiej ulicy, widział, jak otwiera drzwi i wchodzi, a potem zapukał i zapytał o panią Jazeph. Drzwi otworzyła starsza kobieta wyglądająca na gospodynię i odparła, że w domu nie mieszka nikt o tym nazwisku. Wyjaśnił następnie, że chciałby widzieć się z osobą, do której na sąsiednią pocztę przychodziły listy zaadresowane do „S. J.”, ale staruszka nad wyraz opryskliwie odpowiedziała, że w tym domu nie mają nic wspólnego z anonimowymi osobami ani ich znajomymi, po czym zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. W tej sytuacji udał się z powrotem do swego przyjaciela, niemieckiego piekarza, po radę. Polecono mu, aby poczekał jakiś czas, wrócił i zapytał, czy wolno mu widzieć się ze służącą usługującą lokatorom, następnie opisał wygląd siostrzenicy i wsunął dziewczynie do ręki pół korony, aby łatwiej zrozumiała, o co mu chodzi. Posłuchał tych wskazówek i dowiedział się, że jego siostrzenica leży w domu złożona chorobą pod przybranym nazwiskiem „pani James”. Odrobina perswazji (po prezencie w postaci pół korony) skłoniła dziewczynę, aby poszła na górę i zapowiedziała go z nazwiska. Potem nie napotkał już więcej przeszkód i został natychmiast zaprowadzony do pokoju zajmowanego przez jego siostrzenicę.

Kiedy ją ujrzał, był niewymownie wstrząśnięty i przestraszony gwałtownym pobudzeniem nerwowym, jakie okazywała, gdy zbliżył się do jej łóżka. Nie stracił jednak ducha i nadziei, dopóki nie przekazał wiadomości od pani Frankland i nie przekonał się, że nie zdołała ona wyrzucić na Sarze podnoszącego na duchu efektu, jaki ufał i wierzył, że przyniesie. Zamiast ją uspokoić, wiadomość zdawała się na nowo pobudzić ją i zatrzwożyć. Wśród mnóstwa drobiazgowych pytań o wygląd pani Frankland, jej zachowanie w stosunku do wuja, dokładne słowa, jakie wypowiedziała – z których na wszystkie był w stanie odpowiedzieć mniej lub bardziej zadowolająco – zadała mu dwa pytania, na które zupełnie nie potrafił odpowiedzieć. Pierwsze z owych pytań brzmiało: czy pani Frankland powiedziała coś o tajemnicy? Drugie było następujące: czy przypadkiem nie wymknęło jej się słówko, które mogłoby nasuwać podejrzenie, że odnalazła Pokój Mirtowy?

Staruszek dodał, że kiedy jeszcze siedział przy łóżku siostrzenicy i bezskutecznie próbował nakłonić ją, aby przyjęła przyjazną i podnoszącą na duchu wiadomość od pani Frankland, przyszedł lekarz opiekujący się chorą. Zadawszy kilka pytań i pogawędziwszy przez chwilę na tematy obojętne, doktor wziął go na stronę, poinformował, że ból w okolicy serca i trudności w oddychaniu, na które to symptomy uskarża się pacjentka, są natury poważniejszej, niż mogłyby przypuszczać osoby nieobeznane w sprawach medycznych, i poprosił go, aby nie

przekazywał jej więcej wiadomości od nikogo, chyba że z góry miał zupełną pewność, iż natychmiast i raz na zawsze uwolnią one jej umysł od dręczących go niepokoju – niepokoju, które, może być tego pewien, dzień po dniu pogłębiają jej chorobę i sprawiają, że wszelka pomoc lekarska na niewiele lub wręcz na nic się zdaje.

Potem, posiedziawszy jeszcze przy siostrzenicy i naradziwszy się z samym sobą, postanowił napisać po kryjomu do pani Frankland tego samego wieczora, kiedy wróci do domu przyjaciela. Napisanie listu zajęło mu więcej czasu, niż ktokolwiek nawykły do pisania zdołałby uwierzyć. Wreszcie, po opóźnieniach spowodowanych składaniem wielu brudnopisów w przyzwoitą wersję i odrywaniem się od pracy, aby zająć się siostrzenicą, ukończył list opowiadający o tym, co wydarzyło się od jego przyjazdu do Londynu, językiem, który – miał nadzieję – zostanie zrozumiany. Wnosząc z porównania dat, list musiał minąć państwa Franklandów w drodze. Nie zawierał nic ponad to, co staruszek właśnie opowiedział własnymi ustami, jeśli nie liczyć faktu, że na dowód tego, iż odległość nie złagodziła obaw dręczących jego siostrzenicę, przytaczał wyjaśnienia, jakie złożyła mu w sprawie ukrycia prawdziwego nazwiska oraz zamieszkania pomiędzy nieznanymi, podczas gdy miała w Londynie przyjaciół, do których mogła się udać. Być może wyjaśnienie to jedynie niepotrzebnie wydłużało list, jako że oznaczało zasadniczo powtórzenie tego, co już powiedział o pobudce, która kazała Sarze rozstać się z nim w Truro.

Po tych słowach prosta i smutna opowieść staruszka dobiegła końca. Odczekawszy chwilę, aż mężczyzna odzyska panowanie nad sobą i uspokoi głos, Rosamond dotknęła męża, aby zwrócić na siebie jego uwagę, i wyszeptwała:

– Czy mogę teraz powiedzieć wszystko, co chciałam powiedzieć w Porthgenna?

– Wszystko – odparł. – Jeśli możesz sobie zaufać, Rosamond, najważniejszym będzie, jeśli usłyszysz to z twoich ust.

Po tym, jak minęło pierwsze zdumienie, wrażenie, jakie ujawnienie tajemnicy wywarło na wuju Josephie, przedstawiło najbardziej zdumiewające przeciwieństwo wrażenia wywartego na panu Nixonie, jakie można sobie wyobrazić. Twarzy staruszka nie zmącił żaden cień wątpliwości, z jego ust nie padło ani słowo sprzeciwu. Jedyne uczucie, które okazał, była szczerą, niczym niezmacona radość. Zerwał się na równe nogi z całą właściwą sobie energią, jego oczy na nowo rozpromieniły się dawnym blaskiem, w jednej chwili klaskał w ręce jak dziecko, w następnej złapał kapelusz i błagał Rosamond, aby pozwoliła od razu zaprowadzić się do jego siostrzenicy.

– Jeśli tylko powie pani Sarze to, co przed chwilą powiedziała mnie – zawołał, pędząc przez pokój do drzwi – przywróci jej pani odwagę, podniesie ją z łóżka, wyleczy ją, nim minie dzień!

Napomnienie pana Franklanda zatrzymało go w pół kroku i sprowadziło z powrotem, milczącego i uważnego, na krzesło, z którego przed momentem się zerwał.

– Proszę przez chwilę pomyśleć o tym, co powiedział panu lekarz – rzekł Leonard. – Nagła niespodzianka, która tak uradowała pana, może się okazać zgubną w skutkach dla pańskiej siostrzenicy. Zanim podejmiemy się porozmawiać z nią na temat, który z pewnością gwałtownie ją pobudzi, bez względu na to, jak ostrożnie go wprowadzimy, myślę, że powinniśmy najpierw dla bezpieczeństwa poradzić się doktora.

Rosamond z miejsca przyklasnęła sugestii męża i z właściwą sobie niecierpliwością zaproponowała, aby natychmiast odszukać lekarza. W odpowiedzi na jej pytania wuj Joseph oświadczył – z niejaką niechęcią, jak się zdawało – że wie, gdzie doktor mieszka, i że na ogół przed pierwszą po południu można go zastać w domu. Było dopiero wpół do pierwszej i Rosamond za zgodą męża od razu zadzwoniła na służbę, aby sprowadzić dorożkę.

Wydawszy stosowne polecenie, miała właśnie wyjść z pokoju i założyć czepek, gdy staruszek ją zatrzymał. Objawiając pewne wahanie i zmieszanie, zapytał, czy koniecznym jest, aby jechał do doktora wraz z państwem Franklandami, po czym dodał, zanim padła odpowiedź, że jeśli nie mają nic przeciwko temu, o wiele bardziej wolałby zostać w hotelu i czekać na ewentualne wskazówki po ich powrocie. Leonard bez zwłoki przystał na jego prośbę, nie dociekając powodów, ale ciekawość Rosamond została rozbudzona i dziewczyna zapytała, dlaczego wuj Joseph woli zostać sam w hotelu, niż jechać z nimi do lekarza.

– Nie lubię go – powiedział staruszek. – Kiedy mówi o Sarze, robi to takim głosem i z taką miną, jakby uważał, że ona już nigdy nie wstanie z łóżka.

Odpowiedziawszy w tych krótkich słowach, odszedł niepewnie w kierunku okna, jak gdyby nie chciał nic więcej powiedzieć.

Mieszkanie doktora znajdowało się w pewnej odległości, ale państwo Franklandowie dotarli tam przed pierwszą i zastali go w domu. Był to młody człowiek o łagodnej, poważnej twarzy, spokojny i powściągliwy w ruchach. Codzienny kontakt z cierpieniem i smutkiem być może przedwcześnie stonował jego charakter. Rosamond przedstawiła siebie i męża jedynie jako osoby żywo zainteresowane pacjentką w pensjonacie, po czym pozostawiła Leonardowi zadanie pierwszych pytań dotyczących stanu zdrowia jej matki.

Odpowiedź doktora złowroźnie poprzedziło kilka uprzejmych słów ewidentnie obliczonych na przygotowanie słuchaczy na mniej pomyślny raport niż ten, jaki mogli przyjąć usłyszeć. Starannie pomijając wszelkie fachowe szczegóły, doktor powiedział im, że jego pacjentka bez wątpienia cierpi na poważną chorobę serca. Jak przyznał otwarcie, dokładna natura tej choroby jest sprawą niepewną

i różni lekarze mogą się o niej różnie wypowiadać. On sam na podstawie objawów doszedł do wniosku, że przypadłość pacjentki ma związek z tętnicą, która przesyła krew z serca bezpośrednio do ustroju. Przekonawszy się, że pacjentka wyjątkowo niechętnie odpowiada na pytania dotyczące jej przeszłego życia, mógł jedynie zgadywać, że choroba rozwijała się od dawna, że została wywołana jakimś wielkim wstrząsem psychicznym, po którym nastąpił długotrwały niepokój (który wyraźnie odcisnął się na jej twarzy), i że poważnie się pogłębiła na skutek trudów podróży do Londynu, którą to, jak chora sama przyznała, pacjentka podjęła w momencie, kiedy wielkie wyczerpanie nerwowe czyniło ją zupełnie niezdolną do podróżowania. Patrząc na przypadek z tej perspektywy, było przykrym obowiązkiem doktora poinformować jej przyjaciół, że jakiegokolwiek silne wzruszenie bez wątplenia narazi jej życie na niebezpieczeństwo. Jednocześnie gdyby udało się usunąć niepokój psychiczny, który ją obecnie trapi, i umieścić ją w cichym, wygodnym domu na wsi pośród ludzi, którzy bez ustanku uważaliby, aby miała spokój, oraz pilnowali, aby niczego jej nie brakowało, istniała nadzieja, że postęp choroby da się zatrzymać i przedłuży to jej życie o pewną liczbę lat.

Perspektywa przyszłości, jaka pojawiła się w wyobraźni Rosamond pod wpływem sugestii kryjących się w ostatnich słowach lekarza, sprawiła, że serce w niej podskoczyło.

– Może mieć do dyspozycji każdą z wygod, które pan wymienił, i jeszcze więcej, jeśli będzie potrzeba! – wtrąciła z zapałem, zanim jej mąż zdążył otworzyć usta. – Och, sir, jeśli odpoczynek wśród życzliwych przyjaciół jest wszystkim, czego potrzeba jej biednemu, umęczonemu sercu, dzięki Bogu możemy go zapewnić!

– Możemy go zapewnić – rzekł Leonard, kończąc zdanie za żonę – jeśli doktor pozwoli nam na przekazanie pacjentce informacji, która może uwolnić ją od wszelkiego niepokoju, ale na przyjęcie której, trzeba dodać, jest obecnie zupełnie nieprzygotowana.

– Wolno mi spytać – powiedział lekarz – komu ma zostać powierzone zadanie przekazania informacji, o której mowa?

– Są dwie osoby, którym można je powierzyć – odparł Leonard. – Jedna z nich to staruszek, którego widział pan przy łóżku pacjentki. Druga to moja żona.

– W takim razie – odparł lekarz, spoglądając na Rosamond – nie ma wątpliwości, że dama ta jest najwłaściwszą osobą do podjęcia tego obowiązku.

Urwał i przez chwilę się namyślał, po czym dodał:

– Mogę jednak spytać, zanim ośmielę się pomóc w podjęciu decyzji, czy dama jest równie dobrze znana mojej pacjentce i pozostaje z nią w równie wielkiej zażyłości co staruszek?

– Obawiam się, że na oba pytania muszę odpowiedzieć: nie – odrzekł Leonard. – I może powinienem dodać, że pańska pacjentka myśli, iż moja żona

przebywa obecnie w Kornwalii. Jej pojawienie się w pokoju wywołałoby u ciepłej dużej zaskoczenie i możliwe, że również wprawiło ją w pewien niepokój.

– W tej sytuacji – powiedział lekarz – nieskończenie mniej ryzykownym wydaje się powierzenie tego zadania jej wujowi, jakkolwiek jest on prosty, z tego oczywistego powodu, że jego obecność nie wywoła zaskoczenia. Choć może przekazać wiadomość niezbyt umiejętnie, będzie miał tę wielką przewagę nad damą, że nie pojawi się przy łóżku chorej niespodziewanie. Jeśli koniecznie trzeba spróbować tego ryzykownego eksperymentu, a z tego, co państwo powiedzieli, wnoszę, że trzeba, myślę, że nie mają państwo innego wyboru, jak przy odpowiednich środkach ostrożności i po pouczeniu powierzyć jego przeprowadzenie staruszkowi.

Po dojściu do tego wniosku żadnej ze stron nie pozostawało już nic do powiedzenia. Rozmowa się zakończyła i Rosamond z mężem pośpieszyli do hotelu, aby poinstruować wuja Josepha.

Kiedy zbliżyli się do drzwi salonu, zaskoczyła ich dobiegająca ze środka muzyka. Wszedłszy, zastali staruszką przycupniętego na stołku i słuchającego małej, sfatygowanej pozytywki stojącej na stole obok niego i grającej arię, w której Rosamond od razu poznała *Batti, Batti* Mozarta.

– Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo puszczenie muzyki, aby dotrzymała mi towarzystwa pod waszą nieobecność – odezwał się wuj Joseph, zrywając się w pewnym zmieszaniu i zatrzymując pozytywkę. – Jest to, proszę państwa, najstarszy z moich przyjaciół i towarzyszy, jaki mi został. Boski Mozart, król wszystkich kompozytorów, jacy kiedykolwiek żyli, wręczył ją własnoręcznie, proszę pani, mojemu bratu, gdy Max był uczniem w szkole muzycznej w Wiedniu. Od kiedy moja siostrzenica wyjechała z Kornwalii, nie miałem serca kazać Mozartowi, aby śpiewał mi z tego pudełeczka, aż do dzisiaj. Teraz, gdy dzięki wam znów cieszę się z powodu Sary, moje uszy ponownie zatęskniły za cichutkim dzyń-dzyń, które gdziekolwiek pojedę, zawsze tak samo przyjaźnie dźwięczy w moim sercu. Ale wystarczy! – powiedział staruszek, wkładając pozytywkę do skórzanego pokrowca u boku, który Rosamond zauważyła podczas pierwszego spotkania w Porthgenna. – Włożę mego ptaszka do klatki i kiedy to uczynię, zapytam, czy mogą mi państwo przekazać, co takiego powiedział lekarz?

Rosamond spełniła prośbę, relacjonując treść rozmowy między jej mężem a lekarzem. Potem, po wielu wstępnych pouczeniach, przeszła do poinstruowania staruszką, jak ma wyjawić odkrycie tajemnicy swojej siostrzenicy. Powiedziała mu, że okoliczności z tym związane należy najpierw przedstawić nie jako wydarzenia, jakie faktycznie miały miejsce, ale wydarzenia, które mogły zajść hipotetycznie. Włożyła mu w usta słowa, które miał wypowiedzieć, wybierając możliwie nieliczne i możliwie jasne, które nadawałyby się do tego celu. Pokazała mu, jak

powinien niemal niezauważenie przejść od opowiadania o odkryciu jako o czymś hipotetycznym do opowiadania o nim jako o czymś, co faktycznie miało miejsce. Ponad wszystko zaś podkreślała, aby bezustannie przypominał swej siostrzenicy fakt, że odkrycie tajemnicy nie wzbudziło w żadnej z osób, którym tak gorąco zależało na poznaniu jej, ani cienia goryczy czy urazy w stosunku do niej.

Wuj Joseph czekał z niesłabnącą uwagą, aż Rosamond skończy, po czym wstał, utkwiał baczną wzrok w jej twarzy i odkrył w niej wyraz niepokoju i niepewności, które właściwie odczytał jako odnoszące się do jego osoby.

– Czy mogę panią upewnić, zanim odejdę, że o niczym nie zapomnę? – zapytał z powagą. – Sam nie potrafię wymyślać podobnych scenariuszy, to prawda, ale mam w sobie coś, co potrafi zapamiętać, tym bardziej, jeśli idzie o dobro Sary. Proszę teraz posłuchać, jeśli pani pozwoli, i przekonać się, czy będę umiał powtórzyć to wszystko, co mi pani powiedziała.

Stojąc przed Rosamond, podczas gdy w jego wyglądzie i zachowaniu było coś, co dziwnie i ujmująco przypominało dawno minione czasy jego dzieciństwa i chwile, gdy powtarzał swoje pierwsze lekcje na kolanach matki, wyrecytował teraz dokładnie co do słowa, bez zastanowienia, od początku do końca przekazane sobie wskazówki, co u człowieka w jego wieku było iście zdumiewające.

– Czy wszystko powiedziałem, jak trzeba? – zapytał z prostotą, kiedy skończył. – I czy mogę teraz pójść i zanieść dobre wieści Sarze?

Nadal koniecznym było go zatrzymać, podczas gdy Rosamond i jej mąż naradzali się wspólnie, jak najlepiej i najbezpieczniej przejść od wyznania, że tajemnica została odkryta, do ogłoszenia, że oni sami są w Londynie.

Po namyśle Leonard poprosił żonę, aby wyjęła dokument nakreślony rankiem przez adwokata i pod jego dyktando napisała kilka zdań na czystej stronie kartki, w których prosi panią Jazeph o przeczytanie formularza oświadczenia i złożenia pod nim podpisu, jeśli będzie czuła, że nie potwierdza nic, co nie jest dokładnie zgodne z prawdą. Kiedy to się stało i kiedy dokument został złożony tak, że strona zapisana przez panią Frankland znalazła się na wierzchu, tak aby jako pierwsza rzuciła się w oczy, Leonard polecił wręczyć go staruszkowi i wyjaśnił, co ma z nim zrobić, tymi słowami:

– Jeśli po tym, jak przekaże pan swojej siostrzenicy wiadomość o tajemnicy i zostawi pan jej dość czasu, aby doszła do siebie, będzie pytać o moją żonę i o mnie (a myślę, że będzie), proszę w odpowiedzi wręczyć jej ten dokument i poprosić, aby go przeczytała. Obojętne, czy będzie chciała go podpisać, czy nie, z pewnością zapyta, jak trafił w pana ręce. Proszę jej odpowiedzieć, że otrzymał go pan od pani Frankland, używając słowa „otrzymał”, tak aby na początku pomyślała, że został panu przysłany z Porthgenna pocztą. Jeśli zobaczy pan, że podpisuje oświadczenie i nie jest zbyt wzburzona, powie jej pan tak samo stopniowo, jak powiedział pan prawdę o odkryciu tajemnicy, że moja żona dała

panu dokument osobiście i że jest teraz w Londynie...

– Nie mogąc się doczekać spotkania z nią – dodała Rosamond. – Pan, który o niczym nie zapomina, z pewnością nie zapomni tego powiedzieć.

Drobny komplement na temat jego pamięci sprawił, że wuj Joseph pokraśniał z radości jak mały chłopiec. Obiecując, że okaże się godzien pokładanego w nim zaufania i że wróci uwolnić panią Frankland od napięcia, nim minie dzień, pożegnał się i wyruszył na swoją doniosłą misję.

Rosamond śledziła go z okna, jak przemykał w tłumie przechodniów na trotuarze, aż zniknął jej z oczu. Jak zwinnie lekka, drobna sylwetka umknęła z pola widzenia! Jak beztrąsko niczym niezmacony blask słoneczny spływał na radosną wrzawę na ulicy! Cały żywy organizm wielkiego miasta rozkoszował się letnim przepychem dnia, wszystkie jego potężne pulsę były mocno, a wszystkie niezliczone głosy szeptały o nadziei!

Rozdział 3.

Historia sprzed lat

Minęło popołudnie i nadszedł wieczór, a nadal nie było śladu wuja Josepha.

Około siódmej Rosamond została wezwana przez opiekunkę, która poinformowała ją, że dziecko nie śpi i jest marudne. Uspokoiwszy i uciszywszy syna, matka zabrała go do salonu. Wcześniej, jak zwykle mając wzgląd na wygodę zatrudnianych przez siebie służących, wysłała opiekunkę na dół, aby ta po dniu pełnym obowiązków zażyła godziny wytchnienia.

– Nie chcę być z dala od ciebie w tym niespokojnym czasie, Lenny – rzekła, wróciwszy do męża – dlatego przyniosłam tu dziecko. Raczej nie będzie już sprawiało kłopotu, a możliwość opieki nad nim będzie dla mnie prawdziwą ulgą w naszym obecnym stanie niepewności.

Zegar na kominku wybił wpół do ósmej. Na ulicy robiło się coraz gęściej od powozów pełnych ludzi w strojach wieczorowych w drodze na kolację albo do opery. Na sąsiednim placu gazeciarze wykrzykiwali nagłówki prasowe, trzymając pod pachami drugie wydania popołudniówek. Ludzie, którzy cały dzień spędzili za ladą, stawali w otwartych drzwiach sklepów, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Robotnicy maszerowali do domów, to pojedynczo, to razem, w zmęczonych, powłóczących nogami grupach. Bezczynni, którzy wyszli z domów po kolacji, zapalali cygara na rogach ulic i rozglądali się wokół, niezdecydowani, gdzie mają następnie skierować swe kroki. Wieczór wszedł właśnie w fazę przejściową, kiedy dzieńne życie uliczne z wolna zamiera, a życie nocne jeszcze na dobre się nie zaczęło. Wtedy też Rosamond, na próżno próbując ulżyć sobie w męce oczekiwania wyglądaniem przez okno, coraz bardziej pogrążała się we własnych niespokojnych myślach, gdy raptownie powróciła myślami do wypadków małego świata wokół niej na skutek otwarcia drzwi. Natychmiast podniosła wzrok znad dziecka śpiącego na jej kolanach i zobaczyła, że wuj Joseph wreszcie powrócił.

Staruszek wszedł, milcząc i niosąc w dłoni rozłożony formularz oświadczenia, który zabrał ze sobą na życzenie pana Franklanda. Kiedy podszedł bliżej okna, Rosamond zauważyła, że przez te kilka godzin nieobecności jego twarz dziwnie się postarzała. Zbliżył się do niej i, nadal nie mówiąc ani słowa, położył drżący palec wskazujący na dole otwartej strony, po czym podsunął jej kartkę pod oczy, tak że mogła spojrzeć na wskazane miejsce, nie wstając z krzesła.

Jego milczenie i zmiana zaszła w twarzy wzbudziły w niej nagły przestрах, który sprawił, że zawahała się, nim do niego przemówiła.

– Czy powiedział jej pan wszystko? – zapytała po chwili szeptem, nie zwracając uwagi na kartkę.

– To świadczy o tym, że tak – rzekł, nadal wskazując na oświadczenie. – Niech pani zobaczy! Oto nazwisko napisane w miejscu zostawionym na podpis,

napisane jej własną ręką.

Rosamond spojrzała na kartkę. Rzeczywiście widniał tam podpis: „S. Jazeph”, pod którym dodano drobnym pismem w nawiasie następujące słowa wyjaśnienia: „Dawniej Sara Leeson”.

– Dlaczego pan nie mówi? – zawołała Rosamond, patrząc na niego z rosnącym niepokojem. – Dlaczego nie powie nam pan, jak to zniosła?

– Ach, proszę, niech mnie pani nie pyta! – odparł, cofając się przed jej ręką, którą w zapale próbowała położyć na jego ramieniu. – O niczym nie zapomniałem. Powiedziałem te słowa tak, jak mnie pani nauczyła: językiem doszedłem do prawdy naokoło, ale moja twarz obrała skrót i pierwsza dotarła do końca. Błagam, przez swoją dobroć dla mnie niech pani o to nie pyta! Proszę się zadowolić myślą, że ona czuje się teraz lepiej, jest spokojniejsza i szczęśliwsza. To, co złe, się skończyło, a czeka ją tylko to, co dobre. Jeśli powiem pani, jak wyglądała, jeśli powiem, co powiedziała, jeśli powiem wszystko, co się wydarzyło w chwili, gdy poznała prawdę, strach znowu chwyci mnie za serce i cały szloch i łzy, które przełknąłem, znów podejną mi do gardła i uduszą mnie. Muszę mieć wolną głowę i suche oczy, inaczej jak zdołam powiedzieć pani wszystkie rzeczy, które, jak kocham swoją i jej duszę, obiecałem Sarze, że powiem, nim położę się dziś spać?

Urwał, wyciągnął pospolitą bawełnianą chusteczkę z jaskrawym białym wzorem na spokojnym niebieskim tle i wytarł kilka łez, które podeszły mu do oczu, kiedy mówił.

– W moim życiu było tyle szczęścia – powiedział tonem samooskarżenia, patrząc na Rosamond – że trudno mi znaleźć odwagę, kiedy przychodzi czas próby. A jednak jestem Niemcem! Cały mój naród to filozofowie! Dlaczego tylko ja mam tak delikatny umysł i tak słabe serce jak to śliczne dzieciątko, które śpi u pani na kolanach?

– Proszę już nie mówić, proszę poczekać, aż będzie pan spokojniejszy – powiedziała Rosamond. – Uwolniliśmy się od największego niepokoju, słysząc, że zostawił ją pan spokojniejszą i w lepszym zdrowiu. Nie będę zadawać już więcej pytań, chyba że – dodała po chwili przerwy – zadam tylko jedno.

Urwała, a jej wzrok powędrował pytająco w kierunku Leonarda. Dotąd przysłuchiwał się on z milczącą ciekawością wszystkiemu, co zaszło, ale teraz delikatnie się wtrącił i poradził żonie, aby odczekała chwilę, nim odważy się powiedzieć coś więcej.

– To takie łatwe pytanie – błagała Rosamond. – Chciałam tylko wiedzieć, czy otrzymała moją wiadomość – czy wie, że nie mogę się doczekać spotkania z nią, jeśli tylko pozwoli mi przyjść?

– Tak, tak – powiedział staruszek, z wyraźną ulgą kiwając potakująco głową w kierunku Rosamond. – To pytanie jest łatwe, łatwiejsze nawet, niż pani myśli, ponieważ prowadzi prosto do początku wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Dotąd chodził niespokojnie po pokoju, to siadając, to wstając, teraz jednak postawił sobie krzesło w połowie drogi pomiędzy Rosamond, która siedziała z dzieckiem koło okna, a jej mężem, który zajmował kanapę na drugim końcu pokoju. W tym położeniu, pozwalającym mu bez trudu zwracać się na zmianę do pana i pani Franklandów, wkrótce uspokoił się na tyle, aby bez reszty otworzyć swoje serce na interesujący go temat.

– Kiedy najgorsze minęło – rzekł, zwracając się do Rosamond – kiedy ona mogła słuchać, a ja mówić, pierwszymi słowami otuchy, które do niej skierowałem, były słowa pani wiadomości. Popatrzyła mi prosto w oczy powątpiewającym, pełnym obaw wzrokiem. „Czy jej mąż to słyszał?” – spytała. „Czy wyglądał na rozgniewanego? Zmartwionego? Czy zmienił się choć trochę, kiedy otrzymałeś od niej tę wiadomość?” Ja zaś powiedziałem: „Nie, nie było w nim żadnej zmiany, żadnego gniewu, żadnego żalu – nic takiego”. A ona znowu: „Czy nie sprowadziło to na nich nędzy? Czy nie nadszarpięło całej tej miłości i szczęścia, które ich łączy?”. I raz jeszcze odpowiedziałem: „Nie! Żadnej nędzy, żadnego nadszarpięcia. Przekonasz się! Pójdę natychmiast do tej dobrej żony i przyprowadzę ją tu, aby własnymi ustami odpowiedziała za dobrego męża”. Kiedy mówiłem te słowa, przez całą jej twarz przemknął taki wyraz – nie, nie wyraz – błysk, jak błysk słońca. Kiedy liczyłem do jednego, trwał, nim zdołałem policzyć do dwóch, już po nim, twarz znowu spochmurniała, odwróciła się ode mnie na poduszce i widzę, jak ręka poza łóżkiem zaczyna mieć prześcieradło. „Pójdę zatem i przyprowadzę dobrą żonę” – powtarzam. A ona mówi: „Nie, jeszcze nie teraz. Nie wolno mi się z nią spotkać, nie śmiem się z nią spotkać, dopóki się nie dowie...”. W tym miejscu urywa, a jej dłoń znowu mnie prześcieradło; łagodnie, bardzo łagodnie mówię: „Nie dowie się czego?”, a ona na to: „Tego, czego ja, jej matka, nie potrafię powiedzieć jej prosto w oczy ze wstydu”. Mówię: „No, no, moje dziecko! W takim razie nie mów tego – w ogóle tego nie mów”. Potrząsa głową i załamuje ręce, o tak, na narzucie. „Muszę to powiedzieć” – mówi. „Muszę wyrzucić z serca wszystko to, co je gryzło, gryzło i gryzło, inaczej jak poczuję błogosławieństwo, które przyniesie spotkanie z nią, jeśli nie będę miała czystego sumienia?” Potem urywa na chwilę, podnosi obie ręce i wykrzykuje na głos: „Ach, czy miłosierny Bóg nie wskaże mi sposobu, jak to powiedzieć, by oszczędzić mnie w oczach mojego dziecka?”. A ja na to: „Ciii! Ciii! Jest na to sposób. Powiedz to wujowi Josephowi, który jest dla ciebie jak ojciec! Powiedz to wujowi Josephowi, którego synek zmarł w twoich ramionach, którego łyż żalu dawno temu otarła twoja ręka. Powiedz to, moje dziecko, mnie, a ja wezmę na siebie ryzyko i wstyd (jeśli jest się czego wstydzić) powtórzenia tego. Ja, za którego nie odpowie nic jak tylko moje białe włosy, ja, któremu nie pomoże nic jak tylko serce, które nie chce czynić zła, pójdę do tej dobrej i prawej kobiety, złożę przed nią ciężar żalu jej matki i, jak wierzę w głębi duszy, nie

odwróci się!”.

Urwał i spojrział na Rosamond. Miała głowę pochyloną nad dzieckiem, a jej łyzy skapywały wolno jedna za drugą na jego białą sukienkę. Odczekawszy chwilę, aby zebrać się w sobie, zanim przemówi, wyciągnęła rękę w stronę staruszka i stanowczo oraz z wdzięcznością odpowiedziała wzrokiem na utkwione w sobie spojrzenie.

– Och, proszę mówić dalej, proszę mówić dalej! – rzekła. – Proszę pozwolić mi udowodnić, że pańska szlachetna wiara we mnie nie jest źle ulokowana.

– Wiedziałem to od razu, równie pewnie jak wiem teraz! – powiedział wuj Joseph. – I Sara, kiedy do niej przemówiłem, też to wiedziała. Przez chwilę milczała, trochę popłakała, nachyliła się nad poduszką i pocałowała mnie tutaj, w policzek, kiedy siedziałem przy jej łóżku, a potem sięgnęła pamięcią wstecz, wstecz, wstecz, do dawnych lat i cichutko, powolutku, z oczami utkwionymi w moich oczach i dłonią spoczywającą w mojej dłoni wypowiedziała do mnie słowa, które ja muszę teraz powtórzyć pani, zasiadającej tu dziś jako jej sędzia, zanim uda się pani do niej jutro jako jej dziecko.

– Nie jako jej sędzia! – rzekła Rosamond. – Nie mogę, nie wolno mi tego słuchać.

– Powtarzam jej słowa, nie swoje – odparł z powagą staruszek. – Proszę poczekać, zanim każe mi pani zmienić je na inne, poczekać, aż pozna pani zakończenie.

Przysunął krzesło nieco bliżej Rosamond, odczekał minutę czy dwie, aby uporządkować wspomnienia i oddzielić je jedno od drugiego, a potem podjął na nowo:

– Tak jak zaczęła Sara – rzekł – tak muszę zacząć i ja, co oznacza, że cofam się teraz wiele lat wstecz do czasu, gdy moja siostrzenica poszła po raz pierwszy na służbę. Wie pani, że kapitan, dzielny i dobry pan Treverton, wziął sobie za żonę artystkę sceniczną, osobę, którą zwą tutaj aktorką? Dostojną, postawną, jak również piękną kobietę z rodzaju tych, które mówią: „zrobimy to” albo „zrobimy tamto” i robią to na przekór wszelkim skrupułom, wszelkim przeszkodom i wszelkim sprzeciwom, jakie są na świecie. Do tej damy przychodzi służyć jako pokojówka moja siostrzenica Sara – podówczas młoda dziewczyna, ładna, miła, łagodna i bardzo, bardzo nieśmiała. Spomiędzy wielu innych, które starają się o posadę i które są śmielsze, postawniejsze i zwinniejsze, pani Treverton wybiera właśnie Sarę. To dziwne, ale jeszcze dziwniejsze jest to, że Sara z kolei, kiedy wyzbędzie się już początkowych obaw, wątpliwości, bolączek i nieśmiałości, z całego serca przywiązuje się do tej wielkiej i pięknej pani mającej werwę, ducha i wolę, które nieczęsto można spotkać. Dziwne to, ale to wszystko prawda, jak wiem od samej Sary.

– Prawda bez wątpienia – odezwał się Leonard. – Najsilniejsze więzi

powstają między ludźmi, którzy są do siebie niepodobni.

– Tak więc życie w starym dworze w Porthgenna zaczęło się dla nich wszystkich szczęśliwie – ciągnął staruszek. – Miłość do męża, jaką nosiła w sercu pani, tak je przepełniała, że wylewała się strumieniem dobroci na wszystkich wokół, a w pierwszej kolejności na jej pokojówkę Sarę. Tylko Sara mogła jej czytać, pracować dla niej, ubierać ją rano i wieczorem oraz rozbierać na noc. Była z Sarą tak poufała jak siostra, kiedy pozostawały same w długie deszczowe dni. W wolnym czasie jej zabawą, ulubioną krotochwilą było zadziwianie biednej wiejskiej dziewczyny, która nigdy nawet nie widziała wnętrza teatru, przebieraniem się w piękne stroje, malowaniem twarzy i mówieniem oraz robieniem tego, co odgrywała na scenie w czasach panieńskich. Im bardziej wprawiała Sarę w zakłopotanie owymi żartami i maskaradą, tym bardziej była zadowolona. Przez rok w starym dworze toczyło się to beztroskie, szczęśliwe życie, szczęśliwe dla wszystkich służących, a jeszcze szczęśliwsze dla pana i pani, gdyby nie brak jednej rzeczy, która uczyniłaby szczęście pełnym, jednego małego błogosławieństwa, na które ciągle miano nadzieję, a które wciąż się nie pojawiało – tego samego, jeśli pani pozwoli, co błogosławieństwo w długiej białej sukience, o pełnej, delikatnej buzi i małych rączkach, które widzę teraz przed sobą.

Urwał, aby podkreślić aluzję skinieniem głowy i uśmiechem w stronę dziecka na kolanach Rosamond, a potem ciągnął:

– Kiedy mija kolejny rok – powiedział – Sara zauważyła w pani zmianę. Dobry kapitan jest człowiekiem, który kocha dzieci i lubi zapraszać do domu wszystkich małych chłopców i dziewczynki przyjaciół z okolicy. Bawi się z nimi, całuje je i daje im podarki – jest najlepszym przyjacielem, jakiego mali chłopcy i dziewczynki mieli. Pani, która również powinna być ich najlepszą przyjaciółką, przygląda się i nic nie mówi – przygląda się, czasem czerwona, czasem blada, idzie do swojego pokoju, gdzie Sara jest zajęta pracą dla niej, krąży wkoło i czepia się, a jednego dnia wybucha i mówi: „Dlaczego nie mam dziecka, które mój mąż mógłby kochać? Dlaczego zawsze musi całować dzieci innych kobiet i z nimi się bawić? Zabierają jego miłość dla czegoś, co nie jest moje. Nienawidzę tych dzieci i ich matek!”. Przemawia przez nią pasja, ale wyraża ona to, co jest najbliższe prawdy. Pani nie chce przyjaźnić się z żadną z tych matek, damy, które lubi, to damy, które nie mają dzieci, albo takie, których dzieci dorosły. Czy myśli pani, że to źle z jej strony?

Zadał to pytanie Rosamond, która w zamyśleniu bawiła się jedną z rączek dziecka, spoczywającą w jej dłoni.

– Myślę, że pani Treverton należało bardzo żałować – odparła, delikatnie podnosząc rączkę dziecka do ust.

– W takim razie ja ze swej strony też tak myślę – powiedział wuj Joseph. – Żałować? Tak! Żałować tym bardziej kilka miesięcy później, gdy nadal nie ma

dziecka ani nadziei na dziecko i dobry kapitan pewnego dnia powiada: „Zasiedziałem się tutaj, starzeję się od nadmiaru beczynności, chcę wrócić na morze. Poproszę o statek”. Prosi o statek, dostaje go i wypływa w rejs, żegnany przez żonę z wielką czułością, ale jednak wypływa. A kiedy go już nie ma, pani znów wchodzi do pokoju, w którym Sara przygotowuje dla niej nową, piękną suknię, porywa ubranie, ciska na podłogę, rzuca za nim wszystkie wspaniałe kosztowności, jakie ma na toaletce, i tupie nogami, i płacze z bólu i pasji, jakie w sobie nosi. „Oddałabym te wszystkie cacka i do końca życia chodziła w łachmanach, żeby tylko mieć dziecko!” – powiada. „Tracę miłość mego męża: nigdy by ode mnie nie odjechał, gdybym dała mu potomka!” Potem spogląda w lustro i cedzi przez zęby: „Tak, tak! Jestem piękną kobietą, o pięknej figurze, a zamieniłabym się miejscami z najbrzydszą, najbardziej pokraczną nieszczęśnicą z całego stworzenia, gdybym tylko mogła mieć dziecko!”. A potem mówi Sarze, że kiedy wzięła ślub, brat kapitana powiedział o niej słowa najpodlejsze z podłych, ponieważ była artystką na scenie, i mówi: „Jeśli nie będę mieć dziecka, komu jak nie jemu – łajdakowi, którego żałuję, że nie mogę go zabić – komu jak nie jemu przypadnie wszystko, co ma kapitan?”. A potem znów płacze i mówi: „Tracę jego miłość... Ach, wiem o tym, wiem o tym... Tracę jego miłość!”. Jej przekonania o tym nie mogą odmienić żadne słowa Sary. Mijają miesiące, kapitan wraca, a w sercu pani wciąż rośnie ten sam skrywany żal – wciąż rośnie, aż jest już trzeci rok po ślubie i nadal nie ma nadziei na dziecko. Kapitan raz jeszcze nuży się lądem i znów wypływa w rejs – długi rejs tym razem, daleko, daleko, na drugi koniec świata.

W tym miejscu wuj Joseph ponownie urwał, najwyraźniej nie będąc pewnym, w jaki sposób kontynuować opowieść. Wkrótce zdało się, że jego umysł uwolnił się od wątpliwości, ale twarz mu spochmurniała, a jego głos zniżył się, kiedy ponownie zwrócił się do Rosamond.

– Muszę, jeśli pani pozwoli, porzucić teraz panią – rzekł – i wrócić do mojej siostrzenicy Sary oraz powiedzieć również słówko o górniku noszącym kornwalijskie nazwisko Polwheal. Był to młodzieniec, który pracował dobrze, dobrze zarabiał i cieszył się dobrą opinią. Mieszkał z matką w małej wiosce położonej blisko starego dworu i widując od czasu do czasu Sarę, zapałał do niej uczuciem, a ona do niego. Koniec końców zaręczyli się, akurat w tym mniej więcej czasie, gdy kapitan wrócił ze swego pierwszego rejsu i myślał o ponownym wyruszeniu w morze. Ani on, ani jego żona nie sprzeciwili się słowem zaręczynom, jako że górnik Polwheal miał dobrą pensję i cieszył się dobrą opinią. Tylko pani powiedziała, że strata Sary będzie dla niej bolesna, bardzo bolesna, a Sara odpowiedziała, że nie ma jeszcze pośpiechu się rozstawać. Tak więc mijają tygodnie, kapitan znów wypływa w długi rejs i mniej więcej w tym samym czasie pani odkrywa, że Sarę coś gryzie, że jest jakaś odmieniona i że górnik Polwheal

czai się tu i tam w pobliżu dworu. Pani powiada do siebie: „No, no! Czyżbym za bardzo stała im na drodze do małżeństwa? Przez wzgląd na Sarę tak nie może być!”. Pewnego wieczora wzywa ich oboje, przemawia do nich życzliwie i posyła młodego Polwheala, aby następnego ranka dał na zapowiedzi. Tego wieczora przychodzi na niego kolej zjechać pod ziemię w kopalni w Porthgenna i pracować na nocnej szycie. Z lekkim sercem zjeżdża w ciemność. Kiedy ponownie wynurza się na świat, jest trupem, którego wyciągają – trupem, w którym całe młode życie zostało w jednej chwili zgniecione kawałkiem spadającej skały. Wiadomość rozchodzi się tu, wiadomość rozchodzi się tam. Bez chwili wytchnienia, bez ostrzeżenia, bez wsparcia spada nagle na moją siostrzenicę Sarę. Kiedy tego wieczora żegnała się z ukochanym, była śliczną młodą dziewczyną. Kiedy zaledwie w sześć tygodni później wstała z łóżka, na które cisnął ją wstrząs, cała jej młodość zniknęła, wszystkie włosy posiwiały, a w jej oczach zagościł strach, który nigdy ich już nie opuścił.

Te proste słowa nakreśliły obraz śmierci górnika i wszystkiego, co po niej nastąpiło, ze zdumiewającą wyrazistością – z przerażającym realizmem. Rosamond zadrżała i spojrzała na męża.

– Och, Lenny! – wymamrotała. – Wiadomość o twojej ślepcie była dla mnie ciężką próbą, ale cóż znaczy w porównaniu z tym!

– Pożałuj jej! – rzekł staruszek. – Pożałuj jej za to, co wtedy wycierpiała! Pożałuj jej za to, co nastąpiło potem, a było jeszcze gorsze! Od śmierci górnika mija pięć, sześć, siedem tygodni, a Sara mniej cierpi na ciele, ale więcej na duszy. Pani, która jest dla niej życzliwa i dobra jak rodzona siostra, krok po kroku odkrywa w jej twarzy coś, co nie jest wyrazem bólu, nie jest wyrazem przestachu ani wyrazem żalu, coś, co widzą oczy, ale czego język nie zdoła ubrać w słowa. Patrzy i myśli, patrzy i myśli, aż w jej umyśle rodzi się wątpliwość, która sprawia, że przeszywa ją dreszcz, która gna ją prosto do pokoju Sary, która każe jej spojrzeniu przeniknąć Sarę aż do głębi serca. „Twoje myśli zajmuje coś poza żalobą po zmarłym” – mówi, wykręca Sarze obie ręce, zanim ta zdąży się odwrócić, i zagląda jej prosto w oczy wzrokiem, który bada i nieprzerwanie drąży. „Ten górnik Polwheal – powiada – mam złe przeczucia co do tego górnika Polwheala. Saro! Byłam ci bardziej przyjaciółką niż panią. Jako przyjaciółka pytam teraz – powiesz mi całą prawdę?” Pytanie zawisa w powietrzu, ale ani słowa odpowiedzi! Tylko Sara próbuje się wyrwać, a pani trzyma ją jeszcze mocniej i mówi dalej: „Wiem, że między tobą a górnikiem Polwhealem doszło do zaręczyn, wiem, że jeśli ktoś był kiedyś prawy, to był to on, wiem, że wyszedł stąd dać na zapowiedzi w kościele w swoim i twoim imieniu. Miej tajemnice przed całym światem, Saro, ale nie przede mną. Powiedz mi w tej minucie – powiedz mi prawdę! Ze wszystkich zgubionych istot na tym wielkim, szerokim świecie, czy jesteś...?”. Nim zdąży wypowiedzieć następne słowa, Sara pada na kolana i nagle

woła, aby pozwolono jej odejść, ukryć się i umrzeć i aby słuch o niej zagaśniał. Oto była cała jej odpowiedź. Wtedy wystarczyło to za prawdę, wystarczy za prawdę teraz.

Wuj Joseph westchnął z goryczą i na chwilę zamilkł. Żaden głos nie przerwał nabożnego skupienia, które nastąpiło po jego ostatnich słowach. Jedynym dźwiękiem mącącym ciszę zapadłą w pokoju był lekki oddech dziecka śpiącego na kolanach matki.

– Oto była cała odpowiedź – powtórzył staruszek – a pani, która ją słyszała, przez jakiś czas nie mówi nic, tylko nadal patrzy prosto w oczy Sary, a im dłużej patrzy, tym robi się bledsza, aż nagle drga i w jednej chwili krew napływa jej z powrotem do twarzy. „Nie – szepcze i spogląda na drzwi – skoro już raz zostałam twoją przyjaciółką, Saro, będę nią na zawsze. Pozostań w tym domu, zachowaj swoje myśli dla siebie, rób, co ci każe, a resztę zostaw mnie”. Po tych słowach obraca się szybko na pięcie i zaczyna chodzić po pokoju – coraz szybciej i szybciej, aż do utraty tchu. Następnie gniewnie szarpie dzwonek i głośno woła w drzwiach: „Koni! Chcę się przejechać”. Potem zwraca się do Sary: „Moja suknia do jazdy konnej! Głowa do góry, biedactwo! Na moje życie i honor, ocalę cię. Moja suknia, moja suknia zatem. Oszaleję, jeśli nie pogalopuję na świeżym powietrzu!”. I wychodzi rozgorączkowana i galopuje, galopuje, aż koń znowu zaczyna śmierdzieć, a stajenny, który jedzie z nią, zastanawia się, czy nie oszalała. Kiedy wraca, pomimo całej tej jazdy na świeżym powietrzu nie jest zmęczona. Przez cały wieczór to chodzi po pokoju, to wygrywa urywki głośnych melodii na fortepianie. W nocy nie może spać. Dwa, trzy razy przestrasza Sarę, wchodząc do niej, by sprawdzić, jak się miewa, i powtarzając w kółko te same słowa: „Zachowaj swoje myśli dla siebie, rób, co ci każe, a resztę zostaw mnie”. Rano śpi do późna, wstaje bardzo blada i cicha i mówi do Sary: „Ani słowa więcej między nami o tym, co zaszło wczoraj – ani słowa, aż przyjdzie czas, kiedy będziesz się bała wzroku każdego nieznajomego, który na ciebie spojrzy. Wtedy znowu przemówię. Do tego czasu niech między nami będzie tak, jak było, zanim zadałam wczoraj pytanie i zanim ty powiedziałaś prawdę!”.

W tym miejscu wuj Joseph ponownie przerwał swoją opowieść, wyjaśniając, że miesza mu się chronologia, którą chciał właściwie przedstawić, wprowadzając kolejny ciąg wydarzeń.

– Ach, cóż! – rzekł, potrząsając głową po tym, jak na próżno próbował przywołać wspomnienie. – Choć raz muszę przyznać, że zapomniałem. Czy było to dwa miesiące, czy trzy po tym, jak pani wyrzekła te słowa do Sary – tego nie wiem, ale pod koniec jednego lub drugiego okresu pewnego ranka każe postawić powóz i jedzie sama do Truro. Wieczorem wraca z dwoma dużymi, płytkimi koszami. Na pokrywie jednego jest kartka, a na niej litery „S. L.”. Na pokrywie drugiego jest kartka, a na niej litery „R. T.”. Kosze wędrują do pokoju pani, zostaje wezwana

Sara i pani mówi do niej: „Otwórz kosz z napisem S. L., są to bowiem twoje inicjały i rzeczy w nim są twoje”. W środku na wierzchu jest pudło, a w nim wytworny czepek z czarnej koronki, dalej piękny ciemny szal, dalej kupon najprzedniejszego czarnego jedwabiu na tyle duży, aby uszyć z niego suknię, dalej len i dodatki na bieliznę, wszystko w najlepszym gatunku. „Uszyj z tego rzeczy dla siebie” – powiada pani. „Jesteś o tyle drobniejsza ode mnie, że uszycie nowych ubrań będzie mniej kłopotliwe niż przerabianie starych sukien ze mnie na ciebie”. Na wszystko to Sara pyta w zdumieniu: „Dlaczego?”. A pani odpowiada: „Żadnych pytań. Pamiętaj, co powiedziałam – zachowaj swoje myśli dla siebie, a resztę zostaw mnie!”. I wychodzi, a następnie wzywa do siebie doktora. Ten pyta, co się dzieje, otrzymuje odpowiedź, że pani Treverton czuje się dziwnie i nieswojo oraz że myśli, iż łagodne kornwalijskie powietrze osłabia ją. Mijają dni, doktor przychodzi i wychodzi i cokolwiek by powiedział, zawsze otrzymuje tylko te dwie odpowiedzi. Przez cały ten czas Sara zajęta jest pracą, a kiedy kończy, pani mówi: „A teraz drugi kosz, z napisem R. T., są to bowiem moje inicjały i rzeczy w nim są moje”. W środku na wierzchu jest pudło, które kryje zwykły czepek z czarnej słomy, dalej len i inne rzeczy na bieliznę, a wszystko w gatunku, który można nazwać jedynie drugorzędnym. „Uszyj z tej tandety ubrania dla mnie” – powiada pani. „Żadnych pytań! Zawsze robiłaś to, co ci kazałam. Rób, co ci każe, i tym razem, albo będziesz kobietą zgubioną”. Kiedy ubrania są gotowe, mierzy je, patrzy w lustro i wybuchają dzikim, desperackim śmiechem. „Czyż nie jest ze mnie wspiana, dorodna, urodziwa służąca?” – pyta. „Ha! W przeszłości odgrywałam tę rolę wiele razy na scenie”. Potem znów zdejmuje ubrania i każe Sarze natychmiast spakować je do jednego kufra, a do drugiego rzeczy, które przygotowała dla siebie. „Lekarz każe mi opuścić ten wilgotny, łagodny kornwalijski klimat i jechać tam, gdzie powietrze jest rześkie, suche i ostre” – powiada i znowu wybuchają śmiechem, aż cały pokój drga. W tej samej chwili Sara zaczyna pakować bagaże i bierze ze stołu kilka drobiazgów, między innymi broszkę, na której widnieje podobizna kapitana. Pani zauważa to, błędnie na twarzy, wydziera jej broszkę i w wielkim pośpiechu zamyka ją w szafce, jak gdyby była przerażona jej widokiem. „Zostawię to” – mówi, obraca się na pięcie i szybko wychodzi z pokoju. Domyślcie się państwo teraz, co zamierzała zrobić pani Treverton?

Skierował to pytanie najpierw do Rosamond, a potem do Leonarda. Oboje odpowiedzieli twierdząco i poprosili, aby kontynuował.

– Domyślcie się? – rzekł. – To było wtedy ponad siły Sary. Niedola, jaka jej ciążyła, oraz dziwne zachowania i słowa pani sprawiły, że była zupełnie skołowaciała. Niemniej jednak zawsze robiła to, co nakazywała pani, i obie wyjechały same z dworu w Porthgenna. Pani nie mówi ani słowa, dopóki po całym dniu podróży nie stają wśród obcych na noc w gospodzie. Tam wreszcie się odzywa. „Jutro włóż dobrą bieliznę i dobrą suknię, Saro – powiada – ale zostaw

zwykły czepek i zwykły szal, dopóki nie wsiądziemy ponownie do powozu. Ja włożę zgrzebną bieliznę i zgrzebną suknię, a zostawię sobie dobry czepek i dobry szal. W ten sposób idąc do powozu, przejdziemy obok ludzi w gospodzie bez zbytniego ryzyka, że zaskoczymy ich zamianą strojów. Kiedy będziemy znów w drodze, możemy zamienić się czepkami i szalami w powozie i będzie po wszystkim. Ty staniesz się zamężną panią Treverton, a ja twoją pokojówką, Sarą Leeson”. W tym momencie Sara wreszcie doznaje olśnienia. Drży z przestachu i daje radę wydusić jedynie: „O, pani! Na miłość boską, co pani zamierza zrobić?”. „Zamierzam – odpowiada pani – ocalić cię, moja wierna służąco, od hańby i upadku, zapobiec temu, żeby choć jeden pens z majątku kapitana wpadł w ręce tego łajdaka, jego brata, który mnie oczernił, i co najważniejsze, zamierzam powstrzymać mego męża przed ponownym wypłynięciem w morze, sprawiając, że będzie mnie kochał tak jak jeszcze nigdy dotąd. Czy muszę mówić dalej, ty biedne, nieszczęsne, wystraszone stworzenie, czy już wystarczy?” W odpowiedzi Sara jedynie płacze gorzkimi łzami i mówi słabym głosem: „Nie”. „Czy masz wątpliwości – mówi pani, łapie ją za ramię i spogląda jej z bliska w oczy rozwścieczonym wzrokiem – czy masz wątpliwości, co jest lepsze: rzucić się w świat opuszczona, zhańbiona i zrujnowana czy też oszczędzić sobie wstydu i mieć we mnie przyjaciółkę do końca swoich dni? Ty słaby, niezdecydowany dzieciaku, jeśli nie potrafisz sama zdecydować, ja zrobię to za ciebie. Jak chcę, tak się stanie! Jutro i pojutrze pojedziemy daleko na północ, tam, gdzie ten poczciwy głupek, mój lekarz, mówi, że powietrze jest ostre – na północ, gdzie nikt mnie nie zna ani nie słyszał mojego nazwiska. Ja, pokojówka, rozpuszczę wieści, że ty, dama, jesteś słabego zdrowia. Nikt obcy cię nie zobaczy, tylko lekarz i pielęgniarka, gdy przyjdzie pora po nich posłać. Kim będą, tego nie wiem, ale wiem, że jedno i drugie przysłużą się nam, niczego nie podejrzewając, i że gdy wrócimy do Kornwalii, tajemnica, jaka będzie między nami dwiema, nie zostanie wyjawiona żadnej osobie trzeciej i pozostanie tajemnicą do końca świata!” Z całą mocą, jaką ma w sobie, w ciszy nocy i w domu pełnym obcych wypowiada te słowa do kobiety ze wszystkich kobiet najbardziej przestraszonej, najnieszczęśliwszej, najbezzradniejszej, najbardziej zawstydzonej. Cóż trzeba jeszcze dodawać? Tej nocy Sara po raz pierwszy zgięła plecy pod brzemieniem, które przez całe późniejsze życie z każdym rokiem coraz bardziej jej ciążyło.

– Ile dni jechały na północ? – zapytała z przejściem Rosamond. – Gdzie zakończyła się podróż? W Anglii czy w Szkocji?

– W Anglii – odrzekł wuj Joseph. – Ale nazwa miejscowości wymyka się mojemu obcemu językowi. Było to małe miasteczko nad brzegiem morza – wielkiego morza, które rozciąga się pomiędzy moją ojczyzną a waszą. Tam się zatrzymały i tam czekały, aż przyszła pora posłać po lekarza i pielęgniarkę. I tak jak pani Treverton powiedziała, że ma być, tak od początku do końca było. Lekarz,

pielęgniarka i wszyscy mieszkańcy domu byli nieznajomymi i jeśli żyją, po dziś dzień wierzą, że Sara była żoną kapitana, a pani Treverton pokojówką, która jej usługiwała. Dopiero kiedy wracały do domu z dzieckiem, zamieniły się znów ubraniami i każda wróciła na swoje miejsce. Pierwszym znajomym, po jakiego posyła pani w Porthgenna, aby pokazać dziecko, jest miejscowy lekarz. „Jak pan myśli, co się ze mną działo, kiedy wysłał mnie pan, aby zmienić powietrze?” – mówi i śmieje się. A doktor śmieje się także i mówi: „Tak, oczywiście! Ale byłem zbyt sprytny, by mówić to, co myślałem wtedy na początku, ponieważ w tym czasie istnieje zawsze obawa pomyłki. A pani przekonała się, że suche powietrze tak dobrze jej robi, że się zatrzymała?” – powiada. „Cóż, to była właściwa decyzja! Właściwa dla pani, jak również dla dziecka”. I lekarz znów się śmieje, a pani wraz z nim, a Sara, która stoi obok i wszystko słyszy, czuje się tak, jak gdyby serce zaraz miało jej pęknąć z przerażenia, bólu i hańby tego oszustwa. Kiedy lekarz wychodzi, ona pada na kolana i z całego serca błaga, aby pani pożałowała i odesłała ją z dzieckiem, by w Porthgenna słuch o niej zaginął. Pani, która odznacza się żelazną wolą, ma w odpowiedzi tylko trzy słowa: „Już za późno!”. Pięć tygodni później kapitan wraca i owo „za późno” staje się faktem, którego nie zmieni już żaden żal. Przebiegła ręka pani, która od początku sterowała oszustwem, steruje nim aż do końca, steruje nim tak, że kapitan z miłości do żony i do dziecka nie wraca już na morze, steruje nim aż do chwili, gdy ona sama kładzie się do łóżka, aby umrzeć, i zrzuca cały ciężar tajemnicy i całą winę płynącą z przyznania się na Sarę – Sarę, która pod tyranią owej żelaznej woli przez pięć długich lat żyła we dworze jako obca własnemu dziecku!

– Pięć lat! – wymamrotała Rosamond, unosząc delikatnie dziecko w ramionach, aż buzią dotknęło jej twarzy. – O mój Boże! Pięć długich lat jako obca krwi z jej krwi i kości z jej kości!

– I wszystkie późniejsze lata! – rzekł staruszek. – Samotne lata, lata, które spędziła wśród obcych, nie widząc dorastającego dziecka, nie mając odwagi wlać historii swojej niedoli w ucho żadnej żyjącej istoty, nawet moje! „Lepiej by było – powiedziałem do niej, kiedy nie mogła już do mnie mówić i znów odwróciła ode mnie twarz na poduszce – tysiąc razy lepiej by było, moje dziecko, gdybyś wyjawiała tajemnicę!” „Czyż mogłam ją wyjawić – rzekła – panu, który mi ufał? Czyż mogłam wyjawić ją później dziecku, którego urodzenie było dla mnie wyrzutem? Czyż mogło słuchać opowieści o hańbie swojej matki z jej własnych ust? Jak będzie mogło słuchać jej teraz, wuju Josephie, kiedy usłyszy ją od ciebie? Pamiętaj o wytwornym życiu, jakie ta dziewczyna prowadziła, i wysokiej pozycji, jaką zajmowała w świecie. Jak zdoła mi wybaczyć? Jak zdoła jeszcze kiedykolwiek spojrzeć na mnie życzliwie?”

– Nie zostawił jej pan – wykrzyknęła Rosamond, wtrącając się, zanim zdążył powiedzieć coś więcej – chyba nie zostawił jej pan z tą myślą w sercu?

Wuj Joseph spuścił głowę na piersi.

– Jakież moje słowa zdołałyby ją zmienić? – spytał ze smutkiem.

– Och, Lenny, słyszysz to? Teraz ja muszę zostawić ciebie i zostawić dziecko. Muszę do niej iść albo te ostatnie słowa o mnie złamią mi serce.

Kiedy mówiła, z oczu pociekły jej gorące łzy i zerwała się z miejsca z dzieckiem w ramionach.

– Nie dziś – powiedział wuj Joseph. – Przy pożegnaniu powiedziała mi: „Więcej dziś nie zniosę. Daj mi czas do jutra, aby zebrać tyle sił, ile zdołam”.

– Och, niech pan zatem idzie sam! – zawołała Rosamond. – Na miłość boską, niech pan idzie, nie tracąc ani chwili, i sprawi, że będzie myślała o mnie tak, jak powinna! Niech pan jej powie, jak pana słuchałam, cały czas mając na kolanach moje własne śpiące dziecko... niech pan jej powie... och, nie, nie! Słowa są na to zbyt zimne! Podejdź tu, podejdź tu blisko, wuju Josephie (zawsze już będę cię tak nazywać), podejdź blisko mnie i pocałuj moje dziecko – jej wnuka! Pocałuj go w ten policzek, ponieważ spoczywał on najbliżej mojego serca. A teraz wracaj, dobry i drogi staruszk, wracaj do jej pokoju i nie mów nic ponad to, że ten pocałunek przesyłam jej!

Rozdział 4.

Schyłek dnia

Noc pełna spędzających sen z oczu obaw nareszcie minęła i zaświtał poranek przynoszący nadzieję, ponieważ obiecywał kres niepewności Rosamond.

Pierwszym wydarzeniem dnia było przybycie pana Nixona. Poprzedniego wieczora otrzymał on wiadomość napisaną na życzenie Leonarda, w której zapraszano go na śniadanie. Zanim prawnik wyszedł, poczynił z państwem Franklandami wszystkie wstępne ustalenia konieczne do dokonania zwrotu pieniędzy pochodzących z zakupu dworu Porthgenna Tower oraz wysłał posłańca z listem do Bayswater, oznajmiając zamiar odwiedzenia po południu Andrew Trevertona w ważnej sprawie osobistej związanej z ruchomościami po zmarłym bracie.

Około południa do hotelu przybył wuj Joseph, aby zabrać Rosamond do domu, w którym leżała jej chora matka.

Wszedł w doskonałym humorze, rozprawiając o cudownej zmianie na lepsze, jaką w jego siostrzenicy wywołała czuła wiadomość przyniesiona przez niego poprzedniego wieczora. Oświadczył, że dzięki niej Sara się rozradowała, nabrała sił i odmłodziła, a wszystko w jednej chwili, że zażyła najdłuższego, najspokojniejszego i najśłodszego snu od wielu, wielu lat i wreszcie, co było największym sukcesem, że nie dalej jak godzinę temu zbawienny wpływ wiadomości został potwierdzony przez samego doktora.

Rosamond słuchała z wdzięcznością, ale jej uwaga nie była skupiona, a umysł spokojny. Kiedy zostawiła męża i znalazła się na ulicy wraz z wujem Josephem, w perspektywie zbliżającej się rozmowy pomiędzy nią a jej matką było coś, co na przekór jej wysiłkom niemal ją odstręczało. Gdyby mogły się zejść i rozpoznać, nie mając czasu na zastanawianie się, co każda ze stron powinna na początek powiedzieć lub zrobić, spotkanie nie byłoby niczym więcej jak naturalnym następstwem odkrycia tajemnicy. Tak jednak oczekiwanie, wątpienie, smutna historia sprzed lat, które wypełniły ostatni dzień niepewności – wszystkie podziały przygnębiająco na impulsywne usposobienie Rosamond. Nie nosząc w sobie w stosunku do matki ani jednej myśli, która nie byłaby czuła, współczująca i szczerą, odczuwała jednak niejasne skrępowanie, które w miarę zbliżania się do końca krótkiej podróży przerodziło się w otwarty niepokój. Kiedy stanęli wreszcie pod drzwiami domu, wstrząsnęło ją odkrycie, że z góry stara się obmyślić, co najlepiej powiedzieć i co najlepiej zrobić na wstępie, tak jakby miała odwiedzić zupełnie obcą osobę, której przychylność chciałyby sobie zaskarbić i której gotowość do serdecznego jej przyjęcia byłaby kwestią wątpliwą.

Pierwszą osobą, jaką zobaczyli, kiedy otworzyły się drzwi, był lekarz. Wszedł im na spotkanie z małego pustego pokoju na drugim końcu holu i poprosił, aby

wolno mu było przez kilka minut porozmawiać z panią Frankland. Pozostawiając Rosamond w towarzystwie doktora, wuj Joseph wesoło wszedł po schodach, aby poinformować siostrzenicę o jej przybyciu, a uczynił to z werwą, której mógłby mu pozazdrościć niejeden człowiek o połowę młodszy od niego.

– Czyżby miała się gorzej? Czy moje spotkanie z nią niesie jakieś ryzyko? – spytała Rosamond, gdy lekarz wprowadził ją do pustego pokoju.

– Wręcz przeciwnie – odparł. – Dziś rano ma się dużo lepiej, a poprawa, jak widzę, jest głównie skutkiem kojącego i rozweselającego wpływu na jej umysł wiadomości, którą otrzymała od pani wczoraj wieczorem. Właśnie to odkrycie sprawia, że chciałbym porozmawiać teraz z panią na temat jednego konkretnego objawu jej stanu zdrowia umysłowego, który zdumiał i zaniepokoił mnie, kiedy po raz pierwszy go zauważyłem, i który od tamtego czasu nie daje mi spokoju. Pacjentka cierpi – powiem krótko i jasno, aby pani nie zatrzymywać – na halucynację bardzo szczególnego rodzaju, która, na ile zdażyłem zauważyć, dopada ją na ogół u schyłku dnia, kiedy światło blednie. W takich chwilach w jej oczach pojawia się wyraz, jak gdyby zdawało się jej, że ktoś wszedł nagle do pokoju. Patrzy i mówi w zupełną próżnię, tak jak pani lub ja patrzylibyśmy czy mówili do kogoś, kto naprawdę stoi i nas słucha. Staruszek, jej wuj, mówi mi, że po raz pierwszy zauważył to niedawno, kiedy przyjechała go odwiedzić (zdaje się, że w Kornwalii). Rozmawiała z nim wtedy na tematy osobiste, gdy nagle urwała, właśnie w momencie, gdy zapadał wieczór, zaskoczyła go pytaniem dotyczącym starego, zabobonnego tematu powrotu zmarłych, a potem, spoglądając w zacieniony kąt pokoju, zaczęła mówić w jego kierunku – dokładnie tak, jak byłem świadkiem, że patrzy i mówi na piętrze. Nie potrafię powiedzieć, czy zdaje jej się, że prześladowe ją jakaś zjawy, czy też wyobraża sobie, że żywy człowiek wchodzi do jej pokoju o pewnych porach, a staruszek nie potrafi pomóc mi w dotarciu do prawdy. Czy może pani rzucić jakieś światło na tę sprawę?

– Słyszę o niej teraz po raz pierwszy – odparła Rosamond, patrząc na lekarza ze zdumieniem i niepokojem.

– Być może – odparł – będzie bardziej rozmowna w stosunku do pani niż do mnie. Gdyby dała pani radę być przy jej łóżku dziś lub jutro o zmierzchu i jeśli myśli pani, że się nie przestraszy, bardzo chciałbym, aby zobaczyła ją pani i usłyszała, kiedy będzie pod wpływem urojenia. Daremnie próbowałem odwrócić jej uwagę w takim momencie czy też skłonić ją do mówienia o tym później. Pani ma na nią najwyraźniej znaczny wpływ i może odnieść powodzenie tam, gdzie mnie się nie udało. Przy obecnym stanie jej zdrowia bardzo ważnym jest uwolnić jej umysł od wszystkiego, co gnębi go i przytłacza, a zwłaszcza od tak poważnej halucynacji, jaką przed chwilą opisałem. Jeśli zdoła pani ją zwalczyć, wyświadczy pani chorej największą przysługę oraz w istotny sposób wesprze moje wysiłki w kierunku poprawy jej zdrowia. Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, aby

przeprowadzić takie doświadczenie?

Rosamond obiecała, że odda się całkowicie temu zadaniu oraz każdemu innemu, które będzie służyło dobru pacjentki. Lekarz podziękował jej i poprowadził ją z powrotem do holu. Kiedy wyszli z pokoju, wuj Joseph schodził właśnie po schodach.

– Jest gotowa i nie może się doczekać spotkania z tobą – wyszeptał do ucha Rosamond.

– Z pewnością nie muszę pani przypominać o konieczności zapewnienia jej spokoju – powiedział doktor na odchodnym. – Zapewniam panią, nie jest przesadą stwierdzenie, że od tego zależy jej życie.

Rosamond skłoniła mu się w milczeniu i w milczeniu ruszyła za staruszką na górę.

Przy drzwiach pokoju skrytego na tyłach drugiego piętra wuj Joseph przystanął.

– Jest tam – wyszeptał z zapalem. – Zostawię cię, abyś weszła sama, najlepiej bowiem będzie, jeśli na początku zostanieie sam na sam. Ja tymczasem przejdę się ulicami w ciepłych promieniach słońca, rozmyślając o was obu, i wrócę niedługo. Wejdz, a wraz z tobą niech wejdzie Boże błogosławieństwo i łaska!

Uniósł jej dłoń do swoich warg, po czym cicho i szybko zszedł z powrotem po schodach. Rosamond znalazła się sama pod drzwiami. Kiedy wyciągnęła rękę, aby zapukać, jej ciało od stóp do głów przeszył przelotny dreszcz. Odpowiedział jej ten sam słodki głos, jaki usłyszała ostatnio w swojej sypialni w West Winston. Gdy dźwięk dotarł do jej uszu, myśl o dziecku zakradła się do jej serca i uciszyła jego łomot. Dziewczyna natychmiast otworzyła drzwi i weszła do środka.

Ani wygląd pokoju, ani widok z okna, ani znajdujące się we wnętrzu dekoracje czy też rzucające się w oczy meble – żaden z przedmiotów w środku czy w pobliżu, który innym razem zwróciłby jej bystrą uwagę, nie poruszył jej teraz. Od chwili, gdy otworzyła drzwi, nie zauważała nic poza poduszkami na łóżku, spoczywającą na nich głową i twarzą zwróconą w jej kierunku. Kiedy przekroczyła próg, ta twarz zmieniła się: powieki lekko opadły, a blade policzki okryły się nagle płomienną czerwieńią.

Czyżby jej matka wstydziła się na nią patrzeć?

Samo to podejrzenie z miejsca uwolniło Rosamond od całej niepewności, całego skrępowania, całego wahania co do doboru słów i gestów, które aż dotąd pętały jej wielkoduszne impulsy. Podbiegła do łóżka, uniosła zmizerniałą, wychudzoną postać w ramionach i delikatnie położyła sobie biedną, udręczoną głowę na ciepłej młodej piersi.

– Nareszcie przyszłam się tobą zająć, matko – powiedziała.

W jej sercu wezbrało wzruszenie, kiedy wypłynęły z niego te proste słowa, jej oczy zaszkły łzami i nie mogła powiedzieć nic więcej.

– Niech pani nie płacze! – wymamrotał nieśmiało słaby, słodki głos. – Nie mam prawa sprowadzać pani tutaj i sprawiać, że będzie jej przykro. Proszę, niech pani nie płacze!

– Och, ciii! Ciii! Nie będę robić nic innego jak płakać, jeśli będziesz tak do mnie mówić! – rzekła Rosamond. – Zapomnijmy, że kiedykolwiek nas rozdzielono, mów do mnie po imieniu, mów do mnie tak, jak ja będę mówić do mego własnego dziecka, jeśli Bóg pozwoli mi zobaczyć, jak dorasta. Powiedz „Rosamond” i – proszę, błagam – każ mi coś dla siebie zrobić!

Gwałtownie rozerwała troczki u czepka i rzuciła go na najbliższe krzesło.

– Zobacz! Na stole stoi twoja szklanka lemoniady. Powiedz: „Rosamond, przynieś mi moją lemoniadę!”. Powiedz to poufale, matko! Powiedz to tak, jakbyś wiedziała, że muszę cię słuchać!

Kobieta powtórzyła słowa za córką, ale nadal niepewnym tonem. Powtórzyła je ze smutnym, niedowierzającym uśmiechem, przeciągając imię Rosamond, tak jakby luksusem było dla niej wypowiedzenie go.

– Tak mnie uszczęśliwiłaś tą wiadomością i pocałunkiem od dziecka, który przesłałaś – rzekła, gdy Rosamond podała jej lemoniadę i znów spokojnie usiadła przy jej łóżku. – To był taki uprzejmy sposób powiedzenia, że mi przebaczyłaś! Dał mi odwagę, aby mówić do ciebie tak, jak mówię teraz. Może zmieniła mnie moja choroba, ale nie czuję się w twojej obecności przestraszona ani skrępowana, czego się obawiałam podczas naszego pierwszego spotkania po tym, jak poznałaś tajemnicę. Myślę, że wkrótce wydobreję na tyle, aby zobaczyć twoje dziecko. Czy jest takie, jaka ty byłaś w jego wieku? Jeśli tak, musi być bardzo, bardzo...

Urwała.

– Mogę o tym pomyśleć – dodała po chwili – ale lepiej nie będę o tym mówić, bo też się rozplaczę, a chciałabym już skończyć ze smutkiem.

Podczas gdy mówiła te słowa, gdy jej wzrok z tęsknym zapalem nadal utkwiony był w twarzy córki, odruch porządkowania nadal kierował jej słabymi, zmizerowanymi palcami. Zaledwie minutę wcześniej Rosamond rzuciła na łóżko swoje rękawiczki, a matka już zdążyła je podnieść i teraz, mówiąc, wygładzała je ostrożnie i starannie składała razem.

– Powiedz do mnie „matko” raz jeszcze – rzekła, gdy Rosamond wzięła od niej rękawiczki i pocałunkiem podziękowała za ich złożenie. – Aż do teraz nigdy nie słyszałam, jak mówisz do mnie „matko” – nigdy, przenigdy, od dnia, w którym się urodziłaś!

Rosamond przelknęła łzy, które ponownie podchodziły jej do oczu, i powtórzyła wezwanie.

– To całe szczęście, jakiego pragnę: leżeć tu, patrzeć na ciebie i słyszeć, jak to mówisz! Czy na świecie jest inna kobieta, która ma twarz równie piękną i dobrą jak ty, kochana?

Urwała i uśmiechnęła się blado.

– Nie mogę patrzeć na te słodkie różane usta – rzekła – nie myśląc, jak wiele pocałunków są mi winne!

– Gdybyś tylko wcześniej pozwoliła mi spłacić dług! – powiedziała Rosamond, ujmując rękę matki tak, jak zwykła była ujmować rączkę swego dziecka, i kładąc ją sobie na szyi. – Gdybyś tylko powiedziała podczas naszego pierwszego spotkania, gdy przyszedłś mnie pielęgnować! Z jakim smutkiem myślałam o tym od tamtej pory! Och, matko, czy sprawiłam ci wielki ból moją niewiedzą? Czy płakałaś przeze mnie, myśląc o tym później?

– Czy sprawiłaś mi ból? Cały mój ból, Rosamond, był moim dziełem, nie twoim. Moje dobre, troskliwe kochanie! Powiedziałaś: „Nie bądź dla niej surowy”, pamiętasz? Kiedy mnie odsyłano, zasłużenie odsyłano, kochana, za to, że cię przestraszyłam, powiedziałaś swojemu mężowi: „Nie bądź dla niej surowy!”. Zaledwie pięć słów, a jaką pociechą była później dla mnie myśl, że je wypowiedziałaś! Naprawdę miałam ochotę cię pocałować, Rosamond, kiedy szcztokowałam ci włosy. Tak wiele mnie kosztowało, żeby powstrzymać się od krzyku, kiedy usłyszałam cię za zasłoną, jak życzysz swojemu maleństwu dobrej nocy. Serce podeszło mi do gardła i cały czas mnie dławilo. Wzięłam potem twoją stronę – gdy wróciłam do swojej pani. Nie mogłam słuchać, jak mówi o tobie choćby jedno złe słowo. Mogłabym wtedy spojrzeć prosto w twarz setce pań i wszystkim się postawić. Och, nie, nie, nie! Ty nigdy nie sprawiłaś mi bólu. Mój największy żal z powodu odejścia pojawił się wiele lat zanim przyjechałam pielęgnować cię do West Winston. To było wtedy, gdy odchodząc z posady w Porthgenna, zakradłam się tego okropnego ranka do twojego pokoju i zobaczyłam cię z obiema rączkami zarzuconymi na szyję mojego pana. W jednej dłoni trzymałaś lalkę, którą zabrałaś z sobą do łóżka, a twoja głowa spoczywała na piersi kapitana, tak jak moja spoczywa teraz – och, jakże szczęśliwie, Rosamond! – na twojej. Usłyszałam ostatnie słowa, które do ciebie wypowiedział, słowa, które byłaś za mała, aby zapamiętać. „Ciii, kochana Rosie” – powiedział. „Nie płacz już za biedną mamą. Pomyśl o biednym papie i spróbuj go pocieszyć!” To, moja kochana, był największy i najcięższy do zniesienia ból! Ja, twoja matka, stojąca jak szpieg i słyszająca, jak mówi do dziecka, do którego nie odważyłam się przyznać! „Pomyśl o biednym papie!” Rosamond, moja jedyna! Teraz wiesz, o jakim ojcu pomyślałam, kiedy wypowiedział te słowa! Jak mogłam zdradzić mu tajemnicę? Jak mogłam oddać mu list, podczas gdy tego samego ranka umarła mu żona, gdy nie miał nikogo prócz ciebie, kto mógłby go pocieszyć, gdy z każdym wypowiedzianym przez niego słowem moje serce przygniatała potworna prawda z taką siłą, z jaką skała przygniotła ojca, którego nigdy nie widziałaś!

– Nie mów teraz o tym! – rzekła Rosamond. – Nie wracajmy już do przeszłości: wiem wszystko, co powinnam wiedzieć, wszystko, co chcę wiedzieć.

Porozmawiamy o przyszłości, matko, i o lepszych czasach, które są przed nami. Opowiem ci o moim mężu. Jeśli jakieś słowa mogą go pochwalić tak, jak powinien być chwalony, i podziękować mu tak, jak powinno się mu podziękować, jestem pewna, że moje powinny, że twoje to zrobią! Opowiem ci, jak zareagował, kiedy przeczytałam mu list, który znalazłam w Pokoju Mirtowym. Tak, tak, opowiem ci!

Rosamond, tknięta wspomnieniem ostatnich wskazań doktora oraz drżąca w głębi duszy, czując pod ręką ciężkie, mozolne, nieregularne bicie serca matki, widząc, że jej twarz to blednie, to czerwienieje, postanowiła nie pozwolić, by padły między nimi słowa mogące boleśnie przywoływać zgryzoty i cierpienia minionych lat. Opisawszy rozmowę pomiędzy sobą a mężem, która zakończyła się wyjawieniem tajemnicy, raptownie zmieniła temat i zaczęła mówić o przyszłości, o chwili, gdy matka będzie mogła znów podróżować, o szczęściu wspólnego powrotu do Kornwalii, o małym święcie, które urządzą po przybyciu do domu wuja Josepha w Truro, i o tym, co zrobią potem, kiedy będą mogli pojechać jeszcze dalej, do Porthgenna albo być może w jakieś inne miejsce, gdzie nowe widoki i nowe twarze pomogą im zapomnieć o wszystkich smutnych skojarzeniach, do których najlepiej już nigdy nie wracać.

Rosamond wciąż jeszcze mówiła na te tematy, jej matka wciąż słuchała jej z rosnącym zainteresowaniem, chłonąc każde słowo, gdy wrócił wuj Joseph. Przyniósł z sobą kosz kwiatów i kosz owoców, które uniósł triumfalnie, stojąc w nogach łóżka swej siostrzenicy.

– Spacerowałem, moje dziecko, w jasnych promieniach słońca – rzekł – i zwlekałem, aby dać twojej twarzy dużo czasu na radowanie się, tak bym mógł zobaczyć ją znowu taką, jaką chcę widzieć do końca moich dni. Aha, Saro! To ja przyprowadziłem ci właściwego lekarza! – dodał wesoło, patrząc na Rosamond. – Już zdążył sprawić, że ci się polepszyło. Poczekaj jeszcze trochę, a wstaniesz z łóżka z policzkami równie rumianymi, sercem równie lekkim i językiem równie skorym do szczebiotania jak moje. Spójrz na piękne kwiaty i owoce, które przyniosłem, a które są miłe dla oka, miłe dla nosa, a najmiłsze dla podniebienia! Mamy dzisiaj święto i musimy sprawić, żeby cały pokój jaśniał. A wkrótce potem będzie kolacja. Widziałem ją na półmisku: istny cherubin wśród drobiu! A potem nadejdzie twój mocny, dobry sen, Mozart zaśpiewa ci kołysankę, a ja będę czuwał przy łóżku i zejdem na dół przynieść ci filiżankę herbaty, kiedy się obudzisz. Ach, moje dziecko, jak dobrze jest wreszcie doczekać tego odświętnego dnia!

Rzuciwszy promienne spojrzenie Rosamond, z rękami pełnymi kwiatów odwrócił się od siostrzenicy i zaczął dekorować pokój. Wyjawszy chwilę, kiedy dziękowała staruszkowi za przyniesione prezenty, przez całą jego przemowę chora ani na chwilę nie oderwała wzroku od twarzy córki. Gdy zamilkł, pierwsze swe słowa skierowała do samej Rosamond.

– Podczas gdy ja cieszę się moim dzieckiem, odrywam cię od twojego.

Powinnam być ostatnią osobą, która rozdzielałaby was ze sobą na dłużej. Wracaj teraz do swojego męża i dziecka, kochana, i pozostaw mnie wdzięcznym myślom i marzeniom o lepszych czasach.

– Proszę cię, zgódź się przez wzgląd na twoją matkę – powiedział wuj Joseph, zanim Rosamond zdążyła odpowiedzieć. – Lekarz mówi, że musi odpoczywać zarówno w dzień, jak i w nocy. A jak mam sprawić, żeby zamknęła oczy, kiedy nęci ją pokusa wpatrywania się w ciebie?

Rosamond przyznała rację tym słowom i zgodziła się wrócić na kilka godzin do hotelu przy założeniu, że wieczorem z powrotem zajmie miejsce przy łóżku chorej. Poczyniwszy to ustalenie, została w pokoju na tyle długo, by zobaczyć, jak przyniesiono posiłek zapowiedziany przez wuja Josepha, i pomóc staruszkowi nakłonić chorą do spożycia go. Kiedy wyniesiono tacę, a poduszki na łóżku zostały wygodnie ułożone jej własną ręką, zdobyła się wreszcie na to, aby wyjść.

Ramiona matki długo obejmowały ją za szyję, a policzek czule wtulał się w jej policzek.

– Idź, moja droga, idź, bo stanę się zbyt samolubna, aby rozstawać się z tobą choćby na kilka godzin – wyszeptał cicho i łagodnie słodki głos. – Moja jedyna Rosamond! Nie mam wystarczająco dobrych słów, którymi mogłabym cię pobłogosławić, ani takich, które wyraziłyby moją wdzięczność dla ciebie! Szczęście długo zwlekało z dotarciem do mnie, ale – och, jak łaskawie wreszcie przyszło!

Zanim wyszła, Rosamond przystanęła i obejrzała się na pokój. Stół, gzymś kominka, małe oprawne w ramki grafiki na ścianach były jaskrawe od kwiatów. Pozytywka właśnie wygrywała pierwsze słodkie nuty arii Mozarta. Wuj Joseph usadowił się już na swoim zwykłym miejscu przy łóżku, z koszykiem pełnym owoców na kolanach. Spokój, otucha i odprężenie mieszały się szczęśliwie w obrazie pokoju i wszystkie razem skierowały umysł Rosamond ku cichym rozmyśleniom o nadziei na szczęśliwsze jutro.

Minęły trzy godziny. Ostatnie promienie słońca odprowadzały długi letni dzień na miejsce spoczynku na zachodnim nieboskłonie, gdy Rosamond powróciła na miejsce przy łóżku matki.

Cicho weszła do pokoju. Jedyne znajdujące się w nim okno wyglądało na zachód. Po tej też stronie łóżka stało krzesło, które zajmował wuj Joseph, gdy go zostawiała, i na którym nadal zastała go po powrocie. Kiedy otworzyła drzwi, podniósł palce do ust i spojrzał w kierunku łóżka. Matka spała z dłonią spoczywającą w dłoni staruszka.

Zbliżywszy się bezszelestnie, Rosamond dostrzegła, że spojrzenie wuja Josepha jest mgliste i znużone. Wymuszona pozycja, która nie pozwalała mu poruszyć się bez ryzyka obudzenia siostrzenicy, zdawała się już go męczyć. Rosamond zdjęła czepek i szal, po czym dała staruszkowi znak, aby wstał

i pozwolił jej zająć swoje miejsce.

– Tak, tak! – szepnęła, widząc, że odpowiada potrząśnięciem głowy. – Pozwól, że teraz będzie moja kolej, a ty wyjdź na chwilę nacieszyć się rześkim wieczornym powietrzem. Nie ma obawy, że się obudzi: jej dłoń nie zamyka się na twojej, a jedynie na niej spoczywa. Pozwól, że delikatnie wsunę rękę na to miejsce, a nie przeszkodzimy jej.

Kiedy to mówiła, wsunęła dłoń pod dłoń matki. Wuj Joseph uśmiechnął się, wstając z krzesła, i oddał jej swoje miejsce.

– Postawisz na swoim – powiedział. – Jesteś zbyt szybka i bystra dla takiego staruszka jak ja.

– Długo śpi? – spytała Rosamond.

– Prawie dwie godziny – odrzekł wuj Joseph. – Ale to nie był sen, jakiego bym sobie dla niej życzył, tylko niespokojny sen pełen marzeń sennych i majaczenia. Zaledwie od dziesięciu minut jest taka spokojna, jaką ją widzisz teraz.

– Pewnie wpuściłeś za dużo światła? – szepnęła Rosamond, obracając się ku oknu, przez które do pokoju wlewał się ciepły blask wieczornego nieba.

– Nie, nie! – odrzekł pośpiesznie. – Czy śpi, czy czuwa, zawsze chce więcej światła. Jeśli wyjdę na chwilę, jak mówisz, i jeśli ściemni się, zanim wrócę, zapal te dwie świece stojące na kominku. Postaram się być tu z powrotem, zanim to nastąpi, ale jeśli czas zbyt szybko mi upłynie i zdarzy się, że chora się obudzi, będzie mówić dziwne rzeczy i stale uciekać od ciebie wzrokiem w odległy kąt pokoju, pamiętaj, że zapalki i świece są razem na kominku i że im szybciej je zapalisz po zmierzchu, tym lepiej.

Po tych słowach zakradł się na palcach do drzwi i wyszedł.

Jego pożegnalne wskazówki przypomniały Rosamond, co zaszło tego ranka między nią a doktorem. Ponownie obróciła się niespokojnie w stronę okna.

Słońce właśnie zachodziło za odległe dachy domów. Schyłek dnia był bliski.

Kiedy z powrotem zwróciła głowę w kierunku łóżka, przeszył ją przelotny dreszcz. Wzdrygnęła się lekko, po części pod wpływem samego doznania, po części pod wpływem przywołanego wspomnienia o innym dreszczu, który przeszył ją w głuszy Pokoju Mirtowego.

Poruszona tajemniczym porozumieniem dotyku, dłoń jej matki w tej samej chwili poruszyła się w jej dłoni, a przez smutny spokój zmęczonej twarzy przemknął chwilowy grymas – przelotny cień snu. Błede, rozwarte wargi otwały się, zamknęły, zadrżały, znów się otwały. Mozolny oddech stawał się coraz szybszy, głowa poruszyła się niespokojnie na poduszce, powieki na wpół się otwały, z ust gwałtownie wydobywały się ciche, słabe jęki, które wkrótce przeszły w na wpół artykułowane zdania, a potem łagodnie zlały się w zrozumiałą mowę i wyraziły następujące słowa:

– Przysięgnij, że nie zniszczysz tej kartki! Przysięgnij, że nie zabierzesz z sobą tej kartki, jeśli opuścisz dom!

Kolejne słowa zostały wyszeptane tak szybko i cicho, że ucho Rosamond nie uchwyciło ich. Potem nastąpiła krótka cisza. Następnie senny głos znów odezwał się niespodziewanie, i to głośniejsze:

– Gdzie? Gdzie? Gdzie? W biblioteczce? W szufladzie stołu?... Stój! Stój! W portrecie ducha...

Ostatnie słowa przeszły serce Rosamond zimnym dreszczem. Odsunęła się nagle w geście trwogi, w następnej chwili zreflektowała się i ponownie pochyliła nad poduszką. Ale było już za późno. Jej dłoń poruszyła się gwałtownie, kiedy się odsuwała, i matka obudziła się z drżeniem i słabym krzykiem. Miała nieobecny, przerażony wzrok, zaś na jej czoło wystąpił gęsty pot.

– Matko! – krzyknęła Rosamond, unosząc ją na poduszce. – Wróciłam. Nie poznajesz mnie? Matko? – powtórzyła smutnym, pytającym tonem. – Matko?

Przy drugim powtórzeniu na twarzy Sary wykwitł jaskrawy rumieniec zachwytu i zdziwienia i kobieta gwałtownie uwiesiła się obiema rękami na szyi córki.

– Och, moja jedyna Rosamond! – rzekła. – Gdybym kiedykolwiek zwykła była budzić się i widzieć twoją drogą twarz zwróconą ku mnie, poznałabym cię prędzej, nawet mimo mojego snu! Obudziłaś mnie, kochana? Czy też sama się obudziłam?

– Obawiam się, że to ja cię obudziłam, matko.

– Nie mów „obawiam się”. Obudziłabym się z najsłodszeo snu, jakiego kiedykolwiek zażywała kobieta, aby zobaczyć twoją twarz i usłyszeć, jak mówisz do mnie „matko”. Uwolniłaś mnie, kochana, od zmory jednego z moich strasznych snów. Och, Rosamond! Myślę, że mogłabym żyć szczęśliwa w promieniach twojej miłości, gdybym tylko mogła pozbyć się myśli o Porthgenna Tower... Gdybym tylko nie wróciła już nigdy pamięcią do sypialni, w której umarła moja pani, i pokoju, w którym ukryłam list...

– Spróbujemy zapomnieć teraz o Porthgenna Tower – powiedziała Rosamond. – Może porozmawiamy o innych miejscach, w których mieszkałam, a których nigdy nie widziałaś? A może poczytam ci, matko? Czy masz tu jakąś książkę, którą lubisz?

Spojrzała ponad łóżkiem na stół po drugiej stronie. Nie było na nim nic prócz kilku buteleczek z lekarstwami, kwiatów od wuja Josepha w szklance z wodą oraz małego podłużnego przybornika na robótki. Obejrzała się na komodę za swoimi plecami – na niej także nie było książek. Zanim zwróciła się z powrotem do łóżka, jej wzrok powędrował w bok, ku oknu. Słońce schowało się za odległe dachy domów. Schyłek dnia był tuż, tuż.

– Gdybym mogła zapomnieć! Ojej, gdybym tylko mogła zapomnieć! –

powiedziała matka, wzdychając ciężko i bijąc ręką w narzutę na łóżku.

– Czy czujesz się na tyle dobrze, aby rozerwać się robótką, kochana? – spytała Rosamond, wskazując na podłużne pudełko na stole i próbując poprzez pytania o nie sprowadzić rozmowę na niewinny, przyziemny temat. – Nad czym pracujesz? Czy mogę to zobaczyć?

Twarz Sary straciła swój znużony, cierpiący wyraz i raz jeszcze rozpromieniła się uśmiechem.

– Nie ma tam robótki – rzekła. – W tym małym pudełku zamknięte są wszystkie skarby, jakie miałam na tym świecie, zanim mnie odwiedziłaś. Otwórz je i zajrzyj do środka, kochana.

Rosamond posłuchała i położyła przybornik na łóżku, gdzie jej matka mogła z łatwością go widzieć. Pierwszym przedmiotem, jaki odkryła w środku, była mała książeczka w zniszczonej ciemnej oprawie. Był to stary egzemplarz hymnów Wesleya. Między stronami znajdowało się kilka zasuszonych źdźbeł trawy, a na jednej z pustych stron widniał napis: „Książka Sary Leeson. Dar Hugh Polwheala”.

– Przyjrzyj się jej, kochana – powiedziała matka. – Chcę, żebyś potrafiła ją rozpoznać. Kiedy przyjdzie czas cię opuścić, Rosamond, swoimi własnymi drogimi rękami połóż mi ją na piersi, umieść wraz z nią mały kosmyk swoich włosów i pochowaj mnie na cmentarzu w Porthgenna, gdzie on czekał na mnie tyle długich lat. Pozostałe rzeczy w pudełku należą do ciebie, Rosamond. To drobne skradzione pamiątki, które przypominały mi o moim dziecku, kiedy byłam sama w świecie. Być może za wiele lat, gdy twoje brązowe włosy zaczną siwieć tak jak moje, opowiadając o mnie, będziesz chciała pokazać te skromne drobiazgi swoim dzieciom. Nie wahaj się powiedzieć im, jak twoja matka zawiniła i jak cierpiała, Rosamond – na koniec zawsze możesz pozwolić, aby w jej imieniu przemówiły te drobiazgi. Najmniejszy z nich pokaże, że zawsze cię kochała.

Wyjęła z pudełka kawałek starannie złożonego papieru umieszczonego pod książeczką z hymnami Wesleya, rozłożyła go i pokazała córce kilka wyblakłych kwiatów złotokapu, które były w środku.

– Zabrałam je z twojego łóżka, Rosamond, kiedy przybyłam pielęgnować cię w West Winston jako nieznajoma. Próbowałam jeszcze zabrać wstążkę z twojego kufra, kochana, wstążkę, o której wiedziałam, że oplatała twoją szyję. Ale lekarz podszedł do mnie i wystraszył mnie.

Ponownie złożyła papier, odłożyła go na stół, a następnie wyciągnęła z pudełka małą grafikę wyciętą z ilustracji do kieszonkowej książeczki. Przedstawiała ona małą dziewczynkę w słomkowym kapeluszu siedzącą nad wodą i wijącą wianek ze stokrotek. Jako projekt była bezwartościowa. Jako odbitka nie miała nawet technicznej zalety bycia właściwie powieloną. Pod spodem widniał niewyraźny napis ołówkiem: „Rosamond, kiedy ostatni raz ją widziałam”.

– Nigdy nie była dość piękna jak na ciebie – rzekła. – Ale jednak było w niej

coś, co pomagało mi przypomnieć sobie, jak wyglądało moje kochanie, kiedy było małą dziewczynką.

Odłożyła grafikę razem z kwiatami złotokapu i wyjęła z pudełka kartkę z zeszytu do kaligrafii złożoną na pół, z której wypadł skrawek papieru zapisany drobnym drukiem. Najpierw spojrzała na ten skrawek.

– Ogłoszenie o twoim ślubie, Rosamond – powiedziała. – Kiedy byłam sama, lubiłam czytać je wciąż od nowa i wyobrażać sobie, jak wyglądałaś i jaką miałaś suknię. Gdybym tylko wiedziała, kiedy odbędzie się ślub, zaryzykowałabym wejście do kościoła, kochana, aby popatrzeć na ciebie i twojego męża. Ale miało być inaczej i może dobrze, bo zobaczenie cię w ten ukradkowy sposób mogłoby tylko uczynić moje próby cięższymi do zniesienia. Nie miałam innej pamiątki, która by mi o tobie przypominała, poza tą kartką z zeszytu do kaligrafii, Rosamond. Pewnego dnia opiekunka w Porthgenna wyrwała resztę, aby rozpalić w kominku, a ja zabrałam tę kartkę, kiedy nie patrzyła. Spójrz! Nie doszłaś wtedy jeszcze do pisania słów – potrafiłaś tylko kreślić linie w górę i w dół. Ach! Ileż to razy siedziałam, patrząc na tę jedną kartkę papieru i próbując wyobrazić sobie, że widzę, jak przesuwają się po niej twoja dziecinną rączką z piórem mocno ściśniętym w różowych paluszkach. Chyba częściej płakałam nad tą twoją pierwszą kaligrafią niż nad wszystkimi innymi pamiątkami razem wziętymi, moja kochana.

Rosamond obróciła twarz do okna, aby ukryć łzy, których nie mogła już dłużej powstrzymać.

Gdy je otarła, widok ciemniejącego nieba przypomniawszy jej, że nadciąga zmierzch. Jak blado wyglądał teraz blask na zachodzie! Jak blisko był schyłek dnia!

Kiedy obróciła się z powrotem do łóżka, jej matka nadal wpatrywała się w kartkę z zeszytu do kaligrafii.

– Ta opiekunka, która wydarła całą resztę, aby rozpalić w kominku – rzekła – była mi życzliwą przyjaciółką w pierwszych latach w Porthgenna. Czasami pozwalała mi ułożyć cię do snu, Rosamond, i nigdy nie zadawała pytań ani nie dokuczała mi tak jak inni. Będąc dla mnie tak dobrą, ryzykowała utratę posady. Moja pani bała się, że zdradzę siebie i ją, jeśli będę często przebywać w pokoju dziecinnym, i zarządziła, że mam tam nie wchodzić, bo to nie moje miejsce. Żadnym innym służącym nie zabraniano bawić się z tobą i całować cię, tylko mnie, Rosamond. Ale opiekunka – niech ją Bóg za to błogosławi i zachowa! – była mi przyjaciółką. Często kładłam cię do łóżeczka, kochana, i życzyłam ci dobrej nocy, kiedy moja pani myślała, że jestem zajęta pracą w jej pokoju. Mawiałaś, że bardziej lubisz opiekunkę ode mnie, ale nigdy nie powiedziałaś mi tego ze złością i zawsze podawałaś mi swoje roześmiane usteczka, kiedy prosiłam cię o całusa!

Rosamond delikatnie położyła głowę na poduszce obok matki.

– Spróbuj myśleć mniej o przeszłości, a więcej o przyszłości, kochana –

wyszeptwała błagalnie. – Spróbuj myśleć o chwili, gdy moje dziecko pomoże ci wspominać te dawne czasy bez żalu, o chwili, gdy nauczysz je podawać ci swoje usteczka, tak jak ja podawałam swoje.

– Spróbuję, Rosamond, ale przez całe lata jedynymi moimi myślami o przyszłości były myśli o spotkaniu cię w niebie. Jeśli zostaną mi przebaczone moje grzechy, jak się tam spotkamy? Czy będziesz dla mnie moim małym dzieckiem – dzieckiem, którego nigdy nie zobaczyłam, odkąd skończyło pięć lat? Ciekawe, czy miłosierny Bóg zrekompensuje mi nasze długie rozstanie na ziemi? Ciekawe, czy w szczęśliwym świecie objawisz mi się z twarzą dziecka i będziesz tym, czym powinnaś być dla mnie na ziemi: moim aniołkiem, którego będę mogła nosić w ramionach? Jeśli w niebie będziemy się modlić, czy nauczę cię tam pacierzy jako pociechy za to, że nigdy nie nauczyłam cię ich tutaj?

Urwała, uśmiechnęła się smutno i zamknawszy oczy, oddała się w ciszy marzeniom, które nadal krążyły jej po głowie. Sądząc, że może ponownie zapaść w sen, jeśli zostawi się ją w spokoju, Rosamond nie poruszała się ani nie odzywała. Po tym, jak przez jakiś czas obserwowała spokojną scenę, zdała sobie sprawę, że padające na nią światło z wolna blednie. Kiedy sobie to uzmysłowiła, raz jeszcze obróciła się ku oknu.

Chmury na zachodzie przybrały już spokojne barwy zmierzchu: nastał schyłek dnia.

Gdy tylko poruszyła krzesłem, poczuła dłoń matki na ramieniu. Kiedy ponownie odwróciła się w kierunku łóżka, zobaczyła, że matka ma oczy otwarte i na nią patrzy – patrzy na nią, jak jej się wydało, zmienionym, nieobecny wzrokiem.

– Dlaczego mówię o niebie? – rzekła, naraz obracając twarz w stronę ciemniejącego nieba i mówiąc cichym, mamroczącym głosem. – Skąd wiem, że jestem godna tam pójść? A jednak, Rosamond, nie jestem winna złamania przysięgi danej pani. Możesz poświadczyć, że nie zniszczyłam listu ani nie zabrałam go z sobą, opuszczając dom. Próbowałam wynieść go z Pokoju Mirtowego, ale chciałam go tylko schować w innym miejscu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby wynieść go z domu: nigdy nie miałam zamiaru złamać przysięgi.

– Zaraz zrobi się ciemno, matko. Pozwól mi wstać na chwilę i zapalić świecę.

Ręka chorej delikatnie zakradła się w górę i mocno objęła szyję Rosamond.

– Nigdy nie przysięgłam, że oddam mu list – powiedziała. – Ukrycie go nie było przestępstwem. Znalazłaś go za portretem, Rosamond? Zwykli go nazywać portretem ducha z Porthgenna. Nikt nie wiedział, ile ma lat ani kiedy trafił do dworu. Moja pani nienawidziła go, bo namalowana twarz dziwnie przypominała jej własną. Kiedy przyszłam na służbę, kazała mi zdjąć go ze ściany i zniszczyć. Bałam się to zrobić, więc schowałam go w Pokoju Mirtowym, zanim się urodziłaś.

Znalazłaś list z tyłu obrazka, Rosamond? A jednak była to dobra kryjówka. Nikt nigdy nie znalazł portretu. Dlaczego ktoś miałby znaleźć list, który był za nim ukryty?

– Pozwól mi zapalić świece, matko! Jestem pewna, że chciałabyś mieć światło!

– Nie! Żadnego światła teraz. Daj ciemności czas zebrać się w tamtym kącie pokoju. Unieś mnie blisko siebie i pozwól mi szeptać.

Uczepione jej ramię zacisnęło się, gdy Rosamond uniosła matkę na łożku. Blednące światło wieczora oświetliło całą jej twarz i odbiło się mętnie w jej nieobecnych oczach.

– Czekam na coś, co przychodzi o zmierzchu, zanim zapalą świece – rzekła zdyszczanym szeptem. – Moja pani! Tam!

I wskazała na najdalszy kąt pokoju obok drzwi.

– Matko! Na miłość boską, co to jest?! Co cię tak zmieniło?

– Tak jest! Powiedz „matko”. Jeśli naprawdę przyjdzie, nie zatrzyma się, kiedy usłyszysz, jak nazywasz mnie „matką”, kiedy zobaczy nas wreszcie razem kochające i znające się na przekór jej. Och, moje dobre, czułe, współczujące dziecko! Jeśli tylko zdołasz mnie od niej wybawić, jak długo mogę jeszcze żyć! Jak szczęśliwe możemy być obie!

– Nie mów tak! Nie patrz tak! Powiedz mi cicho, droga, droga matko, powiedz mi cicho...

– Ciii! Ciii! Powiem ci. Zagroziła mi na łożu śmierci, że jeśli się jej sprzeniewierzę, przyjdzie do mnie z zaświatów. Rosamond! Sprzeniewierzyłam się jej, a ona dotrzymała obietnicy – przez całe moje późniejsze życie dotrzymywała obietnicy! Patrz! Tam!

Lewym ramieniem nadal obejmowała szyję Rosamond. Prawe ramię wyciągnęła w kierunku odległego kąta pokoju i wolno potrząsnęła dłonią w stronę pustki.

– Patrz! – rzekła. – Oto ona, taka, jaka zawsze nawiedza mnie u schyłku dnia: w zgrzebnej czarnej sukni, którą uszyły dla niej moje występne ręce, z uśmiechem, jaki miała na twarzy, kiedy spytała mnie, czy wygląda jak służąca. Pani! Pani! Och, spocznij wreszcie! Tajemnica nie jest już naszą własnością! Spocznij wreszcie! Moje dziecko znowu należy do mnie! Spocznij, spocznij i nie wchodź już więcej pomiędzy nas!

Urwała, dysząc ciężko, i przyłożyła swój gorący, pulsujący policzek do policzka córki.

– Nazwij mnie jeszcze raz „matką”! – wyszeptała. – Powiedz to głośno i odegnaj ją ode mnie na zawsze!

Rosamond opanowała przerażenie, które przenikało całe jej ciało, i wypowiedziała to słowo.

Jej matka pochyliła się lekko do przodu, nadal ciężko łapiąc powietrze, i wytężyła wzrok w kierunku cichego półmroku, który zalegał w kącie pokoju.

– Odeszła! – zawołała nagle w uniesieniu. – Och, łaskawy, łaskawy Boże! Nareszcie odeszła!

Zaraz potem zerwała się i uklękła na łóżku. Przez jedną okropną chwilę jej oczy lśniły w szarym zmierzchu promiennym, nieziemskim pięknem, gdy utkwily w twarzy córki ostatnie czułe spojrzenie.

– Och, moja kochana! Mój aniele! – wyszeptała. – Jakie szczęśliwe będziemy teraz razem!

Wypowiedziawszy te słowa, oplótła ramionami szyję Rosamond i w uniesieniu przycisnęła wargi do czoła swego dziecka.

Pocałunek trwał, dopóki jej głowa nie osunęła się łagodnie na pierś Rosamond; trwał, dopóki miłosierny Bóg nie okazał łaski i znużone serce nie zaznało wreszcie spoczynku.

Rozdział 5.

Czterdzieści tysięcy funtów

Żadne znane powiedzenie nie jest powszechniej akceptowane niż maksyma, która twierdzi, że czas leczy rany; prawdopodobnie też żadne znane powiedzenie nie wyraża prawdy w sposób bardziej niedoskonały. Praca, którą musimy wykonać, obowiązki, które musimy podjąć, przykład, który musimy dać innym – to one leczą rany, jako że one aplikują pierwsze lekarstwa na chorobę żalu. Czas nie ma nic prócz tej negatywnej zalety, że pomaga się żalowi wypalić. Kto z obserwujących nie zauważył, że ci z nas, którzy najszybciej otrząsają się z szoku wielkiego żalu po zmarłych, to ci, którzy mają najwięcej obowiązków wobec żywych? Kiedy na nasze domy pada cień tragedii, pytanie nie brzmi, jak wiele czasu potrzeba, aby z powrotem wyszło słońce, ale: ile mamy zajęć, które popchną nas do miejsca, gdzie słońce już na nas czeka? Czas może szczyścić się wieloma zwycięstwami, ale nie zwycięstwem nad żalem. Lekarstwo na rany po stracie zmarłych, którzy odeszli, znaleźć można w konieczności myślenia o żywych, którzy pozostali.

Teraz, gdy padł na nią cień wielkiego nieszczęścia, historia codziennego życia Rosamond stanowiła wystarczającą ilustrację tej prawdy. To nie powolny upływ czasu pomógł się jej podnieść, ale konieczność, która nie mogła czekać – konieczność, która kazała jej przypomnieć sobie, co jest winna mężowi, który smucił się wraz z nią, dziecku, którego młode życie było nierozzerwalnie związane z jej własnym, i wreszcie staruszkowi, którego bezradny żal jedynie w niej znajdował pociechę i jedynie z jej przykładu czerpał naukę pogodzenia się z losem.

Obowiązek podtrzymywania go na duchu od początku spoczywał wyłącznie na jej barkach. Zanim po schyłku dnia nastąpiła pierwsza godzina nocy, Rosamond została oderwana od łóżka koniecznością wyjścia mu naprzeciw i przygotowania go na wiadomość, że oto przychodzi do łoża śmierci. Stopniowe i delikatne przekazanie mu strasznej prawdy, aż stanął z nią twarzą w twarz, wsparcie go w chwili wstrząsu, w której tę prawdę uznał, pomoc w ochłonięciu po nieuchronnym ciosie, który w końcu na niego spadł – oto były święte obowiązki, które wymagały od Rosamond poświęcenia bez reszty i które przez wzgląd na niego nie pozwalały jej sercu samolubnie roztrząsać własnego żalu.

Wuj Joseph wyglądał jak ktoś, kogo zmysły zostały nieodwracalnie porażone. Potrafił siedzieć godzinami z pozytywką u boku, od czasu do czasu poklepując ją w zamyśleniu i szepcząc do siebie, kiedy na nią patrzył, ale ani razu nie próbując jej uruchomić. Była to jedyna pamiątka, która przypominała mu o wszystkich radościach i smutkach, zwykłych rodzinnych sprawach i uczuciach jego przeszłego życia. Kiedy Rosamond po raz pierwszy usiadła przy nim i wzięła go za rękę, aby go pocieszyć, zaczął wodzić nieobecny wzrokiem pomiędzy jej współczującą twarzą a pozytywką i bezmyślnie powtarzać do siebie te same słowa:

– Wszyscy odeszli: mój brat Max, moja żona, mój mały Joseph, moja siostra Agatha i moja siostrzenica Sara! Na świecie zostaliśmy tylko ja i moje małe pudełeczko. Mozart nie może już śpiewać. Teraz zaśpiewał ostatniej z nich!

Drugiego dnia nie było w nim zmiany. Trzeciego dnia Rosamond z nabożeństwem położyła książeczkę z hymnami na piersi matki, otoczyła ją puklem swoich włosów i po raz ostatni ucałowała smutną, spokojną twarz.

Staruszek był przy niej podczas tego smutnego pożegnania i poszedł za nią, gdy się skończyło. Przy trumnie i później, gdy Rosamond zabrała go z sobą do swego męża, cały czas pozostawał pogrążony w tej samej żałobnej apatii, która ogarnęła go na początku. Ale gdy zaczęli rozmawiać o przewiezieniu zwłok na cmentarz w Porthgenna następnego dnia, zauważyli, że jego matowe oczy nagle rozbliły, a on w niespotykanym dotąd skupieniu chłonie każde ich słowo. Po chwili wstał z krzesła, podszedł do Rosamond i z niepokojem spojrzał w jej twarz.

– Myślę, że lepiej bym to zniósł, gdybyście pozwolili mi jechać z nią – rzekł.
– Oboje wrócilibyśmy razem do Kornwalii, gdyby żyła. Czy pozwolisz nam wrócić razem teraz, kiedy umarła?

Rosamond delikatnie zaprotestowała i próbowała mu uzmysłowić, że najlepiej będzie powierzyć przewiezienie zwłok służącemu jej męża, na którego lojalności można było polegać i którego stanowisko czyniło z niego najodpowiedniejszą osobę do powierzenia jej obowiązków, których bliscy krewni nie mogli podjąć z wystarczającym opanowaniem. Powiedziała mu, że jej mąż ma zamiar pozostać w Londynie, aby dać jej jeden dzień spokoju i odpoczynku, których koniecznie potrzebuje, a następnie planują wrócić do Kornwalii, aby zdążyć do Porthgenna na pogrzeb, i gorąco poprosiła go, aby nie rozłączał swego losu z ich losem w chwili zmartwienia i próby, kiedy wszyscy troje winni być jak najściślej zjednoczeni więzami wzajemnego współczucia i żalu.

Milcząco i posłusznie słuchał słów Rosamond, ale gdy skończyła, tylko powtórzył swoją prostą petycję. Jedyłą jego myślą w tej chwili było, aby powrócić do Kornwalii z tym wszystkim, co zostało na tym świecie z dziecka jego siostry. Zarówno Leonard, jak i Rosamond zrozumieli, że nie ma sensu mu się sprzeciwiać, oboje czuli, że okrucieństwem byłoby zatrzymywać go przy sobie, a przysługą pozwolić mu jechać. Po tym, jak poufnie zobowiązali służącego do oszczędzenia wujowi Josephowi wszelkiej fatygi i trudności, do spełniania wszystkich życzeń, jakie może wyrazić, oraz do udzielenia mu wszelkiej możliwej ochrony i pomocy bez narzucania się zbyt natrętnie jego uwadze, pozwolili staruszkowi pójść za jedynym dążeniem jego serca, które jeszcze zapewniało mu łączność ze sprawami i wypadkami bieżącej chwili.

– Wkrótce dziękuję wam lepiej – rzekł przy pożegnaniu – za to, że pozwoliliście mi wyjechać z londyńskiego gwaru z tym, co zostało mi z mojej siostrzenicy Sary. Obetrę łzy, jak będę umiał najlepiej, i spróbuję być mężniejszy,

kiedy spotkamy się następnym razem.

Następnego dnia, gdy zostali sami, Rosamond i jej mąż szukali uciezki przed opresją terażniejszości w rozmowie o przyszłości oraz wpływie, jaki zmiana w ich losach zapewne wywrze na ich przyszłe plany i projekty. Kiedy temat ten został wyczerpany, rozmowa zesłała na przyjaciół i konieczność powiadomienia niektórych z nich o wypadkach, które nastąpiły po dokonaniu odkrycia w Pokoju Mirtowym.

Pierwszym nazwiskiem, które pojawiło się na ich wargach, kiedy rozważali tę kwestię, było nazwisko doktora Chennery'ego. Rosamond, obawiając się, jaki wpływ na jej nastrój będzie miało pozostawianie umysłu beczynnym, podjęła się napisać do proboszcza od razu, relacjonując pokrótce to, co wydarzyło się od ostatniego listu, i prosząc go, aby tego roku wypełnił dawne zobowiązanie złożone jej mężowi i jej samej i spędził swój jesienny urlop wraz z nimi w Porthgenna Tower. Serce Rosamond tęskniło za widokiem starego przyjaciela, znała go też na tyle dobrze, aby mieć pewność, że wzmianka o nieszczęściu, jakie ją spotkało, i trudnej próbie, jaką przeszła, wystarczą aż nadto, aby spotkali się, gdy tylko doktor Chennery zdoła zostawić dom.

Napisanie tego listu przywróciło wspomnienia przywodzące na myśl innego przyjaciela, którego znajomość z Leonardem i Rosamond była świeżej daty, ale którego związek z wcześniejszymi z ciągu wydarzeń prowadzących do odkrycia tajemnicy upoważniał go do pewnego wtajemniczenia. Przyjacielem tym był pan Orridge, lekarz z West Winston, który przypadkowo stał się narzędziem sprowadzenia matki Rosamond do jej pokoju. Do niego to teraz napisała, potwierdzając obietnicę, jaką złożyła, opuszczając West Winston, że oznajmi efekt poszukiwań Pokoju Mirtowego, oraz informując doktora, że skończyły się one odkryciem bardzo smutnych wydarzeń o charakterze rodzinnym, które obecnie należą już do przeszłości. Więcej wyjawiać znajomemu, który pozostawał do nich w takim stosunku jak pan Orridge, nie było konieczności.

Rosamond właśnie zaadresowała drugi z listów i w roztargnieniu rysowała piórem linie na bibule, kiedy poderwał ją odgłos gniewnej wymiany zdań dochodzący z korytarza. Niemal zanim zdążyła zastanowić się, co znaczy ten hałas, drzwi rozwarły się gwałtownie i do środka wkroczył wysoki, niechlujnie ubrany starszy człowiek o rozzłoszczonej, wynędzniałej twarzy i potarganej siwej brodzie, a w ślad za nim oburzony maître d'hôtel.

– Trzy razy mówiłem tej osobie – zaczął maître d'hôtel z silnym akcentem na słowo „osobie” – że państwa Franklandów...

– Nie ma w domu – wtrącił niechlujnie ubrany mężczyzna, kończąc zdanie za maître d'hôtel. – Tak, powiedziałaś mi o tym. A ja ci powiedziałem, że ludzkość używa daru mowy jedynie po to, aby kłamać, i że w związku z tym ci nie wierzę. Skłamałaś. Oto oboje państwo Franklandowie są w domu. Przychodzę w interesach

i mam zamiar pięć minut z nimi porozmawiać. Siadam nieproszony i anonsuję sam siebie: Andrew Treverton.

Po tych słowach jak gdyby nigdy nic usiadł na najbliższym krześle. Leonard poczerwieniał ze złości, kiedy tamten mówił, ale Rosamond wtrąciła się, zanim jej mąż zdążył powiedzieć choć słowo.

– Nie ma sensu się na niego gniewać, kochany – wyszeptała.
– Z takim człowiekiem najlepiej postępować łagodnie.

Dała znak maître d'hôtel, pozwalając mu wyjść z pokoju, po czym zwróciła się do pana Trevertona.

– Narzuca nam pan swoją obecność, sir – rzekła cicho – w chwili, gdy bardzo smutne nieszczęście czyni nas niezdolnymi do jakichkolwiek sporów. Jesteśmy skłonni okazać więcej zrozumienia dla pana wieku, niż pan okazał dla naszej żałoby. Jeśli ma pan coś do powiedzenia mojemu mężowi, jest on gotów opanować się i wysłuchać pana spokojnie ze względu na mnie.

– Ja zaś ze względu na siebie będę mówił do niego i do pani krótko – odparł pan Treverton. – Żadna kobieta nie miała jeszcze okazji ostrzyć sobie na mnie języka i nigdy mieć nie będzie. Przyszedłem tu powiedzieć trzy rzeczy. Po pierwsze, wasz adwokat powiedział mi o odkryciu Pokoju Mirtowego i o tym, jak do niego doszło. Po drugie, dostałem wasze pieniądze. Po trzecie, zamierzam je zatrzymać. Co wy na to?

– Myślę, że nie ma potrzeby, aby kłopotał się pan dalszym pozostawianiem w tym pokoju, jeśli jedynym celem pańskich odwiedzin było powiedzenie nam tego, co już wiemy – odparł Leonard. – Wiemy, że dostał pan pieniądze, i nigdy nie wątpiliśmy, że zamierza je pan zatrzymać.

– Jesteście tego całkiem pewni, jak sadzę? – rzekł pan Treverton. – Całkiem pewni, że w głębi duszy nie liczycie na to, iż jakieś przyszłe zawirowania prawne znów nie wyjmą mi pieniędzy z kieszeni i nie włożą ich do waszej? Mogę śmiało powiedzieć, że nie ma najmniejszych szans na to, aby coś podobnego kiedykolwiek miało się zdarzyć, lub też na to, abym kiedykolwiek stał się szczodry i z własnej woli nagroził was za poświęcenie, którego dokonaliście. Byłem w Doctors' Commons*, uzyskałem przeniesienie tytułu własności, pobrałem pieniądze legalnie, zdeponowałem je bezpiecznie w moim banku i odkąd się urodziłem, nigdy nie miałem w sercu jednego ciepłego uczucia. Tak scharakteryzował mnie mój brat, a on, ma się rozumieć, znał moje usposobienie lepiej niż ktokolwiek inny. Jeszcze raz powtarzam wam obojgu: ani szeląg z całego tego ogromnego majątku nigdy nie wróci w ręce żadnego z was.

– Ja zaś jeszcze raz powtarzam – powiedział Leonard – że nie mamy ochoty wysłuchiwać tego, co już wiemy. Ulgą dla mojego sumienia i dla sumienia mojej żony jest rezygnacja z majątku, którego posiadać nie mieliśmy prawa, i wypowiadam się w imieniu jej, jak również własnym, kiedy mówię, że pańska

próba przypisania wyrachowanych motywów naszemu zrzeczeniu się tych pieniędzy stanowi dla nas zniewagę, której powinien się pan wstydzić.

– Takie jest pańskie zdanie, co? – zapytał pan Treverton. – Pan, który stracił pieniądze, mówi do mnie, który je mam, w ten sposób, co? Proszę, czy pochwała pani fakt, że jej mąż tak traktuje bogatego człowieka, który mógłby wykupić was oboje? – zapytał ostro, zwracając się do Rosamond.

– Z całą pewnością pochwalam – odparła. – Nigdy w życiu nie zgadzałam się z nim bardziej niż teraz.

– Och! – powiedział pan Treverton. – W takim razie wygląda na to, że nie dba pani o utratę pieniędzy bardziej niż on?

– Mąż już panu powiedział – rzekła Rosamond – że oddanie ich stanowi dla mojego sumienia równie wielką ulgę jak dla niego.

Pan Treverton ostrożnie umieścił sobie między kolanami grubą laskę, którą z sobą nosił, skrzyżował ręce na jej czubku, oparł na nich brodę i w tej śledczej pozycji spoglądał niewzruszenie w twarz Rosamond.

– Żałuję, że nie przyprowadziłem tu z sobą Shrowla – powiedział do siebie. – Chciałbym, żeby to zobaczył. Ich zachowanie wprawia mnie w osłupienie i myślę, że wprawiłoby także jego. Obie te osoby – ciągnął pan Treverton, spoglądając pełen zdumienia to na Rosamond, to na Leonarda – są, jak wszystko na to wskazuje, istotami ludzkimi. Chodzą na tylnych łapach, bez trudu wyrażają myśli, wydając artykułowane dźwięki, wykazują zwykły przydział rysów twarzy, a pod względem wagi, wzrostu i rozmiaru zdają mi się przeciętnymi istotami ludzkimi z rodzaju cywilizowanych. A jednak siedzą oto, przyjmując stratę majątku wartego czterdzieści tysięcy funtów równie beztrudnie jak Krezus, król Lidii, mógłby przyjąć stratę półpensówki!

Wstał, włożył kapelusz, wsunął sobie swoją grubą laskę pod ramię i podszedł kilka kroków do Rosamond.

– Wychodzę – oznajmił. – Chciałaby pani uścisnąć mi rękę?

Rosamond pogardliwie odwróciła się do niego plecami.

Pan Treverton zachichotał z wyrazem najwyższej satysfakcji.

Tymczasem Leonard, który siedział blisko kominka i który ponownie czerwieniał ze złości, szukał ręką sznura od dzwonka i odnalazł go właśnie w chwili, gdy pan Treverton podszedł do drzwi.

– Nie dzwoń, Lenny – rzekła Rosamond. – Wychodzi z własnej woli.

Pan Treverton wyszedł na korytarz, a następnie obejrzał się na pokój z wyrazem zaintrygowania na twarzy, tak jakby zaglądał do klatki zawierającej dwoje przedstawicieli gatunku, o którym nigdy dotąd nie słyszał.

– Widziałem w życiu różne dziwne widoki – rzekł do siebie. – Miałem osobliwe doświadczenia z tą małą, tandetną planetą i zamieszkującymi ją istotami, ale jeszcze żaden ludzki fenomen nie zadziwił mnie tak, jak zadziwiły mnie teraz te

dwa.

Zamknął drzwi, nie mówiąc już ani słowa, i Rosamond usłyszała, jak znów chichocze pod nosem, oddalając się korytarzem.

Dziesięć minut później maître d'hôtel przyniósł zapieczętowany list zaadresowany do pani Frankland. Został on napisany, jak powiedział, w hotelowej kawiarni przez „osobę”, która narzuciła się państwu Franklandom. Oddawszy list, osoba ta odeszła w pośpiechu, z zadowoleniem wymachując laską i śmiejąc się sama do siebie.

Rosamond otworzyła list.

Po jednej jego stronie znajdował się czek zakreślony na czterdzieści tysięcy funtów, wystawiony na jej nazwisko.

Po drugiej widniały następujące słowa wyjaśnienia:

Proszę wziąć swoje pieniądze z powrotem. Po pierwsze dlatego, że Pani i Jej mąż jesteście jedynymi osobami, jakie spotkałem, które zapewne nie znikczemnieją przez bogactwo. Po drugie dlatego, że powiedziała Pani prawdę, podczas gdy ujawnienie jej oznaczało utratę pieniędzy, ukrycie zaś – ocalenie majątku. Po trzecie dlatego, że nie jest Pani dzieckiem tej aktorki. Po czwarte dlatego, że i tak nie ma Pani wyjścia, zostawię je Pani bowiem po swojej śmierci, jeśli nie przyjmie ich Pani teraz. Do widzenia. Niech Pani nie przychodzi mnie odwiedzić, nie pisze do mnie listów z podziękowaniami, nie zaprasza mnie na wieś, nie chwali mojej hojności i nade wszystko nie ma już nic do czynienia ze Shrowlem.

Andrew Treverton

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Rosamond, kiedy ona i jej mąż ochłonęli nieco ze zdziwienia, było sprzeciwienie się napomnieniu zabraniającemu jej pisać listy z podziękowaniami do pana Trevertona. Posłaniec, który zaniósł wiadomość do Bayswater, wrócił bez odpowiedzi i poinformował, że otrzymał polecenie od niewidzialnego mężczyzny o szorstkim głosie, aby rzucić list przez mur i zaraz potem odejść, chyba że chce mieć złamany kark.

Pan Nixon, którego Leonard natychmiast powiadomił o tym, co zaszło, podjął się wybrać do Bayswater wieczorem tego samego dnia i spróbować spotkać się z panem Trevertonem w imieniu państwa Franklandów. Zastał Tymona Londyńczyka przystępniejszym, niż się spodziewał. Przynajmniej ten jeden raz w życiu mizantrop był w dobrym humorze. Ta niezwykła zmiana była efektem satysfakcji płynącej z tego, że właśnie wydalili Shrowla ze służby, twierdząc, iż jego pan nie jest już dla niego odpowiednim towarzystwem po tym, jak popełnił takie głupstwo jak oddanie pani Frankland jej czterdziestu tysięcy funtów.

– Powiedziałem mu – rzekł pan Treverton, chichocząc na wspomnienie

pożegnalnej sceny pomiędzy sobą a sługą – że nie mogę oczekiwać, iż zasłużyłem na jego dalsze uznanie po tym, co zrobiłem, i że w związku z tym nie mogę zatrzymać go na stanowisku. Poprosiłem, aby potraktował moje zachowanie tak pobłażliwie, jak potrafi, ponieważ jego pierwotną przyczyną było w końcu skopiowanie przez niego planu dworu, które to doprowadziło panią Frankland do odkrycia w Pokoju Mirtowym. Powinszowałem mu nagrody w postaci pięciu funtów w zamian za przyczynienie się do zwrotu majątku w wysokości czterdziestu tysięcy i skłoniłem się mu z uprzejmą uniżonością, która o mało nie doprowadziła go do wściekłości. Swego czasu Shrowl i ja mieliśmy sporo utarczek, aż do dzisiaj zawsze szliśmy łeb w łeb, a teraz wreszcie rozłożyłem go na łopatki!

Chociaż pan Treverton był skłonny mówić o pokonaniu i odprawieniu Shrowla tak długo, jak długo adwokat by go słuchał, okazał się zupełnie niemożliwy, kiedy pan Nixon próbował sprowadzić rozmowę na temat pani Frankland. Nie chciał słyszeć żadnych wiadomości, nie składał żadnych obietnic na przyszłość. Wszystko, co dało się z niego wyciągnąć na temat jego samego i jego planów, to że zamierza opuścić dom w Bayswater i wrócić do podróży w celu badania natury ludzkiej w różnych krajach przy założeniu, którego jeszcze nigdy nie przyjął, a mianowicie próbując znaleźć dobro mogące się kryć w ludziach obok zła. Powiedział, że pomysł ten wpadł mu do głowy pod wpływem chęci upewnienia się, czy państwo Franklandowie są wyjątkowymi istotami ludzkimi, czy też nie. Na razie był skłonny uważać, że są i że podróże raczej nie doprowadzą do niczego nadzwyczajnego w postaci zadowalającego wyniku. Pan Nixon usilnie prosił o coś w rodzaju życzliwej wiadomości, którą mógłby z sobą zabrać wraz z nowiną o planowanym wyjeździe. Prośba wzbudziła jedynie sardoniczny chichot, po którym nastąpiła mowa pożegnalna wygłoszona do adwokata przy ogrodowej bramie.

– Niech pan powie tym dwu nadludzkim istotom – rzekł Tymon Londyńczyk – że mogę z odrazą porzucić podróże, gdy najmniej się tego będą spodziewać, i wrócić, aby znów na nich popatrzeć. Osobiście nie dbam o żadne z nich, ale chciałbym przed śmiercią wynieść jeszcze jedno przyjemne wrażenie z tego żalnego widowiska, jakim jest ludzkość.

* Londyńskie towarzystwo prawnicze zraszające specjalistów prawa cywilnego.

